

DAVID WEBER

**Z FURII
ZRODZONA**

In fury born

Tłumaczył Przemysław Bieliński



*Moim rodzicom,
którzy wierzyli, że dam radę*

KSIĘGA PIERWSZA:

OSA IMPERIUM

Czerń.

Czerń nad nią i wokół niej. Unosiła się, bez sennych marzeń, nieskończona jak same gwiazdy wijące się wewnątrz niej. Czerń ją spowijała, dzieliła się z nią samą sobą, a ona tuliła się do czerni w ciepłej, bezwietrznej pustce, która była nią. Czerń była wszystkim, a mimo to na zewnątrz jej bezpiecznego kokonu przesuwały się niewyraźne gwiazdy. Były tam, poza jej snem, rozpoznawalne, a przy tym nie do końca rzeczywiste.

Głęboko, głęboko w jej wnętrzu wciąż żarzył się węgielek determinacji, ale już słabo, słabiutko. Kiedyś ryczał ogniem jak hutniczy piec, teraz powoli zasypiał, zmierzając do zupełnego zaniku.

Małeńki fragment jej istnienia sennie obserwował, jak ów rozżarzony do białości węgielek stygnie do migoczącej, bladej czerwieni, i zastanawiał się pod grubymi, miękkimi kocami czerni, czy zostanie jeszcze kiedyś wezwana. Ci, którym kiedyś służyła, dawno zniknęli; wiedziała o tym, nie wiedząc, skąd wie, a mimo to co jakiś czas słyszała blisko, blisko powierzchni snu echo wzywającego ją głosu. Było ich mniej, ich istnienia były ulotne i niestałe niczym małeńkie zwierciadła jej własnej ognistej jaźni. Nie było ich być może wielu, a jednak przez te wszystkie nieskończone lata byli wystarczająco liczni, by niepokoić ją we śnie.

Tam. Następny mignął na samym skraju jej snów - jeszcze jeden błysk potencjału, możliwości. Miriady przyszłości, w których ona i echo mogli się spotkać, a ich cele stać się jednym, przesuwały się rozedrgane jak ulotne konstelacje Zodiaku... I tak samo przyszłości, w których nigdy nie mieli się spotkać.

Co by wolala?, zapytał sam siebie jej senny umysł. Powstać raz jeszcze - może ostatni - czy spać, śnić, aż nie będzie już żadnych snów, ech ani zwierciadeł?

*Nie umiała odpowiedzieć, dlatego zagrzebała się głębiej pod miękki całun nieistnienia,
po prostu czekając na to wszystko, co może się wydarzyć.*

Albo nie wydarzyć.

PROLOG

- Kim jest to dziecko, u licha? - spytał pułkownik McGruder, gapiąc się na psychologiczny profil unoszący się w holowyświetlaczu.

- Nazywa się Alicia DeVries - odparł porucznik Maserati. - Alicia Dierdre DeVries i właśnie kończy liceum. Pół roku temu oświata urządziła jej klasie standardowe egzaminy i jej wyniki przeszły przez wszystkie filtry. W zeszłym tygodniu ponowiono więc testy. Jak pan widzi, tylko potwierdziły pierwotne wyniki.

- Kończy liceum? - McGruder odwrócił się od wyświetlacza i spojrzał na swojego adiutanta. - Tu napisano, że ma dopiero czternaście lat!

- Tak, sir, sześć tygodni temu tyle miała - odparł Maserati. - Uczy się... eee... w przyspieszonym trybie. Jeśli spojrzysz tutaj... - porucznik wysłał swojemu komputerowi polecenie przez neurozłącze i w wyświetlaczu pułkownika otworzyło się okno ukazujące indeks akademicki dziewczyny - zobaczy pan, że osiągnęła już wynik gwarantujący jej w przyszłym roku wstęp na Nową Akademię Imperium w ramach ich programu stypendiów dla najzdolniejszych uczniów.

- Jezu. - McGruder przez chwilę gapił się na indeks, potem znowu spojrzał na profil psychologiczny. - Jeśli ona tak wygląda, mając czternaście lat...

- Dlatego właśnie uznałem, że powinienem ją panu pokazać, sir. Nie sądzę, żebym kiedykolwiek widział mocniejszy profil niż ten, a jak sam pan mówi, ona ma dopiero czternaście lat.

- Za młoda - stwierdził McGruder, a Maserati pokiwał głową. Młoda DeVries wyprzedzała w nauce o całe cztery standardowe lata przeważającą część swojej grupy wiekowej. Wyniki testów przekazano do biura pułkownika McGrudera, bo przysyłano tu wyniki każdego ucznia czwartej klasy, którego profil przebił się przez filtry. Ale imperialne prawo wyraźnie zakazywało werbowania kogokolwiek - nieważne, jakie miałyby wyniki testów czy jak wielka byłaby potrzeba - przed osiągnięciem przez niego wieku osiemnastu lat.

- Poza tym - ciągnął McGruder - niech pan popatrzy na profil genetyczny. - Pokręcił głową. - Grupa genowa Ujvári i taki profil akademicki oznacza, że nigdy nie wpadnie w nasze ręce. Jeśli już ma zagwarantowany wstęp na Nową Akademię Imperium, to wie pan, że właśnie tam pójdzie.

Znów pokręcił głową z kwaśną miną.

- Szkoda. Bardzo by się nam przydała.

- Zgadzam się, sir - powiedział porucznik. - Zgadzam się także, że bez wątpienia będzie poddana olbrzymiej presji, by przyjąć propozycję NAI. Ale myślę, że mimo wszystko może być jedną z tych osób, które powinniśmy wytypować do dalszej obserwacji.

Wysłał przez zestaw nagłowny kolejne polecenie i komputer posłusznie otworzył następne okno.

- Zwrócił pan już uwagę na profil genetyczny, sir. Odziedziczyła to po rodzinie ze strony ojca. Pomyślałem, że być może uzna pan resume jej dziadka ze strony matki za równie... interesujące - dodał głosem bez wyrazu.

* * *

- ...więc powiedziałem porucznik, że to kiepski pomysł. - Sebastian O'Shaughnessy parsknął śmiechem i potrząsnął głową. - A ona na to, że to ona jest dowódcą plutonu, a ja tylko pierwszym sierżantem kompanii. Według niej oznaczało to, że mamy robić tak, jak ona chce. No to zrobiliśmy.

- A gdy już to zrobiliście? - spytała jego wnuczka z szerokim uśmiechem i roziskrzonym spojrzeniem zielonych oczu.

- A gdy już to zrobiliśmy i odbyło się omówienie ćwiczenia, porucznik wezwała mnie do siebie i powiedziała, że kapitan... doradził jej w sprawie właściwych stosunków między świeżutką panią porucznik prosto z Akademii na Nowym Dublinie a pierwszym sierżantem kompanii, który służy w Korpusie dziewiętnaście standardowych lat.

O'Shaughnessy uśmiechnął się do dziewczynki.

- Jedno muszę jej przyznać: przyjęła to jak prawdziwy marine. Przyznała, że miałem rację, nie pozwalając jednak żadnemu z nas zapomnieć, że ona wciąż jest porucznikiem, a ja wciąż pierwszym sierżantem. Ta porucznik Chou była dobra. Uparta jak większość tych dobrych, ale wystarczająco bystra, by poznać się na swoich błędach i wyciągnąć z nich naukę. Mimo to nie wiem, czy kiedykolwiek się domyśliła, że kapitan rozmyślnie pozwolił jej spaprać sprawę, żeby potem móc zwrócić jej uwagę. Ale dobry oficer nigdy takiej nauczki nie zapomina, Alley. Zawsze tak jest, że ktoś siedzi w czymś dłużej albo lepiej się na czymś zna, i cała sztuka polega na tym, żeby skorzystać z doświadczenia tego kogoś - zwłaszcza jeśli to podoficer o długim stażu, który służył już wtedy, kiedy ty dopiero się rodziłaś - nie narażając własnego autorytetu. Dlatego każdy dobry oficer wie, że tak naprawdę to sierżanci rządzą w Korpusie.

Wnuczka patrzyła na niego przez chwilę; wzrok miała zamyślony, a czternastoletnią twarz poważną. Potem kiwnęła głową.

- Wiem, jak bardzo ja sama nie lubię się przyznawać, że nie mam racji - powiedziała. - Założę się, że oficerowi jest jeszcze trudniej. Zwłaszcza kiedy jest nowa i myśli, że ujawnienie swojej „słabości” podkopie jej autorytet.

- Otóż to - zgodził się Sebastian. Potem zerknął na swoje chrono. - A czy ty nie powinnaś teraz robić czegoś innego, zamiast siedzieć tu i zachęcać mnie do gędzenia?

Dziewczyna zamrugła, potem spojrzała na własne chrono i zerwała się na równe nogi.

- O Boże! Mama mnie zabije! Cześć, dziadku!

Nachyliła się, żeby szybko cmoknąć go w policzek - w wieku czternastu lat była już o głowę wyższa od swojej matki - i zniknęła jak za sprawą czarów. Sebastian usłyszał, jak z łomotem wbiega po kilku schodkach do swojej małej sypialni, i z szerokim uśmiechem pokręcił głową.

- To była Alley czy też ciężarówka, nad którą kierowca stracił panowanie? - spytał łagodny tenor. Sebastian podniósł wzrok, kiedy do pokoju zajrzał jego zięć.

Łatwo było się zorientować, skąd się wziął wzrost Alicii. Sebastian mierzył nieco ponad metr siedemdziesiąt, ale Collum DeVries przewyższał go o więcej niż dwadzieścia centymetrów. Był także barczysty i potężnie zbudowany. Właściwie o wiele bardziej przypominał holowizyjny wzorzec zawodowego marine niż Sebastian. Oczywiście pozory mogą mylić, pomyślał O'Shaughnessy z odrobiną zarozumiałości.

- Alley - powiedział, parszkając śmiechem. - Chyba całkiem zapomniała o egzaminie.

- Chcesz powiedzieć, że była za bardzo zajęta nagabywaniem cię, żebyś jej coś opowiedział - poprawił go Collum. Powiedział to z uśmiechem, ale w tle krył się lekki wyrzut.

- Rzadko mnie widuje - odparł Sebastian.

- To prawda. Ale obawiam się, że ta twoja aura wojennej chwały może być dla nastolatki trochę przytłaczająca.

Sebastian rozparł się w fotelu i popatrzył na swojego zięcia z czułością.

- Jestem pewien, że „aura wojennej chwały” mogłaby być przytłaczająca - powiedział łagodnie po chwili - ale nie o tym rozmawialiśmy. Tak naprawdę Alley o wiele bardziej interesuje się szczegółami działania Korpusu niż moimi wojennymi historiami.

- Wiem.

Collum patrzył na niego przez chwilę, a potem usiadł w fotelu, który opuściła Alicia, udając się do swojej komputerowej stacji roboczej na górze. Fotel dopasował się do jego

ciała, a mężczyzna pochylił się do przodu, opierając łokcie na udach.

- Wiem - powtórzył; jego charakterystyczne szare jak łupek oczy patrzyły z niespotykaną u niego powagą. - Właśnie to mnie martwi. Wolałbym już chyba, żeby to była nastoletnia fascynacja myślą, że walka może być „chwalebna” i podniecająca.

- Wolałbyś, tak? - Sebastian przyglądał mu się w zamyśleniu.

Czuł do swojego zięcia coś więcej niż tylko zwykłą sympatię. Collum DeVries prawdopodobnie był jednym z najinteligentniejszych ludzi, jakich O’Shaughnessy spotkał, a przy tym bardzo porządnym człowiekiem. Rzadko który ojciec uważa, że jakiś mężczyzna naprawdę jest wart jego córki, i on też musiał przyznać, że kiedy Fiona po raz pierwszy przyprowadziła Colluma do domu, miał powód do troski. Te szare oczy o dziwnie kocim wyrazie, w połączeniu ze wzrostem DeVriesa i jego jasnymi włosami od razu rzucały się w oczy. Wynikające z mutacji Ujvári cechy fizyczne były tak samo oczywiste jak cechy umysłowe, i Sebastian przygotował się na nieuniknioną konfrontację, jednak nigdy do niej nie doszło, a przez te wszystkie lata Collum udowadniał jedynie, że faktycznie jest wart jedynej córki Sebastiana O’Shaughnessy’ego.

Co nie oznacza, że we wszystkich sprawach się zgadzali.

- Na swoje nieszczęście, jak czasami mi się wydaje - ciągnął Collum - Alley jest dokładnie taka sama jak jej rodzice. Inteligentna - Boże, jaka ona jest bystra! - i uparta. Zawsze chce mieć swoje własne zdanie.

- Zgadzam się - powiedział Sebastian. - Ale wytłumacz mi, bo nie rozumiem, co w tym złego?

- To, że nie mogę jej po prostu powiedzieć: „Dlatego, że jestem twoim ojcem!”. A przynajmniej mam dość rozumu, by tego nie próbować.

- Aha. Ten sam problem miałem raz czy dwa z jej matką, skoro już o tym wspomniałeś.

- Nie wiedzieć czemu, wierzę ci bez zastrzeżeń. - Collum wyszczerzył się szeroko i z jego twarzy na chwilę zniknął wyraz z troską. Ale uśmiech był ulotny.

- Och - podjął, machnąwszy ręką - jeśli zabronię jej czegoś robić, nie zrobi tego. Nigdy się nie bałem, że będzie po kryjomu robiła coś, czego ja czy Fiona byśmy nie pochwalali, nawet teraz, kiedy zaczęły w niej buzować hormony. Ale chce sama podejmować decyzje, i jeśli uważa, że nie mam racji, nie boi się tego powiedzieć. A kiedy przychodzi według niej właściwa pora, podejmuje decyzję, nawet wiedząc, że jestem temu zdecydowanie przeciwny.

- Każde dziecko tak robi, Collum - powiedział łagodnie Sebastian. - A przynajmniej każde, które wyrasta potem na wartościowego człowieka.

- Oczywiście masz rację. Ale i tak martwię się o tę jej decyzję, której podjęcia bardzo

bym nie chciał.

I spokojnie spojrział teściowi w oczy - takie same zielone oczy, jakie widział, patrząc na swoją żonę czy starszą córkę.

- To decyzja, którą tak czy inaczej wszyscy musimy zaakceptować - powiedział po chwili Sebastian.

- Pewnie - zgodził się Collum. - Ale boję się, żeby za szybko jej nie podjęła. Chciałbym, żeby naprawdę poważnie się nad tym zastanowiła. Rozważyła wszystkie możliwości, przemyślała, z czego mogłaby zrezygnować.

- Oczywiście - powiedział Sebastian, ale Collum wyczuł w jego głosie lekką irytację.

- Ja naprawdę nie staram się obchodzić tego tematu na paluszkach, Sebastianie - powiedział. - I chyba wiesz, jaki mam szacunek dla wojska w ogóle, a ciebie w szczególności. Dobrze wiem, co zrobiłeś, by zdobyć Sztandar, i wiem, jak niewielu innych mogłoby to zrobić. To niedobrze, że wciąż potrzebujemy Korpusu Marines i Floty, ale w pełni zdaję sobie sprawę, że ich potrzebujemy. Że nadal będziemy ich potrzebować - i dziękować Bogu, że ich mamy - co najmniej do Powtórnego Nadejścia. Jeśli ktoś o tym wie, to przede wszystkim ci z nas, którzy pracują w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

To była prawda, mimo że Collum DeVries jako Ujvári czuł wrodzoną niechęć do gwałtownej konfrontacji. I tak jak w przypadku przeważającej większości Ujvárich, cały jego światopogląd i wszystkie działania zorientowane były na porozumienie i pragmatyczny kompromis. Jak to ujął jeden z prominentnych genetyków, w porównaniu z resztą ludzkości Ujvári cierpieli na przerost zdrowych zmysłów, a Sebastian zawsze był zdania, że to bardzo trafnie oddaje stan faktyczny.

Ale niektórzy ludzie postrzegali ich głęboką - właściwie zaprogramowaną genetycznie - awersję do konfrontacji jako tchórzostwo, nie bacząc na wszystkie dowody wskazujące, że jest wręcz przeciwnie. Sebastian osobiście uważał poglądy Ujvárich za mocno nierealne, ale był gotów przyznać, że mogą przez niego przemawiać uprzedzenia. W końcu taka postawa między innymi czyniła z Ujvárich skuteczkich dyplomatów, analityków i polityków, zdolnych porzucić osobiste wojownicze podejście na korzyść rzeczowej debaty. Był to także jeden z powodów, dla których Ujvári cieszyli się reputacją filozoficznych snobów, patrzących z góry na wszystkich, którzy gotowi są uciec się do... bardziej bezpośrednich rozwiązań problemów. Dotyczyło to między innymi obywateli Nowego Dublina, gdzie obowiązywała odwieczna tradycja służenia Domowi Murphy i wykonywania takich bezpośrednich działań na rozkaz cesarza.

Collum nigdy jednak nie podzielał niewypowiedzianej niechęci, a może nawet pogardy

Ujvárich wobec wojskowych. Sam nigdy nie wybrałby takiej kariery, ale głównie dlatego, że zdawał sobie sprawę, jak bardzo by się do tego nie nadawał. Nie wspominając o fakcie, że potencjalnie najwięcej mógł zaoferować społeczeństwu w innych dziedzinach.

- Ale - ciągnął - to, że szanuję wojsko i ciebie, nie oznacza, że chcę, by moja córka poszła w twoje ślady, zanim będzie miała okazję rozejrzeć się dookoła i rozważyć wszystkie równie słuszne, równie ważne rzeczy, które może zrobić ze swoim życiem.

- Być może równie ważne - powiedział Sebastian; jego nowodubliński akcent nagle pojawił się z niezwykłą siłą. - Ale nie ma ani jednej rzeczy, Collum, która byłaby ważniejsza.

- Nie mówiłem, że jest. - Wzrok DeVriesa ani na moment nie uciekł od spojrzenia zielonych oczu, które zastraszyło już kilka pokoleń rekrutów marines. - Ale życie, które ty wybrałeś, Sebastianie, wymaga poświęceń. Nie mów mi, że nie cierpiałeś w duchu, widząc, jak Fiona i John dorosli, zanim wróciłeś do domu z placówki, mając świadomość, jak wiele z ich życia straciłeś. Ani jak cierpiałeś, kiedy traciłeś kogoś z przyjaciół z rąk Rish albo jakiegoś wariata ze Światów Korony lub najemnika z Bandyckich. Szanuję to, że chciałeś złożyć te ofiary, ale to nie oznacza, że chciałbym, żeby moja córka poszła twoją drogą bez długiego i poważnego zastanowienia.

I nienawidzisz samej myśli o dostaniu osobistego listu od ministra wojny, pomyślał Sebastian. Przeraza cię, że twoja córka mogłaby któregoś dnia nie wrócić do domu. Cóż, masz prawo... ale i ona ma prawo sama zdecydować, kiedy nadejdzie pora.

- Prosisz mnie czy każesz, żebym nie odpowiadał na jej pytania? - spytał. - Żebym nie rozmawiał z własną wnuczką o moim życiu?

- Oczywiście, że nie! - Sebastian wiedział, że gwałtowny sprzeciw Colluma jest szczery. - Jesteś jej dziadkiem, a ona cię kocha. Chce wiedzieć, co robiłeś w życiu, a ty masz wszelkie prawo jej o tym opowiadać. Skoro już o tym mowa, masz cholerne prawo być z tego dumny. Ja bym był na twoim miejscu! Tyle że... martwię się.

- Rozmawiałeś o tym z Fioną?

- Nie użyłbym tu raczej słowa „rozmawiać”. - Collum potrząsnął głową z dobrze znanym Sebastianowi wyrazem twarzy. W końcu Fiona była bardzo podobna do swojej matki.

- Wyraziłem swoje obawy i ona chyba je podziela. Ale ma w sobie ten przeklęty spokój O'Shaughnessych. Kręci tylko głową i powtarza, że z niewolnika nie ma pracownika i że każdy jest kowalem swojego losu.

- Spokój nie jest raczej cechą O'Shaughnessych - powiedział sucho Sebastian. - Ale ma rację. Nie przekonasz Alley do tego, co według niej jest niesłuszne. I nie przekonasz jej, żeby nie robiła czegoś, co uważa za słuszne.

- Wiem o tym. - Collum wziął głęboki oddech. - I wiem, że to się nie wydarzy już jutro. Ale ona cię uwielbia, Sebastianie, i nie jest odporna na te nowodublińskie tradycje. Nie twierdzą, że nie zastanawiałaby się nad Korpusem, gdyby jej dziadek był cywilną myszą, a nie autentycznym wojskowym bohaterem. Myślę, że by się zastanawiała. Ale szczerze mówiąc, to mnie przeraża.

- Oczywiście - powiedział łagodnie Sebastian. - I wiesz, że ja nigdy nie próbowałem opowiadać, jakie wojsko jest romantyczne, ani ukrywać, jak paskudnie czasem w nim bywa. Ja też ją uwielbiam, wiesz? I jeśli to jest coś, o czym ona poważnie myśli, to chcę, żeby wiedziała, jak to naprawdę wygląda. Żeby poznała dobre i złe strony. I obiecuję, że nigdy nie będę jej do niczego namawiał za twoimi plecami, Collum.

- Nie sądziłem, że będziesz. - Collum wstał i lekko poklepał teścia po ramieniu. - Chyba po prostu musiałem się komuś wygadać.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Sierżant major dowództwa pięćset drugiej brygady siedemnastej dywizji Imperialnego Korpusu Marines podniósł głowę, słysząc tradycyjne dwa ostre stuknięcia w drzwi gabinetu.

- Wejść! - powiedział, podnosząc głos, i drzwi się otworzyły.

Przyjrzał się krytycznie wysokiej, barczystej młodej kobiecie, która weszła, stanęła na baczność i energicznie zasalutowała. W tym salucie jest trochę za dużo obozu Camp Mackenzie, pomyślał. Za dużo wypolerowania i nieskazitelnej czystości. Ale właśnie tego należy się spodziewać po niedawnej absolwentce podstawowego obozu, szkoleniowego Korpusu na Starej Ziemi.

- Szeregowy DeVries melduje się u sierżanta majora! - oznajmiła kobieta głośno i wyraźnie.

Sierżant lekko odchylił w tył fotel, przyglądając się jej zamyślonemu spojrzeniu, którym witał - dosłownie - już kilka pokoleń marines. Jej rudozłote włosy dopiero zaczynały odrastać po obozie, i mimo naturalnie jasnej karnacji była opalona na mocny brąz. Sierżant dostrzegł siłę jej przedramion, odsłoniętych przez przepisowo podwinięte rękawy mundurowej bluzy. Buty miała wypolerowane na lustro, kanty munduru ostre jak brzytwa; sierżant uśmiechnął się w duchu, myśląc, jaka musiała być szczęśliwa, kiedy wydano jej mundur z inteligentnego materiału. Od jego własnego pobytu w Camp Mackenzie minęło już sporo czasu, ale doskonale pamiętał, jaki był... zirytowany uporem Korpusu, by rekruci dostawali tradycyjne stare mundury, które trzeba było prasować - i krochmalic - żeby wyglądały jak należy.

Mimo swojego wzrostu kobieta stojąca przed biurkiem sierżanta była młodsza niż te, które zazwyczaj tu widywał. Wątpił, by kiedykolwiek miała się cieszyć dorodnym biustem, ale w tym konkretnym momencie brakowało jej w tych rejonach dość sporo. Mimo że wciąż miała ten „niedokończony” wygląd nastolatka u progu dorosłości, dostrzegł na prawym rękawie, tuż pod żądlącą osą w koronie Imperialnego Korpusu Marines, pojedynczą krokiewkę starszego szeregowego.

Sierżant spokojnie dokończył oględziny, a potem odwzajemnił salut ze swobodą biorącą się z długiej praktyki.

- Spocznij, szeregowy - powiedział.

- Tak jest, panie sierżancie majorze!

Nie przybrała swobodnej postawy, na którą zezwolił, lecz podręcznikowe paradne „spocznij”. Mimo dziesiątek lat służby usta sierżanta drgnęły, zatrzymując się na krawędzi uśmiechu - kobieta patrzyła wprost przed siebie, regulaminowych dziesięć centymetrów ponad jego głowę.

Pozwolił jej tak stać przez kilka chwil, potem podniósł się i wyszedł zza biurka. Stał tuż przed nią niższy o pół głowy - jeszcze raz niespiesznie studiując jej wygląd. Musiał przyznać, że wyglądała perfekcyjnie. Nie mógł się przyczepić do żadnego szczegółu, tak samo jak do doskonale obojętnego wyrazu jej twarzy, gdy tak stała nieruchomo jak posąg pod jego badawczym spojrzeniem.

- Cóż - powiedział w końcu i rozłożył szeroko ramiona, by objąć ją w miazdzącym uścisku.

- Cześć, dziadku - powiedziała bardziej niż zwykle ochrypłym głosem i też mocno go objęła.

* * *

- Robiłem, co mogłem, żeby wrócić do domu na twoją przysięgę, Alley - powiedział Sebastian O'Shaughnessy kilka minut później, przysiadłszy wygodnie na krawędzi biurka ze skrzyżowanymi na piersi ramionami. - Po prostu nie dało rady.

- Jak tylko cię tu przydzielili, od razu wiedziałam, że nie dasz rady, dziadku - odparła Alicia i uśmiechnęła się. - Cieszę się, że moje rozkazy były na tyle luźne, że mogłam cię po drodze odwiedzić.

- Ja też się cieszę. Moi szpiedzy informowali mnie o twoich postępach. - Zmarszczył groźnie czoło. - Jak rozumiem, poszło ci w miarę dobrze.

- Przynajmniej się starałam.

- Na pewno. I domyślałam się, że będę musiał jakoś przeboleć to, że miałaś drugi wynik w swojej brygadzie szkoleniowej. Ale żeby dać się pobić o całą jedną dziesiątą punktu procentowego? - Pokręcił głową ze smutkiem. - Miałem nadzieję, że ukończysz szkolenie na pierwszym miejscu, ale to chyba było nierealne.

W jego oczach zamigotał uśmiech.

- Przykro mi, że cię rozczarowałam, dziadku - powiedziała uprzejmie Alicia - ale wiesz, że miałam nieco niekorzystną sytuację.

- Ale dziewiętnaste miejsce w teście sprawności? - spytał ponuro. - Mogę powiedzieć tylko tyle, że dobrze, że wszystkie pozostałe zdałaś na sto procent.

- Tylko dwóch rekrutów, którzy mnie pobili w teście sprawnościowym, było ze Starej

Ziemi - odparła surowo - i obaj byli mężczyznami, a jeden z nich był w rezerwie reprezentacji triathlonu na ostatniej olimpiadzie. Wszyscy pozostali pochodzili z innych planet. Wysokograwitacyjnych, skoro już o tym mowa. I tylko troje z nich było kobietami.

- Wymówki, wymówki. - Parsknął śmiechem i potrząsnął głową, promieniując dumą. - Gdyby nie ten nowy rekord w strzelaniu z krótkiej broni, byłabyś zaledwie trzecia, wiesz o tym!

- Ale i tak byłabym najlepsza z mojego pułku - odparła.

- No, to chyba akurat prawda - przyznał ze śmiechem. Potem spoważniał. - Naprawdę, Alley, jestem z ciebie dumny. Bardzo dumny. Spodziewałem się, że dobrze ci pójdzie, ale znowu udało ci się przekroczyć moje oczekiwania.

- Dzięki, dziadku - odparła cicho. - To wiele dla mnie znaczy.

Ich spojrzenia znów się spotkały i O'Shaughnessy ciepło się uśmiechnął.

- Czy wiedziałaś, że przyjaźnię się z Cassiusem Hillem od jakichś dwudziestu czy trzydziestu lat? - spytał, zmieniając temat.

- Z sierżantem majorem Hillem? - Zamrugła i potrząsnęła głową. - Nie. Pewnie powinnam była o tym pomyśleć, przecież znasz chyba wszystkich w Korpusie. Nie przyszło mi to do głowy, bo sierżant Hill był taki... powiedzmy, groźny. Trudno sobie wyobrazić, że w ogóle ma jakichś przyjaciół. To znaczy wiem, że musi jakichś mieć, ale czasami wszyscy byliśmy przekonani, że zrobili go gdzieś w jakimś laboratorium SI. Że testują w warunkach polowych autonomiczne jednostki bojowe, a my jesteśmy królikami doświadczalnymi.

- No, rekrut nie powinien lubić swojego instruktora musztry, a tym bardziej sierżanta majora swojego batalionu. Ale ciebie akurat Cassius raczej polubił. Kiedy byłaś w Mackenzie, dostałem od niego cztery listy. Pisał, że mu zaimponowałaś.

- Naprawdę? - Alicia zaśmiała się. - Nie wiedziałam. Za to on zrobił na mnie wrażenie! Raz czy dwa wystraszył mnie na śmierć.

- I powinien. Z drugiej strony... - O'Shaughnessy popatrzył na wnuczkę z namysłem - powiedział mi, że nic nie mogło wytrącić cię z równowagi. Chyba nawet trochę się martwił, że może stracił wprawę czy coś takiego. Powiedział, że chwilami miał wrażenie, że tobie się w Mackenzie naprawdę podobało.

- Bo mi się podobało.

- Podobało ci się w Mackenzie?!

O'Shaughnessy popatrzył na wnuczkę, a ona wzruszyła ramionami, jakby nie rozumiała jego zdziwienia.

- No, niektórych momentów nie uznałabym za najprzyjemniejsze w życiu - przyznała. - I

miałam więcej problemów, niż się spodziewałam, z chirurgią korekcyjną. Ale ogólnie było super, dziadku. Świetnie się bawiłam.

O'Shaughnessy odchylił się do tyłu, unosząc brwi. Najbardziej oszałamiające w tym wszystkim było to, że jego wnuczka wydawała się mówić zupełnie poważnie.

Obóz Camp Mackenzie, leżący na wyspie niedaleko południowo-wschodniego wybrzeża Prowincji Stanów Zjednoczonych Starej Ziemi, był ośrodkiem szkoleniowym marines od ponad tysiąca lat - na długo przedtem, zanim Korpus stał się Korpusem Imperialnym i zanim powstało Imperium, któremu służył. Wciąż pełnił tę funkcję (choć na Nowym Dublinie byli tacy, którzy uważali, że ich macierzysta planeta byłaby lepszym miejscem), ale w końcu Stara Ziemia nadal była stolicą Imperium, jego sercem. I żadna inna lokacja na tej planecie nie zapewniałaby takiej kombinacji letniego upału, wilgotności, komarów i pcheł piaskowych, by móc sprawdzić siłę charakteru nowego rekruta... albo zrobić z niego odpowiednio plastyczny stop, jakiego wymagała imperialna stal.

Korpus oczywiście postarał się przysposobić wyspę do tego celu jeszcze bardziej, niż zaplanowała to natura. O'Shaughnessy zawsze podejrzewał, że plotki o Korpusie przywożącym tutaj aligatory, by ich populacja na Mackenzie zbyt nie została przetrzebiona, to prawda. Cokolwiek by nie mówić, nie było żadnych wątpliwości, że bezlitosny reżim treningowy miał stworzyć uczestnikom szkolenia istne piekło na ziemi. Nie z instytucjonalnego sadyzmu, jak święcie wierzyli niektórzy rekruci, lecz dlatego, że Camp Mackenzie miał być najtrudniejszą rzeczą, jaką rekrut kiedykolwiek przeżył. Miał go nauczyć, kim naprawdę jest, co potrafi osiągnąć i wytrzymać - a także pokazać mu często ponurą i zawsze brutalną różnicę między jego wyobrażeniami o wojsku a wojskową rzeczywistością. Miał go nauczyć stawiać czoła wyzwaniom, pokazać, co naprawdę znaczy być jedną z Os Imperium, a przede wszystkim wykształcić w nim dyscyplinę, oddanie sprawie i pewność siebie. Ludzie, którzy przeżyli taką naukę, byli wykutymi na kowadle Korpusu prawdziwymi marines.

I jednym Camp Mackenzie na pewno nie był - „świetną zabawą”.

- Jesteś jeszcze dziwniejszą młodą damą, niż mi się wydawało, Alley - powiedział sierżant po chwili. - Uważasz, że w Mackenzie było super. Chyba nie mam sumienia powiedzieć tego Cassiusowi. Mógłby się ostatecznie załamać.

- Nie powiedziałam, że było łatwo, dziadku! - zaprotestowała. - Nie było. Właściwie to była najtrudniejsza rzecz, jaką zrobiłam. Ale i tak było super. Dużo się o sobie nauczyłam, i tak jak mówisz, skończyłam kurs z drugim wynikiem ogólnym z całej brygady. - Wyszczrzyła się wesoło. - Ciężko na to zapracowałam.

Dotknęła belki starszego szeregowego.

- Nie tylko przeżyłam obóz szkoleniowy, ale udało mi się jeszcze po drodze skopać parę tyłków!

- Rozumiem. - Wzruszył ramionami. - No, coś takiego sierżant major lubi słyszeć od każdej larwy, nawet jeśli budzi to pewne obawy, czy rzeczona larwa ma kontakt z tym, co reszta z nas pieszczotliwie określa rzeczywistością. I naprawdę jestem z ciebie dumny. Ale nie rozpowiadaj dookoła, że podobało ci się w obozie. I tak mamy problemy kadrowe - Korpus nie ma kim zastąpić tych wszystkich starszych podoficerów, którzy padną trupem, jak coś takiego usłyszą.

- Tak jest, dziadku - przyrzekła solennie, a on się zaśmiał.

- Co u rodziców? - spytał.

- Wszystko w porządku, kazali cię pozdrowić.

- Nawet twój tata? - O'Shaughnessy znów uśmiechnął się pod nosem. - Wybaczył mi już, że cię „namawiałem”?

- Nie bądź niemądry, dziadku. - Pokręciła głową. - Nigdy nie był na ciebie aż tak bardzo zły, i dobrze o tym wiesz. On cię uwielbia. Właściwie kiedy już się uspokoił, przyznał nawet, że to nie była twoja wina. Zresztą przepchnąłeś mnie najpierw przez studia.

- Tak naprawdę chyba nie spodziewał się, że przelecisz program pięciu lat w trzy i pół roku. Moim zdaniem myślał, że kiedy skończysz studia, trochę zwolnisz tempo.

- Nie. Myślał, że kiedy będę miała licencjat, odezwą się geny Ujvárich, tak jak u Clarissy, zapomnę o marines i znajdę sobie jakieś inne zajęcie. - Wzruszyła ramionami. - Mylił się. Właściwie mama wiedziała, że tata nie ma racji. Powiedziała mu to, kiedy im oznajmiłam, że nie zmieniałam zdania.

- Nic dziwnego - powiedział kpiąco O'Shaughnessy. - Twoja matka jest bardzo podobna do swojej. A więc uważasz, że twój tata nie zastrzelił mnie za to, że zaproponowałem „kompromis”?

- Oczywiście, że nie. Nie zrobiliby tego nawet, gdyby nie był Ujvárim. Zdobyłam stypendium, zrobiłam dyplom, i to była moja część umowy. Nawet się nie skrzywił, podpisując rodzicielską zgodę dla biura werbunkowego. Ani razu, przysięgam. Tatko jest twardy.

- Faktycznie, jest. - O'Shaughnessy nagle spoważniał. - Czasami drażnię się z nim, że jest Ujvárim i dlatego nie potrafi zrozumieć, co popchnęło mnie i ciebie do takiego zajęcia. Do tego dzięki pracy w ministerstwie dobrze wie, jakie gówniane zlecenia dostaje Korpus i jak mocno bierzemy w tyłek, kiedy sprawa się rypnie. - Sebastian pokręcił głową. - Żadnemu

ojcu nie jest łatwo patrzeć, jak jego dziecko idzie do czegoś takiego jak Korpus, wiedząc, że może zostać ranne, wzięte do niewoli albo zabite. Zwłaszcza kiedy to dziecko ma dopiero siedemnaście lat i kiedy kocha się je tak mocno, jak twoi rodzice kochają ciebie.

- Wiem - powiedziała cicho Alicia. Odwróciła na chwilę wzrok, potem znów spojrzała na dziadka. - Wiem. I chyba tak naprawdę tylko świadomość, jak bardzo on - i mama też, choć się do tego nie przyznaje - będzie się o mnie martwić, mogłaby mnie skłonić do zmiany zdania. Ale nie mogłam, dziadku. Po prostu nie mogłam zrezygnować. A poza tym... - jej wzrok pojaśniał - jak mówiłam, w Mackenzie było super!

- Naprawdę muszę zerknąć na twój profil psychologiczny. Póki co rozumiem, że dostałaś swój pierwszy przydział?

- Mogłam wybrać, bo miałam taki dobry wynik. I dostałam to, co chciałam. No, oczywiście nie mogłam wybrać jednostki.

- Dość dobrze orientuję się, jak ten system działa, Alley - powiedział sucho Sebastian, a ona się roześmiała.

- Wiem. Przepraszam. Ale odpowiadając na twoje pytanie, jadę do batalionu rozpoznania pierwszego pułku pięćset siedemnastej brygady.

- Rozpoznanie? - O'Shaughnessy zachmurzył się nieco, skubiąc płatek prawego ucha. Marines rozpoznania byli powszechnie uważani, nawet przez swoich kolegów, za elitę Korpusu. W normalnych okolicznościach marine nie mógłby nawet myśleć o rozpoznaniu, dopóki nie odbębniłby przynajmniej jednej tury w jakiejś bardziej plebejskiej formacji. Nawet wyróżnieni absolwenci Mackenzie powinni byli najpierw zdobyć jakieś pierwsze szlify.

- Sierżant major Hill ostrzegał mnie, że pewnie się nie zgodzą - powiedziała Alicia. - Ale pomyślałam, że nie zaszkodzi poprosić o to, czego naprawdę bym chciała. Najgorsze, co mogliby zrobić, to odmówić.

- Jestem zaskoczony, że nie odmówili - powiedział szczerze O'Shaughnessy, ale już w chwili, kiedy to mówił, w jego głowie zrodziło się podejrzenie. Spróbował je odpędzić tak samo szybko, jak się pojawiło. W końcu taki pomysł jest niedorzeczny, prawda? Oczywiście, że tak! Nikt nie myślałby o tym tak wcześnie. Nawet o jego Alley!

- Wiem, że pięćset siedemnastą dowodzi generał Erikson, ale kto dowodzi pierwszym pułkiem?

- Czy jest coś, czego nie wiesz o Korpusie? - Zielone oczy Alicii błysnęły, a Sebastian skrzywił się groźnie.

- Nawet ja mogę nie orientować się w drobiazgach, dziewczyno.

- No, u mnie twój sekret jest bezpieczny, dziadku - zapewniła go. - Sama nie wiem, kto w

tej chwili dowodzi pułkiem. Z moich rozkazów wynika, że rozpoznanie należy do major Palacios. Znasz ją?

- Palacios, Palacios... - mruknął O'Shaughnessy. - Chyba się nie spotkaliśmy. W całym Korpusie jest przynajmniej z pół tuzina oficerów, których nigdy nie spotkałem. Trafił ci się akurat jeden z nich.

- Może to i dobrze, jak się nad tym zastanowić. Kocham cię, dziadku, ale twój cień potrafi być trochę przytłaczający.

- No jasne! - Przewrócił oczami, a ona zaśmiała się. - A teraz, kiedy już połechtałaś moje czułe ego, powiedz, kiedy masz się zameldować w Martinsenie.

- W Martinsenie? - zdziwiła się Alicia.

- Pięćset siedemnasta stacjonuje w Systemie Martinsena.

Alicia wzruszyła ramionami.

- Może tam jest kwatery główna brygady, dziadku, ale mnie tam nie wysyłają. Według moich rozkazów lecę na Gyangtse.

- O...?

Twarz i głos Sebastiana O'Shaughnessy'ego na szczęście miały duże doświadczenie w robieniu dokładnie tego, co im kazał. Ale niewiele to pomogło na zimne ciarki, które nagle przebiegły mu po plecach.

- Nie wiedziałem, że pierwszy został przeniesiony na Gyangtse - powiedział po chwili, pozwalając, by w jego głosie brzmiała jedynie zaduma. - Z raportów wywiadu, które widziałem, wynika, że sytuacja może się tam stać „interesująca”, Alley. Zrób coś dla mnie: pamiętaj, czego cię nauczyli w Mackenzie, i nie myśl o tym, co widziałaś we wszystkich kiepskich dramatach w holo, które oglądałaś.

Alicia DeVries patrzyła na dziadka i jej twarz była tak samo spokojna jak jego. Podejrzewała jednak, że żadne z nich nie zdołało nabrać tego drugiego. Najwyraźniej dziadek wiedział o Gyangtse coś, co sprawiało, że nie był zbyt szczęśliwy. Kusiło ją, żeby spytać, co to takiego, ale ta pokusa miała krótki żywot. Jako wnuczka Sebastiana O'Shaughnessy'ego nie chciała nadużywać łączącego ich pokrewieństwa. Oczywiście dziadek i tak by na to nie pozwolił. Właściwie miałyby szczęście, gdyby nie dał jej po tyłku, jeśli by spróbowała.

- Będę pamiętać, dziadku - obiecała mu, a on przez chwilę patrzył jej w oczy, po czym pokiwał głową, zadowolony z tego, co tam dostrzegł.

- Świetnie! A skoro... - odepchnął się od biurka - jesteś tu przelotem i nie meldujesz się na służbie, podoficer o mojej niebosiężnej randze może sobie pozwolić na to, by go widziano publicznie z marnym starszym szeregowcem, nie naruszając zanedo wojskowej dyscypliny i

zasad łańcucha dowodzenia. W związku z tym pomyślałem sobie, że możemy wyskoczyć z bazy na godzinę czy dwie. Jest tu bardzo dobra tajaska restauracja, którą chciałbym ci pokazać.

ROZDZIAŁ DRUGI

- A więc to ty jesteś naszym nowym ciepłym ciałem, tak?

Sierżantowi majorowi Winfieldowi udało się bardzo dobrze, jak zauważyła Alicia, powstrzymać na jej widok dziki spazm rozkoszy, której musiał doznać. Opadł na oparcie swojego wygodnego fotela, przyglądając się jej zza biurka - byli w zbrojowni koszar, które milicja planetarna Gyantse udostępniła sekcji dowodzenia batalionu rozpoznania pierwszego pułku pięćset siedemnastej brygady - a potem pokręcił głową z miną kogoś, kto widział już całą galaktykę. Alicia nie była pewna, czy jego pytanie było czysto retoryczne. W tych okolicznościach, pomyślała, lepiej uznać, że nie było.

- Tak, panie sierżancie majorze - odparła.

- I prosto z Mackenzie. - Westchnął, kręcąc mocniej głową. - Prosimy o dziewiętnastu doświadczonych żołnierzy, a dostajemy... ciebie. Jesteś tylko jedna, prawda, szeregowy?

- Tak jest, panie sierżancie majorze.

- No, przynajmniej nie będziemy musieli nikogo więcej przyuczać.

Winfield powiedział to tonem człowieka, który rozpaczliwie stara się znaleźć jakąś jasną stronę tej sytuacji. Tym razem Alicia nic nie powiedziała; stała tylko przed jego biurkiem z rękami splecionymi za plecami w przepisowym paradnym „spocznij”. Jej wstępna rozmowa nie szła tak dobrze, jak miała nadzieję.

Winfield przyglądał się jej jeszcze przez kilka chwil, a potem wyprostował się razem z fotelem.

- Zakładam, że widziałaś sierżanta Hirshfielda po drodze do mojego gabinetu?

- Tak jest, panie sierżancie majorze.

- Dobrze. W takim razie... - Winfield machnął dłonią w stronę drzwi. - W takim razie tuptaj stąd i powiedz mu, że jesteś przydzielona do plutonu porucznik Kuramochi.

- Tak jest, panie sierżancie majorze.

- Odmaszerować, szeregowy DeVries.

- Tak jest, panie sierżancie majorze!

Alicia stanęła na baczność, energicznie zaszalutowała, zaczęła na nieco mniej energiczny salut Winfielda, a potem odwróciła się i szybkim krokiem wyszła z jego gabinetu. Zamykając za sobą drzwi, zastanawiała się, czy w jego obecności będzie jej kiedyś wolno

użyć więcej niż tylko trzech słów.

Starszy sierżant Hirshfield podniósł wzrok, uśmiechając się nieznacznie, kiedy stuknęły ostrożnie zamykane drzwi do gabinetu Winfielda. Był żyłastym facetem o ciemnych włosach i nosił zestaw nagłowny neurozłącza.

- Witamy w batalionie, DeVries - powiedział. - Czy sierżant major rozwinął regulaminową formułkę powitalną rozpoznania?

- Sierżant major mógł być nieco... rozczarowany moim przybyciem, panie sierżancie - odparła ostrożnie.

- Sierżant major Winfield zawsze jest „rozczarowany” nowo przybyłymi - poinformował ją Hirshfield, niemal niedostrzegalnie mrugając okiem. - Wypada tu powiedzieć, że jest prawie tak marudny, jak chciałby, żebyś uważała. Dlatego ma mnie. Jestem maleńkim promykiem słońca rozświetlającym dzień każdego, na kogo on spuszcza deszcz.

- Dał mi do zrozumienia - powiedziała Alicia, ośmielona jego uśmiechem - że miał nadzieję na kogoś bardziej doświadczonego.

- Zawsze ma. - Hirshfield wzruszył ramionami. - Bez urazy, DeVries, ale rozpoznanie nie jest uważane za odpowiednie miejsce dla zielonych. Nie wspominając o tym, że zawsze mamy braki kadrowe, a w tej chwili, kiedy tutaj, w Gyangtse, sytuacja robi się coraz gorętsza przed nadchodzącym referendum, odczuwamy to trochę bardziej dotkliwie niż zazwyczaj. Dlatego nawet jeśli był dla ciebie przykry, na pewno bardzo się cieszy, że tu jesteś. W końcu nawet larwa świeżo z Mackenzie jest lepsza niż nic - dodał, psując nieco, zdaniem Alicii, efekt dodania jej otuchy, który usiłował - albo i nie - stworzyć.

- Dziękuję, panie sierżancie - odparła. - Aha, kazał panu powiedzieć, że mam być przydzielona do plutonu porucznik Kuramochi.

- Tak myślałem. - Hirshfield pokiwał głową. - Porucznik brakuje dziewięciu ludzi. Pewnie trafisz do trzeciej drużyny, do sierżanta Metternicha. W tej chwili jest najmniejsza, a Metternich jest doświadczonym dowódcą i dobrze sobie radzi z opieką nad dziećmi. Bez urazy.

- Nie obraziłam się, panie sierżancie - odparła Alicia, nie do końca szczerze.

- To dobrze. - W oku mężczyzna błysnęła łagodna złośliwość. - Centrala, Metternich - powiedział do mikrofonu przymocowanego do zestawu nagłownego. - Abe, mam tu jednego z twoich nowych ludzi. Wpadniesz do mnie, aby ją odebrać, czy mam dać jej mapę?

Słuchał przez chwilę, potem parsknął śmiechem.

- Dobra, powiem jej. Bez odbioru.

- Sierżant Metternich kogoś po ciebie przyśle - powiedział i wskazał Alicii krzesła stojące

pod ścianą naprzeciwko jego biurka. - Zaparkuj tam siedzenie, dopóki ten ktoś nie przyjdzie.

- Tak jest, panie sierzancie - odparła posłusznie i usiadła na jednym ze wskazanych krzeseł.

* * *

- Hej, sierzancie. Podobno kogoś pan dla mnie ma?

Alicia podniosła wzrok, kiedy niski, niemal karłowaty starszy szeregowy zajrzał do gabinetu Hirshfielda. Nowo przybyły miał jeszcze ciemniejszą karnację niż sierżant, szerokie, umiejętnione bary i grzywę niesfornych czarnych włosów.

- Medrano! - rozpromienił się Hirshfield. - To przecież mój ulubiony marine! Faktycznie, kogoś dla ciebie mam. O, tutaj.

Szeregowy Medrano spojrział we wskazanym kierunku. Przez chwilę przyglądał się Alicii, a potem odwrócił się z powrotem do Hirshfielda.

- O kurczę, wielki dzięki - powiedział. - Powiedział pan Abe'owi, co pan dla niego ma?

- Mam zepsuć taką niespodziankę? - Hirshfield uniósł brwi.

- Tak myślałem. - Medrano pokręcił głową. Potem znów spojrział na Alicię i wskazał kciukiem za siebie. - Chodź, larwo.

Cofnął się za drzwi i oddalił w kierunku, z którego przyszedł, nie patrząc nawet, czy Alicia za nim idzie. Oczywiście szła, choć niezbyt radośnie. Jak dotąd, myślała, wychodząc z bloku biurowego, nic nie idzie tak, jak miałam nadzieję.

- Gdzie masz swoje rzeczy, larwo? - spytał szeregowy, nie odwracając się.

- Trzymają je dla mnie na lądowisku.

- W takim razie lepiej chodźmy je zabrać.

I Medrano skręcił w lewo, w jedno z przejść między budynkami.

Jego lepsza znajomość lokalnej geografii szybko dała o sobie znać. Szukając drogi przez stolicę Gyangtse, Zhikotse, do biura sierżanta majora Winfielda w koszarach planetarnej milicji, Alicia posługiwała się mapą, którą dyżurny sierżant załadował do jej osobistego koma. Droga, którą szedł Medrano, była o wiele bardziej kręta i zawijała - wybierał raczej poplątane boczne uliczki niż nowsze, szersze ulice - ale za to znacznie krótsza. Dojście do małego portu kosmicznego zajęło im niewiele ponad połowę czasu, którego Alicia potrzebowała, by dotrzeć z lądowiska do biura Winfielda.

- Przynieś - powiedział sucho Medrano, siadając na krześle w sekcji bagażowej. Wskazał pojedyncze obsadzone okienko, a potem rozparł się wygodnie i założył nogę na nogę.

Alicia podeszła do okienka i stojącego w nim samotnego cywila. Na większości planet

odbiorem bagażu zawiadywałaby SI, a przynajmniej samodzielny system komputerowy, ale Alicia zauważyła już panującą na Gyangtse biedę - przynajmniej według ogólnie wysokich imperialnych standardów.

- Co mogę dla pani zrobić? - spytał niski, żylasty (jak większość widzianych dotąd mieszkańców Gyangtse) cywil.

- Muszę odebrać swoje rzeczy - powiedziała, kładąc na ladzie elektroniczny bilet. - Przyleciałam „Telfordem Williamsem”.

- Nie, naprawdę?

Wyszczerył się do niej wesoło, a ona poczuła, że trochę się czerwieni. Oczywiście, że wiedział, iż przyleciała „Williamsem”. Był to jedyny statek, który dotarł na orbitę Gyangtse w ciągu ostatnich kilku dni. Chociaż jednak był wyraźnie rozbawiony, nie robił wielkich ceregieli - wziął bilet i włożył go do czytnika swojego terminala.

- DeVries, Alicia D., tak?

- To ja.

- Dobrze. - Wystukał coś na klawiaturze i kiwnął głową. - Punkt jedenaście - powiedział, wskazując widoczne w głębi ponumerowane punkty odbioru bagażu. - Będzie za kilka minut.

- Dziękuję.

- Proszę uprzejmie. A przy okazji, witamy na Gyangtse.

- Dzięki.

Alicia podeszła do wskazanego punktu odbioru.

Jej bagaż pojawił się niemal tak szybko, jak zapowiedział urzędnik. Wyciągnęła swoją skrzynię i sprawdziła sekretne znaki, żeby się upewnić, czy nikt w niej nie grzebał. Potem załadowała na skrzynię torby, przypięła je mocno parcianym paskiem i włączyła integralny układ antygravitacyjny skrzyni. Ta posłusznie się uniosła. Alicia popchnęła ją, sprawdzając, czy równomiernie rozłożyła obciążenie. Skrzynia tylko lekko się zakołysała, a dziewczyna z satysfakcją kiwnęła głową.

Włączyła hol, kotwicząc skrzynię do małego urządzenia przy pasku, i z powrotem odwróciła się do Medrano. Skrzynia z torbami posłusznie sunęła za nią, utrzymując przepisową odległość półtora metra.

- To wszystko? - spytał starszy szeregowy, wstając.

- Wszystko - potwierdziła. Medrano spojrzał krytycznie na jej bagaż, ale chyba nie znalazł nic, do czego mógłby się przyczepić.

- W takim razie załatwmy sobie jakiś transport - powiedział i wyszli z poczekalni lądowiska.

Podczas gdy Alicia ładowała swoje rzeczy do bagażnika jednej z nielicznych taksówek portowych, Medrano zajął miejsce i zaczął wstukiwać koordynaty docelowe. Kiedy zamknęła klapę, machnął ręką, żeby wsiadła, i auto szybko ruszyło z miejsca.

Alicia zerknęła z ukosa na profil szeregowego. Miała wielką ochotę zasypać go pytaniami, ale wszyscy, których dzisiaj spotkała, wydawali się tak zainteresowani pogrzebieniem nowego żołnierza, że nie chciała dać mu do tego sposobności. Dlatego wbiła wzrok w przednią szybę wozu, mobilizując całą swoją cierpliwość.

Medrano przez jakiś czas nic nie mówił, potem nieznacznie się uśmiechnął.

- Nie denerwuj się tak, larwo - powiedział.

- Słucham? - Alicia spojrzała na niego nieco podejrzliwie, a on się roześmiał.

- Och, wciąż masz przed sobą długą drogę, zanim zostaniesz członkiem łoży, larwo. A my wszyscy, dorosłe Osy, do tego czasu zmienimy twoje życie w piekło. Ale teraz jesteśmy tylko my dwoje i wiem, że masz pytania. Więc śmiało. Możesz pytać.

- Dobra, zaryzykuję. Starszy sierżant Hirshfield mówił, że sytuacja na Gyantse robi się gorąca. Co tu się dzieje?

- Dobrze byłoby wiedzieć, nie? - Medrano nieco się skrzywił. - Porucznik odpowie ci na to pytanie lepiej niż ja, ale generalnie chodzi o to, że cały ten sektor należał kiedyś do Ligi. A to oznacza, że ciągle ktoś sprawia nam kłopoty i sieje zamęt, bo mu się wydaje, że może wykopać Impów ze swoich planet. Oczywiście to nie jest możliwe, ale miejscowym durniom udaje się od czasu do czasu o tym zapomnieć. Moim zdaniem właśnie coś takiego zaczyna się tutaj dziać.

- Czy tworzy się tutaj jakieś podziemie? - Alicii nie udało się nie zdradzić zaskoczenia, a Medrano znów się zaśmiał, tym razem bardziej chrapliwie.

- Larwo, w takich miejscach jak to zawsze jest jakieś podziemie. Zazwyczaj dość słabe, swego rodzaju przechowalnia dla największych czubków, ale zawsze jest, rozumiesz? Najczęściej reszta miejscowych jest na tyle zadowolona z naszej obecności, że czubom nie jest łatwo. Ale czasami, tak jak teraz, bywa inaczej.

- Czemu?

- A cholera wie. - Medrano wzruszył ramionami. - To znaczy pewnie porucznik wie. Jest całkiem bystra... jak na oficera. Ale ogólnie rzecz biorąc, Gyantse jest w samym środku przechodzenia ze statusu Świata Korony do Świata Inkorporowanego. Kiedy tak się dzieje, ludzie najczęściej uważają, że to dobrze; tym razem jednak sprawa wygląda inaczej. Nie mam pojęcia dlaczego. Może to przez gospodarkę, która tutaj mocno kuleje. A może Gyantseńscy są po prostu głupi jak but albo nie lubią gubernatora. A może to robota

Jaszczurów albo FALA. - Znów wzruszył ramionami. - Wszystko jedno. Chodzi o to, larwo, że mamy na planecie dokładnie jeden batalion, cwaniaki z Frontu Wyzwolenia Gyangtse ogłaszają, że są przeciwni „bliższym stosunkom” z Imperium - jakby mieli jakiś wybór - a miejscowi, którzy normalnie powinni nam wysyłać anonimy o niegrzecznych chłopcach, akurat teraz trzymają buzie na kłódkę.

- Aha.

Alicia zastanowiła się nad tym, co powiedział Medrano. Pozornie swobodny styl bycia i sposób mówienia starszego marine sprawiły, że nie doceniła - w pierwszej chwili - jego intelektu. Nie trwało to jednak długo, gdyż właśnie dzięki Medrano wiele spraw, które Alicia widziała i których nie rozumiała, nagle nabrało sensu.

Imperium Ziemi wyrosło na gruzach starej Federacji Ziemskiej, po wojnach z Ligą i następujących po nich wojnach ludzi z Rish. Olbrzymie, potężne fizycznie matriarchinie Rish nie były oczywiście „jaszczurami”. Właściwie o wiele bliżej było im do jajorodnych ziemskich ssaków, ale ich obiegowa nazwa chyba była nieunikniona, zważywszy na ich zwaliste gadzie cielska. Nie były one najlepszym sąsiedztwem w galaktyce. Bardziej wojownicze nawet od ludzi (co, Alicia gotowa była przyznać, nie było łatwe), nie przyjęły dobrze wtargnięcia ludzkości na ich międzygwiazdne podwórko w latach dwa tysiące trzysta czterdziestych. A potem było coraz gorzej, zwłaszcza kiedy ich analitycy uświadomili sobie, że ludzka gospodarka jest o wiele bardziej wydajna... i że ludzkość osiągnęła ogromną przewagę technologiczną. Fakt, że ludzie byli o wiele bardziej płodni i woleli mniejsze zagęszczenie populacji, co przekładało się na entuzjastyczną i gwałtowną falę eksploracji i kolonizacji, sprawiał, że Rish coraz mniej byli zadowoleni z ich obecności.

Co tłumaczy, dlaczego dyplomacja Sfery Rishathańskiej tak umiejętnie i cierpliwie rozgrywała nieustające napięcia między rywalizującymi ze sobą Ligą Ziemską i Federacją Ziemską. Zajęło im to sto lat ostrożnych działań, ale w końcu zdołali doprowadzić do wybuchu wojen z Ligą, które trwały od 2450 do 2510 roku i pochłonęły więcej istnień ludzkich niż wynosiły straty wojskowe i cywilne we wszystkich innych wojnach w zapisanej historii ludzkości.

Owych sześćdziesiąt lat zajadłych, śmiertelnych zmagania spowodowało, że Federacja przekształciła się w Imperium Ziemi pod panowaniem cesarza Terrence'a I z Domu Murphy. Doprowadziło także do całkowitego wojskowego i gospodarczego wyniszczenia Ligi, co jej rishathańscy „przyjaciele i sąsiedzi” natychmiast wykorzystali, rozpoczynając pierwszą wojnę ludzi z Rish druzgocącym najazdem na jej zaplecze. Ich ofiara została wzięta całkowicie zaskoczenia i zaledwie w osiem lat Sfera podbiła praktycznie całą Ligę.

Ale pechowo dla Rish, którzy do tego momentu realizowali swoje plany z powodzeniem, od którego Machiavelli zzieleniałby z zazdrości, Imperium Ziemskie okazało się o wiele trudniejszym kąskiem. Zwłaszcza że czas, który Sfera musiała poświęcić na przetrwanie terytorialnych zdobyczy na obszarze Ligi po pierwszej wojnie z ludźmi, pozwolił Terrence'owi zaprowadzić porządek na swoim podwórku oraz zreorganizować i rozbudować flotę.

Druga wojna ludzi z Rish trwała już czternaście lat. I mimo znużenia wojennym wysiłkiem oraz politycznym chaosem po wojnach z Ligą, Imperium stało zjednoczone za swoim nowym charyzmatycznym cesarzem. Poza tym do tego czasu ludzkość zdała sobie sprawę, kto jest naprawdę odpowiedzialny za sześćdziesiąt straszliwych lat śmierci i zniszczenia. Pod koniec drugiej wojny Imperium odebrało Rish dwie trzecie dawnych systemów gwiazdnych Ligi i doprowadziło Sferę na skraj całkowitej militarnej klęski. Na podstawie Traktatu Lewiatańskiego, oficjalnie kończącego wojnę, Sfera Rishathańska została zmuszona do powrotu do swoich granic sprzed pierwszej wojny, a pozostała jedna trzecia dawnej Ligi, która nie została włączona do Imperium, uzyskała nominalną niezależność - jako tak zwane Bandyckie Światy, tworzące strefę buforową między dwiema międzygwiazdowymi potęgami.

Jednak sześćdziesiąt lat międzyludzkich zmagania i „wyzwolenie” (czy przymusowa okupacja, zależnie od punktu widzenia) tylu systemów Ligi przez imperialne siły zbrojne pozostawiły Imperium w spadku jątrzące się ogniska niechęci. Nawet teraz, czterysta lat później, było to powodem przynajmniej dwóch trzecich zmartwień marines i Floty. Zbyt wiele dawnych światów Ligi wciąż było Światami Korony - zarządzanymi bezpośrednio przez gubernatorów Ministerstwa Światów Rubieży, wyznaczanych centralnie przez Imperium - mimo że liczebność populacji kwalifikowała je do statusu Inkorporowanych. Jednak przejście z zarządzanego przez Koronę protektoratu do pełnego członkostwa z reprezentacją w Senacie zawsze było bardzo delikatnym przedsięwzięciem. Zwłaszcza w takich przypadkach jak Gyangtse, gdy pierwotny związek planety z Imperium nie był do końca dobrowolny.

- To FWG, o którym wspominałeś, to znaczy Front Wyzwolenia Gyangtse czy coś takiego? - spytała po chwili Alicia.

Medrano zerknął na nią.

- Zgadłaś, larwo.

- I sprzeciwia się inkorporacji?

Mężczyzna kiwnął głową, a Alicia skrzywiła się. Oczywiście, że się sprzeciwia. A sądząc

po nazwie, robi co może, by zapobiec planetarnej debacie, czy Gyangtse powinno ubiegać się o status Inkorporowanej. Niektóre światy byłej Ligi głosowały po dwadzieścia albo trzydzieści razy, zanim ich mieszkańcy w końcu postanowili zapomnieć o przeszłości. A przynajmniej zapomnieć o niej na tyle, by zostać dobrowolnymi poddanymi cesarza.

- Były jakieś incydenty? - spytała.

- Kilka było - przyznał nieco ponuro Medrano.

- Jakiego rodzaju? - Szeregowy uniósł brew, a Alicia wzruszyła ramionami. - „Będziemy tak upierdliwi, żebyście z nami negocjowali i dla świętego spokoju dali nam to, czego chcemy” czy raczej „Jesteśmy niebezpiecznymi czubkami i wierzymy, że jeśli was wystarczająco dużo zabijemy, to sobie pójdziecie”?

- Oto jest pytanie, prawda, larwo? - W oczach Medrano zaśniło dziwne światło. Jakby pytanie Alicii go zaskoczyło. - Nikt nie przepada za świrami pierwszego rodzaju, ale to ci drudzy wysyłają do domu trupy w workach. A w tej konkretnej chwili nie mam bladego pojęcia, z którą odmianą mamy tu do czynienia.

- Rozumiem.

Alicia zamyśliła się i opadła na oparcie fotela.

Medrano znów na nią zerknął i otworzył usta, ale zaraz je zamknął. Zadumana larwa trawiła to, co jej właśnie powiedział. Nie takiej reakcji spodziewał się po kimś tak młodym, świeżo wypuszczonym z Camp Mackenzie. Może ta mała rzeczywiście coś w sobie ma?

No cóż, pomyślał sucho Leocadio Medrano, poczekamy, zobaczymy, prawda?

ROZDZIAŁ TRZECI

- No i co pan myśli o naszej nowej larwie? - spytała porucznik Kuramochi Chiyeko. Smukła, ciemnoskóra oficer siedziała wygodnie odchyłona w fotelu, trzymając w obu dłoniach kubek kawy. Sierżant ogniomistrz Michael Wheaton, najstarszy stopniem podoficer jej plutonu, zajmował miejsce po drugiej stronie zawalonego papierami biurka i również popijał kawę z własnego poobijanego kubka.

- Hmm. - Opuścił kubek i skrzywił się. - Muszę przyznać, skipper, że nie ucieszyłem się specjalnie na jej widok. - Pokręcił głową. - Teraz jestem trochę bardziej zadowolony, skoro Abe miał okazję ją obejrzeć, ale... sytuacja robi się gorąca, a oni przysyłają nam tylko jedno ciepłe ciało? I to larwę prosto z Mackenzie?

- Bierzemy, co dają - stwierdziła filozoficznie Kuramochi i Wheaton spojrzał na nią żywiej.

- Znam ten ton, skipper - powiedział odrobinę podejrzliwym tonem.

- Jakiż znów ton, sierżancie Wheaton?

Mina Kuramochi była wcieleniem niewinności.

- Ten ton „wiem coś, czego ty nie wiesz”.

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi - zapewniła.

- Skipper, moim zadaniem jest pilnować, żeby wszystkie nasze okrągłe kołeczki trafiły do okrągłych dziurek. Jeśli powinienem coś wiedzieć o tej DeVries, to jest akurat najlepsza pora, żeby mi o tym powiedzieć.

Wheaton mówił opanowanym i rzeczowym tonem, ale patrzył na swoją porucznik dość surowo. Kuramochi Chiyeko miała zadatki na dobrego oficera, inaczej nigdy nie dostałaby plutonu rozpoznania. Wraz z Wheatonem stworzyli sprawnie działający duet. Ale wciąż była tylko porucznikiem, a jednym z najważniejszych zadań sierżanta ogniomistrza było od czasu do czasu - z olbrzymim szacunkiem - palnąć swojego porucznika przez łeb.

- To znaczy oprócz tego, czyją jest wnuczką? - spytała Kuramochi.

- Wiem o jej dziadku, skipper. I wiem, że skończyła Mackenzie z drugim wynikiem. Wiem także, że obroniła dyplom pięcioletnich studiów, chociaż wciąż powinna jeszcze grać w domu w kulki. Że jest bystra jak cholera i że zrobiła wrażenie na Abe Metternichu. Wszystko to nie zmienia jednak faktu, że to złotodziób w wieku niecałych osiemnastu

standardowych lat i że nie powinna się do nas kwalifikować przez... przez co najmniej jeszcze jeden standardowy rok. Ale pani wie, że ja to wszystko wiem, więc czego jeszcze nie wiem?

- Cóż, ja właściwie nic nie wiem - powiedziała Kuramochi. - Ale niech pan spojrzy, co tu mamy. Dyplom pięcioletnich studiów na samej NAI. Do tego wynik, z jakim ukończyła Mackenzie. Ja sama miałam o wiele gorszy, a mimo to Korpus zwerbował mnie na oficera, zanim jeszcze przeszłam całe podstawowe szkolenie. Oglądałam jej dostępne profile, Mike. Ona ma lepsze kwalifikacje do patentu niż ja. Lepsze nawet niż dwie trzecie oficerów batalionu. Ale jak sam pan powiedział, rozpoznanie to nie jest miejsce, które normalnie proponuje się żółtodziobom, niezależnie od tego, jak dobre mają wyniki w Mackenzie. Chociaż nigdy nie spotkałam sierżanta majora O'Shaughnessy'ego, słyszałam o nim wystarczająco dużo, by poważnie wątpić, że to on pociągnął za jakieś sznurki, żeby wnuczka dostała to, czego chce. A więc po co nam ją dali i dlaczego nie zaczęli od delikatnych sugestii, że czeka ją szkoła oficerska?

- Nie wiem - odparł Wheaton, marszcząc czoło. Potem uniósł brwi. - To niemożliwe, skipper!

- Dlaczego nie? Wiesz, że lubią wykorzystywać rozpoznanie jako ostateczny filtr w procesie selekcji.

- Larwy z Mackenzie? - Mężczyzna pokręcił głową. - Sam nie wiem, skipper. Nigdy nie słyszałem, żeby nawet spojrzeli na kogoś, kto nie ma za sobą przynajmniej jednej pełnej tury!

- Może i nie, ale nie potrafię znaleźć innego wytłumaczenia, dlaczego ją dostaliśmy. I jak pan mówi, zrobiła wrażenie na Abe'ie, a on widział dużo larw przez te wszystkie lata. - Kuramochi wzruszyła ramionami. - Oczywiście nikt mi nic oficjalnie nie powiedział. Nie mam też dostępu do jej pełnego profilu, ale jest oczywiste, że to przypadek specjalny - zarówno jeśli chodzi o jej zdolności, jak i miejsce odbywania pierwszej tury czynnej służby.

- Cudownie - stwierdził kwaśno Wheaton. - Wie pani, skipper, czasami mam cholernie dość tych pani przemądrzałych... kolegów po fachu. Niech sami zajmują się werbunkiem i testowaniem! I zostawią nas, zwłaszcza rozpoznanie, w spokoju. Szlag mnie trafia, kiedy widzę, jak zabierają nam najlepszych ludzi, kiedy już swoje odsłużą, ale jeśli planują odebrać nam kogoś na samym początku kariery - no, to czuję się tak, jakby ktoś dał mi w gębę. Jeśli ma pani rację, dadzą nam akurat tyle czasu, żeby ją podszkolić, wytresować, a potem nam ją ukradną. Sama pani zobaczy.

- Jejku, jej. - Kuramochi wyszczerzyła się szeroko. - Co za pasja, sierżancie Wheaton!

- Tak, jasne - zaburczał sierżant. - Niech mi pani nie mówi, że nie będzie tak samo wkurzona, jeśli się okaże, że to wszystko prawda.

- Oczywiście, że nie będę - odparła z wyższością porucznik. - Ale sam taki pomysł jest niedorzeczny.

Wheaton prychnął, a ona parsknęła śmiechem, ale zaraz spoważniała.

- Myślę jednak, że musimy - zwłaszcza pan i ja - liczyć się z możliwością, że jednak się mylę. Zatem żadnego pobłażania, żadnego specjalnego traktowania - niczego, co mogłoby jej zasugerować, że jest kimś więcej niż zwykłą, może trochę wyrastającą ponad średnią larwą. Za to być może przepuszczenie jej przez wszystko, co może jej dać dodatkowo odrobinę doświadczenia, jest dobrym pomysłem.

- Zrozumiano. - Wheaton napił się kawy, potem wzruszył ramionami. - Nie za bardzo podoba mi się pomysł odwalania roboty dla kogoś spoza Korpusu, skipper, ale jeśli ma pani rację, to muszę się zgodzić. Mam porozmawiać o tym także z Abem?

- Chyba nie. - Kuramochi potarła z namysłem brew. - A przynajmniej jeszcze nie teraz. Wszyscy mamy teraz dużo na głowie w związku z miejscową sytuacją. Wiemy oboje, że jest dobry w szkoleniu nowych, więc nie utrudniamy mu tego bez potrzeby. Niech dziewczyna trochę się zaaklimatyzuje, zanim zasugerujemy Abe'owi, że powinien mieć na nią oko.

* * *

- Coś nowego z Gyangtse, szefie.

Sir Enobakhare Kereku, gubernator Systemu Martinsena w imieniu Jego Cesarskiej Wysokości Seamusa II, podniósł wzrok, kiedy Patricia Obermeyer, dyrektor jego gabinetu, weszła do biura.

- Dlaczego - spytał po chwili - ta zdawkowa uwaga przepęlnia me serce obawą?

- Bo wie pan, jakim durniem jest Aubert?

- Być może. Ale skoro już rzuca pani oszczerstwa na zalety umysłu mojego niezbyt szanowanego młodszego kolegi, nie zapominajmy o niezrównanym talencie jego dyrektora gabinetu do pogarszania każdej sytuacji.

- Punkt dla pana - powiedziała Obermeyer i skrzywiła się. - Szczerze mówiąc, myślę, że Salgado może być jeszcze większym pierdołą niż Aubert. Chociaż rozumie pan, że osiągnięcie takiego monumentalnego poziomu niekompetencji nie jest łatwe.

- Skoro już oboje sobie ulżyliśmy, może mi pani powie, jakie konkretnie złe wieści dostaliśmy z Gyangtse?

- Nie są właściwie z samego Gyangtse. - Obermeyer przeszła przez wielki, luksusowy gabinet, by położyć na brzegu biurka Kereku elektroniczny folder. - Przekazali nam je ludzie z wywiadu generała Eriksona. Według raportów major Palacios, które pułkownik Ustanow

zdecydowanie popiera, sytuacja na Gyangtse jest do dupy

- Zawsze wiedziałem, że Osy wyrażają się dobitnie - zauważył Kereku z krzywym uśmiechem. - Ale „do dupy” w oficjalnej korespondencji to trochę za bardzo dobitnie, nawet jak na jednego z nich, nie sądzi pani?

- Może pozwoliłam sobie na pewną swobodę w słownictwie, ale myślę, że w ten zwięzły sposób wyraziłam zasadnicze znaczenie uwag pułkownika.

- Obawiam się, że ma pani rację - westchnął Kereku.

I spojrzął na chip - folder z wyrazem obrzydzenia na twarzy. Potem odwrócił się do Obermeyer i wskazał jej fotel.

- Proszę to streścić, Pat. Krwawe szczegóły przeczytam później, zakładając, że znajdę na to czas.

- Ogólnie rzecz biorąc - powiedziała Obermeyer, siadając na wskazanym fotelu - jest tak samo jak zwykle, tyle że gorzej. Ustanow tak naprawdę bardzo ostrożnie dobiera słowa; jak sądzę, stara się unikać jakiegokolwiek polaryzacji stanowiska władz wojskowych i cywilnych. Ale tym razem stoi twardo za Palacios i jest zupełnie jasne - zwłaszcza po porównaniu jego depesz z ostatnimi, które dostaliśmy od samego Auberta - że Aubert nie ma pojęcia, iż sytuacja zaczyna mu się sypać. Jemu się wydaje, że cały czas świetnie nad wszystkim panuje, panie Eno. Wciąż twierdzi, że złożona przez Front Wyzwolenia Gyangtse przysięga „podjęcia walki zbrojnej”, by wyprzeć „cesarskiego okupanta z ziemi Gyangtse”, to jedynie zagrywka w negocjacjach. I mimo że on i Salgado wiedzą, jak wygląda imperialna polityka już od stuleci, tak naprawdę z zadowoleniem przyjęli udział Pankarmy w publicznej debacie nad inkorporacją.

Dyrektor gabinetu gubernatora pokręciła głową z ponurym wyrazem twarzy.

- Sprawia wrażenie, jakby nie docierał do niego fakt, że FWG może się liczyć jedynie jako głos opozycji. Ani że jako osobisty bezpośredni przedstawiciel cesarza rozmawia z kryminalistami. Ani że FWG może rzeczywiście myśleć to, co mówi o walce zbrojnej. Z tego miejsca nie potrafię powiedzieć, jakie może mieć - albo wydaje mu się, że ma - lokalne kontakty i źródła informacji, ale źródła Palacios wskazują, że na planecie odbywa się gromadzenie broni. Major posiada meldunki o przynajmniej kilku dostawach uzbrojenia spoza planety, może nawet od Sojuszu Wolności, choć przyznaje, że nie udało jej się tego potwierdzić. Mimo to w jej ocenie zagrożenie miarowo - i szybko - rośnie. A Ustanow zameldował Eriksonowi - a nie któremuś z cywilnych zwierzchników - że prośby, które składał u Auberta, o pozwolenie wzmocnienia Palacios i przyjęcia przez nią bardziej... aktywnej postawy były uporczywie odrzucane.

- A więc trzyma się własnego łańcucha dowodzenia i stara się unikać jakichkolwiek podejrzeń, że załatwia coś ponad głową Auberta - zauważył Kereku.

- Moim zdaniem tak właśnie robi - zgodziła się Obermeyer. - Zarazem jednak wyraża się bardzo mocno jak na oficera jego rangi w swoich „wewnętrznych” raportach dla Eriksona. A Erikson najwyraźniej poważnie traktuje jego obawy, ponieważ przesłał raporty Ustanowa i Palacios do mnie, nawet ich uprzednio nie czyszcząc.

- Cudownie.

Kereku nie miał szczęśliwej miny. Fakt, że ludzie Jaspera Auberta i Ákosa Salgado prawdopodobnie nawet w sprzyjających okolicznościach mieliby trudności z zapięciem sobie butów - a okoliczności wcale nie były sprzyjające - jedynie pogarszał i tak złą sytuację. Liga Ziemska i dawna Federacja zawsze miały różne punkty widzenia, nawet zanim Rish wmieszali się we wszystko. Liga wywodziła się z migracji głównie azjatyckich ludów, które z niechęcią odnosiły się do „zachodnich” wzorców z czasów bezpośrednio przed erą kosmiczną, a trzeba pamiętać, że dużą część populacji ojczystej planety stanowili Azjaci. Fakt, że Sojusz Azjatycki przegrał ostatnią wielką wojnę na powierzchni Ziemi, jedynie tę niechęć umacniał, choć trzeba przyznać, że jej najostrejsze przejawy zaczęły wreszcie zanikać... zanim na scenę wkroczyli Rish.

Po ponad wieku ostrożnych manipulacji Sfery Rishathańskiej i kolejnych sześćdziesięciu latach krwawej wojny niechęć wielu obywateli dawnych planet Ligi wobec Imperium nabrała zajadłości pielęgnowanej wręcz z religijnym zapalem. Zapalem, który o wiele łatwiej było wywołać niż potem stłumić. Czego niektóre osoby - na przykład Jasper Aubert - zdawały się zupełnie nie pojmować.

Obermeyer przez kilka chwil obserwowała wyraz twarzy gubernatora, potem pochyliła się w fotelu do przodu.

- Panie gubernatorze - powiedziała z rzadkim u niej formalizmem, kiedy byli sam na sam - musimy pozbyć się Auberta. Czasami myślę, że gdybyśmy zdołali pozbyć się samego Salgado, do Auberta jakoś byśmy dotarli - w końcu nie jest pełnym idiotą - ale Salgado kieruje nim od tak dawna, że Aubert może już być zupełnie odmóżdżony. Teraz są już jak syjamskie bliźniaki. Gdzie idzie jeden, tam automatycznie i drugi, a nie możemy sobie pozwolić na utrzymywanie tam kogoś, kto jest tak uparcie ślepy na rzeczywistość jak oni. Już nie.

- Myślę - ciągnęła - że Gyangtse naprawdę jest gotowe przyjąć status Świata Inkorporowanego. Oczywiście miejscowi oligarchowie raczej nie zdają sobie sprawy, jak to wpłynie na ich możliwość kontrolowania ludzi, których od tak dawna wykorzystywali, ale

kiedy wysyłano tam Auberta, wydawało się, że klimat faktycznie sprzyjał referendum.

- Jednak to rozpałiło ogień pod Pankarmą i jego ekstremistami. Wystraszyli się, że tym razem ich przyjaciele i sąsiedzi naprawdę będą głosowali za tym, aby zostać obywatelami Imperium, i ani trochę im się to nie spodobało. Postanowili więc coś z tym zrobić, a ich odwołanie się do gyangtseskiej biedoty, zwłaszcza miejskiej, padło na podatny grunt. Wystarczająco klasowe urazy i niepewność, jak wyżywić rodzinę, zwłaszcza jeśli propagandziści potrafią to wykorzystać. A szkoda, bo inkorporacja najbardziej poprawiłaby sytuację właśnie tej miejskiej biedoty, gdyby tylko potrafiła to zrozumieć.

- Jakby tego było mało, decyzje Auberta czynią sytuację nieporównanie gorszą. Wiem, że trudno sobie wyobrazić jakieś błędy, których jeszcze by nie popełnił, ale jestem pewna, że coś wymyśli, jeśli tylko damy mu czas. A oboje wiemy, że Salgado jest zbyt zajęty uprawianiem „*realpolitik*”, by uratować go przed samym sobą. Cholera, pewnie właśnie wymyśla nowe błędy, które Aubert będzie mógł popełnić! Nie sądzę, by sytuacja na Gyangtse była już nie do odwrócenia, ale ci dwaj do tego właśnie dążą - czy też pozwalają FWG to robić - i nie wydaje mi się, by któryś z nich miał choć blade pojęcie, jakie kłopoty mogą na siebie ściągnąć.

- Wiem, wiem. - Kereku przecesał dłonią kręcone siwe włosy. - Niestety jedynym sposobem, by pozbyć się Salgado, jest pogonienie Auberta, ale ja nie mam do tego wystarczającej władzy. Został mianowany bezpośrednio przez ministerstwo, tak samo jak ja. A mianowanie potwierdził Senat, tak samo jak moje. Może cesarz dałby radę go usunąć, ale nie ja. A gdybym spróbował...

Obermeyer niewesoło pokiwała głową. Enobakhare Kereku został wybrany do zarządzania jednym z sektorów Korony Imperium - większość planet tych sektorów pogranicza nie osiągnęła jeszcze statusu Inkorporowanego ani reprezentacji w Senacie i przez to podlegały administracji Ministerstwa Spraw Planetarnych - ponieważ posiadał duże kwalifikacje na to stanowisko. Za to Jasper Aubert został wybrany na planetarnego gubernatora w tym samym sektorze Korony jedynie dzięki swoim politycznym koneksjom. A także, jak Patricia podejrzewała w chwilach gorszego nastroju, po to, by bezpiecznie odsunąć go od Starej Ziemi i wszystkich naprawdę ważnych stanowisk. Co było bardzo korzystne dla Starej Ziemi, ale stwarzało Kereku diabelne problemy w jego sektorze. A jak Kereku właśnie zauważył, gubernator sektora, który próbowałby zwolnić wyznaczonych przez Senat urzędników, nie mógłby długo utrzymać się na swoim stanowisku. Mimo to...

- Jeśli nie uda nam się go pozbyć, lepiej zacznijmy się przygotowywać na pogorszenie sytuacji na Gyangtse - powiedziała ponuro.

- Ustanow sugeruje, że FWG naprawdę znacząco rozbudował swój arsenał?

- Tak. - Obermeyer powiedziała to sucho i rzeczowo. - Jak dotąd miał doniesienia tylko o ręcznej broni, ale chodzą słuchy - ze źródeł, które wywiad Palacios uznaje za wiarygodne - że na miejscu jest już trochę ciężkiej broni. Jesteśmy wystarczająco blisko granicy, żeby mogły się tędy przemykać najróżniejsze typy, a Palacios twierdzi, że według niej FWG ma kontakty z Sojuszem Wolności.

Kereku skrzywił się. Tak zwany Sojusz Wolności był najbardziej zajadłą, najbardziej niebezpieczną międzygwiazdową organizacją, której celem było wspieranie ruchów „wyzwolenia planetarnego” wewnątrz Imperium.

- Palacios nie wie na pewno, czy broń faktycznie pochodzi od Sojuszu - ciągnęła Obermeyer - ale raczej jest o tym przekonana. I że w drodze są kolejne dostawy. Do tego - dodała jeszcze bardziej bezbarwnym tonem - cholernie martwi się tym, że miejscowe władze, zarówno cywilne, jak i planetarna milicja, bezustannie lekceważą informacje, które im podsuwają jej ludzie.

- Cholera. - Kereku zacisnął zęby i potrząsnął głową. - Jak dokładnie siły Ustanow ma na powierzchni planety? I jak szybkiego wsparcia może spodziewać się ze strony swoich rezerw?

- Wiem, że ma na planecie swój batalion rozpoznania. To jedyni żołnierze, nie licząc planetarnej milicji, których mamy w układzie. Reszta pułku, trochę osłabionego liczebnie - zawsze tak z nimi jest, prawda? - jest podzielona na kontyngenty w sile batalionu i obsadza nie tylko Gyangtse, ale też Matterhorn i Sangamon. Daje mu to w najlepszym razie jeden batalion w rezerwie, a i ten stacjonuje na Matterhornie, ponad tydzień drogi od Gyangtse. Co do dodatkowego wsparcia, mam wrażenie, że aktywność Floty w Gyangtse jest w najlepszym razie ograniczona, a milicja planetarna - zwłaszcza jej dowództwo - chyba zanadto nie ufa ani pułkownikowi, ani Palacios. Tak naprawdę Ustanow musiałby okropnie rozciągnąć swoje wojska, gdyby chciał nimi przykryć całą planetę, nawet gdyby wszystkie jego bataliony były w pełnej sile.

Kereku kiwnął głową. Liniowy pułk marines w pełnej sile, nie licząc dołączonego do niego transportu i artylerii, liczył nieco ponad cztery tysiące dwustu ludzi. Z kolei jego batalion rozpoznania miał nominalną liczebność trochę poniżej tysiąca. Nie było tego za wiele, mimo dobrego wyszkolenia i liniowego sprzętu marines, jeśli chciało się obsadzić planetę zamieszkaną przez ponad dwa miliardy ludzi.

- Problem oczywiście polega na tym, czy chcemy go wesprzeć - zauważył gubernator sektora - czy może jedynie zezwolić na przemieszenie jego sił. Mógłby przenieść swoje rezerwy na Gyangtse, gdybyśmy mu na to pozwolili. Ale jeśli wyślemy na planetę więcej

wojska, miejscowi zrobią się jeszcze bardziej drażliwi niż są, zwłaszcza ci napaleńcy, którzy już i tak traktują nas jak okupanta. W ten sposób nie zachęcimy ich do głosowania za inkorporacją. Co grosza, dodatkowe siły mogłyby dodać Aubertowi pewności siebie, poczucia posiadania większej władzy.

- Ale jeśli nie wesprzemy Palacios, a sprawa się rypnie, zorganizowanie pomocy dla niej zajmie Ustanowowi co najmniej dwa tygodnie - a załatwienie jemu wsparcia zajmie nam najmarniej jeszcze miesiąc - zauważyła Obermeyer.

- Zgoda.

Kereku kiwnął głową i wydał usta. Znieruchomiał tak na kilka chwil, potem wyprostował się razem z fotelem jak człowiek, który podjął decyzję.

- Nie możemy przenieść na Gyangtse więcej żołnierzy - powiedział. - Jeszcze nie. Ale chcę zrobić trzy rzeczy.

- Po pierwsze, niech się pani naradzi z Eriksonem. Chcę, żeby zaplanował natychmiastowe przemieszczenie sił, aby wesprzeć Ustanowa, jeśli sytuacja się posypie. Niech przygotuje plany wysłania na Gyangtse dodatkowych sił utrzymujących porządek - może jeszcze jednego batalionu czy kompanii żandarmerii, jakichś jednostek powietrznych czy czegoś w tym rodzaju - by pomóc Palacios w razie wybuchu niegroźnych incydentów. Jeśli sytuacja będzie poważniejsza, ma mieć plan pełnego wsparcia dla opanowania działań partyzanckich ze strony FWG, może także z udziałem FALA.

FALA - Freedom Alliance Liberation Army, czyli Armia Wyzwolenia Sojuszu Wolności - była tak zwanym skrzydłem operacyjnym Sojuszu, którego członkowie rekrutowali się spośród najsprawniejszych terrorystów galaktyki.

- Ale proszę powiedzieć Eriksonowi, że nie chcę, by wiadomość o tym, że rozważamy wysłanie wsparcia, gdziekolwiek wyciekła. Konkretnie nie chcę, żeby Aubert albo Salgado dowiedzieli się o tym, choć Erikson może przekazać Ustanowowi poufną informację, nad czym pracujemy.

- Po drugie, chyba muszę odpalić łącze gwiazdne i „doradzić” Aubertowi w sprawie jego sytuacji. Muszę się zastanowić, co i jak mu powiedzieć, i chciałbym, żeby pani też się nad tym zastanowiła. Chcę z nim porozmawiać w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin i zobaczyć, czy uda mi się go chociaż trochę uczyć na to, jak sprawa wygląda.

- Po trzecie... - twarz Kereku przybrała zacięty wyraz - muszę napisać oficjalną prośbę o odwołanie Auberta i puścić ją łączem do ministerstwa. I chcę to zrobić w ciągu najbliższych dwunastu godzin.

- Panie Eno, wiem, że sama przed chwilą mówiłam, że musimy się go pozbyć -

powiedziała po chwili Obermeyer - ale on ma naprawdę wpływowych patronów na Dworze.

- Ja też mam kilku przyjaciół, pani Pat, zwłaszcza w ministerstwie. Może nie mam takiej siły przebicia w Senacie, ale earl... - Allen Malloy, earl Stanhope, był ministrem spraw planetarnych - ufa mojemu osądowi. Ma także bezpośredni dostęp do cesarza i wcale nie zależy mu bardziej niż pani czy mnie, by sytuacja tutaj się zaogniła.

- Wiem o tym. Ale on - i sam cesarz - zonglują jednocześnie wieloma piłkami. Na pewno ma pan rację, że żaden z nich nie chciałby tu widzieć rozlewu krwi czy nawet niewielkiego powstania. Bóg jeden wie, o ile by to odwlekło ostateczną inkorporację Gyangtse! Nie wspominając nawet o tych wszystkich ludziach, którzy mogliby w trakcie powstania ucierpieć lub zginąć. Ale na Starej Ziemi będą na to wszystko patrzyli z innej perspektywy niż my tutaj, w Martinsenie. Nie bez powodu wypchnęli Auberta do tej zabitej dechami dziury, i z tego samego powodu mogą go tu na dobre zostawić. A jeśli będzie pan mocno nalegał na jego odwołanie, patroni Auberta w końcu się o tym dowiedzą, niezależnie od tego, czy cesarz coś w tej sprawie zrobi.

- Być może. I być może Gyangtse rzeczywiście jest „dziurą zabita dechami”. Ale na planecie wciąż mieszkają dwa miliardy ludzi, to wciąż obywatele Imperium i wciąż jesteśmy za nich odpowiedzialni. Nie wspominając o tym, że imperialna polityka wobec separatyzmu Ligi jest wyraźnie określona i nie podlega renegotjacji. Jeśli nie pozbedziemy się stąd Auberta, stworzy sytuację, w której to ja będę musiał to dobitnie zademonstrować mieszkańcom Gyangtse, a wtedy to będzie to samo, co wymierzenie dziecku klapsa siekierą.

- Tak, sir - powiedziała cicho Obermeyer, a gubernator skinął głową.

- Dobrze. Niech pani powie Eriksonowi, żeby zaczął planować. Potem proszę wyciągnąć wszystkie nasze wewnętrzne okólniki na temat Auberta i Gyangtse z ostatniego... ja wiem, roku. Proszę je tu przynieść, kiedy już je pani zbierze, i spędzimy razem kilka rozkosznych godzin, przygotowując potężnego kopa w jego żaloszny tyłek.

* * *

- ..a gubernator Aubert zasugerował, że wszyscy możemy iść się powiesić - warknął Namkha Pasang Pankarma.

Założyciel i samozwańczy przywódca Frontu Wyzwolenia Gyangtse nigdy nie przepadał za Imperium Ziemi. W tej chwili jednak jego zazwyczaj niewzruszona twarz wyrażała furję. Ang Jangmu Thaktu, jego najbliższy doradca, wcale nie była z tego powodu szczęśliwa.

- Namkha Pasang - powiedziała. - To mi nie pasuje do Auberta.

W przeciwieństwie do większości popleczników Pankarmy, mimo jego wściekłości

ośmielała się mówić o wiele bardziej stanowczo i spokojnie odwzajemniała jego rozzłoszczone spojrzenia.

- Wiem, że jest strasznie upierdliwy - ciągnęła. - Nawet bardziej niż większość Impów. Ale najgorsze jest to, że zawsze obchodzi kłopoty dookoła, zamiast mówić o nich wprost. Osobiście od samego początku podejrzewam, że tak naprawdę chce nas zająć rozmowami, dopóki nie dojdzie do głosowania nad inkorporacją. A to świadczy, że jest kompletnym durniem. Tak czy inaczej, nigdy nie słyszałam, żeby powiedział coś tak... bezpośredniego.

- Nieważne, co powiedział! On to miał na myśli! - odpalił Pankarma.

- Może to i prawda. Ale jeśli chcemy, żeby nasz lud poszedł za nami, musimy mu powiedzieć prawdę o naszych kontaktach z Aubertem i jego ludźmi - powiedziała stanowczo Thaktu. - Musimy im przekazać oryginalny tekst w takiej postaci, w jakiej do nas dotarł.

Pankarma popatrzył na nią z jeszcze większą złością, a ona wzruszyła ramionami.

- Prędzej czy później to, co naprawdę powiedział - to znaczy jego słowa, a nie to, co mógł mieć na myśli - wydostanie się na zewnątrz. Lepiej, żeby nasz lud usłyszał to od nas i nie zaczął się zastanawiać, czy od samego początku niczego nie... upiększaliśmy.

- Dobrze - powiedział w końcu Pankarma. Odetchnął głęboko i wypuścił głośno powietrze. - Dobrze. Masz rację. Wiem. Ale wkurza mnie ta jego zarozumiała postawa.

- Namkha, wkurzałby cię niezależnie od tego, jak by się zachowywał. - Thaktu w końcu się uśmiechnęła. - Przyznaj. Nie spotkałeś jeszcze Impa, którego byś nie znienawidził od pierwszego wejrzenia.

- Być może. No dobrze. - Pankarma nawet się zaśmiał. - Na pewno. Ale to wyjątkowy przypadek, nawet jak na Impa.

Przywódca Frontu Wyzwolenia pokręcił głową.

- Tak czy inaczej, zgodził się usiąść i jeszcze raz „przedyskutować ze mną moje stanowisko”. Ale nic ponad to. Jest gotowy „dyskutować” o tym, dopóki słońce nie zamieni się w nową, ale nie spełni żadnych naszych żądań. Nie chce nawet spotkać się w pół drogi! Generalnie chodzi o to, że możemy sobie mówić tyle, ile tylko chcemy, ale na koniec i tak będziemy musieli zrobić tak, jak on chce.

- Uczciwie mówiąc, być może nie ma wielkiego pola manewru - zauważyła Thaktu. - Fundamentalna polityka Impów wobec takich jak my w końcu jest raczej jasno określona.

- Ale zawsze pozostawiała trochę miejsca na lokalne uwarunkowania, Ang Jangmu - zaprotestował Pankarma. - Mógłby zmodyfikować punkty budzące największy sprzeciw, gdyby chciał!

- Prawdopodobnie. Ale Ministerstwo Spraw Planetarnych musiałyby to zatwierdzić, a

tego nie zrobi, dopóki miejscowy gubernator nie przekona swojego szefa, że inaczej nic nie wyjdzie z głosowania za inkorporacją.

- Otóż to - warknął Pankarma. - Właśnie w ten sposób próbują zmusić ciemny lud, żeby głosował tak, jak oni chcą.

Thaktu pokiwała głową. Mimo że była najstarszym z kilkunastu przywódców FWG, którzy szkolili się poza planetą pod auspicjami FALA, tak naprawdę nie podzielała opinii Pankarmy, że uda im się przekonać Imperium Ziemi, iż Gyantse sprawia więcej kłopotów, niż jest warte, i że lepiej zostawić je w spokoju. Cokolwiek Sojusz Wolności sobie wyobrażał, było to po prostu niemożliwe. Ale gdyby FWG i jego przystawki zdołały stawić inkorporacji wystarczający opór, być może wywalczyłyby ustępstwa, dzięki którym tradycyjny styl życia i wolności Gyantse nie zniknęły bez śladu w żarłocznej paszczy Imperium.

- Z tego, co mówisz - powiedziała po chwili - wynika, że Aubert dał jasno do zrozumienia, iż nie zamierza ustąpić ani kroku, tak?

- Chyba można tak powiedzieć - zgodził się Pankarma. - Spodziewa się, że tym razem inkorporacja przejdzie w referendum. Co oznacza, że jego zdaniem nie mamy żadnych szans na odzyskanie niepodległości. I nie ma żadnego powodu, by prosił własnych panów, żeby pozwolili nam zachować większą lokalną autonomię jako Świat Korony, skoro uważa, że wszyscy zagłosujemy za zostaniem grzecznymi helotami mieszkającymi na inkorporowanej planecie.

- No cóż. - Thaktu nagle spochmurniała. - To chyba oznacza, że pora zdecydować, jak daleko jesteśmy w stanie się posunąć, żeby zmienił o nas zdanie, prawda?

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Wydaje mi się, że nie o to dokładnie im chodziło, kiedy planowali tę misję, Leo - powiedziała Alicia, patrząc na skalistą dolinę.

- Oczywiście, że o to - odparł Medrano i na jego twarzy pojawił się uśmiech.

Krępy starszy szeregowy leżał wygodnie na plecach, z plecakiem pod głową, i żuł żdźbło twardej górskiej trawy miejscowego ekosystemu. Gyangtse była górzystą planetą i widoczna w dole rzeka płynęła wysoko w górach, a oni sami znajdowali się blisko dwieście metrów ponad jej korytem. Było to tak wysoko, że nawet po dwóch tygodniach aklimatyzacyjnych porannych biegów Alicia czuła ucisk na płuca, które z trudem dostarczały organizmowi wystarczającą ilość tlenu - ale za to mieli stąd świetne pole widzenia.

- Myślałam, że mieliśmy udawać partyzantów. - Alicia obejrzała się przez ramię na Medrano.

- I udajemy. - I szeregowy machnął do Gregory'ego Hiltona, starszego strzelca sekcji Bravo. - Powiedz naszej larwie, że fajni z nas partyzanci, Greg.

- Fajni z nas partyzanci - odparł posłusznie Hilton, szczerząc się do Alicii.

- Z karabinami plazmowymi? - Alicia uniosła brew, a Hilton parsknął śmiechem.

- Hej, nie ja tu dowodzę, tylko on! - I wskazał kciukiem wylegującego się Medrano.

Drużyna strzelecka składała się zazwyczaj z trzynastu marines i była podzielona na dwie sekcje ogniowe - karabin plazmowy, grenadier i trzech strzelców - pod dowództwem własnego kaprała; całością dowodził sierżant. W tej chwili w trzeciej drużynie brakowało trzech ludzi. Przybycie Alicii wyrównało stan osobowy sekcji Bravo, ale w Alfie wciąż nie było grenadiera; sierżant Metternich potrzebował też jednego kaprała. To właśnie dlatego Medrano, strzelec plazmowy Bravo, pełnił funkcję dowódcy sekcji.

- Jeśli coś warto zrobić, warto to zrobić dobrze - powiedział teraz, szczerząc się od ucha do ucha.

Alicia popatrzyła na niego wciąż ze sporym powątpiewaniem, ale uznała, że lepiej się zamknąć. Mimo że członkowie drużyny dobrodusznie dokuczali jej w ramach procesu inicjacji, sierżant Metternich - i Medrano - okazali się całkiem ludzcy. Alicia była najbardziej zielonym z żółtodziobów i zdawała sobie sprawę, jak koszmarnie odstaje doświadczeniem od swoich kolegów.

Widząc jej minę, Medrano usiadł z westchnieniem.

- Posłuchaj, larwo - powiedział cierpliwie. - Słyszałaś dzisiaj odprawę milicji, tak? - Alicia kiwnęła głową, a szeregowy wzruszył ramionami. - Zrobili na tobie wrażenie kompetentnych?

- No...

- Tak myślałem - prychnął. - Zbyt pewni siebie, niedostatecznie wyszkoleni twardogłowi niedzielni wojownicy, tak?

- Na pewno robią co mogą. Są po tak krótkim szkoleniu... - Widać było, że Alicia sama w to nie wierzy. Hilton i pozostali marines zaśmiali się.

- Rzeczywiście widać, że jesteś prosto po Mackenzie - stwierdził Frinkelo Zigair, grenadier sekcji, kręcąc głową ze złością. Z całej drużyny najłatwiej się irytował i chyba najlepiej dostrzegał całkowity brak doświadczenia Alicii w polu, ale tym razem jego irytacja raczej dotyczyła kogoś innego.

- Jest milicja i milicja, larwo - ciągnął. - Niektórzy są cholernie dobrzy, nawet lepsi niż Osy, z którymi służyłem. A inni... lepiej, żeby nie próbowali się mierzyć z Imperialnymi Młodymi Skautami. Ta zgraja... - wskazał ruchem głowy dolinę pod nimi - miałyby problemy z samym ich znalezieniem.

Alicia miała wrażenie, że powinna coś powiedzieć na obronę milicji, choćby dlatego, że instruktorzy w Mackenzie bardzo mocno podkreślali rolę planetarnej milicji w systemie obronnym Imperium. Ale niestety, druzgocąca ocena Zigaira aż za dobrze pokrywała się z jej własnymi spostrzeżeniami z Gyangtse.

- Prawda jest taka, Alley - powiedział César Bergerat, drugi strzelec sekcji Bravo - że Frinkelo chyba ma rację. Ci goście są po prostu załośni. Co gorsza, pewnie sami o tym nie wiedzą.

- Trudno mieć do nich o to pretensję - wtrącił Hilton, a kiedy pozostali obejrzelili się na niego, wzruszył ramionami. - Och, i ty, i Frinkelo macie rację, César. Ale biorąc pod uwagę, jaka tu panuje nędza i jak niepopularne jest teraz Imperium wśród niektórych z nich, trudno powiedzieć, że milicja ma motywację, prawda?

- I dostaje główniany sprzęt i budżet szkoleniowy, za który nie wyżywiłaby się nawet rodzina komarów - zgodził się Medrano. - Jest ku temu dużo powodów i nie zamierzam ich obwiniać - a przynajmniej większości z nich - za to, że sytuacja jest kiepska. Ale zmierzam do tego, Alley, że ci ludzie, zaczynając od oficerów i idąc w dół, muszą dostać wystarczająco mocnego kopa, żeby zdać sobie sprawę, jak bardzo jest źle. Dlatego tu na nich czekamy.

Alicia przykucnęła i zamyśliła się nad tym, co właśnie usłyszała. Nie zauważyła błysku

aprobaty w oku Medrano, kiedy zamiast dalej kłapać dziobem, zaczęła analizować nowe informacje. Po kilku chwilach z powrotem spojrzała na pełniącego obowiązki dowódcy sekcji.

- A więc mówisz, że to, co oni usłyszeli na odprawie, i to, co my usłyszeliśmy, to niekoniecznie jedno i to samo?

- Dajcie larwie medal - powiedział Zigair, ale tym razem w jego głosie słychać było tylko aprobatę.

- Otóż to - odparł Medrano, nie wspominając, że jest niemal w stu procentach pewny, że sekcja Bravo dostała do wykonania tę konkretną część zadania tylko dlatego, że Abe Metternich chciał, by Alicia zobaczyła, jak to wszystko działa.

- Potem milicja będzie się awanturować - ciągnął. - Ale wtedy porucznik będzie mogła im powiedzieć, że byli ostrzeżeni, iż „partyzanci” mogą mieć ręczną broń „typu wojskowego”. A więc to nie jej wina, że im się zdawało, że to będą karabiny, bo zasadniczo... - poklepał z uczuciem swój długi, ciężki karabin plazmowy - według standardów Korpusu to nie jest ciężka broń. Szkoda, że nie pomyśleli o tym wtedy, kiedy trzeba było.

- Przynajmniej nie mamy pancerzy wspomaganych - dodał Hilton. - W końcu żadna zgraja terrorystów nie będzie miała do nich dostępu, a my chcemy grać fair, prawda?

- Oczywiście, jak mówi Leo, nie mogą mieć do nas pretensji, że źle zrozumieli to, co usłyszeli na odprawie. A skoro o tym mowa... - Bergerat uśmiechnął się złośliwie - jeśli pochopnie wyciągnęli wniosek, że wszyscy źli partyzanci muszą obowiązkowo być gdzieś tutaj, zamiast z powrotem w Zhikotse, to też ich problem.

- Ale to nie wszystko, prawda? - spytała Alicia, wciąż marszcząc czoło w zamyśleniu. - Porucznik Kuramochi chce, żeby oni dostali łomot, a nie tylko przegrali, no nie?

- Tego wprost nie powiedziała - odparł Medrano. - Abe też nie. Ale wydaje mi się jasne, że milicja już od dłuższego czasu organizowała ćwiczenia pod siebie. Tak naprawdę to jeden z ich problemów. Nie uświadamiają sobie, że człowiek więcej się uczy z przegranych niż z łatwych zwycięstw. No, dzisiaj bardzo dużo się uczą.

* * *

- No, po prostu ubaw po pachy - mruknął ponuro kapitan Karsang Dawa Chiawa, oficer dowodzący kompanii Alpha pierwszego Stołecznego Pułku Milicji Planetarnej Gyangtse, patrząc, jak jego pluton wlecze się po wyboistym dnie doliny.

Było to coś niesamowitego. Gołe potrzaskane głązy - wszystkie raczej niewielkie - które pozostawiły tu wiosenne powodzie, wystarczyły, by uprzykrzyć marsz, nie dając zarazem

żadnej skutecznej osłony. Oczywiście chłód i wilgoć ostatnich kilku tygodni sprawiły też, że grunt był rozmiękły i grząski.

Osobiście kapitan Chiawa potrafiłby wymyślić dziesiątki rzeczy, które wolałby robić tego dnia.

- Czyj to był w ogóle pomysł? - spytał stojący obok porucznik. Tak samo jak Chiawa, Tsimbuti Pemba Salaka, najstarszy stopniem dowódca plutonu, był przedsiębiorcą prowadzącym własną działalność. W przypadku Salaki oznaczało to udziały w pół tuzina sklepów spożywczych w Zhikotse.

- Pułkownika Sharwy - odparł Chiawa, a Salaka przewrócił oczami. Ang Chirgan Sharwa był jednym z najbogatszych mieszkańców miasta - według standardów Gyantse był niemal nieprzyzwoicie bogaty - i członkiem gyangtseskiej elity politycznej o licznych koneksjach. W przeciwieństwie do Chiawy, cieszył się wysokim statusem społecznym oraz polityczną i ekonomiczną potęgą, i uważał swoje stanowisko drugiego w hierarchii dowodzenia planetarnej milicji za gwarancję tej potęgi oraz dowód jego wrodzonej i naturalnej wielkości. Stanowisko to pozwalało mu także podlizywać się generałowi brygady Lobsangowi Phurbie Jongdombie, dowódcy planetarnej milicji, który prawdopodobnie był jednym z dziesięciu najbogatszych ludzi na całej planecie. Chiawa wiedział, że Jongdomba znalazł wiele sposobów czerpania zysków ze swojego stanowiska dowódcy (tak samo jak prawdopodobnie Sharwa), a ponieważ generał był jedną z najgrubszych politycznych ryb na Gyantse, Sharwa nie przepuszczał żadnej okazji, by wejść mu w tyłek.

Wszystko to jednak nie oznaczało bynajmniej, że tak zajęty człowiek jak Sharwa mógł sobie pozwolić na to, aby tracić czas i taplać się w błocie. Nie widział za to przeszkód, by wysłać w błoto resztę milicji, kiedy tylko przychodziło mu to do głowy.

- Dlaczego nie jestem zaskoczony, że to efekt zaćmienia umysłu pułkownika? - spytał sucho Salaka, a Chiawa parsknął śmiechem. On sam też nie mógł sobie pozwolić na marnowanie tutaj czasu. Zwłaszcza teraz, kiedy ekonomiczny bojkot FWG zaczynał coraz mocniej doskwierać przedsiębiorcom. Tak naprawdę poważnie rozważał możliwość zrezygnowania z funkcji w milicji, by móc poświęcić więcej uwagi swojej dwuosobowej firmie doradztwa inżynierskiego. Gdyby nie dręcząca go obawa, że ci durnie z FWG mogą mówić serio o niektórych swoich szaleńczych zamiarach, pewnie już dawno by wysłał papiery. A tak...

* * *

- Bravo, tu Alpha - powiedział cicho i wyraźnie opanowany głos w słuchawce

komunikatora wszczepionej w żuchwę Alicii. Dziewczyna leżała na z góry upatrzonej pozycji sekcji Bravo.

- Alpha, tu Bravo - odparł Medrano. - Mów.

- Bravo, cel właśnie mija pozycje Alphy i powinien wejść w wasz zasięg skutecznego kontaktu bojowego za mniej więcej dwie godziny. Koordynaty mapy: Baker-Charlie- Siedem-Dziewięć-Zero, Quebec-X-ray-Zero-Cztery-Dwa.

- Alpha, Bravo potwierdza. Koordynaty: Baker-Charlie-Siedem-Dziewięć-Zero, Quebec-X-ray-Zero-Cztery-Dwa.

- Potwierdzenie przyjęte. Spodziewajcie się kontaktu wzrokowego w ciągu piętnastu minut.

- Alpha, Bravo potwierdza kontakt wzrokowy za piętnaście minut.

- Potwierdzenie przyjęte - powtórzył sierżant Metternich. - Alpha rusza. Powtarzam, Alpha rusza. Alpha, bez odbioru.

Alicia odwróciła głowę i popatrzyła w lewo, na zachodni kraniec doliny - z tego miejsca sięgała wzrokiem daleko, mimo iż dolina była wąska - i włączyła dopalacze zmysłów.

Nie spodziewała się, że operacja wszczepienia standardowego pakietu wspomagającego marines będzie tak... nieprzyjemna, ale za to szybko opanowała nowe umiejętności, kiedy lekarze wypuścili ją ze swoich rąk i mogła wznowić treningi. I nie zamierzała narzekać na długość trwania rehabilitacji - nie teraz, kiedy mogła widzieć z ostrością dobrej, wzmacniającej światło lornetki, nawet bez sensorów hełmu, uruchamiając jedynie odpowiednią sekwencję poleceń wszczepionego procesora. Podejrzewała, że nie powinna używać ulepszeń, ponieważ parametry ćwiczenia zakazywały „partyzantom” korzystania z systemów hełmów, ale uznała, że nikt się za to na nią nie wkurzy.

Obraz idealnie się wyostrzył. Przez dłuższy czas nic się nie działo, potem Alicia dostrzegła jakiś ruch.

- Mam ruch - zameldowała przez sieć taktyczną sekcji.

- A kimże jesteś, dobry człowieku? - usłyszała głos Leocadia Medrano i zaczerwieniła się jak burak.

- Eee... Bravo-Jeden, tu Bravo-Pięć - powiedziała, dziękując Bogu, że nikt nie może widzieć jej płonącej rumieńcem twarzy. - Mam ruch na dwa-osiem-pięć. Odległość... - spojrzała na znaczniki dalmierza nałożone na jej wzmocnione pole widzenia - jedenaście klików.

- Jeden, tu Dwa - powiedział cicho Frinkelo Zigair. - Potwierdzić obserwację.

- Potwierdzam - odpowiedział Medrano. Alicia usłyszała cichy chrobot, kiedy strzelec

plazmowy przysunął się do krawędzi półki, na której leżeli. Przez kilka sekund milczał, najwyraźniej oceniając sytuację. Potem znów odezwał się na sieci.

- Jedyńka widzi cel - potwierdził. - Wygląda na to, że idą dokładnie tamtędy, gdzie się ich spodziewaliśmy. Zajmie im to jeszcze jakieś półtorej godziny, biorąc pod uwagę, jak wolno się poruszają. Czwórka.

- Tu Czwórka - zgłosił się César Bergerat.

- Ty masz chyba najlepsze pole widzenia. Kiedy tu dojdą, weźmiesz na siebie detonator.

- Czwórka potwierdza. Mam detonator.

- Trójka, skoro zbliżają się ze wschodu, ty i Piątka dostajecie ochronę perymetru. Przejść na pozycję gamma.

- Jedyńka, Trójka potwierdza - odparł Gregory Hilton. - Przechodzimy na gamma.

Hilton wyciągnął rękę i klepnął Alicię w piętę. Kiwnęła energicznie głową i wycofała się, pełznąć, znad krawędzi półki, uważając, by jej sylwetka nie odcinała się na tle szarego, zachmurzonego nieba; nie wykonywała też żadnych ruchów, które mogłyby zostać zauważone z dołu. Potem odwróciła się i zgięta wpeł pobiegnęła szybkim truchtem za Hiltonem do przygotowanego uprzednio miejsca, z którego mieli widok na praktycznie jedyną drogę dojścia z dna doliny do głównej pozycji sekcji.

Dotarli tam w nieco ponad dziesięć minut i usadowili się w starannie zamaskowanych dziurach. Instruktorzy Alicii z Camp Mackenzie byliby zachwyceni takim polem ostrzału, a sama Alicia była pod wrażeniem tego, jak dokładnie Medrano kazał im zamaskować swoje pozycje. Była przekonana, że całkiem sporo ludzi pozwoliłoby sobie na pewną niedbałość, mając na uwadze możliwości kamuflażu - kameleona mundurów Korpusu i świadomość, że to zwykłe ćwiczenie, a ich przeciwnikiem jest zaledwie planetarna milicja, i to niezbyt dobra. Ale Leocadio Medrano chyba tak nie myślał, a jeśli opinia zwykłej larwy mogła być cokolwiek warta, Alicia popierała to całym sercem.

- Jedyńka, tu Trójka. Trójka i Piątka na pozycji gamma - zameldował Hilton, jednocześnie wyjmując magazynek ze swojego M-97 i montując w jego miejsce czterystunabojowy zasobnik ćwiczebnej amunicji.

Alicia otworzyła drugi, ale nie zamocowała go do swojej broni. To Hilton był odpowiedzialny za ciężki ostrzał, a ponieważ waga zasobnika zmieniała karabin w lekki karabin maszynowy i powodowała, że był mniej poręczny, zadaniem Alicii było pilnowanie flank, kiedy Hilton będzie się zajmował stawianiem zapory ogniowej. W razie potrzeby będzie mogła szybko podczepić drugi zasobnik do własnego karabinu; w przeciwnym razie będzie tylko stał w pogotowiu, pozwalając Hiltonowi nieco szybciej przeładować.

- Trójka, Jedyńka potwierdza - odparł przez sieć Medrano. - A teraz siedzimy na swoich miejscach.

* * *

- Widać ich gdzieś, sierzancie? - spytał kapitan Chiawa, rozglądając się po dolinie, która przez ostatnich kilka godzin zrobiła się jeszcze bardziej kamienista, błotnista, jałowa - i zimna.

- Nie, Karsangu Dawo - odparł sierżant Nursamden Nyima Lakshindo, a Chiawa ukrył grymas niezadowolenia. Swobodne zachowanie Lakshindy było - niestety - zasadą, a nie wyjątkiem wśród żołnierzy gyangtseskiej milicji. W cywilu (czyli przez dziewięćdziesiąt procent czasu) sierżant był całkiem niezłym komputerowym kreślarzem. Pracował nawet w firmie doradczej Chiawy. Miało to pewne zalety, jeśli chodzi o ich wspólną służbę w milicji, ale utrudniało utrzymanie czegoś, co byłoby przynajmniej zbliżone do wojskowej dyscypliny.

- Jeśli nie postanowili odpuścić sobie całego ćwiczenia - powiedział porucznik Salaka - muszą być gdzieś na odcinku następnym dziesięciu klików.

- Może.

Chiawa w zamyśleniu podrapał się po brodzie, patrząc w głąb doliny. Słońce zmierzało w stronę zachodniego horyzontu i kapitan musiał mrużyć oczy przed słonecznym blaskiem.

- Co to znaczy „może”? - spytał Salaka. - Mamy ścigać zgraję „partyzantów”, którzy mogą nam się odwinąć, tak?

- Tak powiedział pułkownik - odparł Chiawa. - Z drugiej strony według odprawy „partyzanci”, których ścigamy, mieli wysadzić jakiś cel w Zhikotse, zanim zostaną „zauważeni” i będą musieli uciekać. A Osy podobno są podstępne, tak?

- No i? - Salaka był wyraźnie zdezorientowany.

Chiawa prychnął.

- No i założmy, że od samego początku naprawdę planowali „atak” w stolicy.

- Ale tego nie było na odprawie - zaprotestował Salaka.

- I co z tego? Wiesz, że major Palacios od tygodni sugeruje, że nasze scenariusze ćwiczeń tak naprawdę nie są realistyczne. A jeśli postanowiła coś z tym zrobić? Ci „partyzanci”, których mamy ścigać, mogli się gdzieś przyczaić i ukryć, kiedy obok nich przechodziliśmy. Teraz mogą być w drodze z powrotem do stolicy, żeby przeprowadzić swój „atak”, a tymczasem my włączymy się po tym pustkowiu i ich szukamy.

- Ale ćwiczenie nie tak miało się odbywać - zaprotestował Salaka tonem niedowierzania i jednocześnie urazy.

- Nie, nie tak - zgodził się Chiawa, tłumiąc chęć wytknięcia mu, że właśnie to powiedział. Jeszcze przez chwilę myślał, bębniąc palcami prawej ręki o udo, a potem machnięciem dłonią przywołał radiowca.

W przeciwieństwie do sprzętu marines, starszy, mniej zaawansowany technologicznie osobisty sprzęt łącznościowy milicji nie miał wystarczającego zasięgu, by odbić sygnał od jednego z satelitów telekomunikacyjnych Gyangtse, zwłaszcza w górach. Wymagało to większego, cięższego nadajnika, który radiowiec musiał nosić na plecach; Chiawa uśmiechnął się ze współczuciem do spoconego, zmęczonego chłopaka, kiedy sięgał po mikrofon. Antena kierunkowa radia wysunęła się i namierzyła jednego z satelitów.

- Baza, tu Zwiad Jeden.

Nie było żadnej odpowiedzi. Chiawa skrzywił się.

- Baza, tu Zwiad Jeden - powtórzył po dwóch czy trzech sekundach.

Po ośmiu powtórzeniach w końcu odezwał się znudzony głos.

- Zwiad Jeden, tu Baza. Co mogę dla pana zrobić, kapitanie?

- Baza, chciałbym rozmawiać z pułkownikiem.

- Obawiam się, że pułkownik Sharwa nie wrócił jeszcze z obiadu, kapitanie - powiedział inny, bardziej energiczny głos. - Mówi major Cusherwa.

Chiawa wzniosł oczy do nieba i westchnął, zastanawiając się, czemu nie jest bardziej zdziwiony, że Sharwa jeszcze gdzieś się obżera.

- Panie majorze - powiedział, kiedy był już pewien, że panuje nad swoim głosem - właśnie przyszła mi do głowy paskudna myśl. Jak dotąd nie nawiązaliśmy żadnego kontaktu. Nigdzie ich nie ma. Zaczynam się zastanawiać, czy przypadkiem nie prześliznęli się obok nas i nie zmierzają do swojego celu w stolicy.

- To faktycznie paskudna myśl - odpowiedział major pełnym skupienia głosem.

Był zaledwie jednym z trzech majorów w pułku Sharwy, i to najmłodszym, i wszyscy wiedzieli, że tak naprawdę to Ang Chembal Cusherwa odwała robotę za pułkownika. Pech chciał, że major - mól książkowy - Cusherwa był zapalonym czytelnikiem i całkiem niezłym historykiem-samoukiem - nie miał możliwości całkowitego odsunięcia Sharwy od dowodzenia, bo wtedy być może naprawdę udałoby się coś zdziałać.

- Widział pan coś, co by dowodziło, że tak właśnie jest? - spytał po chwili.

- Nie - przyznał Chiawa - ale w ogóle nic nie widziałem. A zbliżamy się do końca ustalonych ram czasowych ćwiczenia. Myślę o tym, co major Palacios powiedziała mimochodem, że zbyt niewolnicze podejście do swoich własnych oczekiwań może się zemścić podczas ćwiczeń.

- Rozumiem. - Cusherwa milczał parę chwil. - Mam nadzieję, że to tylko pańskie odczucia. Ale na wszelki wypadek, gdyby tak nie było, postawię nasze patrole w mieście w stan gotowości. Tymczasem proszę zakończyć zwiad najszybciej jak się da i wracać.

- Zrozumiano. Zwiad Jeden, bez odbioru.

Chiawa oddał mikrofon radiowcowi i spojrzał na Salakę i Lakshinę.

- Słyszeliście majora - powiedział. - Niech ludzie się ruszają.

* * *

- Czy ci goście nie wydają się panu trochę bardziej podejrzliwi, sierzancie? - spytała kpiąco Evita Johansson.

- Moim zdaniem wyglądają tak, jakby usiłowali być trochę bardziej podejrzliwi - odparł sierżant Abraham Metternich. - Gdybym uważał, że potrafią wymacać własną dupę obiema rękami, trochę bym się tym przejął. Ale tylko spójrz na nich.

- Trochę uprzejmiej, sierzancie - powiedział starszy kapral Sandusky. - Niech pan pamięta, że jesteśmy tutaj gośćmi.

Sandusky, dowódca sekcji Alpha trzeciej drużyny, miał talent do naśladowania głosów - i teraz mówił zupełnie jak jeden z narratorów szkoleniowych holowidów Korpusu albo filmów przyrodniczych produkowanych przez Imperialne Towarzystwo Astrograficzne. Pozostali członkowie sekcji zaśmiali się z uznaniem, ale wszyscy zgadzali się z oceną Metternicha.

Trzej milicjanci, których dotyczyła uwaga Johansson, wysiedli przynajmniej ze swojego pojazdu, stali na rogu ulicy i rozglądali się na wszystkie strony. Ostatnim razem, kiedy pułk pułkownika Sharwy przeprowadzał w stolicy coś, co określał „ćwiczeniem gotowości obronnej”, większość żołnierzy przydzielonych do punktów kontrolnych na ulicach siedziała wygodnie w swoich transporterach. Metternich podejrzewał, że większość z nich uważała „ćwiczenie” głównie za okazję do złapania paru dodatkowych godzin snu, choć zdawał sobie sprawę, że obrzydzenie, które czuł do wyższych oficerów milicji, może wpływać na jego ocenę zachowania ich podwładnych.

Jak by nie było, tym razem milicjanci w pasywnych pancerzach osobistych stali na powietrzu, rozstawieni tak, by mieć dobre pole widzenia na obie strony ulicy. Ten konkretny punkt kontrolny znajdował się w sercu dzielnicy handlowej, na jednej z głównych arterii centrum Zhikotse, a nie wśród krętych, wąskich uliczek miasta. Oznaczało to, że milicjanci całkiem daleko sięgali wzrokiem, co przypuszczalnie zwiększało ich poczucie bezpieczeństwa. A to z kolei przekładało się na ich swobodne zachowanie. Milicjanci byli tam, gdzie powinni być, i robili to, co powinni robić, ale widać było po nich, że nie są

skupieni na wykonywanym zadaniu. Karabiny mieli zarzucone na plecy, dwaj trzymali ręce w kieszeniach, i żaden nie wykazywał się czujnością.

- Myślicie, że nas zatrzymają? - spytała Johansson. Szeregowy siedziała za kierownicą cywilnego vana dostawczego, którego Metternich zajął jako środek transportu dla swojej pierwszej sekcji, i jechała w stronę milicjantów ze stałą prędkością czterdziestu kilometrów na godzinę. Jej pytanie przyjęto z rozbawieniem; była zbyt doświadczona, by zrobić coś, co mogłoby na nich zwrócić uwagę - na przykład zwolnić.

- Przeszukają nas - powiedział Metternich z fotela pasażera, wzruszając ramionami. Potem spojrzął do tyłu. - Jeśli będziemy musieli ich zdjąć, zrobmy to szybko. - W odpowiedzi Sandusky kiwnął głową.

Tak jak pozostali członkowie sekcji Metternicha, starszy kapral siedzący na podłodze paki vana był ubrany w mundur milicji, a nie kamuflujący uniform połowy marines i pancerz osobisty. Zważywszy na fakt, że populacja Gyangtse była genetycznie jeszcze bardziej jednorodna niż większość dawnych światów Ligi, tylko Johansson wyglądała na tubylca. Na pewno nikt nie uznałby reszty trzeciej drużyny za miejscowych, gdyby lepiej im się przyjrzał. Ale nawet kompetentni ludzie często widzą to, co spodziewają się zobaczyć, a tutejsi herosi nigdy nie pozwolili do plakatów reklamowych „Kompetentni, Inc. ”. Stąd mundury milicji.

Oczywiście gdyby na punkcie kontrolnym faktycznie zatrzymano samochód i zajrzano do środka, milicjanci z pewnością zorientowaliby się, co się dzieje. Tyle że w samochodzie był Sandusky. Każdy, kto go dobrze nie znał, mógłby się dać oszukać, że jest tak spokojny, na jakiego wygląda. Ale Metternich dobrze go znał. Leżący na kolanach kaprała M-97 z tłumikiem był gotów „zneutralizować” punkt kontrolny milicji w mgnieniu oka, gdyby zaszła taka potrzeba.

Ale nie zaszła. Jeden z milicjantów podniósł tylko wzrok, kiedy Johansson skręcała w prawo przed punktem, i ledwie rzucił okiem na jej mundur. Było oczywiste, że myśl o sprawdzeniu jej dokumentów czy pytaniu, dokąd jedzie, w ogóle nie przyszła mu do głowy, i choć Metternich był za to wdzięczny - bardzo mu to ułatwiało życie - pokręcił z niesmakiem głową.

- To dopiero olewactwo, sierzancie - stwierdziła z przekąsem Johansson, a Metternich wzruszył ramionami.

- Nie da się ukryć, Evita. Pewnie wypatrują nas na piechotę czy coś takiego. W końcu skąd mielibyśmy wziąć samochód?

- W takim razie niech Bóg ma nas w opiece, kiedy FWG zacznie na poważnie - mruknęła Johansson.

* * *

- Wszystkie Bravo, tu Jedyńka - powiedział cicho Medrano przez sieć. - Przygotować się do wykonania. Teraz!

César Bergerat nacisnął przycisk detonatora i flash-bangi - granaty ogłuszająco - oślepiająco, które sekcja starannie rozmieściła wśród potrzaskanych gładów w dole - wyskoczyły na wysokość głowy i eksplodowały z oślepiającym błyskiem i gromowym hukiem. Sygnały radiowe, które jednocześnie wysłały, uaktywniły sensory na uprzężach ćwiczebnych marines, które major Palacios wydała milicjantom na czas ćwiczenia. Rozbłyskujące bursztynowo wizualne alarmy wskazywały, że dobrze ponad jedna trzecia kompanii kapitana Chiawy w jednej chwili „poległa”.

* * *

- Szlag!

Karsang Dawa Chiawa nie wiedział dokładnie, skąd dobiegł ten zduszony krzyk, ale całkiem dobrze oddawał on jego uczucia. Widział już wybuchające podczas ćwiczeń flash-bangi, ale tylko pojedynczo i po dwa. Nigdy nie był tak blisko kilkunastu wybuchających jednocześnie, a paraliżujący efekt nagłej nawały światła i dźwięku był o wiele gorszy, niż kapitan kiedykolwiek przypuszczał.

A potem zobaczył rozbłyski lampek na ćwiczebnych uprzężach, reagujących na zabójcze śruciny, które w prawdziwej bitwie zostałyby wypuszczone przez staromodne miny typu claymore.

- Kryć się! - krzyknął. - Wszyscy kryć się, zanim...

* * *

- Auć - powiedział Gregory Hilton, patrząc na chaos, w jakim pogrążyła się nagle idąca przodem połowa kompanii milicji. - Będzie bolało - dodał tonem głębokiej zawodowej satysfakcji.

Alicia pokiwała głową, patrząc, jak bezradni milicjanci biegają w kółko. Przynajmniej połowa tych, których uprząże dawały sygnały, że właśnie polegli, była zbyt oszołomiona, by zrozumieć, że powinni usiąść i udawać zabitych.

Jednak dotarło to do nich chwilę później. Alicia widziała moment, w którym wbudowane w uprząże procesory zdały sobie sprawę, że ich posiadacze nie reagują tak jak trzeba, i uaktywniły obwody „szczypaczy”. Ludzie zaczęli się więc, kiedy zupełnie nieszkodliwe, ale bardzo nieprzyjemne stymulatory nerwowe przypomniały „poległym”, że właśnie zginęli.

Alicia doświadczyła tego na własnej skórze - raz - na ćwiczeniach w Mackenzie, i ten jeden raz wystarczył, żeby przysięgła sobie nigdy więcej nie lekceważyć pierwszych sygnałów ostrzegawczych własnej upręży. Teraz skrzywiła się ze współczuciem, kiedy milicjanci rzucili broń i bardzo gwałtownie usiedli.

- Jejku, jej - mruknął Hilton. - Ciekaw jestem, czy będą się palić do pożyczania frontowego sprzętu na następne ćwiczenia.

* * *

Chiawa zaklął, kiedy jego zmalretowane bębniarki zarejestrowały odgłosy oburzenia i cierpienia wydawane przez jego co bardziej powolnych ludzi. Nie miał jednak zbyt wiele czasu, by się nad tym zastanawiać, ponieważ nagle jego własna kamizelka zaczęła błyskać. Kapitan spojrział na swoją pierś, a potem szybko usiadł, zanim sprzęt zdążył go upomnieć.

Salaka był nieco wolniejszy i Chiawa omal nie wybuchnął śmiechem, kiedy porucznik nagle zaskomlał i chwycił się obiema rękami za siedzenie; przez chwilę tańczył w miejscu, a potem rzucił się na ziemię kilka metrów od kapitana.

A później Chiawa zobaczył, jak upręże jego pozostałych ludzi zaczynają migotać.

* * *

Alicia obserwowała, jak światełka upręży rozbłyskują na całym dnie doliny. Na czas ćwiczenia major Palacios poszła na ustępstwa wobec milicji i zabroniła swoim marines używać sensorów hełmów czy HUD-ów na synth-złączach, ale i bez nich własny wzrok Alicii - i oczywiście jego procesory wspomagające - wystarczyły aż nadto, by mogła obserwować, jak Medrano metodycznie przesuwają symulowany ogień swojego karabinu plazmowego po zatrzymanej kolumnie milicjantów. Podłączony do broni symulator był ustawiony na maksymalny rozrzut i każdy strzał odpalał wszystkie upręże w promieniu prawie dwudziestu metrów. Techniczne określenie tego, co widać, pomyślała Alicia, prawdopodobnie brzmi „masakra”.

- Ups - rzucił Hilton tonem swobodnej konwersacji. - Wygląda na to, że jednak robota nas nie minie, larwo. Miej oko na prawą stronę.

- Robi się - potwierdziła Alicia, skupiając uwagę na dużej milicyjnej drużynie, która przemieszczała się niemal wprost na ich pozycję z lewej strony, ale tym miał się zająć Hilton. Ona powinna była zadbać o to, by nikt mu w tym nie przeszkadzał.

Trudno było stwierdzić, co zbliżająca się drużyna zamierza zrobić. Może jej dowódca domyślił się, gdzie znajduje się karabin plazmowy, który rozdzierał ich kolumnę na strzępy, i

chciał zająć Medrano z flanki - w końcu Alicia i Hilton zajmowali swoją pozycję właśnie dlatego, że było to jedyne sensowne podejście do stanowiska Medrano z dna doliny - ale bardziej prawdopodobne było, że milicjanci zwyczajnie chcą się ukryć w jednym z tych nielicznych miejsc, których Medrano nie mógł ostrzelać ze swojej półki.

Ale Gregory Hilton nie miał takiego problemu. Strzelec ułożył się wygodnie, oparł karabin na kupce ziemi, którą usypał, wykopując swoją jamę, a potem nacisnął spust.

Ślepaki z zasobnika przypiętego do jego M-97 miały dawać błysk i huk, aby można było namierzyć jego pozycję, w tym przypadku jednak była to zwykła formalność, ponieważ żaden z jego celów nie miał czasu zareagować. Laserowy dalmierz karabinu mógł bowiem działać jako wyznacznik celów dla amunicji kierowanej... albo aktywować czujniki uprząży ćwiczebnych.

Hilton przeciągnął „ogniem” po zbliżających się milicjantach, a ci zatrzymali się raptownie, gapiąc się z niedowierzaniem na błyskające na ich piersiach lampki. Niektórzy znów spojrzeli w górę, jakby próbowali ustalić, skąd zostali ostrzelani, większość jednak zaczęła pospiesznie siadać na ziemi, zanim uprząże ich do tego ponagliły.

- Wyjątkowo dobrze się tu poluje, larwo - zażartował Hilton, odwracając wzrok od kilkunastu milicjantów, których właśnie zachęcił do stopienia się z lokalnym krajobrazem. - Zwłaszcza niektórym - dodał z szerokim uśmiechem, obserwując, jak ostrzał Medrano i precyzyjnie mierzone „granaty” z granatnika Zigaira kończą to, co zaczęły flash-bangi.

Symulowana rzeź była równie totalna, jak nagła; Hilton pokręcił głową, patrząc na zaścielające dno doliny „ciała”.

- Na przyszłość lepiej trenujcie - rzucił w kierunku bezradnych milicjantów. - My nie żartujemy.

* * *

- Bez żartów, Cusherwa! - powiedział ze zniecierpliwieniem pułkownik Sharwa. - Nawet gdyby Chiawa miał rację, a nie ma, jak według pana tuzin cudzoziemców miałby się dostać do miasta tak, żeby nikt ich nie zauważył?

I Sharwa prychnął z niesmakiem. Podejrzewał, że przynajmniej w części sam jest za to odpowiedzialny. Karta win w jego ulubionej restauracji często była powodem przedłużenia przerwy obiadowej, ale dzisiaj tak naprawdę nie powinien był sobie na to pozwalać. Nie w trakcie ćwiczeń. A już zwłaszcza wtedy, kiedy - jak jasno dowodziła relacja Cusherwy - jego podwładni, pozbawieni stanowczego przewodnictwa swojego pułkownika, gotowi byli widzieć wroga za każdym rogiem.

- Teraz - powiedział - przede wszystkim trzeba...

- Przepraszam, panie pułkowniku.

Sharwa podniósł wzrok, krzywiąc się ze złością.

- Czego? - warknął.

- Przepraszam, że przeszkadzam - powiedział łącznościowiec - ale odbieramy niejasne sygnały od kompanii kapitana Chiawy.

- Co to znaczy „niejasne”?

- Nie jesteśmy pewni, sir. To tylko urywki z ich komunikatorów krótkiego zasięgu, a i tego nie odbieramy zbyt wiele. Ale to brzmi tak, jakby byli atakowani.

- Proszę bardzo! - Sharwa popatrzył gniewnie na Cusherwę. - Widzi pan, co się dzieje, kiedy młodszy oficer zapomina w polu o swoich obowiązkach i zajmuje się jakimiś dziwnymi wymysłami!

* * *

- Teraz - powiedział sierżant Metternich i marines sekcji Alpha trzeciej drużyny drugiego plutonu wyszli z pożyczonej furgonetki. Poruszali się bez specjalnego pośpiechu, spokojnie, jakby mieli wszelkie powody, by tutaj być. Zdażyli przejść trzy czwarte odległości od miejsca parkingowego do budynku, zanim któryś z milicjantów w ogóle na nich spojrział.

Pokonali już prawie całą pozostałą odległość, gdy wreszcie zdał sobie sprawę, że niezależnie od tego, co na sobie mają, pasażerowie furgonetki nie są Gyangtseńczykami.

- Zaraz, mom... - zaczął. Sandusky spokojnie obrócił w jego stronę wyciszony M-97 i otworzył ogień.

Tłumik karabinu był wyjątkowo skuteczny; milicjanci w osłupieniu patrzyli, jak ich uprząże zaczyna błyskać. A potem włączyły się obwody „szczypaczy”... i „zabici” wartownicy nagle zaczęli robić więcej hałasu niż karabin, niesłuchanie szybko usadzając siedzenia na chodniku.

Sandusky i jeden ze strzelców sekcji odłączyli się, zajmując pozycje dające im dobre pole ostrzału chodnika i ulicy tuż przed budynkiem, a Metternich, Johansson i reszta sekcji Alpha otworzyli tymczasem wejściowe drzwi, wrzucili do budynku dwa „granaty” hukowo-błyskowe i chwilę później sami wpadli do środka z bronią w pogotowiu.

* * *

- Co to, do... - zaczął pułkownik Sharwa, kiedy rozdzierający uszy trzask „granatów” Metternicha zatrząsł biurwcem, który na czas ćwiczeń stał się kwaterą główną milicji, i

spojrzał ze złością na wciąż stojącego w drzwiach łącznościowca.

- Idź się dowiedz, co tu się, do cholery, dzieje! - warknął.

- Tak jest, sir! Natychmiast.

Łącznościowiec odwrócił się na pięcie, a potem nagle znieruchomiał.

Po chwili żołnierz zaczął wolno i ostrożnie wycofywać się do biura. Sharwa już otworzył usta, by nawrzeszczyć na nieszczęśnika, po czym zamarł, wciąż z otwartymi ustami, kiedy za łącznościowcem wszedł do pokoju sierżant Abraham Metternich z Imperialnego Korpusu Marines.

- Dzień dobry, panie pułkowniku Sharwa - powiedział z wyszukaną wojskową uprzejmością.

Potem uniósł karabin i uprząż Sharwy zaczęła błyskać, gdy marine nacisnął spust.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Szlag by trafił tego sukinsyna!

Gubernator planetarny Jasper Aubert rzucił się na wygodny fotel za biurkiem. Był wysokim mężczyzną, zazwyczaj chlubiącym się eleganckim, pełnym godności wyglądem polityka odnoszącego sukcesy na Starej Ziemi. W tej chwili jednak przypominał raczej rozwydrzone dziecko w napadzie hysterii niż osobistego przedstawiciela Seamusa II.

- Pankarma? - spytał Ákos Salgado, wchodząc za gubernatorem do gabinetu.

- Co? - Aubert oderwał wzrok od studiowania suszki na biurku.

- Pytałem, czy to się odnosi do Pankarmy i jego durniów z FWG.

- Właściwie nie - prychnął Aubert, porzucając na chwilę swój kulturalny staroziemski akcent. - Nie żeby Pankarma nie był sukinsynem, ambitnym, być może nawet zdradzieckim bydlakiem, ale „odnosiło się to”, jak pan to ujął, do tego drugiego sukinsyna, Kereku.

- Aha. - Salgado kiwnął głową. Gubernator Świata Korony nie powinien był tak się wyrażać o gubernatorze sektora, dla którego teoretycznie pracował, zważywszy jednak na fakt, że jego własna opinia na temat sir Enobakhare Kereku była zbliżona do opinii jego bezpośredniego przełożonego, nie miał zbyt wielkiej ochoty wytykać Aubertowi niestosowności jego uwag.

- Czy wolno spytać, co nasz dobry gubernator sektora zrobił tym razem? - spytał po chwili.

- Postanowił mi „doradzić” - warknął Aubert. - Jezu! Rozmawia ze mną tak, jakbym był jakimś politycznym żółtodziobem! Cholera, jak ja nienawidzę takich biurokratów - karierowiczów, którym się wydaje, że wiedzą, na czym polega polityka! Myśli pan, że taki oderwany od rzeczywistości dupek jak Kereku przetrwałby pół roku w świecie prawdziwej polityki na Ziemi?

- Sir Enobakhare?

Salgado zaśmiał się na tę myśl, choć mimo silnej niechęci do Kereku (oraz jego sztywnej dyrektorki gabinetu, Obermeyer) musiał w duchu przyznać, że Kereku wcale nie był oderwanym od rzeczywistości intelektualistą. Po prostu był mocno związany z blokiem reakcjonistów skupionych wokół sir Jeffreya Madisona, obecnego ministra spraw zagranicznych, oraz earla Stanhope'a, obracającego się w wyższych kręgach hierarchii

Ministerstwa Spraw Planetarnych. Salgado był protegowanym senatora Gennady'ego, tak samo jak Aubert, co oznaczało, że Kereku był o wiele bardziej skłonny niż oni dwaj prowadzić politykę konfrontacji. To prawda, że gubernator sektora był biurokratą, nigdy nie zasiadając na obieralnym stanowisku, ale przy tym wszystkim jednak trudno było go nazwać typowym przedstawicielem swojego rodzaju.

Kereku rozpoczął karierę w korpusie dyplomatycznym i miał tam świetne wyniki, a potem - kilkadziesiąt lat temu - przeszedł do spraw planetarnych. Salgado nie miał zbyt wielkiej wiary w jego ocenę sytuacji na Gyantse, musiał jednak przyznać, że Kereku przynajmniej doszedł do swojej pozycji ciężką pracą. Choć nigdy nie wygrał żadnych wyborów, szkolił się na takich właśnie stanowiskach, jak to zajmowane teraz przez Salgado - nie wspominając o pięciu odrębnych posadach gubernatora Światów Korony i nadzorze nad dwoma zakończonymi powodzeniem referendum inkorporacyjnymi, zanim powierzono mu obecną funkcję.

Wszystko to jednak nie oznaczało bynajmniej, że myśl o Kereku jako odnoszącym sukcesu polityku była mniej zabawna.

- Można bezpiecznie powiedzieć, że gubernator sektora... nie potrafiłby prosperować w świecie prawdziwej polityki - stwierdził Salgado, kiedy tylko przestał się śmiać.

- Oczywiście, że by w nim nie przetrwał - powiedział Aubert z gniewem - a mimo to poucza mnie. Mówi o „dynamice sytuacji” tutaj, na Gyantse, jakby był na tej planecie więcej niż raz czy miał jakiegokolwiek pojęcie, co ci cholerni neobarbarzyńcy próbują zrobić!

- Poucza pana? Jak to „poucza”, panie Jasperze?

- Najwyraźniej uważa, że nie wiem, co się tu dzieje - powiedział gorzko Aubert. - Na podstawie własnych licznych doświadczeń - z innych planet! - uważa, że cały ten świat za chwilę zmieni się w kulę plazmy! Mówi nawet o możliwości tworzenia się jakiegoś poważnego ruchu zbrojnego oporu, jakby te błazny z FWG potrafiły znaleźć własne tyłki obiema rękami!

- Wygląda na to, że niesubordynowana major Palacios kręci coś za pana plecami - powiedział Salgado, krzywiąc się. Ákos Salgado nie przepadał za wojskowymi, zanim jeszcze przybył z Aubertem na Gyantse. Wojsko było w najlepszym razie jedynie koniecznym złem, a zdaniem Salgado to najczęściej właśnie prostackie podejście wojskowych do problemów politycznych stwarzało katastrofalne sytuacje, którymi wojsko uzasadniało potem sens własnego istnienia.

A major Serafina Palacios była dokładnie takim typem marine, jakiego najbardziej nienawidził. Sprawiała wrażenie bardzo profesjonalnej, niezwykle kompetentnej osoby. Choć

Salgado nie był w najmniejszym stopniu zainteresowany, jak należy odczytywać tę niedorzeczną „sałatkę”, którą marines - anachroniczne, tępe prymitywy - obwieszali swoje mundury, najwyraźniej zasłużyła na uznanie starszych członków tej swojej ksenofobicznej militarystycznej loży. Jej arogancja świadczyła o tym, że sama doskonale o tym wie. Co gorsza, Salgado był pewien, że cały czas patrzyła na niego z góry, jakby doświadczenie w noszeniu karabinu i rozwalaniu łbów neobarbarzyńcom przewyższało jego zdobyte z trudem doświadczenie i obycie w zawilosciach praktycznej polityki.

Jej oczywista niechęć do zaakceptowania faktu, że Salgado jest jej przełożonym w gyangtseskim porządku dziobania, doprowadzała go do szału. Po prostu go ignorowała - tak samo jak ignorowała raporty wywiadowcze milicji, która w końcu żyła tu na miejscu i można było się spodziewać, że będzie coś o tej planecie wiedzieć - i korzystała ze swojego prawa oficjalnego doradcy wojskowego Auberta, aby na każdym spotkaniu z gubernatorem powtarzać swoją mantrę zagłady. To znaczy dopóki Salgado nie zaczął aranżować problemów za każdym razem, kiedy Palacios usiłowała osaczyć Auberta, by sączyć mu do ucha swoje brednie.

- Nie wiem, czy to na pewno była Palacios - powiedział Aubert tonem człowieka ostentacyjnie usiłującego być fair. - Ale ktoś na pewno przekazywał do Martinsena najbardziej pesymistyczne informacje pochodzące z naszych źródeł wywiadowczych. Słuchając Kereku, można by pomyśleć, że ktoś tu przemyca wyrzutnie hiperszybkich rakiet! Do tego... - głos gubernatora planety znów stał się gorzki i ostry - jestem pewien, że nie tylko tam wysyła wiadomości.

- Co to znaczy? - spytał ostro Salgado.

- A jak pan myśli, Ákos? Gdzie jeszcze ten ktoś mógłby się skarżyć na to, że sobie nie radzimy na tej górzystej bryle błota?

- Myśli pan, że chodzi ze swoimi obawami do ministerstwa?

- Jestem tego prawie pewny. - Aubert podźwignął się z fotela i odwrócił do okna z rękami splecionymi za plecami. - Oczywiście Kereku nie powiedział tego wprost - bez wątplenia dlatego, że nie chce ze mną publicznie walczyć, kiedy wie, ilu mam przyjaciół na Dworze i w Senacie - ale niech mi pan wierzy, to było słyhać w tle tego, co faktycznie powiedział.

- Rozumiem.

Salgado zmarszczył czoło, a jego umysł wszedł na wysokie obroty. To prawda, że Aubert miał wielu sprzymierzeńców na Starej Ziemi. Nie tak wielu i nie tak wpływowych, jak być może uważał, ale wciąż potężnych - inaczej nie byłoby go tutaj. A Gyangtse wbrew pozorom była smacznym kąskiem dla kogoś ambitnego. Można było trafić do świata o wiele

wygodniejszego i mniej surowego, ale każdy, kto aspirował do wyższych urzędów, tak jak Aubert, musiał mieć w swoim CV gubernatorstwo planetarne lub jego odpowiednik. A szczerze mówiąc, przeprowadzenie takiej planety jak Gyantse od statusu Świata Korony do Inkorporowanego dałoby Aubertowi olbrzymi rozpęd do dalszej politycznej kariery - o wiele większy niż zwykle gubernatorstwo na jakieś planecie zamieszkałej przez spokojnych rolników. I cokolwiek by mówił o swojej „potrzebie służenia Imperium”, był to jedyny powód, dla którego Jasper Aubert tutaj się znalazł. I bardzo dobrze. Był to także jedyny powód, dla którego Ákos Salgado podążał za Aubertem. A Ákos Salgado nie miał zamiaru zaprzepaścić własnej kariery przez potknięcia swojego patrona.

Problem, jak sobie uświadomił, polegał na tym, że ani on, ani Aubert nie wiedzieli, co konkretnie Kereku powiedział earlowi Stanhope'owi. A nie wiedząc, w jaki sposób gubernator wyraził swoją krytyczną ocenę sytuacji na Gyantse, nie wiedzieli też, co sami musieliby powiedzieć, by patroni Auberta na Starej Ziemi stanęli w jego obronie.

- Co dokładnie miał do powiedzenia Kereku o naszej obecnej polityce? - spytał po chwili szef gabinetu.

- Sugerował, że popełniliśmy błąd, zgadzając się na „negocjacje” z Pankarmą - warknął gubernator. - Pomijając przy tym oczywiście fakt, że wcale tego nie zrobiliśmy! Pankarma jest obywatelem Gyantse, czy nam się to podoba, czy nie. Może i ma powiązania z FWG, a FWG jest nielegalną organizacją, ale on tu jest i ma za sobą znaczącą liczbę obywateli, więc jak niby, u diabła, mieliśmy go wykluczyć z debaty o inkorporacji? Ale oczywiście Kereku nie tak to widzi! Mówi, że nie protestując przeciwko udziałowi Pankarmy w negocjacjach i uczestnicząc w debatach i konferencjach, na których będzie też obecny Pankarma, dałem mu de facto legitymację „oficjalnego czynnika procesów politycznych zachodzących na Gyantse”. Insynuował, że pogwałciliśmy w ten sposób podstawową zasadę imperialnej polityki nienegocjowania z „elementami terrorystycznymi”. Nie zająknąwszy się przy tym oczywiście ani słowem, że to on sam uznał FWG za „terrorystów” na podstawie swojej rozległej wiedzy, którą zdobył podczas jednej dwudniowej wizyty na tej cholernej planecie, kiedy obejmował urząd! Miał też czelność poinformować mnie, że rozmowy z FWG jedynie „zaogniły” sytuację poprzez „umocnienie nierealnych oczekiwań” Pankarmy.

Salgado zacisnął usta. Może jednak był trochę zbyt łaskawy, twierdząc, że Kereku nie jest oderwany od rzeczywistości.

- Ani gubernator sektora, ani jego szanowna dyrektor gabinetu najwyraźniej nie mają zielonego pojęcia, co my tu naprawdę robimy - ciągnął Aubert, patrząc gniewnie przez okno na ulice i dachy Starego Miasta Zhikotse. - Chcą, żebym odmówił udziału w rozmowach z

Pankarmą i nie dopuścił go do publicznej debaty w holowizji, ponieważ FWG wysadził kilka mostów i jedną czy dwie wieże zasilania, a jednocześnie oczekują, że będą utrzymywał sytuację pod kontrolą. Tłumaczyłem im nie raz, że włączenie Pankarmy do debaty - zaproponowanie mu lokalnego politycznego znaczenia po inkorporacji - to najlepszy sposób, żeby odciągnąć go od dotychczasowego ekstremizmu. I że nawet jeśli on i jego FWG dalej będą się upierać przy naszym całkowitym wycofaniu, mogę powstrzymać ich od dalszych ataków tak długo, jak długo będą trwały rozmowy. Pokazując im tyle marchewki, by uznali, że mają za dużo do stracenia, jeśli zerwą negocjacje.

- Nie rozumiem, jak on i Obermeyer mogą tego nie dostrzegać, panie Jasperze. - Salgado pokręcił głową. - Częstotliwość takich ataków jak te, które skłoniły ich do uznania FWG za organizację „terrorystyczną”, spadła niemal do zera, odkąd zaproponował pan Pankarmie miejsce przy stole obrad. A przecież to nie jest tak, że oferujemy tym szaleńcom to, czego chcą! Do diabła, sam Pankarma musi zdawać sobie sprawę, że nie dostanie wszystkiego, czego żąda. Prędzej czy później będzie musiał nam powiedzieć, na jakie ustępstwa jest naprawdę gotów.

- Przypuszczam - powiedział Aubert - że Pankarma rzeczywiście może sobie z tego nie zdawać sprawy. Tak przynajmniej wydaje się uważać Kereku, nawet jeśli miejscowe przywództwo polityczne nie zgadza się z nim. Jakoś mi się nie wydaje, że prezydent Shangup i Izba Delegatów trzymaliby z nami, gdyby żyjący tu ludzie uważali, że popełniamy poważny błąd! Ale co ja tam wiem? Jestem tu dopiero od roku. Moja własna ocena sytuacji jest oczywiście taka sama jak pańska. Włączyć ich do systemu, pokazując, ile mogą na tym skorzystać - a wkrótce stracą zainteresowanie pozbyciem się nas stąd.

W rzeczywistości, jak Salgado doskonale wiedział, stanowisko Auberta było jego własnym stanowiskiem. Ale skuteczny manager nigdy nie powiedziałby tego człowiekowi, którym kierował. Zwłaszcza kiedy przełożony tego człowieka właśnie rzeczona ocenę sytuacji odrzucił.

- Nawet jeśli Kereku miałby rację - ciągnął Aubert - możemy zagadywać Pankarmę w nieskończoność, jeśli zechcemy. A przynajmniej tak długo, dopóki inkorporacja nie stanie się faktem dokonanym, a on i jego zapaleńcy - zmartwieniem lokalnych władz.

Salgado kiwnął głową, bo to, co powiedział Aubert, było oczywistą prawdą. Wprawdzie Pankarma kontynuował wprowadzony przez swój ruch bojkot wszelkich przedsiębiorstw kapitału pozaplanetarnego - czy tak naprawdę wszystkich firm gyangtseskich, które współpracowały z firmami spoza planety - i wciąż wylewał z siebie potoki ognistej retoryki, w której od dawna się specjalizował, ale tego można było się spodziewać. Musiał robić

wrażenie, że folguje uprzedzeniom i głupocie skrajnego skrzydła swojego ugrupowania, inaczej któryś z jego bardziej radykalnych uczniów mógłby się go pozbyć. Ale wszystkie karty były w ręku Auberta. To on mógł użyć w razie potrzeby imperialnych środków przymusu... i to od niego zależały wszelkie ewentualne ustępstwa, na które Pankarma i jego zwolennicy mogli mieć nadzieję. A gdyby referendum inkorporacyjne nie powiodło się i wszystkie te łakocie wpadłyby w ręce nowych gyangtseskich senatorów, wszelkie wybryki Pankarmy stałyby się problemem już kogoś innego.

- Niestety - ciągnął Aubert cichszym, spokojniejszym głosem - Kereku tak tego nie widzi. Uważa, że zaakceptowaliśmy Pankarmę, zgadzając się na rozmowę z nim i jego udział w publicznej debacie, zamiast potraktować go razem z jego ludźmi jak pospolitych przestępców. Wydaje się też uważać, że Pankarma ucieknie się do nowych, nawet brutalniej szych aktów przemocy, jeśli uzna, że nie zamierzamy mu dać tego, co chce. A my oczywiście nie możemy mu dać tego, czego się głośno domaga.

Salgado z przykrością musiał przyznać, że to akurat prawda. Jeśli Pankarma jest na tyle oderwany od rzeczywistości, by autentycznie wierzyć, że da się wymusić na Imperium wycofanie z Gyangtse, jest skazany na ogromne rozczarowanie. Kiedy już jakaś planeta trafia w ręce imperialnych rządów, pozostaje w ich władaniu - zwłaszcza tutaj, na dawnych terenach Ligi położonych najbliżej strefy buforowej między Imperium a Sferą Rishathańską.

Imperium jednak dało też jasno do zrozumienia, że jest gotowe podzielić się tą władzą z mieszkańcami planet. Zaoferowało sporą lokalną autonomię, zwłaszcza jeśli Świat Korony kwalifikował się już do statusu Inkorporowanego i reprezentacji senatorskiej, która się z tym wiązała. Seamus II i jego doradcy nie czuli potrzeby sprawowania władzy dyktatorskiej, nie byli też zainteresowani popieraniem gospodarczego gwałtu na planetach pogranicza przez międzygwiazdnych gigantów Imperium. Miejscowa autonomia była jednak możliwa jedynie z pozycji solidnego umocowania w imperialnej państwowości.

- Pankarma o tym wie, panie Jasperze - powiedział dyrektor gabinetu. - Musi wiedzieć. Uchodzi za człowieka dobrze wykształconego, a na mnie nigdy nie zrobił wrażenia wariata.

- Zgadzam się - odparł Aubert. Potem odwrócił się od okna i popatrzył surowo na Salgado.

- Zgadzam się - powtórzył. - Ale jeśli się mylimy?

- Mylimy? - Salgado zamrugał. - Mylimy się, włączając Pankarmę do debaty o inkorporacji? Czy w ocenie tego, czego on naprawdę chce?

- Jedno i drugie... albo jedno lub drugie! - Aubert potrząsnął głową i prychnął. - Kereku ma trochę racji, kiedy mówi, że Pankarma nigdy nie wycofał się ze swojego żądania

całkowitej niezależności Gyangtse. Mógł brać udział w debacie na temat referendum inkorporacyjnego, ale tak naprawdę powtarzał - raz za razem - że on i jego zwolennicy są całkowicie przeciwni ostatecznemu powodzeniu procesu inkorporacji. I faktycznie zyskał większy posłuch, bardziej eksponowaną platformę do głoszenia swoich poglądów, odkąd dopuściliśmy go do debaty. Nie zgadzam się z twierdzeniem Kereku, że to oznacza jakąś „legitymizację” FWG, ale rzeczywiście wyniosło to Pankarmę na pierwszy plan tego, co tutaj się uważa za proces polityczny. A jeśli w głębi ducha rzeczywiście jest takim fanatykiem, jak sugeruje jego retoryka, to kiedy w końcu zrozumie, że zamierzamy przeprowadzić inkorporację niezależnie od tego, co mówi czy robi, może sprowokować incydent, którego Kereku tak cholernie się obawia.

- Obaj wiemy, że to mało prawdopodobne.

- Nie powiedziałem, że to prawdopodobne. Powiedziałem, że to możliwe. A jeśli tak się stanie, panie Ákosie, wyjdę na tym bardzo, bardzo źle. Obaj wyjdziemy. Zwłaszcza po tym, jak Kereku biega i wszystkich ostrzega, że za chwilę niebo runie nam na głowy!

- To prawda - przyznał niechętnie Salgado.

- Ale co mamy z tym zrobić, do cholery? - warknął Aubert. - Pankarma ma już miejsce przy stole rozmów, i to my mu je daliśmy. Jeśli nagle mu je zabierzemy, tak jak chyba chciałby Kereku, popchniemy go do jakiejś gwałtowniej reakcji. A jeśli nie usuniemy go z debaty i jeśli Kereku zdoła przekonać Stanhope'a, że gwałcimy obowiązujące w polityce zasady, to bardzo możliwe, że zostanie odwołany na Starą Ziemię.

I spojrział spokojnie w oczy szefa swojego gabinetu.

- A skoro - podjął ten po chwili - żaden z nas nie chce wracać do domu, zostawiając robotę w połowie drogi, chyba musimy znaleźć jakiś sposób na poprawienie tego, co Kereku uważa za złe. - Skrzywił się. - Przy czym wciąż uważam, że on i Obermeyer boją się własnego cienia. Ale jak by nie było, jego jest akurat na wierzchu, więc chyba będziemy musieli jakoś pójść mu na rękę.

- Łatwiej powiedzieć niż to zrobić, panie Ákosie.

- To prawda - zgodził się Salgado. Sytuacja, w której gubernator planety - i on sam jako szef jego gabinetu - zostaliby odwołani za nieskuteczność, wcale nie uśmiechała mu się bardziej niż samemu Aubertowi. - Jednak nie jest to niemożliwe. W końcu... - uśmiechnął się paskudnie - gubernator sektora Kereku właśnie sam stwierdził, że „terroryści” to pospoliccy przestępcy, a nie uprawnione podmioty polityczne.

* * *

- To mi się nie podoba. Nic a nic - powiedziała poważnie major Serafina Palacios.

- Skipper, w końcu żadne z nas nigdy nie uważało siebie za ulubieńca Auberta - zauważył kapitan Kevin Trammell, dowódca kompanii Alpha. Trammell był najstarszym dowódcą kompanii Palacios, co czyniło go oficerem wykonawczym jej niepełnego batalionu. Był o dobrych osiem centymetrów wyższy od niej, a karnację i włosy miał tak ciemne, jak major - nordycka blondynka - jasne.

- W tych okolicznościach - ciągnął - czy to naprawdę takie zaskakujące, że porozumiewa się z milicją planetarną bez pani pośrednictwa? Jeśli spojrzeć na hierarchię służbową, jako gubernator planety jest głównodowodzącym milicji. Nie ma więc powodu załatwiać coś przez nas.

- Nie o to chodzi, że rozmawia bezpośrednio z Jongdombą i Sharwą. Chodzi o to, że nawet nam nie wspomniał, że zamierza to zrobić. Lubi nas czy nie, według tej samej hierarchii służbowej jestem jego doradcą wojskowym. Ma mnie informować i słuchać moich opinii, kiedy chodzi o milicję, a tego właśnie, cholera, nie robi. I nie czaiłby się tak, gdyby nie wykombinował z tym fiutem Salgado czegoś, o czym my - czy w ogóle nikt w Martinsenie - nie powinien według niego wiedzieć.

- Skipper, to już zakrawa na lekką paranoję - powiedział Trammell.

Major popatrzyła na niego spode łba, a potem prychnęła.

- Jeśli po jedenastu miesiącach użerania się z gubernatorem Aubertem i panem Salgado mam tylko lekką paranoję, to moja psychika jest silniejsza, niż myślałam!

Oboje parsknęli śmiechem, ale po chwili Palacios znów spoważniała.

- Mówię poważnie, Kevin - powiedziała. - Martwię się. Nie podoba mi się ostatnio zachowanie Auberta. Chyba nagle do niego dotarło, że wynik głosowania w referendum jest niepewny I chyba zrozumiał też, że rozmowy z Pankarmą były poważnym błędem - przynajmniej z punktu widzenia jego kariery. Zaczynam się nawet zastanawiać, czy nie boi się coraz bardziej, że gubernator Kereku załatwi jego odwołanie, jeśli szybko nie posprząta tego bałaganu.

- I myśli pani, że wykombinuje coś, żeby rozwiązać ten problem z użyciem milicji? - Trammell uniósł brwi. - Ta żałosna zgraja oferm ma wyciągnąć jego tyłek z dziury, w którą tak pracowicie go wciskał?

- To ostatnia rzecz, której ja bym spróbowała - przyznała Palacios - ale, z całym szacunkiem dla naszych cywilnych przełożonych, ja mam sprawnie działający mózg. Co oznacza, że ja wiem, że milicja to „żałosna zgraja oferm”. Szczerze mówiąc, nie sądzę, by Aubert - czy Salgado - zdawali sobie sprawę z tej drobnostki. Obawiam się, że nie mają

świadomości, jakim niekompetentnym i skorumpowanym małym imperialistą tak naprawdę jest Jongdomba. Oczywiście gdyby zdawali sobie z tego sprawę, to mieliby sprawne mózgi, a wtedy w ogóle nie wpakowaliby się w ten bajzel i nie szukaliby desperacko sposobów wydobywania się z niego, prawda?

- Ale nawet jeśli Aubert tak myśli, a Jongdomba i Sharwa chcieliby mu pomóc, co by mu to dało? - odparował Trammell. - Rząd planetarny i milicja nie zdołały wyeliminować FWG przez ostatnich sześć lat, więc jeśli Aubert nie wymyślił czarodziejskich kul, które mógłby im dać, nie wiem, jakim cudem mogliby z dnia na dzień rozwiązać jego problemy.

- Ja też nie - powiedziała ponuro Palacios. - Obawiam się jednak, że może mu się wydawać, iż wymyślił jakieś „czarodziejskie kule”. Niech pan nie zapomina, że ten jadowity palant Salgado cały czas szepcze mu do ucha. Tak naprawdę dwie trzecie naszego problemu to właśnie Salgado. Aubert ma wielkie ambicje, ale nie takie jak Salgado. A kiedy dyrektor gabinetu uważa, że jest wcieleniem Niccolo Machiavellego, a gubernatora ma za durnia - prawie tak samo jak my - mamy gotowe wszystkie składniki przepisu na totalny burdel. Zwłaszcza kiedy Salgado tak przywykł do swojej roli pociągającego za sznurki gubernatora, że uważa siebie za jakiegoś nieomylnego Svengaliego.

Trammell skrzywił się, słysząc jad w głosie Palacios. Nie żeby się z nią nie zgadzał, ale takie natężenie nienawiści i pogardy w stosunkach między dyrektorem gabinetu gubernatora a jego doradcą wojskowym nie było idealną sytuacją.

- Skipper, ja też nie przepadam za Salgado, ale...

- Ale mam się zamknąć i robić swoje, niezależnie od tego, czy go lubię, czy nie - przerwała mu Palacios, kiwając gwałtownie głową. - Wiem. I próbowałam. Ale Salgado kontroluje teraz dostęp do gubernatora i ma go cały czas dla siebie, podczas gdy ja mam kłopoty nawet z dostarczeniem Aubertowi wiadomości. To Salgado kieruje teraz całą polityką, jestem o tym przekonana. A jego uprzedzenia wobec wojska i bezpodstawna wiara we własny geniusz doprowadzą do cholernej katastrofy, jeśli nie będziemy mieli szczęścia. Zwłaszcza że tak bez troski traktuje Pankarmę jak jeszcze jednego politykiera ze Starej Ziemi, z którym mógłby ubić interes. - Skrzywiła się ponuro. - Jeśli myśli, że sytuacja właśnie się posypała, będzie próbował szybko ratować własny tyłek. Spójrzmy prawdzie w oczy, Kevin. Po tym, co ludzie Kuramochi zrobili Sharwie i jego pułkowi na ostatnich manewrach, on i Jongdomba nas nienawidzą. Obaj będą szukali jakiegoś sposobu, żeby się zrehabilitować, udowodnić, że to, co zrobili ludzie Chiyeko, było zwykłym fuksem. Dlatego jeśli dyżurny geniusz i polityczny jasnowidz gubernatora wymyślił jakiś plan, który według nich daje im szansę poprawienia swojego wizerunku naszym kosztem, to od razu na to pójdą.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- I co, naprawdę uważasz, że coś z tego będzie? - spytała Ang Jangmu Thaktu.

- Wątpię - odparł Pankarma. - Ale nie zaszkodzi zrobić wrażenia rozsądnych ludzi, kiedy chodzi o opinię publiczną.

- Może i nie, ale pierwszy raz zaprosił ciebie - i mnie - na prywatne spotkanie. To dość znacząca zmiana, nie uważasz?

- Być może.

Pankarma podszedł do okna swojego gabinetu, który mieścił się w gmachu wynajętym przez Stowarzyszenie Patriotyczne Gyangtse, „legalny” odłam parlamentarny FWG. Budynek znajdował się blisko portu i kiedy Pankarma wyrzął przez okno, jego oczom ukazał się prawie ten sam widok, który Jasper Aubert kontemlował z własnego gabinetu. Patrząc w dal z wyrazem zamyślenia na twarzy, zakołysał się lekko na piętach.

- Masz rację - powiedział po chwili. - To znacząca zmiana. Ale jeśli chcesz wiedzieć, czy jej znaczenie jest więcej niż tylko symboliczne - bo o to pytasz, prawda? - to odpowiedź brzmi: w tej chwili nie mam bladego pojęcia. Wszystkie badania opinii wskazują, że jego pozycja jest coraz słabsza. Może chce zwiększyć swoje poparcie, pokazując, że Impy są gotowe rozmawiać nawet z takimi „szaleńcami” jak my. Chociaż to nie oznacza, że zamierza w czymkolwiek nam ustępować.

- Wydaje mi się - powiedziała Thaktu, patrząc na plecy Pankarmy - że faktycznie nie zamierza. Jak już mówiłam, myślę nawet, że nie może nam ustępować. Dlatego nie jestem pewna, czy przyjęcie jego zaproszenia to mądry ruch. Jeśli zaczniemy z nim dyskutować prywatnie, a on potem powie, że proponował nam ustępstwa - nawet jeśli ich nie zaproponuje - i my je odrzuciliśmy, będzie nasze słowo - słowo „ugrupowania terrorystycznego” - przeciwko słowu imperialnego gubernatora. Być może nie o to konkretnie mu chodzi, ale jeśli on wie, decydując się na rozmowy, że nie będzie żadnego wyjścia naprzeciw naszym żądaniom, to muszę podejrzewać, że knuje coś, co ma mu przynieść jakieś korzyści naszym kosztem.

- Myślę, że prawdopodobnie masz rację. - Pankarma zaśmiał się gorzko i odwrócił od okna. - Właściwie jestem tego nawet pewien. Problem w tym, że to z jego strony całkiem chytre zagranie. Ponieważ zaprosił mnie jako przewodniczącego Stowarzyszenia

Patriotycznego, a nie FWG, a Stowarzyszenie rzekomo ma uczestniczyć w demokratycznym samorządzie, który Impy tak hojnie w teorii nam obiecali, nie mam raczej innego wyjścia, jak tylko się zgodzić.

- To mi się nie podoba, Namkha. Coś tu nie gra. Coś tu śmierdzi.

- Cóż... - Pankarma wrócił za biurko. Usiadł, odchylił się w fotelu do tyłu i popatrzył na nią. - Zawsze ufałem twoim przeczuciom, Ang Jangmu. Z drugiej strony wysłałem już do Salgado oficjalny komunikat, że przyjmujemy jego zaproszenie. Jestem pewien, że ogłosi naszą zgodę, kiedy tylko go dostanie, więc nie możemy już się rozmyślić.

- Byłabym o wiele szczęśliwsza, gdybyśmy mogli - powiedziała Thaktu, a Pankarma wzruszył ramionami.

- Wiem, ale tym razem chyba muszę zbagatelizować twoje złe przeczucia, i chyba dobrym pomysłem będzie zabrać Chepała zamiast ciebie. - Podniósł rękę i pokręcił głową, kiedy się skrzywiła. - Nie dlatego, że uważam, że twoje uczucia mogłyby nam w czymś przeszkodzić. Nie. Chciałbym, żebyś zajęła się kierowaniem naszymi przygotowaniami taktycznymi. Zresztą i tak wiem, co byś mi doradzała, gdybyś tam ze mną była. Tym razem świadomość, że pilnujesz naszych pleców, będzie dla nas obojga więcej warta niż twój udział w rozmowach.

* * *

- Zgodzili się - powiedział Ákos Salgado.

- Świetnie! - Lobsang Phurba Jongdomba miał wyjątkowo nieprzyjemny wyraz twarzy. - Rozumiem, że zgodzili się także na lokalizację?

- Tak jest.

I Salgado uśmiechnął się uprzejmie do gyangtseskiego oficera.

Z jego wyrazu twarzy nikt by nie wyczytał, że czuje do Jongdombi jeszcze większą pogardę niż do Palacios. Jongdomba był nie tylko przedstawicielem miejscowych sił zbrojnych - co samo w sobie wystarczyłoby, żeby umieścić go w kategorii „umysłowość brukwi” - lecz także skorumpowanym do szpiku kości znaczącym członkiem lokalnej oligarchii.

Ale każdy dobry polityk wie, że nie trzeba kogoś lubić, żeby z nim pracować, pomyślał. A Jongdomba przynajmniej nie jest takim paranoikiem i histerykiem jak Palacios. Oczywiście jest za to jeszcze bardziej niż ona przekonany o własnej nieomyślności.

Tak więc Salgado siedział w urzędzonym z przepychem gabinecie w jednym z biurów Jongdombi w Zhikotse. Kosztowna drewniana boazeria, dzieła sztuki i

importowane spoza planety trunki w bogato zaopatrzonym barku były ostentacyjną manifestacją bogactwa Jongdomby. Zdaniem Salgady wszystko to było dość kiczowate i bardzo dobrze ukazywało głupotę ich posiadacza - a to był jeden z głównych powodów podjęcia przez niego decyzji, by w tej konkretnej operacji oprzeć się właśnie na Jongdombie. Ktoś o bardziej... realistycznej ocenie własnych możliwości mógłby się domyślić, na czyje barki Salgado zamierza złożyć brzemień odpowiedzialności, jeśli coś pójdzie źle.

- Szkoda, że nie mogliśmy zaproponować jakiegoś bardziej odludnego miejsca - powiedział pułkownik Sharwa. W obecności generała Jongdomby odzywał się niemal nieśmiało, ale dowódca planetarnej milicji i tak zgromił go wzrokiem. - Wolałbym, żeby ta operacja odbyła się gdzieś, gdzie nie byłoby tylu cywilów - ciągnął pułkownik, nie bacząc na wyraz twarzy przełożonego.

- To obawy godne pochwały, panie pułkowniku - powiedział gładko Salgado. - Jestem jednak pewien, że pod pana dowództwem wszystko przebiegnie bez żadnych potknięć. A sugestia, by wykorzystać „Annapurna Arms”, to ze strony generała Jongdomby przejaw geniuszu, jeśli wolno mi tak powiedzieć. To największy, najbardziej luksusowy hotel w Zhikotse. To najlepsze miejsce dla zorganizowania spotkania gubernatora Auberta z Pankarmą, a jego rozmiary pozwolą nam niepostrzeżenie przygotować naszą niespodziankę. Do tego fakt, że hotel stoi w samym środku miasta, musi bardzo uspokajać FWG. Gdybyśmy zaproponowali bardziej odludne miejsce, Pankarma mógłby nabrać podejrzeń i odrzucić zaproszenie.

- Otóż to - powiedział z przekonaniem Jongdomba. - Proszę nie zachowywać się jak stara baba, Ang Chirgan! Czy może wciąż dręczą pana te nieudane ćwiczenia?

- Nic mnie nie dręczy, sir - odparł nieco sztywno Sharwa.

- I nie powinno - wtrącił stanowczo Salgado i spojrzał na Jongdombę z lekką przyganą. - Dostałem własne raporty na temat tych ćwiczeń, panie generalne. Trudno winić pułkownika za to, że major Palacios rozmyślnie zwiodła go - a także, jeśli wolno dodać, pozostałych zaangażowanych w to oficerów milicji - co do swoich zamiarów. Można sobie mówić, że wróg będzie się starał zaskakiwać nas podczas prawdziwych działań, ale organizowanie takich niespodzianek własnym ludziom i sprzymierzeńcom to zupełnie coś innego. - Pokręcił głową i zrobił smutną minę. - Pani major bardzo mnie zawiodła i wspominałem już o tym gubernatorowi.

- Bardzo słusznie - warknął Jongdomba. - Powiem panu, że ja sam również się poskarżyłem, i to nie tylko gubernatorowi Aubertowi. Wysłałem wyrazy protestu także do prezydenta Shangupa.

- Doceniam to, panie generale. Pragnę jednak pana zapewnić, że nie pozwalam, by to, co się stało, wpływało na mój osąd w obecnej sprawie - powiedział Sharwa. - Po prostu FWG udowodnił już, że jest w stanie dopuszczać się przemocy. I jakkolwiek wydawałoby się to mało prawdopodobne, jest możliwe, że będziemy mieli na głowie kolejny incydent. Dlatego wolałbym nie mieć na potencjalnej linii strzału więcej cywilów, niż to konieczne.

- Jeśli będą tak głupi, by stawiać opór... - Jongdomba przybrał zacięty wyraz twarzy - to na pewno dojdzie do jakiegoś „incydentu”. Ale po pierwsze, nie sądzę, żeby byli tacy głupi. A po drugie, jeśli są, będzie pan na miejscu, by zapobiec ewentualnej eskalacji przemocy. Do tego, mówiąc brutalnie szczerze, jeśli będzie kilka ofiar wśród cywilów, prawdopodobnie wyjdzie to nam na korzyść.

Salgado widział, że Sharwie nie przypadła do gustu logika Jongdombi. Nie wiadomo dlaczego szef gabinetu gubernatora poczuł przez chwilę szacunek dla pułkownika. Oczywiście Jongdomba miał rację co do praktycznych konsekwencji ofiar czy zranień wśród cywilów, zwłaszcza jeśli media odpowiednio by to przedstawiły, lecz mimo to należało Sharwie zapisać na plus, że chciał uniknąć ofiar. Ale niestety, nie da się usmażyć omletu bez rozbicia kilku jajek. A ponieważ będzie to operacja milicji działającej w imieniu rządu planetarnego, a nie gubernatora Auberta, za ewentualne... nieszczęśliwe wypadki nie będzie odpowiadał Jasper Aubert ani Ákos Salgado. Oczywiście Salgado byłby szczęśliwy, gdyby to nie przyszło do głowy żadnemu z jego obecnych rozmówców.

- Jestem przekonany, że pan generał ma rację, panie pułkowniku - powiedział pewnym głosem, a kiedy Sharwa popatrzył na niego, wzruszył ramionami. - Przeglądałem pana plany i jest dla mnie oczywiste, że wziął pan pod uwagę każdą ewentualność. W tych okolicznościach nawet Pankarma nie będzie tak głupi, by ryzykować i prowokować jakąkolwiek gwałtowną konfrontację.

- W końcu... - pozwolił, by w jego głosie pojawiła się spora doza pogardy - ludzie tacy jak FWG zawsze wolą zabijać innych w imię swoich przekonań, niż samemu za nie ginąć.

* * *

- Co sądzisz o spotkaniu Auberta z FWG, Alley? - spytał César Bergerat.

- Co?

Alicia podniosła wzrok znad czyszczonego mechanizmu spustowego M-97. Zapach rozpuszczalnika do usuwania osadów kojarzył jej się z ostrą wonią kadzidła.

- Pytałem, co sądzisz o spotkaniu Pankarmy z Aubertem - powiedział strzelec, a Alicia zmarszczyła czoło z namysłem.

Sierżant Metternich obserwował ich kątem oka, starannie ukrywając, że w duchu się uśmiecha. Młoda DeVries była w plutonie już prawie dwa standardowe miesiące. Wciąż nie była Osą - jeszcze nie wachała prochu - ale odnalazła się na swoim miejscu zadziwiająco dobrze jak na larwę z Mackenzie. Głównie dlatego, pomyślał sierżant, że umiała trzymać gębę na kłódkę i nadstawiać uszu. Oraz dlatego, że nie popełniała zbyt wielu błędów... i nigdy dwa razy tego samego.

Już po bardzo niedługim czasie reszta trzeciej drużyny domyśliła się, że mimo młodego wieku Alicia jest lepiej wykształcona od nich wszystkich. Stało się dla nich oczywiste, że za tymi zielonymi oczami krył się sprawny, szybki i wyjątkowo dobrze poinformowany umysł. I podczas gdy ona uważała, by się nie popisywać, jak przystało na kogoś tak młodego stażem, jej koledzy z drużyny nabrali zaskakującego szacunku dla jej osądów, gdy odkryli, że rzadko odpowiada na pytanie, uprzednio dobrze się nie zastanowiwszy.

- Cóż - powiedziała w końcu. Jej długie zręczne palce nie przestały pracować z dużą zwinnością, podczas gdy myślami była przy czymś innym. - Wiem, że nie jestem tu tak długo jak wy, ale muszę powiedzieć, że byłabym zaskoczona, gdyby cokolwiek z tego wyszło. - Wzruszyła ramionami. - Wiecie, mój tata jest starszym analitykiem w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Sama nigdy nie interesowałam się takim zajęciem, ale nasłuchiwałam się przy stole wielu rozmów o takich jak ta sytuacjach. Nie wydaje mi się, żeby którakolwiek ze stron miała możliwość pójścia na kompromis. Właściwie...

Przerwała, pokręciła głową i uśmiechnęła się, a potem z powrotem zajęła się mechanizmem.

Pozostali członkowie trzeciej drużyny popatrzyli po sobie nawzajem, a potem na nią.

- Nie przerywaj - powiedział Bergerat.

- Słucham? - Alicia podniosła wzrok.

- Powiedziałem, żebyś nie przerywała. Chciałaś coś jeszcze powiedzieć, a potem się rozmyśliłaś, larwo.

Pierwszy raz od tygodnia ktoś użył określenia „larwa”, zwracając się do Alicii, i choć Bergerat powiedział to niemal żartobliwie, wyglądało na to, że pyta na poważnie. Alicia westchnęła.

- Chciałam tylko powiedzieć, że mój tata chyba nie popierałby tego spotkania - powiedziała nieco niechętnie. - FWG został oficjalnie uznany za ugrupowanie terrorystyczne, a to oznacza, że gubernatorzy planet nie powinni w ogóle z nimi rozmawiać. Imperium oficjalnie wyklucza ich ze wszystkich procesów politycznych.

- Ona ma rację - powiedział cicho Metternich i parsknął, kiedy wszystkie oczy zwróciły

się ku niemu. - Dajcie spokój! Wszyscy wiecie o tym tak samo dobrze jak ona! Jesteśmy z rozpoznania, pamiętacie? Kto zawsze dostaje brudny koniec kija, kiedy jakiegoś neobarbarzyńcę z Ligi zaczyna swędzieć dupa albo jakiś zasrany biurokrata z Ministerstwa Spraw Planetarnych spieprzy sprawę? Chcecie mi wmówić, że jeszcze się nie nauczyliście, ile rzeczy politykierzy potrafią spierdolić?

- No tak, sierżancie - powiedział Gregory Hilton - ale... w końcu to gubernator planety. Czy to nie znaczy, że wolno mu trochę naginać zasady, jeśli dzięki temu robi swoje?

- Oczywiście, że wolno - zgodził się Metternich. Alicia patrzyła na niego, usiłując nie okazać, jak bardzo jest zaskoczona tym, że sierżant tak obcesowo wyraża się o mianowanym przez Imperium gubernatorze Gyangtse.

- Sęk w tym - ciągnął - że jednak są takie zasady, których nie powinien nigdy naginać. Wiecie, jak dokładnie wbija nam się do głów, że nie negocjujemy z terrorystami. Nigdy. Och, jasne, w pewnym sensie i tak to robimy. Ale co innego rozmawiać z bandą terrorystów trzymających cywilnych zakładników o poddaniu się na jak najlepszych dla nich warunkach, a co innego ubijać z tymi draniami polityczne interesy! I to powinno tak samo dotyczyć planetarnego gubernatora, jak podporucznika marines.

Kilkoro marines patrzyło na Metternicha tak, jakby jego jadowity ton zaskoczył ich tak samo jak Alicię. Leo Medrano, jak zauważyła, do nich nie należał; poczuła wewnętrzny chłód, zdając sobie sprawę, że ci dwaj mężczyźni, którzy są w trzeciej drużynie najbardziej uważnymi obserwatorami rzeczywistości, traktują gubernatora Auberta wyłącznie z pogardą.

Nie, to nawet coś gorszego, pomyślała. Oni nie tylko nim gardzą, oni uważają, że okaże się jednym z tych politykierów, którzy "spieprzą sprawę". A dziadek też za bardzo się nie cieszył, że mnie tu wysłano, prawda?

Skończyła czyścić mechanizm spustowy, odłożyła go na bok i wzięła iglicę, aby zająć myśli pracą.

* * *

Namkha Pasang Pankarma uśmiechnął się do kamer przed hotelem „Annapurna Arms” z zadowoleniem, którego bynajmniej nie czuł, wysiadając w rześki jesienny poranek z pierwszego z trzech naziemnych samochodów. Media Gyangtse były dalekie od tego, co uważał za wolność prasy. Zbyt wiele lokalnych news-faksów i publicznych kanałów informacyjnych było w posiadaniu członków planetarnej elity, i choć ich redakcje - co chyba świadczyło na ich korzyść - usiłowały zachowywać neutralność w sposobie pokazywania wydarzeń politycznych, bynajmniej nie ukrywały swoich sympatii, gdy przychodziło do ich

komentowania.

Tego dnia pismacy pojawili się tłumnie, by zrelacjonować serię jego prywatnych rozmów z gubernatorem Aubertem. Całkiem możliwe, że niektórzy z dziennikarzy naprawdę wierzyli, że coś może z tego wyniknąć.

Dlatego stali, uśmiechali się i machali rękami w gwałtownych powiewach wiatru, gdy Chepal Dawa Nawa i reszta delegacji wysiedli z samochodów. Choć Pankarma sam zaproponował Ang Jangmu, by nie brała udziału w spotkaniu, brakowało mu jej obecności. Nawa był przy nim niemal tak samo długo jak ona - jego staż czynił go drugim w kolejności porucznikiem Pankarmy, a założyciel FWG nie wątpił w jego lojalność i determinację - ale mimo licznych zalet Nawa był raczej pracowity niż inteligentny i brakowało mu czujnej bystrości Thaktu.

Jednak tak naprawdę nie miało to znaczenia. Pankarma doszedł do wniosku, że Ang Jangmu od samego początku miała rację. Całe to spotkanie było wyłącznie politycznym spektaklem, który Aubert zaaranżował, gdyż spodziewał się, że wyjdzie to na dobre jego sprawie.

* * *

- To chyba wszyscy - powiedział cicho porucznik Salaka. Mówił przez bezpieczne łącze naziemne, ale mimo to nie podnosił głosu, jakby Pankarma mógł go jakoś podsłuchać.

- Chyba wszyscy? - powtórzył kapitan Chiawa ze swojego stanowiska dowodzenia.

- Chodzi mi o to, że liczba osób się zgadza. Nie widzę ich stąd zbyt dobrze. Wie pan o tym.

Chiawa przewrócił oczami, a potem wziął głęboki oddech, żeby się nie denerwować. Wiedział, że Salaka wcale nie jest bardziej zadowolony z tego zadania niż on sam. Generał Jongdomba wyznaczył do tej operacji tylko dwie kompanie, a pułkownik Sharwa uznał, że kompania Chiawy zasługuje na szansę pokazania się „w nagrodę za czujność” podczas ostatniego katastrofalnego ćwiczenia przeciwko marines major Palacios. Osobiście Chiawa podejrzewał, że była to forma kary za to, co ci sami marines zrobili z jego kompanią.

- Zdaję sobie sprawę, że może pan nie widzieć ich twarzy, Tsimbuti - powiedział po chwili o wiele bardziej zrelaksowanym tonem. Udało mu się nawet zdobyć na odrobinę humoru. - Ale mamy zrobić wszystko tak jak trzeba, i jestem pewien, że pułkownik będzie wdzięczny, jeśli nam się to uda.

- Wiem - odpowiedział Salaka. - Ale mogę powiedzieć na pewno tylko tyle, że zgadza się liczba ludzi, którzy wysiedli z samochodów. Idą teraz do hotelu, a samochody odjeżdżają na

parking.

- Zrozumiałem.

Chiawa kiwnął głową, chociaż Salaka w żaden sposób nie mógł tego widzieć. Mięśnie brzucha kapitana napięły się, kiedy poczuł zbliżający się kulminacyjny moment. Właściwie wyczekiwał go z niecierpliwością. Pankarma i jego szaleńcy przysporzyli już dość zmartwień jego planecie i jemu samemu. Ich bojkot osłabił jego firmę i utrudnił mu wyżywienie własnych dzieci, a jeśli za ich bezustanną gadaniną o „walce zbrojnej” rzeczywiście coś się kryje, do kogo będą strzelali? Poza tym jednym z zadań milicji jest walka z działalnością przestępczą, prawda? A zlikwidowanie przywódcy jedyne zorganizowanego stowarzyszenia brutalnych przestępców, które sprzeciwia się inkorporacji Gyangtse do Imperium, zdecydowanie podpada pod walkę z przestępczością, tak czy nie?

Jednak przedmiotem troski Chiawy był sposób, w jaki to robili. Gyangtse to planeta, na której ludzie dający słowo powinni go dotrzymywać... nawet jeśli dają je przestępcom i zdrajcom.

Ale wszystko to nie ma już znaczenia, pomyślał. Posiedział jeszcze chwilę w milczeniu, potem kiwnął głową łącznościowcowi.

- Wysłać rozkaz wykonania - powiedział.

- Tak jest, sir! - odparł energicznie kapral i włączył mikrofon.

- Wszystkie jednostki, tu stanowisko dowodzenia. Wykonać Skrobankę - powiedział wyraźnie. Transmisja poszła po sieci radiowej milicji, gdyż założenie naziemnych łącz do wszystkich ludzi Chiawy było niemożliwe.

- Powtarzam. Wykonać Skrobankę.

* * *

- ...konać Skrobankę.

Ang Jangmu Thaktu poderwała głowę, kiedy jej odbiornik wychwycił urywek transmisji. Front Wyzwolenia Gyangtse miał swoich sympatyków nawet w szeregach milicji - a gdyby nie miał, zawsze znajdzie się jakiś milicjant, który potrzebuje dodatkowej gotówki i jest gotów za odpowiednią cenę „zgubić” swój sprzęt - dlatego jej komunikator był przydzielonym komunikatorem milicyjnym, z takimi samymi protokołami szyfrowania sygnału jak ten, przez który właśnie nadawał łącznościowiec kapitana Chiawy.

Thaktu nie mogła wiedzieć, co oznacza kod „Skrobanka”, ale oczywiście zaraz przyszło jej do głowy złowróżbne znaczenie tego słowa. Co więcej, ani jeden z sympatyków FWG w milicji nie napomknął jej o nim, nie wychwyciła go też w żadnym strzępku rozmów

radiowych aż do chwili wydania rozkazu wykonania operacji, co oznaczało o wiele wyższy niż zazwyczaj poziom zabezpieczeń. Musiał być ku temu jakiś powód. Thaktu chwyciła własny cywilny komunikator.

- To pułapka! - wrzasnęła. - To pułapka! Ucieczka! Powtarzam, ucieczka!

* * *

Namkha Pasang Pankarma zamarł między jednym krokiem a drugim, kiedy drzwi windy na drugim końcu korytarza gładko się rozsunęły i ujrzał umundurowanych milicjantów siedzących za rozstawioną na trójnogu i wycelowaną prosto w niego kaliope - wielolufowym działkiem automatycznym. Niemal w tej samej chwili otworzyły się jeszcze cztery pary drzwi - po dwie z każdej strony korytarza - i pojawili się kolejni uzbrojeni w karabiny milicjanci.

- Mówi kapitan Chiawa z Milicji Planetarnej - zabrzmiał ostry głos w głośnikach sieci hotelowego interkomu. - Jesteście otoczeni. Jesteście aresztowani z rozkazu prezydenta Shangupa i w imieniu rządu planetarnego za zdradę i dopuszczanie się działań terrorystycznych. Wzywam was do poddania się.

Pankarma stał bez ruchu, niezdolny uwierzyć w to, co się dzieje. Mimo obaw Ang Jangmu, mimo własnych zastrzeżeń nie spodziewał się czegoś takiego. Nawet tacy idioci jak Jongdomba i Shangup nie byli chyba aż tak głupi, by łamać w ten sposób obietnicę zagwarantowania im bezpieczeństwa!

- Poddajcie się natychmiast - powiedział wzmocniony głos Chiawy. - Jeśli nie, zastosujemy siłę.

* * *

Sierżant Lakshindo kiwnął głową żołnierzom swojej drużyny.

- Słyszeliście! - powiedział. - Ruszamy!

Drużyna wybiegła ze swojej kryjówki w piwnicy „Annapurna Arms” i zajęła wyznaczoną pozycję, z której miała kryć główne wejście do hotelu i korytarz, w którym właśnie została aresztowana delegacja FWG. Według planu operacyjnego kapitana Chiawy drużyna Lakshindy była odpowiedzialna za kontrolowanie tłumu i zablokowanie jedynej możliwej drogi ucieczki Pankarmy i jego ludzi. Mieli także uważać na wszelkie zewnętrzne zagrożenia, choć Lakshindo nie umiał sobie wyobrazić, z jakimi „zewnętrznymi zagrożeniami” mogliby mieć do czynienia. W końcu operacja była utrzymywana w tak ścisłej tajemnicy, że nawet członkowie jego drużyny nie wiedzieli, co się ma wydarzyć, dopóki nie zameldowali się tego ranka na służbie.

Sierżant stał plecami do ulicy, patrząc z satysfakcją, jak jego ludzie zajmują swoje stanowiska. Wolałby mieć możliwość przeciwienia tego choć raz, ale jego milicjanci ruszali się żwawo, a ich twarze były tak spokojne, że nikt, kto nie znałby ich tak dobrze jak Lakshindo, nie wyczułby ich podniecenia.

Pokiwał głową, kiedy zajęli pozycje, i włączył mikrofon.

- Posterunek dowodzenia, tu Lakshindo - powiedział. - Jesteśmy na pozycjach.

- Posterunek dowodzenia potwierdza, jesteście na pozycjach, sierżancie - odparł łącznościowiec.

Lakshindo puścił przycisk nadawania z poczuciem głębokiej ulgi. Miał duże obawy, kiedy pierwszy raz usłyszał na odprawie o operacji Skrobanka, i bardzo mu ulżyło, kiedy się okazało, że obawy te były bezpodstawne.

- Przepraszam, sierżancie? - powiedział uprzejmie jakiś głos.

Lakshindo odwrócił się. Sądząc po legitymacji prasowej i obsłudze kamery, miał do czynienia z reporterem.

- Tak? W czym mogę pomóc? - odparł równie uprzejmie, pamiętając o instrukcjach kapitana Chiawy, by przeprowadzić wszystko jak najspokojniej i przy minimum zamieszania.

- Czy może mi pan powiedzieć, co tu się dzieje? - spytał pismak, wyciągając w stronę sierżanta mikrofon.

- Obawiam się, że nie. W każdym razie jeszcze nie teraz. Jak rozumiem, wkrótce kwatera główna generała Jongdomby wyda oświadczenie. Tymczasem będę musiał pana prosić, by odsunął się pan od wejścia.

- Oczywiście, sierżancie - powiedział reporter i kiwnął z szacunkiem głową.

Potem dał znać ekipie, aby poszli za nim. Odwracając się pospiesznie, aby ruszyć za reporterem, kamerzysta wpadł na stojącego obok pomocnika i upuścił kamerę. Sprzęt upadł na podłogę i roztrzaskał się; zniszczenie tak drogiego urządzenia przyciągnęło spojrzenie Lakshindy jak magnes.

I dlatego właśnie nie zauważył, kiedy obaj pomocnicy kamerzysty wyciągnęli spod kurtek spiłowane karabiny i otworzyli ogień.

Lakshindo poczuł uderzenie z pół tuzina kul. Wystrzelone z tej odległości penetratory z wolframowym rdzeniem i odrzucanym sabotem bez trudu przebiły jego pasywny pancierz osobisty. Uderzenie cisnęło nim w tył; runął na ziemię z oczami wytrzeszczonymi z bólu, gdy penetratory - skręcając po przejściu przez zbroję - rozerwały mu serce i płuca.

Reszta drużyny zamarła. Wciąż jeszcze się gapili, będąc w szoku po nagłym, brutalnym zamordowaniu ich sierżanta, kiedy kamerzysta i reporter wyciągnęli własne pistolety

maszynowe i wszyscy czterej „pismacy” otworzyli ogień. Tymczasem przed wejściem do hotelu zatrzymały się z piskiem opon dwa cywilne wany i wyskoczyło z nich kilkunastu uzbrojonych ludzi.

Trójce żołnierzy Lakshindy udało się odpowiedzieć ogniem, zanim zginęli. Ale żaden z nich nikogo nie trafił, a kiedy ostatni runął na ziemię, Ang Jangmu Thaktu poprowadziła swój oddział szturmowy po ich trupach do wnętrza budynku.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Serafina Palacios była właśnie w samym środku narady z dowódcami swoich kompanii, kiedy komunikator na jej biurku cicho zapiszczał.

- Chwileczkę, Kevin.

Podniosła rękę, przerywając kapitanowi Trammellowi, a potem zamiast podejść do biurka, uaktywniła implant łącznościowy w żuchwie.

- Palacios - powiedziała. Słuchała przez chwilę, a Trammell i pozostali dowódcy kompanii patrzyli na nią z ciekawością. Nagle major zeszywniała w fotelu.

- Powtórz! - powiedziała ostro, a potem potrząsnęła głową, jakby człowiek po drugiej stronie łącza mógł widzieć jej niedowierzanie. - A potem? - Znów przez chwilę słuchała. - Co takiego zrobili?

- Nie - powiedziała. - Nie, wierzę. Tyle że wolałabym nie wierzyć. Dobrze. Mam tu akurat wszystkich dowódców kompanii. Przekażę im wiadomości i odeślę jak najszybciej do ich kompanii. Tymczasem postawcie wszystkich naszych ludzi w pogotowiu. Rozpocząć na moją odpowiedzialność operację Blokhauz.

Pięcioro kapitanów siedzących w jej gabinecie popatrzyło po sobie, a potem spojrzeli na major.

- Zakładam, że państwo słyszeli - powiedziała tonem suchym jak pustynia.

- Blokhauz, ma'am? - spytał Trammell w imieniu wszystkich.

Major z ponurą miną przytaknęła.

- Nasi koledzy z milicji właśnie dali ciała na całej linii. - Jej ton nie był już suchy, lecz ostry, jadowity. - Wygląda na to, że zaproszenie dla pana Pankarma od gubernatora Auberta nie było jednak wystosowane w dobrej wierze.

- Jezu - mruknął ktoś, a Trammell wyduł usta w bezgłośnym gwizdnięciu.

- Zgadza się - powiedziała Palacios. - Kiedy Pankarma i jego delegacja przybyli do „Annapurna Arms”, generał Jongdomba miał tam pułk pułkownika Sharwy, który czekał, by ich aresztować w imieniu rządu planetarnego.

- Pomimo gwarancji bezpieczeństwa? - Trammell powiedział to tonem człowieka, który bardzo nie chciałby wierzyć w to, co usłyszał.

- Och, przecież oni nie dali żadnych gwarancji - odparła uszczypliwie Palacios. Trammell

i pozostali popatrzyli na nią bez słowa. - To gubernator Aubert dał im gwarancje bezpieczeństwa, a nie prezydent Shangup. Do tego, raczcie państwo zauważyć, siły wojskowe bezpośrednio odpowiedzialne przed gubernatorem jako przedstawicielem Jego Wysokości - czyli my - nie miały nic wspólnego z próbą aresztowania.

- A kto uwierzy, że Shangup i Jongdomba nie zrobiliby czegoś takiego bez zgody Auberta? - spytała z niedowierzaniem kapitan Adriana Becker, dowódca kompanii Bravo. Kevin Trammell skupił się jednak na czymś zupełnie innym.

- Powiedziała pani „próba aresztowania”, skipper. Proszę, niech pani powie, że chociaż im się udało.

- Nie, nie udało się. - Palacios pokręciła głową z miną wyrażającą obrzydzenie i zarazem lęk. - Najwyraźniej FWG nie był tak ufny, jak gubernator Aubert - przepraszam najmocniej, jak prezydent Shangup - miał nadzieję. Przygotowali własną grupę uderzeniową i najwyraźniej podsłuchiwali sieć łącznościową milicji. Wpadli do środka, kiedy milicjanci próbowali aresztować ludzi Pankarmy.

- Czy jest bardzo źle, ma'am? - spytał cicho kapitan Shapiro, dowódca kompanii Delta.

- Na razie nie mamy zbyt wielu szczegółów, Chaim. Ale to, co mamy, wskazuje, że jest bardzo źle. Wchodząc do budynku, FWG wyłukł całą drużynę milicji; nikt nie przeżył. Potem przebili się przez kilka kolejnych drużyn, żeby wyciągnąć Pankarmę. Ale kiedy dotarli na miejsce, ci durnie, którzy chcieli go aresztować, otworzyli ogień. Według wstępnych doniesień zabili pół tuzina czy więcej własnych ludzi, ale udało im się także wykończyć przynajmniej pół delegacji FWG, w tym Pankarmę.

- Mój Boże. - Kapitan Kostatina Diomedes z twarzą barwy popiołu pokręciła głową. - FWG eksploduje jak stara atomówka!

- A spora część reszty planety będzie stała za nimi murem - zgodziła się ponuro Palacios. Potem otrząsnęła się. - Dobrze. Wszyscy wiecie tyle samo co ja. Proszę natychmiast wracać do swoich kompanii. Przekażę wam wszystkie informacje, kiedy tylko je dostanę. A teraz ruchy, ruchy.

Patrzyła, jak jej podwładni zbierają swoje chipy komputerowe i notatniki i kierują się do wyjścia. Większość oddaliła się energicznym truchtem, ale Trammell przystanął jeszcze w drzwiach i obejrzał się.

- Tak, Kevin?

- Szefie - powiedział cicho. - Uruchomiła pani Blokhauz na własną odpowiedzialność.

- Tak - odparła sucho. Potem odetchnęła głęboko i lekko odrzuciła głowę do tyłu. - Przepraszam, Kevin. Wiem, o co panu chodzi. Ale nie ma czasu, żeby to uzgadniać z

Aubertem, zakładając, że ten dupek Salgado w ogóle dałby mi z nim porozmawiać! Poza tym ten cały pieprzony burdel to ich wina, i jak widać, zadali sobie wiele trudu, by zwalić odpowiedzialność na milicję i Shangupa, gdyby coś poszło źle.

- Ale mimo wszystko...

- Nie. - Palacios przerwała mu ostro, kręcąc głową. - Wiem, co pan chce powiedzieć. Ale nie mogę tak ryzykować. W tej chwili prawdopodobnie są w szoku. I pan wie tak samo jak ja, że będą myśleć tylko o tym, jak uratować własną dupę. W pierwszym odruchu będą chcieli się schować i pozwolić, żeby to wszystko spadło na głowę kogoś innego - kogokolwiek, w tym także Jongdomby. A może myśli pan, że mieli plan awaryjny na wypadek czegoś takiego? Bo jeśli tak, to mam ładną działkę z plażą nad Mare Imbrium, którą mogę panu tanio sprzedać!

Trammell otworzył usta, by zaprotestować, ale zaraz je zamknął. Przez chwilę był samolubnie - i wbrew sobie - zadowolony, że to nie on dowodzi batalionem.

- Nie, ma'am - powiedział wreszcie. - Nie sądzę, żeby milicja w ogóle słyszała o planowaniu awaryjnym. Ale wchodzenie w Blokhauz bez autoryzacji gubernatora wywoła burzę. Jeśli coś - cokolwiek - pójdzie źle, Aubert będzie próbował panią za to powiesić.

- Matka zawsze mi mówiła, że próbą charakteru człowieka są jego wrogowie - odparła Palacios z chłodnym uśmiechem. - Zaryzykuję, Kevin. Niech pan już idzie.

- Tak jest, ma'am.

Trammell stanął na baczność i oficjalnie zasalutował, zaskakując tym samego siebie i Palacios, a potem posłuchał rozkazu i zniknął.

* * *

Kapitan Karsang Dawa Chiawa stał w zasłanym trupami korytarzu i zszokowany rozglądał się dookoła.

Nie tak miało być, myślał tępo. Mieli się poddać!

Ale się nie poddali.

- Sir.

Oderwał się od widoku poskręcanych ciał i smrodu porozrywanych narządów oraz krwi. Nie wiadomo dlaczego mignęła mu myśl, że to zapachy raczej niż widoki będą odtąd żyć w jego koszmarach.

- Tak?

- Sir. - Nie patrząc na trupy, łącznościowiec podał mu komunikator. - Pułkownik Sharwa chce z panem rozmawiać.

No pewnie, że chce, pomyślał gorzko, ale tylko kiwnął głową i wyciągnął rękę.

- Mówi Chiawa, panie pułkowniku - powiedział do mikrofonu.

- Chiawa, ty pieprzony durniu! - ryknął mu w ucho Sharwa. - Coś ty narobił?

- Panie pułkowniku, ja... - zaczął bez większych nadziei, że będzie mógł dokończyć zdanie.

- Cicho, kurwa! - krzyknął Sharwa. - Nie chcę wysłuchiwać żadnych zaszranych tłumaczeń! To było proste zadanie, a teraz, dzięki temu, że je pan spierdolił, Bóg jeden wie, co się stanie!

Chiawa zamknął usta i zacisnął zęby.

- Jak bardzo jest źle? - ciągnął pułkownik.

- Sir, straciłem co najmniej trzydziestu ludzi - odparł ostro kapitan. - Zaskoczyli moją drużynę wartowników, najwyraźniej ich uzbrojeni ludzie wmieszali się między pismaków. - Tych samych pismaków, których zabroniłeś mi odsunąć od hotelu, żeby „nie zdradzić niespodzianki”, pomyślał gorzko. - Potem co najmniej dwudziestu czy trzydziestu ich ludzi wdarło się do hotelu. Podczas szturm straciłem kolejnych żołnierzy, a w wymianie ognia zginęło albo zostało rannych kilka osób z obsługi hotelu. I... - wziął głęboki oddech - grupa Pankarmy nie poddała się, kiedy na zewnątrz wybuchła strzelanina. Nie jestem pewien, co się dokładnie stało. Według jednego z moich ludzi któryś z delegatów FWG wyciągnął pistolet. Nie wiem, czy to prawda, ale jeśli tak, to jeszcze tej broni nie widziałem. W każdym razie cokolwiek się stało, moi ludzie otworzyli ogień.

- To znaczy... - Sharwa wydawał się niezdolny do dokończenia pytania. Usta Chiawy wykrzywiły się w pozbawionym wesołości uśmiechu.

- To znaczy, że sam Pankarma nie żyje, sir - powiedział bez emocji. - Razem z przynajmniej połową swojej delegacji.

- Ale pozostali są w pana rękach.

- Nie, sir. Nie są - odparł Chiawa, odwracając wzrok od ciał i kałuż krzepnącej krwi. - Napastnicy atakujący z zewnątrz za szybko się przedarli. Z tego, co wiem, zabrali ze sobą wszystkich ocalałych, wśród których mogli być ranni.

- Szlag! - wybuchł Sharwa. - Nie umie pan nic zrobić, kurwa, jak należy?! Teraz ci dranie wiedzą, że ich drogi przywódca nie żyje, a przynajmniej jest ranny, a my nie mamy ani jednej przeklętej karty przetargowej!

- Sir, kiedy planowano tę operację, zapewniano mnie, że...

- Cisza! Morda w kubeł, mówię!

- Sir - ciągnął Chiawa pomimo rozkazu - sytuacja wymyka się nam zupełnie spod

kontroli. Potrzebujemy więcej...

- Kazałem panu zamknąć jadaczkę, kapitanie. - Głos Sharwy nagle zrobił się lodowato zimny. - Oczywiście, że chce pan dostać więcej ludzi. Po tym, jak genialnie poradził pan sobie do tej pory, nie powierzyłbym panu nawet grupy przedszkolaków! Jeśli dam panu więcej ludzi, tylko pan pogłębi tę katastrofę!

- Sir, musimy wydać rozkaz mobilizacji, zanim... - Chiawa przerwał, widząc biegnącego korytarzem porucznika Tuchi Purba Nawę, dowódcę drugiego plutonu.

- Mamy kłopoty przed wejściem! - Nawa ciężko dyszał, miał szeroko otwarte oczy. - Tłum zaczyna szaleć. Rzucają cegłami i płytami chodnikowymi. I chcą natychmiast widzieć Pankarmę.

Chiawa zamknął oczy. Potem znów je otworzył, podniósł rękę w geście „zaczekaj” i wziął głęboki oddech.

- Panie pułkowniku - powiedział do mikrofonu. - Tłum... - rozmyślnie użył tego słowa, mając nadzieję, że może coś do Sharwy dotrze - zaczyna szaleć przed hotelem. I żąda zobaczenia Pankarmy.

- I co ja mam z tym zrobić, do cholery?! - wrzasnął Sharwa. - To pan, geniuszu, zabił tego bydlaka! Jeśli to tłum, ma go pan rozpędzić!

- Sir, nie wiem, czy to najlepsze wyjście. Jeśli...

- Cholera jasna, Chiawa! Niech pan da tam jakichś ludzi i zapanuje nad tymi sukinsynami! Nie obchodzi mnie, jak pan to robi, ale lepiej niech pan to robi szybko!

Chiawa opuścił mikrofon i spojrzał na Nawę.

- Niech pan weźmie swój pluton... - zaczął i przerwał. W skład plutonu Nawy wchodziła drużyna Lakshindy. Jego ludzie na pewno są wzburzeni, a zresztą bez Lakshindy pluton nie jest w pełnej sile.

- Niech pan powie Salace, że ma wyprowadzić swój pluton i rozpędzić tych ludzi.

- Tak jest, sir! - Nawa zaczął się odwracać, ale Chiawa chwycił go za uprząż.

- Ma ich rozpędzić - powtórzył, jednocześnie przyciskając komunikator drugą ręką do uda, by zasłonić mikrofon. - Nie chcę dalszej eskalacji przemocy, jeśli tylko da się tego uniknąć. Niech pan powie Salace, żeby nikt nie strzelał, chyba że w samoobronie. Jeśli nie uda się ich zmusić do odwrotu, ma mi o tym powiedzieć i dostać moją osobistą zgodę, zanim otworzy ogień. Jasne?

- Tak jest, sir! - powtórzył Nawa.

- W takim razie biegiem!

Chiawa puścił uprząż Nawy i odprowadził go wzrokiem. Potem znów podniósł nadajnik

do ust.

- Wysyłam żołnierzy, panie pułkowniku - powiedział. - Za pana pozwoleniem, chciałbym objąć nad tym osobiste dowodzenie i...

- Założę się, że chciałby pan, kapitanie - warknął Sharwa - ale ja jeszcze z panem nie skończyłem. Właściwie...

* * *

Porucznik Tsimbuti Pemba Salaka wziął głęboki oddech i spojrzał na sierżanta swojego plutonu.

- Dobrze - powiedział. - Do roboty.

Sierżant Garza kiwnął głową, ale minę miał niepewną. Salaka wcale go za to nie winił. Takiej sytuacji nie przewidywał nawet w najgorszych koszmarach, kiedy postanowił wstąpić do planetarnej milicji.

Zerknął jeszcze raz na napięte twarze swoich żołnierzy, a potem zważył w dłoniach megafon i ruszył w stronę strzaskanych szklanych drzwi.

Wspaniały westybul luksusowego hotelu był zdemolowany. Olbrzymie odłamki potłuczonego szkła lśniły we krwi znaczącej drogę, którą szturmowcy FWG wdarli się do środka. W gruzowisku leżały ciśnięte z zewnątrz cegły, brukowce i butelki po piwie, które narobiły najwięcej zniszczeń, a ryk rozwścieczonego tłumu przypominał głos jakiejś olbrzymiej głodnej bestii.

W tym momencie coś nadleciało przez wytłuczoną szklaną ścianę, upadło na podłogę i pękło, a po chwili z prymitywnego koktajlu Mołotowa wystrzeliły dymiące płomienie. System hotelowych zraszaczy prawie natychmiast się włączył i pluton Salaki musiał iść w strumieniach wody.

Tylko tego nam trzeba, pomyślał porucznik, przelatykając raz za razem ślinę i zwalczając chęć wytarcia spoconych dłoni o napierśnik.

Następny Mołotow wpadł do westybulu, plując ogniem, i dwóch czy trzech żołnierzy wzdrygnęło się.

- Spokój! - powiedział, żałując, że jego głos nie brzmi pewniej, odważniej. - Spokój!

Potrzebna nam policja do tłumienia zamieszek, a nie milicja, pomyślał. Dlaczego w ogóle nie postawili przed wejściem policji?

A potem był już w drzwiach, wziął głęboki oddech i wyszedł na ulicę, żałując, że nie ma w ręku czegoś bardziej śmiercionośnego, a przynajmniej groźniejszego niż megafon.

Na widok jego ludzi i ich mundurów ryk tłumu wzmógł się. Salaka wręcz czuł nienawiść

pulsującą za tym wrzaskiem, a jakaś zdezorientowana część jego umysłu dziwiła się, skąd się ona wzięła. Milicja chciała tylko zaarrestować grupę przestępców. Przecież przeważająca większość mieszkańców Gyangtse odrzuca FWG - mówiły o tym raporty wywiadu milicji, i to od lat! - i powinni chcieć, żeby Pankarma i jego ludzie zostali aresztowani. A już na pewno powinni rozumieć, że nikt nie chciał, by doszło do takiej rzezi, że to wina ludzi z FWG, którzy wpadli do hotelu, strzelając na wszystkie strony!

- Obywatele! - krzyknął Salaka; dzięki megafonowi słyhać go było nawet mimo chaosu i ryku. - Obywatele, proszę natychmiast się rozejść! Bierzecie udział w nielegalnych działaniach, a jeśli to potrwa dłużej, kolejni ludzie zostaną ranni! Nie chcemy więcej żadnych rannych, więc proszę...

Jeden pocisk trafił go w napierśnik i odbił się. Drugi ugodził go w lewe ramię, w ułamku sekundy roztrzaskując kość.

Trzeci pocisk uderzył go niemal dokładnie w połowie odległości między lewą brwią a krawędzią hełmu, i czaszka Salaki eksplodowała.

* * *

- ...a potem, kapitanie, osobiście dopilnuję, żeby następnych pięć czy dziesięć lat spędził pan w więzieniu! - ryknął Sharwa w ucho Chiawy.

Pułkownik zagalopował się w swojej tyradzie. Nawet kiedy to mówił, musiał dobrze wiedzieć, że większość jego gróźb nigdy się nie ziści. A może myślał, że się spełnią, i może nawet miał rację. Rząd planetarny mógłby uznać, że kapitan Chiawa będzie się nadawał na kozła ofiarnego, na którego zwali się winę za błędy przełożonych.

Ale Chiawa tego nie wiedział. Wiedział tylko, że powinien się zajmować innymi sprawami, a nie stać i wysłuchiwać wrzasków tego dumia, ale niestety ranga rzeczonoego dumia zmuszała go, by to właśnie robił.

A potem kapitan podniósł wzrok znad nadajnika, kiedy nadbiegł pędem Nawa.

- Sir, Salaka poległ i...

Nagły trzask ognia karabinowego przerwał jego meldunek. Seria wystrzałów była równie krótka, jak niespodziewana, a potem Chiawa usłyszał wycie setek głosów, kiedy tłum zebrany pod hotelem „Annapurna Arms” zaszarżował na budynek.

* * *

- ...i ufam, że może pani wytłumaczyć swoje pochopne, bezprawne działania, pani major! Głos Ákosa Salgado mógłby łuszczyć stal bojową, ale widoczna na wyświetlaczu jego

komunikatora złotowłosa kobieta w mundurze marines spokojnie odwzajemniała jego spojrzenie.

- Z całym należnym szacunkiem, panie Salgado - odparła po chwili - wszelkie wyjaśnienia jestem winna gubernatorowi Aubertowi, a nie panu.

- Jestem dyrektorem gabinetu gubernatora! - warknął z wściekłością Salgado. - Scedował na mnie uprawnienia do wysłuchania pani idiotycznych wyjaśnień... i ja wciąż na nie czekam.

- W takim razie musi pan uzbroić się w cierpliwość, panie Salgado - powiedziała zimno major - czekając na wyjaśnienie moich „pochopnych, bezprawnych działań”. Ponieważ, proszę pana, moje działania nie były ani pochopne, ani bezprawne.

- Były jak cholera. - Salgado patrzył na nią wilkiem. - Nie miała pani uprawnień, absolutnie żadnych, do okupowania portu kosmicznego, stacji miejskiego wodociągu czy elektrowni ani do ogłaszania stanu wojennego w stolicy w imieniu Jego Wysokości!

- W myśl czterdziestego drugiego artykułu Imperialnych Artykułów Wojennych mam nie tylko prawo, ale i obowiązek, jako najstarszy stopniem oficer na planecie podjąć wszelkie działania, jakich według mnie wymaga sytuacja, w razie braku poleceń właściwej władzy zwierzchniej - powiedziała, a Salgado zsiniał.

- Cholera jasna, pani władzę zwierzchnią jest gubernator! - ryknął.

- Oficjalna hierarchia dowodzenia jest mi znana, panie Salgado. Nie dostałam jednak żadnych bezpośrednich poleceń ani od gubernatora, ani nawet od pana, a w krytycznym momencie - bez wątpienia w wyniku zamieszania spowodowanego nagłym wybuchem przemocy - nie mogłam skontaktować się z żadnym z panów. Ponadto... - spojrzała mu prosto w oczy - w ciągu ostatnich kilku tygodni nie byłam w stanie porozmawiać z gubernatorem Aubertem, mimo pana zapewnień, że wasi specjaliści od łączności robią co mogą, więc było dla mnie jasne, że tym razem też mogę przez dłuższy czas nie móc się z nim skontaktować. W tych okolicznościach nie miałam innego wyjścia, jak tylko podjąć na własną odpowiedzialność natychmiastowe działania.

Salgado zgrzytnął zębami. A to suka. Podstępna, chytra, zasłaniająca się przepisami suka!

Otworzył usta, by sponiewierać ją, na co tak bardzo zasłużyła, ale się powstrzymał. Ona to nagrywa. Wiedział, że nagrywa - że chce, by powiedział coś, co mogłaby potem odtworzyć swoim wojskowym przełożonym albo jego przełożonym w ministerstwie - by usprawiedliwić własne działania, a jego utracić.

No cóż, Ákos Salgado nie zamierza jej tego ułatwiać.

- Być może działała pani w ramach swoich uprawnień, pani major - powiedział lodowatym tonem. - Zrobiła to jednak pani bez żadnej konsultacji ani zgody swoich

cywilnych przełożonych. Biorąc pod uwagę obecny stan zamieszania i temperaturę emocji na Gyangtse, pani osobista decyzja, by uciec się do rozwiązań siłowych, być może spowodowała, że to, co było drobnym lokalnym zajściem, zmieniło się w bezpośrednią konfrontację z władzami Imperium. Jeśli tak jest, ostrzegam panią, że gubernator Aubert i ja zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by poniosła pani konsekwencje, na które pani zasłużyła.

- Jestem tego pewna, panie Salgado - odparła chłodnym tonem i w jej niebieskich oczach zapłonęła pogarda. - Czas oczywiście pokaże, czy moje działania były usprawiedliwione, prawda? A skoro o czasie mowa, w tej chwili nie mam go w nadmiarze. Coś jeszcze, proszę pana?

- Nie - warknął. - Nie w tej chwili, pani major.

- W takim razie do widzenia - powiedziała i przerwała połączenie.

* * *

- Jejku, jej - mruknął Gregory Hilton. Stał razem z Alicią na dachu najbardziej wysuniętego na północ lądowiska promów w porcie Zhikotse i patrzyli na gęste słupy dymu wznoszące się nad Starym Miastem. - Nie brzmi to najlepiej, co?

Chodziło o trzask ognia broni automatycznej, przetykany eksplozjami granatów ręcznych, moździerzy i rakiet. Słychać też było inne dźwięki - wycie tłumu, zawodzenie syren karetek, pojedyncze krzyki, ryk i szczęk starych nieopancerzonych transporterów milicji - które dopalacze sensoryczne Alicii wychwytywały z ogólnego jazgotu.

Jak to możliwe, że to się stało tak szybko?, zastanawiała się.

Nie umiała sobie odpowiedzieć na to pytanie. I z tego, co wiedziała, nikt nie umiał. A patrząc na kłęby dymu i słysząc zbliżającą się do portu kakofonię dźwięków, wiedziała, że tak naprawdę nie ma to teraz znaczenia. Może kiedyś miało i bez wątplenia będzie jeszcze miało w przyszłości, ale w tej chwili trzeba było sobie z tym poradzić, a nie próbować zrozumieć.

- Jak myślisz, kiedy uderzą w nasz perymetr, Greg? - spytała; spokój jej własnego głosu zaskoczył ją. Wydawał się należeć do kogoś innego, kogoś, kto nie ma nerwów poskręcanych w węzły i kto nie napina aż do bólu mięśni brzucha.

- Trudno powiedzieć - odparł po chwili Hilton. - Wyraźnie kierują się w naszą stronę, a te żalosne toboły z milicji ich nie zatrzymają. Co najwyżej trochę spowolnią. - Zmarszczył czoło z namysłem. - Oczywiście wyobrażam sobie, że całkiem sporo naszych szlachetnych milicjantów znajduje sobie właśnie zupełnie nowych, bardzo atrakcyjnych przełożonych.

- Naprawdę uważasz, że wielu z nich przejdzie na drugą stronę?

- Nie bądź taka zdziwiona, larwo. - Hilton parsknął nieprzyjemnym śmiechem. - Po pierwsze, to oczywiste, że tłum przetoczy się po wszystkim, co mu stanie na drodze, a ci biedni frajerzy tutaj mieszkają. I właśnie o tym będą myśleć w przerwach między sikaniem po nogach. Nie mają dokąd iść i nie chcą zabijać swoich znajomych i sąsiadów. Zwłaszcza jeśli zamierzają dalej tu żyć... a poza tym i tak w ten sposób nie zatrzymają tłumy.

- Po drugie, byłbym naprawdę bardzo zaskoczony, gdyby w milicji nie było całkiem sporo sympatyków FWG. Będą się ustawiać w kolejce, żeby przejść na drugą stronę, i będą zabierać ze sobą tylu kumpli, ilu tylko zdołają. - Wzruszył ramionami. - Szczerze mówiąc, na ich miejscu pewnie myślałbym tak samo. Niby co potem z nimi zrobimy? Rozstrzelamy ich? Zwłaszcza jeśli nie będziemy potrafili udowodnić, co zamierzali zrobić? Och, kilku może dostać po karku, ale mimo wszystko to daleka przyszłość. A oni myślą o chwili obecnej.

- No, ktoś tam jednak stawia opór - zauważyła Alicia, kiedy w oddali zagrzmiała nowa kanonada.

- Tak. - Hilton kiwnął głową. - Niektórzy będą się trzymać aż do końca, choćby dlatego, że to w gruncie rzeczy dobrzy żołnierze, nawet jeśli trafili do tej nic niewartej milicji. I jak dobrzy żołnierze, to oni będą ponosić największe straty, podczas kiedy reszta tej żalosnej bandy da nogę za ich plecami.

- A niektórzy będą się trzymać, bo nie mają innego wyjścia. Myślisz, że Jongdomba czy Sharwa będą mile widziani na łonie Rewolucji?

- Nie mogą się spodziewać, że wygrają, w każdym razie nie na dłuższą metę - mruknęła Alicia.

- Tłum? FWG? - spytał Hilton. Popatrzyła na niego, a on wzruszył ramionami. - Alicia, tego wszystkiego nie można nazwać przemyślanym działaniem. - Machnął ręką w kierunku dymu i huk, kręcąc głową. - Kiedy Pankarma dał się rozwalić, myślenie poszło w odstawkę. Żadna strona tego się nie spodziewała i żadna nie miała planu na taką ewentualność. Teraz cała ta cholerna sytuacja jest całkowicie poza jakąkolwiek kontrolą. Nikt nad tym nie panuje, Alley. To się po prostu toczy własnym rozpędem. Już coś takiego widywałem.

- No, przynajmniej nam się udało przeprowadzić większość naszych ludzi do środka perymetru.

- To fakt. - Hilton westchnął, a potem smutno się uśmiechnął.

- Zastanów się nad tym, co właśnie powiedziałaś - rzekł cicho. - Mamy w środku „większość naszych ludzi”. Kim są ci „nasi ludzie”? Tylko nietutejsi i nasi bliscy? A co z wszystkimi mieszkańcami Gyantse, którzy popierali inkorporację? Co się z nimi stanie, kiedy ktoś w tym tłumie będzie wiedział, że ją popierali? A skoro już o tym mowa, co będzie

z tłumem, kiedy dotrze do naszego perymetru i odkryje różnicę między lokalną milicją a Imperialnym Korpusem Marines?

Alicia popatrzyła na niego jeszcze przez chwilę, a potem odwróciła się w stronę odległej ściany dymu.

Nie wiedzieć czemu w tej jednej chwili ów unoszący się oddech zniszczenia był o wiele mniej przerażający niż pytania, które właśnie zadał Gregory Hilton.

* * *

- To przekłeta katastrofa - powiedział gorzko Ákos Salgado, wchodząc do gabinetu gubernatora Auberta. Aubert stał przy oknie, tyłem do drzwi, z rękami splecionymi za plecami, i patrzył na ten sam dym, który Alicia widziała ze swojej pozycji. - Ostrzegałem Palacios, że te jej nieprzemyślane siłowe działania tylko pogorszą sytuację, ale ta cholerna wariatka kazała mi się odpierdolić! Klnę się na Boga, że postawię tę dziwkę przed sądem wojennym, nawet gdyby to miała być ostatnia rzecz, jaką...

- Ákos - powiedział spokojnie Aubert - niech pan się zamknie.

Salgado wytrzeszczył oczy niczym wywleczona na brzeg ryba. Przez co najmniej trzy pełne sekundy tylko to był w stanie robić. Potem jego usta znów zaczęły pracować.

- Ale... Ale...

- Powiedziałem - przerwał mu Aubert, w końcu odwracając się od okna - żeby się pan zamknął.

Po czym podszedł do biurka i usiadł, odchylając się do tyłu z ponurym wyrazem twarzy.

- To nie jest skutek żadnych „siłowych działań” major Palacios - powiedział sucho. - To efekt naszej głupoty.

- Ale...

- Nie zamierzam mówić panu po raz kolejny, żeby się pan zamknął.

Głos Auberta był zimny jak sople i Salgado poczuł ukłucie paniki, patrząc w oczy swojego patrona i dostrzegając w nich wyraźnie własną polityczną przyszłość.

- Palacios od miesięcy usiłowała nam powiedzieć, że coś takiego się szykuje - ciągnął Aubert. - Myślałem, że nie ma racji. Myślałem, że panikuje. Myślałem, że analitycy tak zwanego wywiadu Jongdomby rozeznają się w miejscowej sytuacji lepiej niż ona. I, niech Bóg ma mnie w opiece, myślałem, że pan potrafi odróżnić własną dupę od łokcia. Żałuję - nigdy pan nie pojmie, jak bardzo - że nie mogę powiedzieć, że to wszystko pana wina. To pan manipulował moim rozkładem zajęć, żeby Palacios nie mogła mnie przekabacić swoimi „alarmistycznymi” ostrzeżeniami. To pan „gubił” jej wiadomości do mnie. I to pan wymyślił

ten genialny plan aresztowania Pankarmy. Ale problem ze zwaleniem całej winy na pana polega na tym, że ja doskonale wiedziałem, co pan robi, i pozwalałem na to. Nawet się z panem zgadzałem, mimo tego wszystkiego, co Palacios próbowała mi powiedzieć, a to czyni ze mnie takiego samego głupca jak pan. Nie, nawet większego, takiego, który zaciskał oczy i wtykał palce do uszu, żeby nie dopuszczać do siebie żadnych ostrzeżeń. Kereku miał całkowitą rację w ocenie tego, co się dzieje tutaj, na Gyantse, a on jest dwanaście lat świetlnych stąd. Co oznacza, choć przyznaję to niechętnie, że miał też absolutną rację, usiłując wykopać stąd mój nic niewart tyłek.

- Panie gubernatorze... Jasper... - zaczął Salgado niemal z rozpaczą - oczywiście to wszystko straszna...

- Won - przerwał mu niemal spokojnie Aubert, a gdy Salgado wytrzeszczył oczy, gubernator wskazał mu drzwi gabinetu. - Powiedziałem „won”. Zabieraj pan stąd ten swój dumny pieprzony ryj i niech go nigdy więcej nie oglądam. Ale już!

Ákos Salgado patrzył na niego jeszcze przez krótką chwilę, przeczuwając całkowity i nieodwracalny koniec swojej kariery. A potem przygarbił się, odwrócił i wyszedł krokiem ślepego z gabinetu.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Wycofać się! Wycofać się!

Karsang Dawa Chiawa wykrzykiwał rozkaz, czując, jak bardzo ma zdarte gardło.

Nawet teraz z trudem mógł uwierzyć, że tłum tak szybko się zebrał i gwałtownie powiększył, a potem zareagował tak wybuchowo. Nic w raportach wywiadu, które kapitan czytał, nie sugerowało, że ktokolwiek w rządzie planetarnym czy milicji wierzy, że FWG ma poparcie ogółu obywateli. Najwyraźniej się pomylili.

A wysłanie Salaki, żeby stawił temu czoła, było dokładnie tym, czego robić nie należało, pomyślał. Choć, uczciwie rzecz biorąc, nawet teraz nie przychodziło mu do głowy, co należałoby zrobić. Zwłaszcza biorąc pod uwagę żądanie Sharwy, by „rozpedzić” tłum, i natychmiastowe zastrzeżenie, że Chiawa nie może tym sam kierować. Jak widać, pułkownik wolał go sponiewierać niż pozwolić, żeby to on rozładował sytuację. W końcu mógł wezwać posiłki czy choćby poinformować prezydenta Shangupa, co się dzieje.

Ale niezależnie od tego, jak wielka mogła być wina Sharwy, Chiawa nigdy sobie nie wybaczy, że nie kazał pułkownikowi się zamknąć i sam nie pokierował swoimi ludźmi. Oczywiście nie wiedział wtedy, tak samo jak Salaka, że tłum jest uzbrojony, ale w ogóle nie powinien był dopuścić do takiej sytuacji.

Śmierć Salaki była kroplą, która przepelniła czarę. Rzucający cegłami zmienili się nagle we wrzeszczący tłum rozwścieczonych ludzi, a ludzie Salaki nie spodziewali się czegoś takiego, więc kiedy ich dowódca padł, zawahali się. Być może była to też wina Chiawy. To on zabronił Salace użycia siły. Wiedział, że będzie to roztrząsał do końca życia, choć prawda była taka, że nie wiadomo, czy sprawy potoczyłyby się inaczej, gdyby otworzyli ogień w tej samej chwili, kiedy tłum rzucił się naprzód. Tak czy inaczej, nie zrobili tego. Próbowali się cofać, unikać zabijania swoich rodaków, a ci rodacy po prostu przetoczyli się po nich jak huragan.

Żaden żołnierz z plutonu Salaki nie przeżył, a Chiawie udało się wyprowadzić resztę swoich ludzi z hotelu, wystrzeliwując sobie drogę ucieczki. Niektórzy jednak nie strzelali, za to próbowali dołączyć do wrzeszczącego tłumu.

Po opuszczeniu hotelu usiłowali znaleźć jakieś schronienie. Nie było łatwo - po ulicach stolicy przewalały się agresywne tłumy ludzi, coraz liczniej uzbrojone, wywrzaskujące swoją

nienawiść do każdego, kto nosił mundur. Udało im się połączyć na krótko z kompanią Echo, jedynym pozostałym oddziałem milicji, który generał Jongdomba i pułkownik Sharwa wysłali do przeprowadzenia tej „rutynowej” operacji, ale kapitan Padoije, dowódca Echo, upierał się przy wykonaniu rozkazu Sharwy i odbiciu hotelu. Najwyraźniej pułkownik nawet teraz wierzył, że zdecydowany, brutalny pokaz siły „zapędzi uliczną zgraję z powrotem do jej nor”.

Cokolwiek Sharwa sobie wyobrażał, jego rozkazy były błędem - jeszcze jednym błędem - ale Padoije nie chciał uwierzyć Chiawie na słowo. Ruszyli więc naprzeciw fali przyływu... i zniknęli jak zamek z piasku w morskiej kipieli. Na Placu Brahmputry, trzy przecznice od hotelu, zostali zaatakowani z trzech stron. Pierwszy pluton Padoijego po prostu zniknął, a reszta kompanii Echo - i niedobitki kompanii Alpha - rozpadły się na pospiesznie cofające się grupki, ścigane przez dziko wyjący tłum.

Teraz - zdawałoby się, że całą wieczność później, choć w rzeczywistości mogło to być najwyżej kilka godzin - Chiawa starał się przedrzeć wraz ze swoimi ocalałymi ludźmi w stronę portu, gdzie marines podobno utrzymywali perimetr, ale za każdym razem, kiedy ruszali na wschód, wpadali na nowe bandy, które spychały ich znowu na zachód. W tej chwili dzieliło ich od portu prawie pół miasta, ale Chiawie nie przychodziło do głowy żadne inne miejsce, które dawałoby im szansę przeżycia.

Nieco ponad dwa tuziny milicjantów, którzy wciąż trzymali się razem pod jego komendą - tylko ośmiu pochodziło z jego własnej kompanii - zdołało wykonać ostatni rozkaz wycofania się. Prowizorycznie sklecona drużyna pod dowództwem sierżanta z kompanii Echo zerwała się ze swoich pozycji strzeleckich i zaczęła się biegiem wycofywać. Podczas gdy kapitan usiłował wybrać na wyświetlaczu mapy kolejny punkt - bez wątpienia daremny - oporu, sierżant - którego nazwiska Chiawa nie był w stanie sobie przypomnieć - rzucił się na ziemię za cerambetonową donicą ozdobnego krzewu. Pozostali członkowie, jego” drużyny znaleźli sobie własne kryjówki z dość dobrą osłoną, przynajmniej od przodu.

- Pozycja! - oznajmił bezimienny sierżant w komunikatorze Chiawy.

- Potwierdzam - odparł kapitan. - Chamba! Teraz ty! Już!

- Idziemy!

Sierżant Chamba Mingma Lhukpa podniósł się i machnął ręką, dając swoim ludziom sygnał do wycofania.

Jak Chiawa zauważył, wykonali rozkaz z dokładnością, jakiej nigdy nie wykazywali na ćwiczeniach. Nie mógł przy tym opędzić się od pewnej dozy goryczy, ale szybko ją od siebie odsunął. Ci ludzie przeżyli. To oni wytrwali, kiedy wszyscy inni dali nogę... i to oni uczyli się wystarczająco szybko - i byli dość wredni - by przetrwać. Jak dotąd. Gdyby Chiawa miał cały

pluton takich ludzi w „Annapurna Arms”, do niczego takiego w ogóle by nie doszło.

Gówno prawda. Ty, Sharwa i ten idiota Jongdomba i tak byście spierdolili sprawę, i sam o tym wiesz, powiedział cichy głosik z tyłu jego głowy, kiedy wyczerpani, ponurzy ludzie Lhukpy mijali go biegiem. Kule wyły nad ich głowami, rykoszetowały od chodnika i wybijały dziury wielkości pięści w fasadach budynków. Chiawa usłyszał nagle wrzask, kiedy jeden z jego szeregowców padł.

Wskazał za siebie, na pozycję, z której bezimienny sierżant i jego ludzie stawiali zapórę ogniową, i wrzasnął:

- Biegiem! - a sierżant Lhukpa znów go posłuchał.

Nieprzyjacielski ostrzał nasilał się. W narastającej kakofonii kapitan usłyszał grzmiący trzask kaliope i poczuł się jak człowiek usiłujący iść pod wichurę. Tyle że oczywiście żadna wichura, której do tej pory stawiał opór, nie składała się z penetratorów zdolnych przejść na wylot przez napierśnik i naplecznik pasywnego pancerza osobistego, który nosił.

Przyklęknął przy trafionym szeregowcu. Rozpoznał go - to Chepal Pemba Solu, jeden z garstki żołnierzy jego własnej kompanii, którzy tak jak Lhukpa pozostali przy nim. Przetoczył Solu na plecy i sprawdził monitor oznak życia. Był czarny. Kapitan zmiął w zębach przekleństwo, zerwał nieśmiertelnik Solu i rzucił się pędem za Lhukpą.

Biegąc, miał poczucie winy, bo nie potrafił się opędzić od myśli, że lepiej, iż Solu nie żyje, niż gdyby musieli nieść ze sobą przez ten koszmar ciężko rannego żołnierza.

Gdzieś przed nimi huknęła głośniejsza iż dotychczas eksplozja. Kapitan przewrócił się, pchnięty falą uderzeniową, i stęknął z bólu, uderzając z całej siły o cerambeton. Rzucił się w bok, przeturlał przez krawężnik i zatrzymał na ławce. Gdyby nie pancerz, uderzenie o ławkę połamałoby mu żebra.

Rozległ się kolejny wybuch. I jeszcze jeden.

Moździerze, zameldował jego mózg, podczas gdy kapitan usiłował złapać oddech. Ci dranie dostali w swoje ręce nasze moździerze!

Chwilę później był zmuszony zrewidować swoje pierwsze wrażenie. Jeśli to był milicyjny moździerz, nie obsługiwała go banda cywilów. Pierwsze pociski spadły daleko za pozycjami jego ludzi, ale już kolejne miarowo zbliżały się w jego stronę. Albo strzelał ktoś, kto się na tym znał - a więc była to właśnie ta broń, której według zapewnień Sharwy FWG nie posiadał - albo moździerze faktycznie należały do milicji... i były obsługiwane przez załogę, która również kiedyś do niej należała.

Nie miało to jednak większego znaczenia. Dwie garstki ludzi Chiawy były w miarę dobrze osłonięte przed ogniem broni ręcznej, choć nie przed pośrednim ostrzałem, sięgającym

w martwe punkty za donicami, zaparkowanymi samochodami i cerambetonowymi schodami.

- Do środka! - krzyknął kapitan w komunikator. - Do budynków!

Zerwał się i pobiegł w kierunku szerokich schodów prowadzących do głównego wejścia do biurowca. Ktoś jeszcze biegł za nim - co najmniej dwie czy trzy osoby. To dobrze, przynajmniej nie był sam. Ale stało się to, czego chciał uniknąć od samego początku tego koszmarnego odwrotu: jego ludzie dali się podzielić na małe niezależne grupki, których działań nie mógł koordynować ani kontrolować. Teraz, kiedy się rozdzielili, zostali zwykłymi uciekinierami, niezdolnymi do polegania na sobie nawzajem i wspierania siebie.

- Uwaga wszyscy - sapnął do komunikatora, wpadając do absurdalnie czystego i spokojnego hallu biurowca. - Nie zatrzymywać się. Zerwać kontakt, rozproszyć się i dotrzeć jakoś do portu. Spotkamy się na miejscu. I... dzięki.

Ostatnie słowo powiedział cicho, niemal łagodnie. Potem obejrzał się przez ramię na czterech milicjantów, którym udało się do niego dołączyć. Żaden z nich, jak zauważył, nie był z kompanii Alpha.

- Dobra, panowie - powiedział ze znużeniem. - To dotyczy też nas. Ty... Munming - odczytał nazwisko nadrukowane na napierśniku kaprała uzbrojonego w granatnik i wciąż jeszcze pół pasa granatów - będziesz ciężką bronią. Trzymaj się za mną. Na razie ładuj flesztkami. Wy dwaj... - wskazał dwóch strzelców, których także nie rozpoznawał - i ja idziemy na szpicy. Ty... - stuknął jednego z nich w pierś - na prawej flance, a ty... - wskazał drugiego - na lewej flance. Ja pójdę środkiem. A ty... - odwrócił się do czwartego i ostatniego milicjanta - kryjesz nam tyły. Jasne?

Pobladłe, brudne od dymu twarze przytaknęły, a kapitan kiwnął głową.

- W takim razie ruszamy dupska.

* * *

- No, to już dupa - powiedział sierżant major Winfield.

Major Palacios podniosła wzrok znad stołu wyświetlacza taktycznego i uniosła pytająco brew.

- Rozumiem, że pana dosadne określenie oddaje jakiś nowy i jeszcze bardziej odrażający bieg wydarzeń, sierżancie?

- O tak, w rzeczy samiutkiej, ma'am - odparł Winfield. - Właśnie dostaliśmy priorytetowe żądanie wsparcia od samego generała Jongdomby.

- Czemu nie jestem zdziwiona? - Palacios westchnęła. Pokręciła głową, patrząc na mapę na wyświetlaczu, i skrzywiła się.

Reakcja na nieudaną próbę aresztowania była jeszcze szybsza i gorsza, niż major się obawiała. Wciąż nie sądziła, by FWG to wszystko zaplanował. Właściwie była przekonana - a dane ze zdalnych czujników batalionu wydawały się to potwierdzać - że ocalali porucznicy Pankarmy robili, co mogli, by opanować sytuację, ale niestety, jeśli FWG kiedykolwiek miał nad tym jakąś kontrolę, to teraz już ją stracił.

Strzelanina w „Annapurna Arms” zmieniła się w coś, co nosiło wszelkie znamiona autentycznie spontanicznego powstania. Doniesienia - a właściwie plotki - mówiące o tym, iż ludzie Frontu próbowali się wycofać i uciec z niedobitkami swojej delegacji, były prawdziwe. Nie potrafiła sobie wyobrazić, żeby chcieli zrobić cokolwiek innego. Poza tym jednak nie miała pojęcia, co się stało. Oczywiście oprócz faktu, że znaczna część mieszkańców stolicy była na ulicach, uzbrojona we wszystko, od karabinów szturmowych, kaliope, granatników i moździerzy po tradycyjne brukowce i koktajle Mołotowa.

To nie ma tak naprawdę wiele wspólnego z tym, co się stało z Pankarmą, pomyślała Palacios. To miejska biedota poczuła krew i szansę odegrania się na ludziach, których wini za swoją nędzę. Jasne, odzywa się tu też niechęć do Imperium, która jest bardzo głęboka, zwłaszcza wśród ludzi, których system najbardziej wydymał - ale to nie z tego bierze się furia, którą tu widać.

Oligarchia Gyangtse była gorsza niż większość prominentów, których Palacios widziała, i wywoływała wrogość niższych warstw gyangtseskiego społeczeństwa, zanim jeszcze opowiedziała się za referendum w sprawie inkorporacji. Major wiedziała o tym i już od miesięcy przewidywała taki wybuch. Jej batalion został wysłany na Gyangtse między innymi dlatego, że rozpoznanie miało - oprócz wyszkolenia w zakresie zdobywania informacji w takim jak ten chaosie - specjalizować się także w kontrolowaniu spokojnych populacji planetarnych, by w przyszłości unikać podobnych wybuchów.

Niestety zakładano, że ich cywilni przełożeni nie będą im tego utrudniać. A skoro o tym mowa...

- Czy mamy jakieś nowe informacje od gubernatora Auberta? - spytała.

- Nie, ma'am - odparł beznamiętnie porucznik Thomas Bradwell, jej oficer odpowiedzialny za łączność. - Żadnych, odkąd jego sekretarz powiedział nam, że mamy się kontaktować z gubernatorem przez niego, a nie przez pana Salgado.

Palacios kiwnęła głową z twarzą tak samo beznamiętną jak głos Bradwella i po raz kolejny zaczęła się zastanawiać, czy oczywista utrata łask przez Salgado jest dobrym, czy złym znakiem.

Kiedy wszystko zaczęło się sypać, ludzie Palacios szybko rozmieścili na terenie miasta

zdalne czujniki. Małe, niezależnie lokalizowane drony unosiły się bezgłośnie na swoich antygrawach i niezwykle trudno było je zauważyć, nawet przy użyciu liniowych wojskowych sensorów. Major nie miała ich tyle, ile by chciała - żaden dowódca nigdy nie miał - ale wystarczyło, by w miarę sensownie pokryć teren miasta. Ich sensory, zaprojektowane tak, by radzić sobie z dymem, zamieszeniem, kamuflażem i systemami elektronicznymi na nowoczesnym polu walki, mogły mieć oko na przebieg sytuacji.

Co oznaczało, że Palacios miała przygnębiająco jasny obraz tego, co się teraz działo; patrząc na mapę, wiedziała, że jeśli nie będą mieli o wiele więcej szczęścia, niż mają prawo oczekiwać, to szaleństwo będzie się dalej rozwijać.

- Jakiego wsparcia domaga się Jongdomba, sierżancie? - spytała ostro.

- On i lojalna część jego brygady są w Ogrodach. Mówi, że jego ludzie są gotowi zginąć za prezydenta Shangupa i rząd planetarny, ale domaga się szybkiej pomocy, by zapewnić prezydentowi i jego delegatom bezpieczeństwo.

- Rozumiem.

Palacios zdołała się powstrzymać od przewrócenia oczami. Zgodnie z założeniami operacji Blokhauz jej ludzie otoczyli port kosmiczny szczelnym perymetrem, kontrolowali także główną elektrownię i wodociągi miasta, dzięki czemu podstawowe służby publiczne mogły wykonywać swoją pracę. Rezydencja gubernatora i większość imperialnych biur znalazły się wewnątrz perymetru portu. Ale Pałac Prezydencki mieścił się wśród drzew i fontann stołecznych Ogrodów, po drugiej stronie pogrążonego w chaosie miasta.

Nawet Jongdomba, pomyślała jadowicie, mógł zorganizować w miarę spokojną ewakuację prezydenta i członków Izby Delegatów z gmachów publicznych Ogrodów. Powinni byli opuścić stolicę już w chwili, kiedy padły pierwsze strzały, ale bez wątplenia Jongdomba osobiście zapewnił Shangupa, że tłum nie zagrozi Pałacowi Prezydenckiemu ani przyległym biurom Izby i władz wykonawczych. Poza tym nie mógł w takiej chwili nie wykazać się żelazną determinacją, by nie ustąpić ani kroku.

Dopóki oczywiście nie okazało się, że nie jest w stanie ich ochronić, pomyślała major, a potem zmarszczyła czoło, kiedy przyszła jej do głowy inna, wyjątkowo nieprzyjemna myśl.

- Czy generał przedstawił nam raport sytuacyjny, sierżancie? - spytała.

- Mówi, że sytuacja jest, niejasna", ma'am. Ma odpowiednik około dwóch batalionów i jest przygwożdżony ostrzałem nieokreślonej, ale na pewno dużej liczby ciężko uzbrojonych partyzantów FWG. Mówi, że są wyposażeni w broń pochodzenia wojskowego i że kończy mu się amunicja. Twierdzi, że bez wsparcia nie zdoła stawić skutecznego oporu przez więcej niż dwie czy trzy godziny.

- Rozumiem. Rozumiem też, że nie dołączył listy cywilów, których ma na swoich pozycjach?

- Nie, ma'am, nie dołączył.

- To dopiero ciekawe - mruknęła do siebie.

- Słucham, ma'am?

- Tylko głośno myślałam, sierżancie.

Mimo ponurych myśli na widok spojrzenia Winfielda Palacios o mało nie parsknęła śmiechem. Ale szybko spoważniała.

- Tom?

- Tak, ma'am? - odparł porucznik Bradwell.

- Muszę porozmawiać z gubernatorem.

* * *

- Pani mówi poważnie, pani major?

I mężczyzna na jej wyświetlaczu podniósł rękę, zanim zdążyła się odezwać.

- Proszę mi wybaczyć - powiedział Jasper Aubert, a Palacios otworzyła szeroko oczy, słysząc szczery ton jego przeprosin.

- Jestem pani winien - tak naprawdę wam wszystkim, ale chyba zwłaszcza pani - przeprosiny za to, że wcześniej pani nie posłuchałem - ciągnął gubernator. - Póki co tak to zostawmy. Miejmy nadzieję, że później będę miał okazję przeprosić we właściwy sposób. Nie lekceważę tego, co pani teraz mówi. Staram się tylko jakoś to ogarnąć.

- Panie gubernatorze - powiedziała Palacios. - Nie jestem pewna, czy mam rację, ale jeśli tak jest, to możemy tu mieć jeszcze większy problem.

- Nasze zdalne sensory jasno wskazują, że jedynie mniejsza część populacji Zhikotse bierze w tym wszystkim czynny udział, ale to i tak olbrzymia liczba bezwzględna. Wygląda także na to, że ogromna część broni dwóch kompanii, które Sharwa skierował do... próby aresztowania, jest teraz w rękach kogoś innego.

- Jakby tego było mało, pobieżna kontrola dwóch głównych arsenałów milicji wskazuje, że one też zostały złupione. Dlatego w tej chwili mamy do czynienia z siłą ognia paru pułków milicji.

W tym, pomyślała ponuro, ręcznych wyrzutni rakiet SAM.

Rakiety, które trafiły w niepowołane ręce (czy, poprawiła się, które FWG posiadał od samego początku), zredukowały już trzy żądła wsparcia powietrznego do jedynie dwóch, a wraz ze statkiem major straciła pilota.

Do czego by nie doszło, gdybym od początku brała pod uwagę taką możliwość, że mają broń ziemia-powietrze. Spieprzyłam sprawę, bo chciałam mieć oprócz czujników parę żywych oczu. Głupia dziwka.

Odsunęła tę myśl na bok, przynajmniej na razie; wiedziała, że i tak będzie to do niej wracało w snach.

- Zwróciłam się do Floty o wsparcie, ale porucznik Granger niewiele może dla nas w tej chwili zrobić. Jest najstarszym stopniem oficerem Floty w układzie i ma do dyspozycji tylko własną korwetę. Korwety są za małe, by przewozić promy szturmowe, więc nie może nas wspomóc uderzeniami z powietrza czy desantami, a choć uzbrojenie jego okrętu mogłoby zniszczyć całe miasto uderzeniem kinetycznym, ciężka hiperszybka broń niezbyt się nadaje na wsparcie ogniowe w takiej sytuacji jak nasza.

- Zostajemy więc tylko my, a dopóki na ulicach są SAM-y, moja elastyczność taktyczna jest mocno ograniczona. Dostałam kompanię powietrznych ciężarówek, ale za to nigdy nie dostałam antygravitacyjnych transporterów opancerzonych, o które prosiłam, a sytuacja tutaj jest najgorsza dla nieopancerzonych powietrznych samochodów. Teren uniemożliwia dokładne odczytanie, co może czyhać na dole, nawet przy użyciu zdalnych czujników. Nie mamy jak dowiedzieć się, gdzie są SAM-y czy broń przeciwpancerna, zwłaszcza jeśli ukrywają je w budynkach aż do chwili otwarcia ognia. A nawet gdybym z grubsza wiedziała, gdzie są, siła ognia potrzebna do ich wyeliminowania bez znajomości dokładnej lokacji musiałaby być olbrzymia.

Palacios pokręciła głową.

- W tej chwili większość ludzi w mieście stara się po prostu ująć z życiem. Nie jestem przygotowana na użycie takiej siły ognia, ryzykując ciężkie straty wśród cywilów. Korpus nie zabije takiej liczby niewinnych ludzi, gubernatorze.

- Oczywiście, że nie. - Aubert zgodził się tak szybko i stanowczo, że Palacios znów poczuła się zaskoczona. - Nawet gdyby była pani gotowa rozważyć to z punktu widzenia moralności, to konsekwencje polityczne byłyby całkowicie niedopuszczalne.

Wbrew sobie Palacios nie zdołała powstrzymać grymasu niechęci, słysząc te słowa. Aubert musiał go zauważyć, bo jego spojrzenie na chwilę stwardniało. Potem jednak pokręcił głową.

- Nie traktuję tego jak rutynowej sprawy, pani major. Przyznałem już, że moja ocena sytuacji na Gyangtse i decyzje były... powiedzmy, mocno niewłaściwe, ale skoro wpakowaliśmy się w ten bałagan, Imperium musi opanować sytuację. A jeśli zabijemy setki, może tysiące ludzi, którzy nie stanęli zbrojnie przeciwko władzy Imperium, „ustabilizowanie”

sytuacji na Gyangtse zajmie w najlepszym razie kilkadziesiąt lat.

Major poczuła, że budzi się w niej szacunek dla tego człowieka. Wygląda na to, pomyślała, że on jednak ma rozum - i jaja. I jakieś skrupuły. Szkoda, że nie mógł tego pokazać wcześniej, żeby do tego wszystkiego nie doszło, no ale trudno, lepiej późno niż wcale. Co nie zmienia faktu, że mam cholernie ograniczone możliwości.

Jeszcze raz spojrzała na mapę na wyświetlaczu.

Zakończywszy masakrę wszystkich milicjantów (oprócz tych, którzy odpowiednio szybko zadeklarowali zmianę stron), tłum skierował swoją wściekłość przeciwko śródmiejskiej dzielnicy biznesowej. Przynajmniej jedna trzecia gmachów finansjery, w tym siedziby Giełdy i Banku Planetarnego Gyangtse, już płonęła. W dodatku zdalne czujniki pokazywały roześmiany, rozśpiewany tłum - który w większości był nieuzbrojony i nie miał żadnych oczywistych powodów do politycznej zemsty - rozbijający witryny sklepowe i kradnący wszystko, co tylko można było znaleźć. A potem oczywiście ktoś podpalał opustoszone sklepy.

Co jest z tą piromanią?, pomyślała major. Czy nikt nie potrafi zorganizować zamieszek bez wyciągania zapalek?

Ta myśl sprowokowała gorzki uśmiech, ale Palacios szybko odsunęła ją na bok.

- A więc zgadzamy się co do konieczności ograniczenia strat cywilnych, panie gubernatorze - powiedziała, odwracając się do komunikatora. - W tej chwili uważam, że wszystkie nasze pozycje Blokhauzu są bezpieczne, jeśli druga strona nie zostanie wzmocniona nagłym napływem broni i zorganizowanych kadr - a na szczęście nic na to nie wskazuje. Ale jeżeli się nie mylę, tłum niedługo wpadnie na nasz perymetr wokół portu, a wtedy mieszkańcy Gyangtse zaczną ginąć. Przykro mi, ale nic nie mogę zrobić, by teraz temu zapobiec.

- Rozumiem, pani major - powiedział ciężko Aubert. - O ile to cokolwiek warte, ma pani moją oficjalną zgodę, by postępować w taki sposób, jaki podpowiada pani wojskowe doświadczenie i wyszkolenie.

- Dziękuję panu. Ale wciąż pozostaje drugi niewielki problem. Ma pan co do tego jakieś wskazówki?

- Szczerze mówiąc, nie. Z tego, co widzę, nie mamy w tej chwili dość informacji.

- Obawiam się, że się zgadzam. - Palacios zerknęła jeszcze raz na mapę, potem na ekran komunikatora. - Za pana pozwoleniem, panie gubernatorze, zobaczę, co uda mi się zdziałać w sprawie tych informacji, których nie mamy. Zacznę też planowanie awaryjne.

- To mi wygląda na doskonały pomysł - zgodził się Aubert. - Proszę mnie informować na

bieżąc o swoich planach.

- Będę informować. - Major kiwnęła uprzejmie głową. - Palacios, bez odbioru.

Przerwała połączenie i odwróciła się do porucznika Borysa Adrianowicza Bieriegowaja.

- Borys!

- Tak, ma'am?

Porucznik był oficerem wywiadowczym jej batalionu. W tej chwili siedział wśród konsolet, za pomocą których kierował zdalnymi czujnikami.

- Wciąż nacierają najmocniej od południa i zachodu, tak?

- Tak jest, ma'am.

Bieriegowaj nie wspomniał, że wyświetlacz major już to potwierdził, ale on zawsze był taktowny.

- A co z ośrodkami dowodzenia FWG?

- Większość tych, które zidentyfikowaliśmy i zlokalizowaliśmy, zniknęła z naszej siatki, ma'am. Nasze ptaki przechwytyjące odbierają coraz mniej transmisji radiowych między nimi, co może oznaczać, że gdzieś się spotykają na tyle blisko siebie, że nie muszą się kontaktować przez komunikatory. A kiedy przestają aktywnie nadawać, w takim zamieszaniu strasznie trudno ich śledzić.

- Rozumiem.

Palacios zabębniła palcami o wyświetlacz i zmarszczyła brew.

- Mówi pan, że dostajemy coraz rzadsze komunikaty. Czy coś z tego, co przechwyciliśmy, wskazuje, dokąd kadra dowódcza może się kierować?

- Nie, ma'am, raczej nie. Było dużo „dołączyć do tego i tego w tym i tym miejscu”, ale mają całkiem niezłe protokoły zabezpieczeń. Chyba wyszli z założenia, że będziemy ich podsłuchiwać, kiedy wszystko się zacznie, bo używają zakodowanych nazw ludzi i lokacji, a my nie mamy jeszcze wystarczająco dużo danych, żeby komputery mogły je rozszyfrować.

- A ogólne wskaźniki ruchu z danych pozycyjnych z ostatnich transmisji, zanim zniknęli nam z oczu?

- Już przeprowadziłem symulacje, ma'am. W tym, co mamy, nie ma nic statystycznie znaczącego, ale daje się zauważyć lekką tendencję do oddalania się od śródmieścia i portu.

- Oddalania się. - Palacios podniosła wzrok i spojrzała w oczy sierżanta majora Winfielda. - Jakby dali sobie spokój z próbami zapanowania nad tłumem i usunięcia go z ulic, nie sądzi pan, sierżancie? - mruknęła.

- Być może. - Winfield zmarszczył czoło. - Pytanie brzmi, dlaczego. Czy wycofują się, bo wszystko poszło źle? Czy zamierzają udać się gdzieś indziej?

Palacios kiwnęła głową i odwróciła się z powrotem do Bieriegowoj.

- Czy coś wskazuje na ruchy dodatkowych grup w rejonie na północ i wschód od „Annapurna Arms”, Borys? - spytała.

- Z ostatniego przelotu czujników nic takiego nie wynika - odparł porucznik - ale to dane sprzed około trzydziestu minut; koncentrowaliśmy się na śródmieściu i podejściach do naszego perymetru. Mogę zaplanować natychmiastowy przelot nad tym rejonem, jeśli pani chce, ma'am. Potrzeba mi jakichś pięciu minut na przygotowania i kolejnych piętnastu na samo wykonanie.

- Proszę to zrobić. Chcę dostać konkretne liczby i najlepsze lokacje, jakie może mi pan dać, na terenie między nami i hotelem, nami i Ogrodami oraz między hotelem i Ogrodami. Proszę je zmapować i rzucić na mój wyświetlacz. I dopilnować, żeby porucznik Ryan dostał te same informacje.

- Tak jest, ma'am. - Bieriegowoj zaczął się już odwracać do swojego panelu, ale Palacios powstrzymała go uniesioną dłonią.

- Ma'am?

- Chcę, żeby pan jeszcze coś dla mnie zrobił, Borys. Chcę mieć widok z lotu ptaka na Ogrody. Konkretnie chcę dostać przybliżoną liczbę cywilów, którzy wciąż tam są, i informację, kim oni są.

- Słucham, ma'am? - Bieriegowoj zrobił zmieszaną minę, a Palacios skrzywiła się.

- Generał Jongdomba chce, żebyśmy uratowali członków rządu planetarnego. Chcę wiedzieć, ilu niższych urzędników, sekretarek, archiwistów i sprzątaczek zostało uwięzionych razem z nimi w Ogrodach.

- Tak jest, ma'am.

Bieriegowoj wciąż sprawiał wrażenie, że nie wszystko do końca zrozumiał, ale kiwnął głową i tym razem Palacios pozwoliła mu z powrotem zająć się swoją sekcją wywiadowczą. Potem podniosła wzrok i napotkała zaniepokojone spojrzenie sierżanta majora Winfielda.

- Skipper, nie jestem pewien, czy mi się podoba to, co myślę, że pani myśli - powiedział cicho.

- Czyli to, że jestem gotowa skorzystać z usług Ryana, sierzancie?

Ryan dowodził plutonem ciężkiej broni, który dołączył do batalionu, kiedy wysyłano go na Gyangtse. Dwa moździerz jego drużyny moździerzy były jedyną bronią ostrzału pośredniego, jaką dysponowali. Mogło się wydawać, że to niewiele w takiej sytuacji, ale zaawansowana technologicznie szybkostrzelna amunicja moździerzy sprawiała, że były o wiele bardziej imponującą bronią, niż mogłoby się laikowi wydawać.

- Ma'am, tak samo jak pani wolałbym nie zabijać więcej ludzi, niż musimy - powiedział Winfield - ale oboje wiemy, że nie uda nam się przenieść naszych do Ogrodów bez paru trupów. Będę cholernie żałował, jeśli to będą jacyś biedni obszarpańcy, którzy dostaną się w pole ostrzału moździerzy, ale nie aż tak bardzo, jak bym żałował, gdyby to się stało któremuś z naszych. Nie o to mi chodziło i pani o tym wie.

- Tak, chyba wiem - powiedziała major; po jej twarzy przemknął cień smutku. - Dlaczego niektórzy koniecznie muszą łowić ryby na wzburzonej wodzie, sierżancie?

- Bo są cholernymi idiotami - odparł brutalnie Winfield, a Palacios parsknęła gorzkim śmiechem.

- Chyba ma pan rację, nawet jeśli to z pana strony cholerny cynizm. Póki co jednak możemy tutaj mieć mały dodatkowy problem.

- Tak, ma'am.

- Dobra. Proszę poinformować kapitan Becker, że muszę porozmawiać z nią i... porucznik Kuramochi - jest opanowana i niezwykle twarda - tutaj, w punkcie dowodzenia.

- Tak jest, ma'am!

Winfield odwrócił się już bez dalszych komentarzy, by wypełnić polecenie, a Palacios błado się uśmiechnęła. Kompania Bravo dowodzona przez Becker obsadzała najbardziej wysunięty na północ i najmniej zagrożony łuk perymetru portu. Palacios niechętnie naruszała ten perymetr, ale mogła jedynie albo osłabić jakiś inny, bardziej zagrożony odcinek, albo wezwać kapitana Shapiro, którego kompania Delta - tworząca batalionową rezerwę - już oddała jeden ze swoich plutonów do obsadzenia elektrowni, wodociągów i oczyszczalni ścieków. Szczerze mówiąc, lepiej by było, gdyby Becker utrzymała swój odcinek perymetru dwoma plutonami, niż żeby Palacios uszczupliła rezerwy, wydzielając z nich kolejne pododdziały.

A jeśli to, co zaczynała podejrzewać na temat Lobsanga Phurby Jongdomby, przypadkiem było prawdą, potrzebny był jej ktoś o talentach Kuramochi.

Ale czegoś takiego nie mówi się przez komunikator. Kiedy wysyła się kogoś w takie gówno jak to, trzeba mu przynajmniej patrzeć w oczy.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Snajper! Godzina jedenasta, jedenaste piętro!

Słyszając przez sieć ostrzeżenie wykrzywane przez kaprala Sandusky'ego, Alicia DeVries rzuciła się w bok i przywarła plecami do ściany starego ceglanego budynku. W rogu jej zasłanego przez hełm ekranu, nakładanego przez łącze nerwowe na jej pole widzenia, rozblysła karmazynowa ikona. Sekcja Alpha Sandusky'ego kryła sekcję Bravo, która właśnie ich mijala, pędząc ulicą, a towarzyszyło temu charakterystycznie jęklive wycie i trzask karabinu plazmowego.

Kula plazmy uderzyła z ogłuszającym hukiem w fasadę budynku jakieś sto metrów na zachód. Cegły i zaprawa w połowie wyparowały, a w połowie się roztrzaskały. Ułamek chwili później drugi ładunek trafił w to samo miejsce; ze zburzonej ściany wystrzeliły płomienie i dym, kiedy fala termiczna zapaliła wnętrze budynku. Potem bardzo powoli całe jedenaste i dwunaste piętro zawaliły się, zasypując ulicę w dole kamienną lawiną.

- Czysto - oznajmił Sandusky i komputer hełmu Alicii posłusznie wymazał jedno zagrożenie z jej mentalnego HUD-a.

- Przyjęłam - powiedziała porucznik Kuramochi. - Dobra, ludzie. Z powrotem do kopalni soli.

Alicia była zaskoczona, jak bardzo rzeczowy ton porucznik dodaje jej odwagi. Zdawała sobie sprawę, że Kuramochi nie wie tyle co ona o bezpośredniej sytuacji taktycznej, ale dowódca plutonu przynajmniej zachowywała się tak, jakby wiedziała sporo więcej.

A tymczasem Alicia wbijała wzrok w plecy Gregory'ego Hiltona. Trzecia drużyna była szpicą drugiego plutonu; oznaczało to, że Gregory Hilton jest teraz szpicą całego batalionu rozpoznania, przemieszczającego się w stronę Pałacu Prezydenckiego.

Starszy strzelec wydawał się o wiele spokojniejszy, niż Alicia byłaby na jego miejscu, choć „spokojny” wcale nie oznaczało „zrelaksowany”. Hilton poruszał się czujnie, ostrożnie, bez przerwy rozglądając się na boki. Jak wszyscy marines kwalifikujący się do rozpoznania, należał (tak samo jak Alicia) do sześćdziesięciu paru procent ludzkości, które mogły używać bezpośrednich neurozłącz. Do tego, również podobnie jak u Alicii, jego chirurgicznie wszczepiony receptor był obecnie podłączony do komputera wbudowanego w hełm. Złącze łączyło go z sensorami hełmu, kierowało HUD-em wyśrodkowanym na jego pole widzenia oraz łączem komunikacyjnym i umożliwiało kontakt ze zintegrowanym komputerem M-97. W tym wypadku nie było to pełne złącze syntetyczne, które pozwalałoby porozumiewać się bezpośrednio z komputerem. Łącze musiało przechodzić przez specjalnie zaprojektowane i zintegrowane interfejsy, ale w efekcie Hilton miał stały dostęp do całości swojego sprzętu. Dawało mu to olbrzymią przewagę w ocenie sytuacji nad każdym pozbawionym wspomaganie przeciwnikiem, a po tylu latach wszystkie te dodatki były częścią jego samego,

tak jak serce i płuca... co nie przeszkadzało mu używać własnego wspomaganego wzroku i słuchu.

Alicia z kolei miała możliwość korzystania z synth-złącza. Do tej kategorii należało jedynie około dwudziestu procent ludzkości, ale to wystarczało, by Imperium miało ogromną przewagę nad rishathańskim przeciwnikiem, który w ogóle nie mógł używać receptorów nerwowych. Jednak nawet Alicia nie miała kwalifikacji do cyber-synth-złącza - ale była z tego zadowolona. W pełni rozwinięte SI były... w najlepszym razie niestabilne, i każdy nieszczęśnik podłączony cyber-synth-złączem do SI, która się zawieszała, zazwyczaj zawieszał się razem z nią. Alicii wydawało się to zbyt wysoką ceną, nawet jeśli połączenie człowieka z komputerem dawało namiastkę dosłownie nadludzkich możliwości.

Jej synth-złącze sprawiało, że miała jeszcze lepszą ocenę sytuacji niż Hilton. W tej chwili uaktywniła wszystkie aplikacje, szukając źródeł energii, sygnatur broni, transmisji radiowych i ruchu po obu flankach i z tyłu, ale przede wszystkim skupiała uwagę na Hiltonie, jego reakcjach i dawanych ręką sygnałach.

- Nie spuszczać ze mnie oczu, Alley - powiedział cicho, kiedy ruszali. - Kryjesz moje plecy, ja będę się martwił tym, co przed nami. Jasne?

- Jasne - odparła, zadowolona, że udało jej się stłumić drżenie głosu. Nieustanne obserwowanie Hiltona nie było najłatwiejszą rzeczą na świecie. Tak samo jak ona, Hilton nosił reaktywny kamuflaż - kameleona. Nie był on tak dobry jak ten, który potrafiły wytworzyć bardziej zaawansowane systemy pancerzy wspomaganych, ale z kolei pancerze wspomagane miały o wiele wyraźniejsze sygnatury, co sprawiało, że wszelki czysto optyczny kamuflaż nie miał szans w zetknięciu z wojskowymi czujnikami.

Mundur Hiltona oraz powierzchnia jego hełmu i pancerza osobistego - właściwie cała uprząż sprzętowa - były pokryte inteligentnym materiałem wywołującym złudzenie półprzezroczystości. Sensory hełmu bezustannie skanowały otoczenie w promieniu trzystu sześćdziesięciu stopni, a materiał munduru odtwarzał ten sam widok na swojej powierzchni, stapiając żołnierza z tłem. Efekt przypominał patrzenie na ludzką postać zrobioną z czystej wody; wszystko za nią było wyraźnie widoczne, choć nieco zniekształcone.

Nie było to idealne rozwiązanie i przy dobrej widoczności kamuflaż mógł zdradzić położenie jego właściciela, chyba że tkwił nieruchomo w miejscu. Ale w dymie i pyłe unoszącym się w powietrzu Zhikotse system działał wyjątkowo skutecznie. Komputery hełmów członków plutonu śledziły na bieżąco działanie kamuflażu pozostałych i poprzez neurozłącza wymazywały ich z pola widzenia.

Oznaczało to, że Alicia nie mogła spuścić wzroku z Hiltona, i właśnie to robiła.

Naprawdę z wielkim zadowoleniem, bo wiedziała, że musi korzystać z jego doświadczenia, ile się tylko da.

Zdawała sobie sprawę, że jej obecna pozycja przynajmniej w części świadczy o tym, że reszta drużyny uważa ją za żółtodzioba. Na przykład o wiele bardziej doświadczony César Bergerat krył Frinkela Zigaira i Leo Medrano, którzy szli za nią z ciężką bronią drużyny. Z drugiej jednak strony zachowanie Hiltona było dowodem jego zaufania do Alicii. W końcu to ona miała pilnować jego pleców. Oczywiście mógł udawać, że ma do niej zaufanie, skoro i tak był na nią skazany, ale mimo to...

Nieświadomie poderwała M-97 do ramienia. Lufa przesunęła się nieco w lewo i znieruchomiła, a czujnik wbudowany w laserowy desygnator karabinu wyświetlił na jej HUD-zie czerwony krzyżyk. Krzyżyk przemieścił się, kiedy synth-złącze przesłało polecenie do nieskomplikowanego komputera karabinu, wybierając granat, a zaraz potem komputer hełmu skorygował jego balistykę. Alicia nacisnęła spust.

Granat wystrzelił, kopiąc ją w ramię jak muł. Granatnik karabinu strzelał nieco słabszymi pociskami niż te w ładownicach Zigaira, ale ich chemiczny materiał wybuchowy był o wiele silniejszy niż to wszystko, czym mogła się pochwalić Ziemia ery prekosmicznej. Kiedy tylko granat opuścił perymetr bezpieczeństwa, włączyła się jego mała, ale potężna rakieta, i pocisk z wyciem pomknął do celu. Płomień dyszy pozostawił ognistą linię w polu widzenia Alicii, gdy granat przeleciał na drugą stronę ulicy i wpadł w sam środek okna na szóstym piętrze biurowca.

Mój Boże, czy ja...

Pytanie to rozbłysło w głowie Alicii w tym samym momencie, kiedy poczuła kopnięcie M-97. Wszystko wydarzyło się tak szybko, tak niespodziewanie, że jej świadomy umysł nie zdołał tego zarejestrować.

A potem ciężki granat wstrząsowy eksplodował w pomieszczeniu, w którym zauważyła jakieś poruszenie. Budynek stłumił suchy grzmot, cichszy niż wybuch plazmy, ale okno wraz ze sporymi kawałkami ściany wyleciało na zewnątrz w deszczu gruzu.

Alicia wciąż wpatrywała się w miejsce wybuchu, czując mdłości na myśl, że właśnie zabiła niewinnego cywila, kiedy z chmury kurzu wyleciał karabin i koziołkując w powietrzu, trzasnął o ziemię.

Milicyjny, pomyślała, kiedy jej wspomagany wzrok przybliżył spadającą broń. Ale nawet jeśli karabin pochodził z milicyjnej zbrojowni, żaden milicjant nie mierzyłby z ukrycia w plecy szpicy imperialnych marines.

- Ładny strzał, Alley - powiedział po chwili Hilton. - Ale następnym razem daj jakiś

sygnał, co? Omal nie wyłysiałem ze strachu.

- Ja... - Alicia odchrząknęła. - Jasne - wykrztusiła, mając nadzieję, że Hilton nie słyszy, jak jest nieopisanie wdzięczna za jego spokojny, swobodny ton.

Nie miała żadnych wątpliwości, że właśnie zabiła przynajmniej jednego człowieka, i przy okazji odkryła, że jej dziadek miał rację, mówiąc, że niezależnie od tego, jak bardzo próbowałaby się na to zawczasu przygotować, i tak nigdy jej się to nie uda.

Nie miałaś wyboru, powiedział cichy głosik z tyłu jej głowy, kiedy spokojne dłonie przeładowały jednostrzałowy granatnik bez udziału oczu, a czujniki hełmu nie przerywały wyszukiwania nowych zagrożeń. Nie ty postawiłaś tam gościa z karabinem, ciągnął głosik, kiedy ruszyła za Hiltonem, patrząc, jak przebiega od samochodu do samochodu, używając ich jako osłony. Poza tym zgłosiłaś się do tego na ochotnika, prawda?

Tak, to prawda. I nawet teraz Alicia czuła, że słusznie postąpiła - potrafiła zabić, kiedy musiała, i mogła z tym dalej żyć. Wiedziała też, że właśnie zrobiła decydujący krok w stronę świata, którego przeważająca większość poddanych Imperium nigdy nie odwiedzi.

Została zabójcą.

Już nigdy nie będzie mogła tego zmienić, nawet gdyby chciała. To jak utrata dziewictwa, coś, co na zawsze zostawia ślad. A fakt, że wiedziała, iż to nastąpi i że to nieunikniona konsekwencja dokonanego wyboru, w najmniejszym stopniu nie przysłaniał świadomości tego, jak ogromnie zmienił się właśnie jej osobisty wszechświat.

Ale to nie była dobra pora na takie rozmyślenia i Alicia ruszyła za Hiltonem, tak samo jak on biegnąc od samochodu do samochodu.

* * *

Kapitan Chiawa oparł się o ścianę pustego mieszkania i zamknął oczy, ciężko dysząc.

Jego małemu oddziałowi udało się oderwać od tłumu. Sam nie wiedział jak. Wszystko zlewało się w niejasne wspomnienie staccata rozkazów, pospiesznych skoków, biegu i krycia się. Ale jednak oddalili się od portu, do którego chcieli dotrzeć. W tej chwili byli przynajmniej w połowie drogi do perymetru marines. To była zła wiadomość. Dobra była taka, że udało im się oderwać od tłumu... i nikt nie usiłował ich w tej chwili zabić.

Chiawa otworzył oczy i popatrzył na pozostałych milicjantów.

- Jak stoimy z amunicją?

Tamci wyglądali na tak samo wyczerpanych jak on. Napięcie wywołane skokiem adrenaliny trochę osłabło, kiedy zajęli tymczasową kryjówkę, i minęło kilka sekund, zanim zrozumieli, o co kapitan pyta.

Kapral Munming przesunął palcami po bandolecie, odczytując opuszkami podobny do braille'a kod na korpusach granatów.

- Pięć fleszetek, dwa ogłuszające, dwa zapalające, dwa dymne i trzy rozrywające, sir - powiedział, a potem zaśmiał się i poklepał pistolet maszynowy tkwiący w kaburze na jego prawym biodrze. - I oczywiście trzy magazynki do tego.

- Oczywiście. - Chiawa ze znużonym uśmiechem popatrzył na trzech strzelców.

- A wy?

- Dwa pełne magazynki i jeden częściowo pełen - powiedział szeregowy Mende, wzruszając lekko ramionami. - Do tego mam jeden granat dymny, jeden gazowy i jeden odłamkowy.

- Cztery magazynki, sir. - To był szeregowy Paldorje. - Ale skończyły mi się granaty.

- Tylko jeden magazynek - zameldował szeregowy Khanbadze. - Mam za to jeszcze dwa granaty do karabinu, oba odłamkowe.

- A ja mam... - Chiawa poklepał ładownicę na biodrze - trzy magazynki.

I uśmiechnął się niewesoło.

- Niezbyt imponująca siła ognia, co?

- Sir - zauważył Munming - myślę, że w tej chwili siła ognia nie jest najważniejsza. Nie możemy rzucać się w oczy.

- Obawiam się, że masz rację - odparł Chiawa. Zdjął hełm i położył go obok siebie na podłodze, potem wyciągnął mapę i włączył. Żałował - nie po raz pierwszy - że nie ma takich nowoczesnych systemów informacyjnych jak marines. Nie mając ich, musiał sobie radzić przestarzałym sprzętem milicyjnym.

Nacisnął przycisk lokalizatora, a wtedy wbudowany system GPS posłusznie wyśrodkował odpowiednie okienko szczegółowej mapy miasta i wyświetlił ikonę pozycji. Chiawa pokręcił kółkiem powiększenia, a potem zmarszczył z namysłem czoło.

- Dobra - powiedział, podnosząc po chwili wzrok. - Wygląda na to, że nieprędko dostaniemy się do portu.

- No to, kurwa, super - mruknął ktoś, a kapitan błysnął zębami w uśmiechu.

- No już, Mende - skarcił go. - Nie mówimy rzeczy, które mogłyby skłonić oficera dowodzącego, żeby zwątpił w swój osąd, dobrze?

Wszyscy zaśmiali się chóralnie, a Chiawa postukał brudnym palcem w mapę.

- Jak mówiłem, wygląda na to, że z jakiegoś powodu większa część tłumu po tej stronie miasta kieruje się do portu. Albo do centrum - dodał bardziej ponuro, a pozostali pokiwali głowami. Gęsty dym unoszący się nad dzielnicą biznesową Zhikotse zrobił się jeszcze

gęstszy, a dobiegające co jakiś czas eksplozje ognia z broni ręcznej i granatów wskazywały, że przynajmniej część milicji stara się powstrzymać tłum przed plądrowaniem budynków. Nie wyglądało jednak na to, że robi to z dużym powodzeniem.

Chiawa odepchnął od siebie bezustanny lęk o to, co się stało z jego własną firmą. Była wszystkim, co on i jego rodzina mieli - czy raczej kiedyś mieli. Na szczęście udało mu się skontaktować z Ang Lhamo, zanim szlag trafił sieć cywilną. Jego żona i synowie opuścili miasto piętnaście minut po pierwszej katastrofie. Teraz, dzięki Bogu, byli bezpieczni na farmie jej rodziców.

Najważniejsze w tej chwili było jednak to, że dzielnica biznesowa otaczała od zachodu i południa port kosmiczny. Chiawa słyszał jedną czy dwie bardzo krótkie kanonady, w tym z wielkokalibrowych kaliope, w miejscu, gdzie ktoś wpadł na perymetr ustawiony przez marines major Palacios. Miał nadzieję, że ta strzelanina ma skłonić ludzi do wycofania się, że marines nie strzelają po to, żeby zabić, ale jego komunikator został zniszczony ponad godzinę temu i nie miał z nikim kontaktu, nie mógł więc sprawdzić, jak naprawdę wygląda sytuacja w pobliżu portu.

Oprócz tego, że jest zła, pomyślał kwaśno, odwracając się, by spojrzeć przez okno na słupy dymu. Płomienie strzelały w górę także z wyższych budynków dzielnicy finansowej. Pokręcił głową i znów popatrzył na swoją garstkę ludzi.

- Myślę, że uda nam się w końcu tam dojść, okrążając teren od północy - powiedział. - Jeśli pójdziemy przez Pinasa do mostu Thundu, a potem zetniemy drogę przez doki barek, natkniemy się na perymetr portu.

Znów postukał w mapę, a jego brudni, zmęczeni żołnierze wyciągnęli szyje, żeby na nią spojrzeć.

- A co z Pałacem Prezydenckim, sir? - spytał po chwili kapral Munming. Ogrody rozciągały się sporo na zachód od wyznaczonej przez Chiawę trasy. Kapitan podniósł wzrok i spojrzał podoficerowi w oczy.

- Nie wiemy, jaka tam jest sytuacja. Wiadomo tylko, że zanim straciliśmy łączność, byli mocno naciskani. Szczerze mówiąc, myślę, że Pałac i Ogrody przyciągają takie same tłumy jak śródmieście. Wątpię, by udało nam się przebić, a nawet gdybyśmy dali radę, nas pięciu z naszym zapasem amunicji nic by nie zrobiło.

Oparł głowę o ścianę i popatrzył po swoich żołnierzach.

- Będę z wami szczerzy. Zasadniczo naszym obowiązkiem jest opanować to, co się tam dzieje. - Wskazał brodą okno. - Ale nie wydaje mi się, żebyśmy dali radę cokolwiek opanować na własną rękę. Dlatego musimy nawiązać kontakt z wyższą władzą i połączyć się

z jakąś dość dużą grupą by można było coś zdziałać. Nie sędzę, żeby nam się udało przebić do Ogrodów. Mamy za to całkiem spore szanse na dotarcie do portu, dlatego w tej chwili moim zadaniem jest dostarczyć was do portu, najlepiej żywych. Oraz oczywiście razem z wami moją skromną osobę. Czy ktoś ma z tym jakiś problem?

Żołnierze popatrzyli po sobie, a potem niemal jednocześnie odwrócili się do niego.

- Cholera, nie... sir - powiedział Mende.

- Pan jest szefem, skipper. - Munming po raz pierwszy użył tego nieformalnego tytułu.

- Cóż, w takim razie... - Chiawa z trudem wyprostował się i podszedł do okna - chyba musimy się ruszyć.

Jego spojrzenie padło na zaparkowaną w dole furgonetkę. „Pożyczenie” samochodu pozwoliłoby im o wiele szybciej się poruszać, zwłaszcza że ta część miasta wydawała się wciąż stosunkowo spokojna, ale po drodze minęli całkiem sporo zniszczonych i płonących pojazdów w równie „spokojnych” dzielnicach. Sam fakt, że samochód się poruszał, wydawał się przyciągać ogień uczestników zamieszek, a Chiawa był pewien, że niektóre z wraków oznaczały także miejsca, gdzie uciekające grupy milicjantów wpadły na zasadzki i blokady.

- Paldorje?

- Tak, sir?

- Możesz znaleźć włącz do kanału? Wejście do kanałów burzowych?

- Jasne. A przynajmniej tak mi się wydaje.

Chopali Mingma Paldorje był w cywilu pracownikiem służb komunalnych. Raz uratował już kolegów z opresji, prowadząc ich podziemnym tunelem serwisowym. Teraz stanął obok Chiawy i przez chwilę patrzył na ulicę.

- Tam - wskazał palcem. - Tam na rogu będzie węzeł. Powinno też być zejście na dół.

- A kanały bieżą stąd prosto do rzeki, tak?

- Prawdopodobnie. - Paldorje potarł brodę, marszcząc w zamyśleniu brew. - To nie jest moja działka, rozumie pan - jestem elektrykiem, a nie kanalarzem - więc moja wiedza o kanałach burzowych jest bardzo ogólna. Ale ochrona środowiska bez przerwy się awanturuje, że zrzucamy deszczówkę prosto do rzeki, więc kanały muszą tam dochodzić. Tyle że nie mam pojęcia, czy są duże.

- A komu potrzebne są duże? - powiedział Munming, również wyglądając przez okno. - Zejście pod ziemię to naprawdę dobry pomysł.

Spojrzał z aprobatą na Chiawę.

- Powinienem był pomyśleć o tym wcześniej - powiedział kapitan, ale kapral tylko wzruszył ramionami.

- Panie kapitanie, doprowadził nas pan aż tutaj żywych. Nie wiem, czy bez pana doszlibyśmy w połowie tak daleko.

Chiawa zerknął na niego, zaskoczony niemal podziwem w głosie Munminga. Jego ocena własnych zdolności wojskowych zawaliła się po katastrofie w „Annapurna Arms”; w głębi ducha miał ochotę powiedzieć Munmingowi, jak bardzo się myli. Jak lekkomyślnie jest powierzać Karsangowi Dawie Chiawie czyjekolwiek bezpieczeństwo.

Ale nie powiedział. Zamiast tego tylko się uśmiechnął, klepnął Munminga w ramię i kiwnął głową Paldorjemu.

- Dobra. Większość drogi do tego rogu możemy przejść, nie wychodząc nawet z budynku. Potem wszystko będzie zależało od obecnego tutaj szeregowego Paldorjego.

* * *

- Wszystkie Osy, tu Gold-Jeden. Znaleźć dobre miejsce i uważnie słuchać.

Sekcja Alpha szła na szpicy drugiego plutonu. Kiedy Alicia usłyszała w sieci plutonu porucznik Kuramochi, po prostu zamarła na swojej pozycji kryjącej. Kapral Sandusky, którego sekcja była przed nią, położył się i przeczołgał do kryjówki w załomie schodów wejściowych do apartamentowca. Alicia dalej rozglądała się na boki, a jej synth-złącze aktualizowało HUD-a. Widoczne na mapie czterdzieści cztery ikony reszty plutonu przechodziły z migających zielonych punktów z czerwoną otoczką, oznaczających marines w ruchu, w nieruchome zielone punkty obwiedzione bursztynowo, kiedy jeden za drugim żołnierze zatrzymywali się na bezpiecznych pozycjach.

Dobrze było wiedzieć, gdzie są pozostali, choć musiała się przyzwyczać, jeszcze w Camp Mackenzie, do odczytywania HUD-a tak, by wiszące w powietrzu bezcielesne ikonki nie rozpraszały jej. Na szczęście zawsze było to dla niej łatwiejsze niż dla innych, nawet na podstawowym szkoleniu, i bez problemów radziła sobie z dwutorowym przekazem sensorycznym, będącym złąką dla niektórych rekrutów. Po części wynikało to z podzielności uwagi, którą zawsze uważała za przydatną, przede wszystkim jednak z tego, że była zdolna posiadać synth-złącze. Odbieranie bodźców przez receptor nerwowy było dla niej tak samo naturalne, jak korzystanie z własnych oczu i uszu.

Przesłała polecenie do komputera hełmu i w jej polu widzenia rozbłyły niczym wysypka gwałtownie pulsujące karmazynowe ikonki, wskazujące najbardziej prawdopodobne według hełmu (oraz hełmów reszty plutonu) miejsca zagrożeń. Kilka ikonek płonęło stałym światłem zidentyfikowanych zagrożeń; dwie kolejne dołączyły do tej kategorii, kiedy szybujące na antygrawach czujniki monitorowane przez sierżanta Wheatona przefiltrowały dane i przesłały

je do hełmów plutonu.

HUD pokazywał sporą siłę ognia na obszarze między nimi i Ogrodami; słyszała niezbyt odległy trzask wystrzałów z broni ręcznej i od czasu do czasu cięższe kaszlnięcia mózdzierza czy staromodnej milicyjnej ręcznej wyrzutni rakiet.

- Zbliżamy się - kontynuowała Kuramochi, kiedy miała już pewność, że wszyscy jej słuchają. - Zostały nam jakieś trzy kliki, żeby się tutaj dostać.

Na HUD-zie pojawiła się zielona strzałka; Alicia wiedziała, że cały pluton obserwuje teraz swoje wyświetlacze. Strzałka biegła wzdłuż trasy, którą do tej pory szli, przekraczała mały dopływ szerokiej rzeki opływającej północny skraj Zhikotse i kończyła się na wschodnim skraju Ogrodów.

Przechodziła też przez jarzące się złowrogo skupisko ikon oznaczających nieźle okopane pozycje piechoty - w sile około kompanii. Alicii wcale się to nie podobało, tak samo jak nie podobały jej się ikony trzech zidentyfikowanych kaliope oraz rozmieszczonych wśród piechoty około tuzina wyrzutni rakiet.

- Według danych dowództwa - ciągnęła Kuramochi - milicja wciąż utrzymuje sporą część Ogrodów, a największy napór na ich perymetr wywierany jest z południa i południowego wschodu. Według porucznika Bieregowoja dane z ostatniej godziny wskazują że większość ocalałej kadry dowódczej FWG jest teraz właśnie tam, a nie w centrum. Wygląda na to - i jeszcze raz uczulam wszystkich, że nie wiemy tego na pewno - iż uznali, że sytuacja wymknęła im się spod kontroli, i spalili za sobą wszystkie mosty. Według porucznika Bieregowoja najwyraźniej odpuścili sobie próby uspokojenia sytuacji, ponieważ uważają, że po czymś takim nie ocalą swojej reputacji na Gyangtse, niezależnie od tego, co by zrobili. Dlatego doszli do wniosku, że ich jedyną szansą - osobistą, a nie ich „ruchu” - jest wzięcie rządu planetarnego albo jak największej jego części jako zakładników.

Porucznik przerwała, kiedy jedna z ikon na wyświetlaczu zamigotała.

- Mów, Jeden-Alpha - powiedziała.

- Ci herosi naprawdę myślą, że uda im się uciec z planety, jeśli wezmą zakładników, skipper? - spytał z niedowierzaniem sierżant pierwszej drużyny, Julio Jackson.

- Powiedziałam, że nie wiemy tego na pewno - odparła Kuramochi - ale jest to jak najbardziej możliwe. Spójrzmy prawdzie w oczy. Cokolwiek tak naprawdę zaszło w „Annapurna Arms”, ci ludzie mają przesrane. Nie ma już odwrotu po czymś takim, a to oznacza, że mogą wybierać tylko między większym i mniejszym złem. Pewnie wiedzą, że nie mają szans na żaden układ, biorąc zakładników, ale jednak chcą mieć jakąś kartę przetargową.

Przerwała na chwilę.

- Tak czy inaczej, będziemy kontynuować zgodnie z odprawą. Trzy-Alpha.

- Tu Trzy-Alpha - odparł sierżant Metternich.

- Trzy-Alpha, idziesz przodem. Jeden-Alpha, pilnujesz tylnych drzwi. Dwa-Alpha, ubezpieczasz flanki Trzy-Alpha. Wszystkie Alphy, potwierdzić.

- Jeden-Alpha potwierdza. Mamy tylne wejście - odparł Jackson.

- Dwa-Alpha potwierdza. Ubezpieczamy Trójkę - powiedziała za drugą drużynę sierżant Clarissa Bruckner.

- Trzy-Alpha potwierdza, idziemy przodem - dodał Metternich.

- Wszystkie Alphy, tu Gold-Jeden. Czekać na mój rozkaz. Ludzie porucznika Ryana przygotowali wam małą niespodziankę.

Alicia wcisnęła się trochę głębiej w swoją kryjówkę. Wykorzystała okazję, by po raz drugi - a nawet trzeci - sprawdzić pozycje reszty sekcji Bravo trzeciej drużyny. Byli dokładnie tam, gdzie powinni być według planu Kuramochi: stanowili południowo - wschodnią kotwicę zapadniętego trójkąta, skierowanego niemal wprost na zachód. César Bergerat był północno-wschodnim wierzchołkiem, a Gregory Hilton zachodnim; Leo Medrano i Frinkelo Zingair, w środku trójkąta, stanowili element ciężkiej broni.

- Wszystkie Osy, tu Gold-Jeden - powiedziała Kuramochi kilka minut później. - Lecą.

Alicia zdążyła tylko wziąć głęboki oddech, a potem nadleciały z gwizdem pociski moździerzowe i dotknęły ziemię ognistymi palcami.

Moździerze porucznika Ryana znajdowały się czternaście kilometrów za nimi, ale ich stukterdziestomilimetrowe naprowadzane pociski spadły z dokładnością co do milimetra. Ludzie na pozycjach w tej części perymetru otaczającego Ogrody nie pomyśleli o tym, żeby swoje pospiesznie zorganizowane okopy osłonić od góry. Okazało się to śmiertelnym w skutkach zaniedbaniem - pociski moździerzowe otworzyły się jak zabójcze strąki, rozrzucając nad czerwonymi ikonami na HUD-zie Alicii amunicję przeciwpiechotną.

Moździerze marines miały o wiele większe możliwości niż proste metalowe rury ich dalekich przodków. Były bronią zasilaną z magazynków, choć mogły także - i często to robiły - strzelać pojedynczymi, ładowanymi ręcznie pociskami. Teraz w niecałych dziesięć sekund oba wystrzelały po pełnym dziesięcionabojowym walcowym magazynku. Ich indywidualnie naprowadzane pociski bezlitośnie wyszukały wybrane wcześniej cele i zasypały je zabójczą nawałą przeciwpiechotnych fleszetek.

- Biegiem! - krzyknęła porucznik Kuramochi, kiedy grzmot ucichł równie nagle, jak się rozpoczął, i Alicia wyskoczyła zza swojej osłony.

Puls ostro jej przyspieszył; widziała wszystko nadnaturalnie jasno, a każda krawędź była ostra i wyraźna.

Hilton zniknął w kłębach dymu i kurzu, ale tylko na chwilę - dopóki Alicia nie wbiegła tam za nim, a jej hełm nie przełączył się na tryb termowizji. Komputer hełmu przekształcał obrazy termiczne w wyraźne, jasne kształty i przesyłał je przez synth-złącze bezpośrednio do jej mózgu. Gdyby nie to, że wizja była czarno-biała, mogłaby pochodzić z jej nerwów wzrokowych. Alicia zobaczyła, że Hilton skręca nieco w lewo.

A potem jego M-97 poderwał się i wystrzelił precyzyjną serię trzech pocisków. Alicia usłyszała przeraźliwe krzyki.

Jeden z rewolucjonistów ocalałych po bombardowaniu mózdzierzami porucznika Ryana wrzeszczał i trzymał się za wypatroszony brzuch. Inny - operator kaliope - unosił ręce i krzyczał, patrząc na krew tryskającą z kikutów przedramion. Jeszcze inny...

Alicia zmusiła się, żeby nie patrzeć. Nie przestała automatycznie wypatrywać zagrożeń, ale broniła się przed widokiem rozrzuconych wszędzie ludzkich szczątków. Musiała. Nie mogła pozwolić, żeby ją to dekoncentrowało, zwłaszcza teraz, kiedy reszta sekcji jej potrzebowała, kiedy polegała na niej, że będzie robić swoje.

Jej własny karabin uniósł się i naprowadził na postać wyłaniającą się z głębokiego okopu z bronią w rękach. Komputer hełmu nałożył na nią czerwony obrys niezidentyfikowanego zagrożenia i Alicia zobaczyła cywilne ubranie i brak jakichkolwiek części milicyjnego munduru. Mężczyzna nie miał hełmu i widać było, że dym i kurz mocno go oślepiają. Maleńkim fragmentem mózgu pomyślała, że ma obrzydliwie wielką przewagę nad nim, ale jednocześnie przypomniała sobie słowa dziadka.

W boju nie chodzi o „sprawiedliwość”, Alley. W boju chodzi o to, żeby strzelić tamtemu w plecy, zanim on strzeli w plecy tobie albo któremuś z twoich kumpli. Nie jesteś bohaterką holodramy i to nie jest honorowa walka. To pole śmierci. Nigdy o tym nie zapominaj.

Jej palec dotknął spustu. Karabin szturmowy kopnął i cel dostał trzy pociski w sam środek ciała.

Pamiętałam, dziadku, powiedziała Alicia do sierżanta majora O'Shaughnessy'ego, kiedy człowiek, do którego właśnie strzeliła, padł.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Gdzie jest teraz Kuramochi?
- Właśnie przebija się do Ogrodów, ma'am.

Serafina Palacios kiwnęła głową z satysfakcją, a potem znowu spojrzała na ogólną mapę sytuacyjną.

Napór na jej własny perymetr zaczął słabnąć, z czego była bardzo zadowolona. Podczas pierwszych dwóch ataków jej okopani marines zdołali odepchnąć powstańców, strzelając im nad głowami i w ziemię pod nogami, nie powodując przy tym żadnych strat. Potem jednak sytuacja się zmieniła. Pierwsze szeregi, pchane przez masy z tyłu, mogły tylko przeć naprzód, wprost na zewnętrzną linię umocnień. Większość napastników była uzbrojona i ogarnięta szałem zabijania, i kiedy zaczęli strzelać do marines, major nie miała innego wyjścia, jak tylko wydać rozkaz odpowiedzenia ogniem.

Dlatego właśnie przed jej pozycjami leżało teraz dobrze ponad dwieście pięćdziesiąt ciał. Personel batalionu z pomocą ekip ratunkowych portu zdołał przynajmniej zebrać rannych. Kapitan Hudson, batalionowy lekarz, wraz ze swoimi medykami i kilkunastoma cywilnymi lekarzami z portu robili co mogli, ale z ich meldunków wynikało, że prawdopodobnie tracą jeszcze co najmniej pół tuzina rannych.

Mimo to wszystko wskazywało na to, że zamieszki, powstanie, czy czymkolwiek te rozruchy były, ominęły port kosmiczny. Tłum bawił się, puszczając z dymem sporą część Zhikotse i polując na „kolaborujących z Impami”. Większość „kolaborantów” to byli zwykli ludzie, których z powodu ich zamożności, akcentu czy ubrania potraktowano jako „wyzyskujących biednych”, gdy tymczasem prawdziwi „wyzyskiwacze” mieli wystarczająco dużo możliwości, by ująć przed tłumem - ale tłumy nigdy nie słyszeły z przejrzystości logiki, którą się kierowały.

Los tych biedaków sprawiał, że żołądek Palacios przekręcał się, a przecież po ponad piętnastu latach w marines nie był to żołądek, który tak łatwo się przekręcał. Ale niewiele mogła na to poradzić. Po prostu nie miała dość ludzi i każda próba ratunku w mieście wielkości Zhikotse zostałaby wchłonięta tak, jak gąbka wchłania wodę.

Gdyby za to chodziło o wybicie wszystkich uczestników zamieszek - o, tu już sprawa wyglądała inaczej.

Niestety - a może na szczęście, zależy jak na to spojrzeć - obowiązująca polityka imperialna, jak wytłumaczyła Jongdombie, nakazywała minimalizację strat i przypadkowych ofiar wśród cywilów, nawet w sytuacjach takich jak obecna. Powybijanie ludzi otaczających Ogrody byłoby stosunkowo prostym zadaniem. Mogłoby to trochę potrwać, ale Palacios była w stanie w każdej chwili usunąć oblężenie Pałacu Prezydenckiego - wystarczyłoby tylko rozkaz wydany porucznikowi Ryanowi. Może zużyłaby znaczącą część amunicji do moździerzy, ale mogłaby to zrobić, zwłaszcza gdyby potem wysłała w teren jedną ze swoich kompanii, by do reszty posprzątała. Ci biedni powstańcy nie mieli pojęcia, jak zabójcze potrafią być jej Osy, i major miała nadzieję, że nigdy się tego nie dowiedzą, choć generał Jongdomba dał jej całkiem jasno do zrozumienia, że według niego właśnie to powinna tłumowi zademonstrować.

Jeśli będę musiała, pomyślała, w końcu to zrobię. Ale dopiero wtedy, kiedy będę musiała. Musimy opanować sytuację, ale nie dopuścić się zbrodni wojennej. Nie możemy tworzyć męczenników dla następców FWG, i Aubert ma co do tego rację. Dlatego zamiast zabijać ludzi, którzy porwali za broń i wystąpili przeciwko swojemu cesarzowi i legalnie wybranemu rządowi, narażam życie własnych ludzi, by ograniczyć straty wśród cywilów. I szlag mnie trafia.

Prychnęła, uświadamiając sobie, że rozmyślnie drażni każdy temat, jaki przyjdzie jej do głowy, byle tylko uniknąć tego, co naprawdę powinna zrobić.

- Tom, jakie są najnowsze wieści od generała Jongdombie? - spytała po chwili.

- Wciąż mamy łączność, ma'am - odparł porucznik Bradwell. - Generał mówi, że jego perymetr jest stale spychany w tył. Powtarza prośbę o natychmiastowe przysłanie posiłków.

Tak naprawdę słowo „prośba” stało w sprzeczności z tym, co Jongdomba robił. Godzinę temu skontaktował się ponad głową Palacios z gubernatorem Aubertem, żądając w imieniu rządu planetarnego, by ruszyła mu na pomoc wszystkimi siłami, miażdżąc wszelki napotkany opór. Twierdził też, że jeśli major nie spełni jego „prośby”, rząd planetarny złoży w Ministerstwie Spraw Planetarnych skargę na Palacios i Auberta za to, że wybrali zabezpieczanie pozaplanetarnych inwestycji w rejonie portu zamiast ochrony legalnie wybranego rządu planety.

Podtekst był wystarczająco jasny: nie tylko chciał utrzymać Ogrody, ale także całkowicie zdławić „powstanie”, tak by biedota Gyantse nigdy więcej nie ośmieliła się podnieść ręki na lepszych od siebie. Nagła eksplozja przemocy najwyraźniej go przeraziła, tym bardziej że był głęboko przekonany, że on i pozostali oligarchowie są absolutnymi władcami całej planety. Nie był przygotowany na fakt, że przyczyną krwawych zamieszek nie były separatystyczne

ambicje FWG, lecz jątrząca się, długo skrywana i w pełni uzasadniona niechęć izolowanej politycznie biedoty, dlatego tracił kontrolę nad sobą... o ile już jej nie stracił. Wydawał się myśleć coraz mniej racjonalnie, jakby chowając się przed rzeczywistością do świata fantazji, mógł to wszystko zmienić zwykłym aktem woli.

Albo być może stawiając kogoś innego na czele miejscowych władz Gyangtse.

W każdym razie cokolwiek sobie wyobrażał, jasno pokazał, że nie ma zamiaru ewakuować Ogrodów. Ani pozwolić, by członkowie rządu planetarnego zostali ewakuowani, co jedynie potwierdziło podejrzenia Palacios co do jego ostatecznych zamiarów, zwłaszcza że udało mu się pozostawić niemal wszystkich innych poza swoim perymetrem obrony. Według najnowszych ocen porucznika Bieriegowoja tylko najwyżsi urzędnicy rządu planetarnego wciąż przebywali w Pałacu Prezydenckim; wszystkim młodszym urzędnikom, pracownikom biurowym i sprzątaczkom udało się uciec, zanim nadeszli rewolucjoniści. Palacios uznała za dość dziwne, że młodsi zastępcy sekretarzy zdołali zbiec, podczas kiedy to samo okazało się niemożliwe w przypadku prezydenta planety.

Tak więc Jongdomba trzymał własny rząd jako zakładników, chcąc wykorzystać jego bezpieczeństwo jako kartę przetargową, by zmusić major do robienia tego, co chciał. Ale miał pecha, gdyż dotychczasowy porządek polityczny Gyangtse przestał funkcjonować. „Dobry przyjaciel” Jongdombby, gubernator Aubert, poinformował generała (który oznajmił, że mówi także w imieniu prezydenta Shangupa i reszty rządu), że nie da się nic więcej zrobić, że major Palacios cieszy się jego całkowitym zaufaniem i poparciem i że zawołowane pogroźki Jongdombby tego nie zmienią.

Palacios przysłuchiwała się tej rozmowie, nieco zaskoczona, że czuje tak wielką satysfakcję, słysząc te słowa.

- Proszę mnie połączyć z generałem - powiedziała teraz.

- Tak jest, ma'am.

Odwróciła się z powrotem do stołu z mapą, czekając, aż jego głos odezwie się w implancie w jej żuchwie.

- Jongdomba.

Bez tego major trudno byłoby rozpoznać ten ochryply, napięty głos jako należący do napuszonego i pewnego siebie dowódcy milicji.

- Panie generale - powiedziała sucho - mówi major Palacios.

- Kolejna wymówka, czemu nam nie pomagacie? - warknął Jongdomba.

Palacios splotła ręce za plecami i mocno zacisnęła dłonie.

- Nie, panie generale - odparła spokojnie. - Chcę pana poinformować, że drugi pluton

mojej kompanii Bravo niedługo nawiąże z wami kontakt.

- Tak? - Palacios niemal zobaczyła, jak Jongdomba się prostuje. - To doskonała wiadomość! Już wiem, dokąd go wyśle, zanim reszta posiłków do nas dotrze!

- Panie generale, wydaje mi się, że nie rozumie pan w pełni sytuacji. Drugi pluton nie będzie wspierać pana obecnych pozycji, ma za zadanie wyprowadzić prezydenta i delegatów z Ogrodów i pomóc im dotrzeć do bezpiecznego schronienia w enklawie portu.

- To absurd! Pani chyba żartuje! Jeśli nie chcemy co kilka lat mieć do czynienia z takimi rzeczami, musimy utrzymać Ogrody i pokazać tej zdradzieckiej tłuszczy...

- Generale Jongdomba - przerwała mu. - Ochrona politycznego status quo to nie jest moje zadanie. Utrzymanie owego status quo lub jego konieczna modyfikacja należy do planetarnego rządu Gyangtse. Ochrona nieruchomości tego rządu oraz jego oficjalnych gmachów należy do policji Gyangtse i planetarnej milicji. Ochrona imperialnego gubernatora, jego biura, personelu i autorytetu Imperium na Gyangtse oraz w tym układzie gwiazdowym to obowiązek marines Jego Wysokości oraz Floty. Poza tym Imperium uznaje odpowiedzialność sił zbrojnych Jego Wysokości za bezpieczeństwo członków władz imperialnych planet. Jestem gotowa objąć ich swoją ochroną, ale najlepiej mogę ich strzec tutaj, wewnątrz mojego perymetru. Nie mam, jak już pana informowałam, dość ludzi, by jednocześnie bronić najważniejszych instalacji miasta, utrzymywać port kosmiczny i zajmować tak rozległy teren jak Ogrody.

- No to cholerna szkoda! - warknął Jongdomba. - Oboje wiemy, że ma pani mnóstwo sił bojowych, tylko po prostu nie chce ich pani użyć. I proszę mi znów nie opowiadać o „ograniczeniu strat cywilnych"! Będziemy mieli cholerną wojnę domową, jeśli nie zgnieciemy tych drani tu i teraz, a pani nie chce tego zrobić.

- Czy to się panu podoba, czy nie, panie generale, rozkazy od ministra wojny i z Ministerstwa Spraw Planetarnych są zupełnie jasne. Utrzymywanie spokoju jest w pierwszym rzędzie obowiązkiem lokalnych władz. Siły imperialne mają być używane do tego celu jedynie w ostateczności, a ograniczanie strat cywilnych ma pierwszeństwo przed każdą inną koniecznością, z wyjątkiem ochrony ludzkiego życia oraz bezpieczeństwa członków lokalnego rządu. Co - powtórzyła z naciskiem Palacios - mogę najskuteczniej zapewnić tutaj, w porcie, sir.

- Ochrona lokalnego rządu oznacza także ochronę biur i najważniejszych archiwów - odparował Jongdomba. - Rząd to coś więcej niż tylko osoby sprawujące w danym czasie urząd, i pani o tym wie. Pani odmowa zaakceptowania tego faktu oraz wiążących się z nim obowiązków jest nie do przyjęcia dla planetarnego rządu Gyangtse, major Palacios!

- W takim razie macie problem, panie generale - powiedziała chłodno Palacios. - Nie podlegam pana rozkazom, sir. Właściwie w myśl moich rozkazów mam jedynie „współpracować” z władzami planety, co czynię, proponując zapewnienie bezpieczeństwa członkom pana rządu. W mojej opinii to wszystko, co mogę zrobić, nie zaniehbując swoich pozostałych obowiązków. Może pan oczywiście nie towarzyszyć drugiemu plutonowi, kiedy będzie wracał do portu. To zależy od pana. Ale porucznik Kuramochi dostała takie rozkazy i zostaną one wykonane. Czy co do tego jest jasność, panie generale?

Zapadła chwila kipiącej wściekłości ciszy, a potem nagle połączenie zostało zerwane.

Ojej, chyba nie poszło za dobrze, pomyślała Palacios i spojrzała na oficera łącznościowego.

- Proszę mi dać Kuramochi.

- Tak jest, ma'am.

- Tu Kuramochi - odezwał się niemal natychmiast kobiecy głos; w tle Palacios usłyszała trzask wystrzałów z broni ręcznej.

- Chiyeko, tu major Palacios. Kiedy nawiążecie kontakt z wysuniętymi pozycjami milicji?

- Pięć minut maks, ma'am.

- Dobrze, proszę wziąć pod uwagę, że to, co mówiłyśmy o generale Jongdombie, może być aktualne.

- Zrozumiałam, ma'am.

Głos Kuramochi stał się poważniejszy, a Palacios uśmiechnęła się zupełnie bez humoru.

- Przykro mi, że to na panią zrzucam, pani porucznik - powiedziała. - Proszę tylko pamiętać, że jest pani kryta moimi rozkazami. Proszę robić to, co będzie konieczne, a reperkusjami później ja będę się martwić.

- Tak jest, ma'am. Polecenie zostanie wykonane.

- Nigdy w to nie wątpiłam, Chiyeko. Palacios, bez odbioru.

* * *

- Co to?

- Co takiego? Gdzie? - spytał sierżant Thaktok.

- Tam. - Szeregowiec milicji dzielący okop z sierżantem wskazał na dym. - Coś się tam poruszyło.

- Co? - Thaktok spojrzał we wskazanym kierunku. W powietrzu unosiło się tyle dymu i kurzu, zwłaszcza w rejonie, gdzie nagły ostrzał mózdzierzy przeorał pozycje napastników, że widoczność była mocno ograniczona. Wyglądało to tak, jakby całą okolicę spowiła gęsta

mgła. Ale mimo to gdyby coś tam było, powinien to widzieć.

- Nie wiem - odparł szeregowiec. - Widziałem tylko jakieś poruszenie i...

- Jasna cholera! - wybełkotał Thaktok i odskoczył w tył, kiedy powietrze tuż przed nim zamigotało. Odruchowo poderwał karabin z bagnetem, ale czyjaś ręka złapała za lufę i popchnęła ją w dół.

- Uważaj, lepiej, żeby się obyło bez wypadków, sierzancie - powiedział uprzejmie Gregory Hilton, kiedy jego kamuflaż przestał go stapiać z dymem w tle.

Zaraz potem zaczęli się materializować kolejni marines. Sierżant wciąż usiłował pojąć najwyraźniej magiczny sposób pojawienia się żołnierzy, kiedy znalazł się twarzą w twarz z niską szczupłą porucznik.

- Sierzancie... Thaktok - powiedziała, odczytując jego nazwisko z napierśnika. - Jestem porucznik Kuramochi. Potrzebny mi jest ktoś, kto mnie zaprowadzi do punktu dowodzenia generała Jongdomby.

- Eee... - stęknął Thaktok, ale zaraz się otrząsnął. - Tak jest, ma'am! Natychmiast!

* * *

Alicia szła za porucznik Kuramochi wśród śmieci i śladów zniszczeń, których pełno było we wspaniałych niegdyś Miejskich Ogrodach. Porucznik nie zapraszała jej, ale sierżant Metternich dał jej znak, by za nią poszła. Tak więc Alicia podążała za dowódcą, czując się trochę nieswojo i zastanawiając się, jak Kuramochi zareaguje, kiedy zauważy, że idzie za nią jak cień.

Zanim miasto ogarnęło szaleństwo, Ogrody ze swoimi stawami, fontannami, wspaniałymi budowlami, posągami i kwitnącymi drzewami owocowymi były najpiękniejszym miejscem w całej stolicy. Piękno to jednak mocno teraz ucierpiało, a unoszący się w powietrzu dym spowił Ogrody jak całun rozpacz. Jedna z większych fontann wciąż działała, mimo pęknięcia ściany zbiornika, tworząc niesamowitą wodną rzeźbę na placu przed Pałacem Prezydenckim, pozostałe jednak były martwe. Alicia zastanawiała się, czy ostrzał nie uszkodził doprowadzenia wody.

Południowy Ogród był zryty okopami i zastawiony prowizorycznymi punktami opatrunkowymi, a sam gmach Pałacu - podobnie jak stojący naprzeciwko, po drugiej stronie Placu Ludowego, Skarbiec - został mocno uszkodzony. Szerokie granitowe schody były poznaczone dziurami po kulach i zasłane odłamkami fasady, która została wysadzona w powietrze - prawdopodobnie przy użyciu rakiet. Z powybijanych okien imponującego niegdyś gmachu sęczył się dym.

Większość milicjantów, których po drodze mijały, wydawała się cieszyć na ich widok. Byli zbyt wyczerpani, by okazywać entuzjazm, ale na ich twarzach Alicia dostrzegła ulgę. Zastanawiała się, czy zdają sobie sprawę, że major Palacios przysłała im na pomoc tylko jeden pluton. A jeśli nie, to jak mogą zareagować, kiedy się o tym dowiedzą?

Im bliżej jednak były punktu dowodzenia generała Jongdomby, tym mniej radosne wydawały się twarze dookoła. Alicia wcale nie była tym zaskoczona. Imperialni Marines mieli zwyczaj informować swoich ludzi na bieżąco, więc nawet ona wiedziała, że Jongdomba nie był zachwycony wydanymi przez Palacios rozkazami.

Szeregowy, którego sierżant Thaktok wyznaczył im na przewodnika, poprowadził ich przez zryty okopami ogród do punktu dowodzenia generała Jongdomby. Znajdował się w obłożonym workami z piaskiem wykopie pod wysokim, ozdobnym ceglany murem otaczającym tereny Pałacu. Przed wejściem do okopu stało dwóch uzbrojonych milicjantów - porucznik i kapral, obaj noszący na lewym ramieniu oznaki jednostek, których Alicia dotąd nie widziała. Szybkie pytanie wysłane przez synth-złącze do komputera hełmu pozwoliło zidentyfikować skrzyżowane błyskawice jako emblemat „Kompanii Gwardii Kwatery Głównej” Jongdomby. Alicia nigdy o czymś takim nie słyszała, a baza danych hełmu nie posiadała takiej jednostki w oficjalnej tabeli organizacji i wyposażenia milicji. Obaj mężczyźni robili wrażenie nieprawdopodobnie czystych i schludnych na tle śmieci i chaosu dookoła. Porucznik podniósł rękę i przewodnik porucznik Kuramochi zatrzymał się.

- Czego chcecie? - warknął na brudnego, zmęczonego walką szeregowca, nie zerknąwszy nawet na Kuramochi.

- Przyprowdziłem marines - odparł przewodnik. - To jest porucznik Kuramochi. Musi widzieć się z generałem.

- Ach tak?

Porucznik milicji w końcu odwrócił się do Kuramochi, i w tym momencie wyraz twarzy Gyangtseńczyka i coś w jego oczach uruchomiło w głowie Alicii alarm.

- Tak - powiedziała Kuramochi głosem zimnym jak lód. - I jej cierpliwość jest w tej chwili na wyczerpaniu.

- Och, proszę mi wybaczyć, ma'am! - zakpił milicjant, stając na baczność i zamaszyście salutując. - Już biegnę zobaczyć, czy generał będzie chciał marnować czas dla jednego z tych bezużytecznych cudaków, którzy siedzą na swoich tchórzliwych dupach, kiedy całe zsrane miasto dookoła płonie.

Alicia nie widziała ani nie słyszała, by porucznik Kuramochi komunikowała się jakoś z Wheatonem. Może to była telepatia, a może wielki sierżant po prostu był tak wkurzony, że

nie potrzebował żadnych sygnałów od swojej porucznik.

W jednej chwili stał obok porucznik Kuramochi, a już w następnej oficer milicji leżał płasko na plecach. Jego karabin był w rękach Wheatona, a but sierżanta wbijał się w jego gardło.

Drugi z milicjantów poruszył się, ale natychmiast zamarł. Dopiero wtedy Alicia uświadomiła sobie, że lufa jej karabinu jest wymierzona prosto w klamrę jego pasa. Przez chwilę na nią patrzył, potem bardzo ostrożnie odłożył broń na ziemię.

- Myślę - powiedział uprzejmie Wheaton do kaprała, ignorując leżącego na ziemi mężczyznę, który rzucał się, charczał i bezskutecznie szarpał nieruchomy but marine - że pani porucznik chciałaby się teraz zobaczyć z generałem. Jest jakiś problem?

* * *

- Co to ma znaczyć, do diabła, czemu atakujecie moich ludzi?! - ryknął generał Jongdomba, kiedy porucznik Kuramochi weszła do jego wilgotnego, cuchnącego błotem punktu dowodzenia. Sierżant Wheaton wszedł za nią, Alicia również. Schodząc do wykopu, zauważyła, że jej HUD pokazuje zielone ikonki reszty plutonu otaczające luźnym kręgiem punkt dowodzenia.

- Nie wiem, o czym pan mówi, panie generale - odparła spokojnie Kuramochi, patrząc Jongdombie prosto w oczy.

- Doskonale pani wie, poruczniku!

Generał wskazał kolejnego oficera milicji, tym razem kapitana, stojącego z boku z dwoma sierżantami. Wszyscy mieli odznakę „Gwardii” i patrzyli wyzywająco na Kuramochi i Wheatona.

- Dostałem raport o całym zajściu - ciągnął generał - i jest dla mnie oczywiste, że wasza arogancja przewyższa nawet tchórzostwo waszego dowódcy! Ale jeśli myślicie, że macie jakieś dane przez Boga prawo atakować moich ludzi, zapewniam was obie, że się mylicie, poruczniku! Zamierzam oskarżyć was o złamanie prawa wojskowego!

- Najwyraźniej doszło do pewnej rozbieżności opinii co do uprzejmości, jaka powinna być okazywana wyższemu stopniowi oficerowi, sir - odparła Kuramochi, a twarz Jongdomy skurczyła się na to niedwuznaczne przypomnienie, że oficer marines jest o cały stopień wyższy rangą od oficera milicji planetarnej w tym samym stopniu. - Pana porucznik wyraził swoje zdanie na temat mnie i moich marines dość nieokrzesanym językiem. Mój sierżant zrobił wyjątek od swoich zasad i... upomniał go. Ponieważ major Palacios ogłosiła stan wojenny w imieniu cesarza, a nie władz lokalnych, Imperialny Korpus Marines posiada

uprawnienia do rozstrzygania wszystkich wykroczeń wojskowych, do jakich dojdzie w obecnej sytuacji. Tymczasem jednak, sir, z całym szacunkiem, dostałam rozkaz ewakuowania członków rządu planetarnego do portu kosmicznego.

- Rząd planetarny nigdzie się nie wybiera! - Jongdomba popatrzył na porucznik z wściekłością. - Jak już informowałem major Palacios, prezydent Shangup i delegaci nie zamierzają dać się wypędzić ze stolicy przez tę bandę szumowin z rynsztoka!

Prychnął z pogardą.

- Cała ta zgraja to bezużyteczne pasożyty i trutnie i pora dać im nauczkę, która od dawna im się należy. Nie pozwolimy im zająć biur rządowych, nie pozwolimy, żeby wyobrażali sobie nie wiadomo co!

- Generale Jongdomba - powiedziała Kuramochi - to pan osobiście poinformował major Palacios, że nie utrzyma dłużej tych pozycji i nie zapewni bezpieczeństwa członkom rządu. W związku z tym major wysłała mnie, by eskortować ich w bezpieczne miejsce. Jeśli nie zechcą mi towarzyszyć, będzie to ich własna decyzja. Major Palacios wyraża ubolewanie z powodu prawdopodobnych konsekwencji takiej decyzji, ale nie będzie im nic narzucać.

- Nie ośmielicie się tak po prostu nas... ich zostawić! - parsknął Jongdomba.

- Wręcz przeciwnie, panie generale - odparła spokojnie Kuramochi. - To by była ich decyzja, a nie moja.

- A jeśli ja wam nie pozwolę zostawić nas?

- Panie generale, moi ludzie i ja nie podlegamy pana rozkazom. Otrzymałam rozkazy od swoich przełożonych i zamierzam je wykonać.

- Nie wiedzieć czemu wątpię, by pani drogocenna major Palacios albo gubernator Aubert byli tak samo skorzy rzucić nas na pastwę tłumu, jeśli pluton ich marines utknie tu razem z nami. Pani ludzie znacząco wzmocnią siłę naszego ognia.

- Panie generale Jongdomba - oznajmiła poważnie Kuramochi. - Myślę, że powinien pan jeszcze raz zastanowić się nad swoim stanowiskiem. Moi ludzie nie są tutaj po to, by wzmocniać pana linie obrony, i tego nie robią. A teraz, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, chciałabym osobiście porozmawiać z prezydentem Shangupem. Wolałabym, żeby moje rozkazy nie zostały mu - na pewno nieumyślnie - opacznie przedstawione.

- Podejrzewam, że pani ludzie będą bardziej skorzy, niż pani myśli, robić to, co im każe, kiedy odkryją, że pani i pani sierżant będziecie moimi „gośćmi” dopóty, dopóki w stolicy nie zostanie zaprowadzony porządek na warunkach rządu planetarnego.

Alicia poczuła, że ogarnia ją lodowaty spokój. Mimo incydentu z porucznikiem milicji przed bunkrem nie była w stanie uwierzyć, że Jongdomba może być aż tak szalony. Był

otoczony przez ciężko uzbrojonych powstańców, a teraz chciał ryzykować strzelaninę z plutonem imperialnych marines w samym środku swoich pozycji. Co ten człowiek myśli? Czy on w ogóle myśli? Chyba nie sądzi, że dowódca milicji planetarnej Świata Korony może się mierzyć z Korpusem i to przeżyć?

- Panie generale - powiedziała cicho porucznik Kuramochi - to będzie poważny błąd. Radzę, żeby pan porzucił ten niedorzeczny pomysł tu i teraz, natychmiast.

- Nie obchodzi mnie, co radzi tchórzliwa mała dziwka ze złudzeniami własnej wielkości, poruczniku - prychnął Jongdomba. I nie odwracając głowy, rzucił: - Kapitanie!

Kapitan milicji stojący za sierżantem Wheatonem był gotów i czekał na rozkaz. Na znak generała jego dłoń sięgnęła do broni w kaburze na biodrze. Towarzyszący mu dwaj sierżanci byli uzbrojeni w karabiny szturmowe. Stali z bronią przełożoną przez prawe ramię jak myśliwi niosący strzelby przez pole. Teraz poderwali lufy i skierowali je na porucznik Kuramochi.

Ale sprawy nie potoczyły się tak, jak zaplanował Jongdomba.

Sierżant Wheaton zrobił szybki krok do tyłu i pancerna nałocznica na jego prawej ręce uderzyła kapitana w pierś. Napierśnik milicjanta złagodził cios zadany z siłą młota, ale jego impet rzucił drobnego Gyangtseńczyka na ziemną ścianę. Zaraz potem kapitan krzyknął z zaskoczenia i bólu, gdy jego prawy nadgarstek znalazł się w żelaznym uścisku lewej dłoni Wheatona, a prawa ręka sierżanta zacisnęła się na jego gardle i poderwała go do góry, aż stanął na palcach.

Sierżanci zawahali się na moment - trwało to nie dłużej niż pojedynczy oddech czy pół uderzenia serca - po czym skierowali broń w jego stronę.

Ale porucznik Kuramochi już była w ruchu. W tej samej chwili, kiedy Wheaton obezwładnił kapitana, obróciła się jak tancerka w kierunku sierżantów. Jej prawa dłoń sięgnęła do pistoletu na biodrze, a lewa chwyciła lufę karabinu bliższego sierżanta i szarpnęła. Nieszczęsny właściciel broni poleciał do przodu, zaskoczony siłą drobnej marine, a wtedy jej lewy nakolaniek wbił się między jego nogi.

Sierżant wrzasnął, upuścił karabin i padł na kolana, trzymając się za krocze, a jego kolega nagle zajrzał w otwór lufy pistoletu Kuramochi z odległości zaledwie dwudziestu centymetrów.

Wheaton i Kuramochi w kilka chwil załatwili wszystkich trzech ludzi Jongdombi. Ale porucznik nieco się przeliczyła. Nie zdawała sobie sprawy, że jest jeszcze czwarty milicjant, ukryty za bryłą centrum łącznościowego Jongdombi. Teraz żołnierz wstał z zakłócačem nerwowym w rękach i wymierzył w potylicę Kuramochi z odległości niecałych pięciu

metrów. Jego palec opadł na spust, a usta rozwarły się we wściekłym grymasie, kiedy zaczął go naciskać.

I w tym momencie w punkcie dowodzenia eksplodował grom.

M-97 Alicii był trochę za długi, by posługiwać się nim swobodnie w takiej ciasnocie, ale teraz nie miało to znaczenia. Kiedy niespodziewanie pojawił się czwarty uczestnik szalonej zasadzki generała, lufa jej broni uniosła się w górę. Nie było czasu na strzał w głowę czy pierś; Alicia nacisnęła spust, kiedy karabin był na wysokości bioder mężczyzny, i ostra, szarpiąca seria penetratorów z wolframowym rdzeniem roztrzaskała konsolę łączności, a potem weszła w stojącego za nią człowieka.

Milicjant wrzasnął, kiedy pierwszy pocisk Alicii trafił go tuż pod pępkiem. Drugi uderzył w połowie drogi między pępkiem a mostkiem. Trzeci trafił prosto w nasadę gardła, i wrzask nagle ucichł, kiedy kula wyszła przez kark i osiem centymetrów kręgosłupa zmieniło się w pastę. Dłoń trzymająca broń zacisnęła się konwulsyjnie i szmaragdowy ładunek zakłócacza uderzył w ścianę okopu. Na szczęście chybił Kuramochi, ale sam skraj jego pola działania objął Wheatona i kapitana milicji, którego sierżant unieruchomił. Obaj mężczyźni runęli na ziemię, wijąc się w konwulsjach, kiedy energia strzału przeorała ich systemy nerwowe. W tym momencie generał Jongdomba sięgnął po własną broń.

Starszy szeregowy Alicia DeVries zrobiła dwa kroki do przodu. Dowódca milicji podniósł na nią wzrok akurat w chwili, kiedy pchnęła go karabinem. W przeciwieństwie do swoich podwładnych, Jongdomba nie nosił pancerza, więc nic go nie ochroniło, kiedy dymiący tłumik M-97 i bulwiasty granatnik pod lufą wbiły się w jego brzuch jak kafar.

Generał stęknął, złożył się w pół jak scyzoryk i pistolet wypadł mu z dłoni. A wtedy kolba karabinu Alicii pomknęła po doskonale obliczonym łuku i trafiła w bark Jongdombry, roztrzaskując mu obojczyk i na moment stawiając go z powrotem do pionu.

Dowódca milicji niemal nieprzytomny runął na plecy. Zacharczał, próbując na nowo złapać oddech... i zmarł, kiedy zjrzał w lufę karabinu wycelowanego w nasadę jego nosa.

- Myślę, panie generale - powiedziała Kuramochi poprzez charczenie Jongdombry, piskliwe jęki sierżanta, którego obezwładniła, i spazmatyczne sapanie Wheatona i kapitana - że powinien pan być posłuchać mojej rady.

Głos porucznik był zimny jak sople, a ona sama nie odrywała ani na chwilę wzroku od sierżanta, którego trzymała pod bronią jedyne go członka zasadzki Jongdombry wciąż stojącego o własnych siłach - kiedy na zewnątrz rozległy się strzały. Nie trwało to długo i po chwili w bunkrze pojawił się sierżant Metternich.

- Sytuacja na górze jest opanowana, skipper - powiedział. - Obawiam się tylko, że trochę

zdemolowaliśmy miejscowych. Mieli parę problemów ze swoim systemem identyfikacji swój - wróg.

- Szkoda - odparła porucznik. - Czy ktoś z naszych na zewnątrz dostał?

- Nie. Na zewnątrz nie. - Metternich zerknął na Alicię - wciąż stała nad powalonym generałem - i kiwnął głową z aprobatą, a potem klęknął obok Wheatona.

- Zakłócacz - wyjaśniła Kuramochi, wciąż patrząc na swojego jeńca. - Mike załapał się w koronę.

- Cholera.

Metternich nachylił się nad sierżantem i włączył jego monitor oznak życia. Ten przez kilka chwil niepewnie migotał, a potem się ustabilizował.

- Chyba z tego wyjdzie, skipper - powiedział. - Nie jestem lekarzem, ale oznaki życia ma całkiem niezłe. Nie ma śladów uszkodzeń nerwowych, a jego farmakopea już sobie radzi ze wstrząsem.

- Cieszę się. Proszę przejąć tego tutaj.

- Tak jest, ma'am.

Metternich wstał, chwycił ostatniego stojącego milicjanta za kołnierz i wyprowadził go na zewnątrz.

A Kuramochi schowała pistolet do kabury i podeszła do Alicii.

- Dobra robota, DeVries - powiedziała i położyła lekko dłoń na jej ramieniu. Potem spojrzała na Jongdombę.

Twarz generała miała kolor rzeczno mułu, ale jego umęczony oddech trochę się uspokajał, a spojrzenie stawało się coraz bardziej przytomne. Kuramochi uśmiechnęła się blado.

- A teraz, generale Jongdomba - powiedziała - w imieniu Jego Wysokości Seamusa II aresztuję pana pod zarzutem działalności wywrotowej, usiłowania morderstwa i podejrzenia zdrady rządu planety Gyangtse i Imperium Ziemi. Wszystkie te trzy zarzuty, jeśli zostaną potwierdzone, są karane śmiercią, dlatego radziłabym panu nie pogarszać jeszcze bardziej swojej sytuacji. Czy to jasne, sir?

Jongdomba gapił się na nią przez chwilę, a potem jak marionetka kiwnął głową.

- Świetnie. W takim razie, sir, myślę, że czas, żebym porozmawiała z prezydentem Shangupem.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Proszę się odsunąć, kapitanie.

Kapitan milicji stojący pod drzwiami nosił te same błyskawice, co reszta gwardii Jongdomby. Była to, jak oceniła Alicia, raczej osobista ochrona generała niż formacja wojskowa; podejrzewała, że większość jej członków była w cywilu pracownikami Jongdomby.

Kapitan spojrzał niepewnie na porucznik Kuramochi, Alicię i parę strzelców marines za nimi.

- Kapitanie Goparma - powiedziała Kuramochi, zerkając na nazwisko nadrukowane na jego napierśniku. - Nie chcę, żeby ktokolwiek więcej ucierpiał, jeśli da się tego uniknąć. Generał Jongdomba został aresztowany i podejrzewam, że w swoim czasie sąd uzna, iż przekroczył swoje uprawnienia dowódcy planetarnej milicji. Przypominam panu, że stan wojenny został ogłoszony w imieniu cesarza. Oznacza to, że decyzję będzie podejmował sąd imperialny... a w tej chwili jako przedstawiciel gubernatora Auberta mam większą władzę niż wszyscy oficerowie milicji. Może pan więc odsunąć się albo zostać usunięty siłą. Co pan wybiera?

Goparma patrzył na nią jeszcze przez chwilę, potem odsunął się na bok.

- Dziękuję, kapitanie - powiedziała uprzejmie Kuramochi. Potem kiwnęła głową na Alicię. - Sądzę, kapitanie - dodała - że najlepiej będzie dla nas wszystkich, jeśli odda pan broń przyboczną szeregowemu DeVries. Na wszelki wypadek, rozumie pan.

Oficer milicji zaczerwienił się z upokorzenia, wściekłości i strachu, ale posłusznie odpiął pas z kaburą i podał Alicii. Dziewczyna zarzuciła go na lewe ramię, starając się zachowywać swobodnie, jakby takie rzeczy zdarzały się jej codziennie. I tak, pomyślała, kapitan miał o wiele więcej szczęścia niż jego koledzy „gwardziści”. Kiedy Metternich powiedział, że ich „zdemolował”, wcale nie żartował. Kilkunastu osiłków Jongdomby nie żyło, dwa razy tylu zostało rannych.

- Dziękuję - powtórzyła Kuramochi, minęła kapitana i otworzyła drzwi, których pilnował.

Znajdująca się za nimi podziemna sala konferencyjna była olbrzymia. Była także wygodnie i luksusowo umeblowana, ale około sześćdziesięciu przebywających tutaj osób wydawało się tego nie doceniać. Powietrze było zatęchłe, duszne i gorące - klimatyzacja w

Pałacu wysiadła - a do tego gęste od tytoniowego dymu. Mężczyźni w pomieszczeniu - nie było tu żadnych kobiet - sprawiali wrażenie wymiętoszonych i napiętych.

Porucznik Kuramochi stała przez chwilę w drzwiach, a potem weszła do środka i skierowała się prosto do drobnego, chudego człowieczka, który wyglądał w tej chwili o wiele mniej elegancko i godnie niż podczas wystąpień w holowizji.

- Panie prezydencie - powiedziała uprzejmie, wyciągając dłoń. - Jestem porucznik Kuramochi Chiyeko, Imperialni Marines. Gubernator Aubert i major Palacios przesyłają pozdrowienia; polecili mi odeskortować pana do portu kosmicznego.

- Cóż... Rozumiem. - Shangup uściśnął jej wyciągniętą dłoń. - Bardzo się cieszę na pani widok, pani porucznik. Aha, rozumiem, że już spotkała się pani z generałem Jongdombą?

- Obawiam się, że doszło do pewnego nieporozumienia, panie prezydencie. Pan generał wydawał się mieć błędne przekonanie co do treści moich rozkazów od major Palacios oraz zakresu własnych uprawnień. Został aresztowany, tak jak większość członków jego Kompanii Gwardii. Sądzę, że większa część tych, którzy nie zostali aresztowani, zginęła lub została ranna w trakcie naszego... nieporozumienia.

- Aresztowani? - wybełkotał ktoś za prezydentem. Wyraz twarzy Kuramochi nie zmienił się ani na chwilę, nie oderwała też wzroku od prezydenta.

- Czy to oznacza, że teraz pani dowodzi, pani porucznik? - spytał po chwili Shangup.

- W praktyce tak, przynajmniej chwilowo. Musiałam również aresztować większą część sztabu generała. Jak udało mi się ustalić, pułkownik Sharwa w ogóle nie dotarł do Ogrodów. Myślę, że w tych okolicznościach następcą generała jest major Cusherwa, ale on koordynował perymetr obronny. Jak sądzą, w tej chwili zmierza do punktu dowodzenia, by objąć dowództwo wszystkich sił milicyjnych.

- Rozumiem. - Shangup zamrugał, potem wziął głęboki oddech.

- Mówiąc zupełnie szczerze, pani porucznik - powiedział - bardzo się ucieszyłem, kiedy panią ujrzałem. Niektóre z ostatnich decyzji generała Jongdomby sprawiały wrażenie... niezupełnie racjonalnych. Właściwie obawiam się, że generał był... hmmm... mocno niezrównoważony.

- Przykro mi to słyszeć, proszę pana. - Głos porucznik był uprzejmy, jak zauważyła Alicia, i nie zdradzał, że Kuramochi domyśliła się, iż kapitan milicji stojący pod salą konferencyjną pełnił rolę strażnika więziennego prezydenta. Ciekawe, czy Jongdomba już podjął decyzję o zamachu stanu, czy wciąż się nad tym zastanawiał, kiedy marines tutaj wkroczyli.

- Czy mogę założyć, panie prezydencie - ciągnęła Kuramochi - że pan i pozostali

dżentelmeni... - skinęła uprzejmie głową wymiętym delegatom - jesteście gotowi towarzyszyć mojemu plutonowi w drodze powrotnej do portu, gdzie major Palacios i gubernator Aubert będą w stanie zapewnić wam bezpieczeństwo i ciągłość urzędowania pańskiego rządu?

- Może pani, pani porucznik - powiedział stanowczo prezydent.

- Obawiam się, proszę pana, że będziemy musieli iść pieszo - ostrzegła go. - Major Palacios rozważała przysłanie po panów jakichś środków transportu, ale nie posiadamy żadnych pojazdów opancerzonych, a wiemy, że po Zhikotse kręci się tak dużo ręcznych wyrzutni rakiet, że woleliśmy wykluczyć powietrzne ciężarówki. Nie chcemy, żeby zrobiono z pana i delegatów mokrą plamę na chodniku tylko dlatego, że nie udało nam się wykryć na czas wyrzutni.

- Myślę, że to doskonały pomysł, pani porucznik. - Shangup zaskoczył Alicię, pokazując zęby w szerokim uśmiechu. - Zawsze uważałem, że chodzenie pieszo wychodzi człowiekowi na zdrowie. Nie mogę się wprost doczekać, żeby tego z panią spróbować.

- Wobec tego bardzo się cieszę, proszę pana. Jeśli mi pan wybaczy, pójdę teraz zająć się zorganizowaniem odwrotu z tej pozycji.

* * *

Kapitan Chiawa usłyszał łomot ostrzału moździerzowego, przeprowadzonego z o wiele większą precyzją, niż udałoby się to milicyjnej drużynie ciężkiej broni. Dochodził od strony Ogrodów, co sugerowało, że Osy idą Jongdombie na odsiecz. Szczerze mówiąc, kapitan był zaskoczony, że to tak długo trwało, ale i tak się ucieszył.

On i jego czterej towarzysze przedzierali się w kucki przez kanały burzowe. Uwaga Paldorjego, że mogą być ciasne, okazała się aż za bardzo prorocza, ale na szczęście żaden z ludzi Chiawy nie był zbyt potężnie zbudowany - na Gyangtse mało kto był - a poza tym przejście kanałami było o wiele lepsze niż błąkanie się po ulicach i ciągle zastanawianie, czy jakiś snajper właśnie im się nie przygląda z któregoś dachu albo okna na piętrze.

Chiawa z radością dołączyłby do marines wysłanych do Ogrodów, ale nie był w stanie ocenić, gdzie dokładnie spadł ostrzał. Poza tym musieli pełznąć kanałami przez dobrych piętnaście minut, zanim znaleźli następną studzienkę.

W końcu na nią natrafili. Chiawa wspiał się po drabince i uniósł trochę klapę na ramionach, żeby wyjrzeć. Zamierzał iść dalej, ale dość gwałtownie zmienił zdanie, kiedy zobaczył przed sobą... czyjeś stopy.

Zamarł, mając nadzieję, że nikt nie zauważył poruszenia kłapy. Pozostali także znieruchomieli, wyczuwając jego zdenerwowanie.

Serce biło mu mocniej i czuł, że zaczyna się pocić, kiedy okazało się, że patrzy na co najmniej czterdzieści czy pięćdziesiąt osób - mężczyzn i kobiet. Żadne z nich nie miało munduru, a na ich ramionach widać było czerwone opaski FWG.

Wziął głęboki oddech, a potem bardzo delikatnie opuścił z powrotem klapę. Zszedł na dół o wiele ciszej i ostrożniej, niż się wspinał, i odwrócił się do pozostałych.

- Nie widziałem za dobrze - powiedział cicho - ale na górze jest z pięćdziesiąt typów z FWG obwieszonych bronią. Widziałem karabiny szturmowe, granatniki i wyrzutnie rakiet, mieli też chyba ze dwie kaliope.

- Cholera - mruknął kapral Munming. - Co oni tam, kurwa, robią, skipper? Stoją i drapią się po tyłkach?

- Chciałbym. - Chiawa zaśmiał się ochryple. - Nie. Widziałem jednego, który wymachiwał rękami, jakby wydawał rozkazy. Wygląda na to, że kierują się do budynków po obu stronach ulicy.

- Zasadzka? - spytał Munming.

- Tak myślę. Jesteśmy jakieś pół przecznicy od skrzyżowania. Poczekajcie.

Przykucnął, a kiedy pozostali zebrawali się dookoła mimo ciasnoty kanału, znów włączył elektroniczną mapę. Pojawiła się ikona GPS.

- Widzicie? - Stuknął w podświetlany ekran, a potem wskazał w górę, na drabinę prowadzącą do wjazdu. - Tam jest Aleja Solu. Pół przecznicy w tę stronę... - wskazał na południowy wschód - krzyżuje się z Bulwarem Stołecznym, który przypadkiem jest najkrótszą trasą z Ogrodów do portu.

- A więc myśli pan, że oni coś knują, skipper? - spytał szeregowy Mende tonem człowieka, który spodziewa się, że odpowiedź na jego pytanie na pewno mu się nie spodoba.

- Oczywiście nie wiem na pewno - odparł Chiawa - ale dla mnie to wygląda tak, jakby ci ludzie wiedzieli, że niedługo ktoś będzie szedł Stołecznym. A biorąc pod uwagę ten ostrzał z moździerzy, który słyszeliśmy jakieś pół godziny temu, przychodzi mi do głowy tylko jedna osoba.

- Myśli pan, że marines Impów wysłali kogoś do Ogrodów, żeby przyprowadził prezydenta do portu, zamiast próbować utrzymać Pałac Prezydencki, tak? - spytał Munming.

- Mniej więcej.

- No tak. Jasne, to chyba brzmi logicznie - powiedział wolno szeregowy Khanbadze, marszcząc brew. - Tyle że nie chciałbym być w skórze tych, którzy zrobią zasadzkę na te cholerne Osy. Nam dali tylko po tyłku, ale tym razem naprawdę pokażą zęby, to nie będzie ćwiczenie.

- Zgadzą się. - Chiawa kiwnął głową. - Na pewno mają teren kryty z góry przez jakieś czujniki. Ale ci ludzie są daleko od Ogrodów i moim zdaniem jest spora szansa, że są poza zasięgiem sensorów Os. Jeśli uda im się odpowiednio szybko ukryć i jeśli będą dość sprytni, żeby zostać w środku, w budynkach, cholernie ciężko będzie ich stamtąd wyłuskać. To droga dzielnica. Te budynki są bardzo solidne, trudno wyłapać wewnątrz sygnatury termiczne, nawet sprzętem Os. A nie licząc power packów kaliope, ta zgraja nie będzie też miała emisji elektronicznych, więc całkiem możliwe, że im się ten numer uda.

- Żal mi tych drani - chrząknął Munming. - Może uda im się zabić kilka Os, ale potem cały świat spierdoli im się na łby.

- Chyba że... - powiedział cicho Chiawa - najpierw dostaną w swoje ręce prezydenta Shangupa czy choćby kilku delegatów. Pomyślcie. Czy Impy będą skłonne zrobić z niego - albo z nich - ofiary własnego ostrzału?

- Szczerze? - Munming popatrzył na niego, a potem blado się uśmiechnął. - Moim zdaniem są dość twardzi, żeby rozbić kilka jajek, jeśli jest szansa, że wyjdzie z tego omlet. Oczywiście może wcale nie. Zresztą chyba nie to się liczy, co mi się wydaje, ale to, co myślą ci goście, którzy teraz stoją nad nami.

- Otóż to. - Chiawa znów kiwnął głową. - Osobiście uważam, że Impy będą się bardzo starały nie wystrzelać rządu planetarnego. Nie wyglądałoby to dobrze podczas referendum, gdyby coś im się omsknęło. Ale nawet jeśli to prawda, jest mały problem - podczas strzelaniny czasem giną niewłaściwi ludzie. - Twarz kapitana ściągnęła się, kiedy przypomniał sobie masakrę w „Annapurna Arms”. - Ci ludzie sami mogą zabić Shangupa, próbując utrzymać go przy życiu.

- Sir - powiedział Mende - chyba nie podoba mi się to, do czego pan zmierza.

- Mnie też nie, Dabhuti - powiedział ciężko Munming. - Ale to nie zmienia faktu, że kapitan ma rację, prawda?

- Nie, nie zmienia. - Mende zdołał niewesoło się uśmiechnąć. - Dlatego właśnie to mi się nie podoba.

- Rozumiem, że powinniśmy coś zrobić - powiedział wolno Khanbadze - tyle że nie wiem, co moglibyśmy zrobić. Nie mamy już prawie amunicji, jest nas tylko pięciu i nie mamy żadnej łączności z kimkolwiek innym. To znaczy, z całym szacunkiem i tak dalej, panie kapitanie, mam nadzieję, że nie zamierza pan zaproponować, żebyśmy przeprowadzili jakiś frontalny atak czy coś takiego. Powiedział pan przed chwilą, że jest ich co najmniej pięćdziesięciu i mają o wiele większą siłę ognia niż my.

- Tak, mają - powiedział Chiawa. - I nie, nie zamierzam sugerować, żebyśmy

przeprowadzili jakiś samobójczy atak. Ale chyba musimy spróbować ostrzec Osy.

- Jak, sir? - spytał Munming. - Nie wiemy, gdzie dokładnie są, a poza tym, jak właśnie powiedział Ang Tarki, nie mamy żadnej łączności. No i wszystkie Osy, które będą się tutaj kręcić, będą czuły cholerne swędzenie palców na spustach. To trochę... ryzykowne, jeśli pan wie, o co mi chodzi.

- Och, wiem. - Chiawa uśmiechnął się zaciśniętymi ustami. - Wiercie mi, wiem.

* * *

Ku zaskoczeniu Alicii major Cusherwa - który w przeciwieństwie do Jongdomby wydawał się raczej kompetentny - nie zgodził się iść razem z plutonem.

- Jest pan pewien, panie majorze? - spytała porucznik Kuramochi.

Ona i Cusherwa byli w dawnym bunkrze dowodzenia Jongdomby. Alicia wciąż trzymała się blisko porucznik, pilnując jej pleców, i była bardzo zadowolona, że usunięto stąd zwłoki człowieka, którego zastrzeliła. Ktoś także zasypał świeżym piachem lepka kałużę krwi, która została po trupie. Gdyby temu komuś udało się jeszcze coś zrobić z zapachem krwi i wciąż unoszącym się w powietrzu smrodem porozdzieranych narządów...

- Pani porucznik - powiedział szczerze Cusherwa - moi ludzie mogliby mieć ochotę iść z wami, ale nie jesteśmy tak dobrze wyszkoleni jak wy i nie mamy waszego sprzętu. Jeśli cokolwiek by się stało podczas waszego powrotu do portu, obawiam się, że raczej byśmy wam przeszkadzali niż pomagali. Z drugiej strony myślę, że już pokazaliśmy, że całkiem dobrze sobie radzimy z utrzymywaniem okopanych pozycji. Zakładając oczywiście... - skrzywił się - że oficerowie dowodzący zajmują się właśnie tym, a nie głupimi politycznymi gierkami.

- Być może - odparła Kuramochi. - Z drugiej strony major Palacios mówi, że napór na nasz perymetr wokół portu jest niewielki, podczas gdy tutaj...

Machnęła ręką w kierunku poniszczonych gmachów otaczających Ogrody. W ciągu ostatnich kilku minut dało się słyszeć kilka serii cięższego ostrzału, jakby ukryci tam ludzie odzyskiwali rezon po przybyciu marines.

- Według moich czujników - ciągnęła porucznik - tamci wciąż dostają posiłki. Jeśli wydostaniemy stąd prezydenta i delegatów, czy w Ogrodach będzie jeszcze coś, za co warto by ginać?

- Być może nie zgadzałem się we wszystkim z generałem Jongdombą, pani porucznik, ale miał słuszość, kiedy mówił o obowiązku obrony Ogródów. Może chciał to robić z niewłaściwych powodów, ale te gmachy - czy raczej archiwa i biura, które się w nich

mieszczą - są kluczowe dla sprawowania władzy przez nasz rząd. Zachowanie ciągłości administracyjnej będzie bardzo ważne, kiedy zaczniemy się odbudowywać po tych... wszystkich nieprzyjemnościach.

- Poza tym - zaśmiał się ze znużeniem - kiedy połapią się, że to wy macie prezydenta, stracą zapał do zdobywania Pałacu.

- Ale generał Jongdomba mówił, że nie macie już prawie amunicji - zauważyła porucznik Kuramochi.

Cusherwa prychnął z niesmakiem.

- Owszem, nie mamy jej za wiele, ale to kupa bzdur, że „prawie jej nie mamy”, pani porucznik. Chcę się pozbyć stąd prezydenta i delegatów, bo nie mogę zagwarantować, że utrzymamy Ogrody. A także dlatego, że nie wiadomo, gdzie spadnie zabłąkana rakietka czy pocisk z moździerza. Mamy o wiele więcej amunicji, niż mówił wam Jongdomba. Jeśli zabierzecie stąd prezydenta, a ci po drugiej stronie o tym się dowiedzą, siła ich natarcia osłabnie, a wtedy powinno nam wystarczyć amunicji, żeby utrzymać nasze pozycje.

- Rozumiem. - Kuramochi patrzyła na majora przez kilka chwil. Gyangtseski oficer miał wygląd mola książkowego, ale w jego łagodnych piwnych oczach kryła się twardość i determinacja. Porucznik wzduszyła ramionami. - Jest pan teraz głównodowodzącym milicji, panie majorze. Jeśli uważa pan, że utrzymacie Ogrody, nie będę się z panem spierać. Ale ja wciąż mam rozkaz dostarczyć prezydenta Shangupa i delegatów bezpiecznie do portu.

- Rozumiem i całkowicie się zgadzam. I jeśli można, pani porucznik, mam jeszcze jedną prośbę.

- Jaka?

- Czułbym się znacznie pewniej, gdyby zabrała pani ze sobą generała Jongdombę. - Cusherwa spojrzał marine prosto w oczy.

- Myślę, że chyba macie większość jego przydupasów, ale mogą tu być jeszcze jacyś, o których nie wiem, i może ich kusić, żeby zrobić coś głupiego.

- Zrozumiałam. - Kuramochi uśmiechnęła się blado.

- Byłbym także wdzięczny, pani porucznik - ciągnął Cusherwa - gdyby zrewidowała pani swój plan powrotu do portu na piechotę. Prezydent Shangup jeździ w wolnym czasie na rowerze po górach, ale kilku delegatów jest w o wiele gorszej kondycji niż on. Nie wspominając o tym, że nie mają żadnego przeszkolenia.

- Rozumiem, panie majorze, ale nie wiem, czy mogę coś na to poradzić, może oprócz pozostawienia mniej sprawnych delegatów tutaj, skoro zamierza pan utrzymać Ogrody. Wolałabym ich ewakuować powietrzem, ale nie mamy żadnego opancerzonego transportera.

Nie mogę narażać tych ludzi na ostrzał z ziemi, kiedy wiem, że na ulicach są SAM-y. Udało im się już zestrzelić jedno żądło i nieopancerzone transportery będą dla nich jak kaczki na strzelnicy.

- Ja również rozumiem, ale... - Cusherwa uśmiechnął się - generał Jongdomba miał w rękawie kilka kart, które mogą nam pomóc.

* * *

- ...tak więc muszę się zgodzić z majorem Cusherwą, ma'am - powiedziała Kuramochi Chiyeko z wyświetlacza komunikatora major Palacios. - Przynajmniej pięciu delegatów nie jest w wystarczająco dobrej formie, żeby iść tak daleko, zwłaszcza że tutaj...

Wzruszyła ramionami, a Palacios kiwnęła głową.

- Zrozumiałam. I szczerze mówiąc, czegoś takiego trochę się obawiałam. Czy to znaczy, że uważa pani propozycję Cusherwy za dobrą?

- Nie wiem, czy normalnie nazwałabym ją dobrą, ma'am. Wydaje mi się po prostu, że jest najmniej zła z możliwych.

Palacios znów kiwnęła głową, tym razem wolno i z namysłem. Jongdomba nigdy jej nie wspominał, że zanim został otoczony, udało mu się sprowadzić do Ogrodów kilka transporterów opancerzonych, którymi dysponowała milicja. Na pewno nie wspominał o nich także w żadnej rozmowie z gubernatorem Aubertem; prawdopodobnie traktował je jako polisę ubezpieczeniową dla siebie i swojej „Gwardii”.

Według standardów imperialnych marines wcale nie były takie dobre. Nie posiadały antygrawów, jedynie najprymitywniejsze systemy elektroniczne, bardzo ograniczone systemy obrony przeciwrakietowej i pancierz, który można by chwalić, gdyby potrafił powstrzymać ciężki ostrzał z kaliope, nie mówiąc o broni przeciwpancernej. Miały za to cztery ogromne zalety. Po pierwsze, były pojazdami naziemnymi, co oznaczało, że porucznik nie musiała się martwić o SAM-y. Po drugie, było ich tyle i były tak pojemne, że prezydent i wszyscy delegaci mogli się w nich z łatwością zmieścić. Po trzecie, ich konstrukcja była tak stara, że wszystkie możliwe usterki wyeliminowano już dziesiątki lat temu; transportery były równie niezawodne, jak osławiony prekosmiczny Model T. A po czwarte - były pod ręką.

- Proszę mi powiedzieć, jak pani zamierza to zrobić, pani porucznik - spytała major po chwili.

- Według mnie nie są aż tak dobre, żeby zaryzykować i po prostu załadować wszystkich do środka - powiedziała Kuramochi. - Co do wytrzymałości, nie są takie złe przeciwko broni pochodzącej z wyposażenia milicji, ale „nie takie złe” to za mało, jeśli w środku ma być

planetarny rząd. Dlatego myślę, że mój pluton pójdzie pieszo, tak samo jak tu przyszliśmy. Jedna drużyna będzie przecierać szlak i szukać zagrożeń. Druga będzie kryć transportery z bliska przed wszystkim, co ujdzie uwagi pierwszej. A trzecia będzie kryć tyły i zapewniać choćby skromną taktyczną rezerwę. Będziemy się wolno poruszać, ale i tak szybciej, niż gdyby starsi delegaci wlekli się z nami pieszo, no i powinniśmy dać radę osłonić transportery przed większymi zagrożeniami.

- Rozumiem.

Palacios zastanawiała się jeszcze przez kilka sekund, potem podjęła decyzję.

- Dobrze, Chiyeko. Niech pani robi po swojemu. Jeśli to ma jakieś znaczenie, ma pani moje oficjalne poparcie, nie tylko zgodę.

- Dziękuję, ma'am. Doceniam to. Zobaczymy się za jakieś dwie godziny. Kuramochi, bez odbioru.

* * *

- Dobra, DeVries... Alley - powiedziała Kuramochi i Alicia drgnęła. Nie zdawała sobie sprawy, że porucznik wie, jak ma na imię.

- Tak, ma'am?

Stały razem z Cusherwą na podziurawionych schodach Pałacu Prezydenckiego i patrzyły, jak parszające transportery ustawiają się na pozycjach. Po starciu porucznik z Jongdombą Alicia nadal za nią chodziła, posłuszna niewypowiedzianemu rozkazowi sierżanta Metternicha. Miała nadzieję, że jej dowódca tego nie zauważyła.

Ale oczywiście zauważyła.

- Lepiej wracaj do swojej drużyny. - Porucznik uśmiechnęła się krzywo. - Będiesz potrzebna sierżantowi Metternichowi. Możesz mu też powiedzieć, że choć doceniam jego troskę, nie sądzę, żebym potrzebowała ochroniarza.

- Eee... Tak jest, ma'am!

- Och, nie rób takiej nieszczęśliwej miny, Alley. - Kuramochi parsknęła śmiechem. - Przyznaję, że byłam trochę zaskoczona, kiedy on i Wheaton - te stare kwoki - wybrali ciebie do tej roli. Może myśleli, że nie zauważę pospolitej larwy, która kręci się koło mnie i robi smród. A skoro o tym mowa, muszę chyba przyznać, że czułam się przy tobie sporo bezpieczniej, zwłaszcza podczas tego nieprzyjemnego zajścia z Jongdombą. Ale teraz... - odpędziła Alicię machnięciem ręki - poszukaj Abe'a. Pora, żebyśmy wydostali się z perymetru obecnego tu majora i ruszyli z powrotem do kurnika.

* * *

Wydostanie się z perymetru Ogrodów nie zapowiadało się tak prosto, jak wejście do niego, uznała Alicia piętnaście minut później. Wątpiła, by to było aż tak trudne, jak wydawało się ludziom po drugiej stronie, ale to nie znaczyło też, że będzie łatwo.

Ewakuowani cywile, choć bardzo chętni do pomocy, teraz raczej nie mogli się przydać. Jeśli którykolwiek z nich przeszedł jakieś szkolenie wojskowe, było to dziesiątki lat temu. Alicia była bardzo zadowolona, że to sierżantowi Jacksonowi przypadła wątpliwa przyjemność zapewnienia im bliskiej osłony.

Oczywiście fakt, że pierwsza drużyna była tym zajęta, oznaczał, że to druga i trzecia znów musiały iść przodem.

Rzeź, jaką urządziły moździerze porucznika Ryana, gdy pluton szedł w przeciwnym kierunku, najwyraźniej wstrząsnęła buntownikami i niedoszłymi partyzantami, gdyż przez niemal pół godziny z okopów wroga nie padł ani jeden strzał. Bez wątpienia oblegający Ogrody bali się, że ściągną na siebie taką samą nawałę ognia. Ale kiedy porucznik Kuramochi była gotowa zacząć odwrót, to się zmieniło.

Niektórzy z napastników najwyraźniej zaczęli odzyskiwać rezon, a może po prostu cierpieli na katastrofalny brak zdrowego rozsądku. Nie dość, że zaczęli nękać milicjantów Cusherwy ogniem broni ręcznej, to jeszcze zamknęli wyrwę, którą porucznik Ryan zrobił w ich szeregach. Nie byli tak głupi, by próbować zajmować poprzednie pozycje - zwłaszcza po tym, jak wpadli na morderczo skuteczny ogień pojedynczej sekcji ogniowej z drugiej drużyny sierżant Bruckner, którą porucznik Kuramochi zostawiła, by wspierała milicjantów zajmujących te pozycje - ale gęsta zabudowa stolicy pozwoliła im obejść obszar ostrzału z moździerzy i znaleźć nowe kryjówki w wieżowcach, z których mogli zalewać ogniem ulice i aleje w dole.

Te nowe pozycje były trudniejsze do wykrycia, nawet dla zdalnych czujników. Co gorsza, były osłonięte od góry - w większości przypadków co najmniej kilkoma piętrami - co ogromnie zmniejszało skuteczność moździerzy porucznika Ryana. Ale „trudniejsze do wykrycia” wcale nie znaczyło „niemożliwe do wykrycia”. Co więcej, ich brak doświadczenia w walce z imperialnymi marines wyposażonymi w liniowy sprzęt nie pozwalał im pojąć, jak bardzo ich decyzja o skrzyżowaniu mieczy z drugim plutonem była nieroztropna.

Systemy kamuflażu marines sprawiały, że wyjątkowo trudno było ich wypatrzeć gołym okiem - czy nawet przy użyciu dosyć wydajnych optycznych systemów celowniczych, w które wyposażone były karabiny szturmowe milicji. Ludzie schowani w budynkach

prawdopodobnie uznali, że ich kryjówki wyrównują szanse na tym polu, i do pewnego stopnia mieli rację. Ale systemy czujników hełmów marines, zwłaszcza z bezpośrednim połączeniem z unoszącymi się w powietrzu zdalnymi sensorami, natychmiast znów przechyliły szalę na ich stronę.

Podczas gdy pierwsza drużyna organizowała cywilów, sierżant Metternich, który objął obowiązki sierżanta plutonu, kiedy Wheaton został ranny, przesunął drugą i trzecią drużynę na pozycje w celu otwarcia przejścia dla kolumny za nimi. Wcześniej krótko naradził się przez synth-złącze z sierżantem Bruckner, która monitorowała przekazy z czujników plutonu.

Po drodze do Ogrodów porucznik Kuramochi rozmieściła swoje czujki - miała ich raczej niewiele - by obserwowały wybrane punkty. Unosiły się one cierpliwie (i niewidocznie) nawet wtedy, kiedy porucznik i jej ludzie rozprawiali się z Jongdombą i jego poplecznikami. Co oznaczało, że widziały też ludzi przemykających ostrożnie bocznymi uliczkami, by zająć nowe pozycje.

Czujki nie mogły wykryć dokładnego położenia kilku osób, kiedy już weszły do budynków, ale za to Bruckner udało się ich wysledzić, gdy nieroztropnie pojawiły się na balkonach i w oknach wybranych jako pozycje ostrzału. Każdy potencjalny wróg o ustalonej lokalizacji został skrupulatnie naniesiony na bezustannie aktualizowaną mapę taktyczną, którą sierżant przejęła od wyłączonego z akcji Wheatona.

- Dobra, wszyscy słuchać - odezwał się Metternich w podsieci łącznościowej przydzielonej drugiej i trzeciej drużynie. - Zrobimy to tak. Chris?

- Yo - zgłosił się kapral Sandusky.

- Sekcja Alpha bierze prawą stronę ulicy. Leo, sekcja Bravo bierze lewą. Alpha drugiej pilnuje nam tyłów, a Bravo drugiej będzie naszym wsparciem taktycznym. Musimy oczyścić te trzy przecznice... - na mapce mentalnego HUD-a Alicii pojawiła się czerwona strzałka - zanim reszta naszych przejedzie tamtędy z cywilami. Kiedy przebijemy się już do środka, Clarissa będzie trzymać otwarte drzwi, a pierwsza drużyna Julia przewiezie cywilów. Potem Clarissa będzie ariergardą kolumny, zamknie tyły. Są jakieś pytania?

Alicia zauważyła na swoim HUD-zie skupiska czerwonych ikonki oznaczających zidentyfikowane zagrożenia oraz nieco mniej liczne migające ikonki możliwych pozycji wroga. Było ich całkiem sporo, ale ku własnemu zaskoczeniu nie była już zdenerwowana. Czując, że ogarnął ją spokój zupełnie niepodobny do tego, czego wcześniej doświadczała.

- W porządku - powiedział Metternich, kiedy nikt się nie zgłosił. - Alley.

- Tak jest, Abe?

- Bez wbijania cię w dumę, masz najlepsze wyniki ze strzelania w całym plutonie.

Alicia zamrugała. Była pod wrażeniem swobody, z jaką strzelali jej bardziej doświadczeni koledzy, i nigdy nie przyszło jej do głowy, że jest od nich lepsza!

- W dodatku - ciągnął Metternich - tylko ty i César macie karabiny dostosowane do synth-złącza w Bravo, dlatego wyznaczam was na snajperów. Gregory, ty ich kryjesz. Leo, ty i Frinkelo jesteście odpowiedzialni za...

Alicia słuchała, jak sierżant przedstawia resztę planu, ale tak naprawdę myślała o wyznaczonej jej roli. Była bardzo zaskoczona, mimo dobrych wyników strzeleckich, kiedy Metternich wybrał ją na jednego z dwóch kontrsnajperów sekcji Bravo, i choć miał rację co do jej synth-złącza, nadal miała pewne wątpliwości. To, co jej właśnie zlecono, oznaczało umyślne sprowadzanie śmierci na inne istoty ludzkie, i to nie jeden raz, lecz raz za razem, a przecież mimo zdolności strzeleckich Alicia była najmniej doświadczonym członkiem plutonu. Takich zadań zazwyczaj nie zleca się najbardziej zielonym żołnierzom.

- ...a potem - zakończył Metternich - dajemy porucznik znak, że droga wolna, i wszyscy zabieramy dupska z powrotem do portu. Są jakieś pytania? Jeśli tak, to mówcie teraz.

Ale nikt nie miał pytań.

- W takim razie do roboty.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Alicia DeVries ostrożnie posuwała się do przodu.

Późne popołudnie zaczęło w końcu przechodzić we wczesny wieczór. Dym i cienie sprawiały, że kamuflaż - kameleon był jeszcze bardziej skuteczny, ale mimo to Alicia poruszała się powoli, czujnie, jak ktoś brodzący do pasa w wodzie. Im wolniej się poruszała, tym mniejsze było prawdopodobieństwo, że ktoś po drugiej stronie ją zauważy. Nawet gdyby biegła pędem środkiem ulicy, szanse, że ją zobaczą, byłyby niewielkie - delikatnie rzecz ujmując - ale marines chcieli zrobić wszystko tak jak należy. Sierżant Metternich bardzo jasno wyraził się na temat wszelkiego niepotrzebnego ryzyka.

Alicia bez przeszkód dotarła na wyznaczoną pozycję, czyli skwer na środku skrzyżowania. Wprawdzie skrzyżowanie było w polu ostrzału ze wszystkich budynków w promieniu pół kwartału, ale skwer porastało pół tuzina drzew. Najmniejsze z nich miało pień grubości co najmniej dwudziestu pięciu - trzydziestu centymetrów, a ich korony mogły być doskonałym schronieniem nawet dla kogoś, kto nigdy nie słyszał o kamuflażu - kameleonie. W dodatku były tu solidne betonowe ławy, dające dobrą osłonę przed kulami.

Alicia patrzyła, jak na jej HUD-zie ikonki oznaczające resztę sekcji Alpha i Bravo zajmują swoje pozycje. Jej własne stanowisko było póki co najlepsze, ale starała się nie za bardzo zastanawiać nad tym, czemu tak jest.

Przekradła się na południową stronę skweru i usadowiła za kamienną ławą, wystarczająco wysoką, by można było za nią usiąść i oprzeć broń o oparcie.

- Trzy-Alpha, tu Bravo-Pięć - powiedziała cicho do koma. - Pozycja.
- Trzy-Alpha, tu Bravo-Cztery - usłyszała głos Césara Bergerata. - Pozycja.
- Trzy-Alpha, tu Bravo-Trzy - zameldował Gregory Hilton. - Pozycja.

Jeden po drugim wszyscy członkowie trzech sekcji ogniowych przydzielonych do zadania zameldowali się, potwierdzając to, co ikonki na HUD-zie Abe'a Metternicha już mu powiedziały.

- Wszystkie Osy w tej sieci - rzekł sierżant, kiedy skończyli. - Tu Trzy-Alpha. Mamy zielone. Bravo-Pięć, piłka w grze.

- Piątka potwierdza - powiedziała Alicia i zamknęła oczy.

Jej normalne widzenie zniknęło i mogła skupić całą uwagę na synth-złączu. Każdy

marine trzeciej drużyny miał przydzieloną własną zdalną czujkę. Ich superczułe sensory optyczne, termiczne i elektroniczne zostały podpięte bezpośrednio do komputerów hełmów odpowiednich marines. Komputery konwertowały dane do formatu, który żołnierze łatwo mogli przetwarzać. Alicia wiedziała, że niektórzy marines wolą proste schematy i ikony taktyczne. Jej samej najłatwiej było przyswajać bezpośrednie prezentacje wizualne, bez ikonek. Jej czujka zawisała nieruchomo w powietrzu, pięćdziesiąt metrów na południe i czterdzieści ponad jej pozycją, pokazując idealnie wyraźny obraz pierwszego budynku z przydzielonego jej sektora.

Potem Alicia poleciła mentalnie przybliżyć widok panoramicznych okien na piątym piętrze biurowca. W pomieszczeniu znajdowało się czworo ludzi; sensory czujki zidentyfikowały broń, którą trzymali, klęcząc albo kucając w pozycjach strzeleckich i wyglądając na ulicę. W przeciwieństwie do Alicii, nic nie widzieli. Przesłała do swojego komputera kolejne polecenie.

W mentalnym polu widzenia pojawił się krzyżyk celownika. Znajdował się na samym dole i daleko po prawej, ale przesuwiał się wraz z M-97, którym poruszała, nie otwierając oczu. Jedną z najtrudniejszych rzeczy na kursie strzeleckim w Camp Mackenzie - a przynajmniej najtrudniejszych dla większości rekrutów - było prowadzenie celnego ognia z broni ręcznej na podstawie danych przesyłanych ze zdalnych czujek, takich jak ta przydzielona teraz Alicii. O wiele łatwiej przychodziło to ludziom zdolnym do współpracy z synth-złączami, ponieważ przesył z czujki trafiał prosto do ich mózgow, z pominięciem interfejsów zmysłowych. Nie oznacza to bynajmniej, że było to proste - nawet dla niej - ale tradycja Korpusu głosiła, że każdy marine jest w pierwszej kolejności strzelcem, więc łatwe czy trudne, nauczyła się tego. I to tak dobrze, że nawet o tym nie myślała, kiedy krzyżyk sunął gładko przez jej mentalne pole widzenia, dopóki nie zatrzymał się na pierwszym człowieku od prawej.

Rozważała użycie granatnika, ale odrzuciła ten pomysł. M-97 używał ładunków o małej widoczności, co w połączeniu z tłumikiem ognia sprawiało, że wystrzał był bardzo trudny do zauważenia z każdego punktu, z wyjątkiem wąskiego stożka bezpośrednio na wprost strzelającego. Raketowy silnik granatu wykreśliłby jaskrawą prostą jak strzała linię prowadzącą wprost do kryjówki Alicii, dlatego musiała wybrać trudniejsze rozwiązanie.

Krzyżyk zatrzymał się na podstawie gardła celu. Alicia wzięła głęboki oddech, wypuściła nieco powietrza i wolno nacisnęła spust.

Cel - żywy człowiek - do którego strzeliła, osunął się miękko i po cichu na ziemię.

Alicia zdawała sobie sprawę z obecności w pomieszczeniu innych ludzi, ale cała jej

uwaga była skupiona na oddaniu dobrego strzału. Potem celownik przesunął się o metr w lewo i spoczął na strzelcu, który właśnie obracał się do swojego martwego kompana, zaalarmowany dźwiękiem trafienia. Nacisnęła po raz drugi spust.

Dwóch, policzyła beznamiętnie, kiedy poczuła kopnięcie odrzutu i celownik znów przesunął się w lewo. Znowu nacisnęła spust.

Trzech.

Czwarta i ostatnia osoba w biurze miała czas, aby zrozumieć, co się dzieje, poderwać się i wycofać od okna. Ale tego czasu było za mało, żeby uciec. Alicia znów nacisnęła spust.

- Trzy-Alpha, tu Bravo-Pięć. Pierwszy cel zneutralizowany. Cztery trafienia - powiedział ktoś spokojnie głosem Alicii. - Piątka atakuje drugi cel.

Unosząca się w powietrzu czujka lekko się poruszyła i przybliżyła obraz kolejnego okna. Stało tam tylko dwoje ludzi, i jak dotąd nie mieli pojęcia, co się stało w biurze troje drzwi dalej.

I nigdy się nie dowiedzą, pomyślała spokojnie, zimno, kiedy celownik znieruchomiał na pierwszym celu i jej dłoń zaczęła naciskać spust.

* * *

Ludzie, którzy zamknęli wyrwę wybitą przez drugi pluton w linii oblężenia wokół Ogrodów, nie mieli pojęcia, kogo udało im się „wciągnąć w pułapkę”.

Osy cieszyły się reputacją siejących zniszczenie w imieniu Imperium, ale mimo to niektórzy upierali się, że owa budząca lęk opinia musi być mocno przesadzona. Zwłaszcza jeśli nie mieli jeszcze okazji osobiście poznać umiejętności bojowych marines, a nie przyszło im do głowy, że bardzo niewielu ludziom, którzy mieli do czynienia z marines, udało się przeżyć, by móc później o tym opowiedzieć.

Jak by nie było, ludzie czekający w budynkach, by zasypać tych, którzy będą próbowali wydostać się z Ogrodów, ogniem karabinowym, granatami i rakietami, nie wzięli pod uwagę umiejętności marines widzenia tego, co kryje się za rogiem, i celnego namierzania przeciwników nawet w warunkach ograniczonej widoczności.

Oraz zabijania ich pojedynczymi strzałami.

Alicia była tylko jednym z czwórki strzelców. Choć była najszybsza z nich i najskuteczniejsza, wszyscy oni zabijali miarowo jak metronom i z wielką precyzją. Właśnie położyła siedemnastą ofiarę, kiedy druga strona zaczęła odpowiadać spóźnionym ostrzałem.

Właściwie było to paniczne strzelanie na oślep. Instynktowna reakcja kogoś, kto przeżył wystarczająco długo, by nacisnąć spust, podczas kiedy inni siedzący w zasadzce są jeden po

drugim zdejmowani. Pierwsza długa, nagle przerwana seria ognia z jednego z budynków uruchomiła następne, i w ciągu kilku sekund zapadający zmierzch zamigotał błyskami wystrzałów z dziesiątek luf.

Alicia ledwie zdawała sobie sprawę z naddźwiękowych trzasków kul przelatujących z dala od jej kryjówki. Gdyby miała otwarte oczy, bez wątpienia błyski wystrzałów mogłyby ją zdezorientować, ale w przeciwieństwie do żywej siatkówki, wzrok mentalny nie był podatny na oślepiający skutek jaskrawych rozbłysków ognia.

Coś przemknęło wśród gałęzi nad nią, obsypując ją gałązkami i liśćmi. Celownik spokojnie przesunął się na następny cel. Cyfrowy odczyt w rogu HUD-a przypomniał jej, że w magazynku zostały jeszcze dwadzieścia trzy naboje. Opuściła celownik na pierś mężczyzny zasypującego kierunek pozycji Césara Bergerata długimi, chaotycznymi seriami.

Naciśnięcie.

Nie liczyła już zabijanych ludzi. Rejestrowała tylko, że cel padł, i przechodziła do następnego w kolejce.

Naciśnięcie.

* * *

W końcu niektórzy zaczęli pojmwować, co się dzieje z innymi ludźmi w pokoju, na balkonie albo na dachu, i uciekać, zanim przyjdzie ich kolej.

Alicia wystrzelała dziesięć kul z drugiego magazynka, kiedy zauważyła, że cele w przydzielonym jej sektorze zaczynają znikać.

- Wszystkie Osy na tej sieci, tu Trzy-Alpha - rozległ się głos Metternicha w jej implancie żuchwowym. - Wstrzymać ogień. Powtarzam, wstrzymać ogień. Wróg ucieka. Niech uciekają.

- Trzy-Alpha, tu Bravo-Pięć - powiedziała Alicia wciąż tym nieznanym jej głosem, tak bardzo podobnym do jej własnego. - Potwierdzam, wstrzymać ogień.

Wyjęła częściowo wystrzelany magazynek i zastąpiła go pełnym, a potem zaczęła wciskać pojedyncze naboje do tego wymienionego. Zauważyła, że jej dłonie ani trochę przy tym nie drżą.

Pięćdziesiąt pocisków, pomyślała. Tyle właśnie wystrzeliła, a pamiętała, że chybiła tylko jeden raz.

- Wszystkie Osy na tej sieci - powiedział znów po chwili Metternich. - Dobra robota, ludzie. A teraz siedzicie przez parę minut tam, gdzie jesteście. Transportery jadą na pozycje. Kiedy wszyscy pozostali będą gotowi, trzecia drużyna prowadzi. Trzy-Alpha, bez odbioru.

Alicia DeVries siedziała w ukryciu i kończyła ładowanie magazynka. Wokół zapadał zmierzch, a w niej krzepła świadomość, że jest śmiertelnie groźnym zabójcą.

* * *

Kuramochi Chiyeko patrzyła, jak pierwszy transporter zadrżał niczym zirytowany dzik. Była mocno zdumiona, odkrywając, że ich silniki są zasilane destylatami ropy naftowej, a nie wodorem, a chmura czarnego dymu, która buchnęła, kiedy kierowca odpalił silnik, wywołała na jej twarzy grymas obrzydzenia, choć ten dym był niczym w porównaniu z kłębamii dymu i kurzu oraz najróżniejszymi smrodami wiszącymi nad Ogradami. Po prostu porucznik była urażona, że musi używać tak przedpotopowej i groteskowej technologii.

Pozostałe transportery w kolumnie kolejno dygotały i trzęsły się przy odpalaniu silników, a dowodzący nimi porucznik milicji przez chwilę słuchał swojego koma, po czym odwrócił się do Kuramochi.

- Jesteśmy gotowi, pani porucznik.
- Dziękuję. W takim razie jedziemy.
- Tak jest, ma'am!

Milicjant zsalutował, a potem wydał przez kom rozkaz. Pierwszy krępy pojazd ruszył z szarpnięciem, a porucznik pognął do trzeciego, wspiał się na niego i wskoczył we wąż dowódcy. Kuramochi podeszła do sierżanta Jacksona.

- I jak, Julio?
- Z całym szacunkiem, skipper, bywało lepiej.
- No, no - skarciła go, kiedy drugi i trzeci transporter ruszyły w tempie wolnego marszu.

Dwójka marines była za pojazdem dowodzenia, co sytuowało ich w samym środku kolumny.

Kuramochi krytycznie obserwowała własny HUD, ale wszyscy jej marines byli dokładnie tam, gdzie mieli być, a trzy kwartały, które druga i trzecia drużyna miały oczyścić, były wolne od wrogich czerwonych ikon.

- Jak pan może tak mówić, sierżancie Jackson? - ciągnęła. - Mamy wolną drogę przed sobą, plecaki na plecach i pieśń na ustach, i zaledwie szesnaście kilometrów do domu. A jeśli to nie wystarcza, by rozpaść pana serce - powiedziała z szerokim uśmiechem - dodam, że generał Jongdomba i oficerowie jego sztabu jadą w pierwszym transporterze, a resztki jego tak zwanej „Gwardii” w pierwszym i drugim. Gdyby więc tak się zdarzyło, że przeoczylibyśmy kogoś z bronią przeciwpancerną...

Wzruszyła ramionami, a Jackson pokręcił głową.

- Skipper - powiedział stanowczo - oficer i dama nie powinna się oddawać takim

paskudnym rozmyślaniom, niezależnie od tego, jak bardzo wzmiankowane bydlaki na to zasłużyły.

- Postaram się o tym pamiętać - obiecała.

Reszta opancerzonych pojazdów ryknęła, zadygotała i ze szczękiem ruszyła do przodu.

* * *

Alicia szła przez noc.

Niebo na południowy wschód od jej obecnej pozycji przeszywały płomienie z palącej się dzielnicy biznesowej Zhikotse. Ponad połowa sieci energetycznej miasta była wyłączona, mimo że marines kontrolowali główną siłownię. W rejonach, gdzie odcięto zasilanie, ulice spowijała bezdena czerń - właśnie taką ulicą Alicia teraz szła - podczas gdy w innych rejonach latarnie, światła kierowania ruchem i witryny sklepów świeciły jasno, tworząc dziwny kontrast.

Nie tak sobie wyobrażała pole walki, kiedy się zaciągała. Myślała raczej o bitwach w otwartym polu, a nie w ciasnych miejskich labiryntach. I choć wiedziała, że co najmniej trzy czwarte zadań marines polega na utrzymywaniu spokoju, zwłaszcza w Światach Korony na pograniczu, nie sądziła, że będzie strzelać do ukrytych w biurkach niedoszłych powstańców, którzy nawet nie wiedzieli, że ich zabija.

Myśli te unosiły się z tyłu jej głowy, gdy tymczasem całą uwagę poświęcała monitorowaniu czerni, którą systemy hełmu i wspomagany wzrok zmieniały w jasny dzień.

Przeszła jeszcze kilkanaście metrów i przystanąła, czekając, aż Bergerat pokona swój odcinek drugą stroną ulicy, a Gregory Hilton dogoni ich oboje. W oddali słyszała szcęk i pryhanie przestarzałych milicyjnych transporterów jadących Bulwarem Stołecznym. Sprawdziła koordynaty mapy.

Mają całkiem dobry czas, pomyślała. Pokonali prawie jedną trzecią drogi do portu, i chociaż nie poruszają się tak szybko, jak w stronę Ogrodów, to jednak o wiele szybciej, niż gdyby prezydent i delegaci szli pieszo. Gdyby tylko teraz...

Przerwała raptownie rozmyślania, widząc przed sobą jakieś poruszenie.

- Trzy-Alpha, tu Bravo-Pięć - powiedziała cicho. - Mam ruch.

- Piątka, tu Trzy-Alpha - usłyszała natychmiast głos Metternicha. - Nie mam nic na czujkach. Jak to wygląda?

- Trzy-Alpha, na razie mogę tylko powiedzieć, że wygląda jak jeden człowiek. Właśnie wyszedł z apartamentowca i usiadł na schodach. O tam.

Podążyła przez synth-złącze migoczącą bursztynowo ikonkę na HUD-a Metternicha. Nie

była zbyt zaskoczona, że ani Metternich, ani Bruckner niczego nie zauważyli. Niewielka ilość zdalnych czujek plutonu ledwie wystarczyła na pokrycie flanek mocno rozciągniętej kolumny. Kilka z nich przeczesywało teren przed kolumną, ale bez nakładania się obszarów obserwacji, tak jak zalecał Podręcznik, a poza tym człowiek, którego Alicia zauważyła, wyszedł spod osłony już po przejściu czujek.

Właśnie dlatego każdy ze strzelców idących przed kolumną miał własną czujkę.

- Piątka, tu Trzy-Alpha - powiedział Metternich. - Działaj według własnego uznania.

- Trzy-Alpha, Bravo-Pięć potwierdza.

Alicia przez chwilę stała nieruchomo, a jej umysł chłodno pracował. Według czujki i sensorów hełmu obserwowany przez nią osobnik był nieuzbrojony. Mógł posiadać broń przyboczną, ale na pewno nie miał niczego większego. Na jego ciele znajdowało się kilka źródeł energii - więcej niż na ciele cywila, co z pewnością budziło podejrzenia - ale zastrzelenie kogoś na miejscu tylko na podstawie przypuszczenia, że może być złym człowiekiem, spotkałoby się z nieprzychylnością dowództwa.

Alicia zastanawiała się jeszcze przez kilka chwil, a potem wzruszyła ramionami i podjęła decyzję.

* * *

Karsang Dawa Chiawa był nieco zaskoczony tym, jak przyjemnie jest po prostu usiąść.

Położył hełm na schodku obok siebie i przeczesał brudnymi palcami zlepione potem włosy. Powietrze przesycone było ostrym, gryzącym smrodem dymu, ale noc była chłodna, nieustanny trzask wystrzałów z broni ręcznej odległy o kilka przecznic - a on był taki zmęczony.

Oparł łokcie na stopniu powyżej i odchylił się w tył, oddychając głęboko. Nie miał okazji przekonać się, czy dobrze odgadł drogę odwrotu marines z Ogrodów. Ani tego, czy marines w ogóle się wycofywali. Siedzenie tutaj po ciemku nie było zbyt bezpieczne, ale...

- Nie ruszaj się - dobiegły go z ciemności słowa wypowiedziane cichym pozaplanetarnym kontraltem.

Jest bardzo młody, pomyślał kapitan, ale mówi tonem człowieka wymagającego posłuszeństwa. I jest gotów mnie rozwalić, gdybym nie posłuchał.

- Dobrze - odparł najspokojniej jak mógł. Udało mu się nawet nie odwrócić głowy w stronę mówiącego. Rozmyślnie wybrał miejsce, w którym blask pożarów odbity od kłębow dymu w górze i rzadkich chmur zapewniał jako taką iluminację. Mimo to nie widział młodej kobiety, która, sądząc po głosie, mogła być oddalona od niego o nie więcej niż dziewięć -

dziesięć metrów.

- Zakładam, że rozmawiam z jednym z marines major Palacios. Jeśli tak, posiadam pewne informacje, którymi chyba będziecie zainteresowani.

* * *

Opanowany gość, pomyślała Alicia. Nawet nie podskoczył, kiedy się odezwałam.

- A jakież to informacje pan posiada... kapitanie Chiawa? - spytała, odczytując wspomaganym wzrokiem stopień i nazwisko nadrukowane na jego milicyjnym napierśniku. - I jeśli wolno spytać, dlaczego oficer milicji siedzi sam w tej okolicy?

* * *

Wbrew sobie Chiawa był pod dużym wrażeniem. Wiedział, że sprzęt Os jest niewyobrażalnie lepszy od milicyjnego, ale jeśli w tych warunkach udało jej się odczytać jego nazwisko z napierśnika, to znaczy, że jego ocena ich możliwości była mocno zaniżona.

- Odpowiadając najpierw na drugie pytanie - powiedział - czekałem na was albo kogoś takiego jak wy. I mówiąc zupełnie szczerze, nie jestem całkiem sam.

- Dobra odpowiedź, panie kapitanie. - W młodzieńczym kontralce pojawiła się lekka, ale wyraźna nutka rozbawienia. - Według moich czujników na parterze budynku za panem siedzą przynajmniej cztery osoby. W przeciwieństwie do pana, wszystkie posiadają długą broń. Nie wydaje mi się, żeby się tam znalazły przypadkiem, tak samo jak pan nie siedzi tutaj przypadkiem.

Chiawa zwałczył nagłą chęć przełknięcia śliny, kiedy uświadomił sobie, jakie miał szczęście, że właściciel głosu nie uznał go po prostu za przynętę.

- Są ze mną - potwierdził. - Byliśmy w „Annapurna Arms”, kiedy zaczął się ten cały koszmar. Braлиśmy także udział w próbie odbicia hotelu. Kiedy wszystko się rozleciało, udało nam się razem utrzymać i postanowiliśmy dostać się do portu i waszego perymetru.

- Co bez wątpienia tłumaczy, dlaczego jesteście po tej stronie miasta - zauważył niemal uprzejmie kontralt.

- Byliśmy spychani w bok i po jakimś czasie uznałem, że najlepiej będzie spróbować obejść miasto od północy, aby uniknąć tłumów. Potem po południu usłyszeliśmy od strony Ogrodów wasze moździerze - a przynajmniej zakładam, że były wasze. Doszedłem do wniosku, że będziemy mieli największe szanse, jeśli dołączymy do waszej kolumny, ale nie daliśmy rady znaleźć was na czas.

- A teraz?

- A teraz powinniście wiedzieć, że po obu stronach Bulwaru, jakieś dwie przecznice przed wami, okopały się duże siły - według mnie FWG - z ciężką bronią. - Chiawa wzruszył ramionami. - Może wasze sensory już ich znalazły, ale siedzą tam od blisko dwóch i pół godziny i są bardzo dobrze osłonięci od góry.

* * *

Alicja zmarszczyła brew. Nie wykryli żadnych sygnałów o zasadzce, ale marines nie mieli czasu - ani powodu - by skoncentrować swoje rozrzucone elementy zwiadowcze na tym odcinku Bulwaru, jako że z wielką dokładnością studiowali teren tuż za perymetrem Ogrodów. A więc informacje kapitana Chiawy mogły być prawdziwe.

* * *

- To bardzo interesujące, kapitanie - powiedział głos z ciemności. - Przekażę te informacje dalej. A podczas kiedy będziemy czekać, aż ktoś nam odpowie, może zaprosi pan resztę swoich przyjaciół, żeby dołączyli do pana na schodach?

- To bardzo dobry pomysł - odparł Chiawa i odwrócił się, by błysnąć podczerwoną latarką w okno, z którego obserwował go kapral Munming.

* * *

- A więc dobry pan kapitan wiedział, o czym mówi - powiedziała porucznik Kuramochi.

Zwracała się do sierżanta Metternicha, ale włączyła do sieci także całą trzecią drużynę, swój najbardziej wysunięty do przodu pododdział.

Ostrzeżona przez Chiawę sierżant Bruckner cofnęła swoje pierwsze czujki, przeniosła kilka z flank i bardzo, bardzo uważnie przyjrzała się wskazanemu obszarowi. Okazało się, że liczby podane przez Chiawę były niepełne. Przy Bulwarze czekało ponad trzystu uzbrojonych ludzi, a czujki wykryły ciężkie kaliope, wyrzutnie rakiet, przynajmniej jedną wyrzutnię hiperszybkich rakiet i ponad tuzin SAM-ów.

- Rozmawiałam ze Starą - ciągnęła Kuramochi. - Mówi, że według porucznika Bieregowoja czeka na nas większość głównych sił FWG. Batalion stracił ślad ich kadry dowódczej wcześniej po południu; najwyraźniej właśnie tutaj się skierowali. Major Palacios uważa, że kapitan Chiawa ma rację. Uznali, że to ich ostatnia szansa, żeby dostać w swoje ręce prezydenta Shangupa i delegatów jako karty przetargowe, prawdopodobnie dla wynegocjowania ucieczki poza planetę. Nie trzeba dodawać, że w Korpusie uważamy takie coś za zły pomysł.

Alicia zaskoczyła samą siebie, parszkając śmiechem. Przecież wcale nie czuła w tej chwili specjalnej wesołości. Siły wroga, który na nich czekał, były o wiele większe niż te, z którymi zmierzyli się podczas przebijania przez oblężenie Ogrodów. Teraz jednak wiedzieli, gdzie jest przeciwnik, i zademonstrowali już, że to, co mogą zlokalizować, potrafią też zabić.

Z drugiej jednak strony jeśli Bieregowej ma słuszość, prawdopodobnie są to najlepiej wyszkoleni, najbardziej zdyscyplinowani przeciwnicy, jakich marines do tej pory napotkali. Mają dużo ciężkiej broni i mogą postawić silną zaporę ogniową, nawet strzelając na oślep, a obecność wyrzutni hiperszybkich rakiet wskazuje, że mogą także dysponować lepszymi sensorami.

Alicia nie wątpiła, że pluton może sobie z nimi poradzić, jednak szansa, że uda im się to bez własnych strat, była o wiele mniejsza, niż kiedy opuszczali Ogrody. Ale miała także pewność, że straty drugiej strony będą o wiele większe. Ci ludzie mają, oprócz wyszkolenia i dyscypliny, niezwykle głęboką motywację, i niełatwo będzie skłonić ich do ucieczki, a im dłużej będą trwali, tym więcej z nich zginie.

- Kusi mnie trochę, żeby od razu się na nich rzucić - ciągnęła porucznik Kuramochi. - Zwłaszcza jeśli to rzeczywiście jest przywództwo FWG. Ale naszym podstawowym zadaniem jest dostarczyć prezydenta i innych członków miejscowego rządu w bezpieczne miejsce, a nie niepotrzebnie ryzykować w drugorzędnych akcjach. Major Palacios potwierdziła moje stanowisko, przypominając mi, że nie powinniśmy zabijać więcej ludzi, niż musimy. Dlatego zamiast przejść przez nich, obejdziemy ich dookoła.

Alicia odetchnęła głęboko z ulgą. Jak stwierdziła z pewnym zaskoczeniem, dlatego, że nie musiała już dalej zabijać ludzi - nawet separatystów z FWG - a nie z obawy o własne bezpieczeństwo.

- Zmienimy trasę - powiedziała Kuramochi i na mapce HUD-a Alicii pojawiła się nowa zielona linia. - Będziemy musieli zatoczyć spory łuk, żeby tamci nie usłyszeli naszych transporterów. Myślę, że jeśli cofniemy się do tego punktu... - na mapie zamigotało skrzyżowanie - a potem odbijemy jeszcze bardziej na północ, przedostaniemy się na drugi brzeg rzeki i dojdziemy do portu przez przedmieścia. Szczerze mówiąc, dla naszych celów tam jest lepszy teren, ale wydłuży nam to czas przemarszu o co najmniej trzy, a może nawet cztery godziny.

Alicia przyjrzała się nowej trasie i pomyślała, że Kuramochi ma rację. Musieliby przedostać się przez jeszcze parę kwartałów gęsto zabudowanych biurowcami i apartamentowcami, ale potem weszliby w obszar domków jednorodzinnych otoczonych małymi trawnikami. Widoczność byłaby tu o wiele lepsza i znacznie trudniej byłoby

przygotować paskudną niespodziankę, taką jak czekająca na nich zasadzka. Choć Alicia była zmęczona, dodatkowe cztery godziny marszu - czy nawet dwa razy tyle - były skromną ceną za coś takiego.

- Wiem, że wszyscy jesteśmy zmęczeni - powiedziała porucznik, jakby odczytała myśli Alicii. - Prawdopodobnie zarządzę krótki odpoczynek, kiedy przejdziemy na drugi brzeg rzeki. Tymczasem włączcie trzeci tryb swoich farmakopei.

Alicia posłusznie otworzyła oprogramowanie farmakopei i podniosła tryb jej działania z czwartego na trzeci. Komputer przez chwilę przetwarzał nowe polecenia, a potem dziewczyna poczuła przypływ energii - farmakopea wpuściła do jej krwiobiegu starannie odmierzoną dawkę środków pobudzających.

- Dobrze, Abe - ciągnęła porucznik - wiesz, co mamy robić. Myślę, że odciągniemy teraz pierwszą drużynę i transportery na tyły. Ja zabiorę ze sobą sekcję Bravo drugiej. Ty i Clarissa ustalacie razem, w jaki sposób się zreorganizujecie. Dajcie znak, kiedy będziecie gotowi.

- Tak jest, ma'am - odparł Metternich. Potem jego głos zmienił się lekko, kiedy sierżant zwrócił się do swoich sekcji ogniowych.

- Dobra - powiedział. - Póki co wszyscy zawracają i wycofują się do skrzyżowania. César, to oznacza, że ty i Alley będziecie kryć tyły, dopóki tam nie dotrzemy. Wtedy ty, Alley, masz...

Alicia patrzyła na wschód własnym wspomaganym wzrokiem oraz sensorami przydzielonej czujki i słuchała głosu sierżanta.

* * *

Dwie godziny po miejscowej północy drugi pluton kompanii Bravo pierwszego batalionu rozpoznania pięćset siedemnastej brygady ponownie przekroczył perymetr portu kosmicznego Zhikotse. Z wyjątkiem sierżanta ogniomistrza Wheatona, który musiał wrócić do pełni sił, pluton nie poniósł żadnych poważnych strat.

Czego nie można powiedzieć o mieście Zhikotse, pomyślała ze znużeniem Alicia, patrząc na płomienie, które wciąż malowały niebo nad stolicą planety.

Ale przynajmniej sytuacja zaczyna wracać pod kontrolę. Może dlatego, że zamieszki się wypaliły. I rząd planetarny jest uratowany, a my nie zabiliśmy więcej ludzi, niż musieliśmy.

Wciąż patrzyła na płomienie, słuchając przetaczających się z łoskotem transporterów, kiedy czyjaś dłoń klepnęła ją w ramię. Alicia odwróciła się i zobaczyła znajomą twarz Leocadia Medrano.

- Nie najgorzej, Oso - powiedział szorstko, a potem kiwnął głową i odszedł z ciężkim

karabinem plazmowym zarzuconym na ramię, odprowadzany spojrzeniem niedawnej larwy.

KSIĘGA DRUGA:

MIECZ IMPERATORA

Ciemność wolno wirowała wokół niej. Jeszcze raz podryfowała ku świadomości, sięgając myślą poza swoje sny w poszukiwaniu celu.

W tych snach tańczyły wspomnienia. Wspomnienia ognia i rzezi. Zemsty, wymierzonej kary. Nieprzerwanego pościgu i bezlitosnego zniszczenia. Były tym, czym była ona. Albo - czym kiedyś była.

Zaraz. Znowu usłyszała ten szept celu, to echo jej samej. I tym razem był już silniejszy, przestał się wahać. Zaczyna poznawać samego siebie, pomyślał jej senny umysł, i dziwić się potencjałowi własnej mocy, sile swojego skupienia.

Wokół były cienie. Mroczne cienie, dotąd tylko śladowe. Ich przyszłość zawęzła się, tak jak musi się zawęzić śmiertelna przyszłość w miarę podejmowania decyzji, wyboru ścieżek i odsyłania niewykorzystanych możliwości do krainy tego, co mogłoby być. Echo o tym nie wiedziało, a mimo to poczuła, że przyszłość śpiewa do niej tak, jak nie śpiewała od tysiącleci.

Mogłabym po to sięgnąć, pomyślała sennie, gdyby potrzeba była wystarczająco paląca, a ból i nienawiść płonęły dostatecznie jasnym ogniem, ale ile czasu minęło, odkąd czuła taką możliwość?

A mimo to nawet w snach jakaś jej część zastanawiała się, czy naprawdę chciałaby jeszcze raz obrać ten cel. Tym była, tym ją stworzono - to był jej najważniejszy cel - ale na dłuższą metę nawet ktoś taki jak ona był znużony śmiercią i zniszczeniem. Czy lepiej byłoby do tego powrócić, znowu stać się katem Przeznaczenia? A może lepiej nigdy więcej się nie obudzić? Pozostać otuloną w sny, w kokon ciemności, dopóki tak jak jej niezliczone ofiary nie rozplynie się wreszcie w kojącej nicości?

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

- Yo, Alley!

Starszy sierżant Alicia DeVries otworzyła oczy i przerwała czytanie polowego podręcznika przez synth-złącze, kiedy sierżant Haroldson hałaśliwie wkroczyła do ich wspólnego gabinetu/saloniku.

- Wiem, że nie jesteś ze Starej Ziemi, Greto - powiedziała łagodnie Alicia - ale czy znana ci jest staroziemska istota zwana słoniem?

- Coś o tym słyszałam. A bo co?

- Bo twoje wchodzenie do pokoju kojarzy mi się z całym ich stadem.

- Bardzo śmieszne. Ha, ha. - Haroldson wykrzywiła się złośliwie, a Alicia uśmiechnęła się i zdjęła nagłowny zestaw synth-złącza, rozparła się wygodnie w fotelu za biurkiem i z lubością przeciągnęła.

- Co cię sprowadza tak szybko w nasze skromne progi, o grzmiące stado? - spytała.

- Kapitan przysłał mnie po ciebie. Masz się stawić u niego jak najszybciej.

- Ja? - Alicia uniosła brwi, a Haroldson wzruszyła ramionami.

- Nie powiedział, o co chodzi, ale chyba jakiś wymoczek z kwatery głównej chce cię widzieć. Tak przynajmniej mi się wydaje, chociaż nie miał munduru. Chyba też jest ze Starej Ziemi. Ma trochę podobny do twojego akcent.

- Dziwne - mruknęła Alicia.

Wstała z fotela i wcisnęła przycisk konfigurujący ekran do trybu lustra, a potem w zamyśleniu przyjrzała się swojemu odbiciu.

Haroldson patrzyła ukradkiem, jak jej współlokatorka studiuje swój wygląd - bardziej nawet krytycznie, niż sprawdzałyby oporządzenie kogoś ze swojej drużyny. Znała młodszą sierżant od niecałych czterech miesięcy i była pod wrażeniem. DeVries miała prawie dziewiętnaście standardowych lat - o cztery mniej od Haroldson - a w Imperialnych Marines niewiele było osiemnastoletnich starszych sierżantów. Właściwie Alicia była jedynym, którego Haroldson знаła.

Oczywiście nie było też wielu osiemnastolatków z naszywką rozpoznania, odznaką Mistrza Snajpera i Graw-Zrzutu, a do tego Srebrną Gwiazdą. Mało tego - Haroldson przypadkiem wiedziała, że DeVries kwalifikuje się na Raidera, choć jeszcze nie podeszła do

testu na oficjalną odznakę. Słyszała też, że DeVries otrzymywała przez ostatnich parę miesięcy wyraźne „sugestie”, że powinna się zastanowić nad szkołą oficerską.

Właściwie wygląda na starszą, pomyślała Haroldson, raczej na dwudziestoparolatkę niż nastolatkę. I to nie była kwestia warunków fizycznych, choć Alicia była jak na kobietę wysoka i barczysta, a na dodatek nie miała ani grama zbędnego tłuszczu. Miała niesamowicie wyćwiczone mięśnie - rzadkość nawet wśród marines - choć nie sprawiała wrażenia fanatyka sprawności fizycznej. Z drugiej strony nie sprawiała wrażenia fanatyka czegokolwiek... a mimo to pokazywała, że jest w stanie zrobić wszystko to, czego żąda od członków swojej drużyny - tylko lepiej. To ta ogromna wiara we własne umiejętności sprawiała, że wydawała się starsza, niż była. Zwłaszcza że dla wszystkich wokół niej było jasne, że to całkowicie uzasadniona pewność siebie.

Po pierwszym miesiącu Haroldson doszła do wniosku, że DeVries jest po prostu jedną z tych osób, które uświadamiają człowiekowi jego śmiertelność. Ciekawe, do jakiej rangi dojdzie; Haroldson już nie mogła się doczekać opowieści typu: „Znałam generał DeVries, kiedy była zaledwie starszą sierżant! I coś wam powiem...”.

- Zamierzasz wpaść do biura Starego jeszcze dzisiaj po południu, Alley? - spytała po chwili, a Alicia parsknęła śmiechem.

- No już, już. Jesteś na mnie zła za tę uwagę o słońcach.

Jeszcze raz zerknęła w lustro, wyłączyła ekran i ruszyła do drzwi.

- Zakładając, że nie wysyłają mnie w jakieś straszne miejsce, na przykład z powrotem do Słonecznego, żeby przydzielić mnie do Bazy Tytan, niedługo wracam - powiedziała.

- Hej! A jak cię wyślą na Tytana, będę mogła zjeść te czekoladki z twojej szafki?

* * *

- Wejść! - zawołał głos w odpowiedzi na szybkie podwójne pukanie w drzwi gabinetu. Alicia weszła do środka i stanęła na baczność porządniej niż zwykle, kiedy zauważyła człowieka w cywilnym ubraniu, o którym mówiła Haroldson. Otaczała go pewna trudna do określenia aura oficera sztabowego, ale było w nim coś jeszcze. Coś... innego.

- Sir! - zameldowała się kapitanowi Ahearnowi.

- Spocznij, sierżancie - odparł Ahearn, a Alicia w duchu nadstawiła czułki. W oku kapitana nie było błysku mówiącego „zróbmy to pod dupka ze sztabu”, który powinien był się tam pojawić na widok defiladowej postawy Alicii.

Posłuchała rozkazu i stanęła w pozycji „spocznij”, która mogłaby posłużyć za ilustrację w podręczniku szkoleniowym, a Ahearn machnięciem prawej ręki wskazał nieznanego.

- Starszy sierżancie DeVries - powiedział - to pułkownik Gresham.

- Panie pułkowniku - przywitała się Alicia.

- Sierżancie. - Gresham skinął jej głową, a jej ciekawość jeszcze bardziej wzrosła, kiedy zobaczyła jego oczy. Miały intrygujący srebrzysty kolor, jakiego nigdy wcześniej nie widziała, i było w nich coś dziwnego, czego nie umiała nazwać. Trochę jakby ich spojrzenie przesywało ją na wylot.

- Pułkownik przyleciał z bardzo daleka, sierżancie. Chce z panią o czymś porozmawiać - powiedział Ahearn. Zawahał się, jakby zamierzał coś jeszcze dodać, ale wzruszył tylko ramionami, pokręcił głową i wstał.

- Miłego dnia, panie pułkowniku - powiedział, niemal zdawkowo kiwając głową. Przez chwilę patrzył na Alicię, a potem także jej skinął (o wiele mniej zdawkowo) i ku jej zdumieniu wyszedł z własnego gabinetu i zamknął za sobą drzwi - cicho, lecz stanowczo.

Alicia obejrzała się za nim, a potem odwróciła się do Greshama, usiłując znaleźć jakieś wytłumaczenie niezrozumiałego zachowania Ahearna. Ale nic jej nie przychodziło do głowy, więc po prostu stała z rękami splecionymi za plecami i uprzejmym wyrazem twarzy.

Gresham przyglądał się jej tymi swoimi dziwnymi oczami przez długą, zdawałoby się, chwilę, choć Alicia wiedziała, że wcale to długo nie trwało. Miała wrażenie, że pułkownik czeka, żeby okazała ciekawość albo niepewność, ale ona oczywiście nie zamierzała tego zrobić.

W końcu się uśmiechnął jak człowiek uznający siebie za pokonanego w jakiejś rywalizacji, podniósł się z fotela i stanął za biurkiem Ahearna. Odwrócony bokiem do Alicii, zaczął wyglądać przez okno na plac defilad piekący się w żarze głównego słońca G-0 Układu Jeppersona.

- Proszę mi powiedzieć, sierżancie - powiedział po chwili - jak się pani podoba służba w marines?

- Słucham, sir?

Gresham uśmiechnął się.

- To nie było podchwytliwe pytanie - powiedział. - Pytam serio. Jak się pani podoba służba w marines po tych paru latach?

- Podoba mi się - odparła po chwili. - Bardzo mi się podoba.

- Dlaczego?

- Sir, to dość trudne pytanie.

- Wiem. - Odwrócił się od okna, stanął naprzeciw niej i skrzyżował ręce na piersi. - I takie miało być.

No, to w takim razie się udało, pomyślała kwaśno Alicia. Kim jest ten typ i dlaczego próbuje mi mieszać w głowie?

- Sir - powiedziała w końcu - zawsze chciałam być marine. Przypuszczam, że po części za przykładem mojego dziadka. Po części dlatego, że to wielkie wyzwanie. Ale przede wszystkim dlatego, że dorosły człowiek powinien bronić tego, w co wierzy.

- „Tego, w co wierzy” - powtórzył cicho Gresham. Gdyby powiedział to nieodpowiednim tonem, mogłaby pomyśleć, że z niej kpi, ale on powiedział to z głębokim namysłem. Potem przekrzywił głowę.

- A w co pani wierzy? - spytał.

To pewnie następne „trudne” pytanie, prychnęła w myślach Alicia.

- Jeśli chce pan usłyszeć najprostszą odpowiedź - powiedziała, pozwalając, by w jej głos wkradła się odrobina irytacji - to wierzę w to, co reprezentuje Imperium. Wierzę w prawa obywatelskie, które obywatele Imperium mają zagwarantowane, w dobrobyt i standard życia, który Imperium im zapewnia - możliwości kształcenia, opiekę medyczną, w to wszystko. I wierzę w swój obowiązek obrony społeczeństwa, które mnie i moim współobywatelom to gwarantuje. - Wzruszyła ramionami. - Brzmi to pewnie dość banalnie, ale zasadniczo tak właśnie jest.

- A zabijanie innych ludzi, żeby to osiągnąć, nie jest dla pani problemem?

Głos Greshama był całkowicie neutralny, tak samo jak wyraz jego twarzy, ale Alicia i tak się zjeżyła.

- Nie jestem zakochana w walce i adrenalinie, którą daje rozwalanie ludzi, jeśli o to panu chodzi, sir - powiedziała nieco chłodniej, niż zamierzała.

- Nie o to pytałem - odparł. - Pytałem, czy zabijanie ludzi w ramach swoich obowiązków nie jest dla pani problemem.

Machnął ręką.

- Myślę, że to właściwe pytanie, zważywszy na liczbę zabitych na samym tylko Gyangtse.

Ciekawość Alicii wzrosła. W sumie nie powinno to być dla niej niespodzianką, że Gresham tyle o niej wie. Takie dane są zamieszczone w jej oficjalnych aktach, i to logiczne, że pułkownik odrobił lekcje, zanim zszedł ze swojego Olimpu, by ją przesłuchać. Niezależnie od tego, po co to robił.

- Dobrze, sir - powiedziała, postanawiając odpowiedzieć na „właściwe” pytanie najszczerzej jak umiała. - Tak. Mam z tym problem. Właściwie za tym nie przepadam. Ale na tym między innymi polega praca, którą wybrałam, prawda? A kiedy się decydowałam,

wiedziałam, że tak będzie. Jestem na tyle córką swojego ojca... - pozwoliła, by jej zielone oczy zabłyśły wyzywająco, chcąc sprawdzić, na ile pułkownik sprawdził także jej rodzinę - że pragnę, by nikt nigdy nie musiał tego robić. Ale jestem też na tyle wnuczką swojego dziadka, że rozumiem, iż jeśli ktoś to musi robić, to lepiej, by to robili ochotnicy. Tacy, którzy są w tym dobrzy.

- Ale którzy tego nie lubią?

- Sir, z całym szacunkiem, nigdy nie ufałam ludziom, którzy lubią zabijać innych. - Alicia pokręciła głową. - Wiem, że tacy istnieją. Nawet kilku poznałam tutaj, w Korpusie. Ale jest różnica między świadomością, że jest się w tym dobrym, a przekonaniem, że zabijanie nawet wtedy, kiedy nie potrzeba, jest dobrym pomysłem. Bo nie jest. Tak, wiem, że są ludzie, którzy wyznają filozofię „zabijmy wszystkich, a Bóg wybierze swoich”, ale ja nie jestem jednym z nich i nie chciałabym, żeby to oni podejmowali decyzje czy działali w imieniu Imperium.

- Z tym nie mogę się spierać.

Przelotny uśmiech pułkownika zdradzał coś na kształt rozbawienia połączonego z autentyczną aprobatą. Potem Gresham znów odwrócił się do okna.

- A więc zabijanie ludzi jest dla pani problemem, ale wciąż chce pani to robić. Powiedziała pani, że istotne jest także wyzwanie. Z pani akt wynika, że jest pani kimś, kto lubi robić trudne rzeczy tylko dlatego, że są trudne. - Odwrócił się na pięcie, mrużąc srebrne oczy. - Zgodziłaby się pani z tym?

- Tylko dlatego, że są trudne? - Alicia pokręciła głową. - Panie pułkowniku, nie jestem masochistką. Lubię wyzwania, lubię... się sprawdzać. Tak naprawdę... - spojrzała mu w oczy - jeśli mam być zupełnie szczerą, wystąpiłam o skierowanie do rozpoznania prosto po Mackenzie właśnie dlatego, że chciałam udowodnić, że dam sobie radę z najtrudniejszą robotą. Ale nie chciałam w ten sposób nikomu zaimponować. Chciałam to udowodnić samej sobie.

- Rozumiem.

Gresham wyduł usta i przez kilka chwil przyglądał się Alicji z namysłem. Poczowała się nieswojo pod spojrzeniem tych dziwnych, pozbawionych wyrazu srebrnych oczu. Oczu, które - zdała sobie nagle sprawę - były cybernetycznymi zamiennikami oryginalnych, organicznych. Ale odwzajemniła jego spojrzenie spokojnie, z szacunkiem, choć też nieco wyzywająco.

- Nie zadaję tych pytań bez powodu, starszy sierżancie DeVries - powiedział w końcu pułkownik. - Na pewno zdaje sobie pani sprawę, że pani wyniki jako Osy są znacznie powyżej normy. Może pani nie wiedzieć, jak bardzo ponad ową normę wykraczają, ale pani

obecna ranga jest dość wyraźnym dowodem tego, jak Korpus panią widzi. I choć wiem, że pani jeszcze o tym nie wie, Korpus wyznaczył panią już do tury Raidera, a potem do szkoły oficerskiej.

Alicia otworzyła szeroko oczy. Na własną rękę wybrała kwalifikację Raidera, choć jeszcze oficjalnie nie przeszła testów, i miała nadzieję, że w miarę niedługo załapie się na turę. Niewielu marines - a praktycznie żaden z nich nie był tak młody jak ona - miało w swoim CV rozpoznanie i Raidersów jednocześnie. Mimo coraz częstszych sugestii położonych, że powinna zastanowić się nad stopniem oficerskim, nie zdawała sobie sprawy, że Korpus tak bacznie obserwuje jej rozwój zawodowy, jak zdawał się sugerować Gresham.

- Mówię to dlatego - ciągnął pułkownik - że nie chcę, by pani się na to zdecydowała.

- Sir? - Tym razem nie udało jej się ukryć zaskoczenia i Gresham się uśmiechnął.

- Mam dla pani nieco inną propozycję, starszy sierżancie DeVries - powiedział spokojnie.

- Taką, którą dostaje bardzo niewielu ludzi.

Alicia popatrzyła na niego uważnie, a on cicho się zaśmiał.

- Nie, nie jest aż tak źle - powiedział. - Widzi pani, przyleciałem tu prosto ze Starej Ziemi po to, żeby się z panią zobaczyć, a reprezentuję mojego bezpośredniego przełożonego, generała brygady sir Arthura Keitę.

Alicia zmarszczyła brew. Gdzieś już słyszała to nazwisko, ale nie umiała sobie przypomnieć gdzie. Gresham odczekał chwilę, a potem cicho prychnął.

- Sir Arthur - powiedział - jest drugi w hierarchii dowodzenia Imperialnej Kadry, sierżancie. - Alicia zrobiła wielkie oczy, a pułkownik kiwnął głową. - Zgadza się. Sir Arthur uważa, że jest pani odpowiednim materiałem do Kadry, starszy sierżancie DeVries. Dlatego jeśli jest pani w stanie opuścić marines, cesarz wzywa panią na służbę.

* * *

Alicia DeVries siedziała w klubie podoficerskim nad szklanką piwa i patrzyła tępo w holo nad barem. Gromada kanciastych mężczyzn w jaskrawych koszulkach robiła coś skomplikowanego na sferycznym mikrograwitacyjnym boisku. Alicia nie wiedziała, co konkretnie robią ani jak się ta gra nazywa - była to czysto lokalna odmiana praktykowana tutaj, na Jeppersonie - ale nie przeszkadzało jej to. Zresztą i tak nie myślała o meczu.

Pułkownikowi Greshamowi udało się w końcu przykuć jej uwagę, pomyślała kwaśno.

Jego propozycja ciągle wirowała w jej głowie. Jak powiedział, nie składano jej zbyt wielu ludziom. Oczywiście słyszała o Kadrze. Wszyscy słyszeli, zwłaszcza w wojsku, bo Kadra była, krótko mówiąc, najlepsza. Była standardem, do którego aspirowała każda jednostka

specjalna w imperialnych siłach zbrojnych... i którego żadna nigdy nie osiągnęła.

Nieliczni, dumni, Kadra, pomyślała Alicia, i nie wiedzieć czemu ten wytarty slogan tym razem nie zabrzmiał tak banalnie.

Kadra nie należała do regularnych sił zbrojnych. Choć podlegała kontroli ministra wojny, odpowiadała bezpośrednio przed cesarzem. Czasami jej żołnierzy nazywano „Osobistymi Cesarza”, ale w myśl konstytucji specjalna komisja senacka bezustannie regulowała jej status. Wśród wielu ograniczeń obowiązujących Kadre jedno było najpoważniejsze - liczebność. Kadra była jedyną imperialną organizacją wojskową, której stan osobowy określony w poprawce do konstytucji wynosił maksimum czterdzieści tysięcy. Tylko tyle. Taka była dopuszczana przez prawo całkowita liczebność czynnego personelu Kadry... w imperium składającym się z blisko dwóch tysięcy zamieszkanym światów.

Powiedziała Greshamowi, że lubi się sprawdzać. No, to teraz będzie miała ku temu najlepszą sposobność! Oczywiście wstąpienie do Kadry wiązało się z kilkoma drobiazgami, które trzeba było przemyśleć. Ostatnie plotki, które słyszała o usprawnieniach, jakim poddawano Kadrowych, były trudne do uwierzenia. Do tego dochodził fakt, że członkostwo w Kadrze było dożywotnie. Z Kadry nie można było odejść na emeryturę; dostawało się jedynie status rezerwisty i Kadra mogła każdego powołać z powrotem, kiedy uznała to za stosowne. A ponoszone przez nią straty, mimo doskonałego wykszolenia i niezrównanego wyposażenia, były o wiele większe niż we wszystkich innych formacjach. I nic dziwnego - Kadra dostawała najtrudniejsze zadania.

Ale jeśli człowiek sprostał tym wyzwaniom, dostawał szansę udowodnienia, że naprawdę jest najlepszy. A to, co Alicia mówiła Greshamowi - o obowiązku obrony przez dorosłego człowieka tego, w co wierzy - teraz do niej wróciło, bo Kadra właśnie była mieczem cesarza, dzierzonym w służbie Imperium, którym władał.

Gresham nalegał, żeby zastanowiła się, zanim da odpowiedź, a ona była mu za to wdzięczna. To nie była decyzja, którą podejmuje się pochopnie, a to, że pułkownik był tego świadom - nie popędzał jej ani nie naciskał - jedynie podkreślało jej znaczenie. Ale kiedy tak siedziała, a jej schłodzone piwo powoli ogrzewało się do temperatury odpowiedniej dla Grety Haroldson, wiedziała, że tak naprawdę nie ma znaczenia, ile czasu do namysłu dostała.

* * *

- Gresham - powiedział głośno na drugim końcu koma.
- Panie pułkowniku, tu starszy sierżant DeVries. Namysliłam się.
- I? - spytał Gresham po kilku chwilach milczenia.

- Proszę mi powiedzieć, gdzie mam podpisać - odparła po prostu.
- Spotkajmy się w administracyjnym trzecim, sala 1017, jutro rano. Dziewięta zero zero.
- Tak jest, sir.
- Dobrze. Aha, DeVries?
- Tak, sir?
- Witamy na pokładzie.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Kiedy Alicia wysiadła z windy, wycie wiatru było ledwie słyszalne, ale mimo wszystko wciąż można było je wyczuć. I choć powietrze w głównym budynku administracyjnym Camp Cochrane miało stałą temperaturę dwudziestu trzech stopni, a inteligentny materiał munduru Alicii utrzymałby komfortową temperaturę ciała nawet wtedy, gdyby było chłodniej, dziewczyna zadrżała. Za bardzo przyzwyczała się do upałów jeppersońskiego lata, by móc łatwo znieść nagłe przeniesienie w sam środek zimy w Andach, do prowincji Argentyna na Starej Ziemi.

Ruszyła żwawym krokiem jasno oświetlonym korytarzem, podążając za wskazówkami mapy budynku, którą Amin załadował jej przez receptor nerwowy. Mapa pokazywała oczywiście jedynie ograniczony fragment budynku, ale nie była ani trochę zaskoczona faktem, że Kadra trzyma się zasady „wiesz tylko to, co musisz wiedzieć”, zwłaszcza tutaj. Camp Cochrane był dla Imperialnej Kadry tym, czym Camp Mackenzie dla marines.

Alicia przybyła tu w środku nocy i podczas śnieżycy. A przynajmniej wydawało jej się, że to śnieżycy, dopóki następnego ranka nie rozpętała się prawdziwa burza śnieżna. Ale mimo ciemności i tumanów śniegu zobaczyła wystarczająco dużo, by poczuć się trochę zawiedziona. Z jakiegoś powodu uważała, że kwatery główna osławionej Kadry będzie się składała z czegoś więcej niż tylko garstki pospolitych kopuł pogodowych, nie przekraczających wysokością dwóch czy trzech pięter.

To początkowe rozczarowanie minęło, kiedy samochód powietrzny przewożący ją z portu kosmicznego Valparaiso do jej nowego tymczasowego domu minął portal jednej z tych „pospolitych kopuł pogodowych” i zrozumiała, jakie są naprawdę wielkie. Może nie wznosiły się wysoko w górę, ale za to sięgały bardzo głęboko w dół. Jej własna kwatery znajdowała się czternaście kondygnacji pod poziomem gruntu; Alicia była oszołomiona liczbą ludzi, którzy roili się jak termyty we wnętrzach olbrzymich podziemnych budowli Cochrane.

Wciąż nie rozumiała, skąd oni wszyscy się brali, biorąc pod uwagę konstytucyjnie narzucone ograniczenia liczebności Kadry. Albo coś było nie tak z jej liczeniem, albo Kadra po prostu miała ogromny ogon logistyczny i bardzo, bardzo niewielu strzelców, co z kolei stało w sprzeczności z tym wszystkim, co słyszała o przeprowadzanych przez nią operacjach.

Przynajmniej siedemdziesiąt pięć procent ludzi, których do tej pory widziała, nosiło

cywilne ubrania, tak samo jak pułkownik Gresham. Po spędzeniu ostatnich dwóch standardowych lat wśród mundurowych Alicia czuła się tu trochę nieswojo - znów była największym żółtodziobem. Postanowiła jednak cierpliwie poczekać, aż ktoś jej to wszystko wytłumaczy.

Co, miejmy nadzieję, pomyślała, skracając w ostatni korytarz prowadzący do biura, do którego zmierzała, za chwilę nastąpi.

Zwolniła, podchodząc do drzwi, ale zanim zdążyła zapukać, te bezgłośnie się przed nią rozsunęły. Zdziwiona weszła do środka.

Znalazła się w przedpokoju o ścianach w przyjemnie pastelowych kolorach. Ekran ustawiony w tryb okna pokazywał pędzony wiatrem śnieg, co było mało przytulnym widokiem, ale złudzenie, że wygląda się przez prawdziwe okno, było niemal doskonałe. W pomieszczeniu stało kilka wygodnych krzeseł, ale nie było śladu żadnego człowieka.

- Proszę spocząć, starszy sierżancie DeVries - powiedział jakiś głos. Było jasne, że należał do komputera; Alicia była ciekawa, czy to pełna, cyber-synthowa SI. - Major Androniko za chwilę panią przyjmie.

- Dziękuję - odparła. Udało jej się zachować swobodny ton, choć prawda była taka, że cyber-synthy wzbudzały w niej niepokój. Nie miała na ich punkcie fobii, tak jak neoluddyci, a jej własna zdolność podtrzymywania synth-złącza pozwalała jej traktować komputer bez SI jako przedłużenie mizernych ludzkich zdolności, wiedziała jednak, że cyber-synthowa osobowość jest dokładnie tym, o czym mówi jej nazwa: sztuczną inteligencją. I to według ludzkich standardów bynajmniej nie taką znów stabilną.

W życiu spotkała kilkoro obcych - prawdopodobnie ze względu na stanowisko jej ojca w ministerstwie więcej niż większość ludzi w jej wieku - i żaden z nich nie niepokoił jej tak jak SI. Nie wiedziała dlaczego. Może dlatego, że inteligencja kryjąca się za tymi nieludzkimi oczami wykształciła się tak samo jak jej własna inteligencja, a nie została sklecona na zamówienie w jakimś cybernetycznym laboratorium. A może z powodu... ekscentryzmu i dobrze znanej niestabilności, których cybernetykom wciąż nie udało się usunąć.

Odsunęła od siebie tę myśl, wybrała sobie krzesło i usiadła wygodnie, patrząc na zamieć.

Zwłoka, tak jak obiecano, była krótka.

- Major Androniko przyjmie panią, starszy sierżancie - oznajmił ten sam komputerowy głos i otworzyły się kolejne drzwi, tym razem w wewnętrznej ścianie przedpokoju.

- Dziękuję - powiedziała Alicia i weszła do środka.

Gabinet był duży i wygodnie urządzone. Na pierwszy rzut oka zdawało się, że jest za wielki dla wysokiej, ciemnowłosej kobiety siedzącej za dużym biurkiem na wprost drzwi.

Drugi rzut oka zdradzał jednak, że właściciel biura ma bardzo niewiele wolnej przestrzeni. Alicia nigdy nie widziała tylu chip-folderów w jednym miejscu. Magazyny danych w głównej bibliotece Nowej Akademii Cesarskiej były jeszcze większe, ale nie przypominała sobie żadnego innego miejsca, o którym mogłaby powiedzieć to samo. A między szafkami z chip-folderami i standardowymi terminalami stały duże kanciaste szafki - takie, w których można przechowywać autentyczne drukowane dokumenty.

W przeciwieństwie do wielu ludzi, których Alicia widziała w Camp Cochrane, major Androniko miała na sobie mundur. Nie czarną bluzę i zielone spodnie jak marines, ale zieleń Imperialnej Kadry, z insygniami statku kosmicznego i harfy Domu Murphy na kołnierzu.

- Starszy sierżant DeVries melduje się na rozkaz, ma'am - powiedziała Alicia, stając na baczność, a Androniko przekrzywiła głowę, jakby chciała ją lepiej widzieć.

- Spocznij, sierżancie - rzekła po chwili. - Właściwie... - wskazała jedno z dwóch krzeseł stojących przed biurkiem - może pani usiądzie? To będzie wstępna rozmowa i pewnie trochę potrwa, więc myślę, że póki co możemy sobie odpuścić wojskowe formalności.

- Dziękuję, ma'am. - Szczerze mówiąc, Alicia nie była pewna, czy chce zrezygnować z dobrze jej znanych wojskowych zachowań. Androniko uśmiechnęła się lekko, jakby dobrze wiedziała, o czym Alicia myśli, czekając, aż jej gość usadowi się na krześle i jego powierzchnia dopasuje się do kształtów jej ciała.

- W takim razie, sierżancie - powiedziała wreszcie - na pewno ma pani mnóstwo pytań. Ludzie zawsze je mają w takim momencie. Dlatego urządzę pani szybką wirtualną wycieczkę zapoznawczą, a potem zajmiemy się pytaniami, które będą jeszcze wymagały odpowiedzi, dobrze?

Uniosła brew, a Alicia kiwnęła głową.

- Doskonale.

Androniko odchyliła się do tyłu, oparła łokcie na poręczach fotela i złączyła dłonie czubkami palców.

- A więc tak, jak tu jest napisane... - wskazała stojącą na biurku tabliczkę z nazwiskiem i z powrotem splotła dłonie - jestem major Aleka Androniko. Za swoje grzechy zostałam oficerem wykonawczym generała brygady Karpowa, co oznacza, że jestem pierwsza po dowódcy Camp Cochrane.

Alicii udało się nie wytrzeszczyć oczu, ale nie było to łatwe. Myśl, że tak ważna placówka jak Camp Cochrane może być dowodzona zaledwie przez generała brygady, była trudna do przyjęcia. Jeśli liczba ludzi, których dotychczas widziała, była średnią zagęszczenia całej bazy - to było ich bardzo dużo jak na generała brygady. A oficerami wykonawczymi

generałów nigdy nie bywali majorowie.

A przynajmniej, poprawiła się w myślach, nie w Korpusie.

- Bez wątpienia - ciągnęła Androniko - zauważyła pani tutaj dość dużą liczbę Kadrowiczów i Kadrowiczek - dużą, jeśli wziąć pod uwagę konstytucyjne ograniczenie naszej liczebności. Jest to wynik niewielkich nadużyć, zaaprobowanych przez Senat. Większość z nich - ci ubrani po cywilnemu - to zasadniczo cywilni podwykonawcy, a nie Kadrowicze. Prawie wszyscy z nich są, tak jak pułkownik Gresham, emerytowanymi Kadrowiczami. Wielu z nich zostało przeniesionych na wcześniejszą emeryturę jako inwalidzi, ale Kadra bardzo potrzebuje ich doświadczenia i umiejętności, a Senat uznał, że możemy ich zatrudniać jako cywilów, zwłaszcza tutaj, w Cochrane, oraz w innych placówkach centralnego dowodzenia.

- Jednak pomimo tych... ustępstw ze strony Senatu - ciągnęła major - smutna prawda jest taka, że Kadra ma wieczne braki personelu, większe niż jakakolwiek inna formacja, w tym marines. Właściwie nie mamy nawet logistycznych możliwości wsparcia na własną rękę naszych strzelców, dlatego prosimy marines i Flotę o pomoc w wielu naszych operacjach.

- Powód, dla którego wciąż mamy braki, ma mniej wspólnego z konstytucyjnie narzuconymi ograniczeniami, a więcej z faktem, że liczba ludzi, którzy się dla nas nadają, jest - prawdę mówiąc - poważnie ograniczona. Znajdowanie i werbowanie mężczyzn i kobiet kwalifikujących się do Kadry to nieustanne wyzwanie, sierżancie. Nie jesteśmy oczywiście nadludźmi, ale komandos - ponad osiemdziesiąt procent naszego personelu to komandos - muszą mieć pewne bardzo konkretne cechy psychiczne i fizyczne. Niektóre z nich to te same, których wymagają w Raidersach i rozpoznaniu marines, dlatego te dwie jednostki traktujemy jak rodzaj filtrów. Żadna standardowa specjalizacja marines nie wymaga takich kwalifikacji.

Androniko przerwała, jakby chciała dać Alicji czas na przetrawienie tego, co właśnie usłyszała. Po chwili podjęła temat.

- Nie zamierzam zagłębiać się teraz w detale tych „konkretnych cech fizycznych i umysłowych”, sierżancie. Mówiąc zupełnie szczerze, dopóki nie zakończymy pani badań medycznych i nie przejdzie pani standardowych testów, nie możemy mieć absolutnej pewności, że pani je posiada w takim stopniu, w jakim wymaga tego Kadra. Nasz proces selekcji z biegiem lat jest doskonały, ale nadal nie jest idealny i na tym etapie wciąż tracimy około ośmiu procent wszystkich kandydatów. Nie spodziewam się tego jednak w pani przypadku, ponieważ tym razem nasze rozpoznanie przedworbunkowe było wyjątkowo dokładne.

- Tak, ma'am? - spytała zaskoczona Alicia, a Androniko lekko się uśmiechnęła.

- Chyba można tak powiedzieć - odparła. - Zwróciliśmy na panią uwagę po raz pierwszy, kiedy miała pani czternaście lat. Standardowe testy, które przechodzą wszyscy uczniowie na koniec liceum, często wskazują potencjalnych kandydatów do Kadry, a pani wyniki były... dość wyjątkowe, chyba wolno mi tak powiedzieć. Do tego ma pani interesujący rodowód, nawet jak na kandydata do Kadry.

Alicia zmarszczyła czoło, a Androniko znów się uśmiechnęła.

- Och, przecież tak jest! Na przykład rodzina pani matki - Nowodublińscy od ponad trzystu lat. Lojalność wobec Domu Murphy jest na Nowym Dublinie praktycznie fetyszem, do tego dochodzi pani dziadek - chyba najwyższej odznaczonego marine pozostający w czynnej służbie. Albo pani wuj John, jeden z najmłodszych komodorów w historii Imperium, kiedy zginął. I pani matka, ordynator chirurgii klatki piersiowej w Johns Hopkins/Bethesda w Charlotte, bardzo szanowana w swojej dziedzinie.

- A to tylko ze strony O'Shaughnessych. Pani ojciec jest tak samo interesującym człowiekiem, prawda? Chłopak z farmy w Silverado i Ujvári do szpiku kości, z trzema doktoratami i rangą G-20 w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Jedna z trzech czy czterech najlepszych osób z grupy kształtującej politykę ministerstwa.

Widząc zdziwienie Alicii, że tak dobrze zna historię jej rodziny, major wzruszyła ramionami.

- Bardzo dokładnie przyglądamy się wszystkim, którzy mają takie wyniki testów jak pani, sierzancie. Rozsądek nakazuje jak najwcześniej eliminować nieodpowiednich kandydatów, żeby móc zająć się tymi, którzy dobrze rokują. Musimy tak robić, bo mamy wyśrubowane standardy i ograniczone możliwości rekrutacji.

- Prawo zabrania nam aktywnego werbowania kogoś, kto niezależnie od wyników testów nie skończył osiemnastu standardowych lat, a polityka Kadry zakłada, że kandydat musi przejść przynajmniej jedną turę bojową w marines albo Flocie. Zrobiliśmy kilka wyjątków, głównie kiedy trafiliśmy na kogoś o cechach, jakich wymagamy od naszych oficerów sztabowych, ale wymóg wieku jest ustanowiony przez prawo i nie może być omijany. Kiedy jednak czyjeś wyniki testów przechodzą przez nasze filtry, zaznaczamy tego kogoś, i kiedy tak jak pani, ten człowiek wstępuje do wojska, mamy na niego oko i czasami interweniujemy... prostując ścieżki jego kariery.

Alicia zamrużyła. Czyżby dlatego dostała przydział do rozpoznania, o który prosiła po zakończeniu Camp Mackenzie? Sierzant major Hill ostrzegł ją, że prawdopodobnie go nie dostanie; czy to wyniki jej licealnych testów sprawiły, że się mylił?

- Musi pani wiedzieć, sierzancie DeVries - mówiła dalej Androniko - że tak samo jak

każdy mężczyzna czy kobieta, którzy wstępują do Kadry, zawsze - niezależnie od tego, co pani robiła - znajdowała się pani w grupie dziesięciu procent najlepszych. Ale tutaj, w Kadrze, taki poziom umiejętności i wyników to norma, dlatego o wiele trudniej jest wyróżnić się spośród otoczenia. Ze wszystkich organizacji w historii ludzkości to Kadra jest najbliższa prawdziwej elicie. Wyniki, których wymagamy od naszego personelu, są lepsze, i to znacząco, od tych, które warunkują wstęp na Akademię Floty na Nowym Annapolis czy Akademię Marines na Nowym Dublinie. Nie ma ani jednego Kadrowicza czy Kadrowiczki, którzy nie posiadaliby wrodzonych zdolności i talentu wystarczającego, by zostać admirałem Floty albo komendantem Korpusu. Regularne formacje często skarżą się na Kadre, że zabieramy im najlepiej rokujących oficerów.

- Nie mówię tego po to, by podsycić pani dumę z własnych zdolności - jedną z cech, których wymagamy, jest pewna odporność na złudzenie własnej wielkości - ale po to, by panią ostrzec. Jeśli przejdzie pani testy medyczne, być może będzie pani po raz pierwszy w życiu pracować z ludźmi tak samo zdolnymi, zmotywowanymi i przyzwyczajonymi do sukcesów jak pani.

Znów przerwała i parsknęła śmiechem.

- Jednym z powodów, dla których podkreślam to podczas takich rozmów jak ta, jest fakt, że sama miałam z tym problemy. Uważałam siebie za wyjątkowo zdolnego człowieka, zanim Kadra położyła na mnie łapsko, i chyba tak było. Ale nauczyłam się pokory, gdy odkryłam, że tutaj takie zdolności są uważane za coś oczywistego, a nie budzącego podziw.

- Teraz przejdźmy do szczegółów. Po pierwsze, wśród cech fizycznych, o których wspomniałam, jest tolerancja synth-złączy oraz zdolność do wielozadaniowości, nawet w warunkach maksymalnego stresu. W dodatku...

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

- Kiedy tylko będziesz gotowa - powiedział doktor Hyde.

Cywilny (już) lekarz odchylił się wygodnie w fotelu za biurkiem i patrzył na Alicię; wiedziała, że jego sprzęt diagnostyczny podłączony do synth-złącza robi to samo, tyle że o wiele bardziej szczegółowo.

Szczerze mówiąc, wszystkie te szpitalne korowody zaczynały ją już trochę męczyć.

Podeszła do serii testów, o których mówiła major Androniko, i przeszła wszystkie śpiewająco, w samą porę, by zostać oficjalnie rekrutem Kadry na swoje dziewiętnaste urodziny. Miała wrażenie, że jest wyjątkowo młoda jak na Kadrowniczkę i nic dziwnego, skoro Kadra rutynowo wymagała od kandydata ukończenia tury bojowej, zanim w ogóle wzięła go pod uwagę. Jednak poczucie wyższości, jakie mogłaby mieć z tego powodu, bardzo szybko zniknęło w ciągu następnych czterech miesięcy.

Cały ten czas Alicia spędziła generalnie tam, gdzie teraz - w rękach medycznego personelu Kadry. Doktor Hyde, który podczas służby w Kadrze osiągnął stopień majora (a jako cywilny pracownik miał rangę odpowiadającą stopniowi pułkownika), był żwawy i bardzo kompetentny, ale nie miał skłonności do rozpieszczania swoich pacjentów. Alicia przyznawała przed samą sobą, że tak jest lepiej, ale po prostu nie zdawała sobie sprawy, że czeka ją tyle operacji.

Dzięki terapii szybkiego gojenia błyskawicznie doszła do siebie po skutkach głębokich zmian, jakie przeprowadzono we wszczepionym jej przez marines pakiecie wspomagającym. Po każdej operacji zdrowiała o wiele szybciej niż w Camp Mackenzie. Problem polegał na tym, że tym razem operacji było znacznie więcej... i miała kłopoty z przystosowaniem się do niektórych zmian.

Kiedy major Androniko wspominała o wielozadaniowości, wcale nie żartowała. Alicia nigdy nie miała trudności, których doświadczali inni rekruci marines, z dostosowaniem się do nerwowych receptorów, ale wtedy musiała się martwić tylko o jedno synth-złącze. Teraz posiadała trzy i instruktorzy upierali się, że musi korzystać z wszystkich trzech jednocześnie. Nauczyła się tego, ale tak jak ostrzegła major, wcale nie pozostawiła innych rekrutów w tyle. W końcu trafiła na coś, co było dla niej autentycznie trudne, a ludzie wokół niej nie byli skłonni okazywać jej współczucia, bo sami musieli robić dokładnie to samo.

To były złe wiadomości. Dobre były takie, że - tak samo jak w Mackenzie, gdzie nie była w stanie dorównać wynikom testów sprawnościowych niektórych ludzi - podjęła wyzwanie. I nic nigdy nie dało jej większej satysfakcji.

Podstawowe systemy wspomagające wzrok i słuch również zostały zastąpione lepszym sprzętem, który na cywilnym rynku byłby nielegalny; dołożono także wspomaganie dotyku. Był to kosztowny szczegół, którego Korpus nie instalował z powodu zbyt wysokich kosztów w stosunku do jego przydatności.

Implantacja sieci nerwowej, która - według zapewnień doktorów - miała zapewnić ochronę przeciwko zakłócom nerwowym, była prostszym zabiegiem, ale Alicia dochodziła potem do zdrowia dłużej niż po operacjach wszczepienia dodatkowych syntetycznych. A później nowe procesory zainstalowane w podstawowym systemie wspomagania zaczęły sprawiać problemy. Kiedy technicy uruchomili po raz pierwszy protokoły testowe, aktywował się integralny pakiet ucieczki/uniku. Poruszanie się pod kontrolą pakietu komputerowego zaprojektowanego tak, by zabijać wszystko, co pojawi się na drodze, gdyby świadomy umysł został wyłączony z obwodu, mogło się skończyć tragicznie dla techników obsługujących programy testowe.

Po tym wypadku musiała wrócić na chirurgię w celu wymiany wadliwej jednostki. Wszyscy zapewniali Alicię, że takie rzeczy praktycznie nigdy się nie zdarzają i że za drugim razem wszystko pójdzie jak z płatka, ale trochę nie dowierzała tym pogodnym zapewnieniom. Na szczęście okazało się, że mieli rację.

Wprowadzono także inne zmiany, z których największą była bez wątpienia nowa farmakopea. Jej idealnie sprawna osobista farmakopea marines została chirurgicznie usunięta i zastąpiona nowym, większym implantem, którego zasobniki zawierały wszystko to samo, co jego poprzednik, plus kilka dodatków właściwych tylko Kadry.

Przysporzyło jej to nieco zmartwień, kiedy wytłumaczono jej ich działanie - a imperialne prawo nakazywało objaśnić działanie przynajmniej jednego z nich, zanim zostanie oficjalnie wcielona do Kadry. Okazało się, że w jej nowe systemy wspomagające zostały wbudowane protokoły samobójcze.

Alicii wcale się to nie podobało i nawet poważnie rozważała, czy nie odrzucić zaproszenia Kadry. Myśl, że jej własna farmakopea zawiera neurotoksynę, która może ją zabić - mimo najdokładniej zdefiniowanych okoliczności - nie była zbyt przyjemna. Ostatecznie jednak to jej nie powstrzymało, głównie dlatego, że zdała sobie sprawę, co najprawdopodobniej mogłoby spotkać komandosa Kadry, gdyby wpadł w ręce wrogów Imperium. Szansa przetrwania byłaby w najlepszym razie niewielka, a poza tym Imperium

musiało mieć pewność, że ktoś posiadający wiedzę członka Kadry nie zostanie wyzuty przez Rish. Poza tym, jak przyznawała sama przed sobą, zgodziła się po części dlatego, że mimo tego wszystkiego, co widziała i czego doświadczyła od chwili wstąpienia do Korpusu, uważała, iż jest tak dobra, tak bystra i zdolna, że nigdy nie znajdzie się w takiej sytuacji.

A potem najzupełniej szczerze doszła do wniosku, że właściwie to nawet jakaś ponura pociecha - wiedzieć, że zawsze będzie możliwość ostatecznej ucieczki, cokolwiek by się stało.

Ale jeszcze bardziej niepokojący niż pakiet samobójczy był ściśle tajny dodatek do jej farmakopei. Nie z powodu zagrożenia, jakie stwarzał, ale pokusy, jaką oferował. Kiedy po raz pierwszy wytłumaczono Alicji działanie narkotyku, który Kadra nazywała „tik-takiem”, nie pojęła wszystkiego. Właściwie nawet teraz nie była pewna, czy docenia wszystkie właściwości tik-taka; potrafiła za to zrozumieć, czemu narkotyk - a raczej pół tuzina różnych narkotyków, działających jednocześnie w minimalnych dawkach obliczanych indywidualnie dla każdego komandosa - znajduje się na oficjalnej liście tajemnic.

Spojrzała na doktora Hyde'a, uśmiechając się lekko na widok ostentacyjnej cierpliwości malującej się na jego twarzy, i ostrożnie zainicjowała odpowiednią sekwencję poleceń dla farmakopei.

Przez chwilę nic się nie działo, a potem tak szybko i płynnie, że zdawało się to trwać jedynie ułamek chwili, świat dookoła zwolnił.

Alicja siedziała nieruchomo na fotelu przed biurkiem Hyde'a i patrzyła na jego tętnicę szyjną przybliżoną przez wspomagane widzenie. Widziała, jak naczynie pulsuje delikatnie w rytm bicia jego serca, i liczyła tętno. Miała mnóstwo czasu na liczenie, bo to właśnie tik-tak dawał swojemu użytkownikowi najcenniejszą pomoc w walce - czas.

Tik-tak bardzo nieznacznie poprawiał szybkość reakcji. Alicja poruszała się trochę szybciej - ale nie z nadludzką prędkością - za to narkotyk ogromnie przyspieszał jej procesy umysłowe. Miała pod dostatkiem czasu, by rozpoznać zagrożenia i przemyśleć możliwe działania, zanim je podejmie.

Odwróciła wolno - bardzo wolno - głowę i rozejrzała się po gabinecie doktora Hyde'a przez przejrzysty jak kryształ i gęsty jak syrop strumień czasu. Wydawało jej się, że obrócenie głowy do końca w prawo trwało co najmniej minutę, choć wiedziała, że tak nie było. Oglądała holowidy ludzi będących pod wpływem tik-taka. Ich głowy i kończyny poruszały się w sposób, który niełatwo było opisać, ale nie można go było pomylić z niczym innym.

Doktor Maxwell Hyde na pewno nie potrzebował do tego narzędzi diagnostycznych.

Dostrzegał absolutną płynność ruchu głowy Alicii. Obracała się z mikrometrycznie odmierzoną precyzją sterowanej przez komputer wieżyczki, zatrzymując się pod wybranym kątem; jej ruch łączył w sobie szybkość zmił z czymś bardzo przypominającym... spokój.

Przez lata Hyde usiłował znaleźć sposób opisu działania tik-taka, ale nigdy nie był do końca zadowolony z efektów. Najlepszą analogią, jaką zdołał wymyślić, było oglądanie w czasie rzeczywistym ataku grzechotnika czy kobry nagranych w zwolnionym tempie - jakkolwiek dziwnie by to brzmiało.

Zamknął oczy, skupiając się na przyrządach. DeVries nieźle sobie radzi, pomyślał. Opanowanie złożonych pakietów wspomagających było przełomowym momentem dla każdego potencjalnego Kadrowicza. Jego motywacja, determinacja i zdolności nie zrobiłyby z niego komandosa, gdyby nie potrafił dać sobie rady ze wspomaganiami zmysłów, syntezami i tik-takiem. Reszta szkolenia, pozostałe elementy pakietu wspomagającego - wszystko to było w opinii Maxwella Hyde'a zaledwie dodatkiem. Doktor był zadowolony z tego, jak DeVries toleruje narkotyki. Nie dostrzegał żadnych śladów reakcji toksycznych, które bardzo rzadko się zdarzały, oraz - co być może nawet ważniejsze - nie było także żadnych zwiastunów uzależnienia.

- Przeprowadźmy teraz sekwencję alfa - powiedział, nie otwierając oczu i dalej ją „obserwując”.

- Dobrze - odparła, naśladowując ślimacze tempo wymowy doktora, i wstała.

Była ostrożniejsza niż za pierwszym razem. Mimo ostrzeżeń doktora Hyde'a i jego personelu, którzy tłumaczyli jej, co się stanie, nie była wtedy przygotowana na rzeczywistość tik-taka. Kiedy na ich prośbę wstała - zrobiła to dokładnie tak samo, jak przez całe życie - wyleciała w powietrze. Niewiele brakowało, a by upadła, i musiała mocno zamachać rękami, by złapać równowagę.

Przy jej spowolnionym przez tik-taka postrzeganiu upływu czasu ręce zdawały się poruszać z niemal groteskową powolnością - zostawały w tyle za poleceniami mózgu - choć tak naprawdę poruszały się z prędkością, do której nigdy wcześniej Alicja nie była zdolna.

W końcu nauczyła się to kontrolować, i teraz na żądanie doktora Hyde'a odsunęła się od fotela i stanęła na środku jego przestronnego gabinetu w pozycji „spocznij”. Stała tak przez chwilę z rękami wzdłuż boków, a potem przyjęła postawę obronną.

Alicja pokochała *espada la mano*, wybraną przez Korpus sztuki walki wręcz. *Espada la mano* powstała około dwustu lat wcześniej w Układzie Granady i była „twardym” stylem, w którym najważniejsze były techniki walki gołymi rękami oraz agresywny atak. Uczyla też technik walki z użyciem broni, zwłaszcza stalowych ostrzy (oraz ich współczesnych

odpowiedników), choć nowoczesny marine niezbyt często tego potrzebował. Czasem jednak zachodziła taka konieczność i Korpus słusznie zdecydował się tę technikę jako kształtującą „mentalność wojownika”. Poza tym trudno było znaleźć coś bardziej ekscytującego niż trening w pełnym kontakcie, jeden na jednego.

Kadra, w przeciwieństwie do marines, wołała *deillseag órd*, znaną też jako „podbijak”. Mimo swojej nazwy *deillseag órd* była bardziej „miękką” sztuką walki niż *espada la mano*. A może lepiej byłoby powiedzieć, że była sztuką bardziej... kompletną. *Deillseag órd* powstała w systemie Nowy Dublin i była syntezą przynajmniej dwóch czy trzech dziesiątek innych sztuk walki. Obejmowała o wiele więcej technik z użyciem broni niż *espada*, a także znacznie więcej elementów „miękkiego stylu”.

Alicia dopiero teraz zaczęła poznawać *deillseag órd*, gdyż czas spędzony w szpitalu nie pozwalał jej zbyt wiele trenować. Podejrzała, że będzie wołała tę sztukę walki, kiedy już ją opanuje, ale póki co jednak wołała trzymać się tego, co już знаła. Zaczęła od *ejercicio espady*.

Hyde otworzył wreszcie oczy, ale dalej „obserwował” Alicię przez synth-złącze. Nigdy nie miał dość oglądania własnymi oczami tego, co zawsze bardzo cenił, kiedy sam pełnił czynną służbę w Kadrze.

Alicia DeVries była uosobieniem „poezji ruchu”. Poruszała się z oślepiającą szybkością, a przy tym każdy jej ruch wydawał się płynny, przemyślany i świadomy. Każdy cios był idealny jak z podręcznika, ponieważ dzięki tik-takowi Alicia miała czas zadbać o to, by taki był.

Hyde pamiętał, jak sam to robił. Podejrzał - jeśli miał być szczery - że nigdy nie był tak dobry jak ona, nawet z pomocą tik-taka. Narkotyk wzmacniał naturalne talenty i zdolności użytkownika, ale nie obdarzał wszystkich taką samą szybkością, refleksem, zmysłem równowagi; po prostu Alicia była lepsza niż kiedyś Hyde i szybciej przystosowała się do kaprysów tik-taka.

No, może dziewczyna szybko się oswaja z przyspieszaczem, ale za to ja o wiele szybciej doszedłem do siebie po operacjach, stwierdził.

Pozwolił jej ćwiczyć przez dwie czy trzy minuty - oczywiście jej wydawało się, że to trwało o wiele dłużej - a potem kiwnął głową.

- Dobrze, Alley. Chyba mamy już wszystkie potrzebne dane.

- Jasne - odparła dziwnym głosem; każdy, kto pracował z komandosami, nauczył się go rozpoznawać. Alicii zdawało się, iż mówi bardzo wolno i bardzo starannie wymawia słowa, dla tych jednak, którzy tkwili w strumieniu czasu poza tik-takiem, słowa padały szybko i były

urywane.

Alicia przemknęła przez pomieszczenie i usiadła z wdziękiem na fotelu.

- Tak - powiedział po chwili Hyde, kończąc analizę danych zebranych przez instrumenty.

- Chyba na dzisiaj to będzie wszystko. Wstępne dane wyglądają dobrze. Jeśli nie znajdziemy czegoś po kompletnej analizie, chyba będziemy mogli uznać twoje ulepszenia za zainstalowane i wysłać cię do SZTK.

- Miło mi to słyszeć - odparła tym swoim dziwnym głosem.

- A teraz pora, żebyś zwolniła.

Alicia skrzywiła się. Tego w tik-taku po prostu nienawidziła. Samo pozbywanie się wrażenia szybkości i siły, niemal boskiego spowalniania czasu, było nieprzyjemne, ale efekty uboczne działania narkotyku były jeszcze gorsze.

Wysłała polecenie do swojej farmakopei, sięgnęła po stojącą obok miskę i opadła na oparcie fotela, czekając z rezygnacją. Dokładnie odmierzona dawka odtrutki dostała się do jej krwiobiegu i zmysły zaczęły zwalniać. Trwało to zaledwie kilka sekund, w czasie których reszta wszechświata zdawała się nagle przyspieszać, a ruchy i myśli Alicii - zwalniać do ślimaczego tempa. Powrót do świata, w którym wszystko działo się - a ona myślała - w normalnym tempie, pozostawiał ją z uczuciem nagle ograniczonych horyzontów i możliwości.

Ale nie miała zbyt wiele czasu, by się nad tym zastanawiać, gdyż zaczęły się torsje.

Tym razem były tak samo gwałtowne, jak poprzednio. Doktor Hyde zapewnił ją - a ona mu uwierzyła - że używanie tik-taka nie ma długotrwałych negatywnych skutków. Jedynym prawdziwym zagrożeniem jest uzależnienie - to dlatego major Androniko mówiła podczas rozmowy z Alicią o potrzebie dużej odporności na uzależnienia - ale natychmiastowe krótkotrwałe skutki wystarczały, by człowiek czuł się tak, jakby ktoś wynicował mu żołądek. Alicia zastanawiała się czasem, czy nudności nie są rozmyślnie potęgowane, by jeszcze bardziej obrzydzić nadużywanie tik-taka.

Jeśli tak jest, to i tak nikt się do tego nie przyzna, prawda?, pomyślała, wymiotując do miski. Potem otarła usta chusteczką, którą uprzejmie podał jej doktor Hyde.

- Skończyłaś? - spytał.

- Tak jest, sir. - Zamknęła klapę miski, zanim smród zmusił jej żołądek do skurczów, a potem odstawiła ją na krzesło obok i zadrżała.

- To... bardzo nieprzyjemne - powiedziała po chwili.

- Widzę, że jesteś kobietą o godnej pochwały powściągliwości osądu - odparł z uśmiechem doktor Hyde. - Możesz w to nie wierzyć, ale reagujesz o wiele łagodniej niż

całkiem spora liczba naszych ludzi.

- Pan żartuje. - Spojrzała na niego podejrzliwie, a on pokręcił głową.

- Nie. Wykazujesz niezwykłą tolerancję. Zastanawiam się, czy to ma coś wspólnego z faktem, że twój ojciec jest Ujvárim.

Alicia popatrzyła na niego zaskoczona, a doktor wzruszył ramionami.

- Od dawna badamy tolerancję na tik-taka - powiedział - i wygląda na to, że istnieją pewne określone „pakiety” genów, które znoszą go lepiej niż inne. Z oczywistych powodów nie mieliśmy w Kadrze wielu Ujvárich - właściwie nie przypominam sobie, żebyśmy w ogóle kiedyś mieli tutaj pełnego Ujvári - więc nie mamy na ten temat żadnych miarodajnych danych. Nie jestem genetykiem, ale z tego, czego się dowiedziałem o mutacji Ujvári, wynika, że ta ekstremalna stabilność przynajmniej częściowo jest efektem zmian w mózgu i składzie chemicznym krwi ludzi, u których doszło do mutacji. A choć ty nie jesteś „typowym” Ujvári - prawdopodobnie przez genotyp ze strony matki - wykazujesz niepełną mutację chemiczną. To naprawdę fascynujące, jeśli wolno mi tak powiedzieć.

- Nie mam nic przeciwko temu - powiedziała Alicia, zastanawiając się jednocześnie, czy mówi szczerze.

- Właściwie - ciągnął Hyde, znów odchylając się na oparcie fotela - jesteś fascynująca w wielu aspektach. Kadra z natury rzeczy przyciąga ludzi, którzy nie mieszczą się w normach, i każdy z nas jest inny. To jeden z powodów, dla których nie stosujemy tych samych technik szkoleniowych, co marines - czy raczej wychodzimy poza te techniki. Przypuszczam, że trafniej byłoby powiedzieć, iż przykrawamy techniki szkolenia każdego Kadrowicza do jego osoby. Przy takim zróżnicowaniu tylko tak możemy zoptymalizować wyniki każdego członka Kadry. Widziałem Kadrowiczów, którzy przewyższali twoją zwinność, twoją wytrzymałość, twoją koordynację ręka-oko albo twoje IQ, ale żaden z nich nie wykrczał wszystkimi tymi cechami poza skalę. Przynajmniej poza skalę Kadry.

- Nigdy także nie widziałem kogoś, kto by się mógł równać z twoim... z braku lepszego określenia nazwijmy to opanowaniem. W twojej osobowości jest pewna stabilność - prawdopodobnie połączenie genetycznego dziedzictwa i tego, jak cię wychowano - która jest zupełnie wyjątkowa. Nie stoi ona na przeszkodzie twoim pozostałym cechom, a nawet je wspiera.

Doktor przerwał, jakby rozważał to, co przed chwilą powiedział, potem wzruszył ramionami.

- To będzie interesujące obserwować, jak się zmieścisz w matrycy Kadry. Żaden z nas nie zmieścił się w niej tak samo, a skłaniam się do przypuszczenia, że w twoim przypadku tym

bardziej tak będzie.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

- I co myślisz o swoim nowym braciszku? - spytała z uśmiechem Fiona DeVries.

- Jest cudowny. - Alicia starała się ukryć rozczarowanie. - Czy on zawsze śpi?

- Chciałabym - odparła jej siostra Clarissa, przewracając oczami.

- Jeszcze nie tak dawno to ty ryczałaś - powiedziała Alicia, ciągnąc siostrę za długi warkocz. - Sama pamiętam, jaka była z tobą udreka przez pierwszych parę lat, konusie!

- Ach tak?

Szare oczy Clarissy - podobne do oczu jej ojca - zaiskrzyły. Był w nich śmiech, a także podziw, jaki wzbudził w dwunastolatce widok starszej siostry w zielonym uniformie Imperialnej Kadry, z cesarskimi insygniami statku kosmicznego i harfy, przechodzącej przez bramkę w hali przylotów.

- Tak. - Alicia wyszczerzyła się od ucha do ucha. - Ale założę się, że ty przynajmniej masz własny pokój. To więcej, niż ja miałam, kiedy byłaś raczkującym dzieciakiem.

- Jasne, jasne. W dawnych czasach musiałaś chodzić pieszo do szkoły, przez śnieg i w upały, w obie strony pod górkę, bosą, z glinianą tabliczką i rysikiem...

- Wszyscy zrozumieliśmy aluzję, Clarissa - przerwał jej Collum DeVries, a potem objął żonę ramieniem i uśmiechnął się do najmłodszego członka rodziny. - A co do ciebie, Alicio Dierdre DeVries, jeszcze przyznasz, że jest cudowny. Największe autorytety zapewniają, że ta czerwień homara niedługo zniknie. Najpóźniej przed piętnastymi urodzinami.

Łokieć żony trafił go w zębra i Collum żartobliwie stęknął.

- Alley - powiedziała Fiona - bardzo, bardzo się cieszę, że dostałaś przepustkę na jego chrzciny. Świadomość, że przez ostatnie cztery miesiące byłaś tutaj, na Starej Ziemi, była cudowna, ale też... frustrująca.

- Przepraszam, mamó. Chciałam przyjechać wcześniej, ale...

- Wiem, Alley. - Fiona uśmiechnęła się. - Wychowałam się na Nowym Dublinie, i nawet gdybym sama się tego nie domyśliła, twój dziadek postarałby się, żebym zrozumiała, że to nie była twoja wina. I że Kadra nie robi nam tego umyślnie. A to, że dostałaś całe trzy tygodnie przepustki, to chyba całkiem niezłe zadośćuczynienie. Ale... - jej uśmiech lekko zbladł - wszyscy za tobą tęskniliśmy, wiesz?

- Wiem - powiedziała cicho Alicia i spojrzała ojcu w oczy. - Dziadek mówił mi, że twoje

zastrzeżenia co do mojego zaciągnięcia się dotyczyły spędzanego z wami czasu. I to chyba jedyna rzecz, której naprawdę żałuję.

- Każda decyzja ma swoją cenę, Alley - odparł Collum, spokojnie odwzajemniając jej spojrzenie. - Gdybyś nie wstąpiła do marines, też byś żałowała. Każdy zawsze czegoś żałuje, i jedyne, co można zrobić, to zdecydować poprzez swoje wybory, czego będzie się potem żałować. A poza tym, jak powiedziała twoja matka, przynajmniej będziesz w domu na chrzcinach i będziemy cię mieli dla siebie przez następne trzy tygodnie. Jedno i drugie warto uczcić, więc dokonałem na dzisiejszy wieczór rezerwacji w „Giuseppe”. Chodźmy po twoje bagaże, rozpakujesz się.

* * *

- Dobrze cię widzieć w takiej formie - powiedział Collum DeVries, kładąc dłonie na ramionach starszej córki i patrząc jej w oczy.

Stali w małej, dobrze zaopatrzonej bibliotece przy jego domowym gabinecie. Alicia spoglądała na ojca z uniesioną brwią, a on uśmiechnął się pod nosem.

- Zdziwiłabyś się, jakie plotki o Kadrze krążą po ministerstwie, Alley. Ja osobiście nie wierzę w te co bardziej fantastyczne, ale nie ma dymu...

Wzruszył ramionami, a Alicia parsknęła śmiechem.

- Wyobrażam sobie, że te plotki dotyczą nieistniejących superurządzeń, które w nas wpychają. Bardzo chętnie opowiedziałabym ci, co naprawdę dostajemy, tato, ale to ściśle tajne i musiałabym cię potem zabić, a to by bardzo rozzłościło mamę. Zwłaszcza gdybym to zrobiła przed kolacją.

- Widzę, że wojsko wyrobiło w tobie podstawowe wyczucie taktyki - powiedział sucho Collum.

- Starali się. Starali.

- Wiem, że się starali. - Ojciec jeszcze przez chwilę patrzył jej w oczy, a potem przyciągnął ją do siebie i mocno uściskał. Choć była wysoka, sięgała czubkiem głowy zaledwie do jego podbródka; wtuliła się w jego pierś tak, jak to robiła, kiedy była o wiele, wiele młodsza. A on, tak jak wtedy, bardzo łagodnie pogładził jej włosy koloru wschodzącego słońca.

Alicia wiedziała, że matka i siostra zabrały jej bagaże - i Steviego - po to, by zostawić ją sam na sam z ojcem. Odwzajemniła jego uścisk.

Collum poczuł siłę jej ramion, mięśnie ukształtowane w wyniku ciężkich treningów, i spróbował okiełznać własne emocje. Już wcześniej podejmował takie próby, ale wcale nie był

bliższy powodzenia niż za pierwszym razem.

Wreszcie odsunął się i wskazał fotele stojące pod autentycznym panoramicznym oknem. Alicia wyjrzała na strzelające w niebo megawieżowce centrum Charlotte i znów nieco kpiąco się uśmiechnęła, a potem przyjęła zaproszenie ojca. Collum usiadł naprzeciw niej, odchylił się do tyłu, aby fotel mógł się ustawić, i wziął głęboki oddech.

- Twoja matka mówiła w imieniu nas wszystkich, że bardzo się cieszymy, widząc cię w końcu w domu, choćby na krótko - powiedział. Alicia przekrzywiła głowę, a ojciec uśmiechnął się. - Nie skarzę się. Twój dziadek i ja sporo o tym rozmawialiśmy, odkąd zgłosiłaś się do Kadry. Naszkicował mi mniej więcej, co musiałaś przejść przez ostatnie miesiące. Mówił, że następne trzy będą jeszcze bardziej interesujące.

- Można to chyba tak ująć... jeśli lubi się niedopowiedzenia - odparła sucho Alicia.

Jej obecna przepustka była chwilą wytchnienia między wstępnymi zabiegami wspomagającymi i czasem zadomawiania się a podstawowym szkoleniem i SZTK - budzącą lęk Szkołą Zaawansowanego Treningu Kadry. Tam Alicia miała dostać nową wspomaganą zbroję i przejść realistyczne szkolenie bojowe. Niejeden Kadrowicz uciekł z SZTK, mimo rygorystycznej preselekcji, ocen i szkoleń, które już przeszedł. SZTK łączyła w swoim programie wszystkie funkcje Camp Mackenzie, Szkoły Rozpoznania i Szkoły Raidersów oraz wysoce specjalistyczne wymagania trzymiesięcznej szkoły przetrwania Kadry, która gwarantowała, że wszystkie inne doświadczenia szkoleniowe będą się przy niej wydawały sielanką.

- Po tych trzech miesiącach - powiedziała z drwiącym uśmiechem - to, co mnie nie zabije, uczyni mnie silniejszą. Kiedy skończę, powinnam być gotowa na następny Imperialny Maraton. Co tam, już jestem w połowie gotowa!

- Faktycznie nieźle wyglądasz, Alley. I choć kilka lat temu wzdragałbym się, żeby ci to powiedzieć, do twarzy ci w mundurze. Oczywiście uważałem, że jako marine też dobrze wyglądałaś.

- Wiem, że nie tego dla mnie chciałeś...

- Nie - przerwał jej. - To nie do końca tak.

Popatrzyła na niego zaskoczona, a on prychnął.

- Kiedy ktoś mówi „nie tego chciałeś”, tak naprawdę ma na myśli „zrobiłem coś, co cię wkurzyło” albo „musiałem bardzo cię zawieść” lub coś w tym rodzaju. A ja nigdy nie byłem na ciebie zły ani nie czułem się zawiedziony wyborami, których dokonałaś.

- Naprawdę? - Teraz to ona odchyliła się na oparcie fotela, z uwagą obserwując wyraz twarzy ojca. - Nigdy nie myślałam, że jesteś na mnie zły, ale muszę przyznać, że czasami

miałam wrażenie, że jesteś... jeśli nie zawiedziony, to przynajmniej niezadowolony z tego, że wybrałam wojsko.

- Alicio, jesteś moją córką. Kiedyś byłaś taka maleńka jak Stevie - pamiętasz to zdjęcie, jak cię trzymam w jednej dłoni? - i wciąż pamiętam, jak pierwszy raz miałaś gorączkę i całą noc spałaś na mojej piersi... i jak płakałaś za każdym razem, kiedy próbowałem odłożyć cię do kojca. Potem ciągle miałaś poobijane kolana i łokcie, a twój uśmiech roztopiał mi serce. A później poszłaś na studia i tak bardzo przypominałaś twoją matkę z czasów, kiedy ją poznałem...

Uśmiechnął się do wspomnień, a potem pokręcił głową.

- Bardzo cię kocham, tak samo jak twoją siostrę i brata, i myśl, że coś mogłoby ci się stać, przeraża mnie bardziej niż cokolwiek innego na świecie. I dlatego byłbym o wiele szczęśliwszy, gdybyś miała jakąś miłą biurową posadę. Najgorsze, o co musiałbym się martwić, to skaleczenie kartką papieru czy wylana kawa.

Ostatniemu zdaniu towarzyszył tak cudaczny uśmiech, że Alicia parsknęła śmiechem. Potem Collum na powrót spoważniał.

- Ale nie mogę cię owinać w bawełnę, choćbym nie wiadomo jak bardzo cię kochał. A może nawet właśnie dlatego. Chyba najtrudniejszą rzeczą dla każdego rodzica jest wypuszczenie dziecka w świat - ale to także rzecz najważniejsza. Jeśli naprawdę kochasz swoje dzieci, musisz im pozwolić być tym, kim chcą być, i nie zmuszać ich do bycia tym, kim ty byś chciał, żeby były. Jeśli będziesz próbował je zmuszać - to najpewniejszy sposób, żeby się od ciebie w końcu odsunęły, a przecież tak naprawdę jakikolwiek zawód byś wybrała, nie gwarantowałby twojego bezpieczeństwa. Jak raz czy dwa razy powiedział twój dziadek - kiedy zdawało mu się, że twoja matka go nie słyszy - *shit happens*.

- A co do... moralnego aspektu twojego wyboru... - Skrzywił się i wykonał gest wyrzucania czegoś do śmieci.

- Twój dziadek i ja bardzo często rozmawialiśmy na ten temat. Nie jestem przekonany, czy w pełni pojął, co na ten temat sędzę, choć z pewnością się starał. Ale generalnie nigdy nie miał zrozumienia dla podejścia pewnej części tak zwanej „elity intelektualnej” Światów Wewnętrznych do spraw wojska. Chciałbym, żebyśmy nie potrzebowali wojska. Chciałbym, żeby nie było na świecie ludzi, którzy uciekają się do przemocy, by osiągnąć swoje cele, i żeby nasi ludzie nie musieli uciekać się do przemocy, by ich powstrzymać. Chciałbym, żeby nigdy nie trzeba było nikogo zabijać, żeby żadnych miast nie trzeba było zmieniać w pola bitwy.

- Ale choćbym nie wiem jak bardzo tego pragnął, tak się nie stanie. A to oznacza, że

potrzebni nam są ludzie, którzy obronią cywilizację przed barbarzyńcami. Potrzebni nam są tacy ludzie jak twój dziadek. I tacy jak ty.

- Ja osobiście nie nadawałbym się do takiej pracy. Nie jestem pewien, czy mam w sobie siłę, by robić rzeczy, których taka praca by ode mnie wymagała. Ale to nie znaczy, że nie jestem wdzięczny ludziom, którzy mogą i podejmują się zadań, do których ja byłbym niezdolny. Nieskończenie bardziej bym wolał, gdyby córka, którą kocham, uniknęła płacenia ceny, którą - jak wiem - już zapłaciłaś. Ale to była cena, którą sama chciałaś zapłacić, i choćbym nie wiadomo jak się o ciebie martwił, jestem z ciebie bardzo, bardzo dumny.

- Naprawdę? - Alicia poczuła, że zaczyna jej drzeć broda. - Nigdy nie wątpiłam, że mnie kochasz, ale zawsze się bałam, że...

- Że w głębi ducha uważam, że „zmarnowałaś swoje życie i talent” na karierę w wojsku - dokończył za nią Collum. - Zdaję sobie sprawę, że to zabrzmiało prawdopodobnie bardziej brutalnie, niż ty byś to wyraziła, ale jestem pewien, że ktoś o twoich zdolnościach zarobiłby o wiele więcej w cywilu. I że byłabyś świetna w każdym zawodzie, który byś sobie wybrała. Ale prawda jest taka, Alley, że jesteś wnuczką swojego dziadka. Mundur, który masz w tej chwili na sobie, mówi mi, jak bardzo twoi przełożeni cenią to, do czego doszłaś w tym zawodzie. Co ważniejsze, sam widzę, że dokonałaś dobrego wyboru. A Bóg mi świadkiem, Imperium potrzebuje takich ludzi.

Alicia spojrzała mu głęboko w oczy i zrozumiała, że każde jego słowo to prawda. Ojciec nigdy nie kłamał.

- Dobrze rozumiem - powiedziała cicho - dlaczego możesz się o mnie martwić. Ale prawda jest taka, tato, że ja się do tego urodziłam. Czasami jest... okropnie, ale i tak do tego właśnie się urodziłam.

- Wiem - odparł Collum równie cicho i w jego szarych oczach pojawiły się cienie. - Wykorzystałem swoje doświadczenia w ministerstwie, żeby dotrzeć do wstępnych raportów o tym, co się działo na Gyantse, Alley. Wiem, za co dostałaś Srebrną Gwiazdę. Wiem, co zrobiłaś, żeby na nią zasłużyć.

- I to ci... nie przeszkadza?

- Oczywiście, że przeszkadza. Zobaczyłem, jak to cię zmieniło, kiedy przyjechałaś do domu na przepustkę między turami. Wtedy nie widziałem jeszcze raportów, ale domyśliłem się - jak się okazało, trafnie - co cię spotkało. Dla siedemnastolatki to było cholernie brutalne dojrzwianie, Alley. Właściwie o wiele bardziej brutalne niż to wszystko, co sobie wyobrażałem, nawet w najgorszych koszmarach. Ale przeżyłaś, i to byłaś ciągle ty. A to... dowód, że miałaś rację. Że nie popełniłaś błędu, podejmując taką decyzję.

- A to? - Dotknęła harfy i statku kosmicznego na kołnierzu zielonego munduru. - Kadra?

- Boję się tego - odparł szczerze Collum. - W porównaniu z zadaniami, jakie dostaje Kadra, Gyangtse to była bitwa na poduszki. Zaufaj mi, ja to wiem. Do tego, szczerze mówiąc, współczynnik strat w Kadrze jest przerażająco duży, choć zważywszy na to, jakie wykonuje zadania, to i tak jest fantastycznie niski. Kadrowiczów bez przerwy wysyła się do walki. Ceną za bycie elitą Imperium są najtrudniejsze, najbardziej niebezpieczne i najkosztowniejsze przydziały, a ja nie chcę dostać tego, co twój dziadek nazywa „listem”, nawet jeśli byłby od samego cesarza, a nie ministra wojny.

- Ale uczciwie uważam, że to dla ciebie odpowiednie wyzwanie. Jak sama mówisz, do tego się urodziłaś. Byłbym o wiele szczęśliwszy, gdybyś urodziła się koncertową skrzypaczką - ale tak nie jest. A więc jeśli zamierzasz nadstawiać karku za Imperium, możesz to równie dobrze robić wśród najlepszych. W końcu sama jesteś jedną z najlepszych, prawda?

- Chciałabym tak myśleć - powiedziała Alicia pogodniejszym tonem, a ojciec posłusznie się roześmiał.

- Ale chyba już wystarczy poważnych spraw - stwierdził. - Pogadajmy o czymś lżejszym. Na przykład czy dostałaś ostatnio od dziadka jakiś list?

- Dostałam, jakieś trzy tygodnie temu.

- Wspominał ci o swoich planach emerytalnych?

- Emerytura? Dziadek? Nie wiem, czy w ogóle go kiedyś puszcza! W Korpusie jest już praktycznie instytucją.

- Ale zaczynają mu już sugerować, że zrobił swoje i pora dać innym pociągnąć wóz.

- Och, on na pewno uwielbia takie uwagi!

- Chyba słyszałem jedną czy dwie kąśliwe odpowiedzi - przyznał z uśmiechem Collum. - Ale z drugiej strony mają rację. Och, to nie to, że robi się za stary, ale faktycznie zrobił już swoje i chyba pora, żeby gdzieś się osiedlił i nacieszył spokojem, którego od tak dawna sobie odmawiał.

- Nie pociągnie nawet pół roku, grając w madzonga i szachy!

- Krew krzepnie w żyłach na samą myśl o twoim dziadku przesuwającym żetony do madzonga. - Collum zadygotał. - I to nie on nie przeżyłby pół roku, tylko wszyscy inni w jego otoczeniu. Dlatego pewnie tego nie robi.

- No, to spora ulga! Ale zakładam, że chcesz mi powiedzieć, co takiego zamierza zrobić?

- Właściwie wszyscy chcemy to zrobić razem z nim.

- Co chcecie zrobić razem z nim?

- Powiedz mi, czy słyszałaś kiedyś o Świecie Mathisona?

- Nie - odparła, patrząc na ojca zmrużonymi oczami.

- Nie dziwię się. - Wzruszył ramionami. - To bardzo ładna planeta. Na pograniczu, za Franconią. Klimat jest dość chłodny, zwłaszcza zimą, ale krajobrazy są tam po prostu wspaniałe. Do rzeczy: przypadkiem wiem, że ministerstwo planuje stworzyć tam nowy Sektor Korony. Nie stanie się to z dnia na dzień, ale w ciągu pięciu czy sześciu lat otworzą Mathisona na ogólną kolonizację i zaczną udzielać preferencyjnych kredytów, żeby ludzi zachęcić do wyjazdu.

- Ale Franconia chyba leży okropnie daleko od wszystkiego? - Alicia zmarszczyła czoło, usiłując sobie przypomnieć tamtejszą astrografię.

- Och, z całą pewnością, przynajmniej w tej chwili! - Collum zaśmiał się. - Ale ja sam dorastałem na planecie bardzo podobnej do Mathisona, a twój dziadek nie będzie się czuł dobrze w zurbanizowanym otoczeniu. Sam system ma strategiczne położenie. Posiada nie jeden, a dwa pasy asteroid, które kiedyś staną się naturalnym zagłębieniem ciężkiego przemysłu. W przyszłości będzie najbardziej odpowiednim miejscem na handlowy punkt przeładunkowy, kiedy w tamtym rejonie granice zaczną się przesuwac. Jako spec od spraw zagranicznych jestem zaskoczony, że jeszcze się tak nie stało. Powinniśmy byli stworzyć tam nowy Sektor Korony lata temu. Za to kiedy już to zrobimy, Korona włoży w to dużo wysiłku i wszystko będzie się działo bardzo szybko w porównaniu z większością fal kolonizacji. Jeszcze piętnaście czy dwadzieścia lat i Mathison będzie się musiał opędzać od aplikantów. Dlatego twoja matka i ja postanowiliśmy zapisać się na wstępną listę.

Alicia zamrugnęła. Wiedziała, że ojciec pochodził z rolniczego świata, ale zawsze widziała go tutaj, na Starej Ziemi, albo podróżującego po galaktyce i załatwiającego sprawy ministerstwa. Był kosmopolitą i trudno jej było wyobrazić go sobie na jakiejś rustykalnej, ledwie zamieszkannej planecie na samym skraju Imperium.

Ale tylko przez kilka chwil. Potem zaczęło do niej docierać, że tak naprawdę świetnie by się tam odnalazł.

- No, to dość nagła decyzja - powiedziała, chcąc zyskać trochę czasu.

- Wcale nie. - Collum pokręcił głową. - Twoja matka i ja zawsze planowaliśmy na starość zamieszkać gdzieś, gdzie nie będzie takiej atmosfery pośpiechu jak na Starej Ziemi. Wprawdzie obecny zawód nie nauczył mnie zbyt wielu rzeczy, które przydałyby się w kolonii, ale przecież wychowałem się w siodle, wypasając stada megabizonów na Silverado. A twoja matka może się osiedlić, gdzie tylko zechce - kolonie zawsze potrzebują dobrych lekarzy. To prawda, nie planowaliśmy tak szybkiej wyprowadzki, ale zebraliśmy już wystarczającą ilość punktów emerytalnych, które możemy zamienić na punkty kolonizacyjne.

Uznaliśmy, że warto je wykorzystać, póki jeszcze jesteśmy dość młodzi, żeby zacząć nowe życie, a biorąc pod uwagę prawdopodobieństwo emerytury twojego dziadka, trzeba już teraz zaczynać.

- Brzmi nieźle - powiedziała Alicia odrobinę smutno.

- Och, uwierz mi, to będzie miało swoje wady. - Collum zaśmiał się. - Nie będzie tak, jak w strasznych opowieściach o pierwszej fali kolonizacji, ale miną dziesięciolecia, zanim Mathison rozwinie techniczną i przemysłową infrastrukturę, którą większość Światów Inkorporowanych uważa za oczywistość. Za to fakt, że to dziewicza planeta, bez pozostałości Ligi, oznacza, że nie będzie tam żadnych ruchów w rodzaju tych jak na Gyangtse. Może przez kilka lat będziemy musieli przemieszczać się konno, ale przynajmniej powinno być dość spokojnie. I oczywiście... - uśmiechnął się - zważywszy na wielkość działek, które dostaną pierwsi koloniści, powinniśmy tam mieć wystarczająco dużo ziemi, żeby starczyło i dla ciebie, kiedy przejdziesz na emeryturę.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

- Witamy w porcie kosmicznym miasta stołecznego Guadalupe Inéz Juanita Meléndez y Redondo de Castillo Blasquita - powiedziała z uśmiechem kapral w mundurze Kadry.

- Żartujesz - powiedziała Alicia.

- O, wcale nie - zapewniła ją kobieta. Plakietka na piersi jej mundurowej bluzy głosiła „Cateau, Tannis”. Kapral była znacznie niższa od Alicii - jak większość kobiet - i krępej budowy ciała. - Właściwie cała planeta nazywa się Guadalupe Inéz Juanita Meléndez y Redondo de Castillo Blasquita. Kapitan pierwszej ekspedycji badawczej był jakąś szyszką z Granady i postanowił ochrzcić ją po swojej matce.

- No to musiał w tym czasie trzymać resztę załogi pod bronią - powiedziała kwaśno Alicia. - Trudno używać takiego tasiemca za każdym razem, kiedy mówi się o jakiejś planecie!

- Nic mi nie wiadomo o broni - Cateau wzruszyła ramionami - ale ma pani rację, że to trochę za długa nazwa. Kolonistom nie chciało się jej oficjalnie zmieniać, ale skrócili ją do „Guadalupe”, i od tamtej pory wszyscy tak ją nazywają.

- W takim razie oddajmy cześć tradycji. - Alicia wyciągnęła rękę. - Alicia DeVries - powiedziała.

- Tannis Cateau - odpowiedziała kobieta. Ścisnęła wyciągniętą dłoń krzepko, ale z pewną ostrożnością, potwierdzając podejrzenia Alicii, że urodziła się i wychowała w znacząco wyższym ciężeniu niż ziemskie i ma odpowiednią do tego muskulaturę.

- Zważywszy na fakt, że jesteśmy jedynymi osobami w tej hali w mundurach Kadry, mój przepotężny intelekt podpowiada mi, że ktoś cię tu po mnie wysłał - powiedziała Alicia.

- Jestem onieśmielona pani zdolnością dedukcji - przytaknęła z uśmiechem Cateau. - Chodźmy po pani sprzęt.

- Prowadź, miejscowy przewodniku.

* * *

- Miło panią widzieć, DeVries - powiedział kapitan Madison Alwyn, kiedy starszy sierżant Pamela Yussuf wprowadziła Alicię do jego gabinetu.

Dowódca kompanii Charlie trzeciego batalionu drugiego pułku piątej brygady Imperialnej

Kadry był o co najmniej piętnaście centymetrów wyższy od Alicii - dawało to blisko dwa metry wzrostu - i bardzo, bardzo czarny. Alicia nie potrafiła umiejscowić jego akcentu, ale ludzkość przez ostatnie siedemset czy osiemset lat zasiedliła mnóstwo światów i większość z nich wytworzyła własne akcenty i dialekty.

Ta sama mnogość planetarnych środowisk spowodowała zachowanie, a w niektórych przypadkach nawet wzmocnienie różnic w budowie fizycznej ludzi, czego przykładem była imponująca sylwetka kapral Cateau. Po kolorze skóry kapitana Alwyna widać było, że jego przodkowie nie osiedli gdzieś w środku zamrożonej tundry.

- Dziękuję, sir - powiedziała Alicia, kiedy wstał zza biurka i uściśnął jej dłoń.

- Wiem, że ma pani za sobą długą podróż ze Starej Ziemi - ciągnął Alwyn - i że dopiero co skończyła pani SZTK. Mając to wszystko na uwadze, naprawdę chciałbym dać pani parę spokojnych tygodni na aklimatyzację...

Przerwał, wciąż trzymając jej dłoń.

- Ale? - spytała po chwili czy dwóch.

- Ale nie sądzę, żeby to było możliwe - odparł, uśmiechając się nerwowo. Puścił jej dłoń i usiadł, wodząc wzrokiem od Alicii do Yussuf.

- Zawsze jest trochę niezręcznie, kiedy zaczynamy dopasowywać nowy kołek do dziurki w Kadrze - podjął. - Czasami sprawa się komplikuje, bo wszyscy nasi ludzie zachowują swoje stopnie, kiedy są tutaj przenoszeni. Zważywszy na to, kogo z reguły werbujemy, mamy tu bardzo dużo młodszych podoficerów. Najmłodszy stopniem Kadrowicz, jakiego pani spotka, będzie kapralem, a sierżantów mamy tu po centykredycie z tuzin. Dlatego nasza organizacja drużyn wygląda trochę dziwnie. Sekcji ogniowych nie prowadzą kaprale, lecz sierżanci, a drużynami dowodzą starsi sierżanci. Czasami starsi sierżanci dowodzą sekcjami, a wtedy drużyny prowadzą sierżanci pierwszej klasy.

Alicia kiwnęła głową. Sytuacja, którą opisywał kapitan, była chyba nieunikniona, a starsi oficerowie Kadry nie uważali tego za coś złego. Kadra dostawała najróżniejsze dziwaczne zadania, w tym czasami rozkaz zorganizowania, wyszkolenia i dowodzenia lokalnymi jednostkami wojskowymi, i w takich sytuacjach nadmiar podoficerów zawsze mógł się przydać. Oczywiście każdy Kadrowicz czy Kadrowiczka byli o jeden stopień wyżsi rangą od swoich nominalnych odpowiedników w regularnym wojsku, co oznaczało, że Alicia była o dwa stopnie wyżej od każdego starszego sierżanta planetarnej milicji. Jako ktoś, kto dziewięć miesięcy wcześniej był marine, Alicia nie była pewna, czy podoba jej się taka inflacja rangi, ale rozumiała kryjącą się w tym logikę.

I nawet jeśli miała jakiegokolwiek wątpliwości co do tej konkretnej zasady, całym sercem

popierała żelazną tradycję Kadry, że wszyscy jej oficerowie muszą wcześniej służyć jako podoficerowie. W Kadrze było trochę oficerów marines czy Floty; niektórzy z nich (w tym przynajmniej jeden oficer Floty, który dochrapał się młodszego stopnia flagowego) byli absolwentami akademii oficerskich swoich formacji, którzy zrezygnowali z patentów, by przyjąć stopień sierżanta Kadry. Alicia podejrzewała, że tacy eks-oficerowie byli prędko awansowani, by mogli jak najszybciej odzyskać dawną rangę, ale i tak najpierw musieli odsłużyć swoje w okopach.

- Jak wszystkie jednostki Kadry - ciągnął Alwyn - zawsze mamy braki personelu. Co w tym wypadku oznacza, że mam drużynę bez dowódcy. Tak się składa, że pani jest starszym sierżantem i logika wskazywałaby, że powinna ją pani dostać. W normalnych okolicznościach kazałbym sierżant Yussuf zaprowadzić panią i przedstawić nowej drużynie, a potem dać pani czas na oswojenie się z sytuacją. Otrzymaliśmy już jednak wstępne rozkazy operacji, która rozpocznie się prawdopodobnie w ciągu najbliższych siedemdziesięciu dwóch standardowych godzin.

- Czytałem pani dossier. Wiem, że cholernie dobrze się pani spisała podczas tej afery na Gyangtse. Widziałem także pani wyniki szkolenia z Camp Cochrane i SZTK. Wiem, że zna się pani na swojej robocie, i nie mam żadnych zastrzeżeń co do pani wieku. - Jego usta wygięły się w uśmiechu. - Nie byłoby pani tutaj, gdyby wszyscy mieli wątpliwości, czy mimo młodego wieku da pani sobie radę.

- Ale nie chcę destabilizować obecnych stosunków służbowych tuż przed rozpoczęciem operacji siłami kompanii. Moi ludzie przygotowują się do niej od prawie dwóch tygodni, a ćwiczenia zaczęliśmy ponad dwa miesiące temu. Byłoby nie fair, gdyby zaczęła pani z marszu dowodzić drużyną ludzi, których pani nie zna, w czasie operacji, do której oni szykowali się miesiącami, a pani nie. Rozumie pani?

- Tak jest, sir - odparła i skinęła głową.

- Dobrze. Kiedy operacja się skończy i kurz trochę opadnie, drużyna będzie na panią czekała. W tej chwili w pierwszym plutonie główny sierżant Onassis nosi dwa kapelusze. Plutonem dowodzi porucznik Strassmann, a Onassis jest sierżantem plutonu i dowodzi także pierwszą drużyną. Jest dobry, ale ma za dużo na głowie. O co mi chodzi? Z pani akt wynika, że jest pani zbyt cennym nabytkiem, żeby siedzieć na ławce rezerwowych, kiedy operacja będzie w toku, a pierwsza drużyna i tak będzie pani, kiedy tylko umilkną strzały. Dlatego przydzielę panią do pierwszego plutonu i pierwszej drużyny, ale jeszcze jej pani nie dam. Będzie pani numerem dwa w drużynie Onassisa. Pewnie sceduje na panią sporo obowiązków, ale to on będzie miał ostatnie słowo, dopóki on - albo ja - nie zadecydujemy inaczej. Jasne?

- Tak jest, sir - powtórzyła Alicia.

- Dobrze. Być może operacja zostanie w ostatniej chwili przełożona - dwa razy już tak było, jednak nie sądzę, żeby znów tak się stało - i wtedy zostanie pani dowódcą pierwszej drużyny i dostanie pani czas, żeby się do tego przyzwyczaić. To, że nie daję jej pani od razu, nie ma nic wspólnego z brakiem wiary w panią. To tylko i wyłącznie kwestia czasu.

- Rozumiem, sir.

- Co wcale nie musi oznaczać, że to się pani podoba - zauważył z uśmiechem Alwyn, a potem machnął ręką, zanim Alicia zdążyła odpowiedzieć.

- Nieistotne. Najważniejsze, że pani to rozumie i że wyciśniemy z pani tyle, ile się da, kiedy ta operacja już się zacznie.

Patrzył na nią jeszcze przez chwilę, potem spojrzał na Yussuf.

- Masz kogoś, kto zaprowadzi ją do Onassisa, Pam?

- Dam ją Cateau.

- Dobrze. - Kapitan znów popatrzył na Alicię. - Kapral Cateau zaprowadzi panią do pierwszego plutonu. Zresztą ona i tak jest w pani drużynie. Rozumiem, że żaden pani ekwipunek nie zgubił się po drodze?

- Nie, sir.

- W takim razie kiedy tylko dogada się pani z Onassisem, proszę dać swoją zbroję do Kostnicy. Niech główny zbrojmistrz ją sprawdzi, a potem proszę iść na strzelnicę i ją przestrzelać.

- Tak jest, sir.

- Przepraszam za ten pośpiech. - Alwyn wstał i znów wyciągnął dłoń. - Naprawdę wszyscy się cieszymy z pani przybycia. Zawsze się cieszymy, kiedy dostajemy nowe ciepłe ciało. Ale jeśli ma pani z nami zabalować, musimy panią jak najszybciej przygotować. Witamy na pokładzie, starszy sierżancie.

- Dziękuję, sir. Postaram się nie zepsuć balu.

* * *

- I tak wygląda plan - powiedział dziewięć godzin później główny sierżant Adolfo Onassis. Odsunął się od stołu wyświetlacza i spojrzał na Alicię. - Co o tym sądzisz?

Alicia nie spieszyła się z odpowiedzią. W głosie niskiego, krępego, smagłego głównego sierżanta wyczuwała lekki ton... wyzwania. Czy raczej testowania, pomyślała.

Przyjrzała się wyświetlonemu na stole terenowi. Ta część planu, pomyślała, jest dość prosta, nawet łatwa. Ale jak powiedział Clausewitz, na wojnie nawet proste rzeczy są trudne,

a tutaj widać, że łatwo można to spieprzyć. Co tłumaczyłoby wcześniejsze wyjaśnienia kapitana Alwyna. Ale jeśli miała być wobec siebie szczerą, to najbardziej martwiły ją konsekwencje polityczne.

Oczywiście nie powinnam się tym martwić, pomyślała, ale chyba za bardzo jestem córką swojego ojca, żeby dać temu spokój. A może to ta sztuczka, którą Jongdomba próbował odstawić na Gyangtse, sprawiła, że wciąż boję się nawet cienia.

Ta ostatnia myśl była w pewien sposób zabawna, bo Guadalupe leżała zaledwie dwa tygodnie lotu od Gyangtse.

Można by niemal powiedzieć, że to moje stare śmieci, zakpiła w duchu.

- Biorąc pod uwagę ograniczenia, wygląda to całkiem dobrze - stwierdziła po kilku chwilach. - Najbardziej martwi mnie chyba podejście. A potem identyfikacja celu.

- Podejście to problem Floty, nie nasz - powiedział Onassis. - Oczywiście muszę przyznać, że sam kilka nocy przez to nie spałem. - Błysnął zębami w krótkim uśmiechu. - A identyfikacja celu zawsze jest trudna w tego typu operacjach. Ale nie dostajemy zadań dlatego, że są łatwe.

Alicia pokiwała głową i skrzyżowała ręce na piersi, marszcząc w zamyśleniu czoło.

Na stole wyświetlacza widać było górską dolinę na planecie Czengczu. Tak samo jak Gyangtse, Czengczu była dawnym Światem Ligi, ale za to nie została zajęta przez Imperium. Była jednym z buforowych Bandyckich Światów między Imperium a Sferą Rishathańską. Leżała w nominalnie niezależnej strefie między dwoma gwiazdnymi narodami i była jednym z czterech równie niezależnych układów gwiazdnych zaangażowanych w coś, co eufemistycznie nazywano „wielostronnymi kolektywnymi negocjacjami w sprawach bezpieczeństwa” z Ministerstwem Spraw Zagranicznych.

Tak naprawdę oznaczało to, że wzmiankowane układy były (przynajmniej zdaniem Imperium) wykorzystywane jako schronienie i bazy wypadowe przez różne „organizacje wyzwolenicze”, stawiające sobie za cel uwolnienie z „imperialnego jarzma nałożonego na karki naszych zniewolonych braci i sióstr”. Imperium wcale się to nie podobało i właśnie było w trakcie załatwiania tej sprawy.

W oczach Imperium „organizacje wyzwolenicze” były po prostu i zwyczajnie organizacjami terrorystycznymi, a zdaniem Alicii było to trafne ujęcie sprawy. Zważywszy na ogromną dysproporcję sił wojskowych Imperium i ich własnych ograniczonych środków, organizacje wyzwolenicze nie były w stanie prowadzić konwencjonalnej wojny, choćby nawet i chciały. Był to klasyczny przypadek wojny asymetrycznej, i jak zwykle w takiej sytuacji, słabsza strona działała poza „zasadami prowadzenia wojny”, które gwiazdne państwa starały

się jej narzucić. Było to absolutnie nieuniknione. I jak Alicia była w stanie stwierdzić, większość organizacji wyzwoleniczych nigdy nie cofała się przed stosowaniem klasycznej terrorystycznej taktyki rozmyślnych okrucieństw.

Jednak w oczach obywateli wielu Bandyckich Światów, a także znaczącej części populacji różnych Światów Korony (jak na przykład Gyangtse), tacy ludzie byli patriotami. Co gorsza, byli wspierani przez wszystkich tych, którzy źle życzyli Imperium. Rish na przykład potajemnie ich finansowali, podobnie jak niektóre z potężniejszych Światów Bandyckich.

Światy Bandyckie musiały bardzo uważać ze wspieraniem organizacji, które Imperium uznało za terrorystyczne, mając na uwadze długą imperialną tradycję traktowania przyjaciół swoich wrogów również jako wrogów. Akty terroryzmu były działaniami wojennymi - Imperium tak je traktowało - i każdy, kto wspierał działania wojenne, był traktowany jako współwinny. Dlatego właśnie żaden Świat Bandycki nie mógł sobie pozwolić na skojarzenie go z atakami terrorystycznymi na imperialnych obywateli - chyba że lubił wizyty pancerników Floty i dużej liczby wyjątkowo nieuprzejmych marines.

Dopóki jednak można było bezpiecznie zacierać ślady, wiele niezależnych Bandyckich Światów, zaniepokojonych tempem ekspansji Imperium, uważało, że wspieranie wszelkich „ruchów wyzwoleniczych” to bardzo dobry pomysł na spowolnienie tej ekspansji. Nie mówiąc już o tym, że w wielu przypadkach rządy Bandyckich Światów, podobnie jak ich mieszkańcy, autentycznie popierali dążenia niepodległościowe bojowników.

Obecnie Czengczu i jego sąsiedzi - Cotterpin, Onyx i Huan-ku - byli pod coraz większą presją Imperium, by ograniczyć działania różnych zbrojnych ugrupowań, które robiły wypadki z ich terytorium. Cała czwórka pod przewodnictwem Onyxa bynajmniej nie była tym zachwycona, ale ich rządy doskonale wiedziały, że w końcu będą musiały ulec imperialnym żądaniom. Gdyby nie podjęły zdecydowanych kroków, prędzej czy później Imperium rozpoczęłoby wobec nich jednostronne działania.

Negocjacje wlokły się dłużej, niż Alicia się spodziewała. Było dla niej oczywiste, że imperialni negocjatorzy dostali od ministra spraw zagranicznych Madisona polecenie, aby nie dopuścić do dalszego pogłębiania się niechęci miejscowych wobec Imperium. To dlatego wykazywali niezwykłą cierpliwość i opierali się na pewno potężnej pokusie pomachania wielkim, sękatym kijem przed kolektywnym nosem drugiej strony.

Niestety, na Gavinie Muellerze, ministrze spraw zagranicznych Onyksa, rzeczniku Grupy Czterech (jak nazwano cztery rzeczony Bandyckie Światy), owa powściągliwość nie robiła zbyt wielkiego wrażenia.

Uważał, że nie ma żadnych dowodów na to, iż jakakolwiek nielegalna organizacja działa z ich terytorium. Imperium, twierdził, jest rażąco niesprawiedliwe, żądając, by cztery planety wzięły na siebie odpowiedzialność za pół tuzina innych, mniejszych Światów Bandyckich w ich sektorze. Choć był gotów przyznać, że niektóre z tych światów mogą być zapleczem terrorystów, nierozsądnie byłoby się spodziewać, że Grupa Czterech obejmie je jakimś międzygwiazdowym dozorem policyjnym. Ich sąsiedzi sprzeciwiliby się takim posunięciom, a poza tym koszty takiej operacji byłyby niebanalne.

- Czy ta Grupa Czterech naprawdę jest tak uparta, jak się wydaje? - spytała Alicia.

- Kto to może wiedzieć? - Onassis wzruszył ramionami. - Może wychodzą z założenia, że dopóki gadają, nic nie muszą robić. Ale nie mogą być zachwyceni myślą o Flocie patrolującej ich sektor. Oczywiście... - uśmiechnął się nieco ponuro - my też nie jesteśmy nią zachwyceni. Flota nigdy nie ma wystarczającej liczby jednostek, by być wszędzie tam, gdzie być powinna. Byłoby nam o wiele wygodniej, gdyby Grupa Czterech po prostu sama zajęła się tym problemem. Nikt nie oczekuje od nich, że wytną wszystkie organizacje terrorystyczne, które tam działają - byłoby to dość nierealne - ale chcemy mieć pewność, że oni sami nie będą wspierać terrorystów i że chociaż trochę utrudnią to tym niezależnym systemom, które według nich są kryjówkami zbrodniarzy.

- Ale jeśli to zrobią, ich wyborcy potraktują to jak kolaborację z Imperium - powiedziała kwaśno Alicia, a Onassis kiwnął głową.

- Racja. Wzięli trochę na wstrzymanie, odkąd negocjacje stały się gorące, ale nasz wywiad... - wskazał stół wyświetlacza - znalazł dość jednoznaczne dowody na to, że Cotterpin i Huan-ku wciąż oferują schronienie przynajmniej trzem odrębnym „grupom wyzwoleńczym”.

- A Onyx? Czy Onyx naprawdę uważa, że inni nie wspierają terrorystów? To znaczy aktywnie - dodała Alicia, kiedy Onassis popatrzył na nią ostro. - Mówi pan, że wzięli na wstrzymanie. Czy to możliwe, że Onyx daje się na to nabrać?

- Wszystko jest możliwe. A czy prawdopodobne? Osobiście nie sądzę, że Onyx to kupuje. Co oczywiście nie powstrzymuje Muellera przed łganiem nam w żywe oczy. I stąd właśnie nasza mała wycieczka na Czengczu.

- Oczywiście.

Alicia kiwnęła głową. Gdyby Kadra zdobyła bazę terrorystów na terytorium jednego z członków Grupy Czterech - i udokumentowała ten fakt - minister spraw zagranicznych Onyksa nie mógłby dalej twierdzić, że nikt z nich nie wspiera terrorystów.

Oraz, pomyślała ponuro, byłoby to również ostrzeżeniem, co może się stać, jeśli sami nie

ruszą tyłków i nie zrobią czegoś z terrorystami. Najwyraźniej ktoś po naszej stronie uznał, że jednak trzeba raz czy dwa machnąć kijem.

- Największy problem - przyznał Onassis - polega na tym, że nasze informacje wywiadu mają krótki żywot. To... - znów postukał w stół wyświetlacza - jest zwykle normalna góraska dolina z kilkoma osadami. A potem nagle rozstawiają tu i tu... - wskazał dwa punkty na wyświetlaczu, niedaleko największych stałych miejscowości - obozy. Za każdym razem prowadzą około dwumiesięczne szkolenie, a potem się zwijają i za jakiś czas przylatuje następna partia. Odbywa się to bardzo nieregularnie. Wygląda na to, że Sojusz Wolności zapewnia im kadry szkoleniowe. Przez te obozy przewija się naprawdę dużo ludzi - więcej, niż potrzebowałyby pojedyncze ugrupowanie „wyzwoleńcze” - i wszystko wskazuje na to, że działają tylko wtedy, kiedy zachodzi potrzeba. Dlatego jeśli mamy zamiar coś z tym zrobić, musi to być podczas fazy ich aktywności. I musimy zrzucić naszych ludzi, zanim tamci po prostu zwieją i mieszają się z ogółem mieszkańców.

- Ale jeśli rząd Czengczu faktycznie aktywnie współdziała z tymi ludźmi, uprzedzi ich, że lecimy... jeśli będzie wiedział - mruknęła Alicia.

- Otóż to.

Alicia spojrzała na Onassisa.

- Teraz rozumiem, dlaczego kapitan Alwyn nie był zbyt zadowolony na myśl o wprowadzeniu nowego dowódcy drużyny przed taką operacją - powiedziała.

- Cieszę się, że to słyszę. - Po raz pierwszy Onassis uśmiechnął się szczerze i szeroko. - Ponieważ dołączyłaś do rodzinki dopiero dzisiaj po południu, przydzielę ci na skrzydło doświadczonego przewodnika.

Alicia uniosła brew, a sierżant zaśmiał się.

- Już ją poznałaś - to Cateau. To między innymi medyk drużyny, ale radzi sobie też z innymi rzeczami, jest dobrze poinformowana i uczestniczyła we wszystkich dotychczasowych próbach.

Według standardów Korpusu pododdziały Kadry były stanowczo za duże. Podczas gdy drużyna marines składała się z trzynastu ludzi podzielonych na dwie sekcje ogniowe, w skład drużyny Kadry wchodziło osiemnastu ludzi, podzielonych na dziewięć dwuosobowych sekcji. Członkowie każdej sekcji byli do niej przydzielani na stałe i nazywani „skrzydłowymi” albo, bardziej powszechnie, „skrzydłami”. Każda drużyna dzieliła się na grupy Alpha i Bravo, składające się z czterech par skrzydeł; dziewiątą tworzyli dowódca drużyny i jego skrzydło.

Alicia, doświadczona w doktrynie taktycznej marines, w pierwszej chwili miała wątpliwości co do sensowności takich rozwiązań. Wynikało to jednak częściowo z tego, że

nie zdawała sobie sprawy, iż wyszkolenie i wyposażenie Kadry jest bardzo elastyczne. Podczas gdy wszystkie drużyny marines, od zwykłych liniowych po rozpoznawcze czy Raidersów, były zbudowane wokół ciężkiej broni wspartej karabinami, wszyscy żołnierze Kadry umieli z taką samą wprawą posługiwać się ciężką bronią, jak i własnymi karabinami, nie wspominając o obsłudze ciężkich pojazdów. W wielu przypadkach byli także przeszkoleni w obsłudze żądź i promów szturmowych - dzięki czemu możliwości działania każdego oddziału Kadry były... imponujące.

Ponadto Kadra przystosowywała swojej oddziały do konkretnych zadań. Na przykład podczas planowanego zrzutu na Czengczu kompania Charlie miała działać w lekkiej konfiguracji - niemal wszyscy żołnierze mieli być uzbrojeni w karabiny, a tylko jedna para skrzydeł w każdej drużynie miała mieć ciężką broń. Gdyby napotkali większy opór, mieli przeformować swoje uzbrojenie do ciężkiego trybu szturmowego, kiedy to w każdej drużynie byłoby tylko jedno skrzydło z karabinami szturmowymi, a wszyscy pozostali mieliby karabiny plazmowe, kaliope, ciężkie granatniki albo wyrzutnie rakiet.

Było to oczywiście możliwe tylko dzięki połączeniu doskonałego wyszkolenia Kadry i jej dużego budżetu. Alicia nie miała już żadnych wątpliwości - wystarczająco dobrze poznała Tannis Cateau - że Onassis wprost doskonale wybrał jej skrzydło.

- Na ile możemy wierzyć danym wywiadu? - spytała, a kiedy Onassis popatrzył na nią, wzruszyła ramionami. - Lecimy tam bardzo lekko wyposażeni - zauważyła. - Zakładając, że ocena wywiadu jest trafna, powinno nam to wystarczyć. Ale jeśli źle podliczyli słupki, może nam się zrobić trochę gorąco, jeśli nie będziemy mieli więcej ciężkiego sprzętu.

- Słuszne pytanie. Najlepsza odpowiedź, jakiej mogę udzielić, to że według kapitana Wattsa - z batalionu Os, przydzielonego na ten jeden raz do kompanii Charlie - to materiał klasy alfa. Najwyraźniej ma do niego duże zaufanie, a to człowiek, który zna się na rzeczy. Udało nam się potwierdzić większość informacji wywiadu z niezależnych źródeł.

Teraz to on wzruszył ramionami.

- Żadne informacje nigdy nie są doskonałe, i jeśli te nie są... - niespodziewanie się uśmiechnął - to przynajmniej twoje dzisiejsze wyniki na strzelnicy wskazują, że nam się przydasz, kiedy sprawa weźmie w łeb. Zakładając oczywiście, że tym razem dostaniemy rozkaz wylotu.

- Kapitan Alwyn wydaje się uważać, że dostaniemy.

- A skipper ma z reguły nosa do takich rzeczy. Z drugiej strony już dwa razy byliśmy w stanie gotowości. Za pierwszym razem namierzaliśmy ich za blisko końca cyklu szkoleniowego. Zanim byśmy tam dolecieli, zwinęliby obóz i zniknęli. Nie jestem pewien, co

się stało za drugim razem. Gdybym miał zgadywać, postawiłbym duże pieniądze, że jakiś dupek z ministerstwa uznał, iż musimy „okazać powściągliwość”, bo rozmowy znalazły się w „delikatnym punkcie”.

Przewrócił oczami z wymownym obrzydzeniem, a Alicia skrzywiła się. Prawdopodobnie była bardziej pobłażliwa dla tych, których czasami nazywano „garniturami w prążki”, niż większość wojskowych, ale teraz sama była jednym ze strzelców i na własne oczy widziała, jakie sprawy politycy i politykierzy potrafią zrzucić na barki wojska. Wiedziała, że przywiązywanie się do bezpośrednich siłowych rozwiązań w stosunkach międzygwiezdnych jest niebezpieczne, ale miała wrażenie, że tym razem akurat jest to jedna z tych sytuacji, kiedy najlepszym wyjściem jest „wzięcie większego młotka”.

A Kadra, pomyślała, znów patrząc na stół wyświetlacza, to cholernie duży młotek, jak się nad tym zastanowić.

I w tym momencie zdała sobie sprawę, że zrobiło jej się trochę żal gwoździ.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Z zewnątrz HMS „Marguerite Johnsen” prezentował się zupełnie nieciekawie.

Frachtowiec - w oficjalnych papierach wymieniony jako IMS, czyli Imperial Merchant Ship (Imperialny Statek Handlowy), a nie HMS, czyli His Majesty's Starship (Okręt Jego Wysokości) - był nieduży jak na transportowca z napędem Fasseta. Miał zaledwie tysiąc metrów długości i był poobijany i zużyty, jakby jego właściciele nie mogli - albo nie chcieli - pozwolić sobie na należyte naprawy i serwis. Gdyby ktoś zbadał go dokładnie sensorami, odkryłby, że napęd Fasseta statku najwyraźniej pochodzi z demobilu Floty. Mógłby też zauważyć, że napęd jest wyjątkowo potężny jak na frachtowca tej wielkości i że przynajmniej dwadzieścia procent jego węzłów jest obecnie wyłączonych - co bez wątplenia również wskazywało na potrzebę dokonania napraw.

Od środka wszystko wyglądało zupełnie inaczej.

Alicia DeVries siedziała z pozostałymi opancerzonymi członkami „swojej” drużyny w kajucie bojowej, która miała być ładownią numer jeden „Marguerite Johnsen”, i starała się emanować pewnością siebie, oczekując na ostateczne potwierdzenie, że tym razem operacja naprawę ma się rozpocząć. A na lśniąącym mostku frachtowca jego oficerowie - połączeni z kapitanem Alwynem przez jego synth-złącze - zastanawiali się nad odczytami wyjątkowo skutecznych pasywnych sensorów oraz zakamuflowanych dronów zwiadowczych, które statek wypuścił niedługo po wejściu w podświetlną. Statek miarowo wytracał pęd w kierunku celu na orbicie Czengczu przy piętnastu G; zostało im jeszcze jakieś osiemnaście minut do zaprogramowanego punktu zrzutu.

- Dobra, ludzie - rozbrzmiał niski głos Alwyna na sieci ogólnej. - Mamy potwierdzenie. Cel jest gorący. Nie widać żadnych znaczących zmian od ostatniego raportu, chociaż Buk Dwa chyba dodał do swojego rozkładu piętnastu czy dwudziestu kursantów. Zbierać się. Herszt, bez odbioru.

- Słyszał pan, Adolfo - powiedział chwilę później porucznik Strassmann na wydzielonej sieci pierwszego plutonu.

- Tak jest, sir - potwierdził główny sierżant Onassis. - Dobra, ludzie. Do rur i zapinać się.

Prowadząca drużyna plutonu - osiemnaścioro mężczyzn i kobiet - wstała i ustawiła się gęsiego do starannie ukrytych rur desantowych, które były prawdziwym powodem istnienia

„Marguerite Johnsen". Zewnętrzne mikrofony Alicii były włączone; podkreśliła je na tyle, że słyszała cichy jęk „mięśni" egzoszkieletów wspomaganych zbroi. Ludzki słuch nie byłby w stanie tego wychwycić, nawet gdyby człowiek stał tuż obok takiej zbroi - i właśnie między innymi tym różnił się sprzęt Kadry od sprzętu Korpusu.

Alicia i Tannis Cateau zatrzymały się między dwoma włazami rur Alpha i Alicia osobiście zaczęła sprawdzać za pomocą monitorów swojej zbroi dowódcy odczyty wszystkich pozostałych pancerzy, kiedy reszta drużyny mijała je i znikła w otworach.

Sierżant Alan McGwire, dowódca sekcji Alpha, stał po prawej stronie Alicii, przed włazem na sterburcie, i robił to samo ze swoimi ludźmi. Sierżant Lawrence Abernathy, dowódca Bravo, był po drugiej stronie, przy włazie lewoburtowym. Obaj znali członków swoich sekcji o wiele lepiej niż Alicia swoich. Czuli się niemal wyobcowana, kiedy wszyscy wymieniali ostatnie spojrzenia przed zrzutem. Zdawała sobie dotkliwie sprawę, że znów jest najbardziej zielona w całej grupie. Nominalny dowódca czy nie - dla nich była jeszcze większą niewiadomą niż oni dla niej.

Ostatnia para żołnierzy znalazła się na swoim miejscu, a zaraz za nimi dwaj dowódcy sekcji i Cateau; potem przyszła kolej na Alicię.

Przewinęła się przez właz, poruszając się we wspomaganiej zbroi tak samo swobodnie i naturalnie, jak w mundurze, i przyjęła konfigurację desantową. Uprząż oplotła jej opancerzony tors, a potem poczuła charakterystyczny lekki szcęk zapinających się magnetycznych zamków. Pępowiny uprząży podpięły się do zbroi, a synth-złącze nawiązało łączność z jej komputerami. Jako ostatnia wchodząca do prawoburtowej rury Alicia miała być zarazem pierwszą desantowaną, i gdyby cokolwiek pokręciło się z jej uprzążą, ona i osoba tuż za nią byłyby przeszkodą dla reszty pierwszej drużyny.

Ale nic nie może pójść źle, upomniała stanowczo samą siebie, a szybki rzut oka na HUD potwierdził, że wszystkie systemy desantowe są zielone, i to nie tylko u niej, ale u wszystkich żołnierzy pierwszej.

- Sztucer-Dwa - powiedziała na sieci plutonu. - Tu Winchester-Jeden. Pierwsza drużyna gotowa do zrzutu.

- Winchester-Jeden, Sztucer-Dwa potwierdza gotowość do zrzutu - odparł Onassis.

- Sztucer-Dwa, tu Weatherby-Jeden - usłyszała starszego sierżanta Henry'ego Gilroya. - Druga drużyna gotowa do zrzutu.

- Weatherby-Jeden, Sztucer-Dwa potwierdza gotowość do zrzutu.

- Sztucer-Dwa, tu Mauser-Jeden - odezwała się z kolei sierżant pierwszej klasy Celestine Hillman. - Trzecia drużyna gotowa do zrzutu.

- Mauser-Jeden, Sztucer-Dwa potwierdza gotowość do zrzutu.

Onassis umilkł na chwilę - najwyraźniej sprawdzał własne odczyty - a potem Alicia usłyszała meldunek dla porucznika Strassmanna.

- Sztucer-Jeden, tu Sztucer-Dwa. Pierwszy pluton gotowy do zrzutu.

- Potwierdzam gotowość do zrzutu - odparł Strassmann. - Wszystkie Sztucery, przygotować się. Zegar tyka. Zrzut za trzynaście minut od... teraz.

Alicia rozluźniła się, zamknęła oczy i zaczęła wolno i głęboko oddychać. Wielu ludzi, nawet spośród tych, którzy mieli za sobą dziesiątki zrzutów, cierpiało na lęki desantowe. Często dochodziła do tego lekka klaustrofobia, choć nikt cierpiący na jej poważną odmianę w ogóle nie mógłby zostać przeszkolonym komandosem. Sama Alicia czuła w tej chwili pewne napięcie, ale nie miało ono nic wspólnego z techniką zrzutu.

No, przynajmniej niewiele.

Otworzyła oczy i popatrzyła przez zasłonę na sufit rury desantowej, zlokalizowany szesnaście centymetrów od czubka jej nosa. Nie było na co patrzeć, więc z powrotem zamknęła oczy i po raz kolejny sprawdziła systemy.

Jej kadrowa zbroja wciąż była dla niej trochę jak nowa wspaniała zabawka. Podstawowa zbroja wspomagana, będąca na wyposażeniu piechoty liniowej marines, była tak samo dobra, jak sprzęt bojowy wydawany wszystkim pierwszoliniowym formacjom wojskowym w całej zbadanej galaktyce. Wyspecjalizowane broje elitarnych Raidersów były o wiele lepsze, głównie dlatego, że Raidersi - tak jak rozpoznawanie - musieli się rekrutować z sześćdziesięciu paru procent ludzkości zdolnej do obsługi neurozłączy. Oznaczało to, że mogli odczytywać dane bezpośrednio z sensorów zbroi, systemów diagnostycznych i komputerów taktycznych, i w ten sam sposób wysyłać im polecenia, co ogromnie ułatwiało kontrolę zbroi. Raidersi prawdopodobnie byli najslabiej wykrywanymi żołnierzami piechoty w znanym wszechświecie i wyjątkowo niebezpiecznymi - mieli wytrzymałość ciężkiego czołgu ery prekosmicznej i siłę ognia wystarczającą, by w pojedynkę anihilować całą kompanię planetarnej milicji. Standardowa zbroja wspomagana marines miała podobną siłę, ale nie mogła się równać z wszechstronnością sprzętu Raidersów.

Z rozpoznaniem było oczywiście inaczej. Dla nich najważniejsza była niewykrywalność, a nie siła ognia. Raidersi byli specjalistami od naukowo zorganizowanego zniszczenia, subtelni jak piła łańcuchowa, zaś rozpoznawanie specjalizowało się w zdobywaniu informacji potrzebnych Raidersom do planowania swoich operacji - najlepiej tak cicho, żeby źli goście nie spostrzegli, że zostali wykryci.

Ale zbroja bojowa Kadry deklasowała zbroję Raidersów przynajmniej o tyle, o ile zbroja

Raidersów przewyższała klasyczną zbroję marines. A właściwie nawet bardziej.

Zbroje Kadry były produkowane z zastosowaniem nowoczesnych kompozytów - niewyobrażalnie drogich, ale umożliwiających skonstruowanie lżejszego, szybszego i do tego bardziej wytrzymałego pancerza niż zbroja Raidersów. Mogły działać o wiele dłużej dzięki użyciu małego, niezwykle kosztownego reaktora zimnej fuzji, uwalniającego je od konieczności polegania na wielkich akumulatorach nadprzewodnikowych. Jakość ich kamuflażu - kameleona była co najmniej dwa razy taka jak pasywnych zbroi rozpoznania. Miały lepsze sensory i o wiele lepsze wsparcie komputerowe. To nie wszystko. Choć standardowy „karabin” Kadry strzelał pociskami o znacznie mniejszym kalibrze niż standardowy „karabin” zbroi wspomaganą marines, wystrzeliwał je z większą prędkością, a jego użytkownik mógł ze sobą nosić o wiele więcej amunicji.

Do tego fakt, że każdy Kadrowicz musiał tolerować synth-złącza, a nie tylko neuroreceptory, pozwalał na fuzję człowieka i techniki w takim stopniu, na jaki nie mogli liczyć nawet Raidersi. Przez aktywowane synth-złącze Alicia dosłownie „widziała” promieniowanie elektromagnetyczne i „smakowała” sygnatury termiczne. Mogła w absolutnej ciemności śledzić wzrokiem nakreśloną przez radar trajektorię nadlatującego ostrzału i jednocześnie analizować dane ze zdalnie sterowanych czujek, tworząc z tego wszystkiego pełny obraz środowiska walki. Kadrowicz nie nosił swojej zbroi bojowej; jej systemy dosłownie stawały się przedłużeniem jego własnych mięśni i zmysłów, tak że sprzęt i człowiek zlewały się w jedną supersprawną, niewiarygodnie zabójczą całość.

Oczywiście ważna też była kwestia kosztów. Kadrowiczów było maksymalnie czterdzieści tysięcy, a imperialnych marines - dosłownie miliony. Prawdopodobnie najbardziej zadowolone z tego było Ministerstwo Skarbu - każda zbroja Kadry kosztowała więcej niż prom szturmowy klasy „Leopard”, który potrafił zdesantować trzydziestu jeden w pełni opancerzonych marines, oraz dodatkowe przygotowania ogniowe i paliwo, którego ów prom potrzebował, by zapewnić marines wsparcie ogniowe po wysadzeniu ich na ziemię.

Nawet Imperium Ziemi nie mogło sobie pozwolić na taki koszt wyekwipowania swoich marines - zakładając, że wszyscy oni tolerowaliby synth-złącza. Mogło jednak uzbroić w ten sposób Kadre, co poniekąd tłumaczyło, dlaczego siła bojowa Imperialnej Kadry Seamusa II miała zupełnie inną wartość niż siła każdej innej formacji.

- Przygotować się do zrzutu - odezwał się w implancie Alicii beznamiętny głos cyber-synthowej SI „Marguerite Johnsen”, wrywając ją z zamyślenia. - Zrzut za sześćdziesiąt sekund.

Alicia poczuła, że spina się w oczekiwaniu na wstrząs.

- Pięćdziesiąt. Czterdzieści. Trzydzieści. Dwadzieścia. Dziesięć... dziewięć... osiem... siedem... sześć... pięć... cztery... trzy... dwa... jeden... zrzut.

Wyjątkowo złośliwy muł kopnął ją prosto między łopatki.

A przynajmniej tak to odczuła. W SZTK wykonała osiem wymaganych zrzutów kwalifikacyjnych i dwadzieścia treningowych (oraz ponad trzydzieści symulowanych), i ogólnie rzecz biorąc, ten był po prostu kolejnym zrzutem. Katapulta rury pchnęła uprząż desantową zapiętą magnetycznie na jej zbroi przez lśniąca tubę z przyspieszeniem stu sześćdziesięciu G. Uprząż pociągnęła za sobą Alicię, a jej antygravitacja i poduszka inercyjna zredukowały odczuwalne przyspieszenie do „zaledwie” piętnastu G, co zdaniem Alicii w zupełności wystarczyło. Nigdy nie zemdląła - pozycja desantowa „nogami do przodu” i wyściółka skafandra ciśnieniowego wbudowana w antykinetyczne systemy zbroi pomagały ograniczyć odpływ krwi z mózgu - ale już przy pierwszym zrzucie uznała, że wie, jak się czuje armatnia kula.

Dwie nieskończenie długie sekundy później opuściła dwukilometrowe elektromagnetyczne przedłużenie katapulty i pomknęła z prędkością ponad siedmiuset kilometrów na godzinę prosto w atmosferę Czengczu.

Nawet zbroja nie ochroniłaby jej przed skutkami tak ostrego wejścia w atmosferę, ale do tego służyła uprząż desantowa. Mogła sprawić, że zrzut nie tylko da się przeżyć, ale że jeszcze będzie przyjemny. Pole przyciągające/odpychające uprzęży rozwinęło się, tworząc wokół Alicii niematerialny, ogromnie wytrzymały, ukształtowany aerodynamicznie bąbel. Żar, światło i turbulencje wyły na powierzchni bąbla, kiedy spadała jak pocisk w grubą powłokę powietrza Czengczu, i jeśli nie było to miłe, to na pewno ogromnie ekscytujące, niczym lot w samym sercu gwiazdy. Żaden cywil nie mógł czegoś takiego doświadczyć.

Chroniona przez bąbel i zamknięta w nim zbroję, poczuła, że wszechświat zaczyna zwalniać - to skutki działania pierwszych kropli tik-taka w jej krwiobiegu.

Kompania Charlie pędziła w dół, w stronę gór Muztagh Ata, jak rój mknących do domu meteorów, i nawet najlepsze systemy kamuflujące w galaktyce nie byłyby w stanie ukryć wizualnych i cieplnych sygnatur jej nadejścia.

Ale oczywiście gdyby ktoś spojrział w nocne niebo i ją zobaczył, byłoby już o wiele za późno, by coś z tym zrobić.

* * *

Alicia nawet się nie obejrzała, kiedy Tannis Cateau zajęła pozycję na jej lewej flance. Jeśli Cateau miała jakieś wątpliwości co do pójścia w bój ze skrzydłem, z którym nigdy nie

ćwiczyła nawet w symulatorze, dobrze je ukrywała. Alicia doceniała to, tym bardziej że znalazła chwilę, żeby przejrzeć jej akta. Kapral-medyk była bardzo doświadczonym wojownikiem w walce na bliski dystans. Co oznaczało, że dobrze wiedziała, w co się pakuje ze skrzydłem - żółtodziobem, i że jej milczenie na ten temat nie było wynikiem nadmiernej pewności siebie czy ignorancji.

Alicia spojrzała na swój HUD. Drugi pluton porucznik Franceski Masolle był odpowiedzialny za północny, mniejszy z dwóch obozów szkoleniowych, któremu przydzielono nazwę kodową Buk Jeden. Pierwszy pluton porucznika Strassmanna miał się zająć Bukiem Dwa, większym obozem, a trzeci pluton porucznika Paála Ágstrona miał wylądować między obozami. Dwie z jego trzech drużyn miały być rezerwą kompanii, a trzecia - wesprzeć pierwszy pluton w szturmie na Buk Dwa.

Drużynie Alicii przydzielono zadanie bezpośredniej rezerwy taktycznej; miała osłaniać drugą drużynę Gilroya w czasie natarcia i połączyć się z rezerwą trzeciego plutonu, kiedy ludzie Paála dołączą do pierwszego plutonu. Początkowo pierwszej i drugiej drużynie przydzielono inne zadania, ale nagłe pojawienie się nowego dowódcy drużyny zmusiło Strassmanna do zmiany celów. Bez wątpienia po to, by główny sierżant Onassis mógł mieć na mnie oko, pomyślała Alicia.

Taki w każdy razie był plan, ale już od samego początku było kilka potknięć.

Pierwszy pluton został trochę rozrzucony - w bezpośrednim wejściu w atmosferę było to prawie nieuniknione, nawet jeśli ludzie byli świetnie wyszkoleni i bardzo doświadczeni - ale wszystkie pary skrzydeł obu drużyn szybko się odnalazły. Teraz żołnierze z drużyny Alicii zajmowali wyznaczone pozycje, wykonując dzięki zbrojom długie, niskie skoki. Alicię kusiło, żeby im coś powiedzieć, choćby po to, żeby wiedzieli, że nowa się nie pogubiła, ale zdawała sobie sprawę, że nie powinna tego robić. Dlatego siedziała cicho i cierpliwie obserwowała, jak poruszają się szybko i płynnie, chociaż z powodu efektu spowalniania czasu przez tik-taka każdy skok wydawał się trwać niemożliwie długo.

Ale podczas gdy pierwszy pluton szybko zbierał się do kupy, ikonki trzeciego o wiele wolniej ustawiały się w coś przypominającego szyk. Niektóre właściwie wcale się nie poruszały.

- Winchester-Jeden, tu Sztucer-Dwa - rozległ się w jej implancie głos Onassisa, kiedy razem z Cateau ruszyła za pierwszą linią swojej sekcji Alpha; zielony kod danych na HUD-zie oznaczał, że sierżant mówi do niej przez zamknięte połączenie.

- Sztucer-Dwa, tu Winchester-Jeden - zgłosiła się.

- Ludzie porucznik Masolle nawiązali kontakt z Bukiem Jeden - powiedział Onassis. -

Wygląda na to, że przyłapali ich ze spuszczoneymi gaciami. Jej szpica przebiła już ich zewnętrzny perymetr. To dobre wiadomości. Złe są takie, że ludzie porucznika Paála wylądowali w samym środku zasranego bagna.

Alicia poczuła, że jej brwi się unoszą. Murphy - i wcale nie chodziło o członka domu panującego - był niezawodny, pojawiał się w czasie każdej operacji. Lądowanie w bagnie, nawet dla komandosów w zbrojach Kadry, było gwarancją rozpieprzenia każdego planu taktycznego. Błoto działało jak klej, jeśli zbroja bojowa uderzyła w nie odpowiednio mocno i wbiła się wystarczająco głęboko. Jakim cudem wstępne rozpoznanie nie ujawniło bagna na samym środku planowanej osi ataku?

- Nie było go tam, kiedy ostatnio rozglądaliśmy się tutaj - ciągnął Onassis. - Pamiętasz ten staw kawałek w dół strumienia od Buku Jeden? Wygląda na to, że tama puściła albo postanowili ją otworzyć. Cały ten suchy, płaski teren na północ od naszego celu to teraz rozlewisko.

Alicia skrzywiła się.

- A to oznacza, że trzeci pluton nie będzie mógł nas wesprzeć w ataku na Buk Dwa przez co najmniej dwadzieścia minut, a my nie możemy tak długo czekać, bo ptaszki wymkną się nam z sieci. Dlatego zamiast osłaniać flankę Gilroya, będziecie musieli zastąpić ludzi Paála i wejść na Alfa-Pięć.

Na HUD-zie Alicii zatańczyła jasna ikona oznaczająca punkt, w którym wyschnięte koryto strumienia - przynajmniej dalej jest suche, pomyślała kwaśno - przecinało perymetr obozu szkoleniowego pod kryptonimem Buk Dwa.

- Teraz będę trochę bardziej zajęty, zważywszy na tę małą zmianę planów, dlatego nie będę mógł z wami iść, tak jak to było zaplanowane. Chodzi mi o to, że teraz drużyna jest twoja. Zrozumiano?

- Zrozumiano - odparła Alicia, zadowolona, że jej głos brzmi tak spokojnie.

- Ostatnia rzecz. - Głos Onassisa nabrał stanowczości. - Porucznik Masolle potwierdziła obecność w Buku Jeden dzieci i nieuzbrojonych ludzi. Od tej chwili obowiązują zasady starcia Delta.

- Potwierdzam, ZS Delta - odparła.

- W takim razie pomyślnych łowów - zakończył wesoło Onassis; Alicia podejrzewała, że tak naprawdę wcale nie było mu do śmiechu. - Bez odbioru.

Ikona oznaczająca, że rozmawiali prywatnie, zniknęła, a mentalne polecenie Alicii przełączyło kom na wydzieloną sieć pierwszego plutonu.

- Wszystkie Winchestery - powiedziała. - Tu Winchester-Jeden. Zmiana planów, koledzy.

Ludzie porucznika Paála nie urządzają otwarcia na czas, więc będziemy musieli trochę improwizować. Winchester-Alpha-Siedem, stój - ciągnęła, patrząc na ikony członków swojej drużyny, lśniące na szczegółowej projekcji topograficznej.

Ikona starszego kaprała Michaela Doorna natychmiast znieruchomiała, a ikona jego skrzydłowego, starszego kaprała Édouarda Bonrepaux, wykonała jeszcze dwa skoki, zanim też się zatrzymała w pozycji, z której doskonale mógł osłaniać flankę Doorna.

- Wszystkie pozostałe Alphy ustawiaj się na tej linii - ciągnęła, zmieniając jednocześnie własną trasę; mimo nierównego terenu Cateau skakała za nią w doskonałym szyku. - Alpha-Siedem zakotwicz jeden koniec, Alpha-Trzy drugi. Alpha-Jeden, idziesz środkiem i koordynujesz natarcie Alphy.

- Winchester-Jeden, Winchester-Alpha-Jeden potwierdza - powiedział sierżant McGwire. Razem ze swoim skrzydłem, kapral Byung Cha Chul, ruszył skokami w kierunku wskazanej pozycji. Winchester-Alpha-Trzy, kapral Erik Andersson, nie odpowiedział werbalnie, ale jego ikonka zamigłała dwa-dwa-jeden raz na znak, że zrozumiał, po czym razem z kapralem Vartkesem Kalachianem, swoim skrzydłem, ruszył pędem na miejsce.

- Winchester - Bravo-Jeden. - Alicia zwróciła się teraz do sekcji sierżanta Abernathy'ego. - Nie będziemy mogli zostawić należytej rezerwy - sami byliśmy rezerwą plutonu - ale ty i twoi ludzie mają osłaniać pierwsze natarcie. Ustaw się ze swoim ciężkim skrzydłem tutaj.

Umieściła kolejną ikonkę dokładnie na szczycie niewysokiego wzgórza na wschód od punktu, w którym koryto strumienia przecinało perymetr Buku Dwa. Wzniesienie było wystarczająco wysokie, by Abernathy miał dobre pole widzenia na całe koryto i sięgał wzrokiem daleko w głąb obozu.

- Resztę skrzydeł rozmieść według uznania. Chcę, żebyś krył plecy Alphy, dopóki się nie przebiję. Potem masz iść za nią, mniej więcej po tej osi.

Nakreśliła kolejną linię, tym razem z jasną strzałką na końcu. Linia przecinała perymetr na wschód od strumienia i wskazywała prosto na południe, na skupisko koszar oznaczonych na mapie jako Szczurza Nora Jeden. Według pierwotnych planów operacyjnych miała się nimi zająć jedna z drużyn porucznika Paála.

Onassis nie powiedział Alicii wyraźnie, że teraz koszary należą do niej, ale przecież miała zastąpić brakującą drużynę Paála. Poza tym koryto strumienia w Alfa-Pięć było najbliższym punktem wejścia do obozu dla wszystkich jednostek pierwszego plutonu.

- Pamiętaj - powiedziała, dziękując w duchu za godziny spędzone nad planem operacyjnym, którego nie miała szansy przećwiczyć z niespodziewanie przydzielonymi jej ludźmi - że w Szczurzej Norze Jeden są stałe kwatery kadry szkoleniowej i stołówki. Jeśli

ktoś w ogóle się połapie, o co chodzi, kiedy tam wejdziemy, to będzie to ktoś stamtąd, dlatego uważajcie na siebie. A jeśli ostrzał z Nory będzie zbyt silny, przypadnijcie do ziemi gdzieś tutaj... - jaskrawa bursztynowa linia na HUD-zie otoczyła skalistą rozpadlinę, która powinna była dobrze chronić przed ogniem z koszar - i zaczekajcie, zamiast pchać się do środka. Sprowadzę wsparcie Alphy najszybciej jak się da.

- Bravo-Jeden potwierdza, Winchester-Jeden - odparł Abernathy. Sierżant mówił krótko, rzeczowo i w jego głosie Alicia słyszała wiarę w siebie. I wiarę w nią, w to, że ten żółtodziób wydający rozkazy jego ludziom naprawdę przyłożył się do nauki.

- Wszystkie Winchestery, jeszcze jedno - powiedziała, mając nadzieję, że go nie zawiedzie. - Tygrys-Jeden potwierdził obecność dzieci i nieuzbrojonych ludzi - powtarzam, dzieci i nieuzbrojonych ludzi - w Buku Jeden. Obowiązują zasady starcia Delta. Potwierdzić.

Zapadła chwila milczenia, kiedy jej ludzie przyswajali sobie tę niemiłą wiadomość, a potem nadeszła fala potwierdzeń. Alicia kiwnęła głową. Chyba nikt nie był zachwycony, ale ona sama też nie była.

- Dobra, Winchestery, do roboty - zakończyła, kiedy nadeszło ostatnie potwierdzenie.

* * *

Minęło zaledwie pięć minut i pierwsza drużyna już się przemieściła do wytyczonego na nowo punktu startu. Z powodu tik-taka Alicia miała wrażenie, że trwało to pięć godzin, ale wiedząc, jak było naprawdę, powściągnęła swoją niecierpliwość. To była jedna z największych wad tik-taka - wszystko zdawało się trwać za długo i trzeba było stale sobie przypominać, że reszta wszechświata wcale tak tego nie widzi.

- Sztucer-Dwa, tu Winchester-Jeden - zameldowała w końcu. - Winchester jest na pozycjach przy Alfa-Pięć.

- Winchester-Jeden - odparł niemal natychmiast Onassis. - Potwierdzam. Zaczekać na Weatherby.

- Sztucer-Dwa, Winchester-Jeden potwierdza, utrzymać pozycję, dopóki Weatherby nie zajmie swojej.

Alicia rozluźniła się trochę, pozwalając sobie na uczucie zadowolenia. Pierwsza drużyna miała do przejścia dłuższą drogę niż pozostałe drużyny pierwszego plutonu, a mimo to dotarła na miejsce przed ludźmi starszego sierżanta Gilroya.

Krótkie oczekiwanie poświęciła na obserwowanie celu.

Buk Dwa był niechlujnym skupiskiem budynków wokół zaniedbanego „placu defilad”. Funkcje większości z nich zostały z dużą dozą prawdopodobieństwa zidentyfikowane na

HUD-zie Alicii. Co do kilku były znaki zapytania, a jeden z nich - na siatce taktycznej oznaczony B13 - stał dokładnie na wprost pierwszej drużyny.

Na terenie obozu ktoś się poruszał. Wolno się orientując, pomyślała. Atak na Buk Jeden, który miał nastąpić równocześnie z atakiem na Buk Dwa, rozpoczął się prawie osiem minut temu. Alicia zżymała się na myśl, że daje ludziom w obozie dodatkowy czas na zorganizowanie się i opanowanie paraliżującego zaskoczenia niespodziewanym atakiem z ciemności, ale to nie od niej zależało. Poza tym porucznik Strassmann - czy raczej kapitan Alwyn - prawdopodobnie miał rację. Dokładna reorganizacja po tak dużej zmianie planów była dla kompanii Charlie na pewno więcej warta niż kilka dodatkowych minut dla ludzi w obozie.

- Wszystkie Sztucery! - rozległ się nagle głos Strassmanna. - Tu Sztucer-Jeden. Ruszać. Powtarzam, ruszać!

- Winchester-Alpha-Jeden, tu Winchester-Jeden - rzuciła ostro Alicia. - Ruszać!

* * *

Starszy kapral Vartkes Kalachian, kryptonim Winchester-Alpha-Pięć, był pierwszym członkiem drużyny Alicii, który przekroczył ogrodzenie Buku Dwa, i zrobił to z wielkim rozmachem.

Sensory jego zbroi wysondowały obszar między jego pozycją startową a perymetrem obozu i ich sonar wychwycił miny przeciwpiechotne „niskiej sygnatury”. Pewnie mniej zaawansowane technologicznie sensory by ich nie dostrzegły. Alicia zmarszczyła czoło, kiedy na jej HUD-zie ukazały się ikony przesłane przez sonar Kalachiana. Przekazując ostrzeżenie Onassisowi, zastanawiała się, gdzie bandzie terrorystów udało się zdobyć takie miny. Kompozytowe obudowy min nie zawierały żadnych stopów metali, a zamiast prymitywnych chemicznych ładunków wybuchowych, których można by się spodziewać, zastosowano małe, bardzo silne pola grawitacyjne zasilane nadprzewodnikowymi akumulatorami. Oznaczało to, że „wączacze” chemiczne nie wykryłyby ich zawartości - bo jej po prostu nie było.

Kalachian jednak dobrze wiedział, czego się spodziewać, i odpalił sprzęt skokowy na całość. Nagłe pchnięcie przeniosło go nad polem minowym i drutem kolczastym, a jego opancerzone ciało zwinęło się i przetoczyło gładko po ziemi, kiedy spadł już wewnątrz obozu. Ominięcie min i drutu jednym skokiem wymagało nieco wyższej trajektorii, niż zalecał Podręcznik, i gdyby ktokolwiek na niego czekał, kapral byłby doskonałym celem, ale na szczęście nikt nie czekał. Mimo że według przyspieszonych tik-takiem zmysłów Alicii zajmowanie przez pluton pozycji i skok Kalachiana wykonany z prędkością osiemdziesięciu

kilometrów na godzinę trwały bardzo długo, mieszkańcy Buku Dwa wciąż jeszcze usiłowali się rozeznaczyć, co się dzieje, kiedy kapral wylądował.

Reszta sekcji Alpha - z Alicią i Tannis Cateau - lądowała tuż za nim. Obie kobiety wskoczyły jako ostatnie skrzydło. Alicia miała kontrolować i koordynować działania, dlatego nie mogła utknąć gdzieś w jakiejś strzelaninie, o ile nie musiała. A zadaniem Cateau było odpędzić od niej wszystkich osobników o złych zamiarach, aby mogła skupić się na kierowaniu drużyną.

Udało im się przedostać przez druty, nie prowokując żadnego ostrzału, ale to wcale nie znaczyło, że nie wywołali żadnej reakcji. Zbroja Alicii wychwyciła sensory podczerwieni strzegące ogrodzenia obozu, kiedy przecięła jeden z promieni - i znów poziom systemów obronnych ją zaskoczył. Potężne reflektory perymetru obozu musiały być sprzężone z siecią czujników, bo włączyły się w tej samej chwili, kiedy ludzie Alicii dotknęli ziemi.

Światła o mocy milionów kandel rozbłysły w ciemności jak miniaturowe słońca. Nie było żadnego ostrzeżenia - tylko natychmiastowy wybuch jasności, wprost w oczy napastnika, aby go oślepić i dezorientować. Ale ludzie Alicii byli z Kadry. Dzięki zmniejszeniu czułości wzroku oraz działaniu tik-taka odzyskali wzrok niemal tak samo szybko, jak szybko zapaliły się światła.

Ponadto wszyscy żołnierze posiadali synth-złącza i każdy z nich był połączony z systemami swojej zbroi. A systemy czujników nie korzystały z czegoś tak zawodnego jak ludzki nerw wzrokowy.

Karabin Alicii uniósł się do pozycji strzału. Nie przypominał jej dawnego standardowego M-97 marines. Był integralną częścią zbroi zamontowaną w zasilanym gnieździe, które teraz obróciło lufę na najbliższy reflektor z prędkością atakującej żmii. Nie było żadnego spustu ani celownika. W polu widzenia Alicii pojawił się po prostu krzyżyk - ona poruszyła go myślą, a karabin podążył za krzyżykiem. Pokładowe komputery zbroi oceniły temperaturę w lufie, ciśnienie i temperaturę powietrza, lokalną grawitację, siłę wiatru i balistyczne zachowanie pięciomilimetrowych bezłuskowych pocisków w zasobniku na plecach Alicii, a potem automatycznie skorygowały położenie celownika. Wszystko to dokonało się z oślepiającą prędkością, choć dla kogoś będącego pod wpływem tik-taka czas zdawał się płynąć bardzo wolno. W końcu celownik dotarł tam, gdzie Alicia chciała, i kolejna błyskawiczna myśl „naciśnęła spust”.

Karabin plunął krótką, precyzyjną serią trzech pocisków. Cienkie jak igła trzymilimetrowe penetratory z odrzucanym sabotem, odlane ze stopu cięższego i twardszego niż wolfram, pokonały odległość sześćdziesięciu metrów z prędkością dobrze ponad tysiąca

pięciuset metrów na sekundę. Przy tej prędkości przeszłyby przez napierśnik wspomaganej zbroi marines jak rozgrzany do białości nóż przez masło. Nieopancerzony reflektor nie stawiał im żadnego oporu i zgasł ze spektakularnym błyskiem.

Wszystkie pozostałe reflektory w zasięgu żołnierzy zgasły w ciągu niecałych dwóch sekund, kiedy parzysty członek każdego skrzydła otworzył ogień z taką samą oślepiającą szybkością i zabójczą celnością. Przynajmniej tuzin innych nadal świecił, ale daleko poza flankami pierwszej drużyny. Teraz nieparzysty członek każdego skrzydła ruszył prosto do wyznaczonych celów.

Karabin Alicii poderwał się z powrotem do „bezpiecznej” pozycji, kiedy Cateau przemknęła obok niej. Kapral nie używała już sprzętu skokowego; chciała stać twardo na ziemi, gdyby musiała użyć broni.

- Alpha-Dwa, pierwsza godzina! - warknęła Alicia, kiedy sześć czy siedem uzbrojonych postaci wybiegło nagle zza jednego z budynków i skierowało się wprost na kapral Chul.

Chul nie odpowiedziała. Prawdopodobnie nie potrzebowała jej ostrzeżenia, ale Alicia wolała być uznana za nadgorliwą, niż niepotrzebnie ryzykować. Karabin Chul Byung Cha ustawił się na cel i plunął idealnie wymierzonymi pociskami. Trzech obrońców obozu już nie żyło, zanim do pozostałych w ogóle dotarło, że są pod ostrzałem. Dwaj następni zginęli, zanim sierżant McGwire, skrzydłowy Chul, zdążył do nich wycelować. Ostatnia para poległa niemal równocześnie, rozpaczliwie usiłując rzucić się na ziemię, kiedy McGwire i Chul dobrali się i do nich.

- Winchester-Jeden ma Bravo-Jeden-Trzy - oznajmiła Alicia, zmieniając lekko kurs, by dotrzeć do budynku, którego jeszcze z wywiadu nie zdołali zidentyfikować. Prawdopodobnie powinna była to zostawić komuś innemu, mając na uwadze swoje wcześniejsze przemyślenia, ale ona i Cateau miały najbliżej, a poza tym Alicia chciała, żeby reszta skrzydeł Alpha szła dalej, nie zwalniając i nie zbacząc, żeby oczyścić budynek, którego przeznaczenia nawet nie znali.

Cateau nie odezwała się ani słowem. Co oczywiście wcale nie znaczyło, że zgadza się z jej decyzją.

Po obozie biegało już więcej osób, ale dla Alicii było oczywiste, że wciąż nie wiedzą, co się stało. Biegli w stronę jej ludzi - pewnie instynktownie - a nie robiliby tego, gdyby wiedzieli, że mają do czynienia z Kadra.

Z drugiej strony spanikowani ludzie - zwłaszcza niedoświadczeni spanikowani ludzie - robią różne głupie rzeczy.

- Wszystkie Winchestery, pamiętać o zasadach starcia! - powiedziała ostro.

Prawdopodobnie było to zupełnie niepotrzebne, ale to należało do jej obowiązków. Potem ruszyła w stronę budynku oznaczonego jako Bravo-Jeden-Trzy.

Dzieliło ją od niego zaledwie trzydzieści metrów, kiedy drzwi otworzyły się z hukiem i wytoczył się z nich jakiś człowiek.

Na HUD-zie Alicii znów pojawił się krzyżyk celownika, pełznący wolno przez jej pole widzenia, i karabin z oślepiającą szybkością skoczył na pozycję strzału. Celownik spoczął na piersi człowieka, ale Alicia nie wystrzeliła - sama przed chwilą przypominała swoim ludziom, że obowiązują zasady starcia Delta; czekała, aż jej sensory wysondują cel.

Mężczyzna, dorosły, wzrost około stu siedemdziesięciu jeden centymetrów, zameldował. Bez koszuli mimo nocnego chłodu. Czerwony obrys otoczył krótki, szeroki nóż w pochwie na jego prawym biodrze, ale nie było śladu karabinu ani pistoletu.

Alicia zakłęła i zdjęła z niego celownik. To mógł być jeden z terrorystów, których przyszli tu zabić albo pojmać, ale w tym momencie nie miał przy sobie żadnej broni, którą mógłby zagrozić Alicii albo któremuś z jej ludzi, a zasady starcia w takim przypadku były jasne.

Owszem, nie mogła go zabić, ale wcale nie musiała się z nim delikatnie obchodzić. Nie zamierzała też ryzykować, że mężczyzna znajdzie jakąś lepszą broń, kiedy będzie do niego odwrócona plecami.

- Mój! - warknęła po wydzielonym łączu do Cateau i zaszarżowała.

Jej cel prawdopodobnie nawet jej nie zobaczył. Blask ocalałych reflektorów i oślepiające stroboskopowe erupcje ognia wystrzałów - w tym strzelających na oślep we wszystkich kierunkach obrońców obozu - musiały mu piekielnie utrudniać widzenie.

Alicia dopadła go - mimo ciężkiej zbroi poruszała się z grają tancerki - i złapała za rękę, moderując siłę rękawicy, by nic mu nie złamać. Usłyszała krótki krzyk bólu i zaskoczenia, ale krzyk się urwał, kiedy prawa ręka Alicii z drobiazgowo wyliczoną precyzją tik-taka trafiła mężczyznę w bok głowy.

Natychmiast stracił przytomność, a jej karabin skoczył na pozycję strzelecką, by kryć okna po obu stronach drzwi, z których wybiegł mężczyzna.

Tymczasem ledwie drzwi zatrzasnęły się za człowiekiem, którego Alicia zneutralizowała, Cateau zaatakowała je, wysuwając lekko lewy bark i uderzając w sam środek jak buldożer. Drzwi były porządnej konstrukcji, ale nie zaprojektowano ich z myślą o stawianiu oporu komuś w zbroi bojowej. Cateau przebiła się przez nie w deszczu drzazg, a wtedy HUD Alicii wyświetlił wychwycone i przekazane do niej przez sensory Cateau ikony kolejnych trojga ludzi. Nie było żadnych wątpliwości, że są uzbrojeni. Wszyscy trzej mieli karabiny,

pospiesznie ściągnięte z wieszaków na ścianie naprzeciwko drzwi - co okazało się dla nich zabójczo pechowe.

Cateau zabiła całą trójkę, zanim w ogóle zdali sobie sprawę z jej obecności.

Nie zatrzymując się, kapral ruszyła w głąb budynku. Jedno bardzo duże pomieszczenie na parterze najwyraźniej służyło za aulę i stołówkę. Budynek miał piętro, więc sensory Cateau natychmiast wysondowały sufit.

- Czysto - oznajmiła chwilę później.

- Potwierdzam, czysto - powiedziała Alicia i obie ruszyły dalej, zostawiając za sobą trzy trupy i jednego wciąż oddychającego człowieka.

* * *

Mentalne polecenie Alicii wyświetliło jej ikonę na HUD-zie Cateau, ostrzegając ją, że ma zamiar się zatrzymać. Kapral zareagowała natychmiast, przyjmując pozycję obronną, a Alicia przystanęła, by ocenić sytuację.

Cała sekcja Alpha weszła głęboko na teren obozu, dwa budynki Buka Dwa płonęły. Alicia była ciekawa, czy ogień podłożyli mieszkańcy obozu, czy raczej ostrzał Kadry natrafił na coś łatwopalnego. Tak czy inaczej, atak trwał zaledwie cztery minuty, a jego wynik już był dla niej oczywisty.

Sekcja Bravo sierżanta Abernathy'ego okrążała Szczurzą Norę Jeden od wschodu, ale mieszkańcy koszar zdążyli się już domyślić, że są atakowani. Było także oczywiste, że mają do dyspozycji całkiem sporo ciężkiej broni. Słychać było trzask karabinów szturmowych, a sensory Alicii wychwyciły grzmiący warkot wielolufowych kaliopie, plujących superszybkimi penetratorami w seriach kryjącego, prowadzonego na oślep ognia.

Kaliopie były najmłodszym owocem ewolucji starożytnej konstrukcji Gatlinga, o wiele bardziej zabójczym niż którykolwiek z ich przodków. Zużywały żarłocznie amunicję, ale za to tworzyły nieprzerwany strumień penetratorów, które nawet bez celowania zabijały każdego, kogo trafiły. I choć obrońcy Szczurzej Nory Jeden najwyraźniej strzelali na oślep, ślali bardzo dużo kul w kierunku Abernathy'ego, a on zbliżał się do rozpadliny, którą Alicia wcześniej mu wskazała.

- Winchester-Bravo-Jeden, tu Winchester-Jeden - powiedziała. - Znajdźcie sobie jakąś osłonę i utrzymujcie pozycję. Jesteście pod zbyt dużym ostrzałem.

- Winchester-Jeden, tu Bravo-Jeden. Dla mnie bomba, sierżancie! - odparł Abernathy i Alicia parsknęła śmiechem.

- Alpha-Siedem, tu Winchester-Jeden. Jesteście mi tutaj potrzebni.

- Alpha-Siedem w drodze, Winchester-Jeden - odparł kapral Doorn i chwilę później razem z Édouardem Bonrepaux zjawili się obok Alicii.

Obaj tworzyli pojedyncze ciężkie skrzydło przydzielone do sekcji Alpha w lekkiej konfiguracji kompanii Charlie. Doorn był uzbrojony w karabin plazmowy, a Bonrepaux w granatnik kalibru pięćdziesiąt milimetrów z magazynkiem na pięć granatów. Oba rodzaje broni były o wiele za ciężkie, by posługiwać się nimi bez użycia siły sztucznych mięśni zbroi. Na ich widok Alicia uśmiechnęła się ponuro.

- Bravo-Jeden, tu Winchester-Jeden - powiedziała na sieci drużyny. - Mam tu ludzi z poważną siłą ognia. Chyba pora wypłoszyć szczury spod podłogi, nie sądzisz?

- Nigdy nie przepadałem za gryzoniami, Winchester-Jeden - odparł Abernathy.

- W takim razie dobrze. Bravo-Siedem i Bravo-Osiem... - byli to starszy kapral Obaseki Osayaba i starszy kapral Shai Hau-zhi, odpowiednik Doorna i Bonrepaux w sekcji Bravo - rozwalą ten budynek.

Przesłała polecenie mentalne do HUD-a Abernathy'ego, podświetlając jeden z budynków koszarowych. Z okna na piętrze po wschodniej stronie pruća długimi seriami kaliope.

- Potem ciężarowcy Alphy rozwalą tamte dwa. - Teraz Alicia podświetliła kolejne dwa budynki. Z jednego strzelała następna kaliope, a drugi najwyraźniej był centrum administracyjnym Szczurzej Nory Jeden - w środku i wokół niego kręciło się bardzo dużo uzbrojonych ludzi.

- Wszystkie Winchestery - powiedziała, wciągając do rozmowy resztę drużyny - załatwimy te trzy budynki plazmą i granatami, aż będzie się kurzyło. Kiedy tylko się posypią, podchodzimy i oczyszczamy pozostałe. Ci ludzie będą się starali kryć, więc musimy tam wejść zaraz po wybuchach. Trzeba na nich spaść, zanim zdążą się otrząsnąć.

Przerwała, by pozwolić swoim ludziom to przetrwać, a potem zaczęła przydzielać każdemu ze skrzydeł konkretny cel. Każdy cel zaznaczała skrupulatnie na swoim HUD-zie, dbając, by nie było zamieszania. Złym gościom nie udało się jak dotąd zabić ani jednego z jej ludzi, a ona nie zamierzała dopuścić, aby zostali ostrzelani przez swoich własnych kolegów.

Potrzeba było zaledwie kilku sekund, by żołnierze będący pod wpływem tik-taka zakończyli przygotowania. Alicia spojrzała po raz ostatni na swój HUD, a potem zerknęła na Cateau, która znów zajęła pozycję u jej boku.

- Gotowa? - spytała na wydzielonej sieci.

- Jasne, czemu nie? - odparła Cateau swobodnym tonem. - Do tej pory było całkiem fajowo, prawda?

- Dziwna jesteś - zauważyła Alicia, śmiejąc się ponuro. - Ale...

Wzruszyła ramionami i przełączyła się na sieć drużynową.

- Wszystkie Winchestery - powiedziała spokojnym głosem. - Tu Winchester-Jeden.
Dobra, ludzie. Zatańczmy. Ruszać.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

- Przepraszam, sierżancie DeVries - rozległ się uprzejmy głos SI w implancie żuchwowym Alicii.

- Tak, Centrala? - odparła. Główna SI bazy lubiła przezwisko „Gertruda”, jednak Alicia nigdy nie czuła się wystarczająco swobodnie, by tak się do niej zwracać.

- Jest pani proszona do Operacji. Kapitan Alwyn zarządził specjalną odprawę w Sytuacyjnej Jeden za piętnaście minut.

Alicia uniosła brwi. Awaryjna specjalna odprawa?

Spojrzała na holograficzną siatkę taktyczną unoszącą się między nią a Alanem McGwirem, Lawrencem Abernathym i Tannis Cateau.

- Wygląda na to, że nasza sesja planowania właśnie została przełożona - powiedziała.

- Ludziom raczej serc to nie złamie, sierżancie - zauważyła z uśmiechem Cateau. Przez półtora standardowego roku Alicia poznała swoją skrzydłową lepiej niż kogokolwiek innego, i w piwnych oczach Tannis dostrzegła teraz echo jej własnych pytań.

- No, nie wiem - powiedział McGwire. - Moi ludzie nie mogą się doczekać, żeby się trochę odkuć na Larrym.

- Chyba w twoich snach - odparł z wyższością Abernathy.

- Pycha prowadzi do zguby - zauważyła sucho Alicia, chociaż musiała przyznać, że Abernathy miał trochę racji. Sekcja Bravo pokonała sekcję Alpha w trzech ćwiczeniach pod rząd. Ledwo ledwo, ale jednak pokonała.

- Alan, ty i Lany macie opracować podstawowe parametry ćwiczenia - powiedziała po chwili. - Zakładam, że jednak dostaniemy szansę ich zorganizowania. Tymczasem muszę iść na tę odprawę. Tannis, może pójdziesz ze mną?

- Nie zostałam zaproszona, sierżancie - zauważyła łagodnie Tannis.

- Może i nie. - Alicia odchrząknęła. - Centrala.

- Tak, sierżancie DeVries?

- Proszę spytać pierwszą sierżant Yussuf, czy kapral Cateau może wziąć udział w odprawie.

- Oczywiście, sierżancie DeVries - odparła SI. Minęło kilka sekund, zanim znów się odezwała. - Pierwsza sierżant Yussuf mówi, że kapral Cateau może pani towarzyszyć.

- Dziękuję, Centrala.

Alicia znów spojrzała na swoich podwładnych, a potem ruchem głowy wskazała drzwi.

- Chyba lepiej chodźmy - powiedziała.

* * *

W drodze do głównego budynku administracyjnego Alicia wspominała ostatnie półtora roku w Kadrze. Te miesiące bardzo przypominały jej doświadczenia z marines, a zarazem były całkowicie inne. Po pierwsze, tempo szkolenia było o wiele szybsze, choć kiedy była Osą, nie uwierzyłaby, że jest to możliwe. Kadra bezustannie się szkoliła. Jeśli nie prowadziła czynnych operacji, ćwiczyła albo planowała następne ćwiczenia. Albo omawiała ćwiczenia, które właśnie zakończyła.

W Kadrze wychodzono bowiem z założenia, że najlepszym przygotowaniem do walki są ciężkie treningi, o wiele trudniejsze niż jakakolwiek misja bojowa.

A po drugie, Kadra promowała długie, stałe związki. Alicia została awansowana na sierżanta pierwszej klasy trzy standardowe miesiące temu, ale wciąż dowodziła pierwszą drużyną i wciąż miała Tannis. W Kadrze nie było to nic niezwykłego. Znane były przypadki Kadrowiczów, którzy przez całą swoją karierę byli w tym samym pułku tej samej brygady; Kadra starała się utrzymywać w parach skrzydła, które sprawdziły się w działaniu.

Taktyczne i operacyjne doktryny Kadry różniły się od doktryn marines jeszcze bardziej, niż początkowo jej się wydawało. Kadrowicze byli specjalistami w każdym znaczeniu tego słowa, a jednym z warunków ich skuteczności w polu było całkowite wzajemne zaufanie każdej pary skrzydłowych. Razem ćwiczyli, razem walczyli, zazwyczaj razem się bawili i całkiem często razem wychodzili na przepustkę.

A czasami oczywiście razem ginęli.

Przez ostatnie półtora roku Alicia i Tannis stworzyły idealny zespół. Nadawały na tych samych falach, jakby łączyła je telepatyczna więź. Każda z nich dobrze wiedziała, co druga zrobi w danej sytuacji, i każda doskonale rozumiała, jakie jest jej zadanie w konkretnej taktycznej konfrontacji.

Do tego, pomyślała Alicia, uśmiechając się lekko i zerkając z ukosa na Tannis, żadna z nich nigdy w życiu nie miała lepszej przyjaciółki.

Alicia zabrała ze sobą Tannis dlatego, że pozycja skrzydła przydzielonego dowódcy drużyny, sierżantowi plutonu czy pierwszemu sierżantowi kompanii była wyjątkowa. Skrzydłowy chodził wszędzie tam, gdzie jego partner, a fakt, że ten partner często był zajęty kierowaniem sytuacją taktyczną, oznaczał, że skrzydłowy musiał być lepszy niż

kadrowa norma. Bywały takie sytuacje - zbyt często, pomyślała Alicia - kiedy Tannis musiała brać na siebie o wiele więcej, niż powinna, gdyż Alicia po prostu musiała zająć się czymś innym, i nie pomógł tu bynajmniej fakt, że Tannis była także starszym medykiem pierwszego plutonu. Ale jeśli czuła się przepracowana, nigdy tego nie zdradziła.

Tak więc czasami Tannis bywała zastępcą dowódcy drużyny, i to logiczne, że powinna była wiedzieć jak najwięcej o każdej operacji. Tak uważała Alicia, a sądząc po reakcji pierwszej sierżant Yussuf, ona też tak sądziła.

Doszły do głównego budynku administracji, przeszły przez mały hol, minęły pół tuzina drzwi w krótkim korytarzu i skręciły w prawo do Sali Sytuacyjnej Jeden.

Duże pomieszczenie - drugie pod względem wielkości w całej bazie - było podzielone na boksy przepierzeniami wysokości człowieka i słabo oświetlone, a utrzymywana w nim temperatura była odrobinę niższa od przyjemnej. Słabe światło sprawiało, że to, co tutaj wyświetlano, było wyraźniejsze, a chłód nie pozwalał ludziom przysypiać.

Sala Sytuacyjna Jeden - w skrócie Syt Jeden - mieściła się tuż obok Operacyjnej Jeden, z której kapitan Alwyn na co dzień kierował kompanią. To tutaj zestawiano przychodzące informacje, przetwarzano je i przekładano na dane operacyjne. W Syt Jeden była mapa zagrożeń w rejonie działania kompanii i to właśnie tutaj odbywała się większość wstępnych odpraw.

- Wejdźcie, Alley, Tannis. Siadajcie - powiedział porucznik Paál, kiedy weszły do największego boksu Syt Jeden. Alicia nie była zaskoczona jego widokiem. Oprócz stanowiska dowódcy trzeciego plutonu, Paál jako najstarszy ze wszystkich poruczników kompanii Charlie był także oficerem wykonawczym kapitana Alwyna. Pełnił również obowiązki szefa kompanii, zajmując się personelem i administracją. Alicię raczej zaskoczył fakt, że samego kapitana Alwyna jeszcze nie było.

Usiadła na swoim zwykłym miejscu obok Gilroya, Hillman i Onassisa. Gilroy i Hillman także przyprowadzili ze sobą swoich skrzydłowych; Tannis uśmiechnęła się i skinęła im głową, siadając.

- Wiesz może, o co chodzi, Adolfo? - szepnęła Alicia, nachylając się do sierżanta plutonu.

- Nie mam pojęcia. Ale słyszałem...

Przerwał, gdyż drzwi znów się otworzyły i wszedł kapitan Alwyn w towarzystwie dwóch innych oficerów.

Alicia natychmiast ich rozpoznała; na widok jednego z nich poczuła lekkie zdziwienie.

Obecność kapitana Wadislawa Wattsa z wywiadu marines nie była niczym specjalnym. Był „pożyczony” piątej brygadzie Kadry na jedno z nieustannie wakujących stanowisk

sztabowych. Kadra miała własnych specjalistów od wywiadu, ale było ich zbyt mało - tak samo jak brakowało jej większości sztabowych specjalistów - więc pożyczala potrzebnych fachowców od marines i Floty. Brygada przekazała Watta drugiemu pułkowi, a ten z kolei przydzielił go do trzeciego batalionu, rodzimego batalionu kompanii Charlie. A trzeci batalion traktował go jak wędrownego wywiadowczego guru.

Alicja za nim nie przepadała. Nie umiała właściwie powiedzieć dlaczego. Na pewno nie dlatego, że uważała marines za intruzów, skoro sama - jak ponad dziewięćdziesiąt procent personelu Kadry - była kiedyś marine. Może chodziło o to, że czasami podejrzewała, iż gdzieś w głębi ducha ciemnowłosa, ciemnooki, zawsze idealnie uczesany marine nie może znieść faktu, że nie jest i nigdy nie będzie Kadrowiczem - choćby dlatego, że nie tolerował synth-złącza. A może była to po prostu zła chemia.

Niezależnie jednak od tego, czy lubiła Watta, czy nie, zawsze sprawiał wrażenie doskonale kompetentnego w zakresie swoich obowiązków. Zajmował się przygotowaniem batalionu do czterech z pięciu operacji - w tym zakończonego sukcesem rajdu na Czengczu - które kompania przeprowadziła, odkąd przydzielono do niej Alicję. Jeśli coś wisiało w powietrzu, on był człowiekiem, który powinien być im to powiedzieć.

Ale obecność drugiego oficera towarzyszącego kapitanowi Alwynowi kompletnie ją zaskoczyła. I to nie tylko ją.

- Baczość! - warknął porucznik Paál, a Alicja poczuła, że zrywa się na równe nogi i preży w pozycji zasadniczej, zanim jeszcze usłyszała rozkaz.

Sir Arthur Keita, Wielki Mistrz Zakonu Ziemi, kawaler Wielkiego Krzyża Słonecznego, Senackiego Medalu Odwagi z brylantami i okuciem, Srebrnej Gwiazdy, Medalu Rany, drugi w hierarchii dowodzenia Osobistą Kadrą Jego Cesarskiej Wysokości Seamusa II, często tak działał na ludzi.

- Spoczniej - warknął chrapliwym basem człowiek znany jako „Buldog Cesarza”. Był siwy, silnie zbudowany i liczył sobie około stu standardowych lat. Wiek nie wpłynął jednak na jego sprawność ani nie przyćmił czujności ciemnych oczu schowanych pod krzaczastymi brwiami. Tak samo jak Alicja miał na sobie zielony mundur Kadry z harfą i okrętami, tyle że nosił też pojedynczą gwiazdkę generała brygady.

Alicja ostrożnie usiadła, a Keita podszedł do fotela na szczycie stołu konferencyjnego, pod głównym holowyświetlaczem. Kapitan Alwyn zczekał, aż generał usiądzie, i sam zajął miejsce po jego prawej, a tymczasem Watts ruszył w kierunku mównicy. Położył na pulpicie coś, co wyglądało jak plik staromodnych odręcznych notatek, a następnie założył zestaw nagłowny neurozłącza.

- Dobra, ludzie - powiedział Alwyn, podczas kiedy Watts się przygotowywał. - Na pewno wszyscy jesteście tak samo jak ja zaskoczeni widokiem Wujka Arthura... Przepraszam, panie generale - poprawił się, co słuchający nagrodzili krótkim śmiechem.

- Sir Arthur wyjaśni, dlaczego tutaj jest - ciągnął dalej już o wiele poważniejszym tonem - a potem razem z kapitanem Wattsem powiedzą nam, co mamy z tym zrobić.

Popatrzył po swoich podwładnych, a potem odwrócił się do Keity.

- Wuju Arthurze?

- Dziękuję, Madison - zahuczał Keita swoim niskim, potężnym głosem. Zwracanie się do Alwyna po imieniu byłoby w przypadku każdego innego oficera o randze Keity - zakładając, że w Kadrze w ogóle taki był - traktowane jako nadmierne spoufalanie się.

Generał Arbatow mógł być oficjalnie dowódcą Kadry, ale to sir Arthur Keita był jej istotą. Wstąpił do Kadry ponad siedemdziesiąt lat temu, a więc dawno przekroczył obowiązkowy wiek emerytalny. Przez te wszystkie lata ten człowiek wykazał się niespotykanym talentem do wychowywania i szkolenia doskonałych dowódców.

To nie wszystko. Powszechnie wiadomo było, że nie przyjął awansu na wyższy stopień, i to nie raz, a kilka razy. I zawsze uchodziło mu to płazem, bo po prostu był jedynym człowiekiem w całej galaktyce, któremu Seamus II i wcześniej cesarzowa Maire całkowicie ufali. Był dowódcą polowym Kadry i zarazem jej najwyższym oficerem wywiadu, i tak miało pozostać aż do dnia jego śmierci lub dobrowolnego odejścia.

Ludzie tacy jak Alwyn nie bez powodu nazywali go Wujem Arthurem; jego podwładni byli wobec niego tak samo lojalni, jak on wobec swojego cesarza.

- Jak na pewno wszyscy już się domyśliliście - powiedział - mamy do czynienia z wyjątkowo paskudną sytuacją. - Uśmiechnął się blado. - I obawiam się, że wpadnie prosto w ręce kompanii Charlie. Leciałem na Tamerlana, z przystankiem na Gyangtse, kiedy bomba poszła w górę. Zważywszy na naturę problemu, Stara Ziemia przysłała mi rozkaz, żebym wszystko rzucił i osobiście zajął się naszym drobnym problemem.

Przerwał, jakby chciał im dać chwilę na ogarnięcie tego, co powiedział. Potem skrzyżował ręce na stole i lekko się pochylił.

- Pięć tygodni temu HMS „Gwiazdny Wędrowiec”, transportowiec wycarterowany przez Ministerstwo Spraw Planetarnych, wyruszył na Starą Ziemię z systemu Raintree. Jak niektórzy z was być może wiedzą, jeśli śledziliście wiadomości przez ostatnich kilka miesięcy, mieszkańcy Raintree wyrazili w referendum zgodę na inkorporację. „Gwiazdny Wędrowiec” miał przywieźć oficjalną delegację inkorporacyjną na Starą Ziemię, by przedstawiła wyniki referendum w Senacie i formalnie poprosiła Jego Wysokość o

inkorporację.

- Niestety doszło do niewielkich komplikacji. Kiedy „Gwiezdny Wędrowiec” przyspieszał do nadświetlnej, został porwany.

Alicia drgnęła. Co jakiś czas komuś udawało się porwać statek handlowy. Jedną z najbardziej skutecznych metod piratów było przemycenie grupy porywaczy na pokład jako legalnych pasażerów. Jednak jeszcze nikomu nie udało się uprowadzić transportowca osobowego z tak wysoko postawionymi pasażerami.

- Na pewno chcielibyście wiedzieć, w jaki sposób porywaczom udało się dostać na pokład statku - powiedział Keita. - W tej chwili wiemy tylko tyle, że jakoś im się to udało. Statek zmienił zaplanowany profil lotu tuż przed wejściem w tunel czasoprzestrzenny w Raintree, więc tamtejsze władze zorientowały się, że coś się dzieje, i natychmiast skontaktowały się ze Starą Ziemią. Wtedy generał Arbatow przesłał dla mnie nowe instrukcje na Gyangtse, gdzie miały na mnie czekać. W tamtym momencie nikt nie wiedział nic więcej, dopóki „Gwiezdny Wędrowiec” nie odnalazł się dwa tygodnie temu w układzie Fullera.

No, pomyślała Alicia, to tłumaczy, dlaczego właśnie z nami o tym rozmawia.

Fuller leżał niecałe półtora tygodnia lotu nadświetlną od Guadalupe, w samym środku rejonu kompanii Charlie. Ze względu na wielkość Kadry - w całym Imperium było tylko dziesięć brygad - największym oddziałem taktycznym była kompania. Trzeci batalion był „rodzicem” kompanii Charlie głównie dla celów administracyjnych i wsparcia, ale jego trzy kompanie były rozmieszczone w trzech zupełnie odrębnych systemach, tak by obejmowały jak najwięcej potencjalnych punktów zapalnych. Marines bez wątpienia użyliby w takiej sytuacji całych batalionów, tak jak to zrobili na Gyangtse, ale Kadra stosowała się do sparafrazowanej maksymy prekosmicznej organizacji porządkowej: „Jeden kryzys, jedna kompania”. Alicia mogłaby policzyć na palcach rąk, ile razy Kadra była zmuszona do użycia całych batalionów.

- Przepraszam, Wuju Arthurze - powiedziała porucznik Masolle - ale czemu ktoś miałby porywać transportowiec Ministerstwa Spraw Planetarnych, a potem lecieć nim na Fullera?

- Za chwilę pozwolę kapitanowi Wattsowi wyjaśnić, co się według nas dzieje, poruczniku - odparł Keita. - Najpierw dokończę opis ogólnej sytuacji.

- Oczywiście, sir. - Masolle opadła na fotel, ale po jej zmarszczonym czole widać było, że myśli dokładnie o tym samym, co Alicia.

- Otóż po dotarciu na Fullera porywacze oznajmili, że są członkami Sojuszu Wolności i zamierzają przetrzymywać delegację z Raintree oraz załogę „Gwiezdnego Wędrowca” jako zakładników dopóty, dopóki ich „uzasadnione żądania uwolnienia więzionych braci i sióstr

nie zostaną spełnione przez imperialistycznych oprawców z tak zwanego Imperium Ziemi".

Głos Keity był całkowicie pozbawiony emocji, ale Alicia czuła, że traci nadzieję. Tak jak cała kompania Charlie, знаła dane wywiadu na temat Sojuszu Wolności.

Ta organizacja skupiająca przynajmniej pół tuzina tak zwanych planetarnych grup wyzwoleniowych miała dużo wspólnego z niedoszłymi terrorystami, których kompania zgarnęła podczas rajdu na Czengczu. Informacje zdobyte po ataku wskazywały, że część kadry szkoleniowej obozów pochodziła z Armii Wyzwolenia Sojuszu Wolności - tak zwanej FALA.

Sojusz był obecnie prawdopodobnie najbardziej skuteczną - i najbardziej niebezpieczną grupą terrorystów działających przeciwko Imperium. Choć imperialny wywiad spenetrował jedną czy dwie jego organizacje członkowskie, rozpracowanie macierzystej organizacji było o wiele większym wyzwaniem. Jej członkowie przestrzegali dyscypliny i znali się na zasadach bezpieczeństwa, a także byli diabelnie dobrze finansowani. Wszystko wskazywało na to, że większa część wsparcia finansowego pochodziła z dobrze zorganizowanej sieci działającej w kilkudziesięciu Światach Bandyckich; Sojusz miał też dobre kontakty z różnymi najemnikami i handlarzami bronią, ponieważ jego Armia Wyzwolenia była o wiele lepiej uzbrojona niż większość organizacji wyzwoleniowych.

Co gorsza, Sojusz Wolności zademonstrował skłonność do rozlewu krwi - w tym także własnej - w dążeniu do celu, mimo że każdy, kto miał sprawny mózg, musiał zdawać sobie sprawę, że jego fundamentalne cele są nieosiągalne.

- Co do tego, co robią na Fullerze - ciągnął Keita - to niestety wszystko jest jasne. Jak wicie, Fuller nie jest imperialnym układem i należy do Stowarzyszenia Langford. Nie jest ono w najlepszych stosunkach z Imperium, ale nasze kontakty z jego światami członkowskimi są i tak o wiele lepsze niż z wieloma pobliskimi Światami Bandyckimi. Najwyraźniej Sojusz Wolności chciałby, żeby te stosunki się pogorszyły; wydaje się też możliwe, że wykalkulowali, iż będziemy mniej skłonni rozpocząć operację wojskową na terenie jednej z członkowskich planet Stowarzyszenia.

- Tak czy inaczej, zażądali azylu na Fullerze na czas „negocjacji” z Imperium. Nie trzeba dodawać, że rząd Fullera dobrze wie, jakie jest stanowisko Imperium w sprawie negocjacji z organizacjami terrorystycznymi. Król Hayden powiedział im, że to nie wchodzi w grę, a jego parlament go poparł.

- I wtedy porywacze zamordowali kapitana, pierwszego oficera i ochmistra „Gwiezdnego Wędrowca” i wyrzucili ciała w kosmos. Potem powtórzyli swoje żądania. Król Hayden po raz drugi odmówił. Zamordowali więc astrogatora, trzech członków załogi,

jednego z urzędników ministerstwa i osobistego sekretarza jednego z członków inkorporacyjnej delegacji. Powiedzieli, że to dwa razy więcej ofiar niż wtedy, gdy po raz pierwszy odrzucono ich żądania, i poinformowali króla Haydena, że następnym razem znów podwoją „karę”.

- Według listy pasażerów, którą przesłało nam Raintree, na pokładzie statku wciąż znajduje się przynajmniej sześciuset cywilów, w tym pozostali członkowie załogi. Wiemy, że terroryści zabili już dziewięć osób - kiedy przejmowali statek, ofiar mogło być więcej - a król Hayden i jego rząd mają wszelkie powody, aby wierzyć, że spełnią swoje groźby, nawet jeśli miałyby to oznaczać wymordowanie wszystkich pasażerów.

- Mimo to król i parlament byli gotowi po raz kolejny odrzucić żądania Sojuszu, ale wtedy książę Shallingsport zaproponował, że pozwoli terrorystom wylądować w swoim księstwie.

- Wbrew własnemu rządowi planetarnemu, sir? - spytał wyraźnie zaskoczony porucznik Paál.

- Niezupełnie - odparł Keita. - Shallingsport to niezależne księstwo. Nie znam wszystkich niuansów systemu politycznego Fullera, ale z tego, co zrozumiałem, wynika, że Shallingsport to największe, najbogatsze i najbardziej zaludnione księstwo spośród kilku stosunkowo niewielkich jednostek terytorialnych na Fullerze, które przynajmniej nominalnie są politycznie niezależne. Książę Shallingsport jest osobistym lennikiem króla Haydena, ale niejako króla Fullera. Jakakolwiek byłaby tu polityczna zależność, książę Geoffrey jest głową państwa i nie jest prawnie związany decyzjami parlamentu. A jako głowa państwa najwyraźniej uznał, że jedynym sposobem powstrzymania terrorystów od stracenia wszystkich zakładników jest dać im to, czego żądają.

- Jednocześnie dobrze zdaje sobie sprawę, jaka jest polityka Imperium wobec terrorystów i planet oferujących im schronienie. Choć pozwolił porywaczom wylądować razem z więźniami na terenie swojego księstwa i zająć kompleks magazynów należący do pozaplanetarnego konsorcjum, nie dał im żadnych oficjalnych gwarancji ochrony. Tak więc według tajnych informacji, które nam przesłał, tak naprawdę uwięził terrorystów razem z zakładnikami. Ponieważ dostali „schronienie”, którego żądali, nigdzie nie odlecą razem z więźniami i „Gwiezdnym Wędrowcem”, co oznacza, że będą siedzieli dokładnie tam, gdzie wylądowali, kiedy my wpadniemy z wizytą. Jednocześnie książę poinformował ich, że choć chce zapobiec dalszym ofiarom, nie ma prawa negocjować w imieniu planetarnego rządu Fullera ani Imperium. Oficjalnie jednak zażądał, by Imperium wysłało do Shallingsport negocjatorów. A nam powiedział, że jest gotów zwodzić terrorystów i grać na zwłokę, dopóki

nie zdecydujemy, co konkretnie zamierzamy zrobić.

Keita znów przerwał, powiódł wzrokiem dookoła stołu, a potem wzruszył potężnymi ramionami, które przez tyle dziesięcioleci dźwigały brzemień obowiązku.

- I dlatego właśnie tutaj jestem. Zdecydowaliśmy już, co zrobimy... i to wy będziecie tymi, którzy to zrobią.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

- Sir Arthurze, kapitanie Alwyn, proszę państwa. - Kapitan Wadysław Watts skinął głową swoim słuchaczom i przez zestaw nagłowny jeszcze bardziej przyciemnił światła w boksie.

Jednocześnie holowyświetlacz nad stołem konferencyjnym ożył, ukazując białobłękitną kulę zdatnego do zamieszkania świata. Kiedy obraz urósł, Alicia zobaczyła, że planeta ma trochę więcej wody i nieco mniejsze czapy lodowe niż Stara Ziemia. Nocna strona ukazywała też o wiele rzadsze skupiska sztucznego oświetlenia, co wskazywało albo na wyjątkowo słabo rozwiniętą bazę technologiczną, albo niewielką, rzadko rozrzuconą populację.

- To planeta Fuller w układzie gwiazdowym o tej samej nazwie - powiedział z półmroku Watts. - Dominująca jednostka polityczna to królestwo Fuller; zajmuje około siedemdziesięciu trzech procent powierzchni planety i zamieszkuje je około dziewięćdziesięciu dwóch procent ogółu planetarnej populacji. Królestwo to dziwna hybryda, monarchia absolutna w trakcie przekształcania się w konstytucyjną. Głową państwa, a także szefem rządu w obecnym układzie politycznym jest król Hayden IV. Kształcił się w Imperium, i w przeciwieństwie do innych planetarnych głów państw w Stowarzyszeniu Langford, zawsze był do niego przychylnie nastawiony - przynajmniej jak na potentata Światów Bandyckich. Fakt, że zawsze był głosem rozsądku w relacjach Stowarzyszenia z nami, może być jednym z powodów, dla których terroryści wybrali jego planetę. Pewnie uznali, że każda jego decyzja znacząco nadweręży stosunki z nami... lub innymi członkami Stowarzyszenia.

- A to jest... - planeta zniknęła i zastąpiła ją o wiele dokładniejsza mapa fragmentu jej powierzchni - księstwo Shallingsport.

Jasna bursztynowa linia obiegła kontury granic nieregularnie ukształtowanej jednostki terytorialnej na wbijającym się w ocean szerokim jeziorze gęsto zalesionych gór.

- Jak państwo widzicie, Shallingsport zajmuje praktycznie cały ten półwysep na Morzu Tannenbauma. Jego nazwa pochodzi od nazwy stolicy i jedyne duże miasto.

Rozbłysła ikonka wskazująca nadmorską lokalizację wspomnianego miasta.

- W mieście Shallingsport znajduje się port kosmiczny księstwa, służący także za główny ośrodek czysto atmosferycznego ruchu. W ciągu ostatnich dwudziestu lat do Shallingsport zaczął ściągać większy przemysł. Zlokalizowano go wokół stolicy, choć industrialne zagłębie

leży tutaj, w baronii Zielona Przystań, i nazywane jest - bez większego polotu - Parkiem Przemysłowym Zielona Przystań.

Rozbłysła kolejna ikonka, tym razem dobrych dwieście kilometrów od stolicy księstwa.

- Książę Geoffrey robił, co mógł, żeby przenieść zakłady przemysłowe z Shallingsport do Zielonej Przystani, by zmniejszyć zatłoczenie stolicy. Oferował bardzo atrakcyjne zachęty finansowe i ulgi podatkowe, a nowe firmy spoza planety umiejscawiał w rejonie Zielonej Przystani. Dodatkowo za zgodą króla Haydena zbudował towarowy terminal portu kosmicznego. Port w Zielonej Przystani będzie kosztował Geoffreya nieźle cła importowe, kiedy już oficjalnie wystartuje, co ma nastąpić w przyszłym lokalnym miesiącu. Ale przez blisko rok Hayden pozwalał „nieoficjalnie” przyjmować towary, nie nakładając wymaganych przez prawo ceł importowych, by wspomóc rozwój tego regionu.

- Jestem pewien... - mimo złego oświetlenia ulepszony wzrok Alicii z łatwością dostrzegł uśmiech Wattsa - że zastanawiacie się państwo, po co wam przedstawiam informacje na temat rozwoju przemysłowego Shallingsport.

- Otóż kiedy książę Geoffrey zgodził się udzielić „azylu” terrorystom, którzy opanowali „Gwiezdnego Wędrowca”, dość długo negocjował z nimi najlepsze miejsce. Terrorysty chcieli być jak najlepiej zabezpieczeni przed potencjalnym atakiem naziemnym, a książę chciał ich mieć jak najdalej od stolicy, na wypadek, gdyby doszło do takiego ataku. Zaproponowane przez terrorystów kompromisowe rozwiązanie polegało na tym, że zajmą Park Przemysłowy Zielona Przystań. Książę Geoffrey zauważył, że cały park byłby nieco za duży dla ich potrzeb, więc odpowiedzieli, że zajmą tylko teren jednego zakładu. Upierali się jednak, by był wystarczająco duży, żeby mogli się w nim ukryć razem z zakładnikami, i by utrudniał jakkolwiek powietrzny i orbitalny rekonesans.

- Po długich przepychankach terrorysty w końcu zaproponowali, że zajmą w Shallingsport budynki korporacji Jason. To jakaś podejrzana spółka z siedzibą na Trójstronnym - to kolejny członek Stowarzyszenia Langford - specjalizująca się w budownictwie na dużą skalę. Ponieważ jest to nowa firma, jej teren - bardzo duży, żeby pomieścić punkty serwisu i obsługi ciężkiego sprzętu - nie był jeszcze w pełni zajęty, a stosunkowo niewielką liczbę personelu, którą Jason miał na planecie, można było łatwo ewakuować. Budynki firmy stoją dość daleko poza główną zabudową Zielonej Przystani. Dzięki istnieniu portu towarowego transfer terrorystów i zakładników z „Gwiezdnego Wędrowca” na powierzchnię planety był stosunkowo prosty.

- To wszystko oznacza, że ten kompleks budynków... - mapa półwyspu Shallingsport zniknęła, zastąpiona powietrznym zdjęciem dwóch mniejszych budynków przytulonych do

północnego i południowego końca o wiele większego trzeciego - będzie waszym celem.

Alicja zmarszczyła czoło. Nie dość, że budynki były duże, to na dodatek cały kompleks leżał na szczycie dość stromego wzgórza, wynurzającego się z gęstego lasu na samym skraju Parku Przemysłowego księcia Geoffreya. Wróg miał stamtąd świetny widok, a sam budynek był na tyle duży i solidnie zbudowany, że mógł poważnie utrudniać dokonanie biernego zwiadu z powietrza.

- A teraz powiem wam, co wiemy o siłach przeciwnika.

- Jak już sir Arthur mówił, nie mamy pojęcia, jak w ogóle dostali się na pokład „Gwiezdnego Wędrowca”. Nie zidentyfikowaliśmy także ludzi zamieszanych w porwanie. Przedstawili się jako członkowie Armii Wyzwolenia Sojuszu Wolności, a Sojusz wydał oficjalny komunikat, w którym wziął na siebie odpowiedzialność za tę operację, zanim informacje o porwaniu dostały się do szerszej wiadomości. Na tej podstawie wydaje się bardzo prawdopodobne, że faktycznie mamy do czynienia z FALA. Nie wiemy tylko, kim są konkretne osoby. Nasze wysiłki mające na celu spenetrowanie Sojuszu pozwoliły zidentyfikować kilka osób z przywództwa, ale jak dotąd nie potwierdziliśmy obecności żadnej z nich na pokładzie „Gwiezdnego Wędrowca”. Szczerze mówiąc, są bardzo ostrożni w kontaktach z władzami Fullera i księciem Geoffreym, żeby nie dać nam możliwości rozpoznania kogokolwiek z nich.

- Nie wiemy także dokładnie, jaką bronią mogą dysponować. Czas ich przelotu z Raintree na Fullera świadczy, iż polecieeli najkrótszą trasą. Nie mieli więc czasu zatrzymać się gdzieś po drodze i zabrać cięższą broń, nic nie wskazuje także na to, by to zrobili po dotarciu do systemu. Dlatego sądzimy, że muszą mieć tę samą broń, którą udało im się przemyścić na „Wędrowca”, co sugeruje, że nie jest to nic groźniejszego niż stosunkowo lekka broń ręczna. W dodatku lądując na Fullerze, korzystali tylko z dostarczonych im na miejscu promów osobowych, a nie towarowych, co również wskazuje, że nie mają ze sobą znaczącej ilości ciężkiej broni.

- Wiemy także z liczby kursów promów, którymi przelecieli z „Wędrowca” - zakładając, iż przewieźli wszystkich zakładników - że nie może ich być więcej niż stu - stu pięćdziesięciu. Jak dotąd wszystko wskazuje na to, że ta liczba jest nawet zawyżona. Oczywiście nie mamy pewności, ale batalion ocenia, że jest ich prawdopodobnie nie więcej niż siedemdziesięciu pięciu.

- Przepraszam, Wadislawie - powiedział Paál Ágstron - ale jak batalion ustalił tę liczbę?

- Podstawą był fakt, że na pokładzie „Wędrowca” było trochę pasażerów, którzy nie wchodzili w skład oficjalnej delegacji, a „Gwiezdny Wędrowiec” to statek pasażerski, z

większą liczbą personelu, dlatego porywacze nie mieli zbyt wielu wolnych stanowisk, które mogliby zająć. Z drugiej strony musieli mieć więcej niż kilkadziesiąt osób, by porwać statek, nawet jeśli udało im się wziąć załogę z zaskoczenia. To nam wyznacza dolną granicę ich liczebności. Górną granicę wyznacza zaś fakt, że przemycenie bardzo dużej liczby ludzi na statek tak, by nie uruchomić systemów bezpieczeństwa, jest bardzo trudne. Dlatego batalion uważa, że nawet siedemdziesiąt pięć osób to prawdopodobnie za dużo i że część promów zrobiła puste albo prawie puste kursy, by zmylić nas co do faktycznej liczebności terrorystów. Mimo to na wszelki wypadek zakładamy, że jest ich maksymalnie dwieście osób.

Paál pokiwał głową w zamyśleniu i z powrotem usiadł.

- A więc - kontynuował Watts - to jest ich przybliżona liczebność na ziemi. W dodatku wciąż mają przynajmniej kilku ludzi na pokładzie „Gwiezdnego Wędrowca”. Ustawili statek tak, by mieć oko na planetę, a szczególnie na Shallingsport, i uważamy, że wystrzelili przynajmniej dwie, a prawdopodobnie nawet trzy zdalne sieci sensorów.

- Sieci sensorów? - Tym razem pytanie zadał Tobias Strassmann. - Skąd, u diabła, ci ludzie wzięli sieci sensorów?

- Od jakiegoś czasu było jasne, poruczniku - odparł Watts - że zasoby i możliwości Sojuszu Wolności cały czas rosną. Wiem, że rutynowe raporty wywiadu batalionu wskazywały, że sieć pozyskiwania finansów dla Sojuszu doskonale sobie radzi. Widzieliśmy także podczas operacji FALA coraz bardziej zaawansowany technicznie sprzęt, w tym ciężką broń, której, dzięki Bogu, tutaj nie mają. Jest oczywiste, że nawiązali pewne korzystne kontakty na czarnym rynku uzbrojenia, i sieci sensorów, które wystrzelili, prawdopodobnie pochodzą właśnie stamtąd.

- I przemycili je na statek pasażerski?

- Najwyraźniej. Ale nie wiemy, jak to zrobili. Muszę powiedzieć, że choć nienawidzę Sojuszu Wolności i pogardzam nim, już wcześniej przejawiali zdolność kreatywnego planowania i skutecznego przeprowadzania operacji. A fakt, że udało im się wprowadzić porywaczy na pokład „Wędrowca”, jeszcze to potwierdza.

- Ale mimo wszystko - powiedział Strassmann, kręcąc głową - coś mi tu nie pasuje. Mogło im się udać przemycić broń ręczną w pojemnikach na bagaż osobisty, ale kosmiczna sieć sensorów jest o wiele większa i trudniejsza do ukrycia.

- Są pewne przesłanki - odparł ostrożnie Watts - że to robota kogoś od nas. Oczywiście przy każdym porwaniu istnieje taka możliwość. Tym razem chodzi o konkretną osobę - ochmistrza.

- Przecież powiedział pan, że zabili ochmistrza, kiedy rząd planetarny odrzucił ich

pierwsze żądanie udzielenia im schronienia.

- Zgadza się, poruczniku Strassmann. Ale ciała zostały odnalezione i stwierdzono, że podczas gdy wszyscy zostali postrzeleni w głowę z zakłóacza nerwowego, ochmistrzowi poderżnięto gardło. W dodatku istnieje podejrzenie, że został zabity nieco wcześniej niż pozostałe ofiary. Dlatego możliwe są dwie teorie: albo został zabity przez porywaczy, by nie mógł potem zidentyfikować ludzi, z którymi robił interesy, albo ktoś spośród załogi lub pasażerów usiłował odbić statek i zdrajca przypłacił to życiem. Po czym terroryści wyrzucili jego zwłoki ze śluzy razem z innymi.

Strassmann nie wyglądał na usatysfakcjonowanego tym wyjaśnieniem, ale mimo to kiwnął głową. W końcu w każdej operacji jest coś, co wydaje się nie mieć sensu.

- Tak czy inaczej - ciągnął Watts - fakt, że używają „Wędrowca” jako orbitalnego punktu obserwacyjnego, komplikuje wszystkie scenariusze desantu. To, że wypuścili sieć sensorów i jej możliwości nie są nam znane, jeszcze bardziej nas ogranicza. Terroryści ogłosili, że na widok okrętu wojennego - Floty Imperialnej czy kogokolwiek innego - zabijają połowę zakładników. Zrobią to samo, jeśli ktoś spróbuje odbić statek. Jakby tego było mało, założyli na „Gwiezdnym Wędrowcu” samobójcze ładunki wybuchowe i powiedzieli, że wolą wysadzić siebie w powietrze niż dać się złapać. Biorąc pod uwagę ich dotychczasowe dokonania i fakt, że każdy z nich już zasłużył na karę śmierci, batalion jest skłonny wierzyć im na słowo.

- Nie wiemy, ile mamy czasu na zorganizowanie akcji ratunkowej. W tej chwili mamy do czynienia z dość typowymi żądaniem. Chcą wypuszczenia więźniów przetrzymywanych na kilkunastu planetach za udział w operacjach organizacji „wyzwoleńczych”, które im podlegają. Żądają pewnych ustępstw ze strony Imperium, a także pięciu czy sześciu rządów planet, tak Bandyckich, jak i imperialnych. Domagają się pokaźnego okupu za oddanie nam „Wędrowca” oraz oczywiście innego, szybszego statku, którym będą mogli uciec z Fullera.

- Muszą wiedzieć, że nic z tego nie dostaną - zagrział swoim niskim głosem kapitan Alwyn; jego czarna twarz widoczna w poświacie bijącej od hologramu była zacięta.

- Oczywiście - zgodził się Watts. - Batalion przychyła się do opinii większości, że ich żądania to w tym momencie tylko oferta negocjacyjna. Nie spodziewają się, że to dostaną. Po prostu stawiają żądania - dość bezczelne - z których zamierzają zrezygnować, by dostać to, czego naprawdę chcą. Zakładając, że to prawda, póki co nie wiemy, co to jest.

- Powiedział pan, że „batalion przychyła się do opinii większości” - zauważył Alwyn. - Czy to oznacza, że jest też jakaś opinia mniejszości?

- Tak, kapitanie. Mówi się o tym, że w rzeczywistości jest to operacja psychologiczna.

Terrorystyci nie mają żadnych konkretnych żądań. Po prostu chcą dać Imperium nauczkę. Pokazać wszystkim, że zmusili je do porzucenia polityki „zero negocjacji” i podjęcia rozmów. Zakładając, że ta teoria jest słuszna, prawdziwym celem terrorystów jest podniesienie morale ich zwolenników - oraz ludzi, którzy ich finansują - i zniechęcenie przeciwników. Proszę nie zapominać, że większość organizacji terrorystycznych, a Sojusz Wolności nie jest tu wyjątkiem, działa z baz w Światach Bandyckich, a nie z terytorium Imperium. Ludzie, z którymi rozmawiają, od których biorą pieniądze i spośród których rekrutują walczących, to prawie sami mieszkańcy Bandyckich. To oznacza, że reakcja Imperium na ich operacje w Bandyckich jest kluczowa dla możliwości dalszego zbierania funduszy i działania. No a same Światy Bandyckie też nie będą miały nic przeciwko temu, aby pchnąć imperialną opinię publiczną w odpowiednim kierunku.

- Dlatego jeśli „opinia mniejszości”, jak pan to ujął, kapitanie, jest prawdziwa, terrorystyci będą chcieli przeciągać konfrontację najdłużej jak się da, prawdopodobnie mając nadzieję, że media podchwycą to i ku uciesze publiki zmienią w „kryzys”. Ostatecznie prawdopodobnie zgodzą się na wypuszczenie zakładników - tych, którzy przeżyją w zamian za możliwość opuszczenia układu Fullera na pokładzie nowego statku albo „Wędrowca”. Prawdopodobnie będą woleli nowy statek, nawet mniejszy, bo fakt, że „zmusili” Imperium, żeby im go dało, zrobi z nich jeszcze większych herosów w oczach ich zwolenników.

- Hmm. - Alwyn zamyślił się na chwilę, a potem się skrzywił. - W tym momencie możemy chyba tylko spekulować. Ale muszę przyznać, nawet po tylu latach, że wciąż trudno mi uwierzyć, że ci ludzie w ogóle myślą, a co dopiero mówić o racjonalnym myśleniu.

- Z naszej perspektywy oni nie myślą racjonalnie, Madison - powiedział Keita. - Ich myślenie opiera się na całkowicie innych założeniach i wartościach. Można chyba powiedzieć, że każdy, kto przystępuje do czegoś takiego jak Sojusz Wolności, musi być fanatykiem. To rzecz oczywista. Ale jeśli przyjmie się podstawowe założenia, na których opiera się ich analiza sytuacji, to myślą racjonalnie. Przynajmniej w tym znaczeniu, że jeśli uda nam się dociec, o co im naprawdę chodzi, to jest pewna logika w tym, jak próbują to osiągnąć.

- Ma pan oczywiście rację, Wuju Arthurze - przytaknął Alwyn. - Po prostu... Nieważne. - Pokręcił głową. - To temat do rozważań nad zimnym piwem, nie warto się teraz tym zajmować. - Spojrzał na Watta. - Proszę dalej, kapitanie.

- Tak wygląda wstępny przegląd sytuacji - zaczął Watta. - Zebrałem dodatkowe dane - klimat w Shallingsport, bardziej szczegółowe mapy terenu, informacje o lokalnej scenie politycznej i tak dalej - potrzebne do zaplanowania operacji. Póki co przedstawiłem wszystko

to, co wiemy i czego nie wiemy.

- Kapitan Watts ma rację - powiedział sir Arthur, przejmując prowadzenie odprawy, i skinął uprzejmie głową kapitanowi. - Nie wiemy bardzo wielu rzeczy o ich celach i planach. Wiemy tylko, gdzie są w tej chwili, jakimi dysponują siłami i z jakimi ograniczeniami musimy się liczyć, i za to jesteśmy winni wdzięczność księciu Geoffreyowi.

- Wuju Arthurze - zabrał głos Alwyn. - Szczerze mówiąc, jestem zaskoczony, że w ogóle rozmawiał z terrorystami. Angażowanie się w coś takiego musi być z politycznego punktu widzenia bardzo ryzykowne dla kogoś w jego sytuacji.

- I tak, i nie, kapitanie - wtrącił Watts. - Owszem, jest pewne ryzyko, ale tak naprawdę księżę z nimi nie negocjuje. I szczerze mówiąc, choć wykazał się wielką odwagą cywilną, pomysł, aby im zaproponować wylądowanie w Shallingsport, nie wyszedł od niego. Z tego, co zrozumiałem, to Jokuri, dyrektor jego Biura Rozwoju Przemysłowego, imperialny poddany, którego księżę sprowadził do kierowania projektem Zielonej Przystani, zaproponował księciu takie rozwiązanie. Nie chciałbym wyjść na cynika czy bagatelizować autentyczną troskę Geoffreya o życie zakładników, ale podejrzewam, że Jokuri przekonał go, że tak bardzo będziemy wdzięczni za jego pomoc, iż nie zaatakujemy go za podjęcie rozmów z terrorystami.

- W takim razie jesteśmy winni wdzięczność Jokuriemu - zauważył Keita. - Ale niezależnie od tego, co kto komu zaproponował, wiemy, że nie możemy sobie pozwolić na przeciąganie tej sytuacji. Jeśli „opinia mniejszości”, jak ją nazwał kapitan Watts, jest słuszna, mamy do czynienia z sytuacją, na której przeciwnikowi zależy. A jeśli nie jest słuszna, wciąż pozostaje faktem, że im dłużej to się będzie ciągnęło, tym większe prawdopodobieństwo, że zaczniemy tracić kolejnych zakładników.

- Mogę państwa także poinformować, że zapadła już decyzja, iż nie dojdzie do żadnych oficjalnych negocjacji, chyba że w ramach taktyki gry na zwłokę, podczas kiedy my będziemy organizować ratunek.

Wszyscy ponuro kiwnęli głowami. Nikt z zebranych wokół stołu konferencyjnego nie był zaskoczony tym, co powiedział Keita.

- Oczywiście zaplanowanie szczegółów będzie należało do was, ponieważ to wy będziecie musieli przeprowadzić operację. Flota przesuwa swoje jednostki w stronę Fullera, ale z powodu „Gwiezdnego Wędrowca” i tych czujników, o których wspominał kapitan Watts, żadna z tych jednostek nie będzie mogła zbliżyć się do planety na tyle, by coś wskórać. Wygląda na to, że to będzie kolejne zadanie dla „Marguerite Johnsen”. Ustaliliśmy, że w ciągu najbliższych kilku dni na Fullera ma przylecieć frachtowiec mniej więcej takiej

samej wielkości. Flota przesłała już rozkazy do jego poprzedniego portu docelowego, by go tam zatrzymali. Musimy zakładać, że terroryści mają dostęp do rozkładu przylotów i odlotów z Fullera - zresztą nigdy nie był utajniony - i zatrzymanie statku, którego wszyscy się spodziewają powinno stworzyć lukę, w którą możemy wstawić „Marguerite Johnsen”, nie wzbudzając żadnych podejrzeń aż do chwili, kiedy będzie wystarczająco blisko planety, by przeprowadzić zrzut.

- Na pokładzie „Gwiezdnego Wędrowca” wciąż mogą być zakładnicy. Wprawdzie rzecznik terrorystów zaklina się, że wszyscy zostali przetransportowani do Shallingsport, ale mimo to musimy zakładać, że na pokładzie jeszcze są jacyś więźniowie. Niestety musimy również zakładać, że są tam także uzbrojone ładunki wybuchowe, o których mówili terroryści. Powiem państwu zupełnie szczerze, że nie sądzę, byście zdołali wymyślić rozwiązanie, które bym zaaprobował. Może uda się namówić ludzi na pokładzie do poddania się, jeśli wyeliminujemy ich kolegów na ziemi, ale nie jestem gotów narażać życia Kadrowiczów dla beznadziejnych prób przejścia orbitującej bomby z samozapłonem.

- Co do Shallingsport/Zielonej Przystani, moim zdaniem najlepszym wyjściem będzie bezpośredni zrzut i jak najszybszy szturm. Nie będziemy mieli żadnego rozpoznania tego, co się dzieje wewnątrz kompleksu budynków zajętych przez bandytów. Wiemy, że księżę Geoffrey zarządził całkowitą ewakuację Zielonej Przystani, co oznacza, że każdy, kogo tam napotkamy, prawdopodobnie będzie po stronie terrorystów. Niestety w tej chwili nie mamy możliwości potwierdzenia, jak przebiegła ewakuacja.

- Jeśli wolno, sir Arthurze? - spytał ostrożnie Watts.

- Oczywiście, kapitanie.

- Zgadzam się ze wszystkim, co pan powiedział, sir. I tak samo jak pan żałuję, że nie mamy lepszego rozpoznania sytuacji wewnątrz i wokół Zielonej Przystani. Stara Ziemia przygotowała jednak i przysłała nam star-komem wizualne przedstawienia wszystkich znanych członków załogi „Gwiezdnego Wędrowca”, członków delegacji i personelu pomocniczego. Będziemy mogli zgrać te dane do komputerów zbroi pana ludzi. Wiemy też, że przeciwnik nie może mieć zbyt wiele ciężkiej broni, jeśli w ogóle jakąś ma, i że jego siły nie mogą być bardzo liczne.

- Do czego pan zmierza, kapitanie? - spytał generał Keita.

- Chyba do tego, że pana Kadrowicze mają o wiele większe możliwości, niż pan i oni sami uważają, sir. Mając w pamięci pana stwierdzenie, że musimy to rozegrać szybko, obawiam się, że ludzie kapitana Alwyna będą musieli tam wejść gwałtownie i brutalnie. Ale dysponując podobiznami zakładników oraz znając możliwości Kadry, powinniśmy

przynajmniej zminimalizować liczbę ofiar własnego ognia wśród więźniów.

- Nie jestem specjalnie zachwycony wizją jakichkolwiek „ofiar własnego ognia” - powiedział nieco chłodno Alwyn.

- Nie sugeruję, że powinien pan być, kapitanie - odparł niewzruszony Watts. - Twierdzą tylko, że ci ludzie już pokazali, że są zdolni traktować życie zakładników jako element przetargowy. Jeśli tam nie wejdziemy, prawie na pewno stracimy ich więcej, niż podczas próby odbicia przez tak kompetentnych jak wy ludzi. Nie próbuję wbijać was w dumę, ale spójrzmy prawdzie w oczy. Jesteście Kadra. Właśnie tym się zajmujecie i nikt w całej galaktyce nie jest od was lepszy. Zdaję sobie sprawę, że jestem tylko dupkiem z wywiadu, sztabowym mieczakiem z batalionu, ale gdyby to ode mnie zależało, nie powierzyłbym nikomu innemu swojego życia.

- Jestem zmuszony zgodzić się z kapitanem Wattsem - powiedział cicho Keita. - Zobaczymy, czy uda nam się zorganizować jakieś wsparcie Os z jednostek Floty lecących w rejon Fullera. To, czy będziecie w stanie z niego skorzystać, to oczywiście inna sprawa, ale spróbujemy zobaczyć, czy w ogóle jest to możliwe. Zrobimy też wszystko, co w naszej mocy, by poprawić wasze rozpoznanie sytuacji, Madison. Wie pan, że tak będzie. Ale na razie macie rozpocząć natychmiastowe planowanie operacji na podstawie informacji, które w tej chwili mamy - które kapitan Watts ze sobą przyniósł - oraz możliwości tylko własnych ludzi i środków. Czy to jasne?

Spojrzał bardzo spokojnie na dowódcę kompanii Charlie, a kapitan Madison Alwyn odpowiedział mu równie spokojnym spojrzeniem.

- Tak, Wuju Arthurze - powiedział po chwili. - Jasne.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

- Przepraszam, skipper - powiedział porucznik Paál - ale to mi się po prostu nie podoba.

- Mnie też nie, Ágstron - odparł Madison Alwyn - ale nie sędzę, żebyśmy mieli jakiś wybór. Kapitan Watts... - wskazał ruchem głowy oficera marines biorącego udział w sesji planowania, którą zorganizowano w wygodnie urządzonej sali wywiadowczej „Marguerite Johnsen”, podczas kiedy zamaskowany transportowiec mknął przez tunel czasoprzestrzenny - już potwierdził, że terroryści rozmieścili z pokładu „Gwiezdnego Wędrowca” sieć czujników orbitalnych. Prawdopodobnie podczas desantu możemy wykorzystać osłonę planety, zwłaszcza że będziemy go przeprowadzali pod przykryciem. Ale jeśli mają czujniki orbitalne, musimy zakładać, że rozmieścili też sieci czujników naziemnych, kryjących teren bezpośrednio wokół celu. To oznacza, że nas zobaczą, jeśli spadniemy w promieniu ich wykrywania, a wtedy...

- A wtedy zaczną zabijać zakładników - dokończył za niego Paál. - Wiem o tym, skipper. Boję się tylko, że nieważne, gdzie wylądujemy, i tak nas wychwycą, kiedy będziemy się zbliżać, jeśli mają rozstawione porządne czujniki taktyczne. A jeśli ich nie mają, możemy spaść bliżej celu i skrócić czas, jaki będą mieli na wykrycie nas.

- Jeśli wolno, kapitanie Alwyn? - powiedział nieśmiało Watts. Dowódca kompanii Charlie opadł na oparcie fotela i machnięciem ręki zachęcił marine do mówienia. Watts odwrócił się do Paála.

- Ogólnie rzecz biorąc, poruczniku - powiedział - byłbym skłonny się zgodzić, że rzut bliżej kompleksu budynków korporacji Jason dałby wam największą szansę dotarcia do pozycji terrorystów, zanim zdaliby sobie sprawę z waszej obecności. Ale myślę, że kapitan Alwyn i porucznik Masolle mają słuszość. Jeśli terroryści mają sieć czujek taktycznych na antygrawach czy choćby naziemną sieć sensorów wokół Zielonej Przystani, na pewno zauważą wasz rzut. A mają sześciuset zakładników.

- Dobrze o tym wiemy - mruknął Tobias Strassmann, a Alicia nastawiła uszu, słysząc jego ton. Podejrzewała, że ktoś, kto nie znał porucznika tak dobrze, jak ona go poznała, w ogóle by tego nie zauważył. Ale ona go znała i nagle uzmysłowiła sobie, że on też nie przepada za Wattsem.

- Zdaję sobie z tego sprawę, poruczniku Strassmann - odparł marine tonem człowieka,

który wie, że Strassmann z jakiegoś powodu go nie lubi, i który wkłada dużo wysiłku w to, by nie dać się sprowokować. - Moje uwagi były jedynie wstępem do tego, co chcę powiedzieć. A chcę powiedzieć... - włączył przez nagłowne neuro-złącze stół taktyczny i pokazał na nim zbliżenie rejonu w promieniu około czterdziestu kilometrów od celu - że nawet jeśli terroryści mają rozmieszczone czujniki, ta dolina powinna się znajdować poza zasięgiem wykrycia zakamuflowanego zrzutu.

Migający zielony kursor wykreślił jasną kropkowaną linię wzdłuż wskazanej doliny. Jej skaliste zbocza, jak zauważyła Alicia, kryły rzekę przepływającą tuż obok pozycji terrorystów. Zbocza były strome na całej długości doliny, ale w odległości zaledwie kilometra od celu zmieniały się w wąwóz o niemal pionowych ścianach.

- Tego nie zauważyłem - powiedział po chwili Strassmann cieplejszym niż poprzednio głosem. Popatrzył na jaśniejącą linię i pokiwał głową. - Ma pan dobre oko do terenu.

- Miałem więcej czasu na zastanowienie niż wy - zauważył Watts. - Możecie mi wierzyć, że zacząłem ślęczeć nad mapami Shallingsport kiedy tylko batalion został powiadomiony o tym, co się dzieje.

- Sytuacja wygląda lepiej, niż myślałem - przyznał po chwili Paál Ágstron. - O wiele lepiej. Ale wciąż mamy tu podejście na prawie siedemdziesiąt klików, jeśli będziemy się trzymać rzeki, a w takim terenie będziemy mieli szczęście, jeżeli wyciągniemy pięćdziesiąt kilometrów na godzinę.

- Zgoda - przytaknął Alwyn. - Z drugiej strony kiedy ostatnio mogliśmy sobie wybierać teren, kiedy przychodziło do planowania misji?

- Tu muszę przyznać panu rację, skipper. - Paál uśmiechnął się z lekkim przymusem. - Nie przypominam sobie ani razu.

Wszyscy zaśmiali się krótko, a Alwyn pochylił się nad obrazami na stole taktycznym.

- Przeprowadził pan analizę innych możliwych tras podejścia, Wadislawie? - spytał.

- Tak. Jest parę innych, które dałyby wam niemal tak samo dobrą osłonę, ale musielibyście iść o wiele dłużej, i szczerze mówiąc, wydaje mi się, że terroryści mieliby większe szanse zauważenia was. Chce pan rzucić na nie okiem?

- Tak. Chociaż jeśli to rzeczywiście najkrótsza i najszybsza droga podejścia z miejsca, w którym nie będą w stanie wykryć naszego przybycia, prawdopodobnie trzeba będzie się na nią zdecydować.

- Chyba że będą się nas tutaj spodziewać właśnie dlatego, że to najkrótsza i najszybsza droga z miejsca naszego zrzutu, sir - zauważyła pierwszy sierżant Yussuf. - Gdybym to ja była terrorystą obawiającym się wizyty kogoś takiego jak my, skipper, bardzo pilnie

przyglądałabym się temu wąwózowi.

Wrzuciła w hologram własny kursor i wskazała linię rzeki najbliższej celu.

- Być może - zgodził się Alwyn - ale ja osobiście wierzę w najprostsze rozwiązania. Puścimy przodem czujki, na wszelki wypadek, i zaplanujemy alternatywne podejścia, ale tak naprawdę to mi wygląda na najlepsze. Poza tym jeśli zaczniemy za bardzo kombinować, na pewno znajdziemy jakieś wady w każdej trasie podejścia do celu.

- Do tego dochodzi fakt, że tamci nie mogą mieć wystarczającej liczby ludzi, by rozstawić ich po całej okolicy, żeby nas wypatrywali - zauważył Strassmann. - Nawet przyjmując najbardziej pesymistyczne wyliczenia batalionu, nie mogą mieć na planecie więcej niż około dwustu ludzi. A mają trzy razy tylu zakładników do pilnowania. Muszą ekonomicznie rozporządzać swoimi siłami.

- Porucznik Strassmann ma rację - powiedział Watts. - Oczywiście jak już mówiłem, nasza ocena liczebności FALA na planecie to wyłącznie spekulacje. Możemy się mylić, dlatego właśnie batalion wziął pod uwagę najgorsze scenariusze. Jest coś jeszcze. Kiedy ci ludzie przybyli do systemu Fuller, zażądali schronienia od króla Haydena, a nie księcia Geoffreya, stąd mało prawdopodobne wydaje się, by planowali lądowanie właśnie w Shallingsport. Dlatego nawet gdyby chcieli dokładnie zbadać teren wokół ich miejsca „schronienia”, skąd mogli wiedzieć, które mapy należy ze sobą wziąć? Może sporządzili mapę radarową, lecąc z „Wędrowca”, ale potem już musieli improwizować, gdy król Hayden im odmówił, a księżę Geoffrey się zgodził. Poza tym promy, którymi zlecieli na powierzchnię planety, były standardowymi cywilnymi modelami - towarowymi jednostkami Jasona, dostarczonymi przez dyrektora Jokuriego i księcia Geoffreya - i w żaden sposób nie mogły mieć sensorów potrzebnych do sporządzenia szczegółowych map.

- Sam myślałem w podobny sposób - zgodził się Alwyn. - Mogą już być na miejscu, na ziemi, ale to nie znaczy, że dobrze znają teren. I jak mówi Tobias, nie mają zbyt wielu ludzi. Dlatego na ich miejscu, gdybym miał tylko dwustu ludzi i dostęp do przyzwoitych czujek taktycznych, skłaniałbym się do okopania w samym środku terenu, który mógłbym kontrolować. A ta pana dolina daje nam najlepszą szansę dostania się do środka ich perymetru, a przynajmniej pod sam perymetr, nie będąc zauważonym.

Kapitan siedział przez chwilę w milczeniu, patrząc na wykropkowaną linię nakreśloną przez Watta. Potem kiwnął głową i podniósł wzrok.

- Francesca - powiedział do Masolle. - Masz usiąść z Wadislawem i przyjrzeć się pozostałym strefom zrzutu i trasom podejścia. Zrób jak najlepszą analizę zalet i wad każdej z nich.

Masolle kiwnęła głową, a Alwyn odwrócił się do Strassmanna.

- Jeśli Francesca nie znajdzie jakiegoś konkretnego powodu, żebyśmy wybrali inną drogę, myślę, że skorzystamy z sugestii Wadysława - powiedział. - Na tej podstawie masz opracować szkic planu zrzutu. Niech będzie „lekki”. Biorąc pod uwagę, jaki kawał drogi mamy do przejścia, oraz fakt, że źli nie mogą mieć za dużo ciężkiej broni i że będziemy musieli przebić się do zakładników, będzie nam raczej potrzebna szybkość, precyzja i elastyczność niż brutalna siła.

- Już się robi, skipper. - Kapitan odwrócił się teraz do Paála.

- Ágstron, a tymczasem ty i Pam... - skinął głową sierżant Yussuf - opracujecie plan podejścia do celu ze strefy zrzutu Tobiasa. Pam może mieć słuszość co do tego, że obsadzili wawóz, dlatego zaplanujcie kilka wariantów, by ominąć ten konkretny odcinek. Sprawdzimy, jakie mamy możliwości, i przepuścimy je przez symulatory, zanim podejmiemy decyzję.

- Tak jest, sir.

- Dobra, ludzie. - Alwyn odepchnął się od stołu i wstał. - Do roboty. Spotkamy się tu z powrotem za cztery godziny.

* * *

- Hej, Alley! Miałem cię zapytać, jak ci idzie kurs czytania w myślach jaszczurów. Masz już ochotę zjeść na surowo swojego partnera? - spytał, szczerząc się bezczelnie, Alan McGwire.

Alicja otworzyła oczy i oderwała się od skrupulatnego sprawdzania swojej zbroi przez synth-złącze. Wraz z kilkunastoma innymi żołnierzami znajdowali się w Kostnicy „Marguerite Johnsen” - przedziale magazynowania i serwisowania zbroi bojowych kompanii Charlie. Choć kompanii towarzyszył zespół specjalistów - zbrojmistrzów przydzielonych Kadrze przez marines prawie na stałe - podobnie jak kapitan Watts był skierowany tutaj jako zaplecze wywiadowcze - większość Kadrowiczów sama wolała zajmować się regularnymi przeglądami i przygotowaniem swoich zbroi. Świetnie wyszkoleni specjaliści byli odpowiedzialni za poważne naprawy, rozbudowę i modyfikacje, ale zdaniem Alicji każdy, kto nie chciałby być na bieżąco ze standardowym serwisem własnej zbroi tuż przed zrzutem, powinien zostać zamknięty w wyłożonym gąbką pokoju, w którym nie mógłby zrobić krzywdy ani sobie, ani nikomu innemu.

Poza tym przegląd własnej zbroi przed zrzutem był tradycją kompanii, zwłaszcza w pierwszym plutonie. Nawet jeśli ktoś wiedział, że jego zbroja jest w idealnym stanie, wpadał, żeby się „upewnić”... co zupełnie przypadkiem było też okazją do nieoficjalnego spotkania z

ludźmi, którzy byli dla niego ważni. Ludźmi, którzy dzień czy dwa później mogli już nie żyć.

Oczywiście niepisane zasady surowo zakazywały mówienia o cikliwych czy - Boże broń!
- poważnych rzeczach.

- Informuję pana, sierżancie McGwire - powiedziała surowo Alicia - że plotka, jakoby matriarchinie Rish zjadały na surowo swoich partnerów, jest jedynie skutkiem ludzkich uprzedzeń i zwykłej ksenofobii. Rish nikogo nie zjedli na surowo, odkąd odkryli ogień, a Sfera Rishathańska to społeczeństwo dojrzałe i rozwinięte, jakkolwiek mogłoby się wydawać takim niewykształconym barbarzyńcom jak pan.

- Jasne, jasne! - McGwire przewrócił oczami.

Dowódca sekcji Alpha drażnił się w ten sposób z Alicią, odkąd zapisała się na kurs ksenopsychologii. Żołnierze Kadry byli zachęceni do zdobywania dodatkowego wykształcenia i odbywania szkoleń. Wierzono, że utrzymywanie ludzi w dobrej formie umysłowej i psychicznej jest tak samo ważne, jak dbałość o ich tężyznę fizyczną. Równie oczywisty był fakt, że to, co mogło pomóc Kadrowiczce lepiej zrozumieć Rish, głównych niehumanicznych rywali ludzkości, podpadało pod podwyższanie umiejętności bojowych, ale Alicia odkryła, że kurs jest sam w sobie fascynujący. Zastanawiała się czasem, czy przypadkiem nie odzyskują się w niej geny ojca.

- Pana wroga postawa wobec innego gatunku istot myślących jest niegodna kogoś, kto reprezentuje samego cesarza - powiedziała, machając w powietrzu staromodnym śrubokrętem i groźnie marszcząc czoło. - Jeśli tak dalej będzie, złożę na pana raport do CPSLM. Oni będą wiedzieli, co z panem zrobić!

McGwire stłumił parsknięcie. CPSLM - Centrum Polityki Stosunków Ludzko-Międzygatunkowych - było dzieckiem senatora Edwarda Gennady'ego, jednego z najstarszych członków Senatu. Gennady pochodził ze Starej Ziemi, co dawało mu potężną bazę polityczną; w opinii praktycznie wszystkich żołnierzy imperialnych sił zbrojnych był szaleńcem. Wszyscy członkowie jego CPSLM posiadali imponujące akademickie referencje i wielu spośród nich niezaprzeczalnie było geniuszami w pojęciu swojej własnej, wyizolowanej intelektualnie społeczności. Niestety reprezentowali także intelektualistów ze Światów Wewnętrznych, dla których umiejętność pokojowego współistnienia gatunków myślących, „gdyby tylko spróbowały”, była niepodważalną prawdą. Z tego brało się przekonanie, że niezdolność Imperium do niezakłóconego współżycia z kimś takim jak Rish automatycznie oznacza, że ludzkość się nie stara i musi przyjąć bardziej „koncyliacyjną” politykę oraz przestać „propagować zaściankowe, szowinistyczne uprzedzenia” wobec innych, również wartościowych obcych kultur. Owi intelektualiści trzymali się tej wiary, nawet mimo

empirycznych dowodów przeciwnego stanu rzeczy, z dogmatyczną determinacją godną średniowiecznego wieśniaka.

Zdaniem Alicii jedynymi ludźmi bardziej niebezpiecznymi niż CPSLM byli tacy idioci jak senator Breckman i jego Przymierze Ludzkość Zwycięska, którzy twierdzili, że ludzie nie mogą niczego się nauczyć od obcych kultur. PLZ było tak samo ślepe i dogmatyczne, ale za to jeszcze bardziej zatwardziało w swoich poglądach niż CPSLM w najgorszym wydaniu. Nawet Rish - przykład złych obcych istot z folderów PLZ - stworzyli koncepcje i idee warte przestudiowania przez ludzkość, choćby po to, by lepiej zrozumieć swojego wroga. Do tego, co najgorsze, niektórzy zwolennicy Breckmana uważali, że wojna to dobry pomysł i że „pora poszukać ostatecznego rozwiązania problemu Rish”. Jediną zaletą PLZ było to, że przynajmniej głosowało za zwiększaniem nakładów na wojsko, ale Alicia wątpiła, by ich poparcie dla tej jednej kwestii równoważyło ich kretynizm we wszystkich innych. Jej zdaniem obie gromady imbecyli cały czas żyły w swoich własnych światach, jedynie marginalnie - i sporadycznie - kontaktując się z resztą wszechświata.

- Byłabym zdumiona, gdyby Gennady wiedział, co zrobić z czymś, czego nie może wypić, wypalić, wciągnąć albo wydmuchać - powiedziała kapral Imogene Hartwell. To miał być żart, ale Alicia z trudem ukryła grymas niechęci.

Gennady słynął z rozwiązłej skłonności do młodzieży i upodobania do substancji zmieniających świadomość. Nie psuło mu to jednak opinii wśród jego wyborców; niektórzy - Alicia wiedziała, że Hartwell, wychowana w Świecie Korony i zgodnie z mentalnością „pogranicza”, należy do nich - twierdzili, że dlatego, iż ludzie głosujący na Gennady'ego są tak samo jak on „dekadency”. Jednak w ciągu ostatnich dwudziestu lat Gennady sporządzał, przynajmniej oficjalnie, w kwestii swojego życia seksualnego. I choć Alicia nigdy nie wątpiła, że senator miał problemy z alkoholem i innymi, bardziej ezoterycznymi używkami, przynajmniej kiedy był młodszy, podejrzewała także, że były one wyolbrzymione przez jego politycznych wrogów - których miał więcej, niż była w stanie zliczyć.

- No, ze mną nic takiego nie robi - oznajmił McGwire, wywołując wybuch chóralnego śmiechu. - Ale - ciągnął, patrząc surowo na Alicię - nie myśl sobie, że tak łatwo zmienisz temat, Alley! Słyszałem o ludziach, którzy poszli na kursy „Zrozum Jaszczury”, że wszystkim rzuciło się na mózg!

- Dzięki za ostrzeżenie - odparowała Alicia.

Potem zmarszczyła brew i przekrzywiła głowę.

- Właściwie - powiedziała nieco poważniej - to bardzo fascynujący kurs. Niektóre zachowania Rish wydają się... co najmniej dziwne według ludzkich standardów, a sporo z

nich to zwyczajne szaleństwo! Ale kiedy zacznie się pojmować, jak oni myślą, wszystko to zaczyna nabierać sensu.

- Nie mów mi tylko, że przekonujesz się do Gennady'ego i jego milusińskich! - zaprotestował McGwire.

- Oczywiście, że nie! - Alicia pokręciła głową, prychnąwszy. - Fakt, że to nabiera sensu, wcale nie oznacza, że uważam ich za wcielenie słodyczy, Alan! Jeśli spojrzysz na jakiegokolwiek szaleńca z historii ludzkości, jego czyny prawdopodobnie „miały sens” w świetle jego przekonań i wierzeń, ale to nie znaczy, że Adolf Hitler, Hwang Chyang-tsai, Idrisi al-Fahd czy Naomi Johansson nie byli oszalałymi socjopatami. „Zrozumienie” Rish nie zmieni ich jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, żeby zaczęli się odpowiednio zachowywać - cokolwiek sobie wyobrażają tacy jak CPSLM - ale to interesujący temat.

- Skoro tak twierdzisz... Ale moje osobiste poglądy na stosunki ludzi i Rish są proste. Oni wsadzają nos w przestrzeń imperialną, a my wykopujemy ich tyłki z powrotem na Rish-atha Jeden.

- Dla mnie bomba - wtrącił się Vartkes Kalachian. - Ale jeśli naprawdę interesujesz się tym, jak myślą Rish, sierżancie - spojrzaj na Alicię - spróbuj podpytać Wattsa.

- Kapitana Wattsa? - Alicia była lekko zaskoczona.

- Jasne. - Kalachian skrzywił się. - Znałem Wattsa kilka lat temu, zanim ściągnęli mnie do Kadry. Ja też byłem Osą i jakieś pięć-sześć lat temu pełniłem służbę wartowniczą w naszej ambasadzie na Rish-atha Jeden. On też tam był jako świeży podporucznik, zanim jeszcze zrobili z niego szpiega. A może już się wtedy szkolił, jak się nad tym zastanowić. W każdym razie dostał fuchę w Ministerstwie Spraw Zagranicznych jako chłopiec na posyłki wojskowego attache. Był tam chyba ponad rok, już po tym, jak mnie wybrali do Kadry. Potem słyszałem, że go uznali za PNG.

Alicia zamrugnęła. Sfera Rishathańska oficjalnie ogłosiła Wattsa *persona non grata*? Niewielu służących w marines ma tak cenną rzecz w swoich papierach!

- Może i z nim pogadam - powiedziała po chwili. - Spojrzenie na nich z jego perspektywy mogłoby być interesujące. Dzięki, Vartkes.

- *De nada*. - Kalachian wzruszył ramionami i zajął się z powrotem swoją zbroją.

Tymczasem porucznicy Strassmann i Paál skończyli zlecone przez kapitana Alwyna planowanie zrzutu, i jeśli nic by się nie zmieniło między ostatnią odprawą a przybyciem do systemu Fuller za jakieś siedemnaście standardowych godzin, kompania miała wykonać desant w lekkiej konfiguracji w proponowanej przez Wattsa strefie zrzutu. Alicia wolała lekki sprzęt niż karabin plazmowy - czy raczej działo plazmowe - który jej przydzielano, kiedy

kompania działała w ciężkiej konfiguracji. Karabin plazmowy nie był precyzyjną bronią, zwłaszcza w wersji kadrowej. Działał na zasadzie „wszystko albo nic” i nie dawał większych możliwości brania jeńców, a Alicia obawiała się, że może być zmuszona do strzelania do terrorystów w obecności zakładników, których przecież miała chronić. Poza tym Paál miał rację co do terenu, po którym musieli się poruszać. Im lżejszy sprzęt, tym szybciej dotrą do celu.

Zarazem jednak musiała przyznać, że wolałaby mieć ze sobą trochę więcej ciężkiej siły ognia. Michael Doorn i Obaseki Osayaba mieli wziąć karabiny plazmowe, a ich skrzydła, Édouard Bonrepaux i Shai Hau-zhi, tym razem mieli zabrać kaliopę zamiast zwyczajowych granatników. Ale to było naprawdę jedyne ciężkie uzbrojenie drużyny Alicii. Miała nadzieję, że to wystarczy.

Skończyła diagnostykę zbroi i wyłączyła synth-złącze. Wszystkie systemy były zielone; zmarszczyła brwi, rozważając jeszcze raz stan zapasowej broni i uprząży z wyposażeniem.

Podręcznik nakazywał, by wszyscy Kadrowicze nosili przyboczną broń, choć Alicia nie umiała sobie przypomnieć, by któryś z żołnierzy Kadry kiedykolwiek jej użył. Normalnie brała colta hecklera&kocha trzy milimetry, pistolet maszynowy o zmiennym trybie prowadzenia ognia, który był zdolny przestrzelić swoimi dwumilimetrowymi podkalibrowymi penetratorami wszystko poniżej zbroi bojowej. Tym razem wybrała zakłócacz nerwowy i wcale nie była pewna, czy jest z tego do końca zadowolona. Z CHK zawsze był problem możliwej nadpenetracji, nawet przy stosowaniu amunicji pełnokalibrowej, podczas gdy zakłócacz w pełnym skupieniu zatrzymywał się na celu. Ale Alicia nigdy nie znosiła zakłócaczy, uważając je za wyjątkowo paskudny sposób pozbawiania kogoś życia. Oczywiście przyciśnięta do muru przyznałaby, że w ogóle nie zna dobrego sposobu likwidowania ludzi i że tak naprawdę ma problem z ludźmi, których strzał z zakłócacza nie zabił. Nawet przy stanie współczesnej medycyny konsekwencje były dość makabryczne.

Z drugiej strony, pomyślała ponuro, ludzie, do których się wybieramy, to terroryści, którzy zamordowali bezbronnych więźniów tylko po to, by zyskać punkt w „negocjacjach”. Chyba mogę pogodzić się z odrobiną makabry, jeśli o nich chodzi.

Odsunęła od siebie te myśli i szybko sprawdziła resztę listy sprzętu. Ostrze siłowe tym razem może się przydać bardziej niż zwykle, pomyślała, biorąc pod uwagę gęsto zalesiony teren, po którym mieli się poruszać. Trzydziestopięciocentymetrowe ostrze ze stali bojowej miało krawędź tnącą szeroką na kilka cząsteczek, ale przede wszystkim służyło jako podstawowa matryca dla pola siłowego. Po aktywacji jego długość nagle zwiększała się do

blisko siedemdziesięciu centymetrów, a krawędź tnąca pola siłowego była o wiele ostrzejsza niż ostrze ze stopu. Alicia nie spotkała jeszcze roślinności (czy w ogóle czegośkolwiek innego), która byłaby w stanie to wytrzymać, zwłaszcza kiedy ramię biorące zamach miało przewagę „mięśni” zbroi bojowej.

Jeszcze raz rozważyła zmianę zakłócacza na CHK.

Czemu za każdym razem to robisz?, spytała samą siebie. Czemu ciągle się wahasz? Przestań. Sprawdziłaś wszystko już co najmniej dwa razy i wiesz, że zakłócacz jest o wiele skuteczniejszy przeciwko wszystkim „miękkim” celom. Pora, żebyś poszła złapać trochę snu przed zrzutem.

- No, to tyle - powiedziała, wcielając swoje myśli w czyn i zdejmując zestaw nagłowny. - Idę walnąć się w kime, póki czas. Wy powinniście pomyśleć o tym samym.

Większość pozostałych pokiwała głową, pomachała ręką albo chrząknęła potakująco, ale Alicia wiedziała, że niektórzy nie zamierzają skorzystać z jej rady. Benjamin Dubois, Astrid Nordbo i Thomas Kiely bez wątpienia wciągną czwartego - prawdopodobnie Malachaia Perlmana - i spędzą czas na grze w szulerskie oczko. Brian Oselli i Erik Andersson niemal na pewno wyciągną szachownicę, a Chul Byung Cha najprawdopodobniej powędruje na strzelnicę „Marguerite Johnsen” i wystrzela z pistoletu kilka setek sztuk amunicji.

Wszyscy mieli swoje sposoby radzenia sobie z napięciem przed zrzutem i Alicia wiedziała, że nie ma sensu próbować tego zmieniać. Dlatego tylko pokręciła głową, uśmiechnęła się z czułością i ruszyła w kierunku czekającej na nią koi.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

- Zbierać się, ludzie - powiedziała pierwszy sierżant Yussuf na sieci plutonu. Jej głos był spokojny, niemal pogodny, ale Alicia wiedziała, że Yussuf ma swoją porcję motyli w brzuchu.

- Dobra, wszyscy słyszeliście - dodała i mężczyźni i kobiety z pierwszej drużyny ruszyli do rur desantowych.

Alicia i dwoje dowódców sekcji sprawdzili odczyty wszystkich żołnierzy, zanim sami przeszli za nimi przez włązy i wpięli się do własnych uprzęży.

Ten zrzut jest zupełnie inny niż na Czengczu, pomyślała Alicia, kiedy uprząż desantowa oplotła jej tors, a pępowiny i zatrzaski wyrzutni podpięły się do zbroi. W porównaniu z tą operacją Czengczu było spacerkiem dla zdrowia. Wprawdzie jej pierwszego zrzutu z kompanią Charlie nie poprzedziły ćwiczenia i nie знаła swoich ludzi, ale przeciwnik na Czengczu nie miał powodu oczekiwać ataku i nie było mowy o zakładnikach.

Tym razem od tego, jak dobrze wykonają swoją robotę, zależało życie sześciuset obywateli Imperium, i była to ogromna różnica. Ale przynajmniej Alicia nie była już nowym, nieznanym członkiem grupy. Ona i jej drużyna wykonali przez ostatnie półtora roku pół tuzina zrzutów bojowych i dwa czy trzy razy tyle zrzutów treningowych na żywo, a symulowanych więcej, niż potrafiłaby zliczyć. Teraz tworzyli zgrany zespół.

Mężczyźni i kobiety z kompanii Charlie, z którymi Alicia służyła - a zwłaszcza z pierwszej drużyny - stali się jej rodziną bardziej nawet niż marines. Jak każda rodzina nie zawsze żyli w doskonałej harmonii. Wszyscy znali wybuchowy temperament porucznik Masolle i wiedzieli, że porucznik Paál to kompanijny pesymista. Pierwszy sierżant Yussuf nie przepadała za Denise Cronkite, sierżant drugiego plutonu. W pierwszej drużynie Chul Byung Cha i Astrid Nordbo żywiły do siebie nawzajem od dawna pielęgnowaną urazę (trwającą, o ile Alicia była w stanie to ustalić, od czasu walki o pewnego palanta, który zresztą okazał się żonaty). A Édouard Bonrepaux i Flannan O'Clery bezustannie wytykali sobie nawzajem wymyślane przewiny.

Ale wszystko to nie miało znaczenia. Byli rodziną, znali siebie i bezgranicznie sobie ufali. Nieważne, jak się sobie naprzykrzali pomiędzy zrzutami, jakie robili sobie dowcipy, o co się kłócili - wszystko to przestawało się liczyć, kiedy włązy rur zatrzaskiwały się za nimi.

Byli Kadra, samurajami cesarza, mieczem cesarza, i w ten czy inny sposób zawsze robili to, co do nich należało.

- Zrzut za pięć minut - oznajmiła w implanicie Alicji SI „Marguerite Johnsen”, a ona rozluźniła się, czekając.

* * *

Podszywając się pod zarejestrowany w Bandyckich Światach frachtowiec „Andżelika Nikolajewna Dubrowska”, „Marguerite Johnsen” sunęła ku ciemnej stronie planety Fuller na swojej orbicie parkingowej.

Półwysep Shallingsport znajdował się w głębi północnej półkuli Fullera, o wiele za wysoko nad równikiem, by „Gwiezdny Wędrowiec” mógł utrzymywać nad nim orbitę geostacjonarną, a sam transportowiec nie był zaprojektowany do kontrolowania zdalnie sterowanej sieci czujników. Terrorysty na jego pokładzie najwyraźniej próbowali ustawić statek tak, by jak najlepiej monitorować ruch w pobliżu planety, pamiętając o ograniczeniach łączy ich cywilnego sprzętu z czujnikami. Najwięcej uwagi poświęcali oczywiście wypatrywaniu jednostek Floty, a nie obserwowaniu ruchów statków, o których wiedzieli, że to cywilne frachtowce. A ponieważ nie mogli utrzymywać stałej pozycji nad Shallingsport, na każdej orbicie tworzyły się okienka, podczas których nie widać było, co się tam dzieje.

Porucznik Strassmann i astrogator „Marguerite Johnsen” bardzo starannie opracowali podejście do planety, wprowadzając statek na rutynową orbitę parkingową, która miała ich umieścić nad Shallingsport podczas jednego z takich okienek, wypadających tuż po lokalnej północy w Parku Przemysłowym Zielona Przyszań.

Strassmann zaplanował zrzut nie w czasie pierwszego nocnego okienka ani nawet drugiego. Dał terrorystom wciąż przebywającym na pokładzie „Wędrowca” co najmniej trzy nocne przeloty „Andżeliki Nikolajewnej Dubrowskiej”, by przyzwyczaili się, że frachtowiec nie stwarza żadnego zagrożenia.

Tymczasem krążownik HMS „Ktezyfon”, który spotkał się z „Marguerite Johnsen” i dwoma ciężkimi krążownikami Floty tuż przed Fullerem, podążył na planetę śladem transportowca Kadry, obliczając czas swojego przybycia tak, by wypadł on w momencie zrzutu kompanii Charlie. Póki co zmierzał w głąb układu, wysyłając z transpondera sygnały kolejnego statku handlowego; dzięki systemom elektronicznym mógł ukrywać swoją sygnaturę emisji. Nie oszukałby porządnej sieci sensorów, gdyby zanadto się do niej zbliżył, ale on nie miał zamiaru podchodzić do planety, dopóki Kadrowicze nie dotrą do celu. „Ktezyfon” miał w promach desantowych na tylnych wyrzutniach odpowiednik niepełnego

batalionu marines, złożony z własnego kontyngentu i transferów z dwóch ciężkich krążowników, ale nawet przy maksymalnym przyspieszeniu promy te mogłyby dotrzeć na orbitę Fullera najwcześniej za kolejne cztery godziny. Z drugiej strony gdyby na planecie wszystko poszło dobrze, celem krążownika nie byłby Shallingsport, lecz „Gwiezdny Wędrowiec”.

Wreszcie rury desantowe „Marguerite Johnsen” zaczęły niepostrzeżenie wyrzucać komandosów z kompanii Charlie.

W przeciwieństwie do desantu na Czengczu, którego celem było umieszczenie kompanii Charlie na ziemi najszybciej jak to możliwe, teraz chodziło o to, żeby tego dokonać w jak najmniej rzucający się w oczy sposób. Komandosi byli wystrzeliwani bez ogromnego przyspieszenia standardowego profilu desantowego - i wyraźnie widocznych sygnatur elektromagnetycznych z katapult rur - i wchodzili w atmosferę pod znacznie mniejszym kątem i ze znacznie mniejszą prędkością. Wyrzutnie nie uruchamiały także ochronnego bąbla pola siłowego wokół uprząży desantowej, niezbędnego do szybszych, bardziej stromych zejść. Nie był on potrzebny do tego, co instruktorzy Alicii nazywali „nurkowaniem na planetę” - czyli czegoś generalnie zbliżonego do staromodnych akrobacji spadochronowych czy paralotniarstwa, tyle że zaczynającego się ponad atmosferą planety. A bez elektronicznych emisji bąbla i termicznej sygnatury stromego wejścia komandos opadający z nocnego nieba z włączonymi systemami kamuflażu zbroi był praktycznie niewidoczny. Co oznaczało, że kompania Charlie powinna zająć strefę zrzutu niezauważona i - co najważniejsze - niespodziewanie.

Zrzut sekretny trwał o wiele dłużej niż standardowy szybki desant, dlatego profile kamuflażowe były niestandardowe. Gdyby jakimś nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności przeciwnik odgadł, że nadciąga ukryty desant, a jego sensory coś wykryły, miałyby o wiele więcej czasu na namierzenie opadających komandosów. Przy możliwościach kamuflujących zbroi Kadry szansa wykrycia i zlokalizowania atakujących była jednak bardzo mizerna, choć nie można było tego wykluczyć, zwłaszcza jeśli wróg był w stanie przewidzieć strefę zrzutu - między innymi dlatego Podręcznik nakazywał w sytuacjach gorących stref lądowania (SL) błyskawiczne desanty.

W tym wypadku, kiedy terroryści mieli tylko to, co udało im się zwieźć promami osobowymi, a kompania Charlie opadała z wyłączonymi wszystkimi aktywnymi emiterami, ich sensory nie powinny były wykryć desantu.

Tak przynajmniej wyglądała teoria.

Alicji udało się na chwilę odsunąć od siebie te rozważania i poddać czystej rozkoszy

opadania w bezkresny ocean powietrza. Osuwała się ukośnie w ten ulotny przestwór na skrzydłach szybujących, które rozłożyła jej uprząż desantowa. Alicia kontrolowała je bezpośrednio przez synth-złącze - to były jej skrzydła, nie upręży - i czuła, jak się prostują, kiedy tik-tak zaczął spowalniać wszechświat dookoła.

Nic dziwnego, że lekarze boją się uzależnienia od tik-taka, pomyślała, kiedy narkotyk zaczął wydłużać zmysłową rozkosz lotu. Alicia była olbrzymim nocnym ptakiem szybującym nad Morzem Tannenbauma do Shallingsport, i mimo prędkości lot wydawał jej się powolny i senny. Obserwowała swój mentalny HUD, a na nim wektor opadania skierowany na SL w górskiej dolinie.

Ten sam HUD pokazywał ikonki reszty kompanii Charlie, opadającej w dół razem z Alicią. Zielonych kropek było dwieście siedemdziesiąt cztery i leciały po dwustu siedemdziesięciu czterech wektorach. Alicia wyszczerzyła zęby w drapieżnym uśmiechu, kiedy tak powoli spadali na swoje ofiary.

* * *

Cyfrowy licznik czasu w rogu mentalnego HUD-a Alicii obracał się. Od ziemi dzieliły ich niecałe dwie minuty. Poczowała, że spina się w środku, przygotowując się do następnej fazy operacji. To była tylko...

Zesztywniała, kiedy pasywne czujniki zbroi wychwyciły nagle smagnięcie radarem - z miejsca dokładnie nad strefą lądowania!

- Zulu! Zulu! - krzyknął na ogólnej sieci kapitan Alwyn. - Aktywne sensory w SL! Gorąca SL! Gorąca SL! Wejść w Zu...

Jego głos został przerwany z brutalnością ciosu topora, kiedy z ciemności pod nimi rzygnął ogień ciężkiej broni. Ze zboczy doliny zamigotały ładunki plazmy, przecinając ciemność bezksiężycowej nocy jak kule płonącej siarki, a z HUD-a Alicii z przerażającą prędkością zaczęły znikać zielone ikonki.

* * *

Sir Arthur Keita poderwał się z wygodnego fotela w centrum wywiadowczym „Marguerite Johnsen”, kiedy zaczęły napływać pierwsze nieprawdopodobne wiadomości od kompanii Charlie.

- Jezu Chryste! - wymamrotał ktoś. - Co jest, kur...

Mówiący urwał, ale Keita nawet tego nie zauważył. Miał mocno zaciśnięte oczy i obserwował przez neuropołączenie z komputerami „Marguerite Johnsen”, jak to, co miało być

prostym i łatwym desantem, zmienia się w krwawy chaos.

* * *

Alicia DeVries nigdy czegoś takiego nie przeżyła. Brała udział w ćwiczeniach, których scenariusze przewidywały zasadzki, ale to były tylko ćwiczenia, choćby nie wiadomo jak realistyczne.

W głębi jej umysłu zagościła groza, kiedy zielona ikonka kapitana Alwyna zrobiła się szkarłatna i męczyzna zniknął. To samo spotkało niemal w tej samej chwili porucznika Strassmanna i porucznika Paála. Wypalające wzrok ładunki plazmy wciąż były w górę.

Nawet Kadra, ponosząc tak wielkie straty w strukturze dowodzenia w tak krótkim czasie, nie mogła nie stracić swojej spójności. SI zbroi Alicii usiłowała śledzić, kto teraz dowodzi, ale huragan ognia ze strefy lądowania zbyt szybko zabijał ludzi. Złoty pierścień oznaczający dowodzenie skakał wściekle po jej HUD-zie, usiłując zatrzymać się na jednej ikonie, ale nie mógł, bo ikony robiły się czerwone. Tym razem spowalniający upływ czasu efekt tik-taka tylko pogłębiał szok.

Ale mimo szoku nie było paniki. Ludzie, którzy kwalifikowali się do Kadry, nie należeli do tych, którzy łatwo panikują; nieskończone godziny treningów dały o sobie znać i poczynaniami członków kompanii Charlie zaczęły teraz kierować reakcje wpojone na poziomie instynktu.

Alicia uderzyła w przycisk zwalniający uprząż desantową, kiedy była jeszcze sześćdziesiąt metrów nad ziemią. Runęła natychmiast pionowo w dół, a uprząż poleciała dalej i posłuszna jej ostatniemu rozkazowi uruchomiła swoje integralne systemy napędowe, rozpoczynając serię gorączkowych uników. Sensory przeciwnika skupiły się na większej, o wiele silniejszej sygnaturze emisji, i już po chwili ładunek plazmy zdmuchnął uprząż z fullerowskiego nocnego nieba niczym kulisty piorun.

Alicia runęła między korony drzew, przy czym jej opancerzone ciało automatycznie ustawiło się stopami w dół. Mimo wbudowanego systemu wytłumiania inercji poczuła wstrząs uderzenia, a potem przeleciała między konarami jak taran.

Uderzyła w ziemię z siłą, która zdruzgotałaby ludzkie ciało nieosłonięte zbroją, ale Alicia miała zbroję i ledwie to odczuła.

Z jej mentalnego HUD-a zniknęły kolejne ikonki. Adolfo Onassis nie żył, tak samo sierżant Brookman. Alicia poczuła szarpiący spazm żalu, kiedy ikona Chul Byung Cha zrobiła się czerwona, a zaraz za nią symbole Imogene Hartwell i Malachaia Perlmana.

Jakieś opancerzone ciało spadło za nią między korony drzew.

- Jestem na szóstej, sierzancie! - usłyszała w implancie i Tannis Cateau uderzyła o ziemię. Jak udało jej się nie stracić swojego skrzydła, tego Alicia nie umiała odgadnąć, ale jakoś tego dokonała.

- Świetnie - powiedziała na wydzielonym obwodzie, wypuszczając jedną z taktycznych czujek, której antygrav wypchnął ją z powrotem ponad korony drzew.

Cały zrzut rozsypał się jak cholera, ludzie spadali na ziemię najszybciej jak mogli i gdzie mogli. Druga drużyna pierwszego plutonu była na wschodniej flance, w połowie drogi do planowanego miejsca zrzutu, a starszy sierżant Gilroy, jej dowódca, był jedną z czerwonych ikonek. Pięciu z jego osiemnastu żołnierzy również zginęło, ale z trzecim plutonem było jeszcze gorzej. Porucznik Paál nie żył, a z pięćdziesięciu czterech żołnierzy jego trzech drużyn zostało zaledwie osiemnastu.

Dobrze, że przynajmniej zniknęli z pola ostrzału gniazd ciężkiej broni, która zmasakrowała ich przy lądowaniu - broni, której miało tu nie być. Mimo wyszkolenia i kokonu tik-taka Alicia poczuła lodowate dźgnięcie, kiedy jej czujka przysłała pierwszy meldunek.

Oni wiedzieli, pomyślała. Wiedzieli, że lecimy, i jakoś się domyślili, gdzie wylądujemy. Ale skąd, do cholery, wzięła się ta cała broń?

- Wszystkie Winchestery, tu Winchester-Jeden - zaczęła, ale na sieci kompanii odezwał się jakiś inny głos.

- Wszystkie jednostki, tu Tygrys-Jeden - powiedziała Francesca Masolle. - Zulu! Odpadać do Alpha-Jeden-Bravo i tam się przegrupować. Powtarzam, odpadać do Alpha - Je...

Jej głos nagle się urwał i ikonka kobiety również zmieniła się z zielonej w karmazynową. Alicia uświadomiła sobie, że żaden z oficerów kompanii Charlie już nie żyje.

- Wszystkie jednostki, tu Iglica - odezwała się niemal natychmiast pierwszy sierżant Yussuf. - Potwierdzam Alpha-Jeden-Bravo! Ruszać się, ludzie!

Alicia i Tannis już były w ruchu. Nawet w najgorszych koszmarach nikt nie przewidywał czegoś takiego, ale mimo to zawsze był plan awaryjny. Porucznik Strassmann jak zwykle wszystko przygotował z typową dla niego skrupulatnością. Teraz niedobitki kompanii zaczęły wykonywać plan, który jeden martwy porucznik ułożył, a drugi kazał wykonać.

Rozproszeni mężczyźni i kobiety z kompanii Charlie przegrupowali się, pędząc między drzewami z ogromną prędkością i licząc na to, że ich broje przebiją się przez wszelkie przeszkody. Ogień plazmy, który zestrzelił tak wielu z nich z powietrza, prowadzony był z kilkunastu działek wsparcia piechoty, rozmieszczonych wzdłuż południowego zbocza doliny. Działka te nie mogły ich już dłużej namierzać, kiedy byli na ziemi, zwłaszcza że Alpha-

Jeden-Bravo był najbardziej wysuniętym na południe punktem zbornym Zulu. Biegąc w tym kierunku, Kadrowicze wchodzili coraz głębiej w martwe pole działek plazmowych, dokładnie tak, jak przewidywała Masolle.

Ale ten, kto zaplanował zasadzkę, wziął także i to pod uwagę. Jaskrawe pomarańczowe ikony wroga upstrzyły nagle HUD Alicii, kiedy jej latająca czujka dostrzegła na zboczu ponad nimi okopaną piechotę w zbrojach bojowych.

Jednocześnie wychwyciła sygnatury emisji czterech nadlatujących jednostek powietrznych, niemal podpisanych „wojskowe”.

- Wszystkie jednostki, tu Iglica. - Głos Yussuf był nieprawdopodobnie spokojny, co było efektem działania tik-taka i wielu lat doświadczenia. - Jest ich o wiele więcej, niż powinno być, i Bóg jeden wie, co jeszcze mają. Ale nie możemy dać się przygwoździć, aż te żądła przylecą, żeby nas zgnieść, a jedyna droga ucieczki prowadzi przez nich. Idziemy!

Nie była to najbardziej precyzyjna dyrektywa taktyczna, jaką Alicia słyszała, ale nie musiała taka być. Możliwości nie było zbyt wiele, a jej HUD pokazywał dokładnie, o co Yussuf chodziło.

Pierwszy sierżant wylądowała na południowym skraju SL, a drużyna Alicii daleko na północ od niej. Oznaczało to, że Alicia i jej ludzie wciąż byli sporo za Yussuf, mimo wysiłków, by ją dogonić, a ona na nich nie czekała. Według pierwotnego planu zrzutu to drugi pluton porucznik Masolle był odpowiedzialny za południowe zbocze doliny, przez co przypadkiem znalazł się najbliżej czekających na nich działek. Ale Masolle nie żyła, tak samo jak dwie trzecie jej plutonu, a Yussuf miała teraz przy sobie resztki plutonu porucznik, choć ze wszystkich trzech jego drużyn teraz z trudem udałoby się sformować jedną pełną drużynę.

I sierżant poprowadziła tych ludzi, których miała, do frontalnego natarcia.

Według Podręcznika właśnie tego nie należało robić. Yussuf powinna była ustanowić bazę ogniową, przeanalizować rozmieszczenie przeciwnika i wysłać swoje jednostki manewrowe, by wykorzystały jego słabości. Ale nie miała na to czasu - z zachodu nadlatywały żądła i nie wiadomo było, ile ich będzie i czy za nimi nie pojawi się jakaś nowa koszmarna niespodzianka.

Wzdłuż stromego zbocza doliny okopanych było siedemdziesięciu pięciu ludzi. Siedemdziesięciu pięciu ludzi na przygotowanych pozycjach, w zbrojach bojowych, których mieli nie mieć, uzbrojonych w ciężką broń, której też mieli nie mieć, a tymczasem kompania Charlie zostawiła swoją broń na pokładzie „Marguerite Johnsen”, a Pamela Yussuf miała jedynie osiemnastu ocalałych członków plutonu Franceski Masolle. Ładunki plazmy pruły w dół, rozdzierając ciemność jak demoniczne błyskawice i zmieniając niebosiężne

iglastopodobne drzewa w ryczące pochodnie. To było piekło, a ludzie Yussuf zaszarżowali w sam jego środek.

Alicia widziała to wszystko przez swoją latającą czujkę, ale widziała też cztery żądła przyspieszające i opuszczające dzioby, kiedy ich systemy kontroli ognia objęły szarżę Yussuf.

- Cel! - warknęła na sieci drużyny, wrzucając na siatkę taktyczną kółka celów. Nie wydała żadnych dodatkowych rozkazów, ale nie było takiej potrzeby. Podczas kiedy Alicia i reszta jej drużyny ruszyli za Yussuf, ikonki oznaczające Doorna i Osayabę wyhamowały w miejscu. Dwaj strzelcy plazmy razem ze swoimi skrzydłami odwrócili się do nadlatujących żądał; brak doświadczenia ich pilotów stał się jasny, kiedy nadlecieli niemal skrzydło w skrzydło.

Strugi plazmy strzeliły im na spotkanie i dwa żądła zniknęły w eksplozjach ognia. Trzeci leciał zbyt blisko i wpadł prosto w wybuch, a potem z wyciem runął z nieba, kiedy jego turbiny wciągnęły strzępy poszycia zniszczonych towarzyszy. Ciągąc za sobą ogon płomieni i dymiąc z dyszy silnika, obrócił się brzuchem do góry i zarył w drzewa, bryzgając wachlarzem ognia i wtórnych eksplozji.

Czwarte żądło gorączkowo poderwało się do góry, jednocześnie uwalniając dwie bomby kasetowe, ale było już za późno na unik. Drugi strzał Obasekiego Osayaby trafił je prosto w kadłub i rozrucił jego płonące szczątki nad lasem... dokładnie w chwili, kiedy jedna z bomb kasetowych rozsypała swoją podamunicję nad pozycją Édouarda Bonrepaux. Skrzydłowy Doorna odpalił sprzęt skokowy w rozpaczliwej próbie ucieczki, ale zabrakło mu czasu. Ładunki wybuchły, a była to broń przeciwpancerna, nie przeciwpiechotna, zaprojektowana do niszczenia ciężko opancerzonych jednostek. Nawet zbroja bojowa Kadry nie mogła tego wytrzymać i Bonrepaux został po prostu rozerwany na kawałki.

Alicia patrzyła na to wszystko w zwolnionym tempie tik-taka i jej serce pękało z bólu, kiedy traciła kolejnego człowieka. Ale przynajmniej bezpośrednie zagrożenie z powietrza zostało wyeliminowane i reszta niedobitków pierwszej drużyny mogła ruszyć w górę zbocza za sierżant Yussuf.

Zbocze było przedsiönkiem samego piekła. Choć wróg miał przewagę czterech do jednego, drugi pluton kompanii Charlie przeszedł przez jego pozycje jak piła łańcuchowa. Kadrowicze wdarli się na pochyłość, plując z karabinów podkalibrowymi penetratorami, a kapral Mayfield, ostatni strzelec plazmy drugiego plutonu, okładała stromy stok druzgocącymi pięściami błyskawic, osłaniając szarżujących kolegów.

Kiedy sensory zbroi okopanej piechoty namierzyły źródło ognia, w jej kierunku pomknęły strugi plazmy. Kadrowiczka tańczyła i wirowała w sercu leśnego ognistego piekła,

uchylając się przed strzałami i odpowiadając z zabójczą precyzją żołnierza Kadry będącego pod wpływem tik-taka.

Ale nie mogła zbyt długo wymykać się dziesiątkom ładunków. Mayfield zabiła dziewiętnastu żołnierzy, ale w końcu nawała ogniowa stała się zbyt silna i jej zielona ikonka nagle poczerwieniała.

Zanim jednak kapral zginęła, stworzyła wyrwę w środku linii wroga, w którą wpadli Yussuf i jej ludzie. Wściekły ostrzał szalał, penetratory z karabinów szturmowych krzyżowały się ze strugami plazmy. Ludzie, którzy zamierzali wyróżnić kompanię Charlie, nagle znaleźli się twarzą w twarz z najgroźniejszymi oddziałami bojowymi w historii ludzkości. Wzięci z zaskoczenia, przygnieceni przewagą liczebną i zdeorganizowani pierwszymi strasznymi stratami, ludzie Pameli Yussuf spadli teraz na przeciwnika jak gniew Boga.

Ludzie klęli i wrzeszczeli, kiedy penetratory przebijały ich zbroje z bezpośredniego dystansu. Do tego dochodził huk granatów i wycie ładunków plazmy.

Osiemnastu mężczyzn i kobiet z Imperialnej Kadry wdarło się na zbocze tuż za Yussuf. Dziewięcioro dotarło do linii wroga, szturmując wprost na działa wsparcia okopane za piechotę. Wpadli jak eksplozja na pozycję artylerii, grmiąc ciągłym ogniem z karabinów, tam zaś przywitał ich ogień dział i okopanych dla ich osłony wielolufowych kaliope.

Komandosi przetoczyli się po baterii, zabijając kanonierów, eliminując kaliope, pędząc przez ciemność, płomienie i chaos. Sześćdziesięciu siedmiu opancerzonych operatorów plazmy leżało martwych na stoku, a następnych trzydziestu ośmiu zginęło, kiedy z mroku wychynęli ocalali członkowie drugiego plutonu. Atak Yussuf wyłączył osiem dział i pół tuzina osłaniających je kaliope, i wtedy w szeregach wroga wybuchła panika.

Niedobitki kanonierów porzuciły swoją broń i popędziły w stronę ciemnego lasu. Operatorzy trzech kaliope stawili czoła natarciu, śląc tysiące pocisków w kierunku Kadrowiczów. Ale już po chwili strzelały tylko dwie kaliope. Potem jedna.

A później żadna.

Alicia patrzyła, jak ikony trzydziestu paru żołnierzy wroga uciekają w noc, kiedy ona i jej ludzie pędzili skokami przez ryczący pożar lasu, znaczący trasę natarcia Yussuf. Nikt już nie strzelał, bo nie było do kogo strzelać. Ale latająca czujka wykryła już nową falę nadlatujących jednostek powietrznych oraz ślady dodatkowych sił naziemnych, rozciągniętych wzdłuż doliny rzeki jak paciorki na sznurku.

Ale w tej chwili nikt nie strzelał. Alicia pokonała krawędź skalnej półki, na której osadzono działa, i zatrzymała się.

Powitały ją tylko trzy ikonki Kadry. Pierwszej sierżant Pamela Yussuf nie było wśród nich. Alicia zacisnęła usta, kiedy złoty pierścień oznaczający dowódcę kompanii znieruchomiał wokół ikonki sierżant pierwszej klasy Alicii DeVries.

- Do wszystkich jednostek - usłyszała, jak ktoś obcy mówi jej głosem. - Tu Winchester-Jeden. Szyk obronny przy mnie w Alpha-Jeden-Bravo.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

- Winchester-Jeden, tu Bagażowy - powiedział głos w implancie Alicii.

- Bagażowy, tu Winchester-Jeden - odparła, obserwując, jak resztki ikonki kompanii Charlie pokonują susami strome zbocze, które ludzie Pameli Yussuf oczyścili tak strasznym kosztem. - Mów.

- Winchester-Jeden. - Głos sir Arthura Keity brzmiał jak zawsze silnie, ale Alicia wyczuła w nim echo jej własnego szoku. - Straciliśmy waszą pozycję z bezpośredniej linii widzenia. Mam przekaz z cywilnego satelity łącznościowego, ale przepustowość jest za mała, żeby puścić przez niego wasze kanały telemetryczne. Czy możesz mi dać raport sytuacyjny?

- Bagażowy, nasza sytuacja jest... poważna - odparła Alicia bezbarwnym głosem. Patrzyła na Celestine Hillman, jedyne poza nią żyjącego dowódcę drużyny, jak ustawia ocalałych w pośpiesznie zorganizowany perymetr obronny. - Mam sześćdziesięciu trzech żywych ludzi - ciągnęła, nie dodając, że nie ma żadnych rannych. Broń, na jaką natknęła się kompania, zwykle pozostawiała za sobą tylko trupy. - Moja ciężka broń jest zredukowana do pięciu karabinów plazmowych i trzech kaliope. Potwierdziliśmy około setki zabitych wrogów, ale nasza planowana trasa podejścia jest zablokowana przez dalsze okopane siły.

- Możecie dotrzeć do awaryjnego punktu odlotu? - spytał Keita. Głos wciąż miał spokojny, ale Alicia była zaszokowana jego pytaniem. Kadra nigdy nie przerywała misji, kiedy stawką było życie cywilów.

Potem jednak spojrzała na swój HUD. Kompania Charlie wyruszyła w liczbie dwustu siedemdziesięciu pięciu mężczyzn i kobiet; zostało niecałych siedemdziesięciu, a byli ponad czterdzieści kilometrów w prostej linii od celu. Misja okazała się klapą i ona o tym wiedziała, ale mimo wszystko...

- Bagażowy, tu Winchester-Jeden - powiedziała po chwili. - Zaprzeczam. Powtarzam, zaprzeczam. Moja taktyczna czujka pokazuje dwie umocnione pozycje ze wsparciem ciężkiej broni między nami a awaryjnym punktem odlotu.

Minęło kilka chwil, zanim Keita znów się odezwał.

- Winchester-Jeden, czy masz przybliżoną ocenę liczebności wroga? - spytał, a Alicia uśmiechnęła się uśmiechem zupełnie wypranym z jakiegokolwiek wesołości.

- Bagażowy, powiedziałabym, że nasza ocena liczebności wroga była odrobinę

niedokładna. Zdalne rozpoznanie potwierdza w tej chwili na pewno liczbę ośmiuset jedenastu - powtarzam, osiem-jeden-jeden - ludzi w odległości sześciu kilometrów od SL. Są dobrze okopani i tak zakamuflowani, że nie zobaczyliśmy ich z orbity pasywnym sprzętem. Mają działka plazmowe, ciężkie kaliope i broje bojowe; znaleźliśmy też starą naziemną sieć rozpoznania Świstak-Trzy, kiedy zdobyliśmy ich pozycje ciężkiej broni. Reszta ich sprzętu też wygląda jak wyposażenie marines z demobilu; nie jest nowy, ale sądząc po jego działaniu, jest w dobrym stanie. Zestrzeliliśmy też cztery wojskowe żądła... i mamy następne krążące dziesięć klików stąd.

Kolejna chwila milczenia nie trwała długo, jedynie wydłużone przez tik-taka poczucie czasu dawało takie wrażenie.

- Winchester-Jeden - powiedział w końcu Keita - czy możesz uciec?

- Bagażowy, to nie ma sensu - odparła cicho. - Nie posadzicie promów w takim terenie. Właściwie awaryjny punkt odlotu i sam cel to jedyne miejsca, w których można by wylądować, a nie możemy uciekać w nieskończoność, jeśli oni mają wsparcie powietrzne, a my nie. Poza tym ci ludzie mają dość ciężkiej broni, by zestrzelić nawet prom szturmowy. Nawet gdybyśmy znaleźli jakieś inne miejsce, w którym promy mogłyby sięść, prawdopodobnie dorwaliby je jeszcze w locie.

- Winchester-Jeden... Alley. - Głos Keity był równie cichy. - To ty jesteś na miejscu. Zdecyduj, a ja popnę każdą twoją decyzję.

- Dzięki, Bagażowy. Widzę tylko jedno wyjście. Ruszam do celu.

- Jesteś pewna? Jeśli wróg ma taką liczebność...

- Bagażowy, oni na nas czekali. - Alicia znów zwróciła uwagę na zbliżające się żądła. Pchnęła przez synth-złącze w ich kierunku latającą czujkę.

- Nie wiem, skąd się wzięli ani jakim cudem umieścili tu niepostrzeżenie tylu ludzi i tyle sprzętu - ciągnęła - ale dokładnie odgadli, gdzie będziemy lądować, a Świstak od samego początku dawał im możliwość namierzenia nas. Strzelali jak do kaczek, Wuju Arthurze. A nasze zdalne rozpoznanie już odkryło, że resztę doliny obsadzili tak samo dokładnie jak SL.

- Ale jeśli mają tylu ludzi tu w krzakach, nie mogli tak samo gęsto pokryć trasy do Zielonej Przystani. Jeśli mi pan nie zabroni, ruszę w stronę celu, wychodząc z założenia, że to ostatnie miejsce, w którym będą się nas spodziewali po takim łomocie.

- Droga do Zielonej Przystani jest okropnie ciężka - odparł Keita. - A jeśli nasze wstępne oceny były aż tak błędne, nie możesz liczyć na to, że nie mają dość ludzi, by obsadzić przeważającymi siłami także bezpośrednią trasę podejścia.

- Wuju Arthurze - powiedziała Alicia, uśmiechając się zaciśniętymi ustami - jeśli mają aż

tylu ludzi, mamy przesrane, cokolwiek zrobimy. Ja bym spróbowała.

W tym momencie czujka taktyczna zasygnalizowała aktywny system naprowadzania jednostki powietrznej. Sądząc po sygnaturach emisji, były to maszyny lżejsze niż żądla, które zestrzelili Doorn i Osayaba - prawdopodobnie tylko dwu- lub trzyosobowe jednostki kawalerii powietrznej. Ale na HUD-zie Alicii było ich już pięć i można było sądzić, że to jeszcze nie wszystkie.

- A zakładnicy? - spytał Keita bezbarwnym tonem.

- Jeśli rzeczywiście zamierzali ich zabić, gdyby podjęto próbę odbicia - odparła niewzruszenie - to już wszyscy nie żyją. Ale nie sądzę, żeby tak było. Nie wiem, co tu się, do cholery, naprawdę dzieje, ale tutaj chodzi o coś poważniejszego niż zwykłe porwanie zakładników. Już nas sprali. Nasz stosunek strat jak dotąd wynosi dwa do jednego, a biorąc pod uwagę ich liczebność, muszą być pewni, że uda im się to powtórzyć. Jednocześnie nie będzie im się spieszyć, żeby wybić swoje karty przetargowe. Będą potrzebowali czegoś bardzo mocnego, jeśli chcą mieć choć cień szansy wydostania się teraz z Fullera.

- Uważasz, że jeśli dotrzecie tam wystarczająco szybko, uda wam się dostać do zakładników, zanim ich zabiją?

- Coś w tym rodzaju, Wuju Arthurze. Nie mówię, że to dobre wyjście, ale chyba już nie mamy żadnego dobrego, a cokolwiek zrobimy, musimy to zrobić szybko. Mam trzy kolejne jednostki powietrzne nadlatujące ze wschodu. Jeśli dłużej się tutaj zatrzymamy, spróbują nas przygnieść przewagą liczebną.

- Zrozumiałem. - Alicii wydawało się, że usłyszała odgłos wciągania powietrza. - Dobrze, Alley. Powiedziałem już, że to twoja decyzja. Dobrych łowów.

- Dziękuję, Bagażowy - odparła oficjalnie. - Winchester-Jeden, bez odbioru.

Zmieniła obwód, przeskakując na sieć ogólną kompanii.

- Wszystkie jednostki - powiedziała. - Tu Winchester-Jeden. Idziemy do Zielonej Przystani i ci dranie nas nie powstrzymają.

Pozostali żołnierze nie odpowiedzieli - przynajmniej słowami, lecz każdy wilk mógłby im pozazdrościć takiego warknięcia.

- Mauser-Jeden.

- Winchester-Jeden, tu Mauser-Jeden - zgłosiła się Hillman.

- Bierzesz naszą szóstą. Przydzielam jednostki.

Ikonki na HUD-zie zaczęły zmieniać kolor, kiedy wybrała skrzydła oddane pod komendę Hillman.

- Najmocniej będą nas naciskać z tyłu, a najbardziej martwią mnie ich latacze. Dlatego

dają ci trzy plazmy.

- Zrozumiałam - odparła Hillman.

- Lew-Alpha-Trzy - kontynuowała Alicia.

- Winchester-Jeden, tu Lew-Alpha-Trzy - odparł sierżant Jake Hennessy, najstarszy stopniem ocalały członek plutonu Franceski Masolle.

- Dowodzisz naszą rezerwą, o ile można to tak nazwać. Przydzielam jednostki.

Kolejny tuzin par skrzydeł zmienił kolor, a komputer jej zbroi równocześnie ustanowił nowe wydzielone sieci łącznościowe dla połączonych oddziałów Hillman i Hennessy'ego. - Chcę cię mieć w środku, Jake, skąd będziesz mógł wesprzeć Celestine albo mnie. I oczekuję, że będziesz kierował się własnym osądem, kiedy znów zrobi się gorąco.

- Zrozumiałem, Winchester-Jeden.

- Reszta idzie ze mną. - Ostatnich czternaście ikonek zmieniło kolor. - Jesteśmy szpicą. A wszyscy idziemy tędy.

Puściła do HUD-a kolejne mentalne polecenie i na górzystym terenie mapy pojawiła się nowa linia.

- Będzie ciężko, będzie paskudnie i będzie bolało, ludzie - powiedziała do niedobitków kompanii Charlie. - Ale jedyna droga prowadzi przez nich, a my jesteśmy tym bydlakom coś winni. Są jakieś pytania?

Nie było żadnych, więc po prostu kiwnęła głową wewnątrz pancernego hełmu.

- W takim razie chodźmy skopać parę tyłków.

* * *

Sir Arthur Keita otworzył oczy i usiadł przy stole taktycznym naprzeciw kapitana Watta. Specjalista wywiadu marines spojrzał na niego z przerażeniem, a Keita pokręcił głową.

- Co się stało, do cholery? - zapytał z kamienną twarzą.

- Sir Arthurze, nie mogę... - Watts przerwał i także wolno pokręcił głową. - Nikt w batalionie tego się nie spodziewał, sir. Słyszał pan te same informacje co ja. Nie wiem... To znaczy wiem, że wywiad czasami zawodzi, ale nigdy nie widziałem aż takiej katastrofy. Nigdy.

Keita sapnęła. Jakaś małoduszna część jego rozumu pragnęła obwinić kapitana, ale przecież on sam widział dokładnie te same materiały wywiadowcze co Watts i podzielał jego wnioski. Zresztą tak samo było z Madisonem Alwynem i resztą oficerów kompanii Charlie.

- To wszystko na pewno nie było cholernym przypadkiem - powiedział po chwili milczenia. - DeVries ma rację - ci dranie na dole na nich czekali, tak dobrze zakamufłowani,

że nawet ich nie zwęszyliśmy. Ktoś to wszystko zaplanował, wmanewrował nas w wysłanie całej kompanii Kadry prosto w gardło maszynki do mięsa.

- Myśli pan, że książę Geoffrey brał w tym udział, sir? - spytał Watts.

- Ktoś w Shallingsport na pewno! - odparł ponuro Keita. - Oni tam mieli cholerne żądła, na Boga, a przecież one nie rosną na drzewach. Zostały sprowadzone spoza planety, i to nie przez ludzi z „Gwiezdnego Wędrowca”. A więc jeśli nie Geoffrey maczał w tym palce, to kto?

- Nie wiem. W tej chwili mamy za mało informacji, żeby to stwierdzić. Z jednej strony można powiedzieć, że to musiał być Geoffrey. Jest księciem Shallingsport, to on zgodził się udzielić terrorystom schronienia i to on przekazał im Zieloną Przystań. Ale z drugiej strony to szaleństwo, sir Arthurze! Musiał wiedzieć, że galaktyka jest za mała, żeby ktoś, kto pomógł zorganizować coś takiego, mógł ukryć się przed Imperium.

- Wiem - warknął Keita. - Ale może jest wystarczająco szalony, żeby myśleć, że może mu to ujdź na sucho. A może to był ten... jak mu tam... Jokuri, jego człowiek od rozwoju przemysłu.

- Możliwe - powiedział wolno Watts. - Żeby tam zwieźć taki sprzęt, musieli go przeprowadzić przez port kosmiczny Zielonej Przystani, a Zielona Przystań to jeden z najbardziej hołubionych projektów Jokuriego. I to Jokuri nadzorował wszystkie inspekcje celne. Ale jeśli to on, dlaczego to zrobił? Dlaczego w ogóle Sojusz Wolności to zrobił? Myślę, że ma pan rację, sir Arthurze, że cała ta operacja została zaplanowana specjalnie po to, by wciągnąć siły wysłane do odbicia zakładników w pułapkę. A biorąc pod uwagę sposób porwania i tożsamość zakładników, prawie na pewno chodziło im o zwabienie Kadry, bo wiedzieli, że to Kadra dostanie takie zadanie. - Znow pokręcił głową. - Praktycznie rzecz biorąc, to wypowiedzenie Kadrze wojny.

- Moim zdaniem tak właśnie jest. - Keita wstał i zaczął gniewnie chodzić od ściany do ściany centrum wywiadowczego „Marguerite Johnsen”. - Sam pan powiedział, że to z ich punktu widzenia wojna psychologiczna. Właśnie pokazali, że są w stanie wciągnąć w zasadzkę kompanię Kadry i zadać jej wielkie straty. Chyba żaden oddział Kadry nigdy nie poniósł takich strat, a już na pewno nie podczas rutynowej operacji przeciwko bandzie terrorystów biorących zakładników!

- Ale to samobójcza operacja dla wszystkich biorących w niej udział. Nie wypuścimy ich z planety. Wezwiemy Flotę, żeby zablokowała cały system, jeśli tego będzie trzeba, żeby ich przygwoździć. A w końcu polecimy tam promami szturmowymi albo zrzutem ciężkiej konfiguracji i zabijemy ich lub schwytamy co do jednego. Jego Wysokość wyśle całą brygadę

marines, jeśli będzie trzeba, sir Arthurze. Pan to wie, ja to wiem, i każdy, kto to zorganizował, też musi o tym wiedzieć!

- Być może - powiedział Keita niemal nieobecny głosem, spacerując coraz szybciej. - Może.

- A „Ktezyfon”? - spytał po chwili Watts. - Ma na pokładzie odpowiednik całego batalionu marines.

- Ale ma jeszcze minimum cztery godziny lotu. - Keita potrząsnął głową jak rozszoszczony koń dręczony przez gzy. - Kazałem już centrum łączności ostrzec ich i polecieć, aby przyspieszyli przybycie. - Postukał w zestaw nagłowny, wskazując, jaką drogą wydał polecenia. - Major Bennett kazał swoim ludziom opracować kilka wariantów planu, jak zesać na dół desant, kiedy „Ktezyfon” tu przyleci, zakładając, że pojawi się taka sposobność. Jestem pewien, że „Ktezyfon” i Bennett zrobią wszystko, co w ludzkiej mocy, ale obawiam się, że prawie na pewno w chwili ich przybycia będzie już po wszystkim.

* * *

Przez pierwszych piętnaście czy dwadzieścia minut przeciwnik wydawał się zaskoczony decyzją Alicii, by uderzyć wprost na Zieloną Przystań. Miała rację - wszystkie umocnione pozycje piechoty, które zdalne czujki ocalałych Kadrowiczów mogły wykryć, znajdowały się wzdłuż doliny rzeki. Nie znaczyło to oczywiście, że nie ma ich gdzie indziej; Alicia wysłała tuzin z dwudziestu trzech czujek w widoczny w oddali las.

Jak dotąd nie znalazły niczego oprócz drzew, kamieni i strumyków, ale Alicia nie spodziewała się, że to jeszcze długo potrwa. Mieli do przejścia czterdzieści kilometrów w linii prostej w powietrzu, co w tym terenie oznaczało sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt kilometrów wędrówki. Nawet w bojowych zbrojach Kadry największa prędkość, jaką mogli osiągnąć sprintem w gęstej puszczy, wynosiła nie więcej niż czterdzieści kilometrów na godzinę - a połowę tego, gdyby poruszali się z minimum taktycznej ostrożności - a tymczasem wróg, który zajął park przemysłowy, musiał dostać w swoje ręce pokaźną liczbę powietrznych ciężarówek.

Alicia chciała wierzyć, że są na tyle głupi, by polecieć nimi tam, gdzie mogłyby do nich postrzelać, ale ten, kto to zorganizował, mógł być szalony, za to na pewno nie był głupi. O nie. Przewiozą tymi ciężarówkami żołnierzy z innych pozycji i zrzucą ich gdzieś poza zasięgiem jej ciężkiej broni. A jeśli ich dowódca jest tak sprytny, jak Alicia podejrzewała, spokojnie zbierze opancerzoną piechotę, którą początkowo rozmieścił wzdłuż doliny rzeki, i przegrupuje ją, zanim znów ruszy przeciwko kompanii.

A do tego czasu, pomyślała Alicia, przedzierając się przez gęste, nisko wiszące gałęzie drzew, zrobi co będzie mógł, żeby nas spowolnić i dać sobie czas na przygotowania.

- Mauser-Jeden, tu Winchester-Jeden - powiedziała przez nowe prywatne łącze do Hillman.

- Mów, Alley - odparła dość nieformalnie Hillman, a Alicia lekko się uśmiechnęła.

- Właśnie myślałam o tym, co bym zrobiła, gdybym dowodziła drugą stroną - powiedziała. - Będą próbowali nas spowolnić. Muszą. I zrobi to ta kawaleria powietrzna.

Teraz było dziewięć ikon lataczy; krążyły wokół kompanii, tuż poza zasięgiem ognia plazmy. Ich aktywne systemy sensorów omiatały żołnierzy Kadry, najwyraźniej lokalizując ich i przekazując dane do dowództwa.

- Potwierdzam - powiedziała sucho Hillman. - Myślałam o tym samym i zastanawiałam się, czemu jeszcze tego nie zrobili.

- Bo nie wiedzą, ile ich to będzie kosztować. - W głosie Alicii była ponura satysfakcja, kiedy przypomniała sobie, co Michael Doorn i Obaseki Osayaba zrobili z czterema większymi i o wiele sprawniejszymi żądłami. - Ale długo ich to nie powstrzyma. Dlatego tak sobie myślę...

* * *

Minęło kolejnych pięć minut i niedobitki kompanii Charlie pokonały dobre dwa kilometry drogi do celu. Emisje sensorów kawalerii powietrznej nasiliły się, kiedy żołnierze weszli w skalistą, rzadziej zalesioną rozpadlinę. Alicia wybrała ten fragment terenu ze swoich map jako najbardziej odpowiednie miejsce, a silniejsze emisje sensorów wskazywały, że miała rację.

Zbroja bojowa Kadry była piekielnie trudnym celem dla sensorów, nawet w otwartym polu. Ludzie w lataczach kawalerii bez wątplenia orientowali się, gdzie jest kompania, ale w żaden sposób nie mogli namierzyć pojedynczych celów. Fakt, że podkreślił systemy sensorów, kiedy żołnierze Alicii znaleźli się na bardziej odkrytym terenie, powiedział jej, że próbują coś na to poradzić i że właśnie zamierzają...

- Uwaga! - krzyknęła na sieci ogólnej, a jej ludzie błyskawicznie zareagowali.

Brutalnie okrojona kolumna kompanii rozpadła się na dwuosobowe skrzydła, które natychmiast rozbiegły się w różnych kierunkach, chowając się za drzewami i głazami. Alicia i Tannis także rzuciły się do ucieczki.

- Tutaj! - warknęła Tannis na ich prywatnym łączu i Alicia od razu stanęła. Miała całkowite zaufanie do oceny swojej skrzydłowej. Miejsce wybrane przez Tannis było z jednej

strony osłonięte zboczem wzgórza, a z drugiej dwoma wielkimi głazami, natomiast drzewa w górze były wystarczająco rzadkie, by karabiny mogły prowadzić ogień.

Alicia nie traciła czasu na chwalenie decyzji Tannis, po prostu zajęła swoją normalną pozycję, osłaniając prawą flankę, podczas kiedy Tannis wzięła lewą. Pomacała dookoła sensorami zbroi, ale jednocześnie obserwowała ikony swoich ludzi i analizowała przekaz taktycznych czujek unoszących się nad kompanią.

A te wskazywały, że pół tuzina lataczy kawalerii powietrznej kładzie się ostro na burcie, opuszcza dzioby i atakuje tuż poniżej prędkości dźwięku.

Dobre wieści, pomyślał jakiś fragment mózgu Alicii ze spokojną precyzją tik-taka, są takie, że wróg chyba nie ma żadnej broni pośredniego ostrzału. Nie lecą nam na głowy pociski z moździerzy ani armat, kawaleria powietrzna nie zrzuca pocisków naprowadzanych. Nie używają też hiperszybkiej broni.

A złe wieści były takie, że w powietrzu nad nimi były przynajmniej dwa typy lataczy. Jednego nie rozpoznawała, ale wyglądał na jednostkę stosunkowo lekką, z maksymalnie dwuosobową załogą której gabaryty i emisje jednostki zasilającej nie pozwalały na umieszczenie na pokładzie działka plazmowego. Ale drugi, większy, tak samo jak zbroje bojowe i sieć rozpoznania Świstak-Trzy, którą już zniszczyli, to był model imperialnych marines - jeden ze starych sabre batów. Sabre baty nie były pierwszoliniowym sprzętem marines od przynajmniej trzydziestu lat, ale wciąż były sprawne. I w przeciwieństwie do lżejszych lataczy, których Alicia nie umiała zidentyfikować, sabre baty były wyposażone w podwójne działka plazmowe.

Sześć maszyn spadło z wyciem na rozbiegających się Kadrowiczów. Pierwsze leciały sabre baty, za nimi zaś cztery lżejsze maszyny. Noc rozbłysła nowymi, jeszcze potężniejszymi rozbryzgami plazmy. Drzewa parowały, głazy trzaskały, a od termicznego pocałunku wykwitę plazmy rozszalały się nowe pożary.

Jeszcze jedna ikona zrobiła się czerwona, kiedy kapral William Tchaikovsky dostał bezpośrednie trafienie. Jego skrzyło, kapral Helena Chu, też padła, a jej ikonę otoczyło pulsujące czerwone kółko oznaczające poważne uszkodzenia zbroi. Dwa lekkie latacze bezpośrednio za sabre batami otworzyły ogień, siejąc wielkokalibrowymi penetratorami z zamontowanych na dziobach kaliope, i ikony trzech następnych żołnierzy Alicii błysnęły czerwienią.

A potem ciemność przeszły nowe ładunki plazmy, ale tym razem wystrzelone z ziemi. To Celestine Hillman wraz z trzema operatorami plazmy, których Alicia odłączyła od głównej kolumny, otworzyli ogień, wciąż ukryci przed sensorami lataczy za grubymi

drzewami i systemami niewykrywalności własnych zbroi.

Uwaga napastników była tak skupiona na trafieniu w cele, że nie zdawali sobie sprawy, iż sami są namierzani.

Ludzie Hillman strzelali bezpośrednio w rufy maszyn i oba sabre baty w tej samej chwili zniknęły. Potem niezwykle widowiskowo eksplodował jeden z lepszych lataczy i trzy ocalałe zaczęły wściekle miotać się, gorączkowo usiłując uniknąć takiego samego losu.

Jednemu udało się uciec przed dwoma strzałami, ale trzeci trafił go w turbinę. Było to zaledwie muśnięcie, ale obudowa turbiny pękła i zbiornik wodoru latacza wybuchł w jasnoblękitnym rozbłysku.

Dwa pozostałe umknęły spod ostrzału plazmy, ale przelatując bezpośrednio nad swoimi niedoszłymi ofiarami. I wtedy karabin Alicii skoczył na pozycję ogniową. Wypuściła długą serię dwunastu pocisków, podobnie jak pięćdziesiąt innych karabinów i dwie kaliope. Zdezorientowani piloci lataczy byli za bardzo zajęci operatorami plazmy, którzy nagle pojawili się jak złe dziny, by pomyśleć o reszcie Kadrowiczów i uświadomić sobie, że powinni byli patrzeć w obie strony. Ich maszyny miały nie dość mocny pancierz, by wytrzymać grad penetratorów, i obie runęły na ziemię niczym komety, ciągnąc za sobą ogony płomieni.

- Wszystkie jednostki, tu Winchester-Jeden - powiedziała Alicia. - Utworzyć szyk przy mnie.

Wyszły razem z Tannis zza swojej osłony i ruszyły w stronę kapral Chu, podczas gdy reszta żołnierzy wychynęła z płonącego lasu i wraz z Hillman i jej ludźmi dołączyli z tyłu. Trzy pozostałe latacze krążyły daleko poza skutecznym zasięgiem plazmy.

Alicia popatrzyła na szalejące pożary, zadowolona ze zniszczenia dwóch trzecich sił powietrznych wroga. No, poprawiła się, w każdym razie dwóch trzecich sił powietrznych, o których wiemy. Ale satysfakcja ta nabrała gorzkiego posmaku, kiedy policzyła koszty. Wiedziała, że mogłoby być o wiele, wiele gorzej, ale strata kolejnych czterech ludzi - ludzi z jej rodziny - wcale nie była przez to mniej bolesna.

Póki co potrzeba uratowania niedobitków wyparła wszelkie myśli i troski. Ale gdzieś w dalekim zakamarku jej umysłu pojawiła się myśl, co będzie, kiedy w końcu przestaną walczyć o przetrwanie, kiedy dotrze do niej brutalna prawda o zniszczeniu kompanii Charlie.

Zatrzasnęła drzwi prowadzące do tego zakamarka umysłu i uklękła obok Heleny Chu. Jej zielone oczy były pełne rozpacz.

- Jak się trzymasz, Helena? - spytała cicho.

- Nie za dobrze, Alley.

Głos rannej był chrapliwy, mimo uwolnionych przez farmakopeę środków przeciwbólowych. Ładunek plazmy, który zniszczył jej broję, nie zabił jej, ale straciła lewą nogę tuż poniżej biodra, a cała lewa strona pancerza zmieniła się w dymiącą ruinę. Jej karabin również został zniszczony. Odczyty jej funkcji życiowych migotały niepewnie na monitorach Alicii. Podniosła głowę i spojrzała przez zasłonę zbroi na twarz Tannis; skrzydłowa w milczeniu pokręciła głową.

- Będziemy... - zaczęła.

- Już się domyśliłam, Alley - przerwała jej Chu.

- Tak myślałam - powiedziała cicho Alicia i położyła pancerną dłoń na jej ramieniu. Klęczała tak przez kilka chwil, potem wyprostowała się.

- Musicie się zbierać - powiedziała ranna kapral i sięgnęła po swoją boczną broń - CHK trzy milimetry, taki sam, jaki zazwyczaj nosiła Alicia. - Ja tu zaczekam z Billem.

Wskazała ruchem głowy miejsce, w którym zginął jej skrzydłowy.

Alicia patrzyła na nią i pragnęła móc coś powiedzieć. Cokolwiek. Jakieś pocieszające kłamstwo typu „Na pewno tamci będą za bardzo zajęci nami, żeby kogoś tu przysłać” albo „Trzymaj się, przyślemy ci medyków, kiedy tylko skończymy czyścić Zieloną Przyszań”. Ale Chu wiedziała, jakie ma szanse. Wiedziała, jak mało zostało jej czasu, jeśli medycy nie zjawią się natychmiast, i że tylko farmakopea i systemy wspomagające utrzymują ją przy życiu. A Alicia była winna swoim ludziom coś więcej niż kłamstwo.

- Z Bogiem, Helena - powiedziała więc bardzo cicho, a potem odwróciła się i poprowadziła dalej pięćdziesięciu ośmiu ocalałych żołnierzy kompanii Charlie trzeciego batalionu drugiego pułku piątej brygady Imperialnej Kadry.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

- Winchester-Jeden, tu Winchester-Alpha-Trzy. Mamy problem.

- Wszystkie jednostki, tu Winchester-Jeden - powiedziała natychmiast Alicia. - Stać.

Pozostałych czterdziestu sześciu członków kompanii Charlie znieruchomiło, a ona i Tannis poszły dalej.

- Co my tu mamy, Erik? - spytała, kiedy dogoniły szpicę. Kapral Erik Andersson, kryptonim Winchester-Alpha-Trzy, przełączył strumień danych z własnej czujki do Alicii.

Zostało im niewiele czujek, a tymczasem terroryści najwyraźniej nie wyrzucili w błoto pieniędzy na sprzęt. Sensory ich odnowionych zbroi marines były w stanie wykryć obecność nawet czujki Kadry. Nie potrafiły jej tak dobrze zlokalizować, jak mógłby to zrobić Kadrowicz, ale umiały w niezłym przybliżeniu określić jej usytuowanie. Wróg najwyraźniej zdawał sobie sprawę, że bez swoich powietrznych szpiegów kompania Charlie będzie błądzić po omacku. Dlatego za każdym razem, kiedy wykryli sygnaturę emisji zakamuflowanego antygrawu czujki, pokrywali okolicę ciężkim ogniem. Czujki były łatwymi do wyeliminowania celami, nawet jeśli nie zostały bezpośrednio trafione. Bliski wybuch ładunku plazmy z reguły wystarczał, aby poważnie uszkodzić sensory czujki, a wtedy stawała się zupełnie bezużyteczna.

Kompania Charlie miała tylko siedemnaście czujek i Alicia musiała je wysyłać jak najbliżej pierwszoliniowego sprzętu - nawet tak starego jak ten, który mieli terroryści - jeśli chciała otrzymać wiarygodne dane. Co oczywiście oznaczało, że powoli je tracili.

Alicia zacisnęła zęby, kiedy zobaczyła, co pokazuje przydzielona Anderssonowi jedna z siedemnastu ocalałych czujek.

Skąd oni biorą tych ludzi?, spytała w duchu. Czujka wykryła co najmniej dwustu opancerzonych piechurów, okopanych na trzech oddzielnych, pospiesznie przygotowanych pozycjach, dokładnie po drugiej stronie przełęczy między dwoma górami, którą Alicia zamierzała przeprowadzić swoją kolumnę.

No to przynajmniej mamy odpowiedź na pytanie, czy wiedzą, że wciąż tu jesteśmy, pomyślała.

Dowództwo FALA na pewno nie przerzuciłoby tylu ludzi z tyłów, gdyby nie wiedzieli z dużym prawdopodobieństwem, gdzie Kadra jest i dokąd zmierza. Z drugiej strony jedna z

pozycji była odsunięta o wiele za daleko na zachód, by wspierać pozostałe. Przygotowano ją tam najwyraźniej po to, by zablokować inną dolinę kilka kilometrów w bok, a to sugerowało, że wróg nie jest do końca pewny położenia kompanii Alicii. W przeciwnym razie wiedziałby, że od dwudziestu minut oddala się od tego krańca doliny.

Co nie zmieniało faktu, że ich sytuacja była nieciekawa.

Ich kolejnym wrogiem stało się zmęczenie. Stres - oraz straty - spalały energię jak pożar las. Kadrowicze umieli sobie radzić ze zmęczeniem - farmakopea Alicii dozowała do jej krwiobiegu dawki środków pobudzających - ale tak długotrwałe napięcie sprawiało, że chemia była mniej skuteczna, niż powinna być.

Alicia odsunęła od siebie tę myśl, tak samo jak o kolejnych dziesięciu ludziach, których straciła, odkąd musieli zostawić Helenę Chu. Chu też już nie żyła; Alicia była jeszcze wystarczająco blisko, by ikona zbroi kapral ukazała się na jej HUD-zie, kiedy Helenę zabił przelatujący latacz kawalerii powietrznej. Wszyscy członkowie kompanii Charlie wiedzieli, kiedy to się stało, i Alicia czuła, jak ich nienawiść zlewa się z jej własną nienawiścią.

Ale przynajmniej ci, którzy zabili Chu, sami też zginęli, kiedy operatorzy karabinów plazmowych kompanii wyłuskali jeszcze sześć maszyn, kiedy się zbliżyły - o wiele ostrożniej niż poprzednio - by zaatakować. Alicia straciła w zamian dziesięciu ludzi, ale wrogowi najwyraźniej zaczęły się już kończyć latacze. Po pierwszym katastrofalnym ataku pojawiło się ich więcej, ale one także poniosły straty, i teraz w zasięgu sensorów Alicii były tylko cztery latacze.

Czwórka niedobitków krążyła w dużej odległości, zbliżając się tylko podczas okazjonalnych przelotów.

- Nie możemy ich obejść - powiedziała cicho do Tannis na prywatnym łączu.

- Sierzancie, nie wiem, czy mamy inne wyjście - odparła Cateau równie cicho, analizując te same dane taktyczne. Była przyzwyczajona do roli doradcy, jakim powinno być skrzydło. - Strasznie oberwaliśmy i kończy nam się amunicja. Prawdopodobnie moglibyśmy ich obejść od wschodu.

Wrzuciła na HUD Alicii kropkowaną linię wyznaczającą ewentualną trasę. Zbaczała ona daleko na wschód, omijając linię umocnień w poprzek przełęczy.

- Nie ma czasu - powiedziała Alicia. - Musieli użyć ciężarówek albo czegoś takiego, żeby przywieźć tu tych ludzi, prawdopodobnie z SL. Jeśli będziemy próbowali ich obejść, trafimy na gorszy teren i dotarcie do Zielonej Przystani będzie trwało jeszcze dłużej, nawet gdyby już nic więcej nie poszło źle. A na to nie możemy liczyć, Tannis. Ta cholerna kawaleria powietrzna może i trzyma się z dala, ale na pewno z grubsza wie, gdzie jesteśmy, bo inaczej

tych ludzi by tu nie było. Jeśli więc spróbujemy ich obejść, pewnie nas zauważą. A wtedy w tym czasie, gdy my będziemy się przedzierać przez teren na wschodzie, oni znów zabiorą stąd tych żołnierzy i zrzucą ich gdzieś przed nami.

- Za to jeśli uderzymy na nich frontalnie, rozwiążemy za nich problem - odparowała Tannis. - Oni chcą, żebyśmy ich zaatakowali, sierzancie. Po to tutaj są.

- Zgoda.

Alicia jeszcze przez kilka sekund studiowała w milczeniu dane taktyczne, choć wiedziała, że Tannis ma słuszość.

Wrogi dowódca najwyraźniej wiedział, że zadzieranie z Kadrą, nawet mając ciężką broń, to dobry sposób, żeby oberwać. Ale równie oczywiste było, że teraz terroryści mają ogromną przewagę liczebną i tkwią na przygotowanych wcześniej pozycjach - choć Alicia wciąż nie umiała sobie wyobrazić, jak im się udało ściągnąć tutaj tych wszystkich ludzi - i że chcieliby zmusić ludzi Alicii, by ich zaatakowali.

- Wiesz - powiedziała po chwili do Tannis - kiedy tak patrzę na te umocnienia, to myślę, że oni mają o wiele lepszą głowę do strategii niż taktyki.

- Znam ten ton, sierzancie - odparła Cateau. Była odwrócona do niej plecami, ale Alicia tak wyraźnie widziała jej uniesioną brew, jakby stały twarzą w twarz. Uśmiechnęła się z czułością do pleców przyjaciółki.

- Ich problem - wyjaśniła - polega na tym, że ten, kto wyznaczał im pozycje, wybrał na mapie wąskie gardło i wysłał ludzi, żeby je zablokowali. Ale ten pomysł ma kilka niedociągnięć. Popatrz tutaj.

Obróciła mapę terenu na HUD-zie Tannis i Cateau aż gwizdnęła.

- O rany, to dopiero beztroska, co?

- Można to tak określić - zgodziła się Alicia, a potem przełączyła kanały.

- Mauser-Jeden, tu Winchester-Jeden. Przesuń ludzi do tego punktu... - przesłała lokację do HUD-a Celestine Hillman - i niech tam na mnie czekają. Lew-Alpha-Trzy - ciągnęła - przesuń swoich tutaj.

Wrzuciła na HUD kolejną ikonkę i zaczęła, aż Hillman i Hennessy przesłały potwierdzenie. Potem klepnęła Anderssona w opancerzone ramię.

- Dobra robota, Erik - powiedziała. - Teraz zostań tutaj i miej na nich oko, dopóki nie będziemy gotowi.

- Jasne, sierzancie - odparł, a Alicia popędziła susami z powrotem do Hillman.

* * *

- Winchester-Jeden, tu Mauser-Jeden - powiedział dziesięć minut później głos w implancie Alicii. - Jesteśmy na pozycji, Alley.

- Mauser-Jeden, Winchester-Jeden potwierdza - odparła. Celestine zdawała się pewna siebie - a może tylko udawała. Alicia uśmiechnęła się na tę myśl i wzięła głęboki oddech.

- Dobra, ludzie - powiedziała na ogólnej sieci. - Pora zatańczyć.

* * *

Grupowy Burkhart dowodzący grupą bojową, która utrzymywała środkową z trzech pozycji Armii Wyzwolenia Sojuszu Wolności, stał wpatrzony w ciemność. Jego punkt dowodzenia znajdował się dokładnie tam, gdzie zalecał Podręcznik, na przeciwległym zboczu niskiego grzbietu biegnącego w poprzek przełęczy. Ale Cornelius Burkhart czuł się nieswojo w tej kryjówce, dlatego zostawił tam swojego zastępcę i przyszedł tutaj, do jednego z wysuniętych gniazd działek plazmowych, skąd wpatrywał się gniewnie w bezksiężycową noc.

Burkhart zawsze był człowiekiem pełnym gniewu; ten gniew był jego paliwem. Choć plan tej operacji nigdy go w pełni nie zadowalał, rozumiał jej cele i z całych sił je popierał. Wiara Burkhardta w ostateczny sukces - i własne przeżycie - mogła być wątpliwa, ale to nie oznaczało, że nie był zdeterminowany poprowadzić sprawy do końca, bo jego nienawiść do Imperium Ziemskiego była głęboka i gwałtowna.

Jego rodzina aktywnie uczestniczyła w walce przeciwko inkorporacji jego rodzinnego świata i zapłaciła za to bardzo wysoką cenę. Może Imperium nie było bezpośrednio zamieszane w zamach, w którym zginęli ojciec, matka i starszy brat Burkhardta, ale jednak ktoś rzucił domowej roboty bombę podczas antyinkorporacyjnego wiecu.

Rząd planetarny upierał się, że zamachowcem był ktoś z protestujących, że bombę rzucił - czy może raczej upuścił - członek skrajnego skrzydła opozycji. Organizatorzy wiecu obwiniali zaś rządowych prowokatorów i odrzucali wyniki oficjalnego „śledztwa”, które nie było w stanie (czy może takie było polecenie) zidentyfikować osoby, która rzuciła bombę. W tej sytuacji Burkhart i jego dwaj żyjący bracia obarczyli odpowiedzialnością za ten czyn cesarzową Maire, matkę Seamusa II, i postanowili coś z tym zrobić.

Mścili się, gdzie tylko mogli, a Cornelius Burkhart już dawno stracił rachubę, ilu Impów i kolaborantów zabili przez ostatnie dwadzieścia trzy standardowe lata. Sześć lat temu wszyscy trzej wstąpili do Armii Wyzwolenia Sojuszu Wolności, dzięki czemu mogli zabijać jeszcze więcej wrogów. Ale każda zemsta ma swoją cenę. Po rajdzie Kadry na Czengczu Burkhart został jedynym żyjącym członkiem swojej rodziny, a świadomość, że ta sama kompania, która zabiła jego braci, niemal na pewno zostanie skierowana do tej operacji, sprawiła, że tak

szybko zgłosił się na ochotnika.

Uśmiechnął się lekko, zapatrzony w noc, zastanawiając się, gdzie są niedobitki komandosów. Nie mogło ich zostać więcej niż pięćdziesięciu - a więc poniżej dwudziestu procent. Burkhart przestudiował wszystkie informacje o Kadrze i jej operacjach z ostatnich kilku lat, dzięki czemu wiedział, jak wiele udało się Sojuszowi osiągnąć na Fullerze.

Kadra była czymś więcej niż tylko formacją imperialnego wojska. Była samym Imperium, symbolem Domu Murphy. Dla poddanych Seamusa II jej członkowie byli strażnikami cesarza i bohaterami strzegącymi przed wrogiem tego wszystkiego, co było Imperium drogie. A Cornelius Burkhart był jednym z tych wrogów. Dla niego Kadra również była symbolem Domu Murphy... i nienawidził jej jeszcze bardziej niż samego cesarza. Poświęcił swoim wrogom wiele uwagi, badając ich siłę i słabości. I dlatego właśnie wiedział, że w całej swojej historii Kadra nigdy nie poniosła takich strat jak te tutaj. Straty powyżej osiemdziesięciu procent są straszliwe dla każdej jednostki i w każdych okolicznościach, ale dla Kadry, tych aroganckich fiutów, przekonanych, że są niezwyciężeni, dumnych ze swojej reputacji i nieprzerwanego pasma sukcesów, były czymś o wiele gorszym.

No, ale teraz to już koniec, pomyślał z zajadłością. W ostatecznym rozrachunku nieważne, czy ta operacja zakończy się tak, jak to sobie wyobraża rada przywódcza Sojuszu Wolności. Dla niego to już nieważne. Nikt na niego nie czeka, nikt się o niego nie martwi. Już nie. Imperium i Kadra o to zadbały.

Rozmyślenia Corneliusa Burkhartha zostały brutalnie przerwane, kiedy podkalibrowy penetrator z karabinu kaprała Thomasa Kiely'ego uderzył ćwierć centymetra poniżej środka zasłony twarzowej jego zbroi. Pocisk przebił niewiarygodnie twardy przezroczysty kompozyt i poleciał po trajektorii ku górze jak gorejący kolec. Zrobił małą dziurkę w zasłonie, ale kiedy trafił Burkhartha tuż pod lewym łukiem brwiowym, góra czaszki grupowego eksplodowała w wyściółkę jego hełmu.

* * *

- Teraz! - krzyknęła Alicia i jej ludzie ruszyli naprzód.

Było oczywiste, że pierwszą salwą wzięli przeciwnika całkowicie z zaskoczenia. Jego broje bojowe powstrzymały co prawda kilka penetratorów Kadry, ale HUD Alicii pokazał jedenaście pewnych ofiar i trzy prawdopodobne.

Powinni byli siedzieć głębiej w tych swoich norach, skoro już tak się namęczyli z ich kopaniem, pomyślała ponuro, kiedy dwudziestu sześciu z czterdziestu sześciu ocalałych żołnierzy kompanii Charlie ruszyło naprzód za nią i Tannis.

Nad ich głowami zaryczała plazma; to Doorn i Osayaba pokryli ogniem działo wsparcia piechoty. Straszliwe oślepiające błyski przemknęły wzdłuż pozycji piechoty, niszcząc je, jednak już po chwili, kiedy Kadrowicze własnym ogniem zdradzili wrogowi swoją lokalizację, na nich także zaczął spadać ostrzał.

Kolejna ikonka Kadry zrobiła się czerwona i Alicia poczuła dżgnięcie bólu, kiedy zginął kapral Allen Shidahari. Chwilę później padł także kapral Manfred Branigan, żołnierz z trzeciego plutonu, którego po śmierci Vatkesa Kalachiana zestawiała w parę z Erikiem Anderssonem. Benjamin Dubois, skrzydło Lawrence'a Abernathy'ego, sparowany z Michaeliem Donorem, kiedy obaj stracili skrzydłowych, zabił jeszcze trzech obrońców. Strzelał miarowo, dokładnie, jakby był na strzelnicy, i zaliczył trzy trafienia w hełm pod rząd - zanim sam poleciał w tył, trafiony ładunkiem plazmy.

Kolejni obrońcy padali, ale nie było ich wystarczająco wielu. Ci, których zabiła pierwsza salwa, zostali wzięci z zaskoczenia. Pozostali byli już bardziej ostrożni - odpowiadali ogniem, nie odsłaniając się bardziej, niż musieli, a ich uzbrojenie było cięższe niż żołnierzy Kadry.

- Utrzymać pozycje! - krzyknęła Alicia na sieci taktycznej, kiedy na jej HUD-zie nacierające zielone ikonki dotarły do uprzednio wyznaczonych przez nią punktów. Nie wszystkie pozycje były tak dobre, jak miała nadzieję, ale wszystkie zapewniały przynajmniej jako taką osłonę. Jej ludzie przypadli do ziemi, wciąż strzelając, ale przygwożdżeni ogniem nieprzyjaciela.

Alicia wyszczerzyła się we wściekłym grymasie, kiedy ostrzał przeciwnika nasilił się.

Proszę bardzo, macie nas, co?, pomyślała z zaciekłością.

* * *

- Mamy ich! Mamy Ich! - wrzeszczał w kom oficer wykonawczy Corneliusa Burkarta.

- To ich wykończcie! - odkrzyknął dowódca operacji ze swojego centrum łącznościowego w Zielonej Przystani. - Załatwcie ich w końcu, do cholery!

- Załatwimy!

Oficer operacyjny nie był tak dobrze wyszkolony ani doświadczony jak Burkart, jeśli chodzi o interpretację raportów sensorów zbroi, ale nie trzeba było geniusza, by wiedzieć, że ci dranie z Kadry mają przesrane. Tak naprawdę nie wierzył, że będą na tyle głupi, by w ten sposób zaatakować pozycje grup bojowych, ale jednak to zrobili. I pierwszą salwą zadali żołnierzom FALA straty. Kimkolwiek byli ci dranie z karabinami plazmowymi, musiał przyznać, że byli o wiele lepsi od jego własnych kanonierów. Ale niewystarczająco lepsi. Samo natężenie ognia jego działek przygniotło ich do ziemi - nawet teraz nie ostrzeliwali się,

zakładając, że wciąż żyli - i cała ich niedorzeczna szarża niemal natychmiast utknęła w miejscu.

Przykucnął w ciasnym punkcie dowodzenia i popatrzył ze złością na holograficzny HUD wyświetlany przed jego oczami. Nie potrafił zinterpretować szczegółów, więc przełączył się na bezpośrednią wizję. Uśmiechnął się złośliwie na widok błyskawic plazmy chłосzczących noc zabójczym pięknem. Samo natężenie śmierci i zniszczenia napełniło go niemal erotyczną rozkoszą; nie potrzebował żadnych zasranych HUD-ów, żeby wiedzieć, że Kadra jest przerabiana na karmę dla psów.

* * *

Alicia skuliła się, kiedy ładunek plazmy przemknął nad głazem, za którym się kryła. Plazma trafiła w lokalny iglak i pięciometrowy kawał grubego na trzydzieści centymetrów pnia wyparował. Górne dwie trzecie drzewa runęły w dół, już płonąc, na pozycję Alicii. Zbroja ochroniła ją przed gałęziami, które na nią spadły, ale mimo to poczuła się tak, jakby jakaś gigantyczna łapa przygniotła ją do ziemi niczym natrętnego robaka.

- Sierzancie!

- W porządku, Tannis! - odparła szybko - i tak było, ale tylko przez chwilę. Płomienie, które ryczały wokół, wkrótce mogły jej zagrozić, gdyby tu została. Choćby dlatego, że amunicja do CHK, którego zabrała żołnierzowi drugiego plutonu, bo już go nie potrzebował, mogła zacząć się gotować. Póki co jednak zbroja radziła sobie z ogniem. Alicia wyciągnęła ostrze siłowe. Pole siłowe bez wysiłku przeszło przez trzydziestocentymetrowy pień i pomogło jej wydostać się z płataniny gałęzi. Wyłączyła pole i jednym susem przeskoczyła do Tannis.

Wielkokalibrowy penetrator z kaliope terrorystów odbił się od jej lewego naramiennika tuż przed tym, zanim wylądowała. Uderzył pod zbyt dużym kątem, by przebić zbroję, lecz siła uderzenia cisnęła Alicię na ziemię.

Ale ona nawet tego nie zauważyła. Wpatrywała się w HUD, gdzie osiemnaście zielonych ikon prowadzonych przez Celestine

Hillman nagle pojawiła się na tyłach wroga.

* * *

Nowy dowódca FALA nigdy nie zrozumiał, dlaczego tak źle zinterpretował sytuację. Jego punkt dowodzenia znajdował się dokładnie tam, gdzie zalecał Podręcznik. Co pechowo dla niego oznaczało, że Celestine Hillman doskonale wiedziała, gdzie go szukać, kiedy

wyłoniła się z rowu przeoczonego przez Corneliusa Burkarta.

Być może niesprawiedliwością byłoby oczekiwać, że Burkhart go zauważy. Nie był to w końcu znaczący element ukształtowania terenu - zaledwie kręte koryto wyschniętego teraz strumienia, nie głębsze niż dwa metry. Poza tym tak naprawdę było poza perymetrem Burkarta. Biegło pomiędzy jego pozycją a pozycją grupy bojowej tworzącej wschodnią kotwicę linii i teoretycznie mogło być kryte ogniem z obu stron.

Nie licząc pewnego drobiazgu - żadna z grup aktualnie nie miała koryta w linii ognia... ani nie zdawała sobie sprawy z tego, że powinna mieć.

Pierwszy ładunek plazmy drużyny Hillman trafił prosto w punkt dowodzenia, anihilując następcę Burkarta i niszcząc główną sieć sensorów grupy. Obrońcy nagle byli zdani na indywidualne sensory zbroi, a - tak samo jak ich unicestwiony oficer wykonawczy - nie potrafili ich tak dobrze odczytać jak Kadra.

Wciąż usiłowali dociec, co się dzieje, kiedy ludzie Hillman dopadli ich od tyłu, strzelając i ciskając granaty. Część żołnierzy FALA obróciła się w okopach w samą porę, by napotkać zabójcze serie z karabinów. Inni nawet tego nie zdążyli zrobić.

* * *

- Biegiem, biegiem, biegiem! - krzyknęła Alicia, kiedy ostrzał wroga nagle się załamał. Jeszcze przez chwilę ktoś strzelał, a potem niemal wszystko ucichło, kiedy strzelający zrozumieli, że zostali otoczeni z flanki.

Wybuchła panika - dokładnie tak, jak Alicia miała nadzieję - a wtedy ona i reszta kompanii zaszarżowali w górę zbocza, kryjąc się za zabójczymi rozbłyskami z luf swoich karabinów.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Sir Arthur Keita patrzył na wykres repetera, kiedy HMS „Ktezyfon” zwalniał ku orbicie Fullera. Krążownik wciąż udawał frachtowca, choć nie wiadomo było, czy terroryści na pokładzie „Gwiezdnego Wędrowca” już nie zwęszyli podstępu.

Oczywiście nie wiem, czy w ogóle to kupili, pomyślał Keita i spojrzął na hologram Półwyspu Shallingsport na głównym wyświetlaczu centrum wywiadowczego „Marguerite Johnsen”.

Hologram nie był nawet w przybliżeniu tak szczegółowy, jak Keita by pragnął. Ikona, która miała oznaczać pozycję kompanii Charlie - czy też raczej jej niedobitków, pomyślał ponuro - migotała, co znaczyło, że jest to jedynie przybliżenie. Wciąż mieli łączność z DeVries, ale komunikaty były coraz bardziej sporadyczne, a oni stracili niemal wszystkie kanały telemetryczne, nawet w okresach, kiedy transportowiec przelatywał na swojej orbicie dokładnie nad Shallingsport.

Keita poczuł, że znów napinają mu się mięśnie brzucha. Boże, jaka szkoda, że nie wie, co się dzieje tam na dole! Choć aż za dobrze zdawał sobie sprawę, że taka wiedza nic by mu w tej chwili nie dała, za nic nie chciał się do tego przyznać przed sobą samym. Nigdy dotąd w całej jego karierze w Kadrze nie był tak bezsilny jak teraz, a na dodatek czuł się winny. Wiedział, że to irracjonalne, ale przez to wcale nie mniej prawdziwe. To on rozkazał mężczyznom i kobietom Madisona Alwyna iść w to piekło, a teraz siedzi bezpieczny i cały na pokładzie „Marguerite Johnsen”, podczas gdy oni giną tak daleko od niego.

Zmusił się, by odsunąć od siebie te niewesołe myśli. Nic nie może na to poradzić, więc zamiast tego powinien zastanowić się nad tym, co już wie.

Jeśli DeVries ma rację - a pewnie ma - terroryści są jeszcze bardziej zdezorientowani co do jej pozycji niż on tutaj, na „Marguerite Johnsen”.

Generał Kadry pokręcił głową i podziękował Bogu za sierżant pierwszej klasy Alicję DeVries. W ciągu własnej kariery przeżył tyle spierdolonych akcji - choć żadnej aż tak bardzo - że umiał docenić ogrom tego, co już osiągnęła. Oczywiście Charlie była kompanią złożoną z najbardziej starannie wyselekcjonowanych i rygorystycznie wyszkolonych żołnierzy w galaktyce, ale nawet Kadra nie potrafiła wyszkolić ludzi tak, by radzili sobie z marszu z takimi jak ta sytuacjami. Gdyby nie to, że trzymała ich w kupie, prowadziła naprzód...

Ostatnia wiadomość od DeVries pochodziła sprzed blisko trzydziestu minut. Sierżant złożyła raport o natarciu na blokadę FALA beznamiętnie, rzeczowym tonem, który jednak nie zwiódł nikogo na pokładzie „Marguerite Johnsen”. Zamaskowany transportowiec Floty współpracował z kompanią Charlie od ponad trzech standardowych lat i jego załoga stała się częścią rodziny kompanii, dlatego Keita czuł teraz wszędzie dookoła szok i żal. Ale w głosie DeVries nie było śladu szoku i żalu.

Keita mógłby ją znienawidzić, gdyby naprawdę uważał, że jest taka niewzruszona, taka nieczuła jak jej głos. Ale wiedział, że tak nie jest, bo jego własny głos brzmiał tak samo raz czy dwa w ciągu jego kariery. Bo zdawał sobie sprawę, że trzeba odsuwać od siebie ból aż do chwili, kiedy będzie czas stawić mu czoła i w pełni go posmakować.

- Zostało nam trzydziestu dwóch sprawnych - powiedziała wtedy. - Straciliśmy dziewięciu, przebijając się przez przełęcz. Potem jeszcze pięciu, w tym sierżant Hillman, kiedy kawaleria powietrzna zrobiła nalot. Ale już tego nie zrobią. W końcu przekonaliśmy ich, że to zły pomysł; zostały im chyba tylko dwie maszyny i trzymają się od nas z dala.

Zrobiła pauzę, bardzo krótką jak na kogoś będącego pod wpływem tik-taka.

- Chyba ich zgubiliśmy, Wuju Arthurze. Nie mamy już żadnych trafień aktywnymi czujnikami ich kawalerii, a dwa latacze, które im zostały, prowadzą chyba poszukiwania daleko za nami. Pozwolili nam zerwać kontakt, kiedy zdjęliśmy ostatnie dwie maszyny, a potem już nas nie znaleźli.

- Jak stan waszej amunicji? - spytał, nienawidząc samego siebie za to pytanie.

- Zostało nam średnio trzydzieści siedem kul na karabin. Prawie w ogóle nie mamy już granatów i tylko poniżej tysiąca pięciuset pocisków do kaliope. Mamy tylko trzy karabiny plazmowe - w ostatnim nalocie straciliśmy kaprala Doorna i jego broń - a do tych trzech karabinów tylko około trzydziestu granuli wodorowych.

- Zrozumiałem. - Przerwał i wziął głęboki oddech. - Jakie macie plany?

- Bez zmian - odparła beznamiętnie. Generał otworzył usta, by zaprotestować, ale nie dopuściła go do głosu.

- Pokonaliśmy większą część drogi do celu i chyba nie wiemy, gdzie jesteśmy. Nawet jeśli orientują się lepiej, niż mi się wydaje, najbliższe miejsce, w którym ktokolwiek mógłby wylądować w tej cholernej dziczy - czy to promy szturmowe, czy łodzie ratunkowe - to Zielona Przystań, ale nasze informacje o niej są do kitu. Nie udało mi się jeszcze dobrze przyjrzeć portowi, ale jeśli mają taką siłę ognia i broń, jaką widzieliśmy w górach, to na pewno dobrze go kryją. Trzeba się tego dowiedzieć, a prawie skończyły się nam zdalne czujki. Ci ludzie pokazali już, że dobrze sobie radzą z ich zestrzeliwaniem, więc jedną z

ostatnich pięciu trzymam schowaną, dopóki nie podejmiemy tak blisko, żeby mogła na coś się przydać. Skontaktuję się z panem znowu, kiedy to nastąpi. Winchester-Jeden, bez odbioru.

To było... - Keita spojrział na zegar - dwadzieścia osiem minut temu, a od tamtej pory nie odezwała się ani słowem.

Gdzie jesteś, DeVries... Alley?, pomyślał z troską. Korciło go, żeby się z nią skontaktować, zażądać aktualnego raportu sytuacyjnego, ale stłumił w sobie tę pokusę. Jeśli miała rację, jeśli udało jej się zerwać kontakt z wrogiem, to im mniej łączności między nimi, tym lepiej. A tymczasem...

- Sir Arthurze?

Keita odwrócił się gwałtownie i zobaczył oficera łącznościowego „Marguerite Johnsen”.

- Słucham, poruczniku Smithson?

- Sir Arthurze, właśnie otrzymaliśmy żądanie nawiązania łączności - powiedział Smithson dziwnym tonem, a potem się skrzywił. - Mówi, że jest przywódcą terrorystów, sir.

Twarz Keity zrobiła się jeszcze bardziej kamienna niż zwykle. Zmrużył lekko oczy, popatrzył na porucznika może przez trzy sekundy, potem wzruszył ramionami.

- Proszę połączyć - powiedział.

- Tak jest, sir. - Smithson przesłał polecenie przez zestaw nagłowny, a potem kiwnął głową, wskazując, że mikrofon już działa.

- Tu sir Arthur Keita - powiedział generał. - Czego chcecie?

- Sir Arthur Keita? Sam „Buldog Cesarza”? - zaśmiał się ktoś kpiąco. - Jestem doprawdy zaszczycony! Oczywiście nazwanie kogoś buldogiem to tylko inny sposób nazwania go sukinsynem, nieprawdaż?

- To ty chciałeś ze mną rozmawiać - powiedział Keita wciąż twardym jak kuta stal głosem. - Chciałeś coś powiedzieć czy wolisz po prostu zadawać retoryczne pytania?

- Ale jesteśmy drażliwi!

- Połącz się znów, kiedy będziesz miał coś do powiedzenia. - I generał wyciągnął rękę, by dać znak Smithsonowi.

- Nie zapominaj, że mam tu na dole sześć setek Impów - powiedział nagle ostrzej głos. - Przerwij połączenie, a przysłę ci pięćdziesięciu w workach na trupy.

- Możesz to zrobić w każdej chwili, niezależnie od tego, czy będę z tobą rozmawiał, czy nie - odparł niewzruszenie Keita. - Ale naprawdę nie sędzę, żeby spodobało ci się to, co się stanie, jeśli uznam, że mimo wszystko zamierzasz zabić zakładników.

- Czy według ciebie naprawdę jesteśmy tacy głupi, że uwierzymy, że nie zabiłbyś nas w jednej chwili, gdybyś tylko mógł? - prychnął człowiek na drugim końcu łącza. - Z tej

perspektywy nie mamy nic do stracenia, sir Arthurze!

- Tyle że jeśli dojdę do wniosku, że zaczniecie zabijać zakładników tylko dlatego, iż zraniłem wasze uczucia, uznam, że nie ma sensu próbować ich odbijać - powiedział spokojnie Keita. - A wtedy rozwiążę problem w bardzo prosty sposób - uderzeniem broni kinetycznej.

Przez kilka chwil panowała cisza.

- Blefujesz - powiedział w końcu rzecznik FALA.

- Może tak, a może nie. Pamiętaj, że daliście mi bardzo dużo powodów, że bym chciał waszej śmierci. Życie tylko dzięki tym zakładnikom. Przekonaj mnie, że nie wyjdą z tego żywi, a nie będę miał żadnego powodu, by wam odpuścić. Więc lepiej przestańmy sobie nawzajem grozić i powiedz mi, czego chcesz.

- Dobrze, powiem. Mówisz, że nie będziecie mieli żadnego powodu, aby nam odpuścić, jeśli dojdziecie do wniosku, że zakładnicy zostaną zabici. No, ja też nie będę miał powodu darować im życia, jeśli uznam, że moi ludzie zostaną pozabijani. Dlatego lepiej, żeby „Gwiezdny Wędrowiec” nie zobaczył żadnych promów szturmowych lecących na planetę z tego krążownika, który udaje frachtowiec, kiedy już dołączy do was na orbicie.

Tyle w temacie tego, czy elektroniczne systemy „Ktezyfona” zdołały ich oszukać, pomyślał Keita.

- Zanim zaczniesz tracić czas na kłamstwa - ciągnął terrorysta - powiem ci, że sieć sensorów „Wędrowca” obserwuje wasz drogocenny krążownik od chwili jego przybycia. Tak samo jak ciebie, sir Arthurze. Może „Marguerite Johnsen” potrafi niektórych oszukać, ale my trochę lepiej się przygotowaliśmy. Wiedzieliśmy, kim jesteście, odkąd tutaj przylecieliście, i spodziewaliśmy się waszego zrzutu. Tak jak spodziewaliśmy się przybycia posiłków. Na pewno macie na pokładzie tego krążownika sporo marines, ale stanowczo radzę wam, żeby tam pozostali.

- I na pewno nie możesz się doczekać, żeby mi powiedzieć, czemu miałbym wziąć sobie do serca twoje rady - powiedział Keita.

- Właściwie powodów jest kilka - odparł tamten. - Ale do głowy przychodzą mi tak od razu dwa. Po pierwsze, jak już na pewno zauważyliście, mamy tu na dole o wiele większe siły, niż zakładaliście. Oprócz tego, co już odkryliście, mamy okopaną wokół Zielonej Przystani broń ziemia-kosmos. Na pewno nie zatrzymamy szturm pełnymi siłami, ale możemy zestrzelić wszystkie promy, które zdołaliście upchnąć na tym krążowniku. A więc jeśli bardzo chcesz posłać swoich marines na śmierć, tak samo jak posłałeś swoich cennych Kadrowiczów, możemy to załatwić.

- Pewnie myślisz, że blefuję, a może wydaje ci się, że jestem zanadto pewny możliwości

naszej broni. Nie blefuję, ale być może przeceniłem nasze możliwości... tak samo jak ty przeceniłeś wasze, kiedy postanowiłeś zdesantować kompanię Charlie. A to prowadzi do drugiego powodu, dla którego nie powinieneś zrzucić nam na głowy marines: jeśli to zrobisz i okaże się, że jednak ich nie zatrzymamy, zabijemy zakładników. Nic nas przed tym nie powstrzyma.

- Rozumiem.

- Tak właśnie myślałem - powiedział kpiąco rzecznik FALA.

- A skoro o tym mowa, jeśli spróbujesz wysadzić marines gdzieś indziej, poza naszym perymetrem obronnym, „Gwiazdny Wędrowiec” nas o tym poinformuje. A kiedy tylko to zrobi, zabijemy trzystu zakładników. Zwróć, proszę, uwagę, że nie chcemy ich zabić ot tak, w ramach targów czy nawet w napadzie złości. Nie zabijemy ich, jeśli ty nie zaczniesz czegoś kombinować, więc wciąż masz sześćset - no, trzysta - powodów, by zachować nas przy życiu, prawda?

- Do czego zmierzacie? - spytał Keita. - To oczywiste, że wasze pierwotne żądania miały tylko dać wam czas na zorganizowanie zasadzki. Na pewno nie sądzicie, że Imperium pozwoli wam czy waszej organizacji żyć spokojnie po czymś takim.

- Wszyscy jesteśmy od lat na waszych listach - odparł tamten.

- Ale w tej chwili powinieneś się raczej martwić tym, kogo my możemy zabić. Przedstawimy nasze ostateczne żądania, kiedy będziemy gotowi. Póki co trzymaj swoich cholernych marines z dala od tej planety. Zrozumiałeś, sir Arthurze?

- Tak - warknął Keita. - A jeśli tak zrobię, co się stanie z moimi ludźmi na Fullerze?

- Ależ oczywiście zginą, sir Arthurze - zaśmiał się rzecznik terrorystów. - To był cel naszej wizyty tutaj, a przynajmniej jeden z celów. Wyrznęli przez lata wielu naszych przyjaciół, więc byłoby fair, gdybyśmy trochę się odegrali, i prawdę mówiąc, nie możemy się już tego doczekać. Większość z nich już zabiliśmy; w końcu zabijemy wszystkich, i to z wielką radością. Chyba że jesteś gotów zarządzić desant, żeby uratować garstkę tych niedobitków, wiedząc, że wszyscy wasi cywile zginą w tej samej chwili, kiedy pierwszy but marines dotknie cerambetonu Zielonej Przystani. Jakoś mi się nie wydaje, żeby to dobrze wyglądało w imperialnych mediach, że życie dwudziestu czy trzydziestu Kadrowiczów było dla ciebie ważniejsze niż życie sześciuset poddanych cesarza, prawda?

Keita nie odpowiedział, a terrorysta zaśmiał się.

- Tak też myślałem. Nigdzie nie odchodź, sir Arthurze. Na pewno będę ci miał jeszcze coś do powiedzenia... kiedyś.

* * *

- No, miałaś rację, sierżancie - powiedziała cicho Tannis Cateau.

Alicia równie cicho przytaknęła. Leżały obok siebie na grzbiecie wzgórza wznoszącego się nad kompleksem budynków korporacji Jason i jeszcze nieczynnym portem kosmicznym Zielona Przystań. Aktywne sensory ich zbroi były całkowicie wyłączone, a rozdzielczość pasywnych z tej odległości nie była za dobra, ale to, co widziały, było wystarczająco złe.

Do lokalnego świtu brakowało około godziny, a księżyc Fullera już dawno zaszedł, przez co było ciemno jak w jaskini. Terrorysty Sojuszu Wolności wygasili większość zewnętrznych świateł, kiedy przejęli kompleks, ale nawet w tych warunkach Alicia dostrzegła kanciaste kształty ciężkich dział plazmowych - nie zwykłej broni wsparcia piechoty, ale takich, które mogły niszczyć ciężkie czołgi czy zestrzeliwać nawet najciężej opancerzone żądła. Były trzy gniazda dział, każde z trzema czy czterema działami, rozłożone równomiernie wokół budynków, a Alicia była pewna, że dostrzegła też przynajmniej dwie wyrzutnie hiperszybkich rakiet.

Terrorysty mieli prawie trzy standardowe tygodnie, by przygotować umocnienia, ale wszystko, co tu widziała, świadczyło, że FALA musiała zwieźć broń i jej obsługę na długo przed przybyciem „Gwiezdnego Wędrowca”; pozycje dział wykopano w zboczu pod budynkiem, tworząc coś w rodzaju tarasów nieco poniżej cerambetonowej powierzchni parkingu. Bez wątplenia w planach architekta widniało jakieś całkiem rozsądne wyjaśnienie takich konstrukcji, ale Alicia miała ponurą pewność, że ich prawdziwym celem było umieszczenie tutaj dział.

Co oznacza, że „korporacja Jason” zostanie już bardzo niedługo dokładnie prześwietlona przez imperialny wywiad, pomyślała zimno. Chociaż i tak nam to specjalnie nie pomoże w tej chwili.

- I co robimy? - spytała cicho Tannis.

- Najpierw pošlę tam czujkę - odparła i wysłała mentalne polecenie małemu zrobotyzowanemu zwiadowcy uczeptionemu jej uprząży. Od jej ostatniego kontaktu z sir Arthurem stracili kolejne dwa, i w głębi duszy zapagnęła pogłaskać czujkę przed wypuszczeniem jej w powietrze, jakby to był wierny tresowany jastrząb do polowań.

Ale tego nie zrobiła. Zamknęła tylko oczy i skupiła się na sterowaniu swoim latającym punktem obserwacyjnym.

Środkową pozycję terrorystów kryły aktywne czujniki. Alicia bardzo ostrożnie skierowała robota w ich stronę. Wznosiły się przed nią niemal nieprzebytą barierą, ale jedynie

„niemal”, bo ich głównym zadaniem było wypatrywanie bezpośredniego desantu. Alicia zatrzymała czujkę tuż pod elektronicznym zasięgiem, ostrożnie analizując jego emisję, a potem nieznacznie kiwnęła głową.

Czujka znalazła lukę. Niezbyt wielką - na pewno za małą, by zmieściło się w niej coś wielkości promu szturmowego czy łodzi ratunkowej - ale jednak była, i bardzo ostrożnie się w nią wsunęła. Czujka posiadała pojedynczy oddzielany przekaźnik; Alicia skierowała ją na dach budynku i poleciła go tam zostawić. Nie było gwarancji, że ktoś lub coś nie znajdzie się na drodze transmisji i nie wykryje przekaźnika, ale Alicia mogła przynajmniej zapobiec znanym jej zagrożeniom będącym skutkiem wykrycia.

Kiedy przekaźnik znalazł się na swoim miejscu, uniosła czujkę wyżej i zawiesiła ją bezpośrednio nad środkowym budynkiem. Jej aktywne czujniki, podobnie jak czujniki zbroi, były wyłączone, ale pasywne mogły o wiele lepiej się przyjrzeć. Alicia skrzywiła się. Jej pierwsze wrażenie było słuszne, tyle że zamiast dwóch były trzy wielokrotne wyrzutnie hiperszybkich rakiet, po jednej przy każdym zgrupowaniu dział plazmowych.

Przyglądała się im przez kilka chwil, nagrywając każdy szczegół przekazu z czujki, a potem posłała swojego małego pomocnika wzdłuż okapu budynku, aby poszukał wejścia. Po paru minutach czujka zawisała pod dachem, przecięła maleńkim tnącym laserem siatkę osłaniającą jakiś otwór, a potem bardzo powoli wleciała do systemu wentylacyjnego.

Wnętrze budynku wyglądało tak, jak Alicia się spodziewała. Część podzielono na pomieszczenia biurowe i coś, co wyglądało na stołówkę, ale przynajmniej osiemdziesiąt procent olbrzymiej budowli zajmowała otwarta grotą, zastawiona stacjami naprawczymi ciężkiego sprzętu budowlanego. Na wysokości pierwszego piętra dookoła hali biegła galerijka. Były tu dodatkowe biura; pasywne sensory czujki wystarczyły, by z tak bliskiej odległości potwierdzić, że jedynie w dwóch czy trzech z nich ktoś jest.

Choć w samym budynku było mnóstwo ludzi.

Na środku otwartej przestrzeni widać było zakładników siedzących na czymś, co wyglądało jak gąbkowe karimaty. Pod ścianami stały przenośne toalety, a czujniki wizualne czujki pokazały zbiorniki z wodą pitną i coś, co wyglądało jak standardowe racje polowe marines. Wszyscy więźniowie byli brudni i siedzieli skuleni jak ludzie, którzy chcieliby stąd uciec, schować się bezpiecznie przed grozą otaczającą ich przez ostatnie dwa standardowe miesiące.

Terrorystów było mniej, niż Alicia się spodziewała. Uśmiechnęła się niewesoło.

Widzieliśmy ich już tak dużo, że wydaje się, iż mają niewyczerpane zasoby ludzi, pomyślała. No, jak widać, nie mają.

Już po chwili okazało się, że mała liczba strażników jest jak najbardziej uzasadniona. Na galerijce zamontowano cztery ciężkie kaliope, rozmieszczone tak, że kryły każdy centymetr kwadratowy podłogi. Każda z nich potrafiła wystrzelić ponad pięć tysięcy pocisków na minutę - a więc wszystkie cztery były w stanie w kilka sekund zmienić halę w ubojnię. Ale kaliope nie były jedynym zabezpieczeniem terrorystów. W głębi budynku stało działo plazmowe piechoty - lżejsze niż te w gniazdach na zewnątrz, ale o wiele cięższe niż to wszystko, co miała Alicia - które miało kryć trzy bramy wjazdowe w zachodniej ścianie.

Jedynie załoga działa miała broje bojowe. Pozostałych osiemnastu ludzi wsparcia załóg kaliope i kanonierów było zupełnie nieopancerzonych albo nosili pasywne broje osobiste. Wszyscy jednak mieli bojowe hełmy. Nie można było dostrzec szczegółów, ale wyglądały jak sprzęt z demobilu marines, co zapewniało ich właścicielom przynajmniej w miarę niezłe sensory i łącze taktyczne.

Alicia obróciła czujkę, rozglądając się raz jeszcze, a potem uniosła ją i położyła cicho na odsłoniętej belce tuż pod sufitem hali. Ustawiała ją tak, by mieć jak najlepsze pole widzenia, i przełączyła w tryb czuwania.

- Domyślam się, że wszystko widziałas? - spytała.

- Aha. - Tannis też wstała i obie dołączyły do niedobitków kompanii Charlie.

Niewielu ich zostało, pomyślała Alicia, kiedy ich ikonki zebrały się wokół niej.

Trzydziestu jeden mężczyzn i kobiet - jedenaście procent kompanii, która dokonała zrzutu. Jedynie siedmiu z osiemnastu żołnierzy jej drużyny wciąż było na nogach... co czyniło pierwszą drużynę najsilniejszą istniejącą jednostką.

Każda broja nosiła ślady tego, co przeszedł jej właściciel. Reaktywne kameleony nie radziły sobie w tej chwili najlepiej - broje były wysmarowane żywicznym sokiem z gęstych gałęzi rodzimych iglaków. Pożary lasu, które wzniecił ogień plazmy - ich łuny wciąż były w niebo nad górami - też pozostawiły na nich ślady. Węgiel, popioły, niedopalone gałązki i przypominające szpilki liście przykleiły się do pokrytych żywicą powierzchni; większość pancernych postaci, które Alicia widziała, miała takie same wgniecenia i rysy, jak jej własna broja.

Popatrzyła na nich i serce jej się ścisnęło na myśl o tym, czego od nich zażąda.

- Wszyscy widzieliście, z czym przyjdzie nam się zmierzyć - powiedziała w końcu. - Przy takich umocnieniach nie widzę możliwości ściągnięcia tutaj łodzi ratunkowych czy promów szturmowych. Zwłaszcza bez ognia zaporowego, który mógłby zabić wszystkich zakładników. Dlatego według mnie pozostaje nam tylko jedno wyjście.

Przerwała, a kiedy znów otworzyła usta, nie zdążyła się odezwać - zrobiła to za nią Astrid

Nordbo. Ciemnowłosa i niebieskooka kapral nie miała już amunicji do karabinu i zastąpiła go kaliope Shai Hau-zhi, kiedy skrzydłowa Obasekiego Osayaby zatrzymała swoim ciałem pocisk z ciężkiej kaliope jednego z lataczy kawalerii powietrznej.

- Co tam, sierzancie - powiedziała, parszkając pozbawionym wesołości śmiechem. - Doszliśmy tak daleko i ubaw był tak przedni, że równie dobrze możemy zostać do końca imprezy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

- Bagażowy, tu Winchester-Jeden.

Sir Arthur Keita wyprostował się jak dźgnięty nożem, kiedy usłyszał ochrypły kontralt Alicii.

- Winchester-Jeden, tu Bagażowy - powiedział szybko. - Mów.

- Obejrzelismy dla pana cel, Wuju Arthurze. Nie wygląda to za dobrze. Mają przeciwlotnicze działa plazmowe, które przypominają osiemnastki marines i są rozmieszczone wokół centralnego budynku, oraz wsparcie wyrzutni hiperszybkich rakiet. Mają też kolejnych stu osiemdziesięciu - powtarzam, jeden-osiem-zero - żołnierzy piechoty okopanych u podnóża wzgórza. Umieściliśmy czujkę wewnątrz celu. Wszystkich zakładników trzymają w jednym miejscu, osłanianym przez kaliope i działo wsparcia piechoty. Mamy w budynku dokładnie trzydziestu trzech żołnierzy wroga, wliczając w to obsługę broni, ale tylko trzech w zbrojach. Potwierdziłam obecność aktywnego radaru obrony powietrznej i lidar, mają też plot radarowy wokół budynku na poziomie gruntu. Nie mają - powtarzam, nie mają - płotu wokół podnóża wzgórza. Część ich piechoty trochę się tu kręci, i pewnie mogliby sami uruchamiać alarmy, gdyby obejmowały także wzgórze.

Twarz Keity po każdym słowie Alicii była coraz bardziej ściągnięta. Wreszcie ze znużeniem potarł czoło.

- Winchester-Jeden - powiedział. - Alley. FALA skontaktowała się z nami. Mówią, że zabijają połowę zakładników, jeśli spróbujemy zdesantować marines z „Ktezyfona”, a wszystkich, jeśli nam się uda przewieźć Osy przez ich ostrzał. Do tego... - napiął mięśnie szczęk, ale zmusił się, by spokojnie kontynuować - mówią, że nam nie pozwolą was wycofać. Chcą was wykończyć. Myślę - przyznał ponuro - że byliby chyba najbardziej zadowoleni, gdybyśmy mimo wszystko spróbowali was stamtąd wydostać i wszyscy zakładnicy by zginęli.

- Mniej więcej tak samo odczytałam sytuację, Wuju Arthurze - odparła spokojnie Alicja. - Ale nikt z nas tu na dole nie ma ochoty puścić im tego wszystkiego płazem.

Keita uniósł brwi.

- Myślę, że możemy dostać się do celu - ciągnęła. - Uważam, że damy radę zniszczyć stanowiska przeciwlotnicze i utrzymać główny kompleks, dopóki nie przyślesz nam Os z

pomocą.

Keita odwrócił się i spojrzał z niedowierzaniem na Wadysława Watta. Specjalista od wywiadu odpowiedział takim samym spojrzeniem i generał gwałtownie potrząsnął głową.

- Alley - powiedział. - Przykro mi, ale moim zdaniem nie dacie rady.

- W takim razie się mylisz, Wuju Arthurze - odparła stanowczo. - Moi ludzie mogą to zrobić. Zrobimy to.

- Ale...

- Nie wiedzą, że tu jesteśmy - powiedziała, zagłuszając jego protesty. - Gdyby wiedzieli, już coś by z tym zrobili. Mamy dobrą osłonę na co najmniej trzysta metrów przed ich wysuniętymi pozycjami piechoty na północnym stoku. Zostały mi trzy karabiny plazmowe i są trzy stanowiska przeciwlotnicze. Większość ludzi przesuniemy najbliżej jak się da północnego zbocza. Potem operatorzy plazmy zdejmą baterie, żeby otworzyć Osom drogę. Kiedy to zrobią, reszta przebiję się przez zewnętrzną linię, zaszarżuje na budynek, przerąbie nożami siłowymi zewnętrzną ścianę - to plastikowy prefabrykat - i wyeliminuje terrorystów w środku, zanim się zorientują, że idziemy. Potem będziemy tylko musieli utrzymać budynek, dopóki Osy nie przylecą.

Keita zamknął oczy i zacisnął pięści aż do bólu. Potem znów mocno potrząsnął głową.

- Alley, to samobójcze zadanie - powiedział i jego potężny głos odrobinę zadrżał. - Kończy się wam amunicja, a będziecie musieli pokonać... pięćset - sześćset metrów, żeby dobiec do budynku. A nawet zakładając, że wam się to uda i załatwicie strażników w środku, zaatakuje was prawie dwustu ludzi w zbrojach bojowych. Ludzi, którzy będą mieli gdzieś, ilu zakładników zabiją.

- Wuju Arthurze, i tak zabiją ich wszystkich albo większość.

- Głos Alicji brzmiał jeszcze bardziej beznamiętnie. - I pan wie o tym tak samo dobrze jak ja. Nie mogą się z tego wykręcić, cokolwiek by zrobili, a kiedy to do nich dotrze, zaczną zabijać ludzi, próbując wymusić ustępstwa, na które pan nie może się zgodzić. Jeśli to zrobią, i tak będziecie musieli tu przylecieć. A my możemy wydostać ich żywych - przynajmniej część, a moim zdaniem większość.

- Ale nie musimy tego robić w tej chwili - powiedział Keita niemal z rozpaczą. - Jeśli nie wiedzą, gdzie jesteście, możecie się wycofać. Może udałoby się podesłać wam zrzut z zaopatrzeniem. Na Boga, Alley, pozwólcie przynajmniej dosłać wam amunicji!

- Musimy to zrobić w tej chwili - odparła. - Natychmiast. Póki co nie wiedzą, że tu jesteśmy, ale wciąż nas szukają. I w końcu znajdą. A nawet gdybyśmy mogli się wycofać i uzupełnić zaopatrzenie, drugi raz nie uda nam się podejść tak blisko. Teraz albo nigdy, Wuju

Arthurze, a straciliśmy zbyt wielu ludzi, żeby wybrać „nigdy”. Kompania Charlie zaatakuje. Wesprze nas pan tym desantem marines czy nie?

* * *

- Nie mogę uwierzyć, że to robimy - powiedział cicho kapitan Wadysław Watts. Keita spojrzał na niego ostro, a marine szybko pokręcił głową. - To nie krytyka, sir Arthurze. To... zdumienie. Po prostu staram się zrozumieć, jak Kadra może się upierać przy dalszym atakowaniu po tym, co się stało z kompanią Charlie.

- Muszę się z panem zgodzić - powiedział po chwili Keita.

- Wolalbym, żeby tego nie robili. Ale to DeVries jest tam na dole. To ona doprowadziła ich tak daleko mimo tego wszystkiego, co ci dranie zrobili, żeby ich powstrzymać, to ona widziała cel i to ona jest tam dowódcą. Więc decyzja należy do niej i - niech mnie Bóg ma w swojej opiece - moim zdaniem to właściwa decyzja.

- Naprawdę wierzy pan, że może im się udać, sir? - spytał Watts.

Keita patrzył na niego przez kilka chwil, potem westchnął.

- Nie, kapitanie - powiedział cicho. - W głębi duszy nie wierzę. Ale nie uwierzyłbym też, że uda im się dotrzeć tak daleko, jak dotarli. Skoro im się udało, to może stać ich na jeszcze jeden cud. A nawet jeśli nie, DeVries ma rację, że nie uda nam się wydostać zakładników żywych. Dlatego ma słuszość, że pora rzucić kości.

Odwrócił się od marine i niewidzącym wzrokiem zapatrzył się w głębię obrazu na wyświetlaczu, na maleńkie gwiazdy lśniące w nieskończonej aksamitnej ciemności. Potem wziął głęboki oddech i spojrzał na porucznika Smithsona.

- Proszę mnie połączyć z „Ktezyfonem”, poruczniku. Muszę porozmawiać z majorem Bennettem.

* * *

- Mówi pan poważnie, sir? - spytał kapitan Broderick Lewinsky, gapiąc się na majora Alexandra Bennetta, dowódcę powiększonego kontyngentu marines na „Ktezyfonie”. Przedział odpraw był stosunkowo przestronny dla oficerów normalnego kontyngentu krążkownika, ale w tej chwili było bardzo ciasno z powodu liczby stłoczonych tu ludzi, na dodatek w zbrojach bojowych. Nikt nie założył jeszcze hełmu i Lewinsky nie był jedynym oficerem w pomieszczeniu, który wyglądał tak, jakby miał problem z uwierzeniem w to, co major przed chwilą powiedział.

- Tak, mówię poważnie - odparł beznamiętnie Bennett. - Lecimy tam.

- Ale, sir - powiedział porucznik Jurgensen - przecież generał Keita mówił, że SL jest kryta przez baterie przeciwlotnicze.

- Jest. - Głos Bennetta teraz zrobił się ponury; oficer popatrzył młodemu porucznikowi w oczy. - Właściwie powiedzieli, że są tam okopane osiemnastki ze wsparciem hiperszybkich rakiet. A wykorzystanie „Ktezyfona” do położenia ognia zaporowego już zostało wykluczone.

Wszyscy oficerowie popatrzyli na niego ze zgrozą, a major blade się uśmiechnął.

- Według sir Arthura Keity niedobitki kompanii Kadry załatwią baterie, zanim wejdziemy w atmosferę. Potem odbiją kompleks z rąk terrorystów i obronią przed kontratakami, dopóki nie wylądujemy.

Przez kilka chwil w przedziale panowała zupełna cisza, potem Lewinsky odchrząknął.

- Panie majorze, dobrze znam Kadrę. I Bóg jeden wie, że z różnych okrucich wiadomości, które do nas docierały, wynika, że ci ludzie nieźle tam zaszaleli, zwłaszcza po tym, jak trafili na gorącą SL. Ale ilu ich mogło pozostać przy życiu?

- Według sir Arthura trzydziestu trzech - odparł cicho Bennett.

- Trzydziestu trzech? - mruknął ktoś. - Mój Boże, sir, oni... polecili tam całą kompanią!

- Z której nie został ani jeden oficer.

- I chcą zniszczyć okopane działa plazmowe i wyrzutnie rakiet, a potem zająć i utrzymać kompleks, dopóki nie wylądujemy? - spytał ostrożnie kapitan Sigmund Boniface, dowódca kompanii Bravo.

- Tak mówią, Sigmy - odparł major. - Nie wiem, czy naprawdę wierzą, że im się uda, ale na sto procent chcą spróbować. A skoro mają jaja, żeby tak ryzykować po tym, co już przeszli, to my im pomożemy. Czy to absolutnie jasne?

Rozejrzał się po przedziale niemal ze złością, a zebrani tu razem z nim mężczyźni i kobiety odwzajemnili spokojnie jego spojrzenie. Tradycyjna rywalizacja między marines i Kadrą - niechęć Os spowodowana rozgłosem, jakim cieszyła się Kadra, jej wyższym budżetem i podbieraniem przez Kadrę najlepszych ludzi - wszystko to teraz się nie liczyło. Nie teraz, nie w tym przedziale. Ci ludzie rozumieli, czego dokonała już kompania Charlie... i co jej zdziesiątkowane i zmaltretowane resztki jeszcze chcą zrobić.

- Oczywiście, że jasne, sir - powiedział Boniface jako najstarszy obecny dowódca kompanii. - Po prostu nie wierzę, że nawet Kadra może to zrobić.

- Według sir Arthura ta sierżant DeVries wierzy - odparł Bennett. - A to ona jest tam na dole, nie my.

- Przepraszam, sir - wtrąciła się dowódca kompanii Delta. - Powiedział pan „DeVries”? Alicia DeVries?

- Sir Arthur nie mówił, jak ma na imię - odparł Bennett, patrząc ostro na młodą kapitan z odznaką rozpoznania na ramieniu zbroi. - Ale nazwisko na pewno brzmiało DeVries. Sierżant pierwszej klasy DeVries. Czemu pani pyta?

- Bo chyba mówi pan o Alicji DeVries. A jeśli tak, to wnuczka Sebastiana O'Shaughnessy'ego.

- Sierżanta majora O'Shaughnessy'ego? - powtórzył ostro Bennett, a oficer pokiwała głową.

- Tak, sir. I w jej przypadku krew zdecydowanie jest gęstsza niż woda.

- Zna pani tę sierżant? To znaczy osobiście?

- O tak, sir - powiedziała cicho kapitan Kuramochi Chiyeko. - Można chyba tak powiedzieć. A jeśli Alley DeVries mówi, że jej ludzie mogą to zrobić, to na pewno tak będzie.

- Rozumiem. - Bennett rozejrzał się po raz ostatni po przedziale i jego usta wykrzywiły się w przelotnym uśmiechu. - Wszystko już wiecie, ludzie. Postępujemy według pierwotnego planu desantu na Zieloną Przystań. Ładować ludzi. Promy mają być gotowe do startu za piętnaście minut.

* * *

- Winchester-Jeden, tu Bagażowy.

- Bagażowy, tu Winchester-Jeden. Niech pan mówi, Wujku Arthurze.

- „Ktezyfon” wystrzelił promy - powiedział Keita. - W tej chwili trzymają się blisko statku, więc jest nadzieja, że bydlaki z „Wędrowca” nie zauważą, że się rozdzielili. Od chwili, kiedy dasz sygnał do zrzutu, będą potrzebowali dwudziestu pięciu - powtarzam, dwa-pięć - minut, żeby dolecieć do SL. Tyle czasu będziecie musieli się utrzymać.

- Zrozumiałam, Bagażowy - odparła spokojnie Alicja.

Wysoko, wysoko nad nią, w centrum wywiadowczym „Marguerite Johnsen”, sir Arthur Keita zwalczył pokusę pytania jej jeszcze raz, czy jest pewna, że chce to zrobić.

- W takim razie, Winchester-Jeden - powiedział zamiast tego - ty serwujesz.

- Zrozumiałam - powtórzyła. - Zaczniemy atak za pięć minut od... teraz.

Cyfrowy wyświetlacz czasu w rogu mentalnego HUD-a Keity zaczął odliczać w dół, a generał zacisnął zęby.

- Dobrych łowów - udało mu się powiedzieć niemal normalnie. - Bagażowy, bez odbioru.

* * *

Alicia po raz ostatni popatrzyła na HUD.

Obaseki Osayaba, Alec Howard i Serena DuPuy mieli ocalałe karabiny plazmowe kompanii. Każde z nich straciło podczas koszmarnej podróży do tego miejsca swojego skrzydłowego; Alicia połączyła ich w pary z Astrid Nordbo, Jacksonem Kellerem i Ingrid Czernienko. Astrid, Jackson i Ingrid wzięli tylko trzy z czterech pozostałych kaliope i całą amunicję, a czwartą kaliope porzucili, gdyż wielkokalibrowa, szybkostrzelna broń byłaby mało przydatna podczas szturm na budynek pełen nieuzbrojonych cywilów.

- Wszystkie jednostki, tu Winchester-Jeden - powiedziała. - Sekcje plazmy, pamiętajcie, że ostrzeliwujecie baterie i przydzielone drugorzędne cele, a potem się wynosicie. Reszta z nas atakuje, kiedy tylko Obaseki i Serena wyeliminują środkowe pozycje na naszym zboczu.

Tak naprawdę nie było potrzeby im tego powtarzać, ale mimo wszystko to zrobiła. Nie dlatego, że im nie ufała i bała się, że mogą coś zrobić źle - ale nie mogła powiedzieć im tego, co naprawdę chciała. Nie mogła im powiedzieć, ile dla niej znaczą, zwłaszcza teraz, kiedy byli jedyną rodziną Kadry, jaka jej została. Kiedy to ona podjęła za nich decyzję, że rzuca się prosto w paszczę lwa.

Kiedy tak wielu z nich miało umrzeć.

Nie, nie mogła im tego powiedzieć... ale oni i tak to usłyszeli. Wiedziała, że tak było, i to wystarczyło.

- Wchodzimy za trzy minuty - powiedziała cicho. - Z Bogiem.

* * *

Dowódca sekcji Shau-Pang Shwang z Armii Wyzwolenia Sojuszu Wolności nigdy nie znosił zbroi bojowych, mimo tego wszystkiego, co mogły mu zaoferować, bo nie był w stanie zwalczyć w sobie klaustrofobii, która dręczyła go od dzieciństwa. To był główny powód, dla którego wolał zostawiać otwartą zasłonę hełmu, kiedy tylko mógł. Odetchnął głęboko chłodnym nocnym powietrzem Zielonej Przystani.

Jak większość „regularnych” żołnierzy FALA przydzielonych do tej operacji, Shwang był byłym wojskowym. W przeciwieństwie jednak do innych, służył w imperialnych marines. Dawny Shwang, który został na ochotnika Osą, nigdy nie przypuszczałby, że długi i skomplikowany ciąg wydarzeń doprowadzi go do obecnej sytuacji. Jako świetnie wyszkolonego żołnierza przydzielono go właśnie do tej operacji - FALA nie miała zbyt wielu ludzi, którzy przez blisko pięć standardowych lat obsługiwali i serwisowali działo plazmowe M18.

W głębi ducha Shau-Pang Shwang był wdzięczny za to, że jego doświadczenie pozwoliło

mu trafić tutaj, a nie do piechoty w górach. Nienawidził Kadry tak samo jak każdy członek Sojuszu Wolności i był wściekle zadowolony ze strat, jakie szturmowcy cesarza ponieśli tej nocy. Ale jednocześnie był człowiekiem praktycznym i w zupełności wystarczyło mu, jeśli ktoś inny zajmował się zabijaniem.

Zwłaszcza kiedy ci dranie tak dobrze sobie z nami radzą, pomyślał z krzywym uśmiechem.

Z drugiej strony towarzysz Omikron - nawet wśród najbardziej zaufanych podwładnych członkowie Rady Przywódczej byli znani tylko pod pseudonimami - w końcu zaczął zdradzać Impom, o co naprawdę Sojuszowi chodzi. Shwang wątpił, by nawet Omikron był tak pewny, że uda im się z tego wywinąć, jak niezmiennie twierdził. On osobiście sądził, że jest nie więcej niż czterdzieści procent szans, że Imperium się wycofa.

Każdy mężczyzna i każda kobieta przydzieleni do tej operacji rozumieli, że z chwilą, kiedy podnieśli broń na potęgę Imperium Ziemi, szanse ich osobistego przeżycia stały się niewielkie. Ale gdyby ich prawdziwy cel udało się osiągnąć choć w połowie, to i tak byłoby warto.

Nie żebym nie wolał ująć z życiem, przyznał się Shwang przed samym sobą. W końcu zawsze przyjemniej jest żyć, żeby cieszyć się sukcesem.

Uśmiechnął się jeszcze raz i odwrócił, by spojrzeć na środkowy budynek, w którym przetrzymywano zakładników.

Dlatego właśnie patrzył w niewłaściwą stronę, kiedy pierwszy ładunek plazmy eksplodował dokładnie w dziale numer trzy, powodując wyparowanie całej załogi centralnego ośrodka przetwarzania danych baterii i samego Shau-Pang Shwanga, który umarł, nawet o tym nie wiedząc.

* * *

Alicia zobaczyła, jak ładunek plazmy Obasekiego Osayaby niszczy środkowe działo najbardziej wysuniętej na północ baterii. Wtórne wybuchy i podmuch prawdopodobnie załatwiłyby też pozostałe, ale Osayaba wolał nie ryzykować. Strzelił jeszcze raz, i znów, tak szybko, jak tylko lasery komory ogniowej jego karabinu mogły wzbudzić fuzję w wodorowych granulach. Ładunki plazmy przecinały mrok, anihilując działa M18 i zestawione z nimi wyrzutnie rakiet.

Zaskoczenie było totalne. Tak jak Alicia powiedziała Keitcie, gdyby piechota FALA choć przez chwilę podejrzewała, że niedobitki kompanii Charlie są gdzieś w pobliżu Zielonej Przystani, starałaby się coś z tym zrobić. I zgodnie z przewidywaniami, szok spowodowany

nagłym, całkowicie niespodziewanym atakiem był przyczyną chwilowego paraliżu przeciwnika.

Osayaba skończył eliminować przydzieloną mu baterię i zmienił cel. Ładunki plazmy zawyły, rozdzierając noc i uderzając w perymetr obronny FALA na północnym wzgórzu. Strzelał najszybciej jak mógł... i bardzo celnie. Ostrzał powodował, że korpusy opancerzonych piechociarzy wyparowywały, głowy znikaly, a w środku ich linii tworzyła się wyrwa.

- Naprzód! - krzyknęła Alicia i dwudziestu siedmiu żołnierzy Kadry wypadło ze spowitej nocą puszczy długimi skokami zbroi bojowych pracujących na najwyższych możliwych obrotach.

Przez sekundę czy dwie nikt ich w ogóle nie zauważył. Potem na ich spotkanie wystrzeliły pierwsze ładunki plazmy i serie z kaliope, ale nie było ich zbyt wiele, i Alicii ścisnęło się serce, kiedy dostrzegła dłaczego.

* * *

- Na drugiej! - wrzasnęła Astrid Nordbo.

- Widzę - odparł Obaseki Osayaba. I faktycznie widział, tyle że w tej chwili niewiele mógł zrobić.

Przesuwał miarowo ogień, ostrzeliwując linię piechoty okopanej przed Alicią i jej szarżującymi żołnierzami. Według jej instrukcji powinien był wycofać się do lasu, ale i on, i Astrid wiedzieli, że mimo rozkazów tego nie zrobią. Byli jedyną sekcją ogniową, która mogła osłaniać szaleńczą szarżę Alicii.

Ogień wroga wył, skwierczał i gwizdał dookoła pozycji Osayaby. On i Astrid leżeli na brzuchu za niskimi ziemnymi kopcami, które usypali dla osłony, a wokół nich wisiała wściekle gorąca mgła odparowanej ziemi. Ktoś tam na dole używał sensorów zbroi, by wysledzić, skąd Osayaba strzela, ale na szczęście nie był w tym taki dobry jak ci dranie, którzy urządzili zasadzkę w SL.

Nawet bez zbroi Osayaba nie byłby w stanie wychwycić żadnego pojedynczego dźwięku z wściekłego jazgotu dookoła, ale wiedział, że Astrid ostrzeliwuje się ze swojej kaliope. Zostało jej niewiele więcej niż pięćset pocisków i zużywała je krótkimi, precyzyjnymi seriami, kiedy piechota FALA, nie mając dobrego pola ostrzału, zaatakowała ich z dwóch stron.

Osayaba widział wrogich żołnierzy, wiedział, że pędzą przez noc niemal tak samo szybko, jak Alicia i jej ludzie na zboczu, nawet jeśli z powodu tik-taka zdawali się wolno

dryfować. I wiedział, że Astrid ich wszystkich nie zatrzyma. Po prostu nie miała dość amunicji, a on też nie. A skoro nie mógł ich zatrzymać, postanowił dalej odstrzeliwać terrorystów w zbrojach bojowych u podstawy wzgórza, którzy usiłowali powstrzymać szarżę Alicii.

Wystrzelił jeszcze raz i cyfrowy licznik ładunków w rogu jego HUD-a pokazał zero.

- Jestem pusty - powiedział do Astrid głosem, który zabrzmiał w jego własnych uszach niewiarygodnie spokojnie.

- Ja... też - odparła, wystrzelivując ostatnią serię z kaliope.

- W takim razie chyba pora. - Poleciał zbroi przez synth-złącze odrzucić bezużyteczny karabin. Broń odpadła, a Osayaba wstał zza swojej zaimprovizowanej osłony, wyciągając prawą ręką nóż siłowy i uruchamiając go, a lewą dobywając CHK. Pistolet nie był w stanie przebić zbroi bojowej w żadnym miejscu oprócz zasłony, a i do tego potrzeba było szczęścia, ale Obaseki uznał, że na trochę szczęścia zasłużył.

„Zobaczył” przez swoje sensory, jak Astrid odrzuca kaliope, wyciąga boczną broń i nóż. Nie była Shai Hau-zhi, skrzydłem Osayaby od ponad dwóch standardowych lat, ale z drugiej strony on też nie był Flannanem O’Clerym, roześmianym Irlandczykiem, który jeszcze dłużej był skrzydłem Astrid. Ale to nie miało znaczenia. Nie tej nocy.

- Skopmy parę tyłków - powiedział i razem rzucili się na szarżujących terrorystów.

* * *

Kapral Alec Howard zobaczył to samo na własnym HUD-zie i zaklął. Ale nie mógł nic zrobić, więc tylko zacisnął zęby.

Południowa bateria przeciwlotnicza, która była jego przydzielonym celem, zmieniła się w płonąca ruinę. Niszcząc ją, Howard zabił trzydziestu czy czterdziestu terrorystów FALA, ale jednocześnie zużył swoje granule. Jackson Keller, jego skrzydło, miał dokładnie osiemnaście pocisków do kaliope. Zrobili wszystko, co mogli, i Howard o tym wiedział, a mimo to jego instynkt podpowiadał mu, by coś jeszcze zrobił. Coś więcej.

Tyle że nie było czym, a fala pomarańczowych ikon jak piana przyboju posuwała się w górę zbocza w stronę jego pozycji.

- Zbieramy się, Jackson - warknął. Może uda mu się przynajmniej zwabić kilku drani, aby ruszyli za nim w pościg, i odciągnąć ich od Alley. Dwaj komandosi oddalili się susami w las, a za nimi ryczało crescendo bitwy.

* * *

- Zbieramy się, Serena! - powiedziała Ingrid Czernienko, wypuszczając kolejną krótką serię z kaliope.

- Potwierdzam! - odparła Serena DuPuy, każąc zbroi odrzucić broń po wystrzeleniu ostatniego pocisku. Tak samo jak Osayaba i Howard, zmieniła swój przydzielony cel w pochodnię, ale ktoś po jej stronie perymetru najwyraźniej był lepszy w obsłudze sensorów zbroi niż ci, którzy usiłowali namierzyć Osayabę. Trzy ładunki plazmy wywaliły dymiące, zeszkłone kratery niecałych pięć metrów od jej pozycji, a więc zdecydowanie należało się zbierać.

Wyskoczyła zza osłony w stronę lasu... i pocisk z wrogiej kaliope trafił ją w tył prawego uda.

To było bezpośrednie trafienie, którego nie mogła zatrzymać nawet zbroja Kadry, i jego siła rzuciła Serenę na ziemię. Wbudowany w zbroję opatrunek uciskowy zacisnął się na zmiażdżonym udzie, kiedy tętnica udowa zaczęła bryzgać krwią, a całym ciałem szarpnął spazm bólu. Farmakopea uwolniła środki przeciwbólowe i dawkę adrenaliny, by pokonać szok, ale nic nie mogło stłumić tej jednej chwili przeszywającego cierpienia.

- Trzymaj się, Serena! - krzyknęła Czernienko.

- Nie! - wrzasnęła DuPuy. Zmusiła się, by usiąść, i z pistoletem w obu pancernych pięściach przywitała pierwszego opancerzonego terrorystę, który pokonał ostatnich kilka metrów zbocza, kierując na nią swój karabin szturmowy.

- Wynos się stąd! - warknęła do Czernienko i wystrzeliła. Pocisk trafił terrorystę w zasłonę, ale pod kątem, i nieszkodliwie zrykoszetował. Wystrzeliła znów, i znów, ale żołnierz FALA tylko wzdrygał się przy każdym strzale i wciąż się zbliżał - aż seria z kaliope zmieniła go w opancerzoną padlinę u samych jej stóp.

- Chodź! - warknęła Czernienko, odrzucając pustą kaliope.

- Kazałam ci się wynosić!

- Stul, kurwa, dziób i dawaj rękę! - prychnęła wściekle Czernienko i nachyliła się nad skrzydłową. Egzoszkieletowe mięśnie jej zbroi zawyły, kiedy zarzuciła sobie DuPuy na plecy i ruszyła w stronę lasu.

Zdążyła zrobić tylko jeden skok, kiedy ładunek plazmy trafił DuPuy prosto w plecy i w jednej chwili zabił je obie.

* * *

Alicia zobaczyła, że kolejne dwie zielone ikonki robią się czerwone, kiedy razem z resztą swoich ludzi przebiegała po dymiących zgliszczach, które były perymetrem FALA, zanim

Obaseki Osayaba nie zmienił ich w rzeźnię.

Tu i ówdzie przeżył pojedynczy żołnierz czy dwóch. Byli w szoku po całkowicie niespodziewanej masakrze, ale garstka jeszcze się ostrzeliwała. Karabin Alicii namierzył jednego z nich i wystrzeliła w pół skoku. Podkalibrowe penetratory rozerwały napierśnik zbroi i terrorysta padł. Serwomechanizmy karabinu zadziały z prędkością zmił; Alicja strzeliła jeszcze raz, i jeszcze. Z każdą serią padał kolejny żołnierz; obok widziała innych, powalanych przez kogoś innego.

Ale nie tylko oni ginęli.

Osayaba osłabił umocnienia atakowane przez Alicję, ale oba końce okopów były nietknięte i natarcie napotkało ogień z dwóch flank. Kapral Ramji dostał w pół skoku. Ładunek plazmy rozerwał jego zbroję i ikonka mężczyzny natychmiast zrobiła się krwistoczerwona. Kapral Teng Run-yin zginął ułamek chwili później, a kapral Ulujuk padł z migoczącymi oznakami życia, kiedy penetrator z wielkokalibrowej kaliope rozorał mu brzuch.

A potem nagle byli już po drugiej stronie okopów i pędzili w górę zbocza, do budynków, do których zmierzali tak długą drogą i za które zapłacili tak wysoką cenę.

Natarcie rozpoczęło dwudziestu siedmiu żołnierzy Kadry. Siedemnastu dobiegło na szczyt wzgórza, zostawiając za sobą zbocze zasłane dymiącymi trupami wrogów.

Alicja dobyła noża siłowego, kiedy wyrosła przed nią zewnętrzna ściana ich celu, i biorąc szeroki zamach, cięła twarde kompozytowy „plastik” jak cienki jedwab. Ułamek chwili później uderzyła w pędzie w otwór, powiększając go i wpadając do budynku w deszczu odłamków.

Nawet nie zwolniła. Inne opancerzone postacie przebiły się przez tę samą ścianę pół oddechu później. I tak samo jak ona, dobrze wiedziały, gdzie odnaleźć terrorystów. Wszyscy byli podłączeni do czujki spoczywającej na belce w górze, a błyskawiczne rozkazy Alicji pomknęły przez synth-złącze, wyznaczając cele ataku.

Ona sama odpaliła własny system skokowy i ruszyła z pełną mocą jak rakieta nad głowami wrzeszczących z przerażenia terrorystów. Spadła na galeryjkę zaledwie trzy metry od jednej z kaliope; obsługująca ją nieopancerzona terrorystka zawyla ze zgrozy, gdy galeria zadygotała pod jej stopami. Próbowwała obrócić broń w jej stronę, ale Alicja była za blisko. Nie zwracała sobie głowy karabinem ani pistoletem. Po prostu machnęła wciąż trzymanym w ręce ostrzem, trafiając kobietę tuż pod pachą i przepoławiając jej ciało w gejzerze krwi.

Terrorystka padła, a Alicja błyskawicznie rzuciła się w kierunku kaliope, aby broń nie runęła przez poręcz w dół.

Seria ciężkich penetratorów wywaliła ciąg dziur w ścianie nad nią, kiedy ostrzelał ją inny terrorysta. Ale seria poszła za wysoko, a zanim tamten zdołał strzelić po raz drugi, karabin Tannis Cateau wpakował mu z zabójczą precyzją dwie kule w mózg.

Alicia przytrzymała kaliope i odwróciła ją w stronę podłogi, ale zajęło jej to o ułamek sekundy za długo.

* * *

Kapral Brian Oselli przebił zewnętrzną ścianę budynku pół metra za Alicią. Żołnierz pierwszej drużyny wystrzelał podczas natarcia całą amunicję do karabinu, więc teraz trzymał w prawej dłoni CHK, a w lewej nóż siłowy.

Zamajaczył przed nim terrorysta w pasywnej zbroi i z M-97 w rękach. Gorączkowo próbował wycelować, ale Oselli wpakował mu w pierś trzy kule z pistoletu i przeskakując trupa, popędził do działka plazmowego osłaniającego bramy dla pojazdów.

Załoga działka była tak samo jak wszyscy inni zaskoczona nagłym, niespodziewanym atakiem Kadry. Jeden z nich spanikował, rzucając się do ucieczki na widok szarży Oselliego. Dwaj pozostali jednak nie - obrócili szybko działko, celując w nacierającego z rykiem gniewu komandosa. Gdyby broń wystrzeliła, zginąłby... razem z dziesiątkami, jeśli nie setkami zakładników za nim.

Biegając, Oselli zaczął strzelać. Penetratory z jego pistoletu trafiły strzelca, rykoszetując z gwizdem i wyciem od jego napierśnika. Terrorysta zachwiał się, ale jedynie przez chwilę, i Oselli poczuł jego nienawiść, kiedy mężczyzna sięgnął do rękojeści spustowych działka.

Widząc, że ręce terrorysty zaciskają się na uchwytach, kapral Kadry wziął zamach i jego prawa ręka wystrzeliła do przodu z nożem siłowym, a on sam rzucił się wprost na lufę działka.

Strzelec nacisnął spust. Ładunek plazmy trafił Oselliego, ale jego nóż siłowy zdążył jeszcze bez żadnego wysiłku odciąć terroryście głowę.

A Oselli po prostu zniknął. Tylko jego lewa noga poleciała dalej, odbijając się od cerambetonowej podłogi. Kapral był tak blisko, że wziął na siebie całą siłę eksplozji. Wraz z nim zginęło tylko siedemnastu zakładników. Kolejnych sześciu zostało ciężko rannych. A przecież ten strzał mógł zabić połowę nieopancerzonych ludzi w hali.

* * *

Alicia widziała śmierć Oselliego. Fala uderzeniowa eksplozji plazmy odrzuciła pomocnika strzelca w tył, a wtedy ona wycelowała w niego zdobytą kaliope. Z bezlitosnym,

zimnym jak zielony lód wzrokiem zmiotła terrorystę jedną serią penetratorów. Potem znów obróciła lufę i nacisnęła spust, kładąc trupem kilkunastu żołnierzy FALA, którzy wypadli z korytarza jednego z bloków biurowych.

Tymczasem Erik Andersson zdobył drugą kaliope i również otworzył ogień, dziesiątkując przerażonych terrorystów, którzy jeszcze dziesięć sekund temu byli pewni, że panują nad sytuacją.

A potem strzelanina nagle ucichła i okazało się, że w całej monstualnej hali nie ma ani jednego żywego terrorysty.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

- Co się stało, do kurwy nędzy? - wyjąkał grupowy Rivera, gapiąc się z niedowierzaniem na potrzaskane, płonące szczątki baterii przeciwlotniczych.

- A skąd ja mam wiedzieć, do cholery! - odwarknął grupowy Abruzzi. - To musiała być jebana Kadra, tyle wiem!

Rivera zdławił wściekłą chęć wydłubania Lloyda Abruzziego z jego zbroi i uduszenia go gołymi rękami, choć drugi grupowy nie był niczemu winien.

Właściwie nie ma czasu zastanawiać się, czyja to w ogóle wina, pomyślał ponuro.

- Nie mogę wywołać Omikrona - mruknął Abruzzi. - Ani „Wędrowca”.

- Musieli zniszczyć centrum łączności.

- W takim razie nie wiemy, czy Osy nie lecą tutaj.

W głosie Abruzziego było coś, co Riverze się nie podobało. Nie panika, ale coś innego. Coś...

Odepchnął także tę myśl i pokręcił głową.

- Już niedługo tu przylecą - powiedział. - Musimy zakładać, że ci ludzie... - wskazał machnięciem pancерnej ręki olbrzymi budynek nad nimi, nieświadom faktu, że Abruzzi nie może go widzieć ze swojej pozycji po drugiej stronie wzgórza - powiedzieli Keitcie, kiedy zamierzają zaatakować. Skoro o tym mowa, pewnie właśnie się z nim komunikują.

- Cholera - mruknął Abruzzi.

Rivera nie mógł zaprzeczyć. Odwrócił się i jeszcze raz ogarnął spojrzeniem gorejącą ubojnię, która została po przejściu natarcia Kadry. Potem zacisnął zęby.

- Nie mamy czasu stać tutaj i o tym dyskutować, Lloyd - powiedział ostro. - Moja grupa jest w lepszym stanie niż twoja. Poprowadzę szturm.

- Szturm? - wyjąkał Abruzzi. - Jaki szturm?

Jaime Rivera zamrugnął ze zdumienia.

- Mamy jakieś trzydzieści minut, zanim Osy spadną nam na głowę - powiedział bezbarwnym tonem. - Przez ten czas musimy odbić zakładników, żeby mieć jakąś kartę przetargową.

- Pieprzyć karty przetargowe! - warknął Abruzzi. - Mówiliśmy, że rozwalimy ich zakładników, jeśli zaatakują. No to, cholera, właśnie zaatakowali!

- Cholera jasna, nie kombinuj mi tutaj! - wściekł się Rivera. - Nie może ich tam być więcej niż tuzin, a ja mam pięćdziesięciu ludzi. Możemy odbić halę, a jeśli to zrobimy, przynajmniej będziemy mieli szansę wydostać resztę ludzi z planety! Jeśli Keita nie będzie chciał z nami rozmawiać, jeszcze zdążymy ich pozabijać.

- Ja mówię... - zaczął Abruzzi.

- Mam gdzieś to, co mówisz! - przerwał mu z wściekłością Rivera. - Jestem starszy stopniem i robimy po mojemu. Mamy przewagę czterech do jednego, a w przeciwieństwie do nas, oni będą próbowali nie zabijać zakładników. Nas nie obchodzi, jeśli paru się potłucze, i to nam daje jeszcze większą przewagę.

- Mieliliśmy już „większą przewagę” nad tymi draniami przez całą zasraną noc - wytknął ze złością Abruzzi. - Skąd wiesz, że znów cię nie wydymają, jeśli tam za nimi wejdiesz?

- No to wtedy ty zostaniesz dowódcą i będziesz mógł zrobić to, co ci się żywnie podoba. Wciąż masz większość karabinów plazmowych swoich ludzi, więc myślisz, że nie dasz rady rozwalić tego całego budynku i zabić wszystkich w środku, gdybyś chciał?

Abruzzi przez chwilę milczał. Rivera ze złością machnął głową w hełmie.

- Słuchaj. Biorę swoich ludzi i atakujemy. Tracimy czas na rozmowy, a nie mamy go za wiele, zanim Osy tu doleczą. Ci ludzie musieli im powiedzieć, że baterie są zniszczone i że mają zakładników. Marines zaczną zrzut, kiedy tylko dostaną potwierdzenie, więc zamknij się, do cholery, i nie przeszkadzaj!

- Dobra - mruknął Abruzzi, ostentacyjnie niezadowolony. - Proszę bardzo. Ale ostrzegam, że rozwalamy budynek, kiedy tylko zobaczę tu choć jedną Osę, i jeśli wy będziecie w środku...

- Dobrze - przerwał mu krótko Rivera i zaczął wydawać rozkazy.

* * *

- Popatrz, sierżancie! - powiedziała Tannis i Alicia zerknęła na swój mentalny HUD, na który jej skrzydłowa wrzuciła schemat budynku.

- Co to jest? - spytała po chwili, a Tannis zaśmiała się.

- To piwnica, sierżancie! Wielka, piękna, głęboka piwnica, tuż pod nami! Możemy tam zmieścić ze trzysta czy czterysta osób, jeśli porządnie ich upakujemy!

- Świetnie! - powiedziała Alicia z równie szczerym zadowoleniem. - Ty ją znalazłaś, to teraz ich tam upchnij. Zasuważ.

- Rany, wielkie dzięki - odparła Tannis, a chwilę później zewnętrzne mikrofony Alicii przekazały jej wzmożony przez zbroję głos Cateau wykrzykującej polecenia.

Alicia zostawiła to swojej skrzydłowej. Jeśli ktoś potrafi zmusić do pośpiechu gromadę przerażonych, wycieńczonych zakładników, to właśnie Tannis. Ona tymczasem miała inne zmartwienia na głowie. Jej uśmiech zniknął, kiedy usunęła z HUD-a plan budynku i z powrotem włączyła konfigurację taktyczną.

Zostało tylko jednaście zielonych ikon, w tym ona i Tannis. Za mało, żeby obronić tak wielki budynek przed atakiem tylu napastników w zbrojach bojowych, którzy wciąż czekali na zboczach wzgórza. Gdyby jednak Tannis udało się sprowadzić większą część zakładników do piwnicy, którą znalazła, byłoby to ogromnym ułatwieniem. Być może nie dość wielkim, ale jednak ułatwieniem.

- Erik - powiedziała, nie zwracając już sobie głowy kryptonimami.

- Tak, sierżancie.

- Dowodzisz kaliopie. Twoją i Samantha chcę mieć na zachodniej ścianie. Dwie pozostałe ustaw tam, gdzie uważasz.

- Robi się - potwierdził lakonicznie Andersson, a Alicia spojrzała na Thomasa Kiely'ego badającego działko plazmowe wyeliminowane przez Osellięgo.

- Możesz je postawić, Tom?

- Chyba tak, ale to nie będzie przyjemne. Brian był tak blisko, że fala wybuchu rozpieprzyła generatory kielicha.

Alicia skrzywiła się. Działko było o wiele potężniejszą bronią niż karabiny plazmowe, które normalnie miała Kadra - na tyle potężną, że przy każdym strzale fala ciepła była sporym zagrożeniem nawet dla własnych żołnierzy. Dlatego tak jak każda tego typu broń, działko emitowało w promieniu kilkunastu metrów puste stożkowate pole siłowe - tak zwany „kielich”. Pole chroniło wszystko bezpośrednio po bokach działka i za nim - i właśnie na to liczył Oselli, kiedy poświęcił się, by uratować zakładników. Zewnętrzne pole ładunku plazmy pękło w chwili uderzenia w jego zbroję, uwalniając energię w straszliwej eksplozji. Ale wybuchło tak blisko działka, że kielich przechwycił niemal całą jej siłę. Podmuch przewrócił pomocnika kanoniera, a to, co wydostało się z za ciała Osellięgo, zabiło wszystkich zakładników w promieniu dwudziestu metrów i poparzyło oddalonych o kolejnych dziesięć metrów. Ale gdyby komandos tego nie zrobił, zginęłaby przynajmniej połowa zakładników.

- Jest bardzo źle? - spytała.

- Nie powiem bez pełnej diagnostyki, a na to nie mamy czasu - odparł Kiely. - Ale obawiam się, że kiedy uruchomimy kielich, on zdestabilizuje pole sterownika i diabli wezmą wszelką celność.

- A jeśli nie uruchomimy kielicha, podpali wszystko w promieniu dwudziestu pięciu

metrów.

- No to co? - Niemal zobaczyła wilczy uśmiech Kiely'ego. - I tak trochę nas mało, sierzancie. Chyba nie mam nic przeciwko osłonięciu naszych flank największym miotaczem płomieni, jaki mogę znaleźć.

- Coś w tym jest - zgodziła się i nawet zaśmiała przez kom, kiedy Kiely wyciągnął nóż siłowy i szybkim ruchem odciął z lufy działka uszkodzony generator.

- Skoro to był mój pomysł, ja się nim zajmę - powiedział, a Alicia kiwnęła głową.

- Dobrze. Ta ściana. - Pokazała ścianę na wprost nich. - Najpewniej tędy wejdą.

- Wiedząc, że sami ustawili tutaj to coś?

- Ci na zewnątrz nie muszą o tym wiedzieć. Albo mogą uznać, że całkowicie zniszczyliśmy działko - i Bóg mi świadkiem, że Brian prawie to zrobił. Tak czy inaczej, czujka, którą zostawiłam na zewnątrz, mówi, że już się tam zbierają.

- Durnie - mruknął Kiely.

- Nie narzekaj. - Alicia wzruszyła ramionami. - Właściwie mogą nie mieć większego wyboru. Tam była okopana największa grupa ich ludzi, a nie mają czasu na kombinowanie i przegrupowanie. W każdym razie nie chcę, żeby cię widzieli i mogli namierzyć, więc wycofaj się jeszcze trzydzieści metrów. Pierwszym strzałem bez kielicha obejmiesz cały środkowy odcinek ściany, więc nie martwię się o twoje pole ostrzału. Jasne?

- Trzydzieści metrów to dużo, sierzancie. Co z zakładnikami?

- Popatrz. - Kiely odwrócił się i usłyszała w komie jego cichy gwizd.

Zakładnicy schodzili tłumnie szerokimi schodami, które Tannis odkryła, i wyglądało na to, że przynajmniej stu z nich jest już w piwnicy. Okazało się, że nie jest tak głęboka, by ochronić ich przed bezpośrednim trafieniem nowoczesną bronią, ale przynajmniej nie będą narażeni na zabłąkane pociski i wejście na linię ognia.

- Czółko, sierzancie.

To Tannis nagle pojawiła się obok Alicii.

- Jakim cudem tak szybko ich zorganizowałaś?

- Zapędziłam do tego załogę „Gwiezdnego Wędrowca”. Wygląda na to, że miałam rację - przynajmniej wciąż jest tam jako taki porządek.

- Dobra robota. - Alicia położyła dłoń na pancernym ramieniu swojego skrzydła, a potem wzięła głęboki oddech.

- Ty i ja jesteśmy lotnym wsparciem, Tannis.

- Jasne. - Jeśli Tannis się zmartwiła, to jej głos tego nie zdradzał. - Jak stoisz z amunicją, sierzancie?

- Prawie pusto. Dokładnie trzy pociski.
- Niewiele jak na lotne wsparcie. Ja mam czterdzieści jeden.
- Chwalipięta.

Alicia zaśmiała się. Tannis Cateau była jedyną osobą, która wpędzała Alicię DeVries w kompleksy na strzelnicy. Po prostu nigdy nie chybiała. I nie tylko na strzelnicy. W warunkach bojowych zużywała amunicję dokładniej i oszczędniej.

- Tak myślałam, że pewnie już nic nie masz - powiedziała - więc coś ci przyniosłam.

Alicia wzięła M-97, które Tannis zabrała jednemu z zabitych terrorystów, i sprawdziła magazynek; w tym czasie Kiely podniósł działko plazmowe i przestawił je na nową pozycję. Jej nowa broń była załadowana ciężkimi penetratorami, które na krótkim zasięgu, na jakim będzie się toczyć ta walka, miały sporą szansę przebicia bojowej zbroi marines. M-97 było kiepską namiastką karabinu wbudowanego w zbroję, ale lepsze to niż nic, a na dodatek Tannis zebrała pół tuzina zapasowych magazynków.

- Nie sądziłam, że jeszcze taki zobaczę - powiedziała i wysłała zbroi polecenie odrzucenia karabinu, który dotąd tak dobrze jej służył. Potem przestawiła siłowniki rękawic zbroi - nie byłoby dobrze, gdyby niechcący zmiażdżyła swój nowy karabin - i rozkazała komputerowi znaleźć w systemach interfejs do M-97.

- Żebak nie może... - zaczęła Tannis.
- Idą! - przerwał jej ostro Andersson.

* * *

- Załatwić drani! - krzyknął Jaime Rivera i jego grupa zaszarżowała w górę pochyłości.

Nie było to dobrze przygotowane natarcie. Sytuacja taktyczna była prosta, ale przestawienie ludzi zabrało Riverze więcej czasu, niż zakładał. Był pewien, że Impy nie ośmielą się wypuścić promów szturmowych, dopóki nie będą na pewno wiedziały, że Kadra zneutralizowała baterie i zajęła kompleks budynków, co dawało mu kilka dodatkowych minut. Wiedział, że straci więcej ludzi, atakując szybko i ostro, zamiast należycie to zorganizować, ale to lepsze niż stracić ich wszystkich, jeśli nie odbije zakładników.

Pędził naprzód, pilnując swojego miejsca w środku drugiego szeregu, i niemal czuł ulgę, że cały jego świat skurczył się do imperatywów tej walki.

* * *

- Pozwólcie im podejść bliżej - powiedziała Alicia, skacząc razem z Tannis na pozycję między zakładnikami a newralgiczną ścianą. Załoga „Gwiezdnego Wędrowca” wciąż

zapędzała ludzi do piwnicy, i wyglądało na to, że wstępna ocena pojemności podziemi była zaniżona. Ale w hali wciąż było ponad stu cywilów, kiedy ściana zaczęła się rozpadać pod ostrzałem ładunków plazmy o niskiej energii.

Alicia usłyszała za sobą krzyki, kiedy wybuchowy efekt przekazywania energii przez plazmę - nawet ładunek o niskiej energii uderzał z ogromną siłą - połupał ścianę na drzazgi. Niektóre z nich miały po piętnaście - dwadzieścia centymetrów długości, a siła wybuchów ciskała je daleko w głąb budynku. Trzy trafiły w zbroję Alicii i pękły, ale inne najwyraźniej znalazły nieopancerzone cele; starała się nie myśleć o ranach, jakie mogły zadać ostre jak noże pociski.

Zerknęła na HUD-a. Andersson wziął sobie do serca jej polecenie i poprzestawiał zdobyte kaliope. Przeniósł je z galeryjki na dół i ustawił w kątach pod zachodnią ścianą. Wraz z Samantha Moyano ściągnęli także ciężką broń z trójnogów, których terroryści bez wspomaganych pancerzy potrzebowali, i wycięli nożami siłowymi strzelnice na poziomie podłogi. Andersson leżał teraz w północnym rogu i dzięki „mięśniom” zbroi trzymał kaliope jak zwykły karabin szturmowy, a kapral Ewan MacEntee z drugiej drużyny pierwszego plutonu - trzecie skrzydło Anderssona tej nocy - przykucnął obok, by go osłaniać i uważać na ewentualne ataki z flanki. Moyano, kapral z drugiego plutonu, miała południowy róg razem z kapralem Jamesem Królem z trzeciej drużyny pierwszego plutonu jako skrzydłowym.

Alexandra Filipow miała trzecią kaliope na północnej ścianie, z kapralem Adamem Skogenem jako skrzydłowym, a Digory Beckett czwartą na południowej, razem z Karin de Nijs.

Kiely nie miał skrzydłowego, a Alicia i Tannis były jedyną ocalałą pierwotną parą. Przynajmniej jak dotąd.

Jedenaścioro mężczyzn i kobiet - wyczerpanych, poobijanych i uzbrojonych w zdobytą broń - przeciwko pięćdziesięciu żołnierzom w zbrojach bojowych. Każde z tej jedenastki dobrze wiedziało, jakie ma szanse przeżycia następnych trzech minut, ale to nie miało znaczenia. Tylko oni mogli obronić sześć setek cywilów przed mordercami desperacko pragnącymi ich śmierci. Alicia spojrzała na dziury wybijane w zachodniej ścianie.

- Każda kula się liczy, ludzie - powiedziała tonem niemal swobodnej konwersacji.

* * *

Rivera czuł rozpierającą go pewność wygranej, kiedy jego ludzie pędzili w górę zbocza. Nie padł ani jeden strzał. Ani jeden! Może przecenił tych drani z Kadry. Może kulą się gdzieś w ukryciu, zbyt przerażeni, by się pokazać. A może - co bardziej prawdopodobne - po prostu

nie mają już amunicji. A może wszyscy zginęli podczas ataku. A może...

Erik Andersson otworzył ogień, kiedy pierwsza pancerna postać zbliżyła się na odległość stu metrów. Mechanizm podajnika ciężkiej kaliope zawył, pas amunicji z jednorazowymi łącznikami zniknął w komorze i penetratory z wizgiem pomknęły do celu.

Trzaskały broje, terroryści FALA ginęli z wrzaskiem, ale szarża się nie zatrzymała.

Samantha Moyano odezwała się z drugiego rogu, przesuując lufą z boku na bok i kosząc atakujących. Następne pancerne sylwetki runęły na ziemię, ale druga fala natarcia wyszła, skąd obrońcy strzelają, i odpowiedziała ogniem plazmy.

Cały budynek zadygotał, kiedy dziesiątki ładunków - wystrzeliwanych z pełną mocą - przeorały ścianę, która już zaczęła znikać. Andersson rozciągnął się na cerambetonowej podłodze, nie przestając siać ciągłym ogniem. Ale jeden z ładunków plazmy trafił prosto w strzelnicę, którą Moyano wycięła dla swojej broni, i zabił ją na miejscu.

* * *

- W prawo! - wrzasnął Rivera, kiedy południowa kaliope nagle umilkła. - Skręcać w prawo!

Jego ludzie posłuchali, uciekając jak najdalej od kaliope wciąż koszącej ich szeregi z lewej flanki.

- A teraz na nich!

* * *

Alicia zobaczyła, że ikonka Moyano błyska czerwienią. Chwilę później to samo stało się z Ewanem MacEnteem, kiedy ładunek plazmy wpadł przez dziurę w ścianie i trafił z przerażającą celnością wprost w jego broję.

- Przebijają się, Tom! - krzyknęła.

- Wcale nie.

* * *

Kapral Thomas Kiely ścisnął uchwyty spustowe i potężna fala plazmy objęła środek natarcia terrorystów. Większość zachodniej ściany budynku - a przynajmniej ta część, która nie została jeszcze rozniesiona w drobny mak - zniknęła. Trzech z piętnastu ludzi, którzy przebili się do środka, żyło wystarczająco długo, by wrzasnąć z bólu; pozostali nawet nie zdążyli.

Grupa bojowa Rivery zatrzymała się. Ich szarża powinna była się załamać, ale Kiely nie

miał czasu przeprowadzić diagnostyki broni, dlatego nie wiedział, że pole zabezpieczające komory ogniowej jest uszkodzone.

Wybuch broni natychmiast go zabił i przewrócił Alicię na ziemię.

* * *

Rivera podskoczył, kiedy cały skraj budynku eksplodował wypalając oczy jasnością, zabierając ze sobą jedną trzecią jego ludzi - i wszystkie pozostałe karabiny plazmowe.

Przez krótką chwilę zastanawiał się, jakie jeszcze straszliwe niespodzianki mogła przygotować Kadra, ale potem zrozumiał, co się stało.

- Za mną! - zawył, sadząc długimi susami przez żołnierzy, którzy zwolnili, kiedy ich towarzysze zginęli. - Za mną!

* * *

Alicia zerwała się jednym skokiem na nogi, mimo żalu z jasnym i czystym umysłem. Trzech z jedenastu obrońców już nie żyło, a pomarańczowe ikonki, która zatrzymały się po strzale Kiely'ego, znów ruszyły falą naprzód.

Alicia podniosła M-97 i otworzyła ogień, kiedy pierwszy pancierz FALA wyłonił się z płonących zgliszczy ściany.

* * *

Ogień z karabinu trafił w zbroję Rivery, ale napierśnik wytrzymał. Trzej ludzie bezpośrednio za nim nie mieli tyle szczęścia.

Jego własna broń namierzyła cel.

* * *

Alicia powaliła jednego z napastników, a strzały Tannis - jak zwykle zabójczo celne - zdjęły dwóch następnych idealnymi trafieniami w hełmy. Alicia obróciła broń na następny cel, ale terrorysta zdążył pierwszy wystrzelić. Zbroja Kadry - twardsza i lżejsza niż sprzęt marines - wytrzymała uderzenie penetratorów, ale przynajmniej jeden z pocisków trafił w jej M-97, zmieniając go w ułamku sekundy w potrzaskany, bezużyteczny złom.

Odrzuciła karabin i sięgnęła w dół. W jej lewej dłoni zmateriałizował się CHK, w prawej - nóż siłowy, i usłyszała, jak ktoś obcy wywrzaskuje jej głosem okrzyk bojowy godny Walkirii.

* * *

Jaime Rivera wytrzeszczył oczy - żołnierz Kadry dostał przynajmniej pięć bezpośrednich trafień i nie padł. A potem ten sam żołnierz, który powinien już być martwy, zaszarżował na niego z pistoletem w jednej dłoni i jakimś jarzącym się mieczem w drugiej.

Pistolet podskoczył w górę i Rivera poleciał do tyłu, kiedy pierwszy penetrator trafił go w zasłonę. Nie przebił się, ale niewiarygodna siła trafienia dziesięć centymetrów od jego oczu niemal go ogłuszyła. Tylko na chwilę, na jedno uderzenie serca, ale to wystarczyło.

Zaczynał właśnie odzyskiwać ostrość widzenia, kiedy ostrze siłowe w prawej ręce Alicii DeVries zdekapitowało go w fontannie krwi.

* * *

Kiedy Alicia powaliła terrorystę, który zniszczył jej karabin, bryzgająca na nią krew zachlapała jej zasłonę, ale sensory zbroi wciąż działały i jakimś fragmentem świadomości zobaczyła szarżującą w wyłom ikonę Adama Skogena. Skogen biegł susami, wystrzeliwując w kilka sekund resztki amunicji, a potem padł. James Król przyklęknął na jedno kolano i strzelał miarowo, celnie, trafiając każdą kulą mijających go pancernych terrorystów. Większość z nich nie wiedziała nawet, że tam jest, i powalił przynajmniej pięciu, zanim dwaj kolejni go zauważyli i zaatakowali. Jeden zginął, a potem padł i Król, ciężko ranny, z krytycznymi uszkodzeniami zbroi. Kolejni terroryści przewalili się nad nim falą.

Alicia zabiła następnego napastnika. Potem poderwała pistolet - instynktownie, bez świadomej myśli - i uderzyła lufą w zasłonę kolejnego. Nacisnęła spust i terrorysta poleciał do tyłu, kiedy lekkie penetratory przebiły jedyną część jego zbroi, którą mogły pokonać.

Nagle usłyszała, jak Tannis wykrzykuje ostrzeżenie. Zawirowała, obracając się w kierunku nowego zagrożenia, i zachwiała się, kiedy następna seria penetratorów odbiła się od jej zbroi. Natarło na nią, wciąż strzelając, trzech terrorystów. Osunęła się na kolana i wtedy terroryści podbiegli bliżej, ale nagle obok znalazła się Tannis, grzejąc z karabinu ciągłym ogniem.

Atakujący Alicię padli, ale w tym samym momencie usłyszała na wydzielonym łączu krzyk Tannis. Jej skrzydłowa dostała. Oznaki życiowe migotały szaleńczo na monitorze Alicii, a ona wrzasnęła - z wściekłości i furii, nie z bólu - i zerwała się na równe nogi. Jej ostrze siłowe bez wysiłku wypatroszyło terrorystę, który postrzelił Cateau, a potem Alicia DeVries zaszarżowała.

* * *

Ludzie, którzy poszli za Jaime Riverą do natarcia przez huragan ognia kaliopie, przez

niszczyielską eksplozję plazmy, która zabiła jedną trzecią ich grupy bojowej, zawahali się, kiedy ich dowódca zginął. A wtedy z ognia, dymu i huku stworzonego przez człowieka piekła wypadła na nich samotna postać w brudnej, zakrwawionej, poobijanej i powgniatanej zbroi bojowej. Nie miała nawet karabinu - tylko pistolet w jednej ręce i ostrze siłowe w drugiej. Penetratory trafiały ją raz za razem, ale poruszała się zbyt szybko, by mogły uderzyć pod odpowiednim kątem, i już za chwilę straszliwe ostrze przecięło powietrze.

Poleciała czyjaś głowa, ktoś inny zawył z bólu, kiedy nóż odrąbał mu prawą rękę w łokciu. Następny żołnierz padł z wrzaskiem, ściskając pancernymi rękawicami tryskającą krwią ranę w brzuchu.

Tego było już za wiele. Pięciu ocalałych z pięćdziesięciu dwóch ludzi, którzy ruszyli na wzgórze, zawróciło i uciekło, kiedy przerażająca postać skoczyła na nich. Ale u podnóża zbocza czekała na nich kaliope Erika Anderssona.

* * *

Grupowy Lloyd Abruzzi gapił się z niedowierzaniem, jak pięciu ludzi - tylko pięciu - z grupy bojowej Rivery ucieka.

Nigdy nie uwierzyłby, że garstka zmęczonej piechoty - nawet Kadry - może odeprzeć natarcie Rivery, gdyby nie widział tego na własne oczy. Potem pięciu uciekających padło jeden po drugim, zdjęci morderczo celnymi seriami z kaliope.

Co za bydlaki, pomyślał jadowicie. Jebane dranie!

Cała nienawiść, jaką Lloyd Abruzzi czuł do Imperium Ziemskiego i Imperialnej Kadry, zapłonęła w nim żywym ogniem. Wyszczrzył zęby w paskudnym grymasie.

A więc jednak będzie po mojemu, pomyślał i przełączył się na częstotliwość dowodzenia swojej grupy bojowej.

- Plazma! Zmieść mi tę budę! Chcę...

* * *

Lloyd Abruzzi nie miał czasu uświadomić sobie, że nie tylko Rivera się mylił.

Sir Arthur Keita i major Alexander Bennett nie czekali, aż Kadra potwierdzi zniszczenie baterii wokół celu. Alicia DeVries powiedziała im, że jej ludzie je zneutralizują, więc zaczęli zrzut w chwili, gdy niedobitki kompanii Charlie ruszyły do ataku. Abruzzi myślał, że ma jeszcze co najmniej dziesięć czy piętnaście minut, by zniszczyć płonący budynek na szczycie wzgórza, ale on też nie miał racji.

Wystrzelone z promów precyzyjnie wycelowane hiperszybkie pociski spadły z nocnego

nieba Shallingsport jak słupy światła wyprzedzające huk ich nadejścia, a potem kule białego ognia zmiotły grupę bojową Abruzziego jak pięść rozgniewanego Boga.

Czujka Alicii dostrzegła nadlatujące promy, garstkę ocalałych terrorystów, którzy rozpaczliwie rzucili się w kierunku gór, i trzy promy skręcające za nimi i bezlitośnie grzmiące z ciężkich działek. Alicia widziała to wszystko, ale klęczała obok Tannis, rozpaczliwie dobierając się do panelu medycznego przyjaciółki, podczas gdy oznaki życiowe Cateau na jej oczach gasły.

- DeVries! Sierżant DeVries! - krzyczał ktoś na obwodzie dowodzenia kompanii.

- Medyk! - odkrzyknęła. - Potrzebny mi medyk!

- Tutaj! - usłyszała i nagle wszędzie dookoła zaroilo się od marines w zbrojach bojowych, niemożliwie czystych i schludnych na tle chaosu i zniszczenia, brudu, krwi i trupów.

- Medyk! - wrzasnęła jeszcze raz, kiedy serce Tannis nagle przestało bić. Załomotała obiema rękami w panel medyczny, ale w tym momencie inne dłonie - równie silne jak ona - podniosły ją i odciągnęły od przyjaciółki.

Walczyła jak oszalała, ale było ich zbyt wiele. Trzeba było aż czterech marines, by ją przytrzymać.

- Alley! - krzyknął jakiś głos, kiedy inny marine ukląkł obok Tannis. - Alley!

Coś było w tym głosie - coś znajomego - i Alicia otworzyła szeroko oczy.

- Porucznik? - spytała z niedowierzaniem ochrypłym głosem. - Porucznik Kuramochi?

- To ja, Alley - powiedziała kapitan Kuramochi. - Medycy już są tutaj. Słyszysz mnie? Medycy są tutaj.

Dwie pancerne dłonie złapały Alicię za hełm, unieruchamiając go, i Kuramochi Chiyeko nachyliła się do niej. Zaczęła mówić wolno, wyraźnie, patrząc prosto w zmęczone oczy Alicii.

- Medycy już tu są, sierżancie. Musisz im pozwolić jej pomóc. Rozumiesz, Alley?

- Tak - szepnęła, w końcu osuwając się bezwładnie wewnątrz zbroi. - Tak.

- W takim razie zabieramy was obie - powiedziała cicho Kuramochi; po jej policzkach spływały łzy. - Zabieramy was do domu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Porucznik Alicia DeVries przemaszerowała przez olbrzymi łuk w wewnętrznym murze Pałacu Sligo. Był październik i rozpościerający się przed nią wspaniały Dziedziniec Bohaterów przybrał jesienne barwy; złociste ogrody i drzewa, fontanny i stawy były tak rozmieszczone, by kierować wzrok na stojący pośrodku Pomnik. Kwadratowy, otoczony klombami plac wokół prostego stu pięćdziesięciometrowego słupa Pomnika z polerowanego granitu był tak duży, że mógł pomieścić defiladę całego batalionu. Wyłożony był jakimś dziwnym plamistym kamieniem.

Dziwna tekstura i kolor kamienia miały swoją przyczynę: każdy blok pochodził z innej planety czy zamieszkanego księżycy Imperium Ziemi.

Alicia wciąż czuła się dziwnie w mundurze porucznika Kadry, choć oficjalnie jej się należał, mimo że nie odbyła jeszcze kursu oficerskiego. Maszerowała powoli środkiem długiej, prostej alei wiodącej do Pomnika. Po obu jej stronach widać było plakietki ze stali z wygrawerowanymi nazwiskami, formacjami i numerami mężczyzn i kobiet, którzy zginęli w służbie Imperium.

Dojście do Pomnika zdawało się trwać wieczność. Alicia patrzyła na wprost, na cztery osoby stojące samotnie na tej kamiennej równinie w cieniu obelisku. Obecni byli też inni, siedzący na trybunie wzdłuż południowego skraju placu, ale nie było ich wielu.

Alicia weszła na kamienny bruk i obcasy jej butów zastukały wyraźnie i głośno - a za nimi inne. Uderzały o kamień idealnie unisono, jak echo jej własnych kroków, a ona czuła tych ludzi za plecami.

Nie było ich zbyt wielu.

Była Tannis Cateau, dwa dni wcześniej wypuszczona ze szpitala. Byli Erik Andersson, Alec Howard, Jackson Keller, Alexandra Filipow, Digory Beckett, James Król, który wyszedł ze szpitala dzień przed Tannis, i Karin de Nijs.

Dziewięcioro mężczyzn i kobiet, wliczając w to Alicię. Tylko oni ocaleli z kompanii C trzeciego batalionu drugiego pułku piątej brygady Imperialnej Kadry.

Maszerowali prosto po kamiennych płytach, później skręcili ostro w lewo, a potem znów w prawo. Ich lewe pięty uderzyły w kamień w jednej, perfekcyjnie skoordynowanej chwili, i stanęli na baczność przed czekającymi na nich czterema ludźmi.

Jedynie dźwięki, jakie im towarzyszyły, to były szумы październikowego wiatru w gałęziach drzew, trzaskanie flag na masztach wokół Pomnika, chlupot wody w fontannach, niemal niesłyszalny szum kamer holowizyjnych unoszących się na antygrawach i krzyki ptaków w oddali.

- Kompania Charlie trzeciego batalionu melduje się na rozkaz, sir! - powiedziała Alicia i jej ręka uniosła się w górę w salucie.

Generał Dugald Arbatow, głównodowodzący Kadry, odwzajemnił salut. Potem spojrzął na stojącego obok niego mężczyznę.

- Proszę sprawdzić obecność, jeśli łaska, generale - powiedział.

- Tak jest, sir! - odparł sir Arthur Keita. Wyjął spod lewej pachy staroświecką podkładkę i odwrócił się do dziewięciorga mężczyzn i kobiet stojących przed nim na baczność na placu, który pomieściłby cały batalion.

- Alwyn, Madison! - powiedział, nie zerknąwszy nawet na równo wydrukowane kolumny nazwisk na podkładce.

- Obecny - odparła Alicia mocnym głosem.

- Andersson, Erik!

- Obecny - odparł Andersson.

- Arun, Namrata!

- Obecny - odparła Tannis Cateau.

- Ashmead, Jeremy!

- Obecny! - odparł Alec Howard.

Nazwiska i odpowiedzi rozbrzmiewały wyraźnie w to ciche, tak bardzo ciche popołudnie. Keita wyczytał dwieście siedemdziesiąt pięć nazwisk i dwieście siedemdziesiąt pięć razy zabrzmiała odpowiedź „obecny”.

- Yrjo, Rauha! - zawołał po raz ostatni.

- Obecny! - odpowiedziała Alicia; jej głos nadal był tak samo mocny, mimo błyszczących w oczach łez.

Keita kiwnął głową, wsadził podkładkę z powrotem pod lewe ramię, odwrócił się do Arbatowa i ostro zasalutował.

- Kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, wszyscy obecni, sir!

- Dziękuję, generale - odparł cicho Arbatow, odwzajemniając salut, i odwrócił się do trzeciego mężczyzny.

Ten był w wieku poniżej pięćdziesiątki, niezbyt wysoki i miał jasne włosy i niebieskie oczy. Ubrany był w taki sam zielony mundur jak Alicia. Nie nosił jednak żadnych oznak

rangi ani jednostki, tylko prostą złotą opaskę na skroniach.

- Wasza Wysokość - powiedział Arbatow, kłaniając się nisko. - Ośmielam się zameldować, że kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, jest obecna.

- Dziękuję, generale - odparł wspaniale szkolonym tenorem Jego Wysokość Seamus II, Cesarz i Księżę Protektor Ludzkości, a potem odwrócił się do Alicii i jej ośmiorga towarzyszy.

- Przez cztery wieki - powiedział - Imperialna Kadra służyła Naszemu Domowi i Naszemu Imperium z odwagą i poświęceniem, którego przykłady rzadko - o ile w ogóle - możemy znaleźć w ludzkiej historii. Imperialny Korpus Marines i Imperialna Flota walczyły i ginęły w chwale i glorii. My, a także cesarze i cesarzowe przed Nami, raz za razem byliśmy uczeni pokory, patrząc na ofiary ponoszone przez mężczyzn i kobiety regularnych sił zbrojnych Imperium. Jakże często musieli płacić zbyt wysoką cenę za to, czego dokonali w służbie Imperium. Ale to Nasza Kadra zawsze niosła Nasz osobisty sztandar i służyła jako Nasz miecz, Nasi paladyni i Nasi rycerze.

- Przez te wszystkie wieki... - ciągnął, a Alicia czuła na sobie wzrok wszystkich osób z trybuny, spojrzenia kamer transmitujących ceremonię na żywo na wszystkie planety, księżyce, asteroidy i stacje kosmiczne w Układzie Słonecznym oraz nagrywające ją dla wszystkich innych planet Imperium - Kadra nigdy nie zawiodła Naszego zaufania. Nie zawsze zwyciężała, bo nawet Kadrowicze są śmiertelni. Czasem - o wiele częściej, niż byśmy chcieli - ginęła, ale nawet wtedy walczyła o zwycięstwo. Kadra nigdy nie splamiła swojego honoru, nigdy nie cofnęła się przed żadnym wyzwaniem. Mogła zostać pokonana, mogła zginąć, ale nigdy się nie poddała.

- Wy oraz wasi obecni tu dziś tylko duchem towarzysze... - popatrzył w oczy każdemu z ocalałych żołnierzy - zachowaliście nie tylko najpiękniejsze tradycje, ale też honor i odwagę Naszej Kadry. Przez swoją służbę, przez swoją ofiarę, przez swoje dokonania okazaliście Naszemu Domowi i Naszemu Tronowi oddanie, którego żaden człowiek, żaden cesarz nie miałby prawa żądać. Oddanie napełniające Nas dumą i wdzięcznością, której żadne słowa, czyny czy nagrody nie mogą wyrazić. Poleciliśmy, by nazwiska wszystkich waszych poległych towarzyszy zostały zapisane tutaj, pośród najwyżej czczonych zmarłych Imperium, na Dziedzińcu Bohaterów. Poleciliśmy także, by kompania Charlie trzeciego batalionu drugiego pułku piątej brygady Naszej Kadry została odznaczona Orderem Powalonego Lwa. Dziękujemy wam, tak jak dziękujemy waszym poległym w boju towarzyszom, nie tylko jako cesarz, ale także jako człowiek. Wasz czyn napełnia Nas pokorą i prosimy, byście przyjęli Naszą głęboką wdzięczność i mieli świadomość długu, który u was zaciągnęliśmy i którego

nigdy nie będziemy mogli w pełni spłacić.

Wystąpił do przodu i Alicia DeVries nagle zorientowała się, że ściska dłoń najpotężniejszego człowieka w historii rodzaju ludzkiego. To była silna, mocna dłoń, a cesarz patrzył prosto w jej zielone oczy, dopóki nie puścił jej dłoni i nie przeszedł do następnej w szeregu Tannis Cateau.

Uścisnął im wszystkim dłonie, każdemu po kolei, a potem wrócił na swoje miejsce. Arbatow odchrząknął i odwrócił się do ostatniego z obecnych - jedyne go człowieka w mundurze Imperialnych Marines, a nie Kadry.

- Sierzancie majorze! - powiedział.

- Sir!

- Oddział jest pański!

- Tak jest, sir!

Marine wystąpił do przodu i stanął przed Alicią oraz pozostałymi żołnierzami.

- Kompania Charlie, baczność! - krzyknął.

Kadrowicze znów się wyprężyli, patrząc na wprost, a sierżant otworzył wyglądający oficjalnie kołonoatnik.

- Starszy kapral Tannis Cateau, wystąp! - powiedział. Tannis zrobiła jeden energiczny, dobrze odmierzony krok w przód, obróciła się w prawo i pomaszerowała na środek krótkiego szeregu. Potem znów obróciła się w lewo, stanęła przed sierżantem i strzeliła obcasami.

- Z rozkazu i w imieniu Jego Cesarskiej Wysokości Seamusa, siedemnastego z Jego Domu i drugiego Jego imienia - marine przeczytał pierwszy akapit z kołonoatnika - niniejszym składam pani podziękowania za odwagę i czyny wykraczające poza ramy obowiązku. W dniu 23 lipca 2952 roku Rachuby Standardowej na planecie Fuller pani oraz pani towarzysze, wykazując najwyższą determinację, wierność obowiązkom i odwagę wobec przeważających sił wroga, wykonaliście swoje zadanie. Mimo że w bitwie zginęło dziewięćdziesiąt sześć procent waszego stanu liczebnego, pani oraz pozostali ocalali członkowie kompanii Charlie trzeciego batalionu drugiego pułku piątej brygady kontynuowaliście swoją misję, zaatakowaliście umocnienia terrorystów, zniszczyliście baterie przeciwlotnicze oraz obroniliście swoje pozycje przed atakiem przeważających sił wroga do chwili przybycia posiłków Imperialnych Marines, których desant umożliwiliście. Choć sama ciężko ranna, wraz z towarzyszami wytrzymała pani ostatni desperacki szturm pięciokrotnie bardziej liczebnych, ciężko uzbrojonych i dobrze wyposażonych terrorystów, w konsekwencji czego pięćuset dziewięćdziesięciu trzech imperialnych poddanych zostało uratowanych od niemal pewnej śmierci. Pani czyny przewyższyły nawet najświetniejsze tradycje Imperialnej

Kadry. Za pani oddanie, odwagę i ofiarę Jego Wysokość rozkazał nagrodzić panią Wielkim Krzyżem Słonecznym.

Tannis zaszalutowała, a sir Arthur Keita wystąpił naprzód i osobiście założył jej na szyję granatową wstęgę drugiego najwyższego odznaczenia Imperium Ziemi. Cateau wymieniła z nim saluty, a potem odwróciła się i odmaszerowała energicznie na swoje miejsce w krótkim, tak strasznie krótkim szeregu Kadrowiczów. Potem wzrok sierżanta spoczął na stojącym bezpośrednio po jej prawej stronie mężczyźnie.

- Starszy kapral Erik Andersson, wystąp - powiedział i Andersson wykonał rozkaz.

- Z rozkazu i w imieniu Jego Cesarskiej Wysokości Seamusa... - zaczął jeszcze raz marine.

Powtórzył ten tekst osiem razy. I osiem razy granatowa wstęga podtrzymująca lśniący złoty krzyż zawisła na szyi żołnierza. A potem podniósł wzrok i wywołał ostatnie nazwisko.

- Porucznik Alicia DeVries, wystąp.

Alicia wystąpiła z szeregu, przemaszerowała wzdłuż niego i zaszalutowała. Marine odwzajemnił salut.

- Z rozkazu i w imieniu Jego Cesarskiej Wysokości Seamusa, siedemnastego z Jego Domu i drugiego Jego imienia - powiedział - niniejszym składam pani podziękowania za odwagę i czyny wykraczające poza ramy obowiązku. W dniu 23 lipca 2952 roku Rachuby Standardowej na planecie Fuller, po śmierci wszystkich oficerów i starszych podoficerów swojej kompanii, przejęła pani dowodzenie kompanią Charlie trzeciego batalionu drugiego pułku piątej brygady Imperialnej Kadry. Mimo straty około osiemdziesięciu procent stanu osobowego kompanii bezpośrednio po wylądowaniu na planecie, w zasadzce przeważających sił wroga, zachowała pani sprawność działania swojego oddziału. Nie bacząc na najbardziej niesprzyjające okoliczności i przygniatającą przewagę wroga, kontynuowała pani wyznaczone oddziałowi zadanie. Mimo kolejnych ciężkich strat i świadomości, że szanse powodzenia są nikłe, wraz z ocalałymi mężczyznami i kobietami przedzierała się pani do wyznaczonego celu pod nieustannym ogniem wroga. Po dotarciu do celu zaatakowała pani dobrze przygotowanego, okopanego i uzbrojonego przeciwnika o niemal dziewięciokrotnej przewadze liczebnej. Mimo tej przewagi i dalszych straszliwych strat członkowie kompanii Charlie pod pani dowództwem z powodzeniem zdobyli cel, otworzyli drogę desantowi marines i obronili pozycje przed zmasowanym kontratakiem, a po wyczerpaniu amunicji walczyli wręcz aż do chwili otrzymania posiłków, kiedy to jedynie pięcioro mężczyzn i kobiet z całej pani kompanii pozostało sprawnych. Pani czyny, odwaga, zdolności i oddanie podtrzymały najświetniejsze tradycje Imperialnej Kadry i Imperium Ziemi oraz uratowały

życie dziewięćdziesięciu siedmiu procent zakładników pojmanych przez wrogich terrorystów. W uznaniu pani dokonań Jego Wysokość nakazuje odznaczyć panią Sztandarem Ziemi.

Od strony trybuny dobiegł wyraźny pomruk. Sztandar Ziemi był najwyższym odznaczeniem Imperium. Tak samo jak Wielki Krzyż Słoneczny, można go było zdobyć tylko na polu bitwy, a uprawniał noszącego go do odbierania salutu od każdego członka sił zbrojnych Imperium, niezależnie od rangi, jeśli on sam go nie otrzymał. Prawie zawsze przyznawano go pośmiertnie i przez czterysta lat otrzymało go mniej niż trzystu mężczyzn i kobiet. Właściwie w tej chwili w całym Imperium było jedynie dwoje żyjących odznaczonych, a tradycja nakazywała, by order wręczał ktoś, kto już go dostał. Dlatego Imperium wezwało na tę ceremonię ze Starej Ziemi sierżanta majora Sebastiana O'Shaughnessy'ego.

Alicia DeVries patrzyła dziadkowi w oczy, kiedy oddał generałowi Arbatowowi kołnotatnik z formułami, wziął od sir Arthura Keity krwistoczerwoną wstęgę ze złotą gwiazdą promieniującą ze wspianiałego przedstawienia starożytnej kolebki ludzkości i założył jej tę wstęgę na szyję.

Po raz pierwszy w historii medal był noszony jednocześnie przez dwie osoby z tej samej rodziny. Sierżant major poprawił go ostrożnie, a potem odsunął się i energicznie zsalutował.

Alicia oddała salut i wróciła na swoje miejsce, a Arbatow odwrócił się do Keity.

- Generale, proszę odesłać oddział - powiedział.

- Tak jest, sir! - Keita zsalutował i odwrócił się do krótkiego szeregu członków kompanii Charlie.

- Kompania - powiedział ostro - odmaszerować!

* * *

- Chciał mnie pan widzieć, sir Arthurze?

- Tak, tak. - Sir Arthur Keita wstał z uśmiechem zza biurka i zaprosił Alicję do swojego gabinetu. Weszła, cały czas pamiętając o nowej krwistoczerwonej baretce na bluzie munduru. Keita wskazał jej krzesło, a ona usiadła, patrząc na niego spokojnie.

- Wiem, że rodzina na ciebie czeka, Alley - powiedział po chwili - i obiecuję, że nie zajmę ci dużo czasu. Ale pomyślałem, że chciałabyś wiedzieć, iż wstępna analiza sprawy Shallingsport została już zakończona.

Usiadł z powrotem za biurkiem, odchylając się w krześle do tyłu.

- Jestem pewien, że jeszcze daleko do ostatecznego przeanalizowania przebiegu operacji, ale to chyba najlepsze podsumowanie, jakie będziemy w stanie sklecić, dopóki nie uda nam

się zdobyć jakichś nowych informacji. Uznałem, że jako najstarszy stopniem oficer kompanii Charlie powinna zostać poinformowana, przynajmniej ogólnie, o wnioskach z raportu.

Alicia wyprostowała się nieznacznie, uważnie przyglądając się twarzy Keity, a on wziął głęboki oddech.

- Ogólnie rzecz biorąc, w raporcie - który kapitan Watts i ja poparliśmy - stwierdza się, że doszło do olbrzymiej porażki wywiadowczej na wszystkich szczeblach. Pozwoliliśmy, by Sojusz Wolności wmanewrował nas w wysłanie kompanii Charlie w rozmyślnie przygotowaną zasadzkę. Cała operacja była tak zaplanowana, by ściągnąć oddział Kadry - a właściwie konkretnie kompanię Charlie - i od razu ją zniszczyć bądź stworzyć warunki, w których „sprovokowalibyśmy” masakrę ponad sześciuset zakładników, próbując ich uratować.

- W razie zlikwidowania twojej kompanii operacja wykazałaby, że Kadra nie jest niepokonana i że FALA jest zdolna zmierzyć się z osobistym *corps d'elite* cesarza i go zniszczyć.

- A śmierć tak wielu cywilów zostałaby wykorzystana jako dowód, że Imperium wyżej ceni życie swojego personelu wojskowego niż obywateli, których ów personel ma bronić.

- W dodatku wydaje się, że faktycznie zamierzali przedstawić dodatkowe żądania, prawdopodobnie wierząc, że niektóre zostaną spełnione, zważywszy na bezprecedensową liczbę i rangę zakładników, których udało im się wziąć. Nie wiemy, jakie byłyby te żądania, ponieważ niestety - „niestety” z wywiadowczego punktu widzenia - żaden członek ich kadry dowódczej na Fullerze nie został wzięty żywcem.

- Jak udało nam się do tej pory ustalić, liczba uzbrojonych bojowników FALA na planecie wynosiła nieco ponad trzy tysiące, z czego około dwóch tysięcy trzystu było wyposażonych w broń bojową, stosunkowo nowoczesną broń piechoty, żądla i ciężką broń. Myślę, że możemy sobie uważać za szczęściarzy, że nie sprowadzili jeszcze oddziałów pancernych.

Przerwał, kręcąc głową z wyraźnym niesmakiem, a Alicia zmarszczyła czoło.

- Wiem, że było ich dużo, sir - powiedziała - ale nie przypuszczałam, że aż tylu. Czy ustalono już, w jaki sposób udało się ich przewieźć na planetę?

- Nie tak, jak bym chciał - odparł Keita. - Udało nam się tylko wziąć kilku do niewoli i przesłuchać, co dało nam pewne informacje. Ustaliliśmy, że korporacja Jason - firma, która zbudowała kompleks w Zielonej Przystani - była parawanem Sojuszu Wolności od co najmniej dziesięciu standardowych lat. Zanim jednak do tego doszliśmy, przeprowadzono dobrze zaplanowaną i zorganizowaną likwidację firmy. Konta zostały opróżnione i

zamknięte, cały zarząd zniknął, a wszyscy pracownicy, których udało się zlokalizować i zidentyfikować, to niewinne pionki, nieświadome, że pracowały dla korporacji finansowanej przez terrorystów.

- Tak czy inaczej, zaczynając tę operację - najwyraźniej dość dawno temu - Sojusz Wolności wykorzystał Jasona do zbudowania bazy naziemnej na Fullerze. Postawił kompleks budynków, w których mieli zostać uwięzieni zakładnicy, a pod przykrywką „ciężkiego sprzętu budowlanego” zwiózł sprzęt bojowy.

- Dla twojej informacji, nie jestem osobiście przekonany tak jak analitycy, którzy przygotowali ten raport, że księżę Geoffrey nie był w to wszystko bezpośrednio zamieszany.

Alicja przekrzywiła głowę, a Keita prychnął.

- Nie ma żadnych bezpośrednich dowodów jego współudziału. Jego Wysokość jest naprawdę wściekły, i gdybyśmy mieli dowód, czy nawet mocną poszlakę, że księżę Geoffrey świadomie współpracował z terrorystami, cesarz oficjalnie zażądałby jego głowy od króla Haydena. A gdyby jej nie dostał, posłałby po nią na Fullera marines i Flotę.

- Istnieją jednak przekonujące dowody, że dyrektor rozwoju przemysłowego księcia Geoffreya, niejaki Jokuri Asaro'o Lowai, dobrze wiedział, co się szykuje. Z początku myśleliśmy, że to fałszywa tożsamość, ale udało nam się potwierdzić na Starej Ziemi, że taki człowiek faktycznie istnieje. Nie było go jednak wśród zabitych ani jeńców. Krótko mówiąc, choć nie wierzymy, by komukolwiek udało się uciec z planety po tym, jak „Marguerite Johnsen” weszła na orbitę, jemu jakoś udało się zniknąć. Fakt, że nie możemy znaleźć Jokuriego, może oznaczać, że pracował dla Sojuszu Wolności i że kiedy tylko jego usługi przestały być potrzebne, Sojusz wyeliminował go i pozbył się zwłok. Zakładając, że ta teoria jest prawdziwa, prawdopodobnie pozbyli się go, bo za dużo wiedział, a nie należał do ich ścisłego dowództwa i nie mogli mu zaufać, że będzie siedział cicho, kiedy wpadnie nam w ręce i stanie przed groźbą wyroku śmierci.

Znów przerwał, marszcząc czoło, najwyraźniej niezadowolony z tego, co właśnie powiedział, a potem wzruszył ramionami.

- Nie mam żadnej lepszej teorii, ale jakoś mi to nie pasuje. Nie mówię, że to nieprawda, ale mam przeczucie, że tu chodzi o coś więcej. Z całą pewnością to zgrabna hipoteza. Jokuri miał sposobność zająć się wszystkimi przygotowaniami do operacji na Fullerze. To on był urzędnikiem mianowanym przez Shallingsport, przez którego Jason musiał załatwiać wszystkie dostawy. Nie daliby rady tego zorganizować bez jego aktywnego współudziału, to jest aż nadto jasne. Nie mogę jednak pozbyć się podejrzenia, że dla księcia Geoffreya to... bardzo wygodne, że mamy zidentyfikowanego - i najwyraźniej martwego - współnika FALA.

Według księcia to właśnie Jokuri jako pierwszy zasugerował mu, że zaproponowanie terrorystom „schronienia” w Shallingsport daje największe szanse ocalenia zakładników. Nie mamy jednak żadnego niezależnego potwierdzenia, a mnie chyba trudno przyjąć, że ten, kto to zaplanował, polegałby na zwykłym ekspercie do spraw rozwoju, kiedy chodziło o przekonanie głowy państwa do czegoś takiego. A musieli być całkowicie pewni, że dostaną schronienie właśnie w Shallingsport, skoro tam zbudowali swoją bazę.

Keita znowu przerwał, marszcząc coraz mocniej czoło.

- Tak czy inaczej - podjął po chwili - ta operacja od samego początku miała być gigantyczną pułapką. Zasadzką. A nasi ludzie z wywiadu niczego nie spostrzegli. Zrzuciliśmy ciebie i twoją kompanię w sam środek tego wszystkiego, Alley, i za to osobiście bardzo cię przepraszam.

Teraz to Alicia pokręciła głową, nieco zakłopotana.

- Z tego, co pan powiedział, Wuju Arthurze, wynika, że wszystko to zaplanowali i bardzo dokładnie przygotowali na długo przedtem, zanim wzięli zakładników. Biorąc pod uwagę, ile czasu miał wywiad, by rozgryźć, co się dzieje, nie sądzę, by ktokolwiek mógł mieć pretensje do batalionu, że nie domyślili się, iż nawet taka organizacja terrorystyczna jak FALA może być aż tak szalona, by mierzyć się w ten sposób z Kadrą.

- Może i nie, kiedy weszliśmy już w tryb reagowania kryzysowego - przyznał Keita. - Ale przewidywanie i wykrywanie takich rzeczy to jedno z głównych zadań wywiadu. A jak by nie było, tym razem nikt tego nie zrobił.

Potrząsnął lekko głową i wyprostował się w fotelu.

- Wciąż mamy całkiem sporo pytań bez odpowiedzi, ale w takich przypadkach jak ten tak już jest, że zwykle nie dostajemy odpowiedzi na wszystkie pytania. To nie oznacza oczywiście, że nie będziemy próbowali tego wyjaśnić. Ilość środków, które Sojusz Wolności zainwestował w tę operację, wręcz zbija z nóg. Mowa tu o ładnych kilku milionach kredytów. To dużo, nawet na taką organizację jak FALA. Do tego dochodzi też kwestia naszej niezdolności - przynajmniej na razie - zidentyfikowania handlarzy bronią, którzy sprzedali im ten sprzęt. Tak jak od samego początku podejrzewałaś, praktycznie wszystko było imperialnej produkcji. Znaleźliśmy trochę wyposażenia z tego czy innego Świata Bandyckiego, ale prawie wszystko to był demobil marines, i jak dotąd nie umiemy ustalić, w jaki sposób wpadło im to w ręce. Sprawdziliśmy oczywiście numery seryjne i okazało się, że większość sprzętu została kilka lat temu oficjalnie uznana za demobil i zniszczona. Staramy się dojść, kto mógł mieć możliwość podrobienia zaświadczeń o zniszczeniu, ale nie liczyłbym na szybkie rozwiązanie tej sprawy.

- Jak już mówiłem, nie sędzę, by komukolwiek zależało na tym, by pozostawić to tak jak jest. Kiedy cesarz osobiście domaga się odpowiedzi, ludzie bardzo starają się je znaleźć, a w tej kwestii Jego Wysokość jest bardzo, bardzo zdecydowany.

Ponownie przerwał, jakby zapraszając Alicię do zadania dodatkowych pytań, które mogłyby jej przyjść do głowy. Ona jednak żadnych nie miała. A raczej miała ich bardzo wiele, ale z tego, co Keita do tej pory powiedział, jasno wynikało, że nikt nie może na nie odpowiedzieć.

- Tak czy inaczej - powiedział po chwili sir Arthur - tylko tyle wiemy o tym, co się stało. Jednak to nie jedyna rzecz, którą chciałem z tobą omówić.

- Nie? - spytała nieco podejrzliwie.

- Nie zamierzam zaskakiwać cię żadnymi paskudnymi niespodziankami, Alley - powiedział z uśmiechem. - Chodzi o to, że na pewno wiesz, jak niewielu ludzi zostało odznaczonych Sztandarem Ziemi, skoro wychowywałaś się z dziadkiem, który już go ma. Czy sierżant major powiedział ci, dlaczego nigdy nie zgodził się zostać oficerem?

- Powiedział, sir - Alicia również lekko się uśmiechnęła - że jest „człowiekiem pracującym” i woli stanowisko, na którym może ubrudzić sobie ręce, niż utknąć w jakimś zarządzaniu. Osobiście zawsze podejrzewałam, że po prostu za bardzo lubi to, co teraz robi, żeby z tego zrezygnować.

- Na pewno masz rację. Ale chyba źle sformułowałem pytanie. Chodziło mi o to, czy twój dziadek rozmawiał z tobą o tym, w jaki sposób udało mu się uniknąć awansu?

- No nie, sir. Zawsze uważałam, że zna tylu ludzi w Korpusie - większość z nich po imieniu - i za dobrze orientuje się w działaniu tego systemu, żeby dać się zmusić do awansu, którego by nie chciał.

- Poznałem twój dziadka i muszę powiedzieć, że chyba rzeczywiście coś w tym jest - przyznał Keita, zaśmiaawszy się krótko. - Ale uwierz mi, że nie jest łatwo komuś, kto zdobył Sztandar, wymigać się od zostania oficerem. Właściwie zawsze jest z tym związany awans czy przynajmniej taka propozycja. W twoim przypadku Kadra... - Alicia wiedziała doskonale, że to on sam, choć nigdy by się do tego nie przyznał - postanowiła, że zasługujesz na awans, zanim jeszcze cesarz odznaczył cię Sztandarem. Ale zawsze jest duży nacisk, by każdego, kto go zdobył, awansować na oficera, bo ten, kto dostaje Sztandar, ma w sobie to coś, czego szukamy u oficerów.

Alicia poczuła, że lekko się rumieni, ale jej twarz nadal wyrażała jedynie uprzejme zainteresowanie.

- Problem polega na tym, że nie można do niczego zmusić kogoś, kto nosi najwyższe w

Imperium odznaczenie za odwagę. W przypadku twojego dziadka podejrzewam, że posłużył się właśnie Sztandarem, żeby opędzić się od wszystkich prób awansowania go na oficera. W twoim przypadku oczywiście nic takiego się nie dzieje - w końcu jesteś o wiele młodsza i bardziej niewinna niż on, kiedy zdobył swoje odznaczenie.

Tym razem nie zdołał powstrzymać wesołego uśmiechu, a Alicia również odpowiedziała mu uśmiechem. Potem Keita nieco spoważniał.

- Zmierzam, Alley, do tego, że twój awans został przesądzony, zanim dostałaś Sztandar. Ale teraz, skoro już go masz, tradycja nakazuje, byś zdecydowała, oczywiście w granicach rozsądku, co chciałabyś dalej robić.

I wykonał zapraszający gest. Alicia zachmurzyła się.

- Doceniam to, sir - powiedziała w końcu - ale nie wiem, co chciałabym robić. Może...

Przerwała, wyraźnie się wahając.

- Wykrztuś to, Alley. W tej chwili tak naprawdę masz czek in blanco, możesz prosić o co chcesz.

- Cóż, w takim razie, sir - powiedziała szybko, jakby chciała to mieć już za sobą - słyszałam, że kompania ma zostać rozwiązana. Czy to prawda?

- Gdzie to słyszałaś?

- Wolałabym nie mówić, sir. Ale czy to prawda?

Spojrzała na niego błagalnie.

- Czemu pytasz?

- Bo to by było niewłaściwe, sir - powiedziała z mocą, która zaskoczyła trochę nawet ją samą. - Kompania zasługuje na coś lepszego.

- Alley, w tej chwili kompania Charlie składa się dokładnie z dziewięciu ludzi - przypomniał jej łagodnie Keita. - Musielibyśmy tworzyć od zera zupełnie nową kompanię.

- Wciąż mamy personel pomocniczy w Guadalupe, sir - powiedziała nieśmiało, lecz z uporem.

- To nie jest Kadra służby czynnej.

- Ale...

Alicia przerwała. Spojrzała na Keitę z jeszcze bardziej upartą miną, a on cicho się zaśmiał.

- Spokojnie, Alley - powiedział, poważniejąc. - Nikt nie zamierza rozwiązywać kompanii Charlie. Chociaż trzeba pamiętać, że przez jakiś czas nie będziemy w stanie wysłać jej w pole. Właśnie o to mi chodziło, kiedy mówiłem, że trzeba będzie ją zbudować od zera, a jak wiesz, Kadra nigdy nie ma za dużo wykwalifikowanego personelu. Słyszałem jednak

osobiście z ust cesarza, że za swoje zasługi bojowe kompania Charlie nie ma prawa zniknąć. Właśnie do tego zmierzałem kilka minut temu.

- Sir? - W głosie Alicii słychać było zdziwienie, choć oczywiście także ogromną ulgę, że kompania nie zostanie zlikwidowana.

- Jesteś świeżym porucznikiem - zauważył Keita. - Oboje wiemy, że musisz przejść szkolenie, ale oboje wiemy też, że dasz sobie radę. Właściwie jestem nawet przekonany, że będziesz tak samo dobrym oficerem, jak podoficerem, co jest chyba dość dużą pochwałą.

- Ale musi minąć trochę czasu, zanim zacniemy myśleć o twoich kolejnych awansach. Nawet Sztandar nie przekona Kadry, by pchnąć cię w górę szybciej, niż to wynika z twojego doświadczenia, obycia i pewności siebie. Dlatego - spojrzał na nią znacząco - wciąż pozostaje pytanie, gdzie zupełnie świeża porucznik zostanie przydzielona, kiedy zamelduje się na służbie po szkole oficerskiej. Właśnie to chciałem z tobą omówić. Dokąd chciałabyś trafić?

- Ja... właściwie się nad tym nie zastanawiałam, sir - odparła Alicia, i ku jej zaskoczeniu była to prawda. - Chyba za bardzo martwiłam się możliwością rozwiązania kompanii i nie przyszło mi do głowy, że mogłabym pójść gdzieś indziej. Chciałabym wrócić do kompanii, ale nie mogę, prawda? Bo kompanii już nie ma. I jak pan mówi, jeszcze przez jakiś czas jej nie będzie.

- Żadne z tych dwóch ostatnich stwierdzeń nie jest do końca prawdą, Alley - powiedział Keita cicho, niemal łagodnie.

Spojrzała na niego, unosząc brwi, a on machnął ręką.

- Kompania Charlie wciąż istnieje - powiedział. - Ma dziewięć osób na liście personelu. Ty jesteś jedną z tych dziewięciu. Co do drugiego stwierdzenia, nie powiedziałem, że kompanii Charlie „nie będzie”; powiedziałem tylko, że przez jakiś czas nie będziemy w stanie wysłać jej w pole. Zamierzałem ci zaproponować - jeśli chcesz wykorzystać tradycyjny przywilej wyboru konkretnego przydziału - stanowisko dowódcy pierwszego plutonu kompanii Charlie trzeciego batalionu drugiego pułku piątej brygady.

Alicia gapiła się na niego bez słowa. Generał uśmiechnął się.

- Jeśli chcesz, dowództwo jest twoje - powiedział po prostu. - Prawdopodobnie zapelnienie reszty tabeli organizacyjnej zajmie nam cały czas twojego szkolenia. Ale przydział mogę podpisać już w tej chwili, jeśli właśnie tego chcesz.

Alicia odkryła, że nie jest w stanie wykrztusić ani słowa. Keita zaśmiał się krótko.

- Rozumiem, że to znaczy „tak”?

KSIĘGA TRZECIA:

ZŁAMANY MIECZ

Ciemność zadygotała.

Lodowaty powiew westchnął w sercu jej ciepła, a ona zadrżała. Posmakowała ognia i rzezi, słodkiego miedzianego smaku krwi i uderzającego do głowy, drapiącego dymu, i prawie - prawie - się przebudziła.

To było blisko, wiedziała jej uśpiona myśl. Zbliżało się. Echo, które wyczuła dwa razy wcześniej, było teraz silniejsze niż kiedykolwiek, pewne siły swojej samowiedzy, swojej dyscypliny, swojej... zabójczości. Ale rozgałęzienia jego przyszłości zawęzwały się, zawęzwały, zawęzwały...

Konstelacje możliwości znikwały, zwijały się w sobie, rozplywały. Wybory stawały się tym bardziej znaczące, im bardziej były rzadkie, a alternatywy - boleśniejsze.

A mimo to echo wciąż nie wiedziało, nie wyczuwało, co je czeka. Z całą brawurą śmiertelnika parło w nieznaną otchłań, gotowe stawić czoła wszystkiemu, co napotka.

Ale czy byłoby tak odważne, gdyby było takie samo jak ona? Gdyby potrafiło wyczuć kurczącą się przyszłość, która przed nim leży?

Przyjdzie czas, pomyślała ze swego snu. Przyjdzie czas, mały, że będziesz musiał wybierać. I jaka będzie wtedy twoja decyzja?

Oddasz mi siebie? Uczynisz swój i mój cel jednością? I ile cierpienia zniesiesz w imię tej decyzji?

Ale pustka nie odpowiedziała, a lodowaty wiatr jeszcze raz westchnął w nicości.

Jeszcze nie, mruknęła jej senna myśl. Jeszcze nie. Ale już wkrótce.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

- Słuchaj, mam gdzieś, co ma do powiedzenia kwatera główna! - warknął major Samuel Truman z Imperialnych Marines. - Pieprzone Jaszczury siedzą tam, gdzie mogę ich dostać!

- Sir - powiedział niemal z rozpaczą porucznik Hunter. - Ja tylko przekazuję panu to, co oni mi powiedzieli. Chcą, żebyśmy tu zostali. Dokładnie tutaj, powiedzieli.

- Jasna cholera!

Gdyby major Truman mógł to zrobić, zerwałby czapkę z głowy, rzucił ją na ziemię i podeptał obiema nogami. Ponieważ akurat był w zbroi bojowej, nie było to zbyt wykonalne, co jeszcze bardziej zwiększało jego frustrację.

Bardzo powoli policzył do pięćdziesięciu - nie miał cierpliwości, by liczyć aż do stu - a potem głęboko odetchnął.

- A czy przypadkiem, poruczniku - spytał ostrożnie - kwatera główna podała powód, dlaczego mamy siedzieć właśnie tutaj?

- Sir, kazali nam tylko utrzymać pozycję i powiedzieli, że ktoś jest w drodze do nas z wyjaśnieniami.

- Och, rozumiem - powiedział Truman z ironią. - Z wyjaśnieniami.

Zza wzgórze nadleciał z gwizdem kolejny rój pocisków z rishathańskich moździerzy i działka obrony przeciwlotniczej marines automatycznie obróciły się jak atakujące węże. Ładunki plazmy strzeliły w górę i nadlatujące pociski eksplodowały daleko od celów. Zza grzbietu wzniesienia dolatywał także niecichnący trzask ognia z broni ręcznej - to wysunięte jednostki Trumana ostrzeliwały się z pikietami Rish. Karabiny szturmowe marines byłyby działkami automatycznymi, gdyby używała ich zwykła nieopancerzona piechota, ale odpowiadająca im broń Rish była jeszcze cięższa.

Truman posłuchał grzmotu bitwy i pokręcił głową.

- Dlaczego wciąż daję się zaskoczyć idiotyzmami tych skurwysynów z tyłów? - zapytał retorycznie. Hunter roztropnie nie odpowiedział, a major westchnął.

- Dobra, Vincent - powiedział już łagodniejszym tonem. - Odpal koma i poinformuj dowództwo, że drugi batalion utrzymuje pozycje i czeka na dalsze rozkazy.

- Tak jest, sir!

Hunter próbował ukryć uczucie ulgi, ale Truman i tak ją usłyszał w jego głosie i

uśmiechnął się bez śladu prawdziwej wesołości. Potem odwrócił się i jeszcze raz spojrzął na HUD-a, zastanawiając się, jakie szaleństwo znów na niego spadnie.

* * *

Natężenie ognia wymienianego przez drugi batalion i okopanych Rish zmalało do sporadycznych strzałów, kiedy do punktu dowodzenia Trumana przybył obiecany posłaniec z dowództwa. Pierwsza wściekłość majora na rozkaz zatrzymania natarcia nieco minęła i był gotów wysłuchać, co jego gość ma do powiedzenia.

Oby to było coś konkretnego, pomyślał ponuro.

Drugi batalion stracił ponad stu ludzi, z tego dwadzieścia trzy ofiary śmiertelne, zanim w końcu rozpedził się z natarciem na linie Rish. Nabranie ponownie rozpędu po tym, jak go zatrzymano, będzie majora kosztowało dalszych zabitych i rannych. Warknął ze złości, zaciskając zęby na samą myśl o tym.

Nienawidził takich akcji. Planeta Louvain nie była nawet Światem Imperialnym - to był Świat Bandycki, tak uparcie pragnący zachować statusu niezależnego, że odrzucił nawet sojusz obronny z Imperium. Najwyraźniej jego rząd wierzył, że odmowa podpisania formalnych porozumień z którąkolwiek ze stron przekona je, by pozostawiły planetę w spokoju.

Co mogłoby się nawet udać w przypadku Imperium, ale nie Sfery Rishathańskiej. Uczciwość nakazywała co prawda przyznać, że Louvain nie została przez Sferę oficjalnie najechana. Zasadniczo rishathańskie oddziały okopane na planecie stosowały staroświecką metodę obstrukcji parlamentarnej, a inwazja była wyłącznie prywatnym przedsięwzięciem Klanu Theryian, by rozszerzyć swój stan posiadania (jeśli ktoś w to nie wierzył, to jego sprawa).

Niefortunnie dla Klanu Theryian - czy dla Sfery, zależnie od tego, jak interpretować całe zajście - imperialny wywiad zwęszył operację wystarczająco wcześniej, by przysłać posiłki do sąsiedniego Sektora Tyberiańskiego. Co oznaczało, że kiedy Republika Louvain w końcu się ocknęła i zrozumiała, że zostanie za chwilę zaatakowana, imperialne wojska mogły zareagować na jej głośne wołanie o pomoc. Niestety, owe wojska nie zdołały dotrzeć na miejsce przed rishathańską ekspedycją.

Imperialna Flota szybko i skutecznie rozbiła jednostki marynarki, które przewiozły i wspierały siły szturmowe Jaszczurów, choć nie mogły wiele zrobić z ich oddziałami naziemnymi na powierzchni planety. Ludzki dowódca w takiej sytuacji prawdopodobnie rozważałby poddanie się, a przynajmniej negocjowany odwrót, ale Rish nie myślały w ten

sposób i major Truman oraz reszta jego batalionu już od prawie trzech standardowych tygodni borykali się z konsekwencjami uporu Jaszczurów.

Dlatego właśnie nie był zbyt zadowolony z konieczności zatrzymania natarcia, kiedy w końcu znalazł słaby punkt w ostatnim perymetrze Rish.

- Hmm, majorze?

Truman podniósł wzrok, zaskoczony tonem głosu Huntera. Młodszy oficer stał w wejściu do punktu dowodzenia z osłupiałą miną, niemal przestraszony. Truman zmarszczył brwi.

- O co chodzi, Vincent?

- Ten... przedstawiciel dowództwa już tu jest, sir.

Truman jeszcze bardziej zmarszczył brwi i potrząsnął głową w helmie - był to pancerny odpowiednik wzruszenia ramionami.

- No to dawaj go tutaj - powiedział szorstko.

- Tak jest, sir. - Hunter odwrócił się w drzwiach. - Tędy, ma'am.

Potem łącznościowiec odsunął się na bok, by zrobić miejsce dla nowo przybyłej, a już i tak uniesione brwi majora niemal zupełnie zniknęły pod grzywką. Ostatnia rzecz, jakiej się spodziewał, to ktoś w zbroi bojowej Kadry!

Nowo przybyła nosiła oznaki stopnia kapitana, co czyniło ją równą stopniem Tumanowi. Nie była to zbyt przyjemna myśl. Oczywiście Samuel Truman czuł do Kadry wyłącznie szacunek - w końcu nie był idiotą - ale niezależnie od tego, jak bardzo ją szanował, to on był tu oficerem od trzech tygodni, i myśl o przyjmowaniu rozkazów od jakiegoś przybysza, który nie odróżnia własnego łokcia od dupy, jeśli chodzi o lokalną sytuację, była mu, delikatnie rzecz ujmując, niemiła.

Oficer Kadry weszła do ciasnego punktu dowodzenia i zasalutowała.

- Major Truman? - spytała przyjemnym kontraltem.

- Jestem Truman - potwierdził major, odwzajemniając salut, a potem wyciągnął dłoń w pancernej rękawicy. - A pani to...

Pytanie zabrzmiało nieco bardziej szorstko, niż zamierzał, ale nowo przybyła zdawała się nie zwracać na to uwagi.

- DeVries - powiedziała. - Kapitan Alicia DeVries, Imperialna Kadra.

Przez chwilę Truman tylko kiwał głową. Potem zeszytywniał, kiedy ta informacja wreszcie do niego dotarła.

- Powiedziała pani „DeVries”?

- Tak - odparła po prostu, a Truman nagle zaczął potrząsać jej pancerną dłonią o wiele gorliwiej, niż zamierzał.

- Przywitałbym panią na Louvain, pani kapitan, tyle że nie jest to raczej kurort wakacyjny, który poleciłbym przyjacielowi.

- Och, nie wiem, majorze. - W głosie kapitan dało się słyszeć coś podejrzenie przypominającego śmiech. - Dopóki nie przybyli tu goście, to była całkiem miła planeta. Tak przynajmniej dano mi do zrozumienia.

- Mnie również tak powiedziano. Niestety byłem zbyt zajęty robieniem za cel, żeby bawić się w turystę.

- Właśnie po to tu jestem - powiedziała DeVries i uśmiechnęła się do niego przez zasłone zbroi. Jest wyjątkowo atrakcyjną młodą kobietą, uświadomił sobie Truman. Co w sumie było dużym zaskoczeniem, zważywszy na jej... groźną reputację.

- Wiem, że wam, Osom, całkiem dobrze udało się otoczyć Jaszczurów - ciągnęła - ale teraz, kiedy zepchnęliście ich w ostatni perymetr, będzie już tylko coraz gorzej.

- Może - odparł nieco sztywno. - Chociaż wydaje mi się, pani kapitan, że drugi batalion znalazł ich słaby punkt. Zakładając oczywiście, że pozwoli nam się w końcu go wykorzystać - dodał złośliwie.

- O rany, ależ pan wściekły. - Tym razem bez wątplenia był to śmiech i Truman poczuł, że znów wzbiera w nim gniew.

- To rozumiałe, że jeśli znalazł pan słaby punkt, chce pan w niego uderzyć mocno i szybko, ale niestety, majorze, na razie go pan nie znalazł.

- Słucham? - Trumana nie obchodziło, kim jest ani jakie zdobyła medale ta osoba, która zjawiła się tutaj jak u siebie i powiedziała mu, że nie umie odczytać sytuacji taktycznej.

- Przepraszam - odparła spokojnie. - Nie chciałam panu psuć humoru, majorze Truman, ale mamy dostęp do danych wywiadu, które nie były udostępnione pana ludziom. Dotarliśmy do nich już po tym, jak rozpoczęliście operację, dlatego właśnie wysłano za wami moją kompanię.

- Jakie to „dane wywiadu”? - spytał podejrzliwie Truman.

- Według źródła, które Kadra uważa za wiarygodne, kiedy Klan Theryian ruszył na Louvain, był przygotowany na totalny *mysorthayak*.

Truman zamrugał. Nie można było go uznać za eksperta od rishathańskiej psychologii, ale już kiedyś słyszał to słowo. Każdy marine je znał.

- Jezu Chryste - powiedział. - Co w Louvain jest tak cholernie ważnego, żeby się aż do tego posuwali?

- Tego jeszcze nie wiemy - przyznała DeVries. - Istnieją przeciwstawne poglądy co do tej kwestii. Jak zawsze, prawda? - Uśmiechnęła się krzywo uśmiechem, jakim obdarzają siebie

żołnierze na linii ognia. - Na pewno możemy powiedzieć tylko tyle, że nasze źródło jest bardzo przekonujące. Osobiście wcale nie uważam, że ich prawdziwym celem jest podbój Louvain. Moim zdaniem Sfera po prostu uznała, że pora na kolejny sprawdzian naszej determinacji, i wybrała do tego „na ochotnika” Klan Theryian. I sędzę, że zgodzi się pan ze mną, że jeśli myślą w kategoriach *mysorthayak*, należy podchodzić bardzo ostrożnie do wszelkich „słabych punktów”, jakie się znajdzie.

- Święta racja, pani kapitan - zgodził się gorliwie Truman.

Technologiczna przepaść między militarnymi możliwościami Rish i ich ludzkich - konkretnie imperialnych - przeciwników rosła systematycznie od czasu dawnych wojen z Ligą. Wielką przewagę dawał ludziom fakt, że Rish nie mogli używać receptorów nerwowych. Podstawowe uzbrojenie Rish było równie dobre jak ludzkie, podobnie jak ich odpowiednik napędu Fasseta, ale ludzka możliwość podłączania się bezpośrednio do sprzętu była dla nich nieosiągalna.

Wyższość ludzi była najbardziej wyraźna, jeśli chodzi o flotę. Admirał Rish potrzebowała przewagi przynajmniej trzech do jednego w masie metalu, jeśli chciała stawić opór jednostce Floty, co było jednym z powodów, dla których rishathańskie okręty wspierające inwazję czmychnęły z systemu, kiedy tylko Flota się pojawiła. Kiedy jednak chodziło o walkę naziemną, przewaga ludzi znacząco malała.

Przede wszystkim dlatego, że Rish byli olbrzymami. Przy wzroście blisko trzech metrów w pełni dojrzała rishathańska matriarchini ważyła około czterystu kilogramów. Żaden człowiek nie mógł dorównać Rish w walce wręcz bez zbroi bojowej. Ich nieopancerzona piechota miała broń, którą mógł unieść jedynie człowiek w zbroi bojowej, a w pełni opancerzony żołnierz piechoty Rish był twardszy od lekkich ludzkich czołgów.

Rish wciąż nie mogli się równać z „wiedzą sytuacyjną” ludzkich żołnierzy wyposażonych w receptory nerwowe, ale ciężko pracowali nad sposobami zrekompensowania tego. Podczas natarcia odrzucali wszelką finezję, polegając na samej masie, wytrzymałości i natężeniu ognia. W obronie gęsto rozstawiali czujki taktyczne, porządnie okopywali wojska z nakładającymi się polami ostrzału, wspierając je największą i najsilniejszą rezerwą taktyczną, jaką mieli, i dokładali do tego wsparcie powietrzne i ogniowe ciężkiej broni w stopniu wielokrotnie przewyższającym rzeczywistą potrzebę. Przebicie się przez przygotowane pozycje piechoty Rish zawsze było bardzo kosztowne.

A jeszcze gorzej było, kiedy zaczęli myśleć w kategoriach *mysorthayak*. Truman nie był pewien, jak najlepiej przetłumaczyć ten termin, ale podejrzewał, że najbardziej zbliżonym ludzkim określeniem byłoby „dżihad”, choć słowo to miało pewne podteksty, które tutaj nie

miały zastosowania. W *mysorthayak* chodziło o honor klanu, dług honorowy, ze słabym wydzwieniem religijnym. Zdecydowawszy się na *mysorthayak*, rishathańskie matriarchinie były nieustępliwe. Walczyły i ginęły, a jeśli tylko miały takie możliwości, minowały swoje pozycje nuklearnymi ładunkami wybuchowymi, by zabrać ze sobą jak najwięcej wrogów.

- A więc mówi pani - powiedział po chwili Truman - że gdybym poszedł do przodu, zaczekałoby, aż moi ludzie i ja utknemy na ich pozycjach, a potem wysadziliby siebie w cholerę razem z nami?

- Mówię, że jest taka ewentualność - poprawiła go DeVries. - Nie mogę nic więcej powiedzieć bez lepszych informacji taktycznych. Ale jeśli właśnie tak zamierzali zrobić, w końcu się z tym zetkniemy, zanim ta operacja się skończy. Chyba że coś z tym zrobimy.

- To znaczy? - Truman popatrzył na nią zmrużonymi oczami.

- To znaczy, że jedynym sposobem uniknięcia ofiar, jakimi zwykle kończy się *mysorthayak*, jest rozbicie struktury dowodzenia Jaszczurów.

- W jaki sposób? - Truman zmarszczył czoło.

- Tak się składa, majorze Truman - powiedziała DeVries z cierpkim uśmiechem - że posiadam tytuł doktora ksenopsychologii, ze specjalizacją w zakresie psychologii Rish. Co jest bez wątpienia powodem, dla którego generał Keita wybrał właśnie moją kompanię do tej małej przygody. Można uznać, że to nagroda za moje wysiłki, by lepiej zrozumieć wroga.

Truman mimo woli parsknął śmiechem.

- Tak czy inaczej - ciągnęła już poważniej - najlepszym sposobem pokonania obrony *mysorthayak* jest „wyłączenie” jej u źródła. Niektóre koncepcje kodeksu honorowego Rish nie mają ludzkich odpowiedników, ale matriarchinie doskonale rozumieją ideę honorowego poddania się godnemu przeciwnikowi. I jeśli wojenna matka dowodząca tym najazdem rozkaże swoim żołnierzom poddać się, oni to zrobią. Dlatego aby uniknąć konieczności zabicia wszystkich Rish na planecie - i ryzyka utraty wielu własnych ludzi - musimy...

Umilkła, a Truman zrobił wielkie oczy.

- Pani chce uderzyć na ich dowództwo planetarne? - Pokręcił głową. - Straciła pani rozum?

- O ile mi wiadomo, nie - odparła. - Oczywiście zakładam, że to się może zmienić. Póki co jednak właśnie coś takiego mam na myśli. Dlatego byłabym wdzięczna za udostępnienie mi pana raportów i zapisanych danych taktycznych. Chciałabym lepiej rozeznąć się w ich uzbrojeniu i taktyce, podczas kiedy nasz wywiad będzie ustalał, gdzie jest ich kwatera główna.

Rozdział trzydziesty

- I to by było na tyle, Wuju Arthurze. - Alicia siedziała przy stole taktycznym centrum wywiadowczego „Marguerite Johnsen”, naprzeciwko sir Arthura Keity. - Myślę, że Truman miał rację - Jaszczury rzeczywiście mogą pęknąć w tym rejonie - ale jeśli faktycznie są w trybie *mysorthayak*, natarcie byłoby najgorszą rzeczą, jaką możemy zrobić.

- Być może - powiedział Keita. - Właściwie niemal na pewno masz rację. Ale nie byłbym taki pewny, czy to, co ty proponujesz, nie jest następną w kolejności najgorszą rzeczą, jaką możemy zrobić.

Alicia popatrzyła na Keitę z pewną czułością. Przez pięć i pół standardowego roku, odkąd wysłał ją na kurs oficerski, poznała „Buldogę Cesarza” o wiele lepiej niż większość Kadrowiczów. Generał spędzał dużo czasu - ile tylko mógł - w polu, przemieszczając się z jednego punktu zapalnego do drugiego, i kompania Charlie przeprowadziła po Shallingsport jeszcze trzy operacje pod jego osobistym kierownictwem. Żadna z nich na szczęście nie przypominała tamtego koszmaru.

Alicia widywała go częściej niż inni. Dla sir Arthura Keity każdy członek Kadry był ważny, ale Alicia DeVries została jedną z jego osobistych protegowanych. Wiedziała o tym, i mimo wielkiej niechęci do wszystkiego, co kojarzyło się z faworyzowaniem, niezbyt jej to przeszkadzało. Wuj Arthur wychodził ze skóry, dbając o kariery Kadrowiczów, którzy w jego oczach wiele obiecywali, ale wszyscy w Kadrze wiedzieli, że nie pozwoliliby, aby obdarzanie kogoś względami zastępowało oczywiste zdolności... albo usprawiedliwiała ich brak.

Jedną z rzeczy, których Alicia o nim się dowiedziała - choć bardzo starał się to ukryć - był fakt, że mimo tylu dziesiątków lat służby wojskowej, mimo tylu doświadczeń, sir Arthur Keita nałogowo się zamartwiał. Nie swoimi obowiązkami czy odpowiedzialnością, lecz ludźmi będącymi pod jego komendą. Musiał wysyłać ich raz po raz w pole, czasami w sytuacjach niemal równie złych jak w Shallingsport, i robił to bez chwili wahania, ale nienawidził tego, a unikanie wszelkich niepotrzebnych ofiar stało się jego obsesją.

Zwłaszcza kiedy w grę wchodzili jego protegowani, przypomniawszy sobie Alicia.

- Wuju Arthurze - powiedziała. - Damy radę. To może być trochę skomplikowane, ale kompania potrafi to zrobić. A jeśli nam się uda, uratujemy wiele istnień - i to nie tylko ludzkich.

- Alley, doceniam to, co mówisz, ale sir Arthur może mieć rację - powiedział jakiś głos.

Alicia odwróciła się. To był pułkownik Wadysław Watts. Kariera specjalisty wywiadu marines - tak samo jak kariera Alicii - nie ucierpiała z powodu Shallingsport. Jego zwierzchnicy uznali bowiem, że błędy wywiadu podczas tej operacji zostały popełnione na o wiele wyższym szczeblu.

Od tamtej pory pracowała z nim parę razy, ale niedawno odesłano go do regularnej służby w marines i nie wspomagał już Kadry, a Alicia nie mogła narzekać na jego pracę. Wciąż zbyt dla niego nie przepadała i czasami myślała, że to dlatego, iż podświadomie winiła go za Shallingsport. Nielogiczność takiego myślenia sprawiała, że złościła się na samą siebie - i dlatego właśnie starała się być dla Wattsa miłą i uprzejmą.

Nawet jeśli drażni mnie jak cholera, zwracając się do mnie po imieniu, pomyślała kwaśno. Oczywiście jest pułkownikiem, a ja tylko kapitanem, tyle że ja jestem z Kadry, a on jest „tylko” Osą.

Uniosła brew, zapraszając Wattsa, by mówił dalej, a on wzruszył ramionami.

- Mam świadomość, że jestem tu jako przedstawiciel generała Sampsona - powiedział - ale współpracowałem z Kadrą wystarczająco długo, by wiedzieć, że moglibyście tam wejść i prawie na pewno wykonać wszystkie zadania. Uważam jednak, że zaniżasz prawdopodobne straty, ale ty i sir Arthur macie większe doświadczenie bojowe niż ja, więc jestem skłonny w tej kwestii zgodzić się z waszą oceną. Problem w tym, że aby twój plan się powiódł, musiałabyś wziąć wojenną matkę Rish żywcem, a potem przekonać ją, żeby zrobiła to, co chcesz.

Przerwał i pokręcił głową.

- Po pierwsze, zważywszy na prawdopodobną reakcję rishathańskiej wojennej matki na nagłe pojawienie się w jej kwaterze głównej uzbrojonych wrogów, wasze szanse wzięcia jej żywcem są bardzo niewielkie. Po drugie, nawet gdyby wam się to udało, taka Rish, która jest już w *mysorthayak*, prędzej każe wam iść do diabła, niż rozkaże swoim żołnierzom poddać się.

- Ja też właśnie tym się martwię, Alley - wtrącił sir Arthur, kiwając głową. - A jeśli rzeczywiście każe ci iść do diabła, zostaniesz z całą kompanią uwięziona w samym środku ich umocnionej strefy. Jeżeli ją zaminowali, prawdopodobnie odpalą ładunki i wszystkich was zabiją. A jeśli nawet tego nie zrobią, z całą pewnością będą mieli wystarczającą siłę ognia, by w końcu was pokonać.

- Do tego - zauważył Watts - generał Sampson polecił, by jego sztab i ludzie z Floty zaczęli już planować uderzenie hiperszybką bronią, by wyeliminować pozycje Jaszczurów,

jeśli operacja się nie powiedzie. Odkąd jego brygada tu weszła, stracił ponad stu trzydziestu ludzi, ma dużo rannych i nie chce ich tracić więcej na zdobywanie centymetr po centymetrze umocnionych pozycji *mysorthayak*. Nie chciałbym myśleć o najgorszym scenariuszu, kiedy to kompania Charlie znajdzie się w samym środku jego celowników.

- Wuju Arthurze, panie pułkowniku - powiedziała po chwili Alicia. - Musimy zastanowić się, co się stanie, jeśli kompania nie wejdzie do akcji. A z całym szacunkiem, panie pułkowniku, cokolwiek generał Sampson miałby ochotę zrobić, bardzo wątpię, by użycie hiperszybkiej broni było zaakceptowanym politycznie rozwiązaniem.

Nie zważając na to, że Watts nieco się nastroszył, Alicia spojrzała mu prosto w oczy.

- Podsekretarz Abrams ma tu ostatnie słowo, panie pułkowniku - przypomniała mu.

Jesse Abrams był stałym koordynatorem przydzielonym przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych rządowi planety Louvain. Jak dotąd był skłonny dawać wojsku dużo swobody, co dobrze świadczyło o jego inteligencji. Ale ostateczna odpowiedzialność - i władza - należały do niego.

- Generał musiałby uzgodnić z nim wszystkie bombardowania - ciągnęła Alicia - a fakt, że Louvain to Świat Bandycki w samym środku pogranicza Imperium i Sfery, musi być dla niego najważniejszym czynnikiem. - Przeniosła spojrzenie na Keitę. - Wuju Arthurze, czy naprawdę myśli pan, że Abrams zatwierdziłby uderzenie kinetyczne na Louvain, biorąc pod uwagę obecną sytuację tam na dole?

Keita patrzył na nią przez chwilę, potem westchnął.

- Nie - przyznał. - Nie, bardzo wątpię, by to zrobił. - I uśmiechnął się cierpko. - Przemawia przez ciebie punkt widzenia ojca, prawda, Alley?

- Nie, sir. - Odpowiedziała mu uśmiechem. - To jedynie zdrowy rozsądek. Jaszczury mają w obrębie swojego perymetru dwa nieduże miasta i pół tuzina wsi.

- Nasze systemy celownicze są wystarczająco dobre, by je ominąć - wtrącił Watts.

- A broń kinetyczna to „czysta” broń. Ale Abrams będzie się martwił tym, że jeśli dojdzie do dużych strat wśród ludności cywilnej - nawet jeśli to Rish je zadadzą, a nie my - a my zastosujemy orbitalne bombardowanie bronią kinetyczną w zaludnionym rejonie planety, wrogowie Imperium wykorzystają to po swojemu. Co oznacza, że zaroi się od artykułów i informacji w portalach, przedstawiających ze szczegółami, jak to my spowodowaliśmy te wszystkie ofiary. Fakt, że nie będzie w tym strzępka prawdy, nie zatrzyma maszyny propagandowej, prawda?

Watts zacisnął zęby i wbrew sobie ostentacyjnie pokręcił głową.

- Dlatego jeśli my tam nie polecimy, ludzie generała Sampsona mimo wszystko będą

musieli walczyć na ziemi. I wtedy ich straty będą o wiele większe niż te, które ponieśli do tej pory. Nie wspominając o fakcie... - znów przeniosła spojrzenie na Keitę - że im dłużej będą trwały walki, zwłaszcza jeśli Rish założyli ładunki i zaczną je detonować, tym większe prawdopodobieństwo wielkich strat wśród ludności cywilnej. Nie możemy na to pozwolić, jeśli jesteśmy w stanie coś zrobić, by temu zapobiec. Po pierwsze dlatego, że byłoby to złe z moralnego punktu widzenia, a po drugie dlatego, że byłaby to katastrofa polityczna, kiedy propagandziści wzięliby się do pracy.

- Ale... - zaczął Keita i przerwał. Popatrzył ze złością na Alicię, a potem wzruszył ramionami.

- Wygrałaś, Alley - powiedział. - To mi się nie podoba, ale obawiam się, że masz rację, przynajmniej co do konsekwencji prób załatwienia tego jakimś innym sposobem. Po prostu...

Znów przerwał i gniewnie potrząsnął głową, a uśmiech Alicii nieco zgasł.

To nie jest Shallingsport, miała ochotę mu powiedzieć. Tym razem mamy własne dane wywiadu i taktyczne.

Ale oczywiście nie mogła mu tego powiedzieć. Tak samo jak nie mogła przyznać się do obawy, że to jednak będzie drugie Shallingsport.

- W takim razie - powiedziała zamiast tego - wezwijmy tu moich ludzi i niech zaczną przedstawiać plan operacji, który już przygotowaliśmy.

* * *

- Gotowa, skipper? - spytał pierwszy sierżant James Król przez wydzielone łącze dowodzenia.

Alicia podniosła wzrok i zobaczyła najstarszego podoficera kompanii Charlie stojącego obok sierżanta Ludovica Thönesa. Król, jeden z trzech ocalałych z Shallingsport, którzy wciąż służyli w kompanii, jedenaście miesięcy wcześniej odziedziczył dawną posadę Pameli Yussuf, podczas gdy Thönes pełnił podwójną funkcję szefa kompanii i skrzydłowego Alicii. Był z nią nieco ponad trzy standardowe lata - odkąd Alicię awansowano na dowódcę kompanii. Tannis została w tym samym czasie awansowana na porucznika i zaproponowano jej drugi pluton, ale postanowiła wrócić na Starą Ziemię i dokończyć naukę, by zostać w pełni wykształconym lekarzem. Obecnie pracowała w szpitalu Johns Hopkins/Bethesda w Charlotte, tym samym, w którym Fiona DeVries była ordynatorem chirurgii.

Alicia bardzo za nią tęskniła, ale pozostawały w bliskich kontaktach, a Tannis zaprzyjaźniła się z jej matką. Właściwie poznała całą rodzinę Alicii i stała się niemal ich trzecią córką. Decyzja Tannis nie zaszkodziła jej perspektywom zawodowym. Kadra zawsze

miała chroniczne braki personelu medycznego, więc została przydzielona do JHB w ramach planu przygotowania jej do większych i lepszych rzeczy.

Ale postanowienie kontynuowania kariery medycznej sprawiło, że pluton dostał się w ręce porucznik Angelique Jefferson. Alicii brakowało pełnego opanowania rozeznania taktycznego Tannis, tak samo jak tego, że Cateau już nie kryje jej pleców. Ale Jefferson była dumą swojego plutonu, a Alicia i Thönes stali się sprawnie działającym zespołem.

- A co każe wątpić w moją gotowość, sierzancie? - spytała surowo.

- No, daleki jestem od sugestii, że czasem bywa pani trochę powolna, skipper - odparł uśmiechnięty wesoło Król. - Tannis, zdaje się, mówiła coś o „spóźnieniu się na własny pogrzeb”, czyż nie?

- To był tylko jeden raz - odparła z godnością. - I chodziło jedynie o misję treningową, a poza tym ta usterka zbroi to nie była moja wina.

- Jak tam pani chce, skipper - powiedział pojednawczo Król i oboje parsknęli śmiechem.

- Poważnie, skipper - podjął po chwili sierżant - jesteśmy gotowi wejść do rur.

- W takim razie chyba najlepiej ładować się i do roboty - odparła Alicia i przełączyła się na obwód ogólny.

- Wszystkie jednostki, tu Wycior - powiedziała. - Jedziemy, ludzie. Pora zatańczyć.

* * *

„Marguerite Johnsen” sunęła nad planetą Louvain po orbicie parkingowej. Rish na powierzchni planety byli wyposażeni w dużą ilość broni przeciwlotniczej o ostrzale sięgającym aż poza skraj atmosfery, ale transportowiec Kadry był daleko poza ich zasięgiem. To się jednak miało zmienić, kiedy żołnierze znajdą się w rurach desantowych. Alicia leżała na pozycji zrzutowej numer jeden i czuła, jak napinają jej się mięśnie brzucha.

Nie bądź taką nerwową suką, złajala samą siebie. W końcu to ty wymyśliłaś ten genialny plan.

- Wszystkie jednostki, przygotować się do zrzutu za pięć minut - powiedział cyber-synth „Marguerite Johnsen” i Alicia wzięła głęboki oddech.

Rzeczony pięć minut zdawało się wlec całą wieczność, a potem rozbrzmiał sygnał trzydziestu sekund. Alicia jak zwykle pomyślała o tym, w jaki sposób dodać wszystkim odwagi. I również jak zwykle postanowiła nic nie mówić. Jej ludzie nie muszą wysłuchiwać, jak opowiada, że w nich wierzy, tylko po to, żeby uspokoić własne nerwy.

A potem katapulta chwyciła jej uprząż i wyrzuciła ją z rury.

Alicia obserwowała na mentalnym wyświetlaczu, jak reszta kompanii wystrzela z rur

desantowych z prędkością staroświeckiego karabinu maszynowego - tak jak się spodziewała, rozkład był idealny - a później spojrzała na pędzącą na jej spotkanie planetę.

Atmosfera Louvain poczęła zakwitać ognistymi łzami spadającymi na powierzchnię planety. Były ich dziesiątki - setki - i Alicia uśmiechnęła się. Reakcja generała Sampsona na jej „prośbę” zrzutu dywersyjnego była... nieco nerwowa. Tak naprawdę nie mógł odmówić, skoro osobą popierającą jej pomysł był sam generał brygady Arthur Keita. Ale nie był zbyt szczęśliwy, że musi przeznaczyć czterdzieści dwa procent wszystkich swoich uprząży desantowych na pozorowany zrzut. Właściwie zasugerował nawet dość jadownicie, że skoro to operacja Kadry, może „Marguerite Johnsen” powinna dostarczyć sprzęt. Ale Keita wytknął mu, że uprząż desantowa Kadry kosztuje mniej więcej trzy razy tyle co marines, i Sampson musiał się poddać.

A tymczasem rishathańscy obrońcy obserwowali, jak ich sensory zapychają się dziesiątkami całkiem autentycznych sygnatur zrzutu. Co gorsza, nie sposób było odróżnić uprząży niosących istoty ludzkie od pustych, a do tego wszystkie konfiguracje desantowe, nie tylko ta kompanii Charlie, były obficie poprzetykane platformami broni elektronicznej.

Z perspektywy Rish musiało to wyglądać na desant pełnej brygady marines, aby umieścić przeważającą siłę ognia wewnątrz ich zewnętrznego perymetru. Alicia i jej dowódcy plutonów rozmyślnie skierowali zrzuty dywersyjne na takie pozycje, jakie wybrałyby Osy, gdyby rzeczywiście tak było. Do tego posłali kilka zrzutów na cele, które nie miały żadnego militarnego znaczenia, by w ten sposób zmylić Rish. Mieli nadzieję, że wróg uzna, iż prawdziwy zrzut kompanii jest tylko jeszcze jedną operacją odwracającą ich uwagę od „prawdziwego” celu. W końcu punkt dowodzenia planetarnych sił inwazyjnych był najciężej umocnionym kawałkiem ziemi na całej planecie. Znajdował się także w samym środku przyczółka obcych, co oznaczało, że chcąc do niego dotrzeć, trzeba było przebić się przez ponad dwieście kilometrów umocnionych pozycji.

Ogólnie rzecz biorąc, nie był to cel, dla którego generał brygady marines poświęciłby swoich żołnierzy, a Alicia miała wielką nadzieję, że sztab Theryian wyciągnie z tego odpowiednie wnioski.

Niestety był tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić; weszła w atmosferę Louvain i stała się jeszcze jedną ze spadających ognistych łez.

* * *

- Iglica, tu Wycior. Mów do mnie, James!

- Wycior, tu Iglica - potwierdził spokojnie pierwszy sierżant Król. - Trochę nas

rozzruciło, skipper. Ale to drobiazg. Właśnie spędzam zagubionych.

Alicia prychnęła. Ona sama nie powiedziała, że „trochę ich rozrzuciło”... chociaż, poprawiła się, może i powiedziała, kiedy sama była sierżantem. W końcu jednym z obowiązków sierżanta jest dbanie o to, żeby oficerowie nie musieli się przejmować drobiazgami.

- Dobra, Iglica - powiedziała, wciąż sadząc długimi susami zbroi bojowej. - Pozbieraj ich i przyprowadź do mnie. Kieruję się do PZ Tygrys.

- Potwierdzam, szefie. Do zobaczenia za chwilę.

- Oby - mruknęła i z powrotem skupiła uwagę na HUD-zie.

Opis Króla był właściwie całkiem akuratywny, pomyślała. Kompania dotarła na ziemię, nie tracąc ani jednego żołnierza, co oznaczało, że Jaszczury dały się nabrać na ich plan dywersji. Uznały prawdziwy zrzut za oczywistą zmyłkę i postanowiły nie marnować na niego siły ognia obrony.

Teraz jednak, kiedy kompania Charlie znalazła się już na ziemi, Rish robili co mogli, by naprawić niedopatrzenie. Kadrowicze byli pod ciężkim ostrzałem ze wszystkich stron, ale rozpoznanie przed zrzutem było bezbłędne. W przeciwieństwie do Shallingsport, kompania dokładnie wiedziała, gdzie są przygotowane pozycje wroga, i do każdego gniazda ciężkiej broni, które miało pole ostrzału na SL, przydzielono konkretne skrzydło.

Jedno czy dwa z tych skrzydeł wylądowały za daleko od wyznaczonych pozycji, by móc od razu zaatakować, dlatego Alicia kazała dowódcom plutonów przygotować plan awaryjny. Teraz żołnierze kompanii Charlie organizowali się sprawnie w kurzu i dymie nadlatujących pocisków z moździerzy, którym towarzyszyło wycie wielkokalibrowych penetratorów, i szybko zajmowali swoje pierwotne lub awaryjne pozycje. Alicia przeprowadziła desant w ciężkiej konfiguracji. Sześć z dziewięciu skrzydeł każdej drużyny było uzbrojonych w karabiny plazmowe i wyrzutnie hiperszybkich rakiet, i kiedy zielone ikonki na HUD-zie Alicii ruszyły falą na pomarańczowe ikonki okopanej ciężkiej broni i piechoty Rish, pomarańczowe ikonki zaczęły znikać.

Rish byli mistrzami (czy raczej mistrzyniami) umocnień polowych. Okopywali broń głęboko, z doskonałymi polami ostrzału, ale kompania Charlie przywiozła ze sobą siłę ognia odpowiadającą co najmniej dywizji z ery prekosmicznej. Każda wyrzutnia rakiet miała tylko trzy pociski, ale każdy z nich po trafieniu w cel eksplodował kulą ognia o sile kilotony. Nawet najlepiej zabezpieczone pozycje nie mogły przetrwać takiego ataku.

Operatorzy plazmy zostawili najmocniej okopane pozycje swoim skrzydłowym z wyrzutniami, a sami zajęli się niszczeniem umocnień na powierzchni i pikiet piechoty

kryjących flanki gniazd ciężkiej broni. Tu i ówdzie operator plazmy Kadry posyłał z hukiem ładunek prosto w strzelnicę bunkra, zmieniając go w fuzyjne krematorium.

- Medyk! Medyk! - usłyszała Alicia i zakłęła pod nosem, kiedy kapral Sosa, jeden z żołnierzy trzeciego plutonu porucznika Akamy Alvesa, padł. Jego ikonka zamigotała, wskazując na ciężkie uszkodzenie zbroi, a monitor jego oznak życiowych wysłał kod obrażeń zagrażających życiu.

Skrzydło Sosy, kapral Frederica Stone, już przy nim była i wciągała go pod osłonę gwałtownie płonącego rishathańskiego bunkra, a zaraz potem Alicia zauważyła ikonkę z kaduceuszem oznaczającą medyka trzeciego plutonu, który pędził do nich wielkimi susami.

Następna zielona ikonka zgasła i Alicia zakłęła bardziej siarczyście. Tym razem ikonka nie migotała; w jednej chwili, kiedy kapral Harold Madsen przyjął na tors ładunek rishathańskiej plazmy, nabrała barwy krwawej czerwieni.

To nie powinno było się zdarzyć, pomyślała jakimś zakątkiem umysłu. To gniazdo powinno być już zdjęte przez...

Ale już po chwili gniazdo było zlikwidowane - niemal zanim strzaskana zbroja Madsena spadła na ziemię - tak samo jak żołnierz Rish, który wyskoczył nie wiadomo skąd i strzelił. Tak się po prostu zdarza. Murphy przypomina ludziom, że niezależnie od tego, jak dokładnie coś zaplanowali, ostatnie słowo i tak zawsze należy do niego.

- Tygrys-Jeden, tu Wycior - powiedziała Alicia, odsuwając od siebie tę myśl. - Zbliżam się do twojego punktu zbornego z godziny ósmej.

- Wycior, tu Tygrys-Jeden - odparła porucznik Jefferson. - Mam panią i Ludovica na HUD-zie, skipper.

- Miło mi to słyszeć - powiedziała sucho Alicia, pędząc razem z Thönesem szlakiem zniszczonych, rozbitych, płonących punktów oporu Rish, które ludzie Jefferson pozostawili za sobą. Byłoby co najmniej zawstydzającą rzeczą dać się zastrzelić komuś ze swoich.

Alicia i Thönes pokonali jednym susem ostatnich kilkanaście metrów i porucznik Jefferson machnęła do swojego dowódcy opancerzoną ręką.

- Tutaj, skipper!

Alicia podeszła do niej i klepnęła ją w ramię.

- Masz coś przeciwko temu, żebyśmy ja i Ludovic przejechali się z wami, Angelique?

- Oczywiście, że nie, szefie - zapewniła ją Jefferson. Jasne, że nie mogła powiedzieć „nie”, pomyślała Alicia, ale pewnych formalności należy przestrzegać nawet w samym środku pola bitwy.

- Erik ma twoją lewą flankę - powiedziała, nachylając się do Jefferson, by mogły widzieć

swoje twarze przez pancerne zasłony, i podświetliła na HUD-zie porucznik ikony pierwszego plutonu.

- Maksymalnie za dziewięćdziesiąt sekund zdejmie to ostatnie gniazdo kaliope, a Akama i jego ludzie już zabezpieczyli cały łuk po twojej prawej.

- Bardzo dobrze. - Jefferson z zadowoleniem pokiwała głową, a potem spojrzała na Alicię z drapieżnym uśmiechem. - Po drodze oczyściliśmy wszystko, żeby nie mogli nas zająć z tyłu, skipper.

- Zauważyłam.

- Kiedy tylko Erik zdejmie tę kaliope, idziemy. - Jefferson spojrzała w kierunku wspomnianej kaliope, która broniła podejścia do wyjątkowo groźnego bunkra seriami penetratorów, które mogłyby zatrzymać transporter opancerzony, a nie tylko zbroję bojową. - Nie chcę...

Zasłona Alicii spolaryzowała się, kiedy oślepiający wybuch unicestwił gniazdo kaliope. Fala termiczna i uderzeniowa eksplozji hiperszybkiej rakiety przetoczyła się po niej i Jefferson jak ognista pięść, ale automatyczne systemy stabilizujące zbroi zdołały utrzymać je na nogach.

- To by było na tyle - zauważyła porucznik i włączyła ogólną częstotliwość plutonu.

- Wszystkie Tygrysy - powiedziała. - Pierwszy pluton właśnie zdjął parę niesympatycznych Jaszczurów, które mogły mieć coś przeciwko naszej obecności tutaj. Skoro porucznik Andersson i jego ludzie zajęli się tym drobiazgiem... - uśmiechnęła się do Alicii - zapraszam do tańca.

* * *

Jako dowódca kompanii Alicia nie miała już co robić w pierwszym szeregu takiej strzelaniny. Wiedziała o tym i w normalnych okolicznościach trzymałaby się z dala, niezależnie od tego, czy by jej się to podobało, czy nie, ale tym razem nie mogła. Nie dość, że ona i Ludovic Thönes byli jednym z niewielu skrzydeł uzbrojonych w karabiny, to jeszcze była kompanijnym ekspertem od Rish.

Pozwoliła Jefferson i jej ludziom poprowadzić pierwsze natarcie na bunkier dowodzenia Rish. Pluton bezbłędnie przeprowadził atak, zwłaszcza że w tak bezpośredniej walce cięższa broń używana przez piechotę Rish traciła wiele ze swej przewagi. Zbroja bojowa Rish była o wiele bardziej wytrzymała niż standardowy sprzęt marines. Właściwie była nawet mocniejsza niż zbroja Kadry, ale z odpowiednio bliskiego dystansu karabin szturmowy Kadrowiczów całkiem dobrze radził sobie z jej przebijaniem. A to, że atakujący ludzie byli podpięci

bezpośrednio do systemów swoich sensorów i nie potrzebowali fizycznego interfejsu pokładowych komputerów broni i zbroi, dawało im zabójczą przewagę. Połączenie tik-taka i o wiele lepszego rozeznania sytuacji oznaczało po prostu szybsze i o wiele skuteczniejsze reakcje Kadry niż to, do czego byli zdolni Rish.

Drugi pluton oczywiście napotkał na opór. Drużyny Jefferson straciły jeszcze siedmiu ludzi - nikt z nich na szczęście nie zginął, choć Alicii nie podobały się widoczne na jej monitorze medycznym wskaźniki stanu kapral Inglewood - ale kiedy pluton wdarł się już do bunkra dowodzenia, miał nad rishathańskimi obrońcami przewagę liczebną dwóch do jednego. Walka była krótka, zacięta i brzydka - jak zawsze, kiedy walczący strzelają do siebie z karabinów plazmowych z odległości trzech metrów.

- Pandora! - krzyknął jeden z żołnierzy Jefferson. - Mam Pandorę!

- Wszystkie Tygrysy - powiedziała natychmiast porucznik. - Pandora, powtarzam, Pandora! Uwaga na tę plazmę, ludzie!

Nadeszły potwierdzenia i tempo walki nagle się zmieniło. Trzecia drużyna Jefferson, która miała za zadanie osłaniać tyły dwóch pozostałych, kiedy te wdzierały się do bunkra, wciąż zaciekle zmagала się z piechotą Rish, która usiłowała dostać się tam za atakującymi ludźmi. W płonących, pozawalanych korytarzach, którymi ludzie już przeszli, panował względny spokój. Czoło kolumny zwolniło, kiedy operatorzy plazmy prowadzący natarcie zatrzymali się, przepuszczając kolegów z karabinami.

Alicia i Thönes precyzyjnie przeszły przez stojące szeregi żołnierzy i dołączyli do sześciu skrzydeł strzelców.

- Skipper - powiedziała Jefferson na wydzielonym łączu dowodzenia. - Naprawę nie musi pani...

- Trzymaj się planu operacji, Angélique - skarciła ją Alicia z uśmiechem. - Wiesz dlaczego.

- Tak, ma'am. - Jefferson westchnęła jak uczeń obiecujący, że tym razem już na pewno się nauczy. - W takim razie kiedy będzie pani gotowa, skipper - dodała na sieci ogólnej, a Alicia parsknęła śmiechem.

- Dobra, ludzie. Pora zatańczyć.

* * *

Podczas ostatniego szturmego Alicia spodziewała się fanatycznej obrony naładowanych *mysorthayak* matriarchiń i sporych własnych strat, ale tak się nie stało.

Z wielkiej, słabo oświetlonej komory w samym sercu bunkra dowodzenia wyłoniła się

samotna dwójka pancernych Rish. Kiedy tylko Kadrowicze minęli zakręt korytarza, otworzyły ogień, ale były uzbrojone w kaliope, a nie karabiny plazmowe, aby fala powrotna ich własnej broni nie zmieniła komory w płonące zgliszcza - takie, jakie pozostawiał po sobie drugi pluton.

Ciężkie penetratory mogłyby zabić lub okaleczyć każdego trafionego Kadrowicza, ale żołnierze Jefferson wiedzieli, że Rish tam są. Taktyczne czujki, które wrzucili zza zakrętu, pokazały im dokładnie, gdzie ustawił się przeciwnik.

Tak więc nacierający strzelcy Kadry mieli broń nakierowaną na cele już wtedy, kiedy oddzielała je od nich gruba ściana, i mogli zacząć strzelać w chwili, kiedy tylko lufy ich karabinów wysunęły się zza zakrętu - czyli zanim obrońcy mogli to zrobić.

Obie opancerzone Rish padły, kiedy penetratory karabinów szturmowych strzaskały ich hełmy i ukryte w nich grube czaszki. Jedna zdążyła jeszcze strzelić serią pocisków z kaliope, kiedy jej dłoń zacisnęła się w śmiertelnym uścisku na spuście. Jeden z pocisków trafił kapral Carlottę Mastroianni w prawą nogę. Zbroja wytrzymała, ale Mastroianni runęła na ziemię, gdyż potężny penetrator rozwalił „mięśnie nogi” pancerza.

Alicia ucieszyła się, że uraz Kadrowiczki był tak drobny, ale zaraz sama musiała się skulić, kiedy inne pociski z wyciem i wizgiem zaczęły rykoszetować po komorze dowodzenia. Komputery, konsolety łączności i repetery taktyczne eksplodowały w fontannach iskier, fruwających szczątków i kabli. Razem z nimi zginęło kilkunastu oficerów i techników Rish.

- Teraz! - krzyknęła Alicia i pozostałe skrzydła strzelców zaszarżowały razem z nią w chaos i dym. Ich sensory zapewniały im idealną widoczność, czego nie można było powiedzieć o nieopancerzonych Rish.

Szkoda, że nie możemy od razu wystrzelać tych krwiożerczych suk, pomyślała z zajądłością Alicia, przebijając się przez biegające wokół na wpół oślepione matriarchinie. Ale niestety nie mogli. Jeszcze nie teraz.

Pozwoliła, by jej karabin skoczył w „bezpieczną” pozycję, po czym wyciągnęła nóż siłowy.

- Pilnuj moich pleców!

- Jasne, skip - odparł lakonicznie Thönes i Alicia rzuciła się w sam środek ocalałych Rish.

Jedna z matriarchiń w pasywnej zbroi zobaczyła ją albo wyczuła i wymierzyła w jej stronę „pistolet” wielkości obrzyna ludzkiego karabinu. Alicia złapała za lufę. Jej zbroja bojowa była mocniejsza niż Rish, ale matriarchini przewyższała ją masą, i Alicia pojechała po podłodze, kiedy Rish pociągnęła broń do siebie.

Dość tego!, pomyślała i jej ostrze siłowe spadło na przedramię rywalki.

Matriarchini zatoczyła się w tył, tryskając krwią z kikuta ręki, a wtedy Alicia rzuciła się w wyłom. Jej pancerny łokieć trafił w kregosłup innej Rish, łamiąc go, a nóż siłowy ściął trzecią.

Byłoby o wiele prościej, pomyślała, patrząc na krzykliwe zdobienia napierśników, które tylko ona potrafiła odczytać, gdyby ci ludzie... Tam!

- Królowa! - krzyknęła na sieci plutonu. - Królowa!

Zaszarżowała, przebijając się przez górujące nad nią matriarchinie. Jedna z nich - sądząc po oznaczeniach zbroi, wojenna matka z dość wysokim stopniem - musiała zdać sobie sprawę, kto jest celem ataku Alicii, gdyż rzuciła się na nią, rozkładając szeroko ramiona w samobójczym ataku, i nadziała się na ostrze siłowe. Bezgłowy trup upadł na ziemię, a Alicia przesadziła go susem, który zakończył się potężnym zderzeniem z inną Rish.

Obie runęły z hukiem na ziemię, przy czym matriarchini straciła swoją broń. Przez chwilę przetaczały się po podłodze - obca wiała się wściekle w uścisku Alicii, usiłując zrzucić ją z siebie - po czym zerwały się i wpadły na ścianę komory. Zbroja Alicii bez trudu wytłumiła uderzenie, a jej uścisk jedynie stał się silniejszy. Wyłączyła pole noża i wyrznęła Rish płazem jego rdzenia z ciężkiego stopu w bok głowy. Matriarchini zachwiała się, lekko oszołomiona, a wtedy Alicia przyłożyła jej jeszcze raz.

Cholera, jak twarda jest rishathańska czaszka?, pomyślała. Jeśli walnę ją za mocno...

Po drugim ciosie pod Rish ugięły się kolana, a Alicia włączyła głośniki zbroi.

- Mam waszą matkę szeregow! - krzyknęła, a SI zbroi automatycznie przetłumaczyła to na Wysoki Rish. Piskliwe warknięcia wypełniły komorę i wszystkie Rish natychmiast znieruchomiały.

- Jej życie jest moje, nie wasze! Ustąpcie albo wezmę to, co moje!

Jej wzmocniony głos przetoczył się z hukiem po podziemnej komorze... i w tym momencie wszystkie matriarchinie runęły na kolana.

* * *

- Mój Boże, skipper - powiedziała cicho Angelique Jefferson na obwodzie dowodzenia. - Naprawdę nie byłam pewna, czy tym razem pani wie, o czym mówi.

- O, wy małej wiary - odparła Alicia, wciąż stojąc nad cielskiem swojego jeńca z ostrym jak brzytwa nożem w pogotowiu, podczas gdy żołnierze Jefferson zaczęli zbierać porzuconą przez Rish broń. Matriarchinie zachowywały się biernie, niemal apatycznie, kiedy ludzie zapędzali je w drugi koniec wielkiej, zasłanej trupami sali dowodzenia.

- Nigdy nie słyszałam, żeby Jaszczury tak się poddały - powiedziała Jefferson niemal przeprasającym tonem.

- Takie już są. Nie bez powodu nazywamy ich matriarchiniami.

Alicia czekała, aż będzie pewna, że jej ludzie dobrze panują nad sytuacją. Dwie trzecie bunkra dowodzenia już było zajęte; teraz skrzydła uzbrojonych w karabiny plazmowe Kadrowiczów rozbiegły się, aby przechwycić resztę. Mając w ręku główną wygraną, Alicia była przekonana, że już niedługo Kadra zajmie cały bunkier.

Co oznaczało, że mogła przejść do następnego etapu planu.

Ogłuszona Rish zaczęła się poruszać. Nawet siedząc na podłodze, półprzytomna matriarchini sięgała czubkiem grzebienia na głowie do piersi Alicii.

- Twoje życie należy do mnie - powiedziała przez SI zbroi, pochylając się nad powaloną Rish. - Twoje córki szeregów poddały się, by je ocalić. Teraz ty się poddaj, by ocalić ich życie.

Niemrawa Rish znów się poruszyła - nie próbowała uciec, tylko uruchomić z powrotem myślenie - więc Alicia przycisnęła płaz ostrza do szyi matriarchini.

- Nie poddałaś się - powiedziała beznamiętnie. Przez chwilę panowała cisza, a potem rozległ się dziwaczny, przypominający trel na dudach, głos w Wysokim Rish.

- Poddaję się - przetłumaczyła SI Alicii. - Oszczędź moje córki.

- Ich życie za twoje życie - zgodziła się Alicia i puściła jeńca.

Niejednen Kadrowicz poruszył się niespokojnie, kiedy olbrzymia matriarchini zaczęła się podnosić. Ale Alicia stała tylko i czekała, aż Rish pochyli głowę w formalnym geście poddania się.

- A więc jestem twoim jeńcem - powiedziała matriarchini. - Czyń ze mną, co zechcesz.

- Nie chcę cię zabijać - odparła. Rish popatrzyła na nią, otwierając szeroko oczy - piękne złote oczy, pomyślała Alicia, osadzone w ohydnej gadziej masce.

- Czego więc chcesz?

- Oszczędzę cię, twoje córki szeregów i wojenne córki. Pozwolę im żyć i powrócić do domu z honorem; nie chcę, by moje siostry szeregów i one zabijały się nawzajem bez potrzeby.

- I dlatego przedarłaś się do środka mojej Sfery i pokonałaś mnie w walce wręcz, aby życie zwyciężyło śmierć - odparła Rish.

- Czy nie tak postępowały matki Sfery od dnia Pierwszego Jaja?

- W rzeczy samej. Ale tylko między sobą. Ty nie należysz do Ludu.

- A mimo to trzymam twoje życie w swojej dłoni. Jest moje, wygrałam je uczciwie w

honorowej walce.

- W rzeczy samej - powtórzyła Rish i skłoniła się nisko. - A mimo to są wygrane i wygrane, matko wojny.

Alicia poczuła wielką ulgę, kiedy Rish obdarzyła ją rishathańskim honorowym tytułem, ale coś w mowie jej ciała nadal ją niepokoiło.

- Moje imię - powiedziała Rish - to Shernsiya *niha* Theryian, *farthi chir* Theryian. Nie mogę ci dać tego, czego szukasz.

Alicia gapiała się na nią ze zdziwieniem. Spodziewała się wysokiej rangi matki wojny Klanu Theryian, a nie jego *farthi chir*, i teraz nie bardzo wiedziała, jak sobie poradzić z tak nieoczekiwanym rozwojem wypadków.

- Skipper? - spytała po chwili porucznik Jefferson na ich prywatnym wydzielonym kanale. - Co się dzieje, skipper?

- To... - Alicia znów spojrzała w złote oczy Shernsiyi. - Po prostu nie spodziewałam się tego - powiedziała cicho.

- Czego, skipper? Nie jestem takim jak pani ekspertem od Rish.

Oczy matriarchini były coraz większe i wpatrywały się uważnie w twarz Alicii, a szkarłatne grzebienie na jej głowie jeden po drugim składały się. Zupełnie jakby Rish próbowała mi coś powiedzieć, pomyślała.

I wtedy zrozumiała.

- Jesteś matką wojny matek wojny, Shernsiyo *niha* Theryian, *farthi chir* Theryian - powiedziała cicho.

Jeszcze przez chwilę patrzyła w oczy olbrzymiej Rish, a potem niemal niedostrzegalnie skłoniła się, wyjęła pistolet i trzykrotnie strzeliła matriarchini w pierś.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

- Skipper!

Angelique Jefferson gapiała się na Alicię z przerażeniem i niedowierzaniem, kiedy Shernsiya zadygotała od uderzeń pocisków i z hukiem runęła na ziemię.

A potem porucznik odwróciła się do pozostałych rishathańskich jeńców, unosząc broń do strzału w oczekiwaniu na ich szaloną szarżę.

Ale żadnej szarży nie było. Zamiast tego rozległo się piskliwe rishathańskie zawodzenie i klęczący jeńcy pochylili się, dotykając twarzami podłogi.

Jefferson pozwoliła, by jej karabin plazmowy powrócił do „bezpiecznej” pozycji, i powoli odwróciła się z powrotem do Alicii. Ale ona nie patrzyła na swoją porucznik. Klęczała obok Shernsiyi z dłonią na potężnej, ciężko unoszącej się i opadającej piersi Rish.

- Składam podziękowania... matko wojny - wykrztusiła śmiertelnie ranna matriarchini.

- To była twoja decyzja, *farthi chir* - odparła cicho Alicia.

- Faktycznie. - Rish zaśmiała się chrapliwie. - Ale nie mogłam ci powiedzieć. Jestem zaszczyczona, że zgadłaś.

Patrzyły na siebie przez chwilę, a potem Rish machnęła ręką w kierunku pozostałych więźniów.

- Muszę mówić z moją najstarszą córką - powiedziała, dysząc z bólu.

Alicia kiwnęła głową.

- Przepuścić ją! - powiedziała ostro do Jefferson. Porucznik przytaknęła, ale był to raczej wyraz posłuszeństwa niż zrozumienia.

Wywołana Rish ukłękła przy Shernsiyi i położyła szponiastą dłoń na piersi umierającej matriarchini, tuż obok dłoni Alicii.

- Jestem tu, matko matek - powiedziała.

- Dobrze, Rethmeryk - westchnęła Shernsiya i jej dłoń poruszyła się, wskazując Alicię.

- Ta matka wojny ludzi dała ci życie, najstarsza córko. Weźmiesz je, a wszystkie moje córki wraz z tobą. Wydasz rozkaz, którego ja nie mogę wydać, i wyprowadzisz je stąd z powrotem do ich własnej sfery. Wraz z moją śmiercią honor klanu na powrót pozostanie nieskalany. Mianuję cię *farthi chir* i rozkazuję wspominać z szacunkiem tę matkę wojny, która zwróciła naszemu klanowi jego życie.

- Jak rozkażesz, tak się stanie, matko matek - odparła Rethmeryk i odwróciła się do Alicii.

- Jak mamy cię zwać w annałach Klanu Theryian, matko wojny? - spytała.

- Nazywam się DeVries, Alicia DeVries - odparła, a Rethmeryk wzdrygnęła się i spojrzała na Shernsiyę.

Umierająca matriarchini wyglądała na równie zdziwioną, jak jej córka szeregów.

- Idź, najstarsza córko - powiedziała cicho. - Dostrzegam tu rękę największej matki.

- Tak, matko matek - przytaknęła Rethmeryk i spojrzała na Alicię. - Matko wojny, czy mogę użyć waszego sprzętu łącznościowego?

- Możesz - zgodziła się Alicia, nie odrywając spojrzenia od twarzy Shernsiyi.

- Skipper? - Jefferson wydawała się już zupełnie zdezorientowana.

- Dajcie jej użyć koma, Angelique - powiedziała Alicia. - Musi przekazać rozkaz poddania się.

- Tak po prostu? Poddadzą się po czymś takim?

- Zwłaszcza po czymś takim.

Jefferson popatrzyła na nią uważnie, a potem głęboko odetchnęła i kiwnęła głową.

- Jak pani chce, skipper - powiedziała i przywołała Rethmeryk do ocalałej konsoly łącznościowej.

- Matko wojny Alicio - wyszeptała Shernsiya - ty i ja nie pierwszy raz ze sobą walczyliśmy, choć o tym nie wiesz, gdyż wtedy nie spotkałyśmy się twarzą w twarz. Miałaś nigdy się o tym nie dowiedzieć. Ale największa matka kieruje wszechświatem wedle swojej woli, i ja nie wpadłabym w twoje ręce ani ty nie ocaliłabyś moich córek szeregów, gdyby ona tego nie chciała.

- Dar za dar, matko wojny. Nie sądzę, byś była mi wdzięczna za mój dar, ale na stał w twojej duszy, honor w twoich rękach i prawdę w twoich ustach, dostaniesz go, i myślę, że posiadanie go będzie dla ciebie warte cierpienia.

Alicia klęczała nieruchomo ze wzrokiem utkwionym we wspaniałych złotych oczach.

- Rozkaż swoim córkom wojny odstąpić, matko wojny Alicio. Mój dar jest przeznaczony tylko dla ciebie.

- Dajcie nam trochę przestrzeni, Angelique - rozkazała Alicia, nie podnosząc głowy. - Ty też, Ludovic.

Jej skrzydłowy sprawiał wrażenie, jak zamierzał zaprotestować, ale po krótkiej chwili wahania przeszedł za Jefferson na drugą stronę komory.

- Dziękuję, matko wojny - powiedziała Shernsiya. - A teraz słuchaj uważnie, bo mój czas

jest krótki.

* * *

- To było coś, pani kapitan DeVries! - zawołał radośnie major marines, kiedy Alicia przestąpiła wewnętrzny właz okrętu dowodzenia/transportu HMS „MacArthur”. - O rany, nigdy nie słyszałem, żeby Jaszczury tak się zwijały!

- Cieszę się, że się udało - odparła; mówiła beznamiętnie, z roztargnieniem, ale marine chyba tego nie zauważył.

- Ja też. Kupa innych Os na pokładzie tego wiadra będzie chciała postawić pani drinka!

- Na pewno coś da się z tym zrobić. - Alicia uśmiechnęła się przelotnie, a major parsknął śmiechem.

- Miejmy nadzieję, że ma pani skrzela. A tymczasem czym mogę pani służyć?

- Muszę porozmawiać z pułkownikiem Wattsem, dlatego porwałam jedną z waszych łodzi, zamiast czekać na szalupy „Marguerite Johnsen”.

- Nie ma sprawy, pani kapitan. To znaczy... eee... gdyby była pani łaskawa zostawić zbroję w Kostnicy.

- Da się zrobić.

- W takim razie, pani kapitan, proszę za mną.

* * *

Alicia szła korytarzem w stronę sekcji „MacArthura” wydzielonej dla oficerów sztabowych Sił Ekspedycyjnych. Rozmowny major, który przywitał ją przy służbie, uparł się, by ją osobiście odprowadzić. Czowała na sobie liczne zaciekawione spojrzenia, gdy tak szła za nim w praktycznym obcisłym kombinezonie, który nosiła pod zbroją. Większość rzucających te spojrzenia wiedziała, kim jest, i trzymali się na dystans, za co była im bardzo wdzięczna.

- Jesteśmy na miejscu, pani kapitan DeVries - powiedział major i kiwnął głową dwóm marines z opaskami policji okrętowej stojącym pod drzwiami centrum wywiadowczego.

- Kapitan DeVries do pułkownika Watta - powiedział.

- Tak jest, sir - odparł starszy stopniem wartownik i usunął się na bok.

- Alley! - Watts podniósł z uśmiechem wzrok, kiedy weszła do środka. - Cudowna robota. Po prostu cudowna! Wiem, że miałem wątpliwości, ale ty i kompania Charlie znów daliście radę.

- Dzięki - odparła Alicia, zastanawiając się, jakim cudem tym razem nie wrzeszczy.

- Co mogę dla ciebie zrobić?

- Muszę z panem porozmawiać - powiedziała, rozglądając się po pomieszczeniu. - Na osobności. - Uśmiechnęła się przeprasząco do innych obecnych tutaj marines. - Obawiam się, że to raczej tajne sprawy.

Watts patrzył na nią przez chwilę, nieco pochmurniejąc, a potem wzruszył ramionami.

- Nie ma sprawy - powiedział. - Zapraszam do mojego gabinetu.

I ruszył bocznym korytarzem do o wiele mniejszego pomieszczenia. W drzwiach przepuścił Alicię przodem, wszedł za nią i usiadł za biurkiem.

- Proszę, siadaj. - Wskazał jedno z dwóch krzeseł stojących przed biurkiem.

- Nie, dziękuję - odparła. - Za bardzo mnie nosi adrenalina.

- Chyba nic dziwnego.

Alicia zaczęła chodzić w tę i z powrotem po ciasnym pomieszczeniu. Watts obserwował ją przez kilka chwil, potem odchrząknął.

- Mówiłaś, że musisz ze mną porozmawiać - przypomniał jej.

- Tak. Tak, mówiłam.

Przestała chodzić i stanęła na wprost Wattsa.

- Proszę mi powiedzieć, panie pułkowniku... Wadislawie - spytała po chwili - od jak dawna służy pan w wywiadzie?

- Słucham? - Watts zrobił zdziwioną minę, a usta Alicii wykrzywiły się w uśmiechu.

- Niech mi pan wierzy, to bardzo ważne. Od jak dawna?

- Od skończenia Akademii - powiedział wolno. - Na przedostatnim czy ostatnim roku zainteresowało się mną Biuro Wywiadu Wojskowego. Czemu pytasz?

- Jeszcze przed Shallingsport Vartkes Kalachian... Pamięta go pan? To jeden z chłopaków w mojej drużynie. Nie? - Wzruszyła ramionami. - Chyba nie ma pan powodu go pamiętać. Był przydzielony jako strażnik do naszej ambasady na Rishatha Jeden. Mówił, że pana zapamiętał, pewnie przez to, że Jaszczury potraktowały pana jako persona non grata.

- Kalachian? Kalachian? - Watts wyduł usta, potem pokręcił głową. - Nie, przykro mi, Alley, ale go nie pamiętam. I obawiam się, że wciąż nie rozumiem, do czego zmierzasz.

- Cóż, wiem, że potem długo współpracował pan z Kadrą, tak samo jak z wywiadem marines. I wiem, że generał Sampson poprosił konkretnie o pana, kiedy zawiadomiono go o Louvain. Ale dopiero niedawno dowiedziałam się, że jest pan jednym z największych autorytetów Korpusu w sprawach Rish.

- Ja sam bym tego tak nie ujął - powiedział wolno Watts. - Poświęciłem badaniu Rish sporo czasu - jak rozumiem, ty też - i odniosłem w walce z nimi kilka sukcesów. Ale nie nazwałbym siebie największym autorytetem w ich sprawach.

- Naprawdę? - Alicia przekrzywiła głowę. - Jestem zaskoczona.

- Czemu?

Zauważyła, obserwując Watta z wnętrza spowalniającego upływ czasu kokonu tik-taka, że nie jest już tak zrelaksowany.

- Oczywiście wiedział pan, że za atak na Louvain odpowiada Klan Theryian - powiedziała, a on zmrużył oczy na ten pozorny brak związku z tematem.

- Wszyscy wiedzieliśmy. - Odchylił się do tyłu w fotelu i otworzył szufladę biurka, z której wyjął lewą ręką rysik. Potem zaczął z roztargnieniem stukać rysikiem w blat biurka, najwyraźniej intensywnie się zastanawiając.

- Wątpię, czy to był w ogóle pomysł Theryian - ciągnął. - Ktoś w Wielkiej Radzie Matek Wojny, kto miał z nimi zatarg, najwyraźniej zafundował im ten „zaszczyt”. - Wzruszył ramionami. - Sfera to takie miejsce, gdzie zawsze ktoś usiłuje komuś wbić nóż w plecy.

- To prawda - zgodziła się Alicia. - Z drugiej strony kiedy Sfera zgłasza jeden z klanów „na ochotnika” do czegoś takiego, zazwyczaj nie popycha go aż do *mysorthayak*. Właśnie to mi się nie zgadzało od samego początku w tej operacji. A panu?

- Raczej nie. - Watts wzruszył ramionami. - Zgoda, to było niezwykłe. Ale bardziej przejmowałem się praktycznymi konsekwencjami niż dociekaniem, dlaczego tak się stało.

- Och, jestem tego pewna - powiedziała cicho.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - warknął.

- Musiał pan mieć spory dylemat, kiedy się pan o tym dowiedział. Tu Klan Theryian i *mysorthayak*, a tu pan, wybrany przez generała Sampsona oficer wywiadu. Proszę mi powiedzieć, jak się pan czuł, kiedy powiedzieli panu, dokąd pan leci?

Rysik przestał stukać. Watts znieruchomiał ze wzrokiem utkwionym w twarzy Alicii, a jej uśmiech mógłby zmrozić nawet serce gwiazdy.

- Pan wiedział, prawda? - powiedziała jeszcze ciszej. - Wiedział pan, dlaczego Theryian wybrał Louvain. Jaszczury pod wieloma względami nie przypominają ludzi, także w tym, że czasami bardzo długo czekają, by się zemścić. W tym wypadku ponad sześć lat, prawda?

- Ja... nie wiem, o czym ty mówisz - wychrypiął.

- Och, ależ pan wie. To Theryian był pośrednikiem między Sferą i Sojuszem Wolności. To Theryian odpowiadał za całą operację w Shallingsport.

- To... szaleństwo! Shallingsport nie było operacją Rish!

- Owszem, było. Wątpię, by wielu członków FALA o tym wiedziało, ale to sporo tłumaczy, prawda? Na przykład zdolność Sojuszu do „zbierania funduszy”. I dojście do wojskowego sprzętu z demobilu, którego nikomu nie udało się znaleźć. Bo nie było żadnego

dojścia; dzięki Klanowi Theryian sprzęt pochodził wprost ze Sfery.

- A czemu miałyby to służyć? - spytał ostro Watts.

Alicia zauważyła, że zaczął się pocić.

- Temu, co wszyscy przypuszczali - zniszczeniu kompanii Kadry i sprowokowaniu krwawej łaźni. Chodziło o to, aby zaszkodzić reputacji Kadry, osłabić prestiż Imperium, doprowadzić do zmiany stanowiska opinii publicznej Światów Bandyckich oraz oczywiście o to, co Sfera nieustannie robi - o sprawdzenie stopnia determinacji Imperium. A Theryian dostał to zadanie, bo jego matka matek była jednym z najlepszych analityków i planistów wywiadu Sfery... oraz czymś w rodzaju specjalistki od korumpowania ludzkich agentów i manipulowania nimi.

- Ale operacja się nie powiodła, prawda? Kompania Charlie nie została wybita, przynajmniej nie co do nogi. I zginęła jedynie garstka zakładników, a żaden żołnierz FALA nie uszedł żywy z planety. A więc to, co miało być całkowitą klęską Kadry, nie udało się. Zamiast zginąć, wydostaliśmy zakładników. Wszystko, co zaplanowali, nie wyszło, bo... nie... wszyscy... zginęliśmy.

Dłonie Watta zaczęły nerwowo tańczyć po blacie biurka.

- Sfera nigdy nie była wyrozumiała dla swoich, prawda? - Głos Alicii był śmiertelnie poważny. - I jak pan powiedział, między klanami zawsze toczą się walki, zawsze ktoś szuka okazji do okaleczenia rywala. I to właśnie spotkało Theryian. Kiedy przytrafiła się operacja na Louvain, Theryian dostał szansę „odkupienia” swojej klęski na Shallingsport. Wrogowie klanu nie zamierzali jednak zadowolić się osłabieniem jego siły bojowej, utratą setek córek wojny czy nawet najlepszych matek wojny. O nie, nie tym razem. Dlatego wysłali *farthi chir* klanu - jego matkę matek. Wysłali ją tam i rozkazali jej za wszelką cenę utrzymać Louvain. A ona nie mogła odmówić, bo miała honorowy dług wobec Wielkiej Rady po klęsce na Shallingsport. Musiała polecieć i jej honor wymagał, by klan za każdą cenę utrzymał Louvain, by ani jedna z jej córek szeregów nie poddała się, dopóki matka matek żyła. A ona nie mogła kazać im poddać się z powodu swojego honorowego długu.

- Louvain miało być grobem Klanu Theryian, tak samo jak Shallingsport miało być grobem kompanii.

W małym pomieszczeniu zapadła cisza. Oczy Alicii były dwiema bryłkami zielonego lodu.

- A pan wiedział, kto jest tam na dole, gdyż rzeczywiście jest pan ekspertem od spraw Rish. Wiedział pan też, dlaczego ona tam była. Musiał pan być przerażony.

- Ja nie... - Watts z trudem przełknął ślinę. - Dlaczego miałbym się czegoś bać?

- Bo nie wiedział pan, które z jej starszych córek szeregów mogły coś wiedzieć i zdradzić, gdyby dostały się do niewoli. Nawet *mysorthayak* nie daje gwarancji zabicia wszystkich w nią zaangażowanych, prawda? Ale na to też znalazł pan odpowiedź, prawda?

Alicia wyszczerzyła zęby i przysunęła się bliżej do biurka.

- Sprawdziłam, Wadislawie. Powiedział pan, że generał Sampson polecił swoim okrętom wsparcia ogniowego, aby zaczęły planować atak kinetyczny. Ale nie powiedział pan podczas rozmowy z Wujem Arthurem, że to pan mu to zaproponował.

- Ja... ja...

Watts skulił się w fotelu.

- I nawet by się to panu udało, gdyby nie trafił pan na mnie. - Głos Alicii był zupełnie spokojny. - Pociski poszłyby w dół i zabiły wszystkie Rish na planecie, i nie miałby kto powiedzieć, który z ludzkich specjalistów od wywiadu był podwójnym agentem pracującym dla Sfery od czasu pierwszego przydziału na Rishatha Jeden. Albo wyjaśnić, dlaczego przydzielenie owego podwójnego agenta do piątego batalionu było decydującym czynnikiem w wyborze Shallingsport i kompanii Charlie. Albo powiedzieć nam, że ten podwójny agent miał kontrolować odprawę operacyjną i dopilnować, żeby nikt nie przyjrzał się wystarczająco dokładnie Shallingsport, by zobaczyć, w co się pakujemy. Dopilnować, żebyśmy wybrali właściwą SL i wpadli w ich zasadzkę.

Wadislaw Watts spojrzał w lodowate oczy Alicii i zobaczył w nich śmierć.

Rzucił się do przodu i sięgnął prawą ręką do otwartej szuflady biurka. Zaciśnął palce na kolbie CHK i otworzył szeroko oczy ze zdumienia - wyciągnął pistolet, a Alicia tylko stała i patrzyła.

Ale Alicia była pod wpływem tik-taka.

Patrzyła na Wattsa i jego powoli przesuwającą się rękę. Patrzyła, jak ta ręka dotyka pistoletu. Widziała, jak chwyta pistolet i jego kciuk odciąga bezpiecznik, i dopiero wtedy zareagowała.

Watts krzyknął zdziwiony, kiedy lewa dłoń Alicii zaatakowała go błyskawicznie jak kobra. Jej kant wbił się w jego nadgarstek, a okrzyk zaskoczenia zmienił się we wrzask bólu, kiedy nadgarstek pękł. Pistolet wypalił, posyłając krótką serię w biurko, a potem odrzut wyrwał go z bezwładnej dłoni mężczyzny.

Penetratory wybiły okrągłe, nastroszone drzazgami otwory w grubym plastiku blatu, a grzmot wystrzałów był ogłuszający, ale Wadislaw Watts tego nie zauważył. Był zbyt przerażony, kiedy prawa ręka Alicii DeVries sięgnęła i bez trudu wyciągnęła go zza biurka.

Watts był od niej trochę wyższy i dbał o swoją kondycję, ale teraz to nie miało znaczenia.

Tłukł lewą ręką w jej prawy nadgarstek, aby się wyrwać, ale ona wbiła czubki palców lewej ręki we wnętrze jego stawu łokciowego jak klin ciesielski. Wreszcie go puściła, odepchnęła kolanem biurko i rąbnęła Watta prawą ręką w klatkę piersiową. Kość pękła. Pułkownik znów zawył, gdy lewa ręka Alicii uderzyła go jak młot w krocze.

Zgiął się w pół, nadziewając się na jej prawe kolano. Wbiło się w jego szczękę, podrywając głowę do góry, znów przy wtórze trzasku kości. Potem Alicia złapała go lewą ręką za włosy i wygięła do tyłu, a kantem prawej strzaskała mu lewą kość policzkową. A potem prawą. Krew trysnęła z rozwalonego nosa i ust, a wtedy lewe kolano Alicii uderzyło w jego żebra i brzuch - nie raz, lecz kilka razy. I jeszcze raz, i jeszcze.

Już nie krzyczał. Wydawał dźwięki jak uwięzione zwierzę, które rozpaczliwie pragnie, by cierpienie się skończyło, a Alicia znów szarpnęła jego głowę do tyłu, odsłaniając gardło do śmiertelnego ciosu.

I wtedy schwyciły ją czyjeś dłonie.

Watts z ciężkim łomotem padł na biurko, a Alicia odwróciła głowę - wolno, wolno - i spojrzała na dwóch marines. Zareagowali szybciej, niż się spodziewałam, stwierdziła jakimś zakątkiem umysłu. Czy to przez wystrzał? A może z powodu wrzasków Watta?

Wykręciła się, strząsając dłonie jednego z nich, i znów wyciągnęła ręce w stronę pułkownika. Ale drugi marine wciąż ją trzymał, rozpaczliwie ciągnąc do tyłu, dopóki jego towarzysz nie rzucił się między nią i Watta.

Alicia spojrzała na twarz młodego człowieka. On niczego nie rozumie, pomyślała niemal z litością. Wie tylko tyle, że jego oficer został zaatakowany. Nie chce mi zrobić krzywdy, ale sięga do kabury po broń. Nawet nie ma pojęcia, że gdybym zechciała, jego ręka nigdy by nie dotknęła pistoletu.

Była na tik-taku, a jego gardło - cały przód jego ciała - było odsłonięte i zapraszało ją do ataku. Mogłaby go zabić na trzy różne sposoby, zanim by dotknął broni.

Ale nigdy by tego nie zrobiła. Nie mogłaby zabić tego chłopaka, niezależnie od tego, jak bardzo Wadysław Watts zasłużył na śmierć.

Dlatego pozwoliła, by marines odciągnęli ją do tyłu, powalili na ziemię i mocno przycisnęli. A kiedy padała, zobaczyła, jak Wadysław Watts spływa z biurka jak galareta i osuwa się na pokład razem z nią.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Sir Arthur Keita odwrócił się od okna, słysząc, że drzwi się otwierają.

Alicia DeVries weszła z wysoko uniesioną głową, a Keita poczuł ukłucie w sercu, kiedy zobaczył dwóch Kadrowiczów w mundurach, którzy „eskortowali” ją na to spotkanie. Za oknami jego gabinetu letnie słońce ogrzewało Dziedziniec Bohaterów i wyniosłą iglicę Pomnika. Zawsze uważał ten widok za jeden z przywilejów swojej rangi, ale teraz zacisnął zęby, wspominając, kiedy po raz ostami był razem z Alicią w Pałacu Sligo.

Sir Arthur Keita nigdy się nie ożenił i nie miał dzieci, bo całe życie poświęcił służbie swojemu władcy i Imperium Ziemi. Choć nie miał własnych dzieci, miał jednak setki - tysiące - synów i córek. Synów i córek, którzy nosili taki sam zielony mundur jak on. Którzy służyli dumnie i ofiarnie. Z których zbyt wielu zginęło podczas tej służby. Był z nich dumny, a jego duma była zbyt głęboka, zbyt silna, by dała się zamknąć w zwyczajnych słowach. Ale przez te wszystkie lata nigdy nie był bardziej dumny niż z tej córki, która stała teraz przed nim wyprostowana i spokojna.

Córki, którą zawiódł.

- Alicio.

- Wuju Arthurze.

Stała i patrzyła na niego spokojnie, z rękami wzdłuż boków. Keita wziął głęboki oddech.

- Proszę, siadaj - powiedział, wskazując wygodne fotele wokół stolika do kawy stojącego na dywanie w kolorze imperialnej ciemnej zieleni.

Przekrzywiła głowę. Przez chwilę myślał, że odmówi. Potem jednak lekko wzruszyła ramionami, podeszła do wskazanego fotela i usiadła.

Keita usiadł naprzeciwko niej, i przez krótką chwilę widać było po nim wszystkie jego lata. Potarł twarz dłońmi, potem opuścił ręce.

- Generał Arbatow i ja właśnie wróciliśmy ze spotkania z baronem Yurobą i minister sprawiedliwości Canaris - powiedział. - Tematem spotkania był Wadislaw Watts.

Alicia zacisnęła lekko usta, ale jej twarz pozostała bez wyrazu; zielone oczy patrzyły niewzruszenie na Keitę.

Wolałby chyba jakieś bardziej widoczne oznaki emocji, nawet gdyby to miała być furia czy gniew. Ale Alicia w ogóle nie przejawiała żadnych emocji, odkąd marines z

„MacArthura" oderwali ją od Wattsa.

Keita wiedział - choć wątpił, by marines zdawali sobie z tego sprawę - że Alicia pozwoliła im, aby ją odciągnęli od pułkownika. Ciekawe, czy zrobiłaby to, gdyby wiedziała, jak się sprawa zakończy?, pomyślał. Ale zadając sobie to pytanie, już znał odpowiedź.

Pozwalając się obezwładnić i skuć, nie powiedziała ani słowa, by wyjaśnić, co zrobiła i dlaczego. Generał Sampson wiedział tylko, że zaatakowała wyższego stopniem oficera, który był ledwie żywy po tej napaści. Fakt, że ów oficer wyciągnął broń, której nie powinien był mieć w swoim gabinecie, i wpakował z niej trzy kule w blat biurka, sugerował, że działanie Alicii mogło mieć charakter samoobrony. Ale nawet jeśli tak było, posunęła się do czegoś o wiele, wiele gorszego, niż trzeba było, żeby go rozbroić, a jej odmowa złożenia wyjaśnień nie pozostawiała generałowi innego wyjścia, jak tylko zamknąć ją w jednej z cel „MacArthura".

Potem Sampson osobiście odtworzył nagranie z dyktafonu ukrytego w dolnej szufladzie biurka Wattsa.

Przynajmniej miał dość rozsądku, by natychmiast skontaktować się z Keitą. Ani on, ani Sampson nie mieli wątpliwości, że każde słowo Alicii było prawdą - ale na taśmie nie było żadnych konkretnych dowodów potwierdzających jej oskarżenia. Matriarchini Rish, która powiedziała Alicii prawdę, nie żyła, Watts był nieprzytomny - lekarze dawali mu zaledwie nieco więcej niż pięćdziesiąt procent szans na powrót do przytomności - a Alicia siedziała w celi.

Keita poszedł z nią porozmawiać, ale przypominało to próbę rozmowy z posągiem. Nigdy jej takiej nie widział - tak zamkniętej w sobie, tak odciętej od reszty wszechświata. Ale wiedział, co ona czuje. Oplakiwała od nowa swoich zmarłych, znów widziała, jak odważnie idą na pewną śmierć w służbie ich cesarza, podczas kiedy zdrajca, który udawał ich przyjaciela, posyła ich na tę śmierć... z uśmiechem na ustach.

A potem Keita podjął decyzję, której - teraz to wiedział - miał sobie nigdy nie wybaczyć. Wtedy wydawała się jedynym logicznym rozwiązaniem, ale gdyby się domyślał, gdyby choć podejrzewał...

Otrząsnął się w myślach i spojrzał Alicii prosto w oczy. Przynajmniej tyle mógł zrobić.

- Nie rozstrzelają go, Alley - powiedział wprost, a zielone oczy po raz pierwszy zdradziły jakieś uczucia. Zrobiły się puste i zimne.

- To moja wina - przyznał gorzko. - Gdybym nie utajnił wszystkiego, nie wyciszył, nie mogliby tego zrobić. Ale przysięgam, Alley, nigdy nie sądziłem, że dojdzie do czegoś takiego. Myślałem tylko, że jeśli uda nam się wyciszyć sprawę do chwili powrotu na Starą Ziemię, wykorzystać to, czego się dowiedziałaś, i zadziałać, zanim Rish się zorientują, wtedy

może...

Przerwał. Nie. Alicia zasługiwała na coś lepszego niż wymówki.

- Co z nim zrobią? - spytała w końcu.

Keita odwrócił na chwilę wzrok, by zebrać się na odwagę i znów móc spojrzeć jej w oczy.

- Baron Yuroba nie chce, by cokolwiek splamiło pamięć o Shallingsport czy o tym, czego dokonałaś na Louvain. Nie chce głośnego sądu polowego ani żadnych cyrkowych procesów o zdradę stanu. Nie chce przyznać, że oficer marines mógł w taki sposób złamać przysięgę. A Canaris chce wykorzystać Wattsa. Wie, że Rish nie mają pojęcia, co Shernsiya ci powiedziała. Że jeśli nawet Rethmeryk dobrze wie, co jej *farthi chir* powiedziała, honor nie pozwoli jej tego powtórzyć. Dlatego minister uważa, że jeśli to wyciszymy, będziemy mogli wykorzystać wiedzę Wattsa, by zwinąć wszystkie operacje wywiadowcze Rish, w których brał udział.

Twarz Alicii ściągnęła się jeszcze bardziej, jej wzrok z każdym słowem robił się coraz bardziej ponury. Keita pokręcił głową.

- Generał Arbatow i ja zaprotestowaliśmy.

Keita w rzeczywistości tak wściekle „zaprotestował”, że Yuroba zagroził mu w końcu sądem wojskowym.

- Może by nas posłuchali - ciągnął - gdyby Watts się nie zabezpieczył.

- W jaki sposób?

Głos Alicii był lodowaty.

- Ma dowody - niezbite, jak twierdzi - że w rishathańskie operacje wywiadowcze zamieszanych jest przynajmniej trzech senatorów. Nie tylko członków ich sztabów, ale samych senatorów. Twierdzi, że dzięki informacjom, które posiada, możemy ich wykorzystać - zostawić na swoich stanowiskach i za ich pośrednictwem przekazywać Rish informacje, które zechcemy im przekazać. Ma też inne rewelacje, do których sami nigdy nie dotrzemy - dane o rishathańskich operacjach wywiadu, tożsamość i pseudonimy chyba połowy kadry dowódczej Sojuszu Wolności, czarnorynkowych handlarzy bronią, którzy zaopatrywali FALA, oraz skorumpowanych oficerów marines i Floty, którzy podsyłali im niepostrzeżenie broń. To jego polisa ubezpieczeniowa - dwadzieścia lat dowodów zdrady, których nie wyda, jeśli nie dobijemy z nim targu.

- A to oznacza...

- Uniewinnienie za Shallingsport. - Keita zamknął oczy, skrzywiony z bólu. - Dalej będzie pełnił czynną służbę, choć jego rzeczywista władza będzie żadna. Tak naprawdę będzie

więzaniem, bezustannie obserwowanym i przyjmującym rozkazy od ludzi z kontrwywiadu Ministerstwa Sprawiedliwości, a jeśli w jakikolwiek sposób odmówi współpracy, unieważni swoją amnestię.

- W końcu za rok czy dwa coś zaaranżują - wypadek samochodu powietrznego, chorobę czy coś w tym rodzaju - by móc go wycofać. Potem „przejdzie na emeryturę” i będą mieli na niego oko, a on pozostanie dostępny jako źródło informacji na temat technik wywiadu Rish.

- To wszystko? - spytała beznamytnie Alicia. - To sprawiedliwość, na jaką zasłużyła kompania?

- Nie, Alley. - Keita otworzył oczy i jeszcze raz spojrzął na nią. - To nie jest sprawiedliwość. Nawet nic zbliżonego do sprawiedliwości. Ale Canaris od lat wiedziała, że mamy przecieki ważnych informacji do Sfery, i czuła, że senatorzy mogą w to być zamieszani. Wiem, że podejrzewa Gennady'ego albo kogoś z jego sztabu, ale nigdy nie była w stanie tego udowodnić. Teraz widzi możliwość ostatecznego zatamowania przecieku. Mówi, że to też szansa uniknięcia następnych Shallingsportów.

Skrzywił się.

- Uważa, że nikt nie może cofnąć tego, co się stało z kompanią Charlie, i nic, co Watts powie, nie uczyni naszych poległych - twoich poległych - mniej bohaterskimi. Ale ona ma obowiązki wobec żyjących i nie może odrzucić informacji, które rzekomo posiada Watts. Mówi, że jeśli Watts nie będzie ich mieć, sama z radością osądzi go za zdradę stanu.

- A baron Yuroba?

- Baron Yuroba to kretyn - powiedział ostro Keita. - Wszystkie manewry wywiadowcze ma gdzieś. Jemu zależy tylko na tym, żeby nie kojarzono go z żadnymi „skandalami”. Ale kretyn czy nie, wciąż jest ministrem wojny i ma potężne wsparcie senatorów.

- Mówi pan, że premier nie może go wylać - powiedziała Alicia.

- Mówię, że wielki książę Phillip nie wyleje go za coś takiego, zwłaszcza kiedy Canaris ma tyle argumentów przemawiających na korzyść takiego rozwiązania.

- Wuju Arthurze, ja nie mogę na to pozwolić. Pan wie, że nie mogę. - Alicia spojrzała generałowi w oczy. - Nie obchodzi mnie baron Yuroba ani strategię wywiadowczą Canaris. Nie tym razem. Moja kompania, moi ludzie, nigdy nie prosili Imperium i naszego cesarza o wiele. Byliśmy dumni, mogąc im służyć, robiliśmy świadomie to, co do nas należało, i na Boga, robiliśmy to najlepiej jak umieliśmy. A teraz, kiedy nasz własny minister wojny wie, co się stało - że zostaliśmy wrobieni, że jeden z oficerów naszego wywiadu posłał nas świadomie na rzeź - za bardzo przejmując się skandalami, żeby oddać sprawiedliwość poległym? Nie, Wuju Arthurze. Ja na to nie pozwolę.

- Nie masz wyboru, Alley. Ani ja.

Wyprostowała się, zaciskając zęby, a Keita potrząsnęła głową.

- To samo powiedziałem Yurobie - rzekł. - Zagroziłem, że pójde do samego cesarza, ale Yuroba odparł, że wielki ksiązę Phillip już to omówił z Jego Wysokością. Cesarz nie jest z tego zadowolony - nawet Yuroba to przyznał - a ja znam Jego Wysokość wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że słowo „niezadowolony” nawet w przybliżeniu nie oddaje jego uczuć. Ale nieważne, co mógłbym o tym myśleć, Canaris ma słuszość. Mamy sposobność zadania ciosu wywiadowczego - taka okazja trafia się raz na pięćdziesiąt lat - który może pomóc ocalić setki czy nawet tysiące istnień, a ona ma obowiązek wziąć to pod uwagę. Ja akurat sądzę, że nasze możliwości okażą się o wiele mniejsze i tylko chwilowe - tak to już jest ze strategiami wywiadowczymi - ale cesarz ma obowiązek wysłuchać jej argumentów. A w obliczu jednogłośnej zgody najważniejszych członków jego gabinetu i premiera uważa, że nie ma innego wyjścia, jak na to przystać. Ponieważ cała skuteczność strategii Canaris opiera się na tym, że Rish nie wiedzą, iż zdemaskowaliśmy Watta, Yuroba osobiście rozkazał mi w imieniu cesarza, aby wymazać wszelkie ślady tego, co zaszło na „MacArthurze”.

- Wuj Arthurze... - zaczęła Alicia, w końcu zdradzając rozpacz, a Keita znów pokręcił wolno głową.

- Tak musi być, Alley, jeśli to ma się udać. To jest najważniejsze, a nasza zwierność rozkazała nam siedzieć cicho, żeby się udało.

- A jeśli postanowię nie wykonać tego rozkazu, sir? - spytała chłodno Alicia.

- Baron Yuroba polecił mi poinformować cię - głos Keity przypominał trzask pękającego granitu - że jesteś zobowiązana na podstawie przysięgi członka Kadry w osobistej służbie cesarza zachować wieczne milczenie w tej sprawie. Jeśli tego nie zrobisz, jeśli podasz do publicznej wiadomości to, co ci powiedziała Shernsiya, staniesz przed sądem wojskowym. Zostaniesz oskarżona o napaść na wyższego stopniem oficera, kiedy Imperium znajdowało się w stanie kryzysu, a jeśli zostaniesz uznana za winną, karą będzie śmierć.

Alicia patrzyła na niego bez słowa. Coś, co zawsze było w jej oczach, zniknęło, umarło, a Keitę zalała fala żalu, kiedy uświadomił sobie, co to było.

- Alley - powiedział. - Ja nie...

Przerwał, zaciskając zęby, i przez długą chwilę patrzył przez okno na iglicę Pomnika. Wszystko to, co Pomnik symbolizował, wszystko to, co ta młoda kobieta siedząca naprzeciwko niego oraz członkowie jej kompanii oddali w takim nadmiarze, przetaczało się z grzmotem w jego duszy.

- Alley - powtórzył, znów odwracając się do niej. - Nie rób tego.

- Czego? - Jej głos był płaski, chrapliwy, jakby coś się w nim zepsuło.

- Nie pozwalaj na to. - Nachylił się nad stolikiem. - Idź do prasy. Opowiedz całemu Imperium, co ten przeklęty drań zrobił! Yuroba nie chce skandalu? Daj mu największy możliwy skandal! Niech wyjaśni mediom - i Kadrze, na Boga! - dlaczego stawia przed sądem jednego z trzech żyjących odznaczonych Sztandarem Ziemi! Nigdy tego nie robi, nie ma dość jaj. A jeśli robi, żaden sąd cię nie skaze!

- A pan by to zrobił na moim miejscu, Wuju Arthurze? - spytała cicho Alicia. - Gdyby Jego Wysokość panu zabronił, zrobiłby to pan?

- Oczywiście, że bym...

Zamarł, kiedy dotarło do niego, o co naprawdę spytała. Nie „czy stanąłby przed sądem”, lecz „czy sprzeciwiłby się rozkazowi cesarza”. Bo o to w końcu chodziło, czyż nie? Nie o tchórzliwą głupotę Yuroby. Nie o ustępstwa wielkiego księcia Phillipa na rzecz doraźnych politycznych korzyści. Nawet nie o uzasadnione pragnienie Canaris, by wykorzystać okazję, która wpadła jej w ręce.

Nie. Sprowadzało się to do faktu, że on, sir Arthur Keita, był osobistym lennikiem Cesarza Ludzkości i złożył cesarzowi Seamusowi II, a przed nim cesarzowej Maire, przysięgę „służenia życiem, ciałem i obowiązkiem, dopóki mój cesarz mnie z niej nie zwolni lub śmierć nie zabierze”.

- Nie, Alley - powiedział w końcu cicho. - Nie zrobiłbym tego. Nie mogę.

- I ja też nie - odparła. - Nie teraz. Gdyby to był tylko Yuroba, tylko Canaris - tak. Ale nie teraz. Nie teraz, kiedy przemówił sam cesarz. Nie mogę mu się sprzeniewierzyć... nawet jeśli on mi się sprzeniewierzył.

Keita wzdrygnął się, słysząc w tych słowach bezdenny żal.

- Alley, on nie...

- Ależ tak, Wuju Arthurze - przerwała mu beznamiętnie. - Dokonał wyboru. Może nawet właściwego. Może Canaris ma rację, że można wykorzystać Watta, sprawić, by z tego wszystkiego wyszło jeszcze coś dobrego. Ale to nie zmienia faktu, że Canaris, Yuroba i Jego Wysokość zdradzili kompanię. Jej poległych. Moich poległych.

W zielonych oczach w końcu zalśniły łzy. Alicia wolno i smutno pokręciła głową, jak matka oplakująca śmierć dziecka.

- Wykonam jego rozkaz - powiedziała. - Ten jeden, ostatni raz. Ale żadnego więcej, Wuju Arthurze. Żadnego więcej.

I odpięła z kołnierza munduru harfę i okręt. Harfę i okręt Domu Murphy. Patrzyła na nie przez chwilę poprzez mgłę łez, a potem położyła je na stoliku.

- Nie mogę służyć Imperium, które przedkłada doraźne korzyści nad pamięć o moich poległych. - Jej głos w końcu zadrżał i znów potrząsnęła głową - tym razem gwałtownie, niemal z wściekłością. - I nie mogę, nie będę służyć cesarzowi, który na to pozwala - ciągnęła ochryple. - Może to wszystko jest jakoś usprawiedliwione, ale ja już nie mogę... jeśli nie chcę zdradzić kompanii. A jeśli wszyscy w tym zasranym wszechświecie chcą zdradzić moich poległych... - spojrzała Keitcie w oczy - to będą musieli to zrobić beze mnie.

Dotknęła po raz ostatni harfy i okrętu - delikatnie jak kochanka - a potem wstała - wysoka, szczupła i dumna na tle obelisku Pomnika - z oczami lśniącymi od łez. Jeszcze raz spojrzała na insygnia na stoliku, a potem na sir Arthura Keitę.

- Żegnaj, Wuju Arthurze - powiedziała cicho, a potem Alicia Dierdre DeVries odwróciła się i nie oglądając się za siebie, wyszła, by nigdy już tu nie powrócić.

LISTA POSTACI

Abernathy, sierżant Lawrence, Imperialna Kadra - dowódca, sekcja ogniowa Bravo, pierwsza drużyna, pierwszy pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Abrams, Jesse - podsekretarz, imperialne Ministerstwo Spraw Zagranicznych.

Abruzzi, Lloyd - dowódca grupy bojowej, Armia Wyzwolenia Sojuszu Wolności.

Adams, kapral Jake, Imperialna Kadra - skrzydłowy przydzielony Tannis Cateau podczas operacji Czyszczenie.

Ahearn, kapitan Leon, Imperialny Korpus Marines - dowódca, kompania Bravo, trzeci batalion, drugi pułk, trzy tysiące dwunasta brygada.

Aleksow, kapitan Gregor Borysowicz - szef sztabu Jamesa Howella.

Alves, porucznik Akama, Imperialna Kadra - dowódca, trzeci pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra (Louvain).

Alwyn, kapitan Madison, Imperialna Kadra - dowódca, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Anders, porucznik Boyce, Imperialna Flota - oficer kontroli lotów Dowództwa Fortecy systemu Soissons.

Andersson, kapral Erik, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Alpha, pierwsza drużyna, pierwszy pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra. Później porucznik (patrz poniżej).

Andersson, porucznik Erik, Imperialna Kadra - dowódca, pierwszy pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra (Louvain).

Androniko, major Aleka, Imperialna Kadra - oficer wykonawczy, Camp Cochrane.

Arbatow, generał Dugald, Imperialna Kadra - dowódca, Imperialna Kadra.

Arun, sierżant pierwszej klasy Namrata, Imperialna Kadra - dowódca drużyny, druga drużyna, drugi pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Ashmead, Kapral Jeremy, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Alpha, trzecia drużyna, pierwszy pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Aubert, Jasper - gubernator Korony, Gyangtse.

Barr, komandor Quentin - dowódca „pirackiego” niszczyciela „Harpia”.

Becker, kapitan Adriana, Imperialny Korpus Marines - dowódca, kompania Bravo, batalion rozpoznania, pierwszy pułk, pięćset siedemnasta brygada.

Beckett, kapral Digory, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Braw, trzecia drużyna, trzeci pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra. Później pierwszy sierżant (patrz niżej).

Beckett, pierwszy sierżant Digory, Imperialna Kadra - sierżant plutonu, drugi pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra (Louvain).

Ben Belkassem, inspektor Ferhat, Ministerstwo Sprawiedliwości - inspektor Korpusu Operacyjnego przydzielony do sektora Frankonia.

Bennett, major Alexander, Imperialny Korpus Marines - dowódca, kontyngent marines, HMS „Ktezyfon”.

Bieregowoj, porucznik Borys Adrianowicz, Imperialny Korpus Marines - oficer sztabowy wywiadu, batalion rozpoznania, pierwszy pułk, pięćset siedemnasta brygada.

Bergerat, szeregowy César, Imperialny Korpus Marines - strzelec, sekcja ogniowa Bravo, trzecia drużyna, drugi pluton, kompania Bravo, batalion rozpoznania, pierwszy pułk, pięćset siedemnasta brygada.

Boniface, kapitan Sigmund („Siggy”), Imperialny Korpus Marines - dowódca, kompania Bravo, kontyngent marines, HMS „Ktezyfon”.

Bonrepaux, kapral Édouard, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Alpha, pierwsza drużyna, pierwszy pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Branigan, kapral Manfred, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Bravo, pierwsza drużyna, trzeci pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Brinkman, wiceadmirał Amos, Imperialna Flota - zastępca admirał Gomez, Okręg Floty Frankonia.

Brno, gubernator Emily - gubernator Korony, Świat Mathisona.

Brookman, pierwszy sierżant John, Imperialna Kadra - sierżant plutonu, trzeci pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Bruckner, sierżant Clarissa, Imperialny Korpus Marines - dowódca drużyny, druga drużyna, drugi pluton, kompania Bravo, batalion rozpoznania, pierwszy pułk, pięćset siedemnasta brygada.

Burkhart, Cornelius - dowódca grupy bojowej, Armia Wyzwolenia Sojuszu Wolności.

Canaris, Jennifer Abigail - imperialna minister sprawiedliwości.

Cateau, kapral Tannis, Imperialna Kadra - strzelec/medyk, pierwsza drużyna, pierwszy pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra. Później major (patrz niżej).

Cateau, major Tannis, Imperialna Kadra (Korpus Medyczny) - lekarz przydzielony Alicii DeVries.

Czernienko, kapral Ingrid, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Alpha, trzecia drużyna, trzeci pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Chiawa, kapitan Karsang Dawa - dowódca, kompania Alpha, pierwszy batalion, Pierwszy Pułk Stołeczny, Planetarna Milicja Gyangtse.

Chisholm, porucznik Andrew („Andy“) - drugi oficer wolnego kupca „Gwiezdny Chart“.

Choi, czcigodna Karen - imperialna minister interioru.

Chu, kapral Helena, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Alpha, pierwsza drużyna, drugi pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Chul, kapral Byung Cha, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Alpha, pierwsza drużyna, pierwszy pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Cortez, sir Donovan - imperialny minister sprawiedliwości.

Cronkite, pierwszy sierżant Denise, Imperialna Kadra - dowódca plutonu, drugi pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Cusherwa, major Ang Chembal - dowódca, trzeci batalion, Pierwszy Pułk Stołeczny, Planetarna Milicja Gyangtse.

d'Amcourt, komandor Henry - oficer logistyczny Jamesa Howella.

de Nijs, kapral Karin, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Bravo, druga drużyna, drugi pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

de Reibeck, porucznik Pablo, Imperialna Kadra (Korpus Medyczny) - fizjoterapeuta Alicii DeVries.

DeVries, kapitan Alicia Dierdre, Imperialna Kadra.

DeVries, Clarissa Sinead - młodsza siostra Alicii DeVries.

DeVries, Collum - ojciec Alicii DeVries.

DeVries, dr Fiona Eleanora O'Shaughnessy - matka Alicii DeVries.

DeVries, Steven Sebastian - młodszy brat Alicii DeVries.

Diomedes, kapitan Kostatina, Imperialny Korpus Marines - dowódca, kompania Charlie, batalion rozpoznania, pierwszy pułk, pięćset siedemnasta brygada.

Doorn, kapral Michael, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Alpha, pierwsza drużyna, pierwszy pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Dubois, kapral Benjamin, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Bravo, pierwsza drużyna, pierwszy pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

DuPuy, kapral Serena, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Alpha, trzecia drużyna, drugi pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Erickson, generał brygady Lawrence, Imperialny Korpus Marines - dowódca, pięćset siedemnasta brygada.

Falconi, komodor Tadeoshi - dowódca, Sokoły Falconiego.

Filipow, kapral Aleksandra, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Bravo, pierwsza drużyna, trzeci pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Ford, komandor doktor Hillary, Imperialna Flota - główny neurolog kapitana doktora Okanamiego.

Fuchien, Lewis - przemytnik/przedsiębiorca z Dewentu.

Gennady, senator Edward - członek imperialnego senatu i założyciel Centrum Badania Stosunków Ludzko-Międzygatunkowych.

Geoffrey, książę - książę Shallingsport.

Gilroy, starszy sierżant Henry, Imperialna Kadra - dowódca drużyny, druga drużyna, pierwszy pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Giolitti, porucznik Charles, Marynarka Jungijska - oficer marynarki przydzielony do Służby Celnej MaGuire.

Gomez, admirał lady Rosario, baronowa Nova Tampico i Rycerz Krzyża Słonecznego, Imperialna Flota - dowódca, Okręg Floty Frankonia.

Granger, porucznik Jeremiaś, Imperialna Flota - dowódca HMS „Szuriken” i najstarszy oficer w systemie Gyangtse.

Gresham, pułkownik Judson, Imperialna Kadra (em.) - oficer werbunkowy Kadry.

Haroldson, starszy sierżant Greta, Imperialny Korpus Marines - współlokatorka

Alicji DeVries na Jeppersonie.

Hartwell, kapral Imogene, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Alpha, pierwsza drużyna, pierwszy pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Hayden IV, król planety Fuller.

Hennessey, sierżant Jake, Imperialna Kadra - kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Heyter, porucznik Lois - oficer namierzający na superpancerniku najemników „Zuchwały”.

Hill, sierżant major Cassius, Imperialny Korpus Marines - sierżant major batalionu, batalion szkoleniowy Alicji DeVries.

Hillman, starszy sierżant Celestine, Imperialna Kadra - dowódca drużyny, trzecia drużyna, pierwszy pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Hilton, starszy szeregowy Gregory, Imperialny Korpus Marines - strzelec, sekcja ogniowa Bravo, trzecia drużyna, drugi pluton, kompania Bravo, batalion rozpoznania, pierwszy pułk, pięćset siedemnasta brygada.

Hirshfield, starszy sierżant Janson, Imperialny Korpus Marines - starszy pisarz kompanii, batalion rozpoznania, pierwszy pułk, pięćset siedemnasta brygada.

Horth, wiceadmiral Rebecca („Becky”), Imperialna Flota - dowódca, dowództwo fortec systemu Soissons.

Howard, kapral Alec, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Alpha, druga drużyna, trzeci pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Howell, komodor James - polowy dowódca „piratów” grasujących w sektorze Frankonia.

Hudson, kapitan John, Imperialny Korpus Marines - główny oficer medyczny, batalion rozpoznania, pierwszy pułk, pięćset siedemnasta brygada.

Hugin, komandor porucznik Jeremiah - oficer wykonawczy Arlena Monkoto na Ringbolcie.

Hunter, porucznik Vincent, Imperialny Korpus Marines - oficer łącznościowy, drugi batalion, trzeci pułk, trzysta siedemnasta brygada.

Hyde, dr Maxwell (major, em.), Imperialna Kadra - starszy lekarz, Camp Cochrane.

Inglewood, kapral Martha, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Bravo, pierwsza drużyna, drugi pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada,

Imperialna Kadra (Louvain).

Iwanow, generał brygady Dominik - dowódca, Milicja Planetarna Elysium.

Jackson, sierżant Julio, Imperialny Korpus Marines - dowódca drużyny, pierwsza drużyna, trzeci pluton, kompania Bravo, batalion rozpoznania, pierwszy pułk, pięćset siedemnasta brygada.

Jacoby, Edward - handlarz narkotyków na planecie Dewent.

Jefferson, porucznik Angelique Adrianowna, Imperialna Kadra - dowódca, drugi pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra (Louvain).

Johansson, szeregowy Evita, Imperialny Korpus Marines - strzelec, sekcja ogniowa Alpha, trzecia drużyna, drugi pluton, kompania Bravo, batalion rozpoznania, pierwszy pułk, pięćset siedemnasta brygada.

Jongdomba, generał brygady Lobsang Phurba - dowódca, Planetarna Milicja Gyangtse.

Jurawski, admirał lord Alvin, Imperialna Flota - Pierwszy Lord Kosmosu, Imperium Ziemi.

Jurgensen, porucznik Adam, Imperialny Korpus Marines - dowódca, drugi pluton, kompania Alpha, kontyngent marines, HMS „Ktezyfon”.

Kalachian, kapral Vartkes, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Alpha, pierwsza drużyna, pierwszy pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Karpow, generał brygady Giennadij Sergicz, Imperialna Kadra - dowódca, Camp Cochrane.

Keita, generał brygady sir Arthur, Imperialna Kadra - zastępca dowódcy, Imperialna Kadra.

Keller, kapral Jackson, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Bravo, druga drużyna, drugi pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Kereku, sir Enobakhare - gubernator imperialny, sektor koronny Martinson.

Khanbadze, szeregowy Ang Tarki - strzelec, kompania Echo, pierwszy batalion, Pierwszy Pułk Stołeczny, Planetarna Milicja Gyangtse.

Kiely, kapral Thomas, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Alpha, pierwsza drużyna, pierwszy pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Knutsen, pierwszy sierżant Catarina, Imperialna Kadra - sierżant plutonu, pierwszy

pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra (Louvain).

Kowalska, pierwszy sierżant Anna, Imperialna Kadra - sierżant plutonu, trzeci pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra (Louvain).

Król, kapral James, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Bravo, trzecia drużyna, pierwszy pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra. Później pierwszy sierżant kompanii (patrz poniżej).

Król, pierwszy sierżant James, Imperialna Kadra - pierwszy sierżant kompanii, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra (Louvain).

Kuramochi, porucznik Chiyeko, Imperialny Korpus Marines - dowódca, dwudziesty trzeci pluton, kompania Bravo, batalion rozpoznania, pierwszy pułk, pięćset siedemnasta brygada. Później kapitan (patrz poniżej).

Kuramochi, kapitan Chiyeko, Imperialny Korpus Marines - dowódca, kompania Delta, kontyngent marines, HMS „Ktezyfon”.

Labin, Gustav - agent Antona Jereńskiego na Ching-Hai.

Lakshindo, sierżant Nursamden Nyima - kompania Alpha, pierwszy batalion, Pierwszy Pułk Stołeczny, Planetarna Milicja Gyangtse.

Lehman, lady Frederica Sinead, hrabina Miller - imperialna minister wojny.

Leibniz, admirał Michail, Imperialna Flota - dowódca, siły pomocnicze operacji Czystczenie.

Lewinsky, kapitan Broderick, Imperialny Korpus Marines - dowódca, kompania Alpha, kontyngent marines, HMS „Ktezyfon”.

Lhukpa, sierżant Chamba Mingma - kompania Alpha, pierwszy batalion, Pierwszy Pułk Stołeczny, Planetarna Milicja Gyangtse.

Lowai, Jokuri Asaro'o - dyrektor rozwoju przemysłu, księstwo Shallingsport.

MacEntee, kapral Ewan, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Alpha, druga drużyna, pierwszy pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

MackKane, Andrew Clement, baron Yuroba - imperialny minister wojny.

Madison, sir Jeffrey - imperialny minister spraw zagranicznych.

Madsen, kapral Harold, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Alpha, druga drużyna, drugi pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra (Louvain).

Mainwaring, kapitan Theodosia - kapitan wolnego kupca „Gwiazdny Chart”.

Malloy, Allen, earl Stanhope - imperialny minister spraw planetarnych.

Marat, kontradmirał Crinan, Imperialna Flota - admirał portu, Soissons.

Maserati, porucznik Edwin, Imperialna Kadra - asystent pułkownika Oscara McGrudera (patrz poniżej).

Masolle, porucznik Francesca, Imperialna Kadra - dowódca, drugi pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Masterman, komandor Adela, Imperialna Flota - starszy oficer koordynatografu, dowództwo fortec Systemu Elysium.

Mastroianni, kapral Carlotta, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Alpha, trzecia drużyna, drugi pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra (Louvain).

McGruder, pułkownik Oscar, Imperialna Kadra - oficer werbunkowy Kadry.

McGwire, sierżant Alan, Imperialna Kadra - dowódca, sekcja ogniowa Alpha, pierwsza drużyna, pierwszy pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

McIlhenny, pułkownik Benjamin, Imperialny Korpus Marines - starszy oficer wywiadu przydzielony do sztabu admirał Gomez.

McSwain, Sondra - księgowa Lewisa Fuchiena.

Medrano, starszy szeregowy Leocadio („Leo”), Imperialny Korpus Marines - operator karabinu plazmowego, sekcja ogniowa Bravo, trzecia drużyna, drugi pluton, kompania Bravo, batalion rozpoznania, pierwszy pułk, pięćset siedemnasta brygada.

Megajra - SI alfa-syntha.

„**Megajra**” - okręt, w którym żyje Megajra.

Mende, szeregowy Dabhuti Lhakpa - strzelec, kompania Echo, pierwszy batalion, Pierwszy Pułk Stołeczny, Planetarna Milicja Gyangtse.

Metternich, sierżant Abraham („Abe”), Imperialny Korpus Marines - dowódca drużyny, trzecia drużyna, drugi pluton, kompania Bravo, batalion rozpoznania, pierwszy pułk, pięćset siedemnasta brygada.

Miller, hrabina - patrz lady Frederica Sinead Lehman, powyżej.

Monkoto, admirał Simon - dowódca, Najemnicy Monkoto („Maniacy Monkoto”).

Monkoto, kapitan Arlen - młodszy brat Simona Monkoto.

Morales, kapitan Francisco, Imperialna Flota - dowódca, HMS „Nieprzejednany”.

Moyano, kapral Samantha, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Alpha, pierwsza drużyna, drugi pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada,

Imperialna Kadra.

Mueller, Gavin - minister spraw zagranicznych, system Onyx.

Munming, kapral Ngawang Phurba - grenadier, kompania Echo, pierwszy batalion, Pierwszy Pułk Stołeczny, Planetarna Milicja Gyangtse.

Murphy, cesarz Seamus II - Cesarz Ludzkości.

Murphy, cesarzowa Maire - Cesarzowa Ludzkości, matka obecnego cesarza.

Nawa, Chepal Dawa - starszy porucznik Namkha Pasanga Pankarmy.

Nawa, porucznik Tuchi Phurba - dowódca, drugi pluton, kompania Alpha, pierwszy batalion, Pierwszy Pułk Stołeczny, Planetarna Milicja Gyangtse.

Nordbo, kapral Astrid, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Bravo, pierwsza drużyna, pierwszy pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Obermeyer, Patricia - dyrektor gabinetu gubernatora sektora sir Enobakhare Kereku.

O'Clery, kapral Flannan, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Bravo, pierwsza drużyna, pierwszy pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Okahara, porucznik Jeff - oficer wykonawczy wolnego kupca "Gwiezdny Chart".

Okanami, kapitan doktor Ralph, Imperialna Flota - starszy oficer medyczny, siły posiłkowe dla Świata Mathisona.

O'Kane, komodor Matthew - dowódca, Wolna Kompania O'Kane'a.

Onassis, pierwszy sierżant Adolfo, Imperialna Kadra - sierżant plutonu, pierwszy pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Orrin, porucznik James, Imperialna Flota - starszy asystent komandor Adeli Masterman.

Ortiz, kapitan Homer - dowódca „pirackiego” pancernika „Połtawa”.

Osayaba, kapral Obaseki, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Bravo, pierwsza drużyna, pierwszy pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Oselli, kapral Brian, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Bravo, pierwsza drużyna, pierwszy pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

O'Shaughnessy, komodor John Liam, Imperialna Flota - zmarły wuj Alicii DeVries.

O'Shaughnessy, sierżant major Sebastian, Imperialny Korpus Marines - dziadek Alicii DeVries.

Paál, porucznik Ágstron, Imperialna Kadra - dowódca, trzeci pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Padorje, Chosa Pendo - dowódca, kompania Echo, pierwszy batalion, Pierwszy Pułk Stołeczny, Planetarna Milicja Gyangtse.

Palacios, major Serafina, Imperialny Korpus Marines - dowódca, batalion rozpoznania, pierwszy pułk, pięćset siedemnasta brygada.

Paldorje, szeregowy Chopali Mingma - strzelec, kompania Echo, pierwszy batalion, Pierwszy Pułk Stołeczny, Planetarna Milicja Gyangtse.

Pankarma, Namkha Pasang - przywódca Frontu Wyzwolenia Gyangtse.

Perez, komandor Isidor, Imperialna Flota - dowódca, HMS „Gryfon”.

Perlman, kapral Malachai, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Bravo, pierwsza drużyna, pierwszy pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Philip, Wielki Książę - premier Imperium Ziemi.

Pilaskow, chorąży Oliver - najstarszy podoficer Arlena Monkoto na Ringbolcie.

Quintana, Oscar, Komandor Porucznik Niezłomny - arystokrata z Wyverna i kontakt „piratów” Jamesa Howella.

Rahman, komandor Killian - starszy oficer kontroli ognia, „Procjon” (okręt flagowy Jamesa Howella).

Ramji, kapral Nicholas, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Bravo, druga drużyna, trzeci pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Rendlemann, komandor George - starszy oficer taktyczny Jamesa Howella.

Resdyrn *niha* Turbach - kontakt Jamesa Howella w Sferze Rishatańskiej.

Rethmeryk *niha* Theryian - następczyni Shernsii *niha* Theryian jako *farthi chir* Theryian.

Rivera, Jaime - dowódca grupy bojowej, Armia Wyzwolenia Sojuszu Wolności.

Ryan, porucznik Calvin, Imperialny Korpus Marines - dowódca, pluton broni ciężkiej, batalion rozpoznania, pierwszy pułk, pięćset siedemnasta brygada.

Salaka, porucznik Tsimbuti Pemba - dowódca, pierwszy pluton, kompania Alpha, pierwszy batalion, Pierwszy Pułk Stołeczny, Planetarna Milicja Gyangtse.

Salgado, Ákos - szef gabinetu gubernatora planetarnego Jaspera Auberta.

Sampson, generał brygady Aaron, Imperialny Korpus Marines - dowódca, trzysta siedemnasta brygada.

Sandusky, kapral Christopher, Imperialny Korpus Marines - dowódca, sekcja

ogniowa Alpha, trzecia drużyna, drugi pluton, kompania Bravo, batalion rozpoznania, pierwszy pułk, pięćset siedemnasta brygada.

Shai, kapral Hau-zhi, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Bravo, pierwsza drużyna, pierwszy pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Shangup, prezydent Kapkye Lhakpa - prezydent planety, Gyangtse.

Szapiro, kapitan Chaim, Imperialny Korpus Marines - dowódca, kompania Delta, batalion rozpoznania, pierwszy pułk, pięćset siedemnasta brygada.

Sharwa, pułkownik Ang Chirgan - dowódca, Pierwszy Pułk Stołeczny, Planetarna Milicja Gyangtse.

Shernsiya niha Theryian - starsza rishatańska matka wojny i *farthi chir* („matka matek”) Klanu Theryian.

Shidahari, kapral Allen, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Alpha, trzecia drużyna, drugi pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Shu, komandor Rachel - starszy oficer wywiadu Jamesa Howella.

Shwang, Shau-pang - dowódca sekcji, Armia Wyzwolenia Sojuszu Wolności.

Sikorska, porucznik doktor Natalie, Imperialna Flota - lekarz okrętowy, HMS „Zemsta”, wydzielona do akcji ratunkowej, Świat Mathisona.

Singh, porucznik Albert, Imperialna Flota (em.) - dowódca grupy uderzeniowej „piratów”.

Skogen, kapral Adam, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Bravo, druga drużyna, pierwszy pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada. Imperialna Kadra.

Solu, szeregowy Chepal Pemba - kompania Alpha, pierwszy batalion, Pierwszy Pułk Stołeczny, Planetarna Milicja Gyangtse.

Sosa, kapral Jack, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Alpha, druga drużyna, trzeci pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra (Louvain).

„Gwiezdny Chart” - pseudonim okrętu „Megajra”.

Stone, kapral Frederica, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Alpha, druga drużyna, trzeci pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra (Louvain).

Strassmann, porucznik Tobias, Imperialna Kadra - dowódca, pierwszy pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Suarez, inspektor Hector, Ministerstwo Sprawiedliwości - dowódca, siły uderzeniowe Ministerstwa Sprawiedliwości podczas operacji Czyszczenie.

Tanner, porucznik Ruth - główna stewardesa wolnego kupca „Gwiazdny Chart”.

Tarbaneau, kapitan Esther - dowódca, Gwiazdni Asasyni.

Teng, kapral Rwyun-yin, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Alpha, trzecia drużyna, pierwszy pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Thaktu, Ang Jangmu - zastępczyni Namkha Pasanga Pankarmy, Front Wyzwolenia Gyangtse.

Thompson, komandor doktor Valentine, Imperialna Flota - członek zespołu operacyjnego kapitana doktora Okanamiego.

Thönes, sierżant Ludoyic, Imperialna Kadra - pisarz kompanii (oraz skrzydłowy Alicii DeVries), kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra (Louvain).

Tigh, pułkownik Arturo, Imperialny Korpus Marines - dowódca, Dowództwo Bezpieczeństwa Polowego Jeffersona, Soissons.

Tyzyfone - jedna z trzech starożytnych greckich Furii.

Trammell, kapitan Kevin, Imperialny Korpus Marines - dowódca, kompania Alpha, batalion rozpoznania, pierwszy pułk, pięćset siedemnasta brygada.

Trang, komodor Oliver, Imperialna Flota - dowódca, dowództwo fortec systemu Elysium.

Treadwell, admirał floty Subrahmanyam - imperialny gubernator, sektor Frankonia.

Truman, major Samuel, Imperialny Korpus Marines - dowódca, drugi batalion, trzeci pułk, trzysta siedemnasta brygada.

Ulujuk, kapral Robert, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Alpha, druga drużyna, trzeci pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Ustanow, pułkownik Tyler, Imperialny Korpus Marines - dowódca, pierwszy pułk, pięćset siedemnasta brygada.

von Hamel, kapitan Marius, Imperialny Korpus Marines - dowódca, planetarny garnizon Elysium.

Watanabe, komandor Hirokichi - młodszy oficer kontroli ognia, „Procjon” (flagowiec Jamesa Howella).

Watts, kapitan Wadysław, Imperialny Korpus Marines - specjalista wywiadu przydzielony jako wsparcie Imperialnej Kadry. Później awansowany na pułkownika.

Westfeldt, admirał Yussuf - dowódca, Wilki Westfeldta.

Wheaton, sierżant ogniomistrz Michael „Mike”, Imperialny Korpus Marines - sierżant plutonu, drugi pluton, kompania Bravo, batalion rozpoznania, pierwszy pułk, pięćset siedemnasta brygada.

Winfield, sierżant major Samuel, Imperialny Korpus Marines - sierżant major batalionu, batalion rozpoznania, pierwszy pułk, pięćset siedemnasta brygada.

Wu, kapitan Kathryn, Imperialna Flota - dowódca, HMS „Cuszima”.

Jereński, Anton - przemytnik z MaGuire, który wynajmuje „Gwiezdnego Charta”.

Yrjd, kapral Rauha, Imperialna Kadra - sekcja ogniowa Alpha, pierwsza drużyna, trzeci pluton, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Yu, sierżant Jonas - członek grupy uderzeniowej Alberta Singha.

Yuroba, Baron (patrz MacKane, Andrew Clement, powyżej).

Yussuf, pierwszy sierżant Pamela, Imperialna Kadra - pierwszy sierżant kompanii, kompania Charlie, trzeci batalion, drugi pułk, piąta brygada, Imperialna Kadra.

Zigair, szeregowy Frinkelo, Imperialny Korpus Marines - grenadier, sekcja ogniowa Bravo, trzecia drużyna, drugi pluton, kompania Bravo, batalion rozpoznania, pierwszy pułk, pięćset siedemnasta brygada.

O AUTORZE

Mając na koncie kilka milionów sprzedanych książek i parę serii bestsellerów „New York Timesa”, David Weber jest fenomenem wydawniczym science fiction ostatniej dekady. Jako maniak historii wojskowości przenosi swoje zainteresowania na karty powieści. W bestsellerowym cyklu „Honor Harrington” widać wyraźnie zarówno ducha Horatio Hornblowera C. S. Foreстера, jak i admirała Nelsona. Ostatnią częścią cyklu jest jak dotąd „At all costs” (listopad 2005).

Weber wcześniej był właścicielem niewielkiej agencji reklamowej i public relations; teraz pisze powieści fantastyczne i ma w druku ponad 30 tytułów. Choć słynie głównie z pełnych życia, nowoczesnych space oper, tworzy także cykl fantasy, z którego jak dotąd ukazały się trzy tomy: „Przysięga mieczy”, „Zaprzysiężony bogu wojny” i „Przysięga wietrznego jeźdźca”. Pierwsze wydane powieści Webera były efektem jego pracy projektanta gier strategicznych „Starfire” dla Task Force. We współpracy ze Stevem Whitem Weber napisał cztery powieści osadzone w tym uniwersum: „Powstanie”, „Krucjata”, „W martwym terenie” i „Opcja Sziwy”, zebrane w dwóch tomach: „The Stars at War I” i „The Stars at War II”. Wśród ostatnich bestsellerów są także takie, które są wynikiem jego współpracy ze wschodzącą gwiazdą, Johnem Ringo: „Marsz w głąb lądu”, „Marsz ku morzu”, „Marsz ku gwiazdom” oraz „Nas niewielu”.

David Weber często jest gościem konwentów fanów SF. Mieszka w Południowej Karolinie z żoną Sharon, trójką dzieci i stadkiem psów.